

N. MONSARRAT

*Jest to historia — długa
i prawdziwa — jednego oce-
anu, dwóch okrętów i stu
pięćdziesięciu mężczyzn*

OKRUTNE MORZE



Nicholas Monsarrat

Okrutne morze

Tłumaczyła Maria Boduszyńska-Borowikowa

Tytuł oryginału The Cruel Sea

Rok pierwszego wydania: 1951

Rok pierwszego wydania polskiego: 1957

Spis treści:

Przed podniesieniem kurtyny.....	3
Część I. 1939: CZAS NAUKI.....	5
Część II. 1940: PIERWSZE UTARCZKI.....	98
Część III. 1941: BEZNADZIEJNE ZMAGANIA.....	171
Część IV. 1942: CZAS WALKI.....	348
Część V. 1943: RÓWNOWAGA SIŁ.....	431
Część VI. 1944: DROGA DO ZWYCIĘSTWA.....	589
Część VII. 1945: NAGRODA.....	617

Od autora.

Wszystkie postacie występujące w tej książce są całkowicie fikcyjne. Jeśli nieświadomie wprowadziłem nazwiska ludzi, którzy istotnie w czasie wojny pełnili służbę na Atlantyku, to przepraszam ich za to. Tam gdzie wspominam o ludziach na rzeczywistych stanowiskach z okresu wojny, jak na przykład

Flag-Officer-in-Charge¹ w Liverpoolu lub Glasgow, osoby przedstawione na tych stanowiskach nie pozostają w żadnym absolutnie związku z ich rzeczywistymi odpowiednikami. I jeśli w roku 1943 był istotnie oficer W.R.N.S.² pełniący funkcję w sztabie operacyjnym w Clyde, to nie była nim moja Julie Hallam. W szczególność i mój admirał stojący na czele bazy w Ardnacraish nie ma być wcale portretem energicznego i wybitnego oficera, który tak doskonale spełniał podobne zadania w Western Approaches Command³.

Przed podniesieniem kurtyny.

Jest to historia - długa i prawdziwa historia - jednego oceanu, dwóch okrętów i około stu pięćdziesięciu mężczyzn. Historia ta jest długa, ponieważ mówi o długiej i brutalnej bitwie, najstraszliwszej ze wszystkich bitew. Są w niej dwa okręty, ponieważ jeden z nich został zatopiony i trzeba go było zastąpić. Jest w niej stu pięćdziesięciu mężczyzn, ponieważ z tą właśnie liczbą wiążą się dzieje obu okrętów. Nade wszystko jednak jest to historia prawdziwa, ponieważ tylko taką warto opowiedzieć.

A więc przede wszystkim - ocean, przepastny Atlantyk. Mapa opowie wam, jak on wygląda: trójkąt trzy tysiące mil w poprzek i tysiąc sąni głębokości, ograniczony wybrzeżem Europy i połową afrykańskiego brzegu, po drugiej stronie zaś rozległym lądem Ameryki. Rozchyła się ku górze jak kielich szampana, u dołu przypomina blaszane pudło na śmietniku miejskim. Lecz mapa nie

¹ Flag-Officer-in- Charge - dowódca grupy okrętów (przyp. tłum.).

² W.R.N.S. (Women's Royall Navy Service) - Pomocnicza Morska Służba Kobiet. W dalszym ciągu książki występuje powszechnie używana przez polskich marynarzy, uczestników bitwy o Atlantyk, nazwa „wrenki”.

³ Western Approaches Command - Dowództwo Obszaru Zachodniego.

powie wam nic o potędze i gniewie tego oceanu, o jego gwałtowności i o łagodnym ukojeniu, o zdradzieckich dąsach. O tym, co potrafią z nim zrobić ludzie i co on może z nimi uczynić. O tych sprawach opowie wam ta książka.

A oto okręt, pierwszy z dwóch, ten skazany na zagładę. W tej chwili wydaje się bardzo daleki od zguby: jest nowy, nie wypróbowany jeszcze, stoi na rzece, której wody nie mają smaku soli, czeka na ludzi, którzy będą jego załogą. Jest to korweta, nowy typ okrętu eskortującego. Eksperyment mający zaradzić wprost rozpaczliwej sytuacji, która zawisła groźbą klęski nad sprzymierzonymi. Okręt jest nowiuteński - jak z igły, jest bowiem listopad 1939 roku. Okręt ten nazywa się: H.M.S. *Compass Rose*.⁴

I w końcu ludzie, stu pięćdziesięciu mężczyzn. Wychodzą na scenę po dwóch lub trzech: niektórzy zaraz na początku, inni później, niektórzy z nich - podobnie jak nowa korweta - skazani są z góry na zagładę. Kiedy są wszyscy razem, są po prostu załogą okrętu.

Mają swoje kobiety, co najmniej sto pięćdziesiąt kobiet, które albo kochają ich, albo są tylko związane z nimi, albo takie, które z chwilą odejścia ich na wojnę rade byłyby nie widzieć ich więcej.

Główną rolę w tej opowieści grają mężczyźni. Jedynymi bohaterkami są korweta i fregata, jedynym zaś czarnym charakterem - okrutne morze.

⁴ H.M.S. (His Majesty's Ship) - Okręt Jego Królewskiej Mości.

Część I. 1939: CZAS NAUKI.

1.

Kapitan George Eastwood Ericson z Royal Navy Reserve⁵ siedział w przeraźliwie zimnym, przewiewnym baraku z falistej blachy na nabrzeżu basenu wyposażeniowego stoczni Fleminga nad rzeką Clyde. Ericson był wysokim mężczyzną, barczystym i silnym. Mężczyzną, któremu się ufa i którego się pamięta. Lat około czterdziestu dwóch-trzech, jasne włosy już przyprószone siwizną, oczy niebieskie i szczere. Kurze łapki w ich kącikach świadczą o poczuciu humoru i o dwudziestu latach wpatrywania się w tysiąc i jeden horyzontów. W tej chwili wskutek fałdy na czole kurze łapki zarysowują się jeszcze wyraźniej. Nie jest to zmarszczka wyrażająca zmartwienie. Jeśli bowiem Ericson był zdolny się martwić, to w każdym razie nie okazywał tego światu. Była to po prostu zmarszczka powstała wskutek skupienia się nad sprawą, z którą miał się uporać.

Na biurku miał przed sobą niechlujną, wytłuszczoną palcami kartotekę, zatytułowaną: „Budowa nr 2891: Wyposażenie”. Przed jego oczami, tak dobrze znającymi się na rzeczy, stała, za oknem po drugiej stronie basenu, korweta. Nieporządna, szara, zbryzgana czerwienią minii, rozbrzmiewająca hałasem pracy niterów, zanieczyszczona stosami wiórów, pakul i próżnych puszek po farbie.

Kartoteka i okręt wiązały się ze sobą ściśle w myślach Ericsona i to właśnie wywołało zmarszczkę na jego czole. Bo on był gospodarzem tego okrętu - H.M.S. *Compass Rose*. Przed objęciem dowództwa na nim śledził jego budowę. W tej chwili nie był tym wcale zachwycony. Odczuwał niechęć i niepewność zrodzoną z

⁵ Royal Navy Reserve - Rezerwa Królewskiej Marynarki Wojennej (przyp. tłum.).

mnóstwa spraw, z którymi normalnie byłby się uporał bez trudu, jeśli w ogóle zwrócił na nie uwagę. Oczywiście nie chodziło o nazwę. Kto przeżył dwadzieścia lat na morzu, najpierw w Royal Navy, a potem we flocie handlowej, ten musiał spotykać się z nazwami najdziwniejszymi w świecie. Najbardziej niezdarne, jaką pamiętał, była nazwa francuskiego trampa Marie-Joseph Brinomar de la Tour du Pin, a najdziwniej nazywał się węglowiec ze wschodniego wybrzeża Jolly Nights. *Compass Rose* nie była niczym nadzwyczajnym. Musiała to być nazwa kwiatu, bo chodziło o jedną z nowych korwet klasy Flower. Zanim dojdą do Pansy i Stinkwort, i Love-in-the-Mist (tu Ericson uśmiechnął się sam do siebie), nikt już nie będzie zwracał sobie głowy jakąś tam *Compass Rose*.

To były w każdym razie drobiazgi. W istocie zaś chodziło prawdopodobnie o to historyczne wydarzenie, o początek wojny. Ericson był jeszcze za młody, by brać bezpośredni udział w pierwszej wojnie światowej. Teraz w skrytości ducha rozważał, czy nie jest zbyt stary dla odegrania jakiejś godnej uwagi roli w obecnej rundzie tych samych zapasów. Na razie miał przed sobą nową odpowiedzialność, nowe stanowisko, nowy okręt i nową załogę. Teoretycznie dumny był z tego wszystkiego, praktycznie jednak nie czuł się pewnie w obliczu tej próby, niepokoił się, czy jej podoła.

Wiedział, że wyszedł już z wprawy. Został zwolniony z marynarki wojennej w roku 1927, po pełnych dziesięciu latach służby. Przez dwa trudne lata męczył się bez pracy, a dziesięć następnych pływał na linii dalekowschodniej, uważając się przez cały ten czas za szczęściarza, ponieważ znalazł pracę na morzu w okresie kryzysu i upadku żeglugi brytyjskiej. Kochał morze, jednak nie ślepą miłością; była to cyniczna, budząca pogardę w nim samym, miłość mężczyzny do kochanki, której w głębi duszy nie wierzył ani trochę, ale bez której nie potrafił już żyć. Na linii

dalekowschodniej nie było mu łatwo: awansował powoli, a groźba redukcji stale wisiała nad głową. W ciągu dziesięciu lat dowodził tylko jednym statkiem - starym, rozklekotanym frachtowcem dwa tysiące ton, który powolutku wykańczał się w rejsach do holenderskich Indii Wschodnich.

Nie było to najlepsze przygotowanie do trudnej funkcji wojennej. I oto jest tu. Wydaje mu się, że odgrywa rolę kapitana G. E. Ericsona, który ma przejąć jeden z okrętów wojennych Jego Królewskiej Mości, dowodzić załogą złożoną z osiemdziesięciu ośmiu ludzi, nauczyć się na nowo tysiąca rzeczy z codziennej praktyki wojenno-morskiej, nie mówiąc o manewrowaniu okrętem bojowym i posługiwaniu się nim jako bronią.

Okręt bojowy... Oderwał wzrok od nie kończącej się pracy, dobrej dla jakiegoś urzędniczyny - od sprawdzania spisów wyposażenia. Znów spojrzał na *Compass Rose*. Korweta była dziwaczna. Zdecydowanie dziwaczna, nawet jeśli uwzględnić jej obecny nie wykończony stan. Miała około sześćdziesięciu jeden metrów długości, była szeroka, kłocowata, bez żadnego wdzięku. Wyłącznym jej przeznaczeniem miało być zwalczanie okrętów podwodnych, przypominała więc pływający pomost do wyrzucania bomb głębinowych. Była prototypem klasy okrętów, które w przyszłości miano produkować szybko i tanio, aby pokryć pilne zapotrzebowanie na eskortowce dla konwojów. Wbrew praktyce okrętów wojennych maszt jej był ustawiony przed pomostem, natomiast przysadzisty komin - normalnie - za pomostem. Wysoki pokład dziobowy uzbrojony był w jedno tylko 105 milimetrowe działo. Właśnie jeden z artylerzystów poruszał jego lufą. Wyrzutnie bomb głębinowych umieszczone były wzdłuż rufy o ściętym kształcie, która wyglądała okropnie, ale była dobra na morzu. Ericson znał się na statkach, toteż z łatwością wyobrażał sobie, jak ta korweta będzie się sprawować. W lecie będzie na niej gorąco, bo nie ma sztucznej wentylacji ani

też instalacji chłodniczej, we wszystkich zaś pozostałych porach roku - zimno, wilgotno, niewygodnie. Będzie się zachowywać po łajdacku przy najmniejszej fali, a sztorm na otwartym Atlantyku będzie nią ciskał jak mizernym wiórem. To było naprawdę wszystko, co dałoby się o niej powiedzieć. Prócz tego, że był to jego okręt i że niezależnie od wszystkich wad i niedoskonałości musiał go jakoś wyszykować i zmusić do pracy.

O załogę nie martwił się tak bardzo. Zarówno dyscyplina, jak i nawyk rozkazywania, wpojone przez służbę w Royal Navy, niełatwo wietrzały z człowieka. Ericson wiedział, że w nim tkwią one jeszcze równie mocno jak dawniej. Byle tylko wszystko inne szło gładko, już on sobie poradzi z tymi ludźmi, potrafi ich skłonić, by robili to, czego zechce - jeśli tylko on sam będzie wiedział, czego chce. Bieda może być tylko z materiałem ludzkim, który trzeba będzie urabiać. Przy tak gwałtownym rozroście Royal Navy załoga nowej korwety będzie najpewniej zupełną zbieraniną. Pierwsza grupa dwunastu starszych marynarzy już przybyła, by objąć służbę na różnych kluczowych stanowiskach - w artylerii, w broni podwodnej, hydrolokacji, w radiolączności, sygnalizacji i w maszynowni. Jako specjaliści byli zupełnie znośni. Należało się jednak spodziewać, że stan załogi zostanie dopełniony, że różne dziury zostaną zapchane wszelkiego rodzaju typami, od zawodowych recydywistów świeżo wypuszczonych z karniaka do zupełnie zielonych rekrutów, prosto od wideł. A jego oficerowie - zastępca i dwóch podporuczników - mogą przecież popsuć to wszystko, co on sam zechce zrobić z okrętem.

Ericson znów zmarszczył czoło, po chwili jednak rozchmurzył się. Jakikolwiek miałby obawy, nie wolno mu ich nigdy okazywać: to podstawowa zasada. Jest marynarzem i zadanie jego jest marynarskie, chociaż na razie nie bardzo na to wygląda. Pochylił się nad biurkiem żałując, że nie może rozbudzić w sobie

ani krzty zamiłowania do papierkowej roboty, i myśląc, że dobrze byłoby, gdyby jego zastępcą, którego obowiązki powinny obejmować między innymi kartotekę, okazał się osobistością wzbudzającą nieco więcej zaufania.

2.

Porucznik James Bennett z R.A.N.V.R.⁶, zastępca dowódcy H.M.S. *Compass Rose*, stąpił po zaśmieconym górnym pokładzie z taką miną, jak gdyby był właścicielem kaździutkiego nitu na tym pokładzie. Podoficer Tallow szedł za nim w odległości nie wyrażającej dostatecznego szacunku. Bennett wyglądał topornie, wiedział o tym i był z tego zadowolony. Wszystko w jego powierzchowności - czerwona gęba, przysadzista postać i czapka nasadzenia na bakier - miało w jego mniemaniu świadczyć o szczerej i, mocnej jak samodiał naturze marynarskiej, bez żadnych subtelności i tym podobnych bzdur. Takim widział samego siebie i przy odrobinie szczęścia z tym właśnie swoim wizerunkiem zamierzał przeszwarcować się przez wojnę. Nie ulegało wątpliwości, że dzięki niemu zdobył swe stanowisko. Oczywiście, pomogła też wartka wymowa i to, że komisja przydziałów zajęta była sprawami ważniejszymi niż kontrolowanie roszczeń do wspaniałych czynów dokonanych w przeszłości.

Dzięki przypadkowi, w chwili wybuchu wojny znalazł się w Anglii zamiast urzędować w biurze towarzystwa żeglugowego w Sydney. Przyjęcie do ochotniczej rezerwy odbyło się bez trudności. A reszta też poszła łatwo: kurs zwalczania okrętów

⁶ R.A.N.V.R. (Royal Australian Navy Volunteer Reserve) - Ochotnicza Rezerwa Australijskiej Marynarki Królewskiej (przyp. tłum.).

podwodnych, pewna rozmówka w Londynie i stanowisko zastępcy dowódcy na *Compass Rose*. Nie był to jeszcze kres jego ambicji - przede wszystkim za dużo było tu papierkowej roboty, ale tym zajmą się podporucznicy, skoro tylko przyjadą. Na razie to wystarczy, dopóki coś lepszego się nie trafi. Jest więc zastępcą na tej małej, śmierdzącej łajbie i ma zamiar odegrać swą rolę jak należy.

- Bosmanie!

- Tak jest?

Stojąc przy dziale Bennett czekał, aż Tallow zbliży się do niego. Trwało to dosyć długo, gdyż podoficer Tallow (siedemnaście lat służby w Royal Navy, trzy naszywki, awans na starszego bosmana nastąpi lada chwila) był nie w humorze. Nie po to zgłosił się na ochotnika do Royal Navy, żeby zamiast na porządnym okręcie (ostatnio był na *Repulse*) służyć na paskudnej, chybotliwej skorupie, i to pod rozkazami zastępcy podobnego do typka z filmu. A Bóg wie jeszcze, jaka załoga zwali się w przyszłym tygodniu. Lecz Tallow, podobnie jak dowódca, był wytworem marynarki wojennej, to zaś oznaczało przede wszystkim akceptowanie bieżących obowiązków i okoliczności. Tylko w sposób najbardziej delikatny dawał do zrozumienia, że nie przywykł do tego rodzaju rzeczy.

Gdy Tallow podszedł do niego, Bennett oznajmił groźnie, wskazując marynarza zajętego przy dziale:

- Ten człowiek pali w czasie służby.

Tallow powstrzymał westchnienie.

- Tak jest, panie poruczniku. Jeszcze nie działa normalna dyscyplina.

- Kto powiedział, że nie?

Marynarz zdążył tymczasem pozbyć się fatalnego niedopałka i z niezwykle skupieniem pochylił się nad działem. Tallow spróbował znowu:

- Chciałem z tym zaczekać, aż załoga będzie w komplecie, panie poruczniku.

- Nie ma żadnej różnicy - odburknął Bennett ostro. - Nie wolno palić w czasie służby, z wyjątkiem przerw. Zrozumiano?

- Tak jest, panie poruczniku.

- I radzę nie zapominać o tym.

O Jezu! - pomyślał Tallow - cóż to za kraj ta Australia...! - Idąc w ślad za zastępcą, pograżał się coraz głębiej w uczuciu rezygnacji. Ten drań to syfon wody sodowej, a poza nim jest tylko dwóch żółtodziobów-podporuczników (zajrzał już do listy etatów). Jeśli nie brać pod uwagę dowódcy, który jest całkiem w porządku, wygląda na to, że cały ten cholerny okręt zwali się mnie na głowę.

3.

Drzwi do baraku otwarły się z rozmachem, czyniąc niemiłosierny przeciąg. Ericson uniósł głowę i odwrócił się na krześle.

- Wejść! - powiedział. - I proszę mocno drzwi zamykać.

Dwaj młodzi ludzie, którzy stanęli przed nim, stanowili pod względem fizycznym zdecydowany kontrast, mimo że mundur z jednym falistym paskiem na rękawie nadawał im pozorne podobieństwo. Jeden z nich, starszy, był wysokim brunetem z wyrazem czujności na szczupłej twarzy. Jak gdyby rozglądał się pilnie w sytuacji, która wymagała chwileczki czasu, aby ją

rozpoznać, tak jak to było w stu innych sytuacjach, w których w przeszłości potrafił dobrze i właściwie się zachować. Drugi robił wrażenie, że jest znacznie uproszczonym wydaniem kolegi. Niski, jasnowłosa i bardzo niedojrzały młodzieńcze mężczyzna miał na sobie wspaniały mundur i zdawał się niezupełnie pewien, czy zasługuje na ten zaszczyt. Patrząc na nich Ericson nagle pomyślał: Wyglądają jak ojciec i syn, chociaż nie może być między nimi więcej niż pięć-sześć lat różnicy. Czekał, aż jeden z nich zacznie mówić, i wiedział dobrze, który to będzie.

Starszy zsalutował:

- Melduję się na *Compass Rose*, panie kapitanie.

Podał jakąś kartkę. Ericson rzucił na nią okiem.

- Pan nazywa się Lockhart?

- Tak jest, panie kapitanie.

- A pan - Ferraby?

- Tak jest, panie kapitanie.

- Wasz pierwszy okręt?

- Tak jest - odparł Lockhart, jakby rozumiało się samo przez się, że mówi za obu. - Przychodzimy wprost z okrętu szkolnego *King Alfred*.

- Jak długo was szkolono?

- Pięć tygodni.

- I teraz umiecie już wszystko?

Lockhart uśmiechnął się szeroko.

- Nie, panie kapitanie.

- No dobrze. To już coś znaczy w każdym razie.

Ericson przyjrzał im się dokładniej. Obaj wyglądali bardzo szykownie: nowiutkie mundury, rękawiczki, maski przeciwgazowe. Jakby wyszli prosto z podręcznika

szkoleniowego marynarki wojennej. Sprawę ubioru przedyskutowali w czasie długiej podróży z południowego wybrzeża nad rzekę Clyde. Na rozkazie było napisane: „Zameldować się u admirała-inspektora budowy okrętów”. Zdawało się, że taki ubiór na taką okazję był najodpowiedniejszy. Dowódca w starym roboczym mundurze ze spłóviałym złotym galonem w porównaniu z nimi sprawiał wrażenie niezwykle zaniedbanego.

Po chwili Ericson zapytał:

- Co robiliście w cywilu?

- Dziennikarz, panie kapitanie - odparł Lockhart.

Dowódca uśmiechnął się. Zrobił okrągły ruch ręką, jakby pokazywał im pokój, w którym się znajdowali.

- Cóż to ma wspólnego?

- Dużo pływałem na jachtach, panie kapitanie.

- Hm... - Spojrzał na Ferraby'ego. - No, a pan?

- Ja pracowałem w banku, panie kapitanie.

- Był pan kiedy na morzu?

- Przeplłynąłem tylko przez Kanał, z wycieczką do Francji, panie kapitanie.

- Cóż, i to może się przydać... No dobrze. Obejrzyjcie sobie korwetę i zameldujcie się u zastępcy. Jest tam gdzieś na pokładzie. A gdzie są wasze rzeczy?

- W hotelu, panie kapitanie.

- Muszą tam zostać przez jakiś czas. Nie będziemy spać na okręcie wcześniej niż za tydzień albo coś koło tego.

Kiwnąwszy im głową, Ericson odwrócił się z powrotem do biurka. Dwaj młodzi ludzie zasalutowali trochę niepewnie i zawrócili ku wyjściu. Gdy Ferraby ujmował za klamkę, dowódca oderwał się przez ramię:

- Nawiasem mówiąc, nie salutujcie mi w pokoju, kiedy jestem bez czapki. Nie mogę odsalutować. Zgodnie z regulaminem powinniście zdjąć czapki przed wejściem do pokoju.

- Przepraszamy, panie kapitanie - stropił się Lockhart.

- To nie jest takie ważne - ciągnął Ericson. Wyczuli przyjazny ton w jego głosie. - Ale równie dobrze możecie to robić od razu jak należy.

Gdy wyszli, zwlekał przez chwilę z zabraniem się na nowo do roboty. Dziennikarz... urzędnik bankowy... wycieczki do Francji... jachty... Nie brzmi to zbyt fachowo. Ale obaj wydają się chętni, starszy zaś, ten Lockhart, ma sporo oleju w głowie, sądząc po jego wyglądzie. Na morzu wiele da się zrobić ze zdrowym rozsądkiem, lecz bez niego - diabelnie mało. Chwycił znów za ołówek.

4.

Lockhart i Ferraby idąc wzdłuż nabrzeża zatrzymali się, by popatrzeć na okręt. Nie patrzyli na niego jednakowymi oczami. Lockhart potrafił w pewnym stopniu ocenić jego linię i kształty. Dla Ferraby'ego korweta była w każdym szczególe zupełną nowością. Martwiło go to bardzo, podobnie jak sto innych rzeczy. Ożenił się zaledwie przed sześciu tygodniami. Żegnając żonę dwa dni temu, zwierzył jej się raz jeszcze ze swej niepewności, ze swych obaw dotyczących się spraw, które wziął na siebie. „Ależ, kochanie - rzekła z uśmiechem pełnym miłości, który wydawał mu się wzruszający i piękny. - Ty wszystko potrafisz. Sam wiesz, że potrafisz. Pomyśl, umiałeś mnie przecież uszczęśliwić, i to tak bardzo”. Brzmiało to, rzecz prosta, niezupełnie logicznie, mimo to jednak dodało mu otuchy. Wszystko w ich małżeństwie było

takie. Zaczęli właśnie przezwycięzać wzajemną nieśmiałość i odczuwali przy tym szczególną słodycz.

Ferraby rozstał się z młodziutką żoną. Lockhart nic nie żegnał. Odpowiedział dowódcy, „dziennikarz”, lecz nie był pewien, czy należy mu się to miano. Miał lat dwadzieścia siedem. Od sześciu z trudem zarabiał na życie kręcąc się po Fleet Street⁷ i jej okolicy w charakterze dziennikarza-amatora. Mnóstwo się przy tym nauczył, ale nie zdołał zabezpieczyć się materialnie, nie uwolnił się ani na chwilę od troski o chleb. Zresztą nie był zupełnie pewien, czy właśnie tego pragnął. Rodzice jego nie żyli, nie był z nikim związany. Jedyna kobieta, z którą się żegnał, powiedziała mu: „Dlaczego nie kochaliśmy się przedtem?” Właśnie wychodził z jej łóżka o chłodnym londyńskim świcie i wkładał mundur. Było to charakterystyczne dla jego całego życia: niepewnego, nietrwałego, zmiennego w akcentach i nasileniu. Zgłosił się na ochotnika, ponieważ wybuchła wojna. Zgłosił się do marynarki, bo wiedział coś niecoś o okrętach - o małych w każdym razie - i znał się na żegludze. I oto czuł się szczęśliwy, wolny i pełen wiary w przyszłość. Był rad z tej odmiany.

Ferraby spytał pokazując palcem:

- Cóż to za jakieś druty tam na maszcie?

- Myślę, że jest to jakieś urządzenie radiowe. Wejdźmy na okręt.

Weszli po nie heblowanej desce, która służyła za trap, i zeskoczyli na pokład. Tu i ówdzie był jeszcze pokryty szronem. Poniewierało się na nim mnóstwo przedmiotów - blaszanki po oleju, skrzynki do narzędzi, sprzęt spawalniczy, części wyposażenia. Z dziesięciu miejsc naraz rozlegało się głośne stukanie młotów, a gdzieś wysoko na dziobie maszyna do nitowania hałasowała jak sto diabłów. Lockhart prowadził w

⁷ Fleet Street - ulica, na której mieszczą się redakcje większości dzienników londyńskich (przyp. tłum.).

kierunku rufy. Obejrzeni wyrzutnie bomb głębinowych - dokładną kopię urządzenia, na którym się szkolili. Zeszli na dół i nagle znaleźli się w części mieszkalnej. Były tam dwa pomieszczenia: jedna kabina z pojedynczą koją i z napisem „Zastępca dowódcy” oraz maleńka mesa oficerska. Wszystko to było zacieśnione i pełne najrozmaitszych zakamarków.

- Będzie cholernie ciasno - rzekł nagle Lockhart. - Myślę, że tobie i mnie dadzą wspólną kabinę.

- Ciekaw jestem, jak on wygląda, ten zastępca - zastanawiał się Ferraby patrząc na tabliczkę przybitą do drzwi.

- Jaki jest, taki jest. Nas o to pytać nie będą. Może wyczyniać z tym okrętem, co zechce, choćby postawić go na dziobie, rufą do nieba.

- Jak to?

- Po prostu może się zachowywać jak ciężka zaraza albo na odwrót, zależy, na co mu przyjdzie ochota.

- Ach, tak... Dowódca mi się podobał.

- A ty podbiłeś od razu jego serce. Tak, on jest dobry. Przyzwoici goście z rezerwy są naprawdę dobrzy.

- Tak, ale najczęściej nie bardzo nas lubią.

- Nas?

- Nas, z ochotniczej rezerwy.

Lockhart uśmiechnął się.

- Od dziś za dwa lata my będziemy wybierać i przebierać. Nie martw się o rezerwę ochotniczą, mój chłopcze. W końcu to będzie i tak nasza wojna. Tylko w ten sposób będą mogli obsadzić okręty.

- Chcesz przez to powiedzieć, że z nas naprawdę będą dowódcy?

Lockhart kiwnął głową, myśląc już o czym innym. Oglądał bufet w mesie, który wydawał mu się niezwykle mały.

Wtem nad ich głowami ktoś krzyknął ochrypłym głosem:

- Hej tam, na dole! - aż zahuczało w pustej mesie.

- Co za gbur! - obruszył się Lockhart.

Po chwili wołanie znów się powtórzyło, tym razem jeszcze głośniejsze.

- Czy to do nas? - zapytał Ferraby niepewnie.

- Obawiam się, że tak. - Lockhart podszedł do trapu i spojrzał w górę. - Tak?

Czerwona twarz nad zręcznicą zejściówki nie była zachęcająca. Bennett groźnie spoglądał na niego.

- Po jaką cholerę chowacie się na dole?

- Nie chowam się - odburknął Lockhart.

- Nie kazano wam zameldować się u mnie?

- Tak jest, ale po obejrzeniu korwety.

- Mówi się: „Tak jest, panie poruczniku” - przypomniał Bennett w sposób bardzo nieprzyjemny.

- Tak jest, panie poruczniku - powtórzył Lockhart. Mógł niemal widzieć udręczoną twarz Ferraby’ego, który stał za nim.

- Czy pański kolega jest razem z panem?

- Tak jest, panie poruczniku. Nie wiedzieliśmy, że pan jest na okręcie.

- Nie odstawiajcie przede mną głupków - mruknął Bennett. - Wyłaźcie na górę, tylko bez marudzenia.

Gdy znaleźli się przed nim u szczytu trapu, Bennett uważnie przyjrzał się obu młodzieńcom. Zmarszczył brwi, a głos jego zabrzmiał chropowatym australijskim akcentem:

- Waszym obowiązkiem jest wiedzieć, gdzie się znajduje - powiedział cierpko. - Nazwiska?

- Lockhart.

- Ferraby.

- Kiedy dali wam nominację?

- Przed tygodniem - rzekł Lockhart. I dodał: - Tymczasowo na okres próbny.

- Widzę, widzę - wycedził Bennett. - Wylazi to z was przecież, sterczy jak... - Tu użył barwnego porównania. - Byliście już na morzu?

- Na małym statku - odparł Lockhart.

- Nie chodzi o zabawę z jachtami.

- W takim razie nie byłem.

Bennett zwrócił się do drugiego:

- No, a pan?

- Nie, panie poruczniku.

- Wspaniale... Który z was jest starszy?

- Razem skończyliśmy szkolenie - wyjaśnił Lockhart.

- Chryste Panie, wiem przecież! Ale jeden jest zawsze starszy, jeden musi być zapisany na liście etatów przed drugim.

- Nie wpisali nas jeszcze na listę oficerów.

Bennett spostrzegł, że Lockhart wpatruje się w niego, że go mierzy spojrzeniem, i to mu przeszkadzało.

- Wygląda na to, żeście się jeszcze nie wykłuli z jaja.

Lockhart nie odpowiedział.

- No cóż, zobaczymy, co potraficie - rzekł Bennett po chwili. - Obeszliście już okręt?

- Tak jest.

- Ile mamy hydrantów przeciwpożarowych?
- Czternaście - pospieszył Lockhart z odpowiedzią.

Nie miał pojęcia, ile było naprawdę, lecz miał absolutną pewność, że Bennett także nie wie. Później, gdyby zachciało mu się sprawdzić, jakoś się z tego wyplacze.

- Bardzo dobrze - rzekł Bennett i zwrócił się do Ferraby'ego: - A jakie działo mamy na okręcie?

- Stopiątkę - odparł tamten po chwili.

- 105-milimetrowe jakie? Odtylcowe? Szybkostrzelnne? Mark IV? Mark VI? Z amunicją zespoloną?

- 105-milimetrowe... nie wiem jakie - bąknął nieszczęsny chłopak.

- To się pan dowiedz - warknął Bennett. - Zapytam następnym razem, jak was zobaczę. A teraz idźcie z powrotem do baraku i weźcie się do sprawdzania a.p.

- Tak jest, panie poruczniku. - Lockhart zrobił zwrot do odejścia. To samo uczynił Ferraby.

- Zasalutować! - zatrzymał ich Bennett.

Zasalutowali.

- Jestem tu zastępcą dowódcy. Radzę nie zapominać o tym.

- Bardzo zachęcający typek - odezwał się Lockhart w drodze powrotnej. - Już widzę, że będziemy z nim żyć jak pies z kotem. Spodziewam się, że ten drań będzie właśnie kotem i że pies pożre kota.

- Co to znaczy a.p.? - spytał Ferraby zgnębionym głosem.

- Akta poufne.

- Nie mógł powiedzieć zwyczajnie?

- Miał widać powód.

- Jaki powód?

Lockhart uśmiechnął się sprytnie.

- To proces impozycji.

- Coś z francuskiego?

- Francuzi robią to lepiej... Mówiąc cokolwiek ordynarnie, motto jest takie: niech no byk ryknie, truchleją mózgi. Muszę przyznać, że nieźle to odstawia.

- Spodziewałem się czegoś innego - rzekł Ferraby.

- Jest pan tu podporucznikiem - świetnie naśladował Lockhart. - Radzę nie zapominać o tym.

- Ale naprawdę to kto z nas jest starszy?

- Może lepiej, żebym ja był starszy.

5.

Z zapadnięciem wieczoru na *Compass Rose* zaległa dobrotliwa cisza. Zamarło stukanie młotów, przycichł gwar ludzki. Ostatni robotnik zbiegł po trapie do tramwaju czekającego w pobliżu. Było to jeszcze przed wprowadzeniem pracy na nocne zmiany. Jedyne wartownik, który pozostał na korwiecie, skulony pod brezentową osłoną na rufie, kłął zimny wiatr, wiejący prosto w oczy dymem od koksownika.

Okręt kołysał się łagodnie z rytmem rzeki. Dziwaczne cienie padały na pokład, przesuwwały się po nim i znów zastygały w bezruchu.

Nerwowa krzątanina na brzegu Clyde rozplynęła się w ciszy. Zamilkło koryto rzeki obrzeżone sylwetami milczących, na pół

ukończonych statków, opustoszały tereny stoczniowe i znieruchomiwały dźwigi rozpięte na bladym tle nieba. Koniec jednego dnia - ani lepszego, ani gorszego od innych: okręty są bliższe stanu gotowości, prace posunęły się znowu o jeden etap naprzód i... ku nie kończącemu się łańcuchowi nowych prac, które wymagają raczej cierpliwości i wytrwałości niż umiejętności. Rzeka Clyde widziała to wszystko już dawniej. Teraz, w 1939 roku, przesuwają się przed nią podobny obraz.

Strażnik nocny, emeryt w podeszłym wieku, mrucał coś i drapał się bez końca, aż wreszcie zapadł w drzemkę. On ma już swoją wojnę poza sobą - tę pierwszą. Teraz kolej na kogoś innego. Szczęść Boże, ale cudów niech nie oczekują od każdego. Cuda są dobre dla dzieci. A starzy mają prawo do odpoczynku i snu. To nie przynosi im ujmy.

W knajpie na Argyll Street, w hałaśliwej części ulicy niedaleko dworca kolejowego, bosman Tallow i Watts, kierownik maszyn, przepijali do siebie przed powrotem na swoje kwatery. Siedzieli tu od ósmej wieczorem i zdążyli już wypić po siedem kufli piwa. Ich wymowa i sposób bycia nie zmieniły się z tego powodu, tylko Tallow zaczął się pocić, a Watts miał nieco przekrwione oczy. Siedzieli tu trochę dlatego, że nie było nic ciekawszego do roboty - nie przepadali bowiem za kinem, a ich kwatery były brudne i niewygodne - trochę zaś dlatego, że lubili ten lokal i nigdzie nie czuli się bardziej swojsko. Przy barze panował hałas, a część gości zabawiała się rzucaniem strzałek do tarczy, spiesząc się, by dokończyć gry przed zamknięciem lokalu. Od czasu do czasu Tallow i Watts spoglądali w tę stronę, obserwując ciekawszy rzut, przeważnie jednak popijali i rozmawiali niegłośnie i mrukliwie.

- Nie będzie miał szczęścia ten okręt, z góry ci to mówię.

Watts był Szkotem. Siwy i łysawy, zbliżał się do końca swej służby w Royal Navy. Jego rozlewna szkocka wymowa i soczysty

akcent Tallowa z Lancashire mieszały się ze sobą i brzmiały szorstko, lecz harmonijnie.

- Ja nie twierdzę, że dowódca nie jest w porządku, ale ten Jimmy⁸ to bydlę - ciągnął Watts. - Dziś wieczór pętał mi się koło maszyny i głądził o dzienniku wachtowym. A ja tu mam pełne ręce roboty przy tym cholernym wale, wciąż rozbebeszonym. Im prędzej dadzą mi kwitek na emeryturę, tym dla mnie lepiej.

- Nie bój się, dopóki będzie ta wojna, nikogo nie wypuszczą - odburknął Tallow. Pociągnął z kufla i otarł pianę z ust. - Jakiś w to włożył, braciszku, to będziesz siedział do końca.

- No dobrze, ale będą przydziały na ląd. Coś lekkiego, w koszarach, to w sam raz dla mnie. Ten okręt jest za mały jak na mój gust.

- Będzie cholernie kiwać - zgodził się Tallow. - Do diabła! Spróbuj wpakować całe wyposażenie tej łajby na takiego *Repulse* - nikt nawet nie poczuje.

Watts zaśmiał się cicho.

- Mam nadzieję, że twój *Repulse* nawinie się w porę, kiedy wrobimy się w jakieś nieszczęście.

- Wedle tego, co ludzie gadają, łatwo może się coś takiego przydarzyć. Niech mnie cholera weźmie, jeśli coś z tego rozumiem. Jak oni sobie to wyobrażają, żeby takie okręty osłaniały konwój. W tamtej wojnie niszczyciele ledwie sobie dawały z tym radę.

- Tu pewnie chodzi o taktykę - rzekł Watts bez przekonania.

- Ta ich taktyka nie wystarczy, jeśli mamy wylądować na drugim brzegu. Jakie my mamy uzbrojenie? Jedna zasrana 105-milimetrowa pukawka i parę rządków bomb głębinowych. Zrobią z nami, co zechcą.

⁸ W angielskiej marynarce wojennej zastępcę dowódcy nazywają Jimmy (przyp. tłum.).

- Nie rozumiem, co się stało z pomieszczeniami załogi - powrócił Watts do swych dawniejszych żalów. - Wszystkich mieszało razem i wciąż jest ciasno. Ludzie z maszynowni i marynarze z pokładu mają jeść w jednej mesie - wiadomo, że nikt tego nie lubi. Pomieszczenie dziobowe ma sześć stóp na cztery, nie ma kantyny, nie ma chłodzenia, nie ma wentylacji. Zanim przejdziesz z pomieszczeń na pomost, przemokniesz do suchej nitki. A kuchnia na samej rufie. Zanim doniosą jedzenie, wystygnie i skrzepnie na lód. Ten facet, co projektował okręt, musiał się przedtem zalać w pestkę.

- Niechby łajdak sam na nim popływał. - Tallow z ponurą miną pociągnął łyk z kufła i spojrzał w stronę baru, gdzie już wołano, że czas zamykać. - Jak myślisz? Jeszcze po jednym na drogę?

- Ja mam już dosyć. Muszę jutro pracować.

Argyll Street pełna była hałasujących ludzi. Wychodzili z knajp i potykali się na zaciemnionej ulicy. Było okropnie zimno. Na rogu ostry wicher dmuchnął im w twarz, więc podnieśli kołnierze i wsunęli ręce głęboko w kieszenie płaszczy. Gdy szli w kierunku przystanku, Watts rzekł współczująco:

- Niech Bóg ma w swej opiece marynarzy. Człowieku, dziś w nocy ciężko będzie na morzu.

- Niedługo nasza kolej - odparł Tallow. - Za parę tygodni będziemy oczy wypłakiwać za Argyll Street, czy to w deszcz, czy w pogodę. Poczekaj tylko.

Lockhart i Ferraby byli zmęczeni. Większą część dnia spędzili na nabrzeżu, sprawdzając spisy, mapy i poufne akta. Bennett doprowadzał ich do szału, każąc po dziesięć razy przerywać robotę i zabierać się do czegoś innego. Spisy wyposażenia nie

miały końca, mapy obejmowały wszystkie oceany. Na dnie skrzynki leżała mapa Morza Czarnego.

Lockhart przyglądał się jej przez chwilę i zauważył cicho:

- Ależ to będzie długa wojna!

Bennett, który dosłyszał te słowa, natychmiast musiał dogryźć:

- Będzie na pewno długa jak cholera, jeśli pan nie przestanie stękać i nie pchnie roboty naprzód.

Potem odesłał ich z powrotem na *Compass Rose*. Kazał im opracować plan rozmieszczenia załogi, chociaż należało to do obowiązków zastępcy. Dzień pracy skończył się dla nich o szóstej po południu. Bennett nakazał ostro, by następnego ranka stawili się w baraku o wpół do dziewiątej. Z hotelu mieli do stoczni godzinę jazdy tramwajem, wobec czego dzień jutrzejszy trzeba będzie rozpocząć dość wcześnie.

Teraz, po późnym obiedzie, leżeli w łóżkach we wspólnym pokoju hotelowym na Sauchiehall Street. Ferraby splótł dłonie pod głową i wpatrywał się w sufit. Lockhart ćmił papierosa i wertował w skupieniu Regulamin Morski. Za oknami wieczorny gwar Glasgow stopniowo zacichał.

Ferraby poruszył się w łóżku i opierając się na łokciu, zwrócił się do kolegi z pytaniem:

- Co ty tam czytasz?

- Biblię. Tak, nasze Pismo święte - odparł Lockhart. - Jest tutaj sporo rzeczy, które warto skonfrontować z rzeczywistymi faktami.

- Masz na myśli zastępcę?

Lockhart roześmiał się.

- Och, on... Pcha się po omacku tak jak i my, tylko że robi przy tym więcej hałasu.

- Tak, bardzo dużo hałasu. - Ferraby opadł na poduszkę. - Zastanawiam się, czy mógłbym sprowadzić tu żonę.

- Dobry pomysł. Masz sporo czasu, zanim przeprowadzimy się na okręt. Najlepiej wprost zapytać.
- Kogo zapytać?
- No, chyba Bennetta. Albo dowódcę?
- Bennett się na to nie zgodzi... Właśnie zacząłem się przyzwyczajać do małżeństwa.
- To musi być przyjemne - rzekł Lockhart bez ironii.
- Więcej niż przyjemne! - Porwany nieśmiałym entuzjazmem Ferraby nie umiał zataić, że wszystkie jego myśli ogniskowały się w tym jednym punkcie. - Ostatnio to było dla mnie wszystkim. Bez tego nie dałbym sobie rady. Ona jest taka... Kiedy się człowiek żeni z osobą... - Zaciął się, lecz po chwili podjął na nowo z wysiłkiem: - Czy ty nigdy nie czułeś, że musisz mieć koniecznie kogoś, komu mógłbyś absolutnie zaufać? Kogoś, komu mógłbyś powiedzieć wszystko, bez... uczucia wstydu? Kogoś, kto byłby drugą połową ciebie samego?
- Nie - odrzekł Lockhart powoli. - Nie zdaje mi się, żebym kiedykolwiek czuł taką potrzebę.
- A ze mną to właśnie tak było. Zresztą, tak było z nami obojgiem. I dlatego rozstanie jest cholernie ciężkie.
- No więc spróbuj, może się uda ją sprowadzić. - Lockhart odłożył książkę i zgniótł papieros. - W każdym razie nic nie szkodzi zapytać. Ostatecznie żona dowódcy jest tu także.
- To jest różnica.
- Niekoniecznie. Spróbuj, zobaczysz, co z tego wyjdzie. - Lockhart przekreślił światło i wyciągnął się w łóżku. - O Boże, dlaczego trzeba się zrywać tak wcześnie?
- Mamy okropnie dużo roboty.
- Tak, tak, pewnie. No to dobranoc.
- Dobranoc.

- A nie daj się przytłamsić tym wszystkim.
- Myślałem, że będzie zupełnie inaczej.
- Jakby wszystko miało się tak układać, jak sobie myślałeś, to by dopiero było dziwne.

Na dole, w hallu tego samego hotelu, Bennett odwlekał umówienie się z nieco ponurą prostytutką, którą sobie przygadał w barze. Nie mógł się jakoś zdecydować. Na razie miał ochotę po prostu pogadać. W gwarnej i zatłoczonej sali było bardzo gorąco. Czerwona twarz Bennetta lśniła od potu pod czapką nasadzoną na bakier.

Kobieta podniosła szklanekę po raz piąty czy szósty i trąciła nią w jego szklanekę.

- Twoje zdrowie, kochany! - powiedziała.

Twarz jej, biała od pudru i poorana zmarszczkami, przypominała czaszkę kościotrupa.

Opięta czarna spódnica niemal pękała w szwach, podkreślając bezpośrednią bliskość ciała, które było powabne, ale zarazem odstręczające.

- Nasze kawalerskie! - zaproponował Bennett po raz już któryś tam z rzędu. Wypił i zapatrzył się w szklanekę.

- Byłaś w Australii?

- Nie. Skądże znowu! Przecież to kawał drogi.

- Masz rację, kawał drogi! To prawie dalej jak do piekła, przynajmniej jeśli chodzi o moje szanse dostania się tam z powrotem.

- Wrócisz cały i zdrow. Jak tylko wojna się skończy.

- Dla mnie niechby skończyła się jak najprędzej. - Sącył piwo z markotnym wyrazem twarzy.

- Nie podoba ci się Szkocja?...Kochana Szkocja - dorzuciła po chwili, jakby kończąc nie powiedzianą myśl. Prawdopodobnie pochodziła z londyńskiego przedmieścia i jej szkocki akcent, nabyty w kabaretach, sprawiał wrażenie groteskowe i sztuczne. - Znasz tę piosenkę: „Glasgow należy do mnie...” - Podniosła szklankę do ust, elegancko zginając mały palec, i odstawiła ją, jakby zawstydzona, że posługuje się tak niewytwornym przedmiotem.

- Szkocja nie jest najgorsza - rozważał głośno Bennett. - Ale wiesz, jak to jest.

Zrobił okrągły ruch ręką i przewrócił dzban stojący na ladzie. Piwo ochlapało mu płaszcz i spodnie.

- O, do cholery! - zaklął głośno.

- Jaki niegrzeczny! - oburzyła się machinalnie.

Bennett wycierał się z zapalem.

- Szkoda dobrego piwa - zauważył i powrócił do tematu. - Szkocja nie jest taka zła. Ale do Sydney to jej daleko.

- To bardzo możliwe - zgodziła się zakładając delikatnie nogę na nogę. - Masz kochankę w Australii?

- No pewno! - odrzekł Bennett. - Całą kupę.

- „Dziewczęta, które zostały tam w kraju...” Tak?

- Coś w tym guście.

- No tak - oznajmiła niespodziewanie oschle. - Dziś mam bardzo zajęty wieczór. - Wzięła torebkę z lady.

- Nie odchodź - wstrzymał ją Bennett decydując się szybko. - Napijemy się jeszcze.

- Nie, dziękuję.

- W takim razie odwiozę cię do domu.
- To daleko. Tramwajem cztery pensy.
- Wezmę taksówkę.
- Coś takiego! Że niby raz się żyje, no nie?

Zsunęła się ze stołka i stojąc przyglądała mu się uważnie, jakby chcąc wy badać, w jakim jest nastroju.

- A jak przyjedziemy do domu, to co?
- Postaram się, żebyś nie narzekała.
- Znałam już przedtem marynarzy - rzekła powoli.
- Na pewno nie Australijczyków.
- Co to, to nie - przyznała. - Z tobą pierwszym się zeszłam.

Znaczy się... towarzysko.

- Zobaczysz, jak ci dogodzę. - Bennett zgramolił się ze stołka i wziął ją pod ramię. - No to idziemy.

Kobieta skinęła barmanowi:

- Serwus, Fred.
- Do zobaczenia i dobranoc.
- To już moja w tym głowa, żeby noc była dobra. - Bennett wykrzywił się w obleśnym uśmiechu. - To już dla mnie robótka. - Nasunął czapkę jeszcze bardziej na bakier.

Ericson siedział w źle przewietrzonym hallu hotelowym na Kelvinside i czytał marną powieść kryminalną, znalezioną na półce z książkami. Naprzeciwko niego siedziała pani Ericson robiąc na drutach. Była to pulchna, chyba czterdziestoletnia kobieta o spokojnej twarzy. Wieczorami zawsze robiła na drutach - swetry i szaliki dla męża, kamizelki wełniane dla siebie, najróżniejsze ubiory dla różnych krewnych i dla ich niemowląt.

Ericsonowi zdawało się czasem, że od dziewiętnastu lat siedzi tak naprzeciw niego i bez przerwy robi na drutach. Taką ją widział, gdy myślał o niej na morzu i gdy przyjeżdżał na urlop. Zawsze to samo. Łatwo wzruszał się tym wyobrażeniem, lecz rzeczywistość drażniła go nieraz i niecierpliwiła, zwłaszcza gdy urlop dobiegał końca i myślał już o powrocie na morze.

W jakiś bardzo spokojny sposób byli ze sobą szczęśliwi. Nie kłócili się nigdy. On uważał się za dobrego męża i ojca, ona zaś była jego kobiecym odpowiednikiem. Od czasu gdy się pobraли, nie więcej chyba niż dwa razy spojrzał na inną kobietę. Teraz, jak tylekroć przedtem, gdy siedzieli tak razem w milczeniu, czuł dobrze mu znane zniecierpliwienie. Widocznie już dość długo siedział na lądzie... Grace była kochanym stworzeniem, lecz tym razem urlop trwał przeszło dwa miesiące. Jak zawsze, okręt i morze odciągały go od niej i od wszystkiego, co uosabiała. To nie była niewierność w stosunku do niej. Był wierny drugiej, mocnej miłości, miłości do zawodu, silniejszej od wszelkich więzi pomiędzy ludźmi.

Nigdy nie rozmawiali o tym, chyba na wesoło, gdy byli jeszcze młodym małżeństwem. Grace wkrótce się zgodziła ze swym miejscem w tym hierarchicznym układzie i jako kobieta rozsądna przestała się zastanawiać nad głębszymi skutkami takiego stanu rzeczy. W ciągu pierwszych dni każdego urlopu dawała mu wszystko, czego pragnął - serdeczne powitanie, czułość, czasem błysk namiętności, miłą łagodność po twardych doświadczeniach. A potem, dostosowując się do jego nastroju, wtapiała się w spokojne tło ich życia i niemal symbolicznie wracała znów do swych drutów. Uważała się za szczęśliwą, a będąc także córką marynarza, czuła się dumna z kwalifikacji zawodowych swego męża i z jego stanowiska. Pływanie było w samej rzeczy zawodem rodzinnym. Ich jedyny syn, obecnie

siedemnastoletni, był asystentem na liverpoolskim statku Linii Holta i w tej chwili znajdował się gdzieś na Atlantyku.

Właśnie o synu zaczęła mówić, gdy wskazówka zegara zbliżała się do jedenastej, a w pretensjonalnym hallu robiło się stopniowo coraz púściej.

- George! - zagadnęła.

Ericson bez żalu odłożył książkę.

- Co, kochanie?

- Myślałam o naszym Johnie.

- Jemu nic przecież nie grozi - odrzekł po chwili.

- Och, nie o tym myślałam.

Rzadko mówili ze sobą o śmierci, która mogła spotkać każdego na morzu. Od dnia wybuchu wojny nie napomknęli o tym ani jednym słowem. Wiedzieli, że mają oboje wiele do stracenia, a Grace Ericson najwięcej.

- Widzisz - ciągnęła dalej - kiedy wy obaj będziecie stale poza domem, będzie mi trochę pusto.

- John dostanie urlop, kochanie, a ja także.

- Myślę, że długo będę musiała czekać. A tymczasem będę zupełnie sama.

- No cóż... - Ericson poprawił się na krześle, by ukryć zakłopotanie. Wyobraził sobie Grace robiącą na drutach, samą w opustoszałym domu, tydzień za tygodniem. Nie przejmowało go to taką troską, jaką powinno było przejąć. Aby naprawić tę nieczulość, dodał szczególnie serdecznie:

- Rzeczywiście, powinnaś kogoś sprowadzić. Jakąś panią...

- Jest przecież mama - rzekła Grace wahajaco.

Ericson nic nie odpowiedział. Oczywiście, była jej matka. Ale z matką to już zupełnie inna historia. Nieprzyjemna, kłótniwa stara

pani, która w czasie nieczęstych wizyt w domku na peryferiach Birkenhead narzekała bez przerwy, w dodatku zaś psuła w straszliwy sposób jedynego wnuka. Scena małżeńska z Grace groziła mu jeden tylko raz, i to właśnie wtedy, gdy jej matka na własną rękę poprzestawiała meble w gabinecie. Wówczas nazwał to „cholerną bezczelnością” i ustawił wszystko po staremu. To była naprawdę wspaniała scena, ale nie pragnął, aby się wiek powtórzyła. Oczywiście nie życzył sobie także widzieć swojej teściowej jako stałego domownika.

Grał więc na zwłokę.

- To jest myśl - powiedział. - Tylko nie jestem pewien, czy to ci będzie naprawdę odpowiadać. Dwie kobiety wciąż razem pod jednym dachem... Widzisz, to jest przecież twój dom - dokończył niezgrabnie, czując jej wzrok na sobie. - Nie możesz o tym zapominać.

- Dlaczegoż miałabym zapomnieć?

- Musisz przyznać, że twoja matka lubi się trochę rządzić.

- Tak samo jak większość ludzi - odparła Grace spokojnie. - Wiem na pewno, że będę dzięki niej miała towarzystwo, czy lubi się rządzić, czy nie lubi. Ale jeśli ty nie chcesz, to naturalnie nie wspomnę o tym więcej.

- Urządzisz się tak, jak ci będzie najwygodniej - oświadczył bez entuzjazmu. Rozumiał, że w przeciwieństwie do Grace sprawa ta będzie go obchodzić w niewielkim stopniu, i to tylko przez jakiś tydzień co trzy lub cztery miesiące. A jednak wciąż jeszcze nie potrafił się cieszyć tą myślą. - Przypuszczam, że nieprędko zjawię się w Birkenhead. Niewykluczone, że z Johnem będzie tak samo. Wiesz dobrze, że wcale nie chcę, żebyś została sama na tak długo.

- Zastanowię się nad tym - odparła wymijająco.

Zaczęła składać swoją robotę przed pójściem na spoczynek. Był to nie lada kram - wzory i zapasowe druty, włóczka, okulary i kawałek jedwabiu, w który zawsze owijała robótkę.

- Nie musimy się spieszyć z tą decyzją. Masz i bez tego dosyć do myślenia, nieprawdaż?

- No tak.

- George, zadowolony jesteś z okrętu? - spytała, gdy wstawali.

- Tak, oczywiście. Wcale niezła korweta.

6.

Przez dwa tygodnie gnieździli się w ciasnym baraku na nabrzeżu, zanim przenieśli się na okręt. Minęły jeszcze trzy tygodnie, nim okręt był wreszcie gotów. Razem więc pięć tygodni wytężonego wysiłku i przygotowań. Ericsonowi wydawało się czasem, że nie będzie końca nowym problemom i trudnościom, które wylaniały się każdego dnia. Ze wszystkimi musiał się parać sam albo przynajmniej decydować, jak je rozwiązać. Obaj młodszy oficerowie byli dosyć chętni, ale zieloni jak trawka na wiosnę. Bennett zaś, jego zdaniem, miał mniej doświadczenia, niż można się było spodziewać po jego zachowaniu. No, i o wiele mniej energii... Wszystko, co było związane z korwetą, zdawało się należeć do obowiązków dowódcy: zamawianie zapasów i amunicji, rozmowy z przedstawicielami stoczni i Admiralicji, ustalanie w porozumieniu z dostawcami ostatnich zmian i uzupełnień, decydowanie o szczegółach technicznych dotyczących kadłuba i maszyn, urządzenie pomieszczeń załogowych, odpowiadanie na sygnały, sprawdzanie spisów, pisanie sprawozdań o postępach budowy i o stanie okrętu. Parę razy musiał robić wypadki do sztabu w Glasgow, zanim się

zorientował, że cichy i sumienny Ferraby jest człowiekiem, na którym można polegać, jeśli chodzi o dokładne przekazanie takiej czy innej wiadomości i przyniesienie z powrotem właściwej odpowiedzi. Nie stanowiło to jednak istotnej pomocy w odwalaniu roboty, która piętrzyła się dzień po dniu w baraku na nabrzeżu, w sąsiedztwie *Compass Rose*.

Stopniowo trud jego zaczynał wydawać owoce. Coraz mniej było hałasu na korwecie, mniejszą przestrzeń zajmowały narzędzia i sprzęt stoczniowy, mniej było nieporządku, smarów i brudu. Przerzedziła się także liczba robotników, aż wreszcie tylko cienkim strumyczkiem sączyli się co rano po trapie. W końcu wyposażenie zostało załadowane, kabiny wykończone, pomieszczenia załogi zaopatrzone w koje i szafki. *Compass Rose* z kształtu i atmosfery robiła się nareszcie podobna do okrętu. Czas było przenieść się na nią i wszyscy cieszyli się z tego. Kiedy jednak większość załogi - sześćdziesięciu kilku ludzi - przybyła z koszar w Devonport, wystarczyło niewiele dni, by w wymyślnych odmianach zaczęła się powtarzać niezbyt pochlebna opinia bosmana Tallowa o pomieszczeniach załogowych. Trudno było zaprzeczyć, że były one małe i niemożliwie zatłoczone. Całą załogę upchnięto razem - marynarzy z pokładu i maszynowni, sygnalistów i radiotelegrafistów. Musieli jeść w pomieszczeniach sypialnych, czytali zaś i pisali listy wciśnięci między kolegów. Jeśli tak wyglądało w porcie, cóż dopiero będzie na morzu, gdy na fali korweta zacznie wypruwać z siebie flaki i wszystko przemoknie na wylot! Pierwsze dni życia na *Compass Rose*, nim ludzie zdążyli się oswoić, przyniosły obfity plon w postaci wymysłów i bluźnierczych przekleństw, najbujniejszy, jaki kiedykolwiek zdołano zmieścić w przestrzeni ograniczonej dwustu stopami długości i trzydziestu trzema stopami szerokości.

Ericson zdał sobie sprawę z tej atmosfery niechęci, gdy dokonywał przeglądu załogi w czasie uroczystości przejmowania

okrętu. Nie mieli min ponurych ani buntowniczych. Nie, byli po prostu obojętni i może trochę cynicznie uważali, że nie opłaca się tak sztyftować (potem i tak będą łązić w niechlujnym swetrze!) dla przejęcia takiej gówniarskiej łajby jak korweta.

Ericson rozumiał, że jego pierwszym zadaniem jest rozładowanie tej atmosfery. Miał już na myśli pewne ulepszenia w zakresie wentylacji i urządzenia kuchni. Energiczny dowódca mógł niejedno osiągnąć na nowym okręcie jeszcze w okresie prób, kiedy współpraca z lądem nic została zakończona. A ponadto perspektywa trudnej i ciężkiej pracy mogła podzielać na ludzi lepiej niż jakiegokolwiek uspokajanie, mogła bowiem wykrzesać w załodze świadomą dumę z ciężkich warunków bytowania i walki. Myśl ta opanowała po ze szczególną siłą w chwili, gdy zabrzmiał gwizdek podrywający, ludzi na baczność, a nowiutka bandera i znak dowódcy wzniosły się w górę i zatrzepotały na wietrze. *Compass Rose* w powłoce świeżej farby miała przyjemny wygląd. Na dziobie wymalowano już cyfry sygnału zawezwawczego. Okręt był niemal gotów do drogi.

Gdy w chwilę potem Ericson odczytywał przed frontem marynarzy pierwsze słowa Regulaminu Wojennego, w jego silnym i dźwięcznym głosie odczuwało się pierwszy odcień dumy, dumy z tego okrętu. Cóż z tego, że to „tylko korweta”, niewiele lepsza od rybackiego trawlera? Ale i ona zdolna jest zasłużyć na dobre imię. I to właśnie miało być od tej chwili jego głównym celem.

Nic nie wskazywało na to, by posiłki w malutkiej mesie oficerskiej mogły wyjść kiedykolwiek poza tę wymuszoną sztuczność, która cechuje publiczne bankiety, skupiające przy jednym stole ludzi zupełnie sobie obcych. Dowódca był

zazwyczaj zaabsorbowany jakąś ostatnią albo czekającą go dopiero pracą. Siedział milczący na pierwszym miejscu i patrzył wprost przed siebie. Czasem zapisywał coś szybko w notesie. Ferraby, z natury nieśmiały, czuł się jeszcze niepewnie, toteż nie ryzykował ani żadnego stwierdzenia, ani też bezpośredniego pytania. Lockhart, najbardziej towarzyski z nich czterech, brnął przez kolejne monologi, które niezmiernie rzadko wywoływały jakiś oddźwięk. Udział Bennetta ograniczał się do spraw związanych z jedzeniem. W szczególności upodobał on sobie najbardziej pospolity produkt spośród zapasów figurujących w bufecie mesy oficerskiej. Były to małe kielbaski w puszkach, które nazywał „snorkers”. Pojawiały się niemal codziennie w jadłospisie, jeśli nie na obiad, to już na pewno na kolację, a nieodmienny okrzyk, jakim je witał: „Q, snorkers! Cudownie!” - brzmiał jak pobudka na rozbudzenie apetytu. Po tym okrzyku siadał, zacierał dłonie, nalewał sobie obficie worcesterskiego sosu i energicznie ruszał do ataku. Rybacy nazwaliby go pewnie niewybrednym żarłaczem.

Carslake, posępny starszy steward, z ironią obserwował to widowisko. Zdawało się, że przywykł do przedstawień w lepszym rodzaju. Nie on jeden zresztą.

Osobiste zetknięcie z Bennettem nie mogło wpłynąć na zmniejszenie wrodzonej nieśmiałości Ferraby'ego. Przed kilku dniami, ponieważ nie zanosilo się na to, by *Compass Rose* mogła wyjść wcześniej niż za dwa tygodnie, poprosił go o pozwolenie sprowadzenia żony. Mieszkałaby w hotelu w Glasgow, on zaś widywałby ją co drugi wieczór, kiedy nie będzie miał służby. Nie spowoduje to żadnych komplikacji i z wszelką pewnością on, Ferraby, nie będzie wykręcał się od pracy. Bennett odmówił jego prośbie po długiej i niezwykle przykrej rozmowie.

- Żona? - zapytał, gdy Ferraby przyszedł do jego kabiny. - Nie wiedziałem, że pan ma żonę. Dawno się pan ożenił?

- Sześć tygodni temu.

Bennett uśmiechnął się zjadliwie.

- No, to czas dać jej odpocząć.

Ferraby milczał. Bennett udawał, że zastanawia się głęboko i marszcząc czoło pochylił się nad biurkiem. Potem potrząsnął głową.

- Nie, podporuczniku - powiedział. - To mi się nie podoba. Za dużo roboty.

- Ale po pracy...

- Powinien pan się skupić - rzekł Bennett zwięźle. - Cóż za pożytek z pana, jeśli będzie pan zmykał na miodowy miesiąc, jak tylko zatrąbią na fajerant? Wszystko to będzie pana odrywać od okrętu.

Ferraby przełknął ślinę. Mierziła go ta rozmowa, ale odważnie brnął dalej.

- Jedno, czego chciałbym...

- Już ja wiem dobrze, czego się panu chce. - Paskudny uśmiech Bennetta wystarczał za komentarz, mimo to uznał za stosowne uzupełnić go słownie. - Ma pan dość do roboty, nawet bez spania na łodzi co drugą noc. Wiadomo, wracałby pan do pracy wypompowany. Lepiej niech pan o tym zapomni.

Ferraby nie mógł tego zapomnieć. Zupełnie roztrzęsiony, opowiedział o wszystkim Lockhartowi, gdy znaleźli się sami w mesie.

- Nie chodzi mi już o to, że się nie zgodził - skarżył się gorzko. - Ale rozmawiać o tym w taki sposób... To... to jest brutalne!

Lockhart pokiwał głową.

- Można się było spodziewać. To już taki gatunek człowieka.

- Nienawidzę go!

Lockhart usiłował odwieść kolegę od tak emocjonalnego stanowiska.

- Wiesz, nie wydaje mi się, żebyś potrzebował pozwolenia w tej sprawie. Nikt nie może zabronić twojej żonie, żeby tu przyjechała. Zapytaj się dowódcy.

- No dobrze, ale nawet jeśli tu będzie, Bennett może nie puścić mnie do Glasgow, nie dać mi się z nią spotykać.

- Przecież nie wtedy, kiedy i tak nie masz służby.

- Założę się, że on i to potrafi.

Lockhart pokiwał głową.

- To prawda. Ja także mógłbym się o to założyć. Znajdzie już jakiś sposób, zwłaszcza jeśli się zwrócisz do dowódcy, kiedy on ci przedtem odmówił. - Uśmiechnął się przez stół do Ferraby'ego. - Lepiej zapomnij o tym, jak powiada ten drań. Później zdarzy się przecież jakaś okazja.

Do specjalnych obowiązków bosmana, już teraz aktualnych, należała walka z przejawami niezdyscyplinowania. Zaczęło się od obrazy dobrych obyczajów, która wprawiła Ferraby'ego - przypadkiem był tego dnia oficerem służbowym - w niemałe zakłopotanie. Wieczorem o dziewiątej wywabiły go z mesy hałasy dochodzące z górnego pokładu. Można się było domyślać, że któryś z marynarzy wracających z przepustki wyprawia awantury. U szczytu trapu natknął się na bosmana Tallowa. Obok jakiś palacz z ponurą miną stał chwiejąc się lekko w tył i w przód.

- Palacz Grey, panie poruczniku - zaczął Tallow, a potem obrócił się do winowajcy. - Bacność! Czapkę zdjąć! Palacz Grey, panie poruczniku. Odlewał się na górnym pokładzie.

- Co?! - krzyknął Ferraby ze szczerym oburzeniem.

- Odlewał się na pokładzie - powtórzył Tallow. - Właśnie wrócił na okręt. Wachtowy mi o nim zameldował.

Ferraby przełknął głośno ślinę. Czuł, że grunt usuwa mu się spod nóg. Ostatecznie, to jego pierwszy „przestępca”.

- Co macie do powiedzenia? - zapytał po chwili.

Palacz Grey kiwnął się do przodu, a potem znów do tyłu i coś tam wymruczał.

- Odpowiadać! - warknął na niego Tallow.

Grey spróbował raz jeszcze.

- Pewnie musiałem popić kapkę, panie poruczniku.

- Ależ to jest po prostu obrzydliwe - rzekł Ferraby. - Nigdy nie słyszałem...

- Przepraszam, panie poruczniku - wybąkał Grey.

- Milczeć! - wtrącił się Tallow.

- To obrzydliwe - powtórzył Ferraby niepewnie. - Bosmanie, przedstawić do raportu do zastępcy dowódcy.

- Przedstawić do raportu do zastępcy dowódcy - wyrecytował za nim Tallow. - Czapkę włożyć! W tył zwrot! Odmaszerować, raz, dwa!

Palacz poczłapał zataczając się mocno. Nagle grzmotnęło ciężko o stalowy pokład.

- Lepiej mieć oko na niego - zaniepokoił się Ferraby.

- Już ja się tym zajmę, panie poruczniku - zapewnił Tallow.

- Takie rzeczy nie zdarzają się chyba zbyt często?

- Pan porucznik wie, jak to po piwie...

- No tak, ale... - zająknął się Ferraby i urwał na tym. Wojna najwyraźniej nie jest dla dusz subtelnych.

Na dwa dni przed Bożym Narodzeniem Ericson udał się do Glasgow, by zameldować się w sztabie po raz ostatni. Wrócił z plikiem papierów, nad którymi ślęczał czas jakiś w kabinie. Potem zszedł na dół do mesy oficerskiej, gdzie już się zebrali inni.

- Rozkaz odejścia - rzekł krótko, siadając przy stole. - Pojutrze popłyniemy w dół rzeki. Zapamiętajcie: dwudziesty piąty grudnia.

- Podarek gwiazdkowy... - odezwał się Lockhart przerywając milczenie, jakie zapadło po słowach dowódcy.

- Tak chyba wypada na to patrzeć... Tu mamy plan działania. - Zajrzał do arkusza, który miał w ręku. - Podholują nas do ropowca, jakieś pięć mil w dół rzeki. Nabierzemy paliwa i popłyniemy już sami dalej w dół, aż do Greenock. Tam postoiemy na kotwicy ze dwa tygodnie, weźmiemy zaopatrzenie i amunicję, skompensujemy dewiację. Potem wyjdziemy na morze na próby maszyn. Prawdopodobnie pójdziemy do Ailsa Craig i z powrotem. Po drodze wypróbujemy działa i wyrzutnie bomb głębinowych. Wszystko to potrwa do... - tu zajrzał znów do arkusza - do dwunastego stycznia. A potem, jeśli wszystko okaże się w porządku, wyjdziemy do Ardnacraish na ćwiczenia.

- A to jak długo potrwa, panie kapitanie? - zapytał Bennett.

- Według planu, około trzech tygodni. Na pewno nie mniej. A jeśli sknocimy, mogą nas przetrzymać, jak długo zechcą. Wszystko zależy od nas.

- Słyszeliście, panowie podporucznicy - wtrącił się Bennett zupełnie niepotrzebnie. - Żeby mi żaden z was nie nawalił.

Ericson ściągnął brwi.

- Żaden z nas nie może nawalić, ani ja, ani ostatni marynarz.

Po raz pierwszy byli świadkami, jak dowódca poprawia Bennetta. Lockhartowi przemknęło przez myśl, że może już przedtem zdarzało się coś podobnego, w cztery oczy.

Może w rzeczywistości dowódca nie był taki ślepy, jak się zdawało, jeśli chodzi o sytuację w mesie oficerskiej i gdzie indziej. Skoro istotnie patrzył na Bennetta krytycznym okiem, to jednak była nadzieja na przyszłość...

- No więc, tak to wygląda - ciągnął Ericson. - Musimy być gotowi do wyjścia za dwie doby, czterdzieści osiem godzin od tej chwili. - Potem zawołał głośno: - Steward!

Starszy steward Carlslake słuchał uważnie za drzwiami. Teraz czekał przyzwoitą chwilę, nim wszedł do mesy.

- Tak jest, panie kapitanie?

- Podajcie dzinu i wszystkiego, czego panowie sobie życzą.

Później, po drugiej kolejce, dodał od niechcenia:

- Myślę, że dobrze byłoby urządzić jutro wieczorem pożegnalne przyjęcie. Potem możemy długo czekać na okazję.

7.

Rankiem w święto Bożego Narodzenia o godzinie dziesiątej Lockhart stał na zimnym, wietrznym pokładzie dziobowym i czekał, aż puszczą parę do windy. Bolała go trochę głowa. Na wczorajszym przyjęciu wypił więcej niż zwykle, ale nie dało się inaczej. Pani Ericson prezydowała przy stole i, trzeba przyznać, robiła to dobrze. Reszta towarzystwa prawie się nie знаła. Było tam kilku oficerów z innej korwety, paru pracowników stoczni, był jakiś przyjaciel Ericsona ze sztabu.

Bennett zjawił się późno, koło dziesiątej, z podejrzaną damulką, na pewno wyłowioną w najbliższym hotelu. Wprowadziło to przykry zgrzyt i dopiero po wielu kolejkach ogólny błogostan, połączony z leciutkim zamroczeniem, rozładował atmosferę.

Lockhart czuł, że teraz za to pokutuje. Wiatr kęsał i siekł od czasu do czasu garścią śniegu. Nie było to na pewno dobre lekarstwo na kaca.

Przy rozdzielaniu stanowisk i obowiązków na okręcie jemu, jako starszemu z podporuczników, przypadł pokład dziobowy, a wraz z nim najciekawsze obowiązki służbowe - działa i poprawianie map. Ferraby nie miał już w czym wybierać: dostał rufę. Miał być odpowiedzialny za wyrzutnie bomb głębinowych, w porcie zaś miał załatwiać korespondencję i żołąd załogi, a także prowadzić rachunki mesy oficerskiej. Oczywiście Lockhart uważał, że jemu udało się lepiej. Trudno na to poradzić, ale Ferraby miał pecha z całą tą dłubaniną, gdy innym przypadł w udziale sam smak. Chodząc tam i z powrotem po pokładzie, myślał, że jego praca (o której miał zresztą dość mgliste pojęcie) mogłaby nie odbywać się tak bezpośrednio pod okiem dowódcy na pomoście. Zastanawiał się także, i wcale nie po raz pierwszy, w jaki sposób Ferraby - ten nieśmiały, niedoświadczony i bezbronny chłopak - potrafi stawić czoło ciężkim próbom, jakie czekają ich w przyszłości. W pewnej mierze można mu było pomóc, ale ostatecznie wszystko zależało od jego własnych możliwości, a te zdawały się niezwykle skromne.

Marynarz majstrujący przy windzie odkręcił zawór i natychmiast rozległ się syk pary, a potem szczęknięcie.

- Gotowe, panie poruczniku! - zawołał.

- Dobra!

Lockhart poszedł w kierunku dziobu. Starając się nie pokazać po sobie, że było to dla niego czymś w rodzaju nieznaney gry, wziął się do pracy: zrzucał zapasowe cumy, nawijał je na bębny. Z pokładu holownika stojącego burta w burtę z korwetą przyglądał mu się człowiek o twarzy czerwonej i wzbudzającej ufność. Lockhart czuł, że tamten gotów byłby naprawić każdą jego

pomyłkę i poratować go w biedzie. Człowiek ten mógł się okazać potrzebny.

Kiedy rozległ się gwizdek: „Odkotwiczenie!”, Ferraby z rozpaczą w sercu poszedł na pokład rufowy. Chciał wykonać, jak tylko potrafi najlepiej, rozkaz, którego treści właściwie nie rozumiał.

- Rzucić z wyjątkiem rufowej - powiedział Bennett i nie dodając nic więcej zabierał się do odejścia. Nie zapomniał dorzucić na pożegnanie: - A jak się cuma nawinie na śrubę, to marny wasz los!

„Rzucić z wyjątkiem rufowej” prawdopodobnie znaczyło: zdjąć z nabrzeża wszystkie cumy z wyjątkiem ostatniej, która miała ich jeszcze trzymać. Może przez eliminację potrafi dojść do tego, która to jest ta cuma rufowa. Tak, ale nie bardzo czuł się na siłach skupić myśl na procesie eliminacji.

Prawdę mówiąc, czuł się zgubiony i nieszczęśliwy. Wszystko, co czytał o marynarce wojennej, wszystko, czego się nauczył w czasie szkolenia, cały ten entuzjazm, który mu kazał zgłosić się na ochotnika zaraz w pierwszym dniu wojny - wszystko rozsypało się na popiół przy zetknięciu z rzeczywistością. Taki był dumny ze swojej promocji, gotów przyjąć bez żadnych zastrzeżeń całą tę twardą dyscyplinę, całą tradycję służby, o której się uczył i czytał. Ale w podręcznikach nie było mowy o Bennecie. Tymczasem wyglądało to tak, że poza osłoną pięknego frazesu właśnie Bennett był jedyną rzeczywistością... Wiedział dobrze, trzeba to przyznać, że będzie nieszczęśliwy, gdy tylko rozstanie się z żoną. Była to jeszcze jedna udręka, którą gotów był znosić z pogodą. Lecz ból rozstania to wysoka cena - cena niemal nie do przyjęcia - za dostanie się w jarzmo tak idiotycznej tyranii. Jeśli marynarka wojenna to jest naprawdę tylko Bennett, jego maniery i metody, w takim razie oszukiwano go podle od samego początku.

Wczoraj wieczorem wymknął się z przyjęcia, by zadzwonić do żony, do Londynu. Kiedy czekał na połączenie w przewiewnej kabinie na nabrzeżu, napięcie oczekiwania dusiło go w gardle. Lecz gdy usłyszał jej głos, miękki i wahający, napięcie ustąpiło. Myślał już tylko o tym, ile mil ich dzieli od siebie, ile tygodni i miesięcy minie, zanim zobaczą się znowu. Ta chwila - to było ich pożegnanie. Niczego już nie mogli się spodziewać. I za to, za to wszystko, traktowali go niby przygłupie dziecko, poszturchiwali jak skazańca...

Dla niej jednak i dla siebie samego trzymał się w garści jak tylko mógł.

- Hallo! - zawołał. - Jak się masz, kochanie! Słyszysz mnie dobrze?

- Tak. Och, jak to cudownie! Skąd mówisz?

- Z... pewnej miejscowości. Chciałem ci życzyć wesołych świąt.

- Ja też ci życzę... A co robisz w tej chwili?

- Mamy przyjęcie.

- Ach, tak...

- Nic nadzwyczajnego. Właściwie to nawet straszna piła. Chciałbym być razem z tobą.

- Czy uważasz na siebie?

- Tak, najdroższy. A ty?

- Ja też.

- Mówisz z okrętu?

- Nie, z nabrzeża. Jaką sukienkę masz na sobie?

- Tę domową w paski... Słuchaj, kochany, tak bym strasznie chciała, żebyś tu był. Czy to się da zrobić?

- Nie zdaje mi się. Boję się, że nie.

- W takim razie może ja mam przyjechać do ciebie?

- Już za późno.

- Jak to? Co to ma znaczyć?

- Wiesz, ja... - Wtem przyszedł mu na myśl słowa, nie pamiętał już czyje, o nieostrożnym gadaniu Zawahał się. - Naprawdę, nie mogę ci tego powiedzieć.

- Wasz okręt już gotów?

- Tak.

- Ach tak...

Słuchali cichego brzęczenia telefonicznych drutów. Oboje niedobrze się sprawiali.

Zaczął więc na nowo:

- Chciałem ci tylko życzyć wesołych świąt. - Nagle poczuł, że nie zniesie już tego i rzucił prędko: - Muszę iść... Do widzenia... Uważaj na siebie - i odłożył słuchawkę.

Nim zdecydował się wrócić na okręt, co najmniej przez pięć minut stał przy telefonie zupełnie przygnębiony. A kiedy już był na okręcie, przemknął się cichaczem do kabiny i wlażł do koi. Gdy tak leżał, czuł, jak fala za falą zalewa go straszna niedola. I nic nie zdoła jej powstrzymać, żadna nadzieja jej nie odpędzi.

W ten dziwny świąteczny ranek Ferraby siedł na pokład i powtarzał, jak gdyby recytując jakieś pogańskie zaklęcie: „Rzucić z wyjątkiem rufowej”. Sześciu ludzi z oddziału rufowego, ze starszym marynarzem Tonbridge'em na czele, stało w szeregu przy wyrzutniach bomb głębinowych i czekało na jego przyjście.

Gdy się zbliżył, starszy marynarz Tonbridge zapytał salutując:

- Mamy zdjąć buchtę, panie poruczniku?

- Chwileczkę.

Ferraby przyjrzał się cumom uważnie. Były tam cztery liny - dwie szły do tyłu, jedna do przodu, ostatnia zaś, najkrótsza, biegła pod kątem prostym do burty. Zawahał się.

Tonbridge, młody i krzepki chłop, pewny siebie, gdyż umiał to wszystko na pamięć, poprawiał tymczasem grube skórzane rękawice, które wszyscy marynarze wkładali do pracy przy cumach.

Wtem dziwny pomysł wpadł Ferraby'emu do głowy, pomysł godny zaiste Bennetta. Wstydził się prawie, że musi go użyć. Skinął Tonbridge'owi i rzekł po prostu:

- Rzucić z wyjątkiem rufowej!

Tonbridge zaś odparł:

- Tak jest, panie poruczniku - i zwrócił się natychmiast do stojących najbliżej marynarzy: - Zwolnić te liny!

Potem zawołał do ludzi czekających na molo:

- Zrzucić cumy i szpring.

Tamci spełnili rozkaz. Liny plusnęły o wodę i już wciągano je na okręt. Wszystko odbyło się w mig. Została tylko cuma idąca ku tyłowi. A więc to takie proste!

Z nagłym, nieśmiałym przebłyskiem pewności siebie Ferraby podszedł do rury głosowej łączącej z pomostem. Na jego wezwanie zgłosił się sygnalista. Ferraby powiedział:

- Na rufie cumy zdjęte. Zameldujcie zastępcy dowódcy.

W jakiś pokorny sposób czuł się zadowolony. Rzecz jasna, oszukiwał, ale teraz - jeśli chodzi o cumy - wie już przynajmniej, co jest co, i nie będzie już więcej oszukiwać.

W kabinie dowódcy Watts, starszy bosman maszynowy, składał raport o stanie swych maszyn. Nikt nie mógł mieć wątpliwości co do Wattsa i co do pracy, jaką wykonywał. Jego niby to białe kombinezon był wyplamiony, pochłapany smarem, dłonie niewiarygodnie usmolone. Większą część nocy męczył się przy jakimś zaworze, toteż czuł się znużony i twarz miał szarą, pobrużdżoną.

- Maszyna jest pod parą, panie kapitanie - rzekł bez większego entuzjazmu. - To znaczy gotowa o tyle, o ile mogłem do niej dostać. Bo to dwudziestu chłopów ze stoczni łążyło po niej bez ustanku. Obracałem ją teraz przez godzinę na dziesięć obrotów. Jeszcze trochę surowa, ale się dotrze.

- A jak z maszynką sterową? - zapytał Ericson. Były z nią przedtem kłopoty i musieli czekać na nowe części.

- Wygląda, że już w porządku. - Watts skrobnął się w łysinę, pozostawiając na niej smugę smaru, niby wymalowany pukiel. - W pomieszczeniu sterowym wala się kupa rozmaitych gratów, stalówki, suchy prowiant i inne różności. Trzeba to jakoś zabezpieczyć, kiedy naprawdę wyjdziemy na morze. Maszynkę wypróbowałem dziesięć razy, prawo na burtę i lewo na burtę. Chodzi gładko jak anioł. A jakby chcieć przejść na sterowanie ręczne, to całkiem proste. Zanadto proste - prychnął wzgardliwie.

Nie miał wysokiego mniemania o maszynach, za które odpowiadał. Nie było w nich żadnej subtelności. Były prawie tak prymitywne jak maszynka na skażony spirytus, która była jego pierwszą prawdziwą zabawką. Widać tam w górze mają zamiar produkować korwety łatwym i tanim sposobem, niby szpilki czy popielniczki z plastyku. No, ale w takim razie szef maszyny nie ma tu koło czego chodzić.

- Dobra, szefie - rzekł Ericson. - Z tym byłoby w porządku. Znamy nasz plan: holują nas w dół rzeki do ropowca, a potem pójdziemy dalej pod parą. Na branie ropy daję wam dwie godziny. Przyływ trwa całe popołudnie, więc nie ma gwałtu.

- Dwie godziny powinny wystarczyć, panie kapitanie. A na jakich obrotach pójdziemy potem?

- To się zobaczy, przede wszystkim niech się maszyna rozrusza.
- Ericson zajrzał do jednego z wielu papierków leżących na biurku. - W instrukcji piszą: wolno naprzód - 35 obrotów; pół

naprzód - 100 obrotów. Najlepiej zaczniemy od tego. Jeżeli szybkość okaże się za duża albo za mała, dam znać przez rurę głosową, jak zmienić obroty.

- Tak jest, panie kapitanie.

Zbierając się do odejścia, Watts wycisnął z siebie coś w rodzaju uśmiechu, który był rzadkim gościem na jego twarzy.

- Dziwaczne Boże Narodzenie - zagadnął wahająco. - Człowiek niejedno sobie myśli.

- To nie ostatnie dziwne święta, szefie.

- Myśli pan kapitan, że znów potrwa tak długo jak zeszłym razem?

- Myślę, że dłużej. - Ericson sięgnął ręką do dzwonka na pomost i nacisnął. - W każdym razie trzeba się do tego przygotować.

Zamykając za sobą drzwi od kabiny, Watts z powątpiewaniem potrząsnął głową. W swojej ulubionej niedzielnej gazecie przeczytał, że za rok wojna się skończy. Dzisiaj, w świąteczny ranek, Watts bardzo pragnął temu wierzyć.

Na dzwonek dowódcy stawiał się przed nim starszy sygnalista Wells, najstarszy z trzech marynarzy, którzy tworzyli grupę sygnalistów na *Compass Rose*.

Wydawał się zbyt stary jak na swój stopień. Właśnie kilka dni temu Ericson przeglądał jego papiery i dowiedział się, dlaczego tak było. Jeszcze przed dwoma miesiącami Wells był podoficerem, został jednak zdegradowany i skazany na osiemnaście dni aresztu. Była to kara - zgodnie z bezosobowym stylem *King's Regulations and Admiralty Instructions*⁹ - za „zachowanie się szkodliwe dla porządku i dyscypliny w marynarce wojennej, mianowicie za: a) przedłużenie nieobecności o 76 godzin i 35 minut poza termin urlopu; b) powrót na okręt w

⁹ King's Regulations and Admiralty Instructions - regulamin obowiązujący w marynarce brytyjskiej (przyp. tłum.).

stanie nietrzeźwym; c) opór stawiany podoficerowi przydzielonemu do nadzoru i d) zniszczenie za pomocą ognia dziewięciu flag sygnałowych wartości 27 szylingów”. Między wierszami łatwo było wyczytać, że sytuacja musiała być dosyć ożywiona. Wnioski, jakie stąd wynikały, nie były pocieszające, nawet jeśli uwzględnić przypuszczalne okoliczności łagodzące. Były to może trochę zbyt huczne chrzciny, zbyt uczynna niewiasta lub niewierna żona. Ciekawe, że Wells wydawał się najmniej prawdopodobnym bohaterem tego rodzaju przygody.

Niski, o ruchach szybkich i zdecydowanych, miał wygląd człowieka znającego się na swojej robocie. Utrzymywał swój dział w porządku, umiał podsuwać dowódcy sugestie, wydawał się całkowicie godny zaufania. Teraz, gdy stał w kabinie Ericsona z czapką starannie wsuniętą pod ramię, z blokiem-sygnałowym i ołówkiem w ręku, był krzepiącym uosobieniem doskonale wyszkolonego, bystrego sygnalisty - człowieka, którego na każdym okręcie cenią na wagę złota. Ericson miał nadzieję, że właśnie to był prawdziwy Wells. Ten drugi bowiem, z karty personalnej, oznaczałby na małym okręcie, jakim była korweta, nieustające kłopoty, stałe marnowanie energii na utrzymanie go w ryzach dyscypliny.

- Chcę dać sygnał o wyjściu - oznajmił Ericson. - Zapiszcie i nadajcie telefonem z nabrzeża.

- Rozkaz, panie kapitanie - odparł Wells przykładając dając ołówek do bloku.

„Do Flag-Officer-in-Charge, Glasgow - dyktował dowódca - od *Compass Rose*.

Wyszliśmy zgodnie z rozkazem 0945/23/12. Przypuszczalny czas wejścia do Greenock godzina szesnasta zero-zero”.

Wells zanotował sygnał i odczytał go głośno, po czym zapytał:

- Czy mam nadać to samo do Greenock, panie kapitanie? Muszą podać nam miejsce postoju, jak tylko przyjdziemy.

- Tak - zgodził się Ericson. Raz jeszcze - w ostatnich dniach zdarzało się to często - zdał sobie sprawę, że jeśli chodzi o procedurę wojenno-morską, pamięć mu zardzewiała i trzeba było ją stale pobudzać. - Nadajcie i tam... Kiedy będziemy szli w dół rzeki, trzeba, rzecz jasna, podnieść nasz sygnał rozpoznawczy.

- Tak jest, panie kapitanie. Sygnał rozpoznawczy, flagę pilotową i sygnał „na holu”. Wszystkiego dopilnuję, panie kapitanie.

Po wyjściu sygnalisty Ericson pozostał w kabinie czekając na zastępcę. Zgodnie z normalną dyscypliną Bennett powinien był zameldować, że okręt „jest gotów do wyjścia”, tak jak Watts zaraportował gotowość maszyn. Wprawdzie minęła już godzina wyznaczona na wyjście z Glasgow, lecz Ericson nie chciał wzywać Bennetta, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Zdążył się zorientować, że Bennett nie jest losem wygranym na loterii. Leniwy, niedouczony, na pewno nie powinien był dostać tego stanowiska. Ale nie zdecydował się jeszcze, czy zażądać kogoś innego na zastępcę, czy też spróbować przyuczyć Bennetta do uczciwego spełniania obowiązków. Nie chciał odbierać mu szans. Niemiałą komplikację stanowił fakt, że Bennett nieustannie terroryzował Ferraby’ego. Jeśli zaś chodzi o Lockharta, to grubsza awantura wisiała na włosku. I ta sprawa mogła się z czasem sama rozładować albo też nie. Nie chciał interweniować tak długo, jak długo sprawna praca i dobra atmosfera na okręcie nie były poważnie zagrożone. A do tego jeszcze nie doszło.

Było już dziesięć minut po ustalonej godzinie, kiedy zadzwonił na pomost. Odezwał się wachtowy sygnalista:

- Tu pomost, panie kapitanie!

- Czy jest tam zastępca dowódcy?

- Jest na dziobie. Rozmawia z podporucznikiem Lockhartem.

- Poproście, żeby przyszedł do mojej kabiny.

- Rozkaz, panie kapitanie.

Po chwili Bennett zapukał i wszedł. Miał na sobie nieprzemakalny płaszcz z kołnierzem podniesionym w sposób cokolwiek teatralny.

- Pan kapitan mnie wzywał?

- Tak, poruczniku. Czy jesteśmy gotowi do wyjścia?

- Ależ oczywiście - odparł Bennett wesoło. - Każdej chwili, kiedy pan zechce, kapitanie.

- Powinien pan przyjść i zameldować mi o tym. Rozumie pan chyba, że nie mogę się tego domyślać!

- Aa... Przepraszam, panie kapitanie.

- Ludzie są wszyscy na okręcie?

- Ja... Przypuszczam, że tak, panie kapitanie.

- Więc są czy nie są? - Chłodne niebieskie spojrzenie przygwoździło Bennetta. - Nie kazał pan sobie zameldować?

- Tylko pocztowy schodził na ląd, panie kapitanie. Wiem, że już wrócił.

- No, a co z mesowymi? Co ze starszym stewardem - wysłałem go po zakupy dla siebie. Co ze stoczniovcami?

Ericson nigdy nie widział Bennetta tak zbitego z tropu. Był to zaiste pocieszający widok.

- Natychmiast sprawdzę, panie kapitanie.

Ericson wstał i sięgnął po czapkę i lornetkę.

- Więc proszę się dowiedzieć i zameldować na pomost. A na przyszłość proszę meldować we właściwym czasie, że okręt jest gotów do wyjścia i cała załoga obecna. To należy do pańskich obowiązków.

Bennett szybko się opamiętał.

- Najlepiej każe to Ferraby'emu...

- Nic pan nie każe - przerwał mu Ericson tonem tak ostrym, jakim nigdy jeszcze nie mówił do nikogo. - Chyba że ma pan ochotę zamienić się z nim na miejsca.

Wyszedł z kabiny nie mówiąc nic więcej. Niech Bennett sam się domyśli, jakie wnioski wyciągnąć na przyszłość z tak wyraźnego ostrzeżenia. Może właśnie w ten sposób należało przykrócić mu cugli. W każdym razie było to posunięcie we właściwym kierunku. Gdy Ericson wchodził po trapie na pomost, ta nieprzyjemna i głupia scena wywietrzała mu z głowy. Jej miejsce zajęło uczucie wielkiej i osobistej satysfakcji, że długie miesiące czekania, że cała ta mordęga z wyposażeniem i przejmowaniem okrętu, wszystkie kłopotliwe drobiazgi do załatwienia przed wyjściem - że wszystko to było skończone i załatwione. *Compass Rose*, okręt, za który on tylko odpowiadał, okręt, który był niemal jego własnym dziełem - nareszcie gotów był do wyjścia.

Właściwie w czasie pierwszego holowania w dół rzeki nie zaszło nic nadzwyczajnego, z wyjątkiem drobnego wydarzenia. Ericsonowi, podobnie jak wielu członkom załogi na korwecie, wydarzenie to wydało się wzruszające.

Gdy *Compass Rose* odbiła od nabrzeża i, ciągniona na holu, zaczynała nabierać szybkości, bosman Tallow stał przepisowo przy sterze, a Lockhart przy windzie kotwicznej wraz ze swym oddziałem dziobowym wyrównanym jak na pokaz. Wtedy to z ust robotników stoczniowych, zebranych na nabrzeżu, wyrwał się okrzyk pożegnania. Nie zgrane, nie wyuczone słowa - dla nich na drogę... Wzruszała właśnie ta chropowata spontaniczność. Ludzie w innych stoczniach odchodzili od pracy, machali do *Compass Rose* płynącej w dół rzeki. Ci ludzie od dawna budowali statki, budują je teraz i będą budować więcej, coraz więcej statków. Przerywali swą pracę, aby wyprawić w drogę najmłodsze dziecko rzeki Clyde. Chwila pożegnania nie trwała długo. Chłód nie

pozwalał na długie wystawanie. Śnieg prószył, przysypywał nabrzeża, doki i pochylnie wzdłuż brzegu. Przypominał o mroźnym dniu zimowym. Ale gest tylekroć powtarzany w czasie ich drogi ku morzu zapadł głęboko w pamięć. Ostatnie, braterskie pozdrowienie od ludzi, którzy wybudowali ten okręt, dla marynarzy, którzy będą żyć na nim, pracować i walczyć.

W pięć godzin później *Compass Rose* wypływała już sama z końcowego, wąskiego odcinka rzeki, idąc na Tail-of-the-Bank, miejsce kotwiczenia okrętów wojennych na redzie Greenock. Wczesny zimowy zmierzch zasnuwał cieniem dalsze perspektywy jednego z najbardziej malowniczych portów Anglii. Łańcuch otaczających go wzgórz zarzucił czarny płaszcz mroku na czerwień swej szaty. Światła pław i światła brzegowe błyskały wyzwaniem wysłannikom nocy. Zrobiło się bardzo zimno, mimo iż po południu wiatr przycichł. Dostali sygnał o miejscu kotwiczenia i ustalili je na mapie. Dzielilo ich od niego jeszcze kilkaset metrów, wobec czego dowódca, nie mając nic pilniejszego do roboty, rozglądał się wokoło, obserwował inne okręty skupione w szerokim rozlewisku ujścia Clyde.

Było ich wiele - pancernik, piękny, nowy krążownik, sześć niszczycieli, lotniskowiec, dziesiątki trałowców. Dalej zaś, na miejscu kotwiczenia statków handlowych, stały w kilku szeregach jednostki zbierające się w konwój. Górowały nad nimi dwa wielkie pasażery w szarym, wojennym mundurze okrętów transportowych. Ericson słyszał, jak w tyle pomostu starszy sygnalista Wells udziela kolegom objaśnień o innych okrętach. W tych objaśnieniach ujawniał się najwspanialej duch solidarności rodzinnej ożywiający Royal Navy. (- Ten tam, to pancernik *Royal Sovereign*. Zeszłej wiosny byliśmy na nim w Gibraltarze. A ten znów to staruszek *Argus*, jeden z pierwszych lotniskowców na

świecie. To musi być chyba szósta flotylla niszczycieli - co oni tu robią, u diabła? A to krążownik z najnowszej klasy Town - nic nie wiedziałem, że one już weszły do służby...) Wtem pilot, szorstki tubylec znad Clyde, w meloniku na głowie, oznajmił dowódcy:

- Już podchodzimy do miejsca, kapitanie.

Trzeba więc było zająć się kotwiczeniem. Telegraf przekazał do maszyny rozkaz „Stop”, a potem „Mała wstecz”.

- Uwaga! - zawołał Ericson do Lockharta stojącego na dziobie. Po chwili, gdy okręt cofał się lekko, padł rozkaz: - Kotwicę rzuć!

Równocześnie rozległ się łoskot wypuszczanego łańcucha. *Compass Rose* już stała na kotwicy. Jej pierwszy rejs był skończony. Spojrzawszy na zegarek Ericson stwierdził z satysfakcją, że były trzy minuty po czwartej. Zmierzch ogarnął ich i odgrodził od świata, powietrze szczypało chłodem, ale otaczające ich pierścieniem światła brzegowe i dziesiątki innych okrętów wokoło zdawały się pozdrawiać dowódcę i jego korwetę.

8.

Teraz czekał ich znowu postój, znosili go jednak z większą cierpliwością, ponieważ tym razem był on już bezpośrednim przygotowaniem do wyjścia na morze. Czternaście dni spędzili w Greenock - częściowo stojąc na kotwicy, ładując amunicję i zaopatrzenie, odbywając różne ćwiczenia w porcie, a częściowo na próbach na morzu, na wstępnych próbach dział i wyrzutni bomb głębinowych. Trudno było wymarzyć sobie piękniejsze otoczenie. W twardym uścisku zimy, która ubieliała śniegiem podnóża wzgórz i ustroiła ich wierzchołki w szatę niepokalanej czystości, piękność zalewu Clyde aż zapierała dech w piersi, zwłaszcza tym, którzy mogli go oglądać od strony morza.

Oni jednak nie mieli ani czasu, ani ochoty na rozglądanie się i zachwyty. Spojrzenia ich skierowane były na okręt, na własne zadania na okręcie. Było to w istocie zadziwiające, jak *Compass Rose*, bądź to stojąc w odosobnieniu na kotwicy, bądź to wychodząc na morze i powracając z rozlicznych prób budziła się do życia jako okręt, jako odrębna jednostka o wyraźnie zarysowującej się osobowości. Proces wzajemnego docierania się osiemdziesięciu kilku ludzi był bardzo zaawansowany. Zdążali do następnego etapu - do zespolenia się w jednolitą i sprawną załogę, do zestrojenia się przed akcją w jeden współbrzmiący ton. Nie chodziło tu o samych oficerów, chociaż wśród nich proces ten przebiegał intensywniej i właśnie z mesy oficerskiej promieniował przemożnie na okręt. Proces ten obejmował wszystkich. Zaczynali zwierzać się w sobie i czuć, że oni i korweta mają zadanie do spełnienia, że zadanie to należy wykonać.

Niejedna myśl, wybiegając naprzeciw pragnieniom, mogła przesadnie oceniać ten proces. Mogło się także wydawać, że przeczą mu pogwarki co szerszych kumplów na pokładzie. Wszak nazywali *Compass Rose* bękarcim okrętem, najgorszą łajbą, jaką kiedykolwiek widziano na morzu. Lecz mimo to mocne, subtelne uczucie oddania było rzeczywistością. Jego wzmocnieniu sprzyjały napływające z zewnątrz sprawozdania pogłoski o pierwszych konwojach - niektóre prawdziwe, inne przesadne - jak również wysadzenie w pobliskim Gourock rozbitków ze statków handlowych. Wszystko to świadczyło w sposób oczywisty o fakcie, że wiele niemieckich okrętów podwodnych już w dniu wypowiedzenia wojny musiało znajdować się na morzu w pełnej gotowości do działań. A więc to właśnie miało oznaczać słowo „walka” dla *Compass Rose*. Istniała ona naprawdę. Warto ją było podjąć i trzeba było wygrać. Im wcześniej będą gotowi, tym lepiej.

Lockhart szczególnie jasno uświadomił sobie narodziny tego dziwnego uczucia wówczas, gdy po siedmiodniowym postoju w Greenock wyszli na morze na próby strzelania. Przebieg tych prób był zupełnie prosty. Wystrzelali ileś tam salw ze stopiątki na dziobie, wypróbowali rufowe działo 47-milimetrowe i karabiny maszynowe na pomoście. To było całe ich uzbrojenie - dość skromne, nawet przy najskromniejszych wymaganiach.

- Nie daj Boże, żebyśmy mieli się natknąć na takiego *Scharnhorsta* - wywodził jakiś marynarz nie pozbawiony wyobraźni. - Wtedy, biedne sieroty, nie mamy innej rady, tylko zakraść się z tyłu i wśliznąć mu się w...

Mimo to Lockhart zaobserwował żywe zainteresowanie wśród artylerzystów, z którymi ćwiczył w porcie, zwłaszcza zaś u starszego marynarza Phillipsa, odpowiedzialnego za konserwację dział i przechowywanie amunicji. Większość tych ludzi nie miała oczywiście najmniejszego przygotowania. Zieloni rekruci, wyśmiewani przez zawodowców, stanowili olbrzymią większość w marynarce wojennej. Uczyli się szybko. Tu i ówdzie któryś zwracał na siebie uwagę błyskiem niezaprzeczanej inteligencji i zapalem, które przeznaczały go z góry do awansu po ukończeniu niezbędnego szkolenia. Phillips był starszym artylerzystą w oddziale dziobowym, miał dwie naszywki na rękawie i duże poważanie wśród załogi. Lockhart zrozumiał, że przymierze z tym wielkim, powolnym w ruchach marynarzem warte było starannej pielęgnacji.

Ferraby, odosobniony na rufie wraz ze swoimi bombami, nie mógł się pochwalić sukcesem w podciągnięciu swych ludzi do jakiegoś znośnego poziomu. Obydwu starszym marynarzom trudno było cokolwiek zarzucić - obaj byli zupełnie pewni i energiczni. Torpedysta Wainwright odbezpieczał i nastawiał bomby, a także sam je wyrzucał. Starszy marynarz Tonbridge stał na czele całej obsługi wyrzutni. Lecz reszta ludzi była w

większości poniżej przeciętnego poziomu. Praca ich polegała na szybkim wkładaniu bomb do opróżnionych przedziałów. Wymagało to zgranego współdziałania zespołu ludzi. Ferraby rozporządzał dość przypadkowym kompletem marynarzy z maszyny, którzy nie mieli wachty, oraz radiotelegrafistów nie kwapiących się zbyt do pracy na pokładzie, gdzie wiatr przewiewał człowieka na wylot. To dobre dla byle marynarza z pokładu, oni zaś przywykli do wygrzanego macecznika kotłowni lub do przytulnej kabiny radiostacji... Niektórzy byli po prostu tępi. Tępi jak palacz Grey, który był na okręcie pierwszym i, jak dotychczas, największym przestępcą dyscyplinarnym. Ferraby, nawet w najlepszych chwilach, nie był zbyt pewien siebie. Jakże więc taki człowiek mógł ich przerobić na sprawną i karną obsługę, jakże miał wziąć ich w garść, gdy rozmyślnie ruszali się jak muchy w smole.

Wynik był taki, jakiego można się było spodziewać. Wciąż się mylili, spóźniali, robota nie wychodziła. Dziwili się, kiedy coś poszło gładko, a gdy się nie udało, spoglądali posępnie, obojętnie. Pozostawiony sam sobie, Ferraby pewnie by okrzepł i stopniowo doprowadził swój dział do stanu sprawności. Lecz Bennett zwietrzył już kozła ofiarnego, ucieszył się, że znalazł cel łatwiejszy od Lockharta. Łaził więc bez ustanku na pokład nad rufą i przechyliwszy się przez reling, zasypywał młodszego oficera mnóstwem uwag i sprzecznych rozkazów, kruszył na proch tę odrobinę ufności w swe siły, jaką Ferraby zdołał odbudować. Doszło do tego, że Ferraby ze strachem rozpoczynał ćwiczenia, które musiał prowadzić co dzień w czasie całego postoju w porcie. Na nic się nie zdało udzielanie obsłudze wstępnych instrukcji przed przystąpieniem do ćwiczeń, skoro za chwilę nienawistna czerwona gęba miała się zjawić nad relingiem, a ochryple głos miał zawołać:

- Ferraby! Trzeba najpierw bomby nastawić, a potem zdjąć zamocowania.

Albo po prostu:

- Ferraby! To wszystko diabła warte. Zaczynaj pan od nowa!

Ferraby nie miał się komu poskarżyć i w gruncie rzeczy nie było dostatecznych powodów do skargi. Bo istotnie popełniał błędy, obsługa bomb głębinowych była rzeczywiście rozlazła i do niczego. Mogło to trwać tak długo, aż postawią kogoś innego na tym miejscu albo też dopóki korweta nie zatonie...

Mimo upodobania do takich inspekcji Bennett nie czuł się ani w połowie tak dobrze, jak tego oczekiwał. Owszem, bardzo mu było przyjemnie ujeżdżać potulne ciele - Ferraby'ego, ale to była jedyna przyjemność na stanowisku, które z dniem każdym okazywało się troszkę za bardzo poważne. Wprawdzie udało mu się podsunąć innym całą niemal robotę, jaka normalnie należy do zastępcy, lecz pozostały przeróżne drobiazgi, których już w żaden sposób nie mógł się pozbyć.

Bardzo mu one dokuczały, zwłaszcza bieżące prowadzenie dziennika zdarzeń, wobec zmieniających się zadań marynarzy lub ich kwalifikacji. W dodatku nie potrafił zdobyć przewagi nad Lockhartem (z tą sprawą daleko jeszcze było do wieczora!) i poważnie podejrzewał, że dowódca nie był znów taki miękki, jak to się wydawało na początku. Wszystkie te nieprzyjemne okoliczności zniechęciły go do stanowiska zastępcy, które przedtem uważał za doskonałe. Bennett nie mógł się zdecydować, czy rzucić to zaraz do diabła - w początkowym okresie wojny mnóstwo wygodnych posad prosiło się przecież, żeby je brać, mnóstwo przytulnych gniazdek czekało na lokatorów - czy też lepiej poczekać trochę, aż się wszystko pomyślniej ułoży. Była to bowiem najprostsza droga do uzyskania dowództwa, a niezbędnym warunkiem dobrego samopoczucia na morzu było

właśnie objęcie dowództwa. Ale całoroczna harówka na stanowisku zastępcy mogła się okazać zbyt wysoką ceną. Wkrótce trzeba się będzie na coś zdecydować, a tymczasem - mieć oko na Lockharta jako na cel dalekodystansowy i cieszyć się jedyną rozrywką, jakiej dostarcza pocziwy Ferraby.

Z nich wszystkich najmniej wątpliwości co do siebie samego i co do przyszłych losów odczuwał dowódca, chociaż on właśnie miał najwięcej kłopotów i zajęć. Zaczynał lubić swoją korwetę - po prostu za „wyczucie”, za sprawność. Duma z powodu posiadania okrętu tała się gdzieś w głębi. *Compass Rose* okazała się łatwa w manewrach i chociaż śmiesznie powolna w porównaniu na przykład z niszczycielem lub z jakimkolwiek innym wojennym okrętem, doskonale słuchała steru i potrafiła zgrabnie wykonywać zwroty. Ta jej powolność mogła oczywiście stać się w przyszłości wadą znacznie groźniejszą. Szef maszyny z wielkim trudem wyciskał z korwety piętnaście węzłów, czyli mniej, niż mógł robić niejeden statek handlowy, i zaledwie o jeden węzeł ponad szybkość całego konwoju. A przecież *Compass Rose* miała śmigać dokoła konwoju, dokonując cudów sprawności i męstwa opisanych w książce sygnałowej floty. Ze swymi piętnastu węzłami była raczej pekińczykiem oceanów niż chartem.

Drugi poważny sęk tkwił, zdaniem Ericsona, w jej zachowaniu na morzu, które już zdołał ocenić. Przy byle jakiej fali *Compass Rose* kiwała paskudnie. W czasie jednej z pierwszych wycieczek poza obszar portowy pokazała, co umie, w sposób mrozący krew w żyłach. Wzięli kurs na wyspę Arran. Fala była niewielka i normalny okręt nic powinien był wcale jej odczuć, lecz *Compass Rose* kiwała się na burty pod kątem czterdziestu stopni. Poza szkodami, jakie powstały pod pokładem wskutek uderzeń nie umocnionych przedmiotów, zanurzyła się jedna z łodzi ratunkowych i omal jej nie zgubiono. Gdy *Compass Rose*

zataczała pijany łuk osiemdziesięciostopniowy, Ericson tkwił na pomoście z miną wielce posępną i myślał, jak to będzie na Atlantyku, podczas spotkania z prawdziwym sztormem, kiedy będą musieli utrzymać się na kursie i pruć naprzód... Te lekkomyślne figle nie wróżyły na przyszłość nic dobrego.

Ale nie nadszedł jeszcze czas ich doświadczeń. W dniu kiedy *Compass Rose* wracała do portu po zakończonych próbach i weszła na spokojne, osłonięte wody zalewu Clyde, Ericson czuł tylko radość i zadowolenie. Okręt szedł bez wysiłku, robiąc najwyżej dziesięć węzłów, a fala przyływu zwiększała jego szybkość. W przepysznym blasku zachodu paprocie na okolicznych wzgórzach płonęły czerwienią i jaskrawym złotem. Okręt sunący w wieczornej ciszy, rozcinający pchnięciem dziobu chłodne i przenikliwe powietrze, miał jakiś własny cel przed sobą, miał w sobie siłę i sprawność. Ericson, dając komendę na ster i biorąc kurs na wejście w sieciach zagrodowych, z trudem panował nad swym głosem, w którym dźwięczała rześka radość. Bo *Compass Rose* przeszła już wszystkie próby: maszyny i uzbrojenie były w zupełnym porządku. Za kilka dni pójdą na północ, na ostatnie ćwiczenia, a potem okręt będzie już gotów.

Tegoż wieczoru Ericson w swej kabinie podpisał odbiór korwety i przejął ją formalnie od stoczni. Był z niej zadowolony. Jak zwykle w nowym okręcie, budowanym według nowego projektu, znalazło się z początku sporo niedociągnięć, poczynając od świateł nawigacyjnych, które nie były dostatecznie widoczne, aż do normalnej porcji przeciekających nitów. Ale jeden po drugim usunięto i uzupełniono wszystkie te braki aż do całkowitego ich zlikwidowania.

Przedstawiciel stoczni położył przed nim formularz odbioru. Był to niski, żwawy człowieczek, niechętnie rozstający się na jedną choćby sekundę z oznaką swej godności - czarnym i

sztywnym melonikiem. Ericson przeczytał i położył swój podpis u dołu.

- A zatem skończyliśmy - rzekł opierając się plecami o krzesło.
- Chciałbym podziękować za wszystko, co dla nas zrobiliście. To była wielka pomoc.

- Bardzo się cieszę, kapitanie. - Mały człowieczek chwycił spieszenie formularz, złożył go we czworo i wsunął w wewnętrzną kieszeń. Wyglądało to tak jakby się bał, że Ericson się rozmyśli. - Mam nadzieję, że korweta nie robi zawodu i że przyniesie panu szczęście.

Ericson podziękował skinieniem głowy.

- Napijemy się chyba na to konto?

Urzędnik najpierw potrząsnął przecząco głową, lecz nagle odmienił decyzję.

- I owszem.

Gdy Ericson napełnił szklaneczkę, tamten wzniosł swoją i wyrzekł uroczyście:

- Nie jest jeszcze za późno życzyć panu kapitanowi szczęśliwego Nowego Roku.

Ericson wypił bez słowa. Tak wiele zależało od *Compass Rose*. Właściwie wszystko zależało od niej, może to nawet, czy przeżyją ten rok 1940 do końca. Ale tego wieczoru, kiedy okręt wreszcie należał do niego, nie chciał z nikim się dzielić takimi myślami.

9.

W drodze na północ, do Ardnacraish, korweta spędziła pierwszą noc na morzu.

Pogoda była dla niej łaskawa. Gdy późnym popołudniem wyszli za sieci zagrodowe, deszcz padał gęsty i zanosilo się na porządnym wiatr. Kiedy jednak minęli dziwną, stożkową bryłę Ailsa Craig i wzięli kurs na północ, niebo się przejaśniło, a wiatr przycichł zupełnie. Jeszcze później, w jasnym blasku księżyca widoczność sięgała kilku mil. Koło północy szli rażno naprzód, robiąc dwanaście węzłów. Po prawej burcie mieli maszynę rysującą się wyraźnie jak w dzień. Spokojne morze poruszało się długim, łagodnym oddechem, więc *Compass Rose* szła bez trudu. Tylko pulsowanie maszyny i od czasu do czasu jakaś wibracja idąca od dziobu przypominały, że okręt jest w ruchu, że nie kołysze się na kotwicy w zacisznej porcie. Zresztą noc ta była tak samo spokojna i wolna od napięcia, jak wszystkie poprzednie.

Lockhart, ubrany dla ochrony przed zimnem w kapokową kurtkę i morskie buty, trzymał razem z Bennettem drugą wachtę - od północy do czwartej rano. Nie zdarzyło się w czasie tej wachty nic godnego uwagi. Gdzieś koło drugiej spotkali konwój dążący na południe. Jeden z eskortowców idących na skrzydle konwoju wezwał ich energicznie hasłem sygnału rozpoznawczego. Większą część wachty Bennett przedrzemkał w ciepłej kabinie asdiku¹⁰, pozostawiając Lockhartowi obowiązek czuwania oraz dokonywania co godzina zapisów w dzienniku zdarzeń. Lockhart nie miał nic przeciw temu. Mógłby uważać to nawet za dowód zaufania, gdyby nie wiedział, że krok ten podyktowany był wyłącznie lenistwem, nie zaś szczególnym zaufaniem do jego kompetencji. Ten krótki okres całkowitej władzy, kiedy czuł się w pełni odpowiedzialny za korwetę, umacniał w nim wiarę w siebie, nie mówiąc o ważkim fakcie, że była to jego pierwsza wachta. Zastanawiał się przedtem, jak to będzie. Czy znajdzie w sobie

¹⁰ Asdic - echosonda pozioma, czyli hydrolokator. Służy do wykrywania okrętów podwodnych, gdy są w zanurzeniu, i do wypracowania elementów ataku bombami głębinowymi (przyp. tłum.).

dosyć pewności, gdy nastąpi chwila samodzielnego pokierowania korwetą? Teraz już wiedział i czuł się spokojny.

O czwartej Ferraby z dowódcą zjawili się razem, by przejąć wachtę. Lockhartowi chciało się śmiać, gdy Bennett przekazywał im sprawy uroczyście, z pełnym poczuciem odpowiedzialności, jakby przez cztery minione godziny trwał w czujnym napięciu, jakby nawet i teraz trudno mu było stąd odejść i pomyśleć o spaniu.

Przez pierwsze dwie godziny Ericson sam robił wszystko, co było do zrobienia. Ferraby przyglądał się tylko lub obserwował horyzont, od czasu do czasu zaznaczał jakąś pławę lub latarnię na mapie w kabinie asdiku. Lecz koło szóstej, gdy weszli na prosty kurs bez przeszkód, kurs, którym mieli iść dalsze trzydzieści mil bez zmiany, Ericson zdecydował, że ma już tego dosyć. Wczoraj tkwił na pomoście od zmierzchu do północy - całutkie osiem godzin - i teraz chciało mu się spać, po prostu spać.

Ziewnął szeroko, przeciągnął się i rzekł do Ferraby'ego, który odszedł na skrzydło pomostu:

- Myślę, poruczniku, że da pan sobie radę? Do końca wachty trzeba się trzymać tego kursu. Nie ma żadnej przeszkody na kursie. Co pan na to?

- W porządku, panie kapitanie. Ja... chętnie zostanę.

- Gdyby coś zaszło, niech się pan ze mną porozumie rurą głosową. Uważaj pan przede wszystkim na statki rybackie, a jeśli będzie konieczna zmiana kursu, wymini pan od pełnego morza, nie od brzegu. Gdyby ich było więcej, trzeba mnie raczej wezwać.

- Tak jest, panie kapitanie.

- No to w porządku...

Ociągał się spoglądając na wzgórza widoczne wciąż z prawej burty, na światło błyskowe, na które brali namiar, nim położyli się na nowy kurs.

- *Compass Rose* jest teraz w pana ręku, poruczniku.

Odwrócił się i zszedł po trapie, głośno stukając butami. Kroki ucichły, Ferraby został sam.

Po raz pierwszy przeżywał taką chwilę. Godząc się na nią, czuł zimne ukłucie lęku. Cały okręt z bronią, z czujną załogą na wachcie, z sześćdziesięciu kilku ludźmi śpiącymi na dole - był w jego ręku. Mógł kierować skomplikowaną siłownią, zmieniać kurs i szybkość koralwoty, mógł wyjść na szeroki Atlantyk albo wpakować się na skały. Czuł się mały i bardzo samotny, pomimo że z nim razem trzymali wachtę na pomoście marynarze na oku i sygnalista oraz starszy marynarz przy asdiku. Drżał z podniecenia, słyszał, jak bije mu serce. Nie wiedział, czy zdoła wziąć się w karby, jeśli spotkają konwój lub gdy się coś wydarzy, na przykład awaria maszyny sterowej. Nie był przygotowany do tego. Był przecież urzędnikiem bankowym i miał dwadzieścia lat. Zaledwie przed ośmiu tygodniami dostał promocję... Ale minuty niepewności gubiły się w spokoju. *Compass Rose* szła dalej swoim kursem i nie zdarzało się nic, co by mogło zakłócić ten spokój. Wyglądało tak, jakby ten okręt był naprawdę dobry, on sam zaś... Może i on potrafi właśnie tyle, ile potrzeba, by dopilnować okrętu nie popełniając przy tym katastrofalnych błędów nie do naprawienia.

Zaczynał się cieszyć tą myślą.

Przebiegłszy się przez reling, ogarniał wzrokiem całą dziobową część koralwoty, zalaną światłem księżyca. Nad nim na ciemnym tle nieba maszt kołysał się powolnym, łagodnym łukiem. Za rufą rozwijał się i ciągnął daleko ślad torowy obrzeżony wąskim rąbkiem blasku, piękny chłodną, rzeźbioną urodą. Ferraby stał w samym środku określonego układu, był ogniskowym punktem tego śmiałego ruchu naprzód. Oto pomost, ośrodek nerwowy, żarzący się stłumionym światłem kompasu, ciemniejący na obu skrzydłach nieruchomymi sylwetkami marynarzy na oku. Oto on

sam... On czuwa nad tym wszystkim, w nim się skupiają wszystkie linie układu. Podporucznik Ferraby, oficer wachtowy. Nagle uśmiechnął się do siebie i poczuł się przez chwilę bohaterem. W banku nikt by w to nie uwierzył. Ale napisze do Mavis, opowie jej o tym, jak tylko znajdzie wolną chwilę. Ona na pewno uwierzy.

Zmiana wachtowych na oku, następująca co trzydzieści minut, przerwała tok jego myśli przypominając o obowiązkach.

- Melduję zdanie służby na oku z lewej, panie poruczniku.
- W porządku.
- Melduję zdanie służby na oku z prawej, panie poruczniku.
- W porządku.

Ze sterówki, gdzie się zmieniano przy kole, zabrzmiał przez rurę meldunek:

- Kurs trzysta pięćdziesiąt, panie poruczniku. Maszyna pół naprzód. Starszy marynarz Dykes przy sterze.
- W porządku.

W tej chwili za nic by nie chciał być gdzie indziej.

Wtem sygnalista wachtowy, który stał obok i patrzył przez lornetkę, wyprostował się i oznajmił:

- Światło błyskowe z prawej burty, panie poruczniku.

Ferraby odszukał światło i począł uważnie liczyć jego błyski.

- Najbliższa latarnia na naszym kursie - rzekł upewniwszy się co do tego.
- Ale to jeszcze kawał drogi.

Sygnalista zatupał po kratownicy położonej w dziobowej części pomostu i spróbował zagadać:

- Kapkę chłodnawo, panie poruczniku.

Były to pierwsze słowa, jakie zaryzykował od początku wachty. Ferraby obserwował go skrycie. Znał go z widzenia - nazywał się

Rose. Młodziutki chłopak, niedawno przyjęty, młodszy nawet od niego. Ostatnio został sygnalistą. Z zachowania podobny był do Ferraby'ego - nieśmiały i niepewny w nowym dla siebie otoczeniu, gotów uwierzyć we wszystko, co mu mówiono. Przed paru godzinami Ferraby usłyszał, jak starszy sygnalista Wells, przekazując tamtemu wachtę mówił do niego tonem pełnym zachęty i niemal ojcowskim. Musiał tym dodać odwagi chłopakowi, który po raz pierwszy w swym życiu miał trzymać nocną wachtę.

- Nie masz się czym przejmować - powiedział mu Wells. - Znasz hasło i odzew, nic więcej ci nie trzeba, kiedy idziemy sami. Ale jakby ktoś szedł naprzeciw i dawał nam sygnał, nie czekaj, zaraz mnie wołaj, to przylecę ci pomóc.

Kontrast między życzliwym wsparciem, między tymi słowami, które obejmowały braterskim ramieniem, a tym, co on sam cierpiał od Bennetta, był tak jaskrawy, że przez chwilę Ferraby zapragnął stać się zwyczajnym sygnalistą i mieć przy sobie Wellsa, i nie znosić już dłużej jako podporucznik maltretowania ze strony zastępcy. Teraz jednak, po trzydziestu minutach dowództwa, nie był już taki pewien swych pragnień. Gdyby tylko mogło być zawsze tak jak teraz...

- Tak - odpowiedział - wściekle zimno. - I czując potrzebę rozmowy, dodał jeszcze: - A jak jest w pomieszczeniach?

- Dosyć ciepło, tylko ciasnota. No, i ściany... - zająknął się i poprawił pospiesznie -...grodzie pocą się bez ustanku. Wszystko na wylot wilgotnieje. Trzeba czasu, nim człowiek przywyknie.

- To pierwszy wasz okręt?

- Tak, panie poruczniku.

- Odkąd jesteście w marynarce?

- Dopiero miesiąc. Tyle co przeszkolenie.

- A czym byliście w cywilu?

Rose zawahał się, lecz odpowiedział:

- Przy ciężarówce byłem, za pomocnika.

Chłopak na ciężarówce... A dziś sygnalista na wojennym okręcie, który może się znaleźć Bóg wie na jakim końcu świata, Bóg wie wśród jakich niebezpieczeństw. Zmiana warunków, jaką przeżywał ów Rose, przypominała tak bardzo własne przeżycia Ferraby'ego, że doznał on w tej chwili silnego uczucia solidarności z tym chłopcem. Ale czy Royal Navy uznawała tego rodzaju uczucia i stosunki? Wolał odsunąć tę myśl od siebie. Podnosząc ramiona zeszywniałe od chłodu, rzekł:

- Ciekaw jestem, czy da się skądś wytrzasnąć herbaty?

- Jest w kuchni kakao, panie poruczniku - wyrwał się Rose. - Czy mam powiedzieć bosmanowi?

- Dobrze, powiedzcie.

Kakao było słodkie, mocne i bardzo gorące. Pili je razem, jeden obok drugiego, pod zimnym stropem nieba. Pod stopami okręt kołysał się łagodnie, dziób pruł i odkładał podwójną skibę fal długą, milową bruzdą. Ślad *Compass Rose* ginął w ciemności za rufą.

Jakoś pod koniec wachty nisko na wodzie rozbłysły światła. Ferraby poznał, że zbliżają się znowu do gromady statków rybackich, które kręciły się tej nocy wzdłuż całego wybrzeża. Tym razem były dokładnie na kursie *Compass Rose*, więc zastanowił się, czy powiadomić dowódcę. Przez krótki czas samowładnego panowania na pomoście nabrał wielkiej pewności siebie i teraz, nie namysławiając się dłużej, pochylił się nad rurą głosową.

- Ster lewo dziesięć! - dał swą pierwszą komendę dla steru.

Usłyszał głos sternika:

- Ster lewo dziesięć! Leży lewo dziesięć.

- Ster zero!
- Ster zero! Ster leży zero!
- Tak trzymać!
- Tak trzymać! Leży na kursie trzysta trzydzieści pięć!

Szli nowym kursem przez pięć minut, póki statki rybackie nie przesunęły się na trawers, w bezpiecznej odległości. Wtedy położył okręt z powrotem na dawny kurs i właśnie miał zapisać ten manewr w dzienniku, gdy rozległ się przez rurę głos Ericsona.

- Pomost!
- Tu pomost, panie kapitanie - meldował Ferraby.

- Dlaczego zmieniał pan kurs?

- Statek rybacki, panie kapitanie - odparł mijając się trochę z prawdą. - Już przeszliśmy obok. - Był tak zdziwiony, że nie mógł powstrzymać się od pytania:

- Jakim sposobem pan kapitan widział?

Ericson zaśmiał się cicho.

- Maszynka sterowa nieźgorzej tu hałasuje... Jak tam, wszystko w porządku u pana?

- Tak, panie kapitanie. Zaraz będziemy mieli następne światło na trawersie.

Czekał przez chwilę na jakąś uwagę, lecz daremnie. Wtem usłyszał lekkie pochrapywanie i zrozumiał, że nie ma już na co czekać. Czuł niejasno, że może być dumny z tego chrapania dowódcy. Było ono najdobitniejszym wyrazem uznania, jakim mógł się poszczycić od początku swej służby na korwecie.

Rozwidniało się. Niebo stawało się coraz bledsze, a na wschodzie ład rysował się coraz mocniejszą linią. Za najbliższym łańcuchem wzgórz można już było rozróżnić następne. Ich wierzchołki czały się w cieniu, by pochwycić pierwsze promienie słońca. Wokół korwety morze posłuszne niebiosom bladło także,

nie było już czarne, lecz szare jak ołów. Odległa latarnia morska, hen, na horyzoncie, która błyskała im przyjaźnie, zmagająca się ze światłem młodego dnia. Jej światło zbladło i migotało słabiotko na mglistym tle spiętrzonego masywu lądu. Stopniowo ciemna sylweta okrętu zmieniała się w ciężką, trójwymiarową konstrukcję, srebrzącą się od szronu osiadłego wzdłuż nadbudówek. Postacie na pomoście, a potem i twarze zaczęły zarysowywać się ostro, wyraziście. Twarze ściągnięte, szare od chłodu i zmęczenia, lecz już rozweselone obietnicą świtu.

W dole zaczynał się ruch. *Compass Rose* budziła się do życia. Dym z kuchennego komina zgęstniał, ostry smakowity zapach drażnił nozdrza. Na trapach i na stalowych pokładach rozległ się tupot nóg. Z luku na rufie wyjrzała na światło dzienne szara, szpeciniasta twarz kierownika maszyn; Wattsowi trudno było uwierzyć w realność światła. Skończyła się pierwsza noc na morzu.

Przed samą ósmą Lockhart wyszedł na pomost, by przejąć następną wachtę. Spał blisko cztery godziny i czuł się bardziej wypoczęty, niż mógł przypuszczać.

- Jesteś zupełnie sam? - zapytał rozejrzawszy się przedtem dokoła.

- Tak. - Ferraby nie mógł się oprzeć pokusie i dodał z naciskiem. - Przez dwie ostatnie godziny byłem sam.

- Co ty mówisz! - uśmiechnął się Lockhart. - I pomyśleć, że cały ten czas spałem spokojnie!

Spojrzał na najbliższy odcinek brzegu.

- Gdzie my jesteśmy?

Ferraby pokazał na mapie pozycję *Compass Rose* i zapytał:

- Przejmujesz wachtę? A gdzie jest zastępca?

- Je śniadanie - odparł Lockhart bezbarwnie. - Oczywiście „snorkers”. Cudowne!

Przez chwilę stali tuż obok siebie w rześkim chłodzie poranka. Słońce za chwilę miało wyłonić się zza krawędzi wzgórz. Ranek był piękny. *Compass Rose*, wciąż pełna równowagi i pogodnego spokoju, szła na północ, mijając wyspy jak z bajki. Lockhart wciągnął w nozdrza leciutki podmuch bryzy.

- Przyjemnie, prawda?

- O tak! - zgodził się Ferraby. - Bardzo przyjemnie.

10.

Wiceadmiral sir Vincent Murray-Forbes z Royal Navy, K.C.B.¹¹, D.S.O.¹², siedział przy biurku w budynku, którego okna wychodziły prosto na port w Ardnacraish. Czuł się zgnębiony. Obracał w palcach nóż do cięcia papieru z grawerowanym napisem: „Komandorowi V. Murray-Forbesowi z Royal Navy, dowódcy H.M.S. *Dragonfly*, w dniu pożegnania - załoga okrętu. Październik 1909. Na szczęście”. Nie dostrzegał już słów wyłobionych w metalu, nie czytał ich od lat. Mimo to słowa te pozostawały w bezpośrednim związku z obecnym uczuciem przygnębienia. Zwłaszcza data, której nie można było odmienić. Nosił ją zawsze z sobą niby przekleństwo złej wróżki. Z tej daty można było wyliczyć, że miał już sześćdziesiąty rok życia. Że był za stary, by znów wyruszyć na morze.

Admiral wyglądał właśnie na tego, kim był - na starego wilka morskiego, któremu po wieloletniej chwalebnej służbie w Royal

¹¹ K.C.B. (Knight Commander of the Bath) - odznaczenie za zasługi w służbie wojskowej i cywilnej (przyp. tłum.).

¹² D.S.O. (Distinguished Service Order) - odznaczenie bojowe (przyp. tłum.).

Navy już należała się emerytura. Miał twarz zoraną bruzdami, mocną, z mnóstwem drobniutkich zmarszczek dokoła oczu. Szerokie złote galony na rękawach wzbudzały szacunek u ludzi, a długie szeregi baretek zdobiących pierś admirała potwierdzały tylko to, co można było wyczytać z jego twarzy. D.S.O. dostał za bitwę jutlandzką. K.C.B. - to długa wspaniała powieść w odcinkach, najpierw o głównodowodzącym floty chińskiej, potem o głównym dowódcy Home Fleet¹³ i wreszcie o wybitnym wyższym oficerze na lądzie. Reszta baretek świadczyła o tym, że potrafił przez długi czas utrzymać się przy życiu w najrozmaitszych częściach kuli ziemskiej.

Zbyt długi czas, jak mu się teraz wydaje... W 1918 był komandorem i dowodził flotyllą niszczycieli. Stał u szczytu swej bojowej kariery. Nowa wojna przyszła dla niego za późno - nie mógł raz jeszcze przeżywać dni walki. Wprawdzie udało mu się odwlec swe przejście w stan spoczynku, lecz zgodzono się na to w związku z innymi planami niż te, o których marzył.

Nie chcieli puścić go z powrotem na morze. „NIE POWTARZAJ, ŻE NIE JESTEŚ ZA STARY” - wypisał wielkimi literami na bloku sygnałowym leżącym na biurku. Potem z rozmachem przekreślił te słowa. Ale nie dało się przekreślić tych słów urągliwych. Przed trzema miesiącami, po długim, usilnym szachrowaniu, miał już nieomal że w rękę upragniony przydział na morze. Jednak pięćdziesiąt dziewięć lat to był fakt, któremu nie mógł zaprzeczyć. Lord Admiralicji, chociaż przyjaciel osobisty, musiał odmówić jego prośbie. Upewniano go jednak, że zamiast „stanowiska najbardziej odpowiedzialnego” otrzyma „stanowisko bardzo ważne, na którym doświadczenie ma wartość pierwszorzędą”. Tak więc służba na morzu, jedyna dziedzina,

¹³ Home Fleet - główny trzon floty, obejmującej okręty przeznaczone do działań przede wszystkim na wodach przylegających do wysp brytyjskich, i bazujące w portach krajowych (przyp. tłum.).

której chciał oddać całe swe doświadczenie życiowe, była dla niego definitywnie zamknięta. Najlepsze, co mogli mu dać, to było Ardnacraish - projektowana baza szkoleniowa dla załóg wszystkich eskortowców podlegających Dowództwu Obszaru Zachodniego. Było to rzeczywiście ważne - diabelnie ważne! - ale nie tego pragnął. Teraz więc patrzył na Ardnacraish i klął w żywy kamień, bo wciąż jeszcze myśl o nominacji na morze nie dawała mu spokoju.

Admirał wyjrzał przez okno na port leżący poza linia baraków krytych falistą blachą, w których mieściły się oddziały hydrolokacji i łączności. Jak zwykle wiał rzeński wiatr. Słysząc było, jak szarpie źle dopasowanymi drzwiami w innych pokojach tego samego budynku. Z okna widać było, jak marszczy powierzchnię wody w porcie i chlusta drobną złośliwą falą o becзки cumownicze. W porcie nie było dziś okrętów, tylko ropowiec i holownik należący do bazy. Ostatni okręt wyszedł przed dwoma dniami, a po południu miał przybyć następny. Podobno jednostka nowego typu i pierwsza tej klasy - korweta o nazwie nieco teatralnej, lecz chlubnie zapisanej w dziejach marynarki wojennej. Opracował już dla niej program szkolenia i nie myślał z tym zwlekać.

Program był dość obszerny, choć siłą rzeczy miał charakter eksperymentalny. Przecież dotychczas sama koncepcja konwojów znajdowała się w stanie embrionalnym i nie bardzo było wiadomo, z czym będą musiały walczyć okręty eskorty. Były jednakże sprawy i wymagania, którym musiały sprostać wszystkie okręty, niezależnie od zadań, do jakich były przeznaczone. Przede wszystkim musiały być porządne, sprawne i czujne. Wszystko niemal zależy od oficerów, sądząc zaś po ostatniej wojnie, zanim się skończy ta zabawa, można będzie oglądać oficerów wcale niezwykłych. Jeśli chodzi o nową korwetę, zapamiętał, że miała dowódcę z rezerwy Royal Navy, a zatem przynajmniej jeden był

marynarzem. Reszta to niefachowcy; mogli okazać się coś warci albo też nie.

Admirał zmarszczył czoło. Już niedługo dowie się, ile są warci - ludzie i okręt. To właśnie jest jego zadanie. Możliwe, że jest już za stary, by wyjść na morze, ale wciąż jeszcze dobrze wie, jak okręt powinien wyglądać i jak się sprawiać. Wszystko jedno, jak długo potrwa ta wojna, wszystko jedno, czy będą go naglić, czy nie - nie puści ze swoich rąk żadnego okrętu, który nie zdoła sprostać wymaganiom wypracowanym przez niego w trudzie całego życia.

Zapukano do drzwi. Wszedł sygnalista.

Admirał spojrział na niego.

- Tak?

- *Compass Rose* wchodzi do portu, panie admirale. Porucznik Haines kazał mi zameldować.

- Czy dał sygnał o miejscu postoju?

- Tak jest, panie admirale.

Admirał wstał i podszedł do okna. Okręt wsuwał się właśnie powoli w wąskie wejście do portu, ustawiając się nieco bokiem, by przeciwstawić się działaniu bocznego wiatru.

Zobaczył, jak spuszczone z korwety łódź, która skierowała się zaraz do jednej ze środkowych beczek. Spojrzenie admirała wróciło do okrętu i poczęło go uważnie badać. Był mały, mniejszy, niż myślał, i trochę kłocowaty. Ale niebrzydki, jeśli pominąć tę niezgrabną rufę i pion masztu sterczący przed pomostem. Wyglądał porządnie i czysto - tak powinien wyglądać, u licha, prosto ze stoczni! Załoga ustawiona jak trzeba, na dziobie i na rufie, w mundurach przepisowych.

Podnieśli sygnał rozpoznawczy i nowiusieńką banderę. Jedno działo na dziobie, działko automatyczne na rufie, bomby

głębinowe - to chyba wszystko. Coś w rodzaju wyrośniętego trawlera. Ale ten okręt będzie musiał dokazać więcej niż zwykły trawler.

Przyglądał się, jak cumują korwetę do beczki (nawet dość zgrabnie!), po czym obrócił się do sygnalisty:

- Nadajcie taki sygnał: „Do *Compass Rose*, od Flag Officer-in-Charge. Manewr dobrze zrobiony”. I powiedzcie porucznikowi Hainesowi, żeby dał moją motorówkę. Popłynę do korwety.

11.

Trzy tygodnie trwała ciężka harówka. Od chwili gdy motorówka admirała podeszła szerokim, zdradliwym łukiem prosto pod rufę korwety i niemal zaskoczyła dowódcę, załoga *Compass Rose* pozostawała w stanie ciągłego napięcia. Jeśli nie wychodzili na ćwiczenia w zwalczaniu okrętów podwodnych, to mieli strzelanie artyleryjskie lub próbne alarmy w porcie. Jeżeli nie gasili pozorowanych pożarów, nie wybierali ręcznie kotwicy, to na sygnał alarmowy musieli spuszczać łódź i wysadzać na plażę oddział desantowy. W przerwach między tego rodzaju zajęciami grupy ludzi z załogi odbywały na zmianę ćwiczenia na lądzie i słuchały wykładów. Zdarzało się, że w czasie nieobecności połowy załogi admirał nagle zarządzał jakiś skomplikowany manewr, zmuszając wszystkich, niezależnie od stopnia i funkcji, do wykonywania każdej pracy.

Marynarze z maszyny strzelali z dział, pokładowi podnosili flagi sygnałowe, radiotelegrafiści i koderzy, którzy tak skwapliwie unikali ciężkiej pracy fizycznej, musieli podłączać brudne przewody do ropowca. W takich okolicznościach Bennett,

któremu wypadło szarpać się z jakąś liną zamiast obserwować, jak to robią inni, kłął z wściekłą miną:

- Żeby cholera wzięła tego drania! Jeszcze trochę, a ustępy każe mi czyścić.

Lockhart pragnął z całego serca, by tak się stało. Trzy tygodnie harówki ożywiły wszystkich i dobrze zrobiły korwecie, jeśli chodzi o wyszkolenie. Odczuwali nieraz, że urlop przydałby się bardzo, nie byli jednak pewni, czy będą mogli go otrzymać.

Nie dawano teraz urlopów. Trzeba było wszystko dokręcać, dopinać na ostatni guzik. Krok za krokiem posuwano się naprzód. Wyglądały się ostre kanty; przewyciężano dawną niezręczność i zapominano o niej. Wszyscy zdawali sobie sprawę z tych postępów i cieszyli się nimi. Dzięki temu ich okręt nabierał wyrazu - lepiej się na nim żyło i pewniej myślało o przyszłej walce. Zaczynali rozumieć, że wkrótce nadejdzie czas, gdy czujność i zgrane odruchy będą mogły uratować im życie w obliczu niebezpieczeństwa. Trzeba było za to płacić nadmierną pracą, a często nadmierną surowością. Warto było zapłacić teraz ten rachunek i zapomnieć o nim natychmiast po zapłaceniu. Zmęczenie, nuda i złość do położonych nie miały żadnego znaczenia wobec perspektywy uratowania życia.

Żadna inna okazja nie dawała takich możliwości przekonania się o postępach jak ćwiczenia na morzu, w których brał także udział okręt podwodny przydzielony do bazy. Głównym celem tych ćwiczeń było wypróbowanie asdiku - tropiciela okrętów podwodnych, który był dla nich bronią podstawową - oraz jak najlepsze zgranie obsługi asdiku, bomb głębinowych i dowódcy, to bowiem było istotnym czynnikiem ich przyszłej sprawności. W owym wczesnym okresie asdic był prymitywnym urządzeniem, podobnym w gruncie rzeczy do ulepszonej echosondy: wysyłał impulsy w płaszczyźnie poziomej wokół okrętu, nie zaś pionowo w kierunku dna morskiego. Mimo to był bronią precyzyjną i przy

umiejętnej obsłudze mógł zapewnić poważne wyniki. A polowanie na okręty podwodne, na prawdziwą zwierzynę, wymykającą się i ruchliwą, którą trzeba było przechytrzyć w porównaniu z ćwiczeniami na lądzie ze sztucznym celem - było, rzecz jasna, najbardziej interesującą częścią programu szkolenia.

Z początku wychodziło to nieszczególnie. Bennett, Lockhart i Ferraby kolejno manewrowali korwetą w pościgu i każdy z nich stawał wobec tej samej, nieuniknionej trudności. Zbyt wiele było rzeczy, o których musieli myśleć równocześnie: kierować ruchami okrętu, nieraz wśród sztormu, który nim ciskał jak piłką; złapać kontakt z okrętem podwodnym i nie zagubić go w czasie ataku; pilnować obsługę asdiku i naprowadzać z powrotem na cel, jeśli zdawało się, że błędzą; zmieniać obroty maszyny; podnosić właściwe flagi sygnałowe; uprzedzać o akcji obsługę bomb głębinowych; naciskać we właściwej chwili właściwy przycisk. Jeśli przegapili którąkolwiek z tych rzeczy, cały atak był do niczego i trzeba go było określić jako nieudany. Głupia strata czasu i nieprzyjemna kompromitacja. Nic dziwnego, że każdy z nich w czasie tych wstępnych ćwiczeń przeżywał treść jak aktor, starał się ją ukryć pod maską blagi i udanej obojętności, w czym Bennett oczywiście celował. Słuchając go można było mieć absolutną pewność, że wszystko, cokolwiek się rusza pod powierzchnią morza, i prawie wszystko na powierzchni skazane jest na zagładę, z chwilą kiedy on stanął na wachcie.

Stopniowo jednak nabierali wprawy. Poznali przeróżne fochy i kaprysy zarówno okrętu, jak asdiku. Nauczyli się z góry przewidywać następny ruch tropionej zwierzyny. Wiedzieli już, kiedy można pozwolić sobie na domysły, kiedy zaś trzeba mieć bezwzględność pewności przed wykonaniem ruchu w tym czy innym kierunku. Umysł im się wyostrzył, zręczność i umiejętność nabrały precyzji, aż w końcu nadszedł dzień, gdy w sześciu kolejnych atakach *Compass Rose* za każdym razem łapała kontakt

z okrętem podwodnym i nie traciła śladu aż do momentu „zatopienia”. W ostatniej potyczce okręt podwodny próbował wszelkich forteli i wybiegów, w końcu wynurzył się na powierzchnię i nadał sygnał do korwety: „Jesteście dla nas za dobrzy. Wypróbujcie swoje umiejętności na Niemcach”. W chwili pierwszego, skromniutkiego triumfu perspektywa ta podnieciła ich - wszystko inne wydało im się tylko marnotrawieniem energii. Wkrótce zupełnie wyrosną ze szkolnych mundurków i zaczną się domagać, by pozwolono im spróbować swej broni w walce przeciwko dorosłym. Wierzyli, że broń ta wytrzyma niejeden cios. Nawet bosman Watts, kierownik maszyn, kiedy go wprost pytano, przyznawał, że *Compass Rose* sprawia się już dosyć gładko, a jeśli chodzi o jego maszyny, to są mocne, niezmordowane i niezawodne. Bosman Tallow także mniej już opowiadał o wspaniałościach *Repulse*; *Compass Rose* zdobyła sobie w jego sercu miejsce odpowiadające jej skromnym rozmiarom.

Jedna rzecz tylko nie posunęła się naprzód. Była to sytuacja w mesie oficerskiej. Ericson obserwował swych oficerów przy pracy i był raczej zadowolony z ich postępów w zakresie spraw zawodowych. Poza służbą jednak, mieszkając na okręcie (nie mieli bowiem nic do roboty na lądzie, nawet gdyby zimno nie odstraszało ich od szukania rozrywki), zaczynali się wadzić, dogadywać sobie i wzajemna niechęć ożywała na nowo, zajmując miejsce zgranej, sprężystej współpracy. Aż kiedyś doszło do otwartego starcia. Dowódca nie mógł go zignorować i musiał wkroczyć w tę sprawę. Czynił to bardzo niechętnie, ponieważ dyscyplina zmuszała go do udzielenia nagany niewłaściwej osobie, lecz nawet przy najlepszej woli nie mógł udawać, że nie dostrzega bezpośredniego konfliktu między Bennettem a dwoma młodszymi oficerami.

Zaczęło się od Ferraby’ego. Najczęściej wszystko zaczynało się od niego. Zawsze on był tym słabym punktem, kruchym ogniwem

powodującym zerwanie całego łańcucha. Ferraby starał się bardzo i wciąż jeszcze pragnął zwycięsko sprostać swoim zadaniom. Jednak nieustanna świadomość, że cokolwiek uczyni, Bennett zawsze potrafi wynaleźć dziurę w całym - gasiła i zatruwała jego zapał. Gdyby mógł spotkać się z jakąś zachętą, usłyszeć słówko uznania, z pewnością potrafiłby dorównać temu poziomowi sprawności, jaki już osiągnęła załoga *Compass Rose*. Ferraby nie był głupi. Umiał się przystosować, był pełen zapału, a przede wszystkim chciał dawać z siebie wszystko, co najlepsze. Skoro jednak ta jego postawa spotykała się zawsze z tym samym przyjęciem, skoro wszystko, co zrobił, było złe i wytykano mu to w najbrutalniejszych słowach, cóż dziwnego, że dawał się wciągać coraz głębiej w trzęsawisko bezradnej niepewności. Nauczył się nienawidzić i bać się ochryplego głosu, który mógł każdej chwili zawołać: - Ferraby! - i porwać w strzępy wszystko, cokolwiek próbował sklecić. Ale niepewność, nienawiść i strach tworzyły konglomerat, który nie mógł się przydać ani jemu, ani korwecie.

Lockhart dostrzegał, co się święci, i starał się jak mógł przeszkadzać ostrzejszym napaściom Bennetta. Właśnie chęć zasłonięcia Ferraby'ego stała się przyczyną wybuchu. Nastąpił on pewnego wieczoru w mesie oficerskiej, gdy Ferraby, będący tego dnia służbowym oficerem, wrócił z wieczornego obchodu. Był również na pomoście, ale zapomniał sprawdzić namiary miejsca zakotwiczenia. W danym wypadku była to prosta formalność, gdyż przy bezwietrznej pogodzie, na osłoniętych wodach portu tylko fala przyływu mogła spowodować zdryfowanie kotwicy. Bennett skorzystał, jak zwykle, z okazji i kropnął na ten temat długą, brutalną tyradę, której Ferraby wysłuchał bez słowa. Gdy wreszcie wzgardliwym gestem odprawił go z mesy, Lockhart, który przyglądał się tej scenie, mruknął coś pod nosem, lecz

niezupełnie cicho. Bennett stał właśnie przy bufecie i coś nalewał do szklanki. Odwrócił się nagle i warknął:

- Coś pan powiedział?

Lockhart zdecydował się. Powtórzył, tym razem zupełnie głośno:

- Dlaczego pan mu nie daje spokoju? To jest dzieciak, a stara się, jak umie najlepiej.

- Nie wychodzi mu tak, jak powinno.

- Wyszłoby lepiej, gdyby pan dał mu szansę.

Bennett huknął szklanką o bufet.

- Dostyc tego - powiedział gburowato. - Nie wtrącaj się pan do nie swoich rzeczy. Nie potrzebuję tłumaczyć się przed panem.

- Nie potrzebuje pan przed nikim się tłumaczyć - próbował łagodzić Lockhart. - Czy nie uważa pan jednak, że takie najeżdżanie nie może doprowadzić do niczego dobrego? Zamiast go podciągnąć, peszy go pan coraz więcej. Taki już ma charakter.

- W takim razie niech zmieni ten swój charakter, i to jak najprędzej - uśmiechnął się Bennett złośliwie.

- Stara się przecież jak może - powtórzył Lockhart.

- Nic się nie stara. Jest w ogóle do niczego, odkąd mu w Glasgow zabroniłem nocnych zabawek z tą jego... Cały czas myśli tylko o tym, o niczym więcej.

Lockhart przyglądał mu się przez parę sekund, a potem rzekł z największym spokojem, na jaki stać go było w tej chwili:

- Jest pan obrzydliwym człowiekiem.

Bennett zeszytniał, cała jego postać stężała z wściekłości.

- Do kogo pan to mówisz, u ciężkiej cholery?! - wrzasnął na Lockharta. - Uważaj pan, do diabła, bo jak nie, to pana wrobię w

taką kabałę... Już ja się o to postaram, żebyś pan do końca wojny był podporucznikiem. To na początek.

Lockhart wypił był przedtem o jedną szklankę za dużo i to właśnie spowodowało, że stracił umiar. Rzucił wyraziste spojrzenie na podwójny galon zdobiący rękaw Bennetta i powiedział:

- Ostatecznie, nie jestem taki pewien, czy miałbym ochotę zostać porucznikiem.

Bennett już nie panował nad sobą. Podeszedł do Lockharta i zasyczał:

- Jeszcze jeden taki dowcipas, a przedstawię dowódcy do raportu.

- Niech pan spróbuje - odparł Lockhart. Miał jak najbardziej fatalistyczny pogląd na rozwiązanie tej sceny. Obstając przy swoim, działał być może samobójczo, lecz załamanie się w tej chwili byłoby równoznaczne z przekreśleniem dotychczasowej niezależności w stosunku do Bennetta. Powiedział więc raz jeszcze:

- Niech pan spróbuje. Dowódca nie jest znów takim durniem. Mogę się założyć, że wie dobrze, jak pan traktuje Ferraby'ego.

- Wie, że go tak traktuję, bo to próżniak i drań, z którego nikt nie ma pożytku. - Bennett świdrował Lockharta zjadliwym spojrzeniem, prowokując go do przeciwnatarcia. - I to samo mniej więcej można powiedzieć o panu.

- To kłamstwo! - odparł Lockhart, wyprowadzony z równowagi. Ukłuty do żywego, przestał być ostrożny. - My obaj w każdym razie robimy dziesięć razy więcej niż pan.

Po tych słowach nie pozostawało mu istotnie nic więcej do zrobienia, jak tylko włożyć czapkę na głowę i pójść za Bennettem do kabiny dowódcy. Urzędowy wyraz twarzy starszego stewarda Carslake'a, który był wdzięcznym słuchaczem tej sceny, a teraz

wychynał z kredensu, by odprowadzić spojrzeniem przechodzących równo i sztywno oficerów - świadczył dobitnie o szczególnej powadze sytuacji. Zdawało się, że tylko jakiś zdecydowany akt władzy mógł ją rozstrzygnąć.

Rozmowa w kabinie dowódcy miała dość dziwny przebieg. Nie tak decydujący, jak tego obaj oczekiwali - i Bennett, i Lockhart. Ericson wysłuchiwał Bennetta, który przedstawił rzecz uczciwie, ponieważ w tej kabinie nie był zbyt pewien gruntu, po którym stąpił. Jednak nawet po zapoznaniu się z faktami Ericson nie wiedział, jak ma w tej sprawie postąpić. Od dawna spodziewał się czegoś podobnego, i oto miał ten pasztet przed sobą. Lockhart był skończonym idiotą, że nie potrafił utrzymać języka za zębami, a Bennett objawił się w całej niemilej okazałości swej natury. On zaś, jako dowódca, musiał znaleźć właściwe rozstrzygnięcie, przechylając się mocno w kierunku podtrzymania dyscypliny. Ale jakiego rodzaju dyscyplinę zamierzał podtrzymywać?

Najlepszym rozwiązaniem byłoby przykazać Lockhartowi, aby się zachowywał jak trzeba, Bennettowi zaś - by nie był taki ostry. Było to jednak niezupełnie zgodne z *King's Regulations*, a przecież musiał trzymać się litery prawa. Drugim wyjściem z tej sytuacji mogło być znalezienie jakiejś podstawy negatywnej do załatwienia sprawy. Znalazł ją w słowach Lockharta, który na pytanie o początek sporu odpowiedział:

- Wydaje mi się, panie kapitanie, że Ferraby obrywa za mocno.
- To nie jest pańska sprawa, czy ktoś inny obrywa za mocno, czy też nie - przerwał mu ostro Ericson. - Powinien pan pilnować własnej roboty i nie martwić się o to, jak zastępca dowódcy traktuje innych oficerów.
- Rozumiem, panie kapitanie.

Lockhart, stojąc służbiście na baczność, wyczuwał atmosferę i domyślał się kłopotów dowódcy. Skoro jednak zabrnął już tak

daleko, nie miał ochoty, by cała ta sprawa rozplynęła się w mętnych ogólnikach na temat pilnowania własnego nosa.

- Ale jeżeli uważałem, że mój przyjaciel jest traktowany niesprawiedliwie, to chyba naturalne, że chciałem mu pomóc.

- Tak pan uważa? - rzekł Ericson z ironią. - Mnie się zdaje, że byłoby o wiele rozsądniej trzymać się z daleka i dać mu się wygrzebać z tej biedy samemu. Wtedy nie doszłoby do tej kłótni. Ja nie mam zamiaru - tu spojrzał surowo na Lockharta - tolerować kłótni między panem a zastępcą dowódcy.

- Tak jest, panie kapitanie. Byłem trochę zmęczony i... - miał już powiedzieć: „przepraszam”, ale jakoś nie mógł się przemóc, żeby wymówić to słowo. Zamiast tego, dokończył inaczej: - Nie chcę wcale uchylać się od konsekwencji. Mimo to jednak uważam, że takie traktowanie - tu wskazał ręką w kierunku Bennetta - ma jak najgorszy wpływ na Ferraby’ego. Po prostu stracił on resztę wiary we własne możliwości.

Bennett, nie patrząc w jego stronę, powiedział:

- Nie życzę sobie żadnych pouczeń, jak mam traktować Ferraby’ego.

Wzrok Ericsona wędrował od poważnej, zdecydowanej twarzy Lockharta, bladej w jaskrawym świetle lampy elektrycznej, do rumianej i pewnej siebie gęby Bennetta. Jako człowiek prywatny pomyślał sobie: Właściwie sprawa jest nie do rozwiązania. Ci dwaj ludzie nie mogą żyć z sobą w zgodzie. Nagle w lustrze dostrzegł własną twarz między tamtymi dwiema. Była twarda, kanciasta, stanowiła pewną barierę między dwiema wrogimi siłami. Wyglądał o wiele bardziej autorytatywnie i pewnie, niż się czuł naprawdę. Wiedział, że nie prowadzi sprawy jak należy, a trzeba było ją traktować bardzo umiejętnie, żeby móc ją zlikwidować bez reszty. Sęk w tym, że był zmordowany jak pies. Od pięciu godzin, to jest od gwizdka na zaciemnienie okrętu,

iluminatory burtowe w kabinie dowódcy były zamknięte. Nie było tu czym oddychać. Spędzili długi dzień na morzu, a jutro czeka ich to samo. W dodatku nieustannym źródłem irytacji był zwyczaj admirała wpadania na okręt bez żadnej zapowiedzi, żeby „zobaczyć, jak idą sprawy”; jedynie widok jego motorówki odbijającej od nabrzeża uprzedzał ich o wizycie. Tego wieczoru Ericson nie czuł w sobie zbyt wiele energii, a już zupełnie nie mógł jej wykrzesać dla uśmierzenia „zaburzeń pałacowych”.

Mimo to spróbował raz jeszcze wyłożyć sprawę prosto z mostu bez żadnych subtelności i bez dotykania głębokiego rozdzźwięku, który taił się na dnie tej sprawy.

- A teraz słuchajcie - zaczął. - Dostyc już tego wszystkiego, nie zgodzę się, żeby to trwało dłużej. I dla was to źle, i dla okrętu. - Spojrzał na Lockharta. - Nie mam zamiaru pozwolić panu na mieszanie się w sprawy, które nie pana dotyczą. Zrozumiał pan?

- Tak, panie kapitanie - odparł Lockhart. Mógł się zgodzić na załatwienie sprawy w tej płaszczyźnie: wprawdzie on nie wygrał, ale nie wygrał i Bennett, chyba że dowódca ma jeszcze coś innego w zanadru.

Najwidoczniej jednak było to wszystko.

- Więc niech pan pamięta - rzekł Ericson. - Nie chcę już więcej słyszeć skarg na pana. W przeciwnym razie będę zmuszony powziąć decyzję, która nie będzie dla pana przyjemna. Teraz po prostu zapomnijcie o tym. I tak mamy dosyc roboty.

Umilkł. Odwrócił się dając do zrozumienia, że mogą już odejść. Bennett otworzył usta chcąc coś powiedzieć. Wprost nie mieściło mu się w głowie, by sprawa miała być załatwiona w taki sposób. A zuchwalstwo, a te beczelne dowcipy Lockharta i niesubordynacja? Nie mógł się na to zgodzić. Nie chciał jednak zaczynać wszystkiego od początku w obecności Lockharta. Rzecz wymagała poufniejszego podejścia. Rzekł więc:

- Czy mogę pana prosić o parę słów w cztery oczy, panie kapitanie?

Ericson spodziewał się tego.

- Jeśli pan sobie życzy, poruczniku... - Skinął Lockhartowi, który odwrócił się i wyszedł.

- A więc? - zapytał tonem nieco sztywnym. - O co chodzi?

- Panie kapitanie, wydaje mi się, że Lockhart lekko się z tego wywinął.

Ericson miał ochotę powiedzieć, że i jemu tak samo się zdaje. Takie stwierdzenie byłoby bliższe prawdy, mimo to jednak powiedział:

- Powinien pan mieć wzgląd, poruczniku, że to jeszcze bardzo młody oficer. Poza tym sędzę, że wszyscy jesteśmy trochę przemęczeni. Przyznaję, że za dużo sobie pozwolił, ale to się już chyba nie powtórzy.

- Mam masę kłopotów z Lockhartem - rzekł Bennett urażony. - Myślałem, że pan kapitan przytrze mu trochę rogów. Jego trzeba przydepnąć, i to mocno.

W kabinie było duszno. Twarz Bennetta była spocona i pełna napięcia. Przyjrzawszy mu się Ericson pomyślał, że pewnego pięknego poranka, zapewne wkrótce, ktoś trzaśnie Bennetta w mordę i będzie sąd wojenny. A wszystko dlatego, że porucznik ma mocny charakter i musi to wszystkim okazywać. Przypomniawszy sobie starszego oficera z dawnych czasów na linii dalekowschodniej, który podobny był do Bennetta. Plugawy jęzor, pięści zawsze gotowe do bicia, na krok nikomu nie ustąpił i nie pochwalił nikogo. Doszło do tego, że zabił jednego ze swych ludzi, chińskiego marynarza. Marynarz był taki głupi, że stawiał się z powodu złego wyżywienia. Oficer wykręcił się wprowadzając sprawę o morderstwo, ale to był już koniec jego kariery. Bennett mógł pójść tą samą drogą, choć może w mniej tragicznej

wersji, albo pchnąć kogoś innego w tym kierunku. Zdarzali się tacy ludzie, naznaczeni nieszczęściem przez własną bezwzględność, skazani na zgubę z powodu własnej brutalności. Pech chciał, że jeden z nich znalazł się na jego korwecie.

Ericson odparł sucho:

- Ja, poruczniku, unikam nadeptywania na ludzi, jeśli da się tego uniknąć. Są inne sposoby skłonienia ich do tego, by pracowali jak należy.

Chciał dodać jeszcze coś o Ferraby'm i o potrzebie łagodniejszego traktowania, ale na jeden wieczór Bennett miał już, być może, wystarczającą porcję uwag. Rzekł więc:

- Niech pan pozwoli Lockhartowi zacząć od nowa. Zobaczymy, jak z tego skorzysta.

Potem odwrócił się plecami w sposób tak jednoznaczny, że nawet gruboskórny Bennett zrozumiał. Ta scena mogła się ciągnąć bez końca. Ericson miał już tego dosyć.

Na twarzy Bennetta malował się protest, któremu nie dano się ujawnić i wyładować w słowach. W chwilę po jego wyjściu Ericson także opuścił kabinę i rozchyliwszy szczelną zasłonę u wylotu zejściówki, wydostał się na górny pokład. Odczuł przyjemną ulgę wciągając w płuca świeże, zimne powietrze. Wieczór był jasny, mały port rysował się wyraźnie. Fale cichutko mlaskały o burtę okrętu, niby wierny akompaniament ich czuwania. Spojrzał na niebo. Drobne chmurki wokół księżyca zapowiadały wiatr na później. Na dzień jutrzejszy pogoda zdawała się równie pewna jak to, że stoją na kotwicy. Zewsząd dochodziły znajome, uspokajające odgłosy - szum dynamo, hałas gramofonu z pomieszczeń na dziobie i ciężkie człapanie buciorów wachtowego, który obchodzi okręt. Wszystko to było częścią życia i częścią tej chwili, której smak przenikał go do głębi.

Wieczór w porcie po ciężkim dniu pracy - cóż da się z tym porównać?

Jego zadowolenie nie było zupełne. Niedawna scena z Bennettem i Lockhartem pozostawiła przykry osad. Za dużo niedopowiedzeń. Lecz gdyby zechciał wejrzeć we wszystko dokładnie, Lockhart wyszedłby na tym znacznie gorzej. Był jeszcze Ferraby - wplątany w okoliczności, których nie mógł pojąć, bezbronny jak niemowlę, które już nigdy nie wyrośnie i nie zmądrzeje. Ericson wzruszył ramionami i wrócił do kabiny. Rad był, że może odłożyć to wszystko do jutra. Tak czy owak, widział jedno tylko skuteczne lekarstwo: muszą zaprzestać żreć się i zwalczać między sobą, muszą rozpocząć walkę z wrogiem.

Wkrótce nadszedł ostatni tydzień pobytu w Ardnacraish i koniec szkolenia. Proces wzajemnego zgrania doszedł do szczytu, a wraz z tym przenikało wszystkich poczucie własnej siły, obce tylko najbardziej tępym i obojętnym.

Byli zupełnie pewni siebie we wszystkim, co dotyczyło roboty: znali swój okręt, znali swe obowiązki na okręcie. Cokolwiek kazano by im zrobić, czymkolwiek chciałby ich podejść admirał i jego personel - na przykład dziwnymi sygnałami, na które starszy sygnalista Wells aż gwizdał przeciągle przez zęby, a Bennett pocił się i wrzeszczał - wiedzieli, że dadzą radę wszystkiemu. Zdarzały się pomyłki - bolesne dla ambicji - jak wtedy, gdy ktoś z oddziału dziobowego otworzył inną szalkę niż trzeba i zwałił kotwicę razem z kawałem łańcucha prosto z dziobu do wody, na trzydzieści stóp głębokości. Ale były to tylko chwilowe zahamowania w ciągłym pochodzie naprzód, drobne kamyczki w wartkim nurcie. Ogólnie biorąc, dobrze wykorzystali swój pobyt w Ardnacraish. Bo nawet Ferraby zaczął się wyrabiać, teraz gdy Bennettowi zmiękła ręka i głos jakby złagodniał. Niespodziewanie wyzwolony, poczuł przypływ nowej energii i znów próbował włączyć się w życie okrętu. Po ośmiu tygodniach od chwili

przejęcia ze stoczni *Compass Rose* była przygotowana do swych zadań.

W ostatnim tygodniu weszła do portu następna korweta, kolejny wytwór seryjnej produkcji. Miała na imię *Sorrel*, a jej dowódca, kapitan Ramsay, był przyjacielem Ericsona. Przybycie korwety było radosnym wydarzeniem i dodało powabu ponurej dziurze. Odtąd *Sorrel* i *Compass Rose* razem szły w morze na ćwiczenia w tropieniu okrętów podwodnych i polowały razem, co dawało lepsze wyniki, budząc na nowo zapał do ćwiczeń, po trosze już wystygły. Każda z korwet atakowała kolejno, druga zaś stała w tym czasie na uboczu, przekazując swej towarzyszce namiary i inne wskazówki, a czasem frywolne komentarze o jakimś udanym wyczynie. Było to pożyteczne jako przedsmak sytuacji, z którymi mogli się spotkać w konwoju. Większa liczba jednostek mogła tropić jeden okręt podwodny, lecz jeśli udział każdej miał być skuteczny, jeśli nie miały wchodzić sobie w paradę, trzeba się było tego nauczyć.

Ostatnim ćwiczeniem *Compass Rose* przed odejściem było nocne strzelanie. O zmierzchu pożegnali *Sorrel*, która wracała do portu. Sami przez godzinę kręcili się jeszcze po morzu przy południowym krańcu wyspy, najpierw czekając na holownik, który miał im przyciągnąć cel, a potem na zapadnięcie nocy. Był to jeden z tych wieczorów, kiedy uroda górzystych Highlands objawia się najwspanialej. Szczęśliwym trafem ich „wypnaniu” ze świata pokoju towarzyszyło piękno, którego pamięć zabrali z sobą na długie, długie miesiące. Zachód słońca obdarował ich niebem płonącym smugami złota i czerwieni. Zmierzch ofiarował subtelną zasłonę, na której tle wdzięcznie zarysowały się pobliskie wyspy - Mull, Iona i Colonsay. Nawet ciemność zstępowała ze wzgórz odziana w fioletowe cienie, odbijały się one w wodzie wokół okrętu, nasycając ją głębokim, królewskim tonem. Potem mrok zgęstniał i zatarł zupełnie łańcuch wzgórz. Z daleka, z odległości

co najmniej dziesięciu mil morskich, wciąż czuwało nad nimi pojedyncze światło, znaczące wejście do portu. Było to jedyne ogniwo, jakie łączyło ich z lądem. Samotna na ciemnym, uciszonym morzu, pod niebem lśniącym punkcikami najpierwszych gwiazd, *Compass Rose* krążyła i unosiła się w łagodnym rytmie toni i czekała na wyznaczone spotkanie.

Na pomoście ciemniało kilka czujnych postaci: dowódca na samym przodzie, a tuż przy nim Lockhart jako oficer wachtowy; Wells, starszy sygnalista, wsparty o lampę trwał z lornetką przy oczach; dwaj marynarze na oku stali na skrzydłach pomostu. Kąsało okrutne zimno. Czuli je na twarzy, w zgrabiałych dłoniach, w udach i w stopach, kiedy tupali po pokładzie. Brezentowe osłony wcale ich nie chroniły. Postacie sterczące wysoko na pomoście były po prostu częścią okrętu, jak okręt obnażone i wydane na łaskę żywiołu i nieba.

Nagle Wells, który wpatrywał się przez chwilę w coś na trawersie korwety, wyprostował się szybko.

- Jest, panie kapitanie. Lewo osiemdziesiąt.

W świetle wschodzącego księżyca niewyraźna plama po lewej burcie wystąpiła na horyzoncie ostrym zarysem holownika, ciągnącego za sobą cel, jak atramentową kroplę.

Wells znów zawołał:

- Daje nam sygnał! - Zwrócił się szybko do sygnalisty Rose'a, który stał w głębi pomostu. - Zapisuj: „Do *Compass Rose* od *Basher*”¹⁴.

- Dziwna nazwa dla holownika - zauważył Lockhart.

- Przynajmniej uczciwie nas ostrzega - odparł Ericson.

Lockhart uśmiechnął się do siebie. Dowódca od czasu do czasu wyrywał się z uwagą, która zadawała kłam jego urzędowej

¹⁴ Basher - ten, który uderza, zadaje cios (przyp. tłum.).

obcości w stosunku do wszystkiego, co ludzkie. Im bardziej to było nieoczekiwane, tym bardziej rzeźwiaco działało na człowieka.

Ponad spokojną wodą przymglone światła sygnałowe mrugały do siebie na odległość mili.

Wells oznajmił:

- Jest sygnał, panie kapitanie. Od holownika: „Mój kurs i szybkość dwa-siedem-zero, cztery węzły. Długość holu trzysta stóp. Gotowy do ćwiczeń”.

- Dobra - odrzekł dowódca. - Nadajcie: „Za pierwszym razem będziemy podchodzić od czterech tysięcy jardów. Oddamy trzy strzały. Podajcie trafienia”.

Znów zamrugały światła. Błyskały poprzez ciemność, jakby z uciechy, że się odnalazły.

- Odpowiedź, panie kapitanie: „Jeśli będą trafienia” - meldował Wells tonem zupełnie bezbarwnym.

- Kawalarz! - mruknął Ericson. Nachylił się do rury głosowej:

- Ster prawo dwadzieścia. Kurs Nord. - A potem do Lockharta: - Alarm bojowy. Zaczniemy od początku, jak należy.

Z dołu ostro zabrzmiały klaksony alarmowe. Poruszyło się wewnątrz okrętu wzdłuż i w poprzek, od dołu aż po pomost. Figurki ludzi wyprysły na pokład dziobowy i skupiły się wokół działa. Bosman Tallow meldował swą obecność przy kole sterowym. Z pokładu rufowego Ferraby meldował przez rurę głosową, że obsługa bomb głębinowych jest już gotowa. Jak tylekroć w ciągu ubiegłych tygodni, *Compass Rose* szybko zbudziła się do czynu i sprawnie stawiała w gotowości. Górny pokład zaroił się od ludzi, którzy już nie bładzili i nie deptali jeden drugiemu po piętach, lecz biegli na swoje stanowiska tak szybko i pewnie, jak w biały dzień. Kapitał wielogodzinnych ćwiczeń i szkolenia przynosił teraz

odsetki. Jeśli przyszłość upomni się o nie w krytycznym momencie - oto są, gotowe każdej chwili do podjęcia.

Lockhart miał stanowisko bojowe na dziobie, przy swoich artylerzystach. W ciemnościach wspiał się po trapie na pokład. Starszy marynarz Phillips zameldował obsługę dział na stanowiskach. Lockhart poczuł, jak *Compass Rose* drży od zwiększonej szybkości. Pęd zimnego powietrza uderzył go w twarz i popchnął do działania. Załadowali dział i stali gotowi. Korweta sunęła po mrocznej powierzchni wody, zmniejszała się odległość od celu. Wtem z pomostu zabrzmiała komenda:

- Cel lewo czterdzieści pięć, odległość trzy tysiące. Otworzyć ogień!

Od tej chwili wszystko już zależało od Lockharta. Jeśli chodzi o artylerię, *Compass Rose* nie miała żadnych skomplikowanych urządzeń. W czasie akcji trzeba było po prostu krzyczeć i komenderować na miejscu, z platformy dział. Lockhart ustalił odległość, a celowniczy, wypatrując oczy w ciemnościach, zameldował po chwili, że znalazł cel. Padła komenda:

- Ognia!

Lockhart nigdy jeszcze nie widział w nocy wystrzału armatniego. Z bliska efekt był niemal obezwładniający. Najpierw rozległ się straszliwy łoskot, potem buchnęło płomieniem i dymem, aż oślepl na chwilę i ustami chwycił powietrze. Śledził przez lornetkę, gdzie padnie pocisk. Wtem zobaczył: wysoko bluznął słup wody, rozbłysnął pióropuszem w blasku księżyca. Strzał padł na linii celu, ale nie doniósł.

- Więcej czterysta - ognia!

I znów łoskot wybuchu, znowu wytrysk płomienia, oczekiwanie na rezultat. Tym razem, już oswojony z hałasem, Lockhart usłyszał po pierwszym huku, jak pocisk z gwizdem wdraża się w ciemność i zamiera w niej z lękiem. Teraz przeniosło ponad

celem. Widocznie odległość zmniejszyła się szybciej, niż przypuszczał, albo też pierwszy strzał został oddany w chwili przechylenia się okrętu na dziób.

- Mniej dwieście! Ognia!

Nareszcie się domacał - słup wody bryztał w górę przed samym celem. Ale to był ostatni strzał... Rozległ się dzwonek na zaprzestanie ognia, a Lockhart natychmiast zawołał:

- Stój, przerwij ogień!

Odsunął się, gdy ustawiali działo na zero. Poczł zapach prochu i usłyszał mruczenie Phillipsa:

- Żeby tak jeszcze raz, tobyśmy ich dostali.

Nagle ogarnęło go zadowolenie z siebie i silne podniecenie. Straszliwy hałas, płomienie, świadomość nieuniknionych rozstrzygnięć - wszystko to było dla niego niewiarygodnie nowe. Nigdy jeszcze nie robił czegoś podobnego, ale naprawdę... naprawdę zdawało mu się, że zrobił to nieźle. Jakby dla utwierdzenia go w tej wierze, dowódca przechylił się z pomostu i powiedział:

- Wcale nieźle. A teraz niech pan się przygotuje do następnego ataku.

Usłyszał, jak w głębi pomostu Bennett znacząco odchrząknął, czuł jednak, że może nie zwracać uwagi na te niemiłe odgłosy.

Z drugim atakiem, jak na złość, wyszło zupełne fiasko. Nawet wiosłowa łódź nie dałaby się czymś takim wystraszyć. Pierwszy strzał znowu nie doniósł, i to nie doniósł tak bardzo, że - zdaniem Lockharta - celowniczy musiał po prostu stracić głowę i strzelić w tym momencie, gdy okręt miał przechylić na dziób, a lufa działa patrzyła ku dołowi. Drugi pocisk ni stąd, ni zowąd padł w bok od celu. Podporucznik natychmiast stwierdził winę sternika, w krytycznym bowiem momencie zszedł on z kursu. Trzeciego pocisku, który miał wszystko naprawić, Lockhart w ogóle nie

zobaczył. Równie dobrze mogli go byli wcale nie wystrzelić, tyle było efektu. Prawdopodobnie przeniósł daleko poza cel, który zasłonił go przed ich wzrokiem. Taki był koniec drugiej rundy. Hałas i ruch nie wydawały się już teraz podniecające, a wymowne milczenie na pomoście piekło niby obelga. Lockhart powiedział cicho do Phillipsa:

- Musimy się lepiej postarać.

Phillips odparł stanowczo:

- Postaramy się, panie poruczniku - i zaraz zwrócił się z kwiecistą przemową do artylerzystów, mieszając z błotem jednego po drugim.

Lockhart zastosował zasadę ograniczonej odpowiedzialności i wycofał się poza zasięg krasomówczych popisów. Przekazał władzę Phillipsowi i wszystko zdawało się wskazywać na to, że znalazła się ona w dobrych rękach.

Przemowa musiała być skuteczna, gdyż trzeci i ostatni atak okazał się najlepszy. Jeden strzał na wstrzelanie, trochę za krótki, a potem: „Więcej dwieście! Ognia!” - i dwa trafienia siedzą w podstawie celu. Na holowniku zrobiło to wrażenie, zaraz błysnęli sygnałem. Tym razem dowódca powiedział:

- Dobry strzał, poruczniku! - i wcale nie było słychać powściągliwego chrząkania.

Lockhart, leciutko upojony triumfem, zadeklamował głośno:

*Zatop, roztrzaskaj go na dwoje;
Niżli w Hiszpanów ręce wraże,
Oddaj go raczej w ręce Boga.*

- Słucham, panie poruczniku? - zapytał Phillips z ciekawością.

- To poezja - wyjaśnił Lockhart. - Wyczyście działło, a potem powiedzcie starszemu stewardowi, żeby wam wydał siedem butelek piwa.

Nigdy, w ciągu całego życia, nie było mu tak dobrze. Stał na platformie działła, a ludzie obok pracowali i gwarzyli w ciemności. W tej chwili gotów był choćby ucisnąć dłoń Bennetta albo zaciągnąć się do Royal Navy na lat dwanaście.

Do portu wrócili dobrze po północy. Były to ich ostatnie ćwiczenia, a jutro mieli prawdziwe święto. Nikt więc nie narzekał na późną godzinę. *Compass Rose* wchodziła do portu po cichutku, jak szare widmo przemykające się z powrotem w krainę cieniów o jakiejś martwej godzinie przed świtem, nim kur zapieje i oznajmi porę, w której już widmom błąkać się nie wolno. Wejście do sieci zagrodowej pozostawiono otwarte. Wśliznęli się przez nie i podpłynęli wolno ku swej beczce. Wokoło nic się nie poruszało. Księżyc stał jeszcze wysoko na niebie, podkreślał każdy kształt rylcem białego blasku. Srebrzysty rąbek odznaczał wody zatoki, wytyczając granicę ich schronienia i zamykając w bezpiecznym opasaniu. Minęli ropowiec, minęli uśpioną *Sorrel* z przyciemnionym światłem na rufie i wolniutko podeszli do cumowania.

Stojąc na dziobie z latarką elektryczną w ręku, Lockhart podawał na pomost kierunek ruchu. Światło latarki kładło wzdłuż kadłuba dziwaczne, rozchwiane odbicie wody. *Compass Rose* posuwała się naprzód cal za calem, aż wreszcie zawisła dziobem nad samą beczką. Lockhart skierował latarkę w dół i wiązką jej promieni wyłowił z ciemności białą twarz marynarza stojącego na beczce oraz cumę z zaczepem sprężynowym na końcu, która spuszczała się ku niemu jak wąż. Odwrócił się i zawołał na pomost:

- Zaczepione, panie kapitanie.

Mogli teraz odpocząć i jego rola na ten dzień była skończona.

W kilka chwil później cumy były już założone. Cicho zabrzączał dzwonek telegrafu: „Odstawić maszynę!” Było to ostateczne stwierdzenie powrotu. Zwolniony z windy łańcuch kotwiczny wysuwał się przez kluzę z piekielnym hałasem, budząc huczące echo od wzgórz. Starszy marynarz Phillips odezwał się w ciemności do wszystkich i do nikogo:

- Założę się, że obudzimy admirała.

Ludzie na dziobie zaśmiali się cicho, a Lockhart pomyślał, że Phillips pewnie już wypił swoje piwo. Spojrzał po raz ostatni na cumy i powiedział:

- Dobra, to wystarczy.

Szedł za swoimi ludźmi przez pokład i w dół po trapie. Był zmarznięty i bardzo zmęczony. Ten dzień ostatni był jednak najlepszy ze wszystkich. *Compass Rose* chwiała się leciutko na cumie, spokojna, zalana blaskiem księżyca. Lockhart kochał ją w sposób zupełnie niewytłumaczony.

12.

Wiceadmirał sir Vincent Murray-Forbes znowu siedział przy biurku w budynku wychodzącym na port. Zajęty był pisaniem raportu. Jednego z setek raportów o ludziach i okrętach, które miał odtąd wysyłać, miesiąc po miesiącu, aż do skończenia wojny. O okrętach, których losem miał być grób na dnie morza lub ocalenie, o ludziach ze znakiem śmierci na czole lub przeznaczonych do zaszczytów z rąk Jego Królewskiej Mości. Nie wiedział, co czekało tych ludzi i te okręty. Jeśli nawet układał epitafium dla ludzi, którzy mieli nazajutrz zatonać, nie mogło to w niczym wpłynąć na treść jego raportu. Obchodziły go tylko fakty, a w

ciągu ubiegłych trzech tygodni mógł zanotować bardzo wiele faktów.

„H.M.S. *Compass Rose* - pisał staroświeckim, bardzo starannym charakterem - ukończyła szkolenie w dniu 2 lutego 1940 roku z wynikiem, który można uznać za zadowalający. Okręt jest dobrze przygotowany, czysty i na ogół sprawny. Należy w dalszym ciągu zwracać uwagę na: a) zwalczanie pożarów, które przebiegało niedostatecznie szybko, i b) ćwiczenie w opuszczaniu okrętu, które przeprowadzono raz tylko i nie dość sprawnie. Z tymi zastrzeżeniami przygotowanie korwety *Compass Rose* odpowiada obecnie wysokim wymaganiom, jakie się stawia okrętom przeznaczonym do trudnych zadań eskortowania konwojów”.

Zajrzał do pliku raportów opracowanych przez jego personel i wypisał podtytuł: „Artyleria”, podkreślając go równo.

„Działo 105-milimetrowe, które stanowi jedyną poważniejszą broń okrętów tej klasy, będzie mogło spełnić swoje zadanie pod warunkiem nieustannego ćwiczenia obsługi oraz dobrego zaopatrzenia w amunicję. H.M.S. *Compass Rose* dobrze się sprawiała w ćwiczeniach artyleryjskich różnego rodzaju, a nocne strzelania dały pomyślne wyniki, zarówno jeśli chodzi o manewrowanie okrętem, jak i o celność strzałów. Strzelanie przeciwlotnicze, które ćwiczano z celem na holu w postaci rękawa, wypadło mniej zadowalająco. Zaleca się zwrócenie większej uwagi na kierowanie tym strzelaniem z pomostu za pomocą głośnika”.

Wypisał następny podtytuł: „Asdic” - i znów go podkreślił. „W chwili przybycia do bazy korweta *Compass Rose* nie miała wystarczającego przygotowania w tej dziedzinie. Zarówno oficer kierujący asdikiem, jak i marynarze-operatorzy potrzebowali intensywnego ćwiczenia. Obecnie oddział hydroakustyków wykazuje dostateczne kwalifikacje, a sprawność ogólna okrętu wydatnie się przez to poprawiła. Łączność między pomostem a

oddziałem bomb głębinowych na rufie jest na jednostkach tej klasy wciąż jeszcze niezadowolająca, na co zwracałem uwagę w piśmie do Admirala-Inspektora budowy okrętów, znak 242/17/1//40 (przesłanym do wiadomości Dowódcy Obszaru Zachodniego), proponując równocześnie pewne ulepszenia”.

„Wyrzutnie bomb głębinowych” - pisał dalej. „Tylko stałe ćwiczenie może podciągnąć obsługę bomb głębinowych do poziomu sprawności odpowiadającego wysokim wymaganiom w tej dziedzinie. Próby na czas z ładowaniem i wyrzucaniem bomb wypadły na ogół niezadowolająco. Należy podkreślić z naciskiem, że właśnie szybkość i dokładność tych czynności może mieć ogromne znaczenie, gdy okręt znajdzie się w akcji”.

Wypisał trzy kolejne, zwięzłe podpunkty: - „Maszyna: Zadowolająca. Radio i kodowanie: Bez zastrzeżeń. Sygnalizacja: Doskonała”. - Wziął czysty arkusz papieru.

„H.M.S. *Compass Rose*: Oficerowie” - napisał admirał i znowu zajrzał do notatek. - „Kapitan George Eastwood Ericson, Royal Navy Reserve: dowódca okrętu. Oficer ten wykazał wysoki poziom w dziedzinie praktyki wojenno-morskiej i doświadczenie w dowodzeniu okrętem. Oceniam go jako sumiennego i stanowczego oficera, który po lepszym zapoznaniu się z nowym typem okrętu potrafi na pewno wykorzystać wszystkie możliwości, jakie mu daje stanowisko dowódcy. Jego stosunek do podwładnych oficerów wydaje się właściwy. Widać wyraźnie, że mają do niego zaufanie i będą go słuchać bez wahania.

Porucznik James Bennett, R.A.N.V.R.: zastępca dowódcy i oficer kierujący asdikiem. Oficer ten odznacza się wybitną pewnością siebie. Być może, jego rzeczywiste umiejętności dorównują dobremu mniemaniu o sobie, w miarę większego doświadczenia i wysiłku. Wykazuje skłonność do zbytniego polegania na młodszych oficerach wykonujących jego rozkazy (a w pewnych wypadkach - wydających je na własną rękę). W

pierwszym okresie, niewątpliwie z powodu braku doświadczenia tego oficera, dawały się zauważyć poważne niedociągnięcia w wewnętrznej organizacji *Compass Rose*. Człowiek prostolinijny i mocny, który powinien wyrobić się na dobrego zastępcę dowódcy, jeśli tylko nauczy się dawać przykład dyscyplinowania”.

Admirał wytrwale pisał dalej: - „Podporucznik Keith Laing Lockhart, R.N.V.R.: oficer artylerii i nawigacyjny. Byłem zdziwiony sprawnością tego oficera w nowych dla niego warunkach i na stanowisku bardzo odpowiedzialnym, tym bardziej że ma on bardzo niewiele praktycznego doświadczenia. Obsługa jego dział jest dobrze wyćwiczona. Zdaje się, że wzbudza on zaufanie w marynarzach swego działu. Wyrobi się zapewne na dobrego oficera, bardzo użytecznego na okręcie tej klasy. Powinien zwracać więcej uwagi na przepisy dotyczące ubioru oficerów w czasie służby”.

I wreszcie ostatnie nazwisko: „Podporucznik Gordon Perceval D'Ewes Ferraby, R.N.V.R.: oficer dowodzący działem bomb głębinowych i prowadzący korespondencję. Brak mu zarówno doświadczenia, jak i pewności siebie. Wydając rozkazy nie potrafi ukryć wahania. Nie ma powodu wątpić, że może być z niego niezły oficer, jeśli tylko nauczy się ufać własnemu sądowi i wywierać na swych podwładnych wrażenie, że wie dobrze, czego od nich żąda. W ostatnim okresie szkolenia dział jego poczynił znaczne postępy”.

Admirał podkreślił swój raport grubą linią i ostrożnie przyłożył bibułę. Potem dopisał u dołu: „Do Dowódcy Obszaru Zachodniego. Kopie otrzymują: Flag-Officer-in-Charge, Glasgow; Admiralicja (Departament Kadr); H.M.S. *Compass Rose*”. - Wreszcie oparł się plecami o poręcz krzesła i zadzwonił na swego sekretarza.

13.

Ericson, rozsiadłszy się wygodnie w kabinie, czytał kopię raportu z zadowoleniem, a nawet z uciechą. Na pożegnanie admirał okazał się zupełnie na poziomie. Wspaniale scharakteryzował Bennetta, mimo ograniczeń, jakie mu narzucał styl urzędowy. Dowódcy podobał się szczególnie ów ustęp o Lockharcie i o przepisach dotyczących ubioru. Przy jakiejś ważnej okazji Lockhart zapodział gdzieś swą czapkę i musiał powitać admirała po prostu kiwnięciem głowy i niewyraźnym gestem ręki. Gdy Ericson składał już kartki raportu, ktoś zastukał do drzwi. Wszedł starszy sygnalista Wells z zalakowaną kopertą.

- Jest tajny sygnał, panie kapitanie - meldował Wells, tym razem już nie tak bezbarwnym głosem jak zwykle. - Właśnie go przywiozła motorówka łączności.

Ericson otworzył kopertę. Zaczął czytać powoli i uważnie. Było to właśnie to, na co czekał.

Na różowym skrawku papieru czerniały rządki liter: „Ponieważ H.M.S. *Compass Rose* jest już pod każdym względem gotowa do wyjścia na morze, rozkazuję wyjść tak, aby połączyć się z konwojem AK14, chodzącym z Liverpoolu (latarniowiec Bar) o godzinie dwunastej zero-zero w dniu 6 lutego 1940. Dowódca eskorty jest na pokładzie H.M.S. *Viperous*. Potwierdzić odbiór”.

Ericson przeczytał jeszcze raz od początku do końca, po czym powiedział do Wellsa:

- Zapiszcie sobie: „Do Dowódcy Obszaru Zachodniego od *Compass Rose*. Potwierdzam odbiór sygnału 0939/4/2”. Przekażcie to natychmiast.

A więc wychodzili na wojnę.

Część II. 1940: PIERWSZE UTARCZKI.

1.

Wojna, w której mieli wziąć udział, nie przybrała dotychczas, choćby w najogólniejszym zarysie, jakichś zdecydowanych linii rozwojowych.

Trzeciego września, a zatem w pierwszym dniu wojny, zatonął storpedowany pasażer *Athenia*, wraz z nim zaś sto dwadzieścia osiem osób. Anglia pomściła brutalny cios, zatapiając w czternastym dniu września pierwszy niemiecki okręt podwodny. Tak więc od samego początku zaczęło się gorąco. W ciągu tego samego września Wielka Brytania straciła czterdzieści statków, a zanim rok się skończył, poszły na dno dwa piękne okręty wojenne - *Courageous* i *Royal Oak*. Takie tempo nie mogło jednak trwać długo.

Ofiarą okrętów podwodnych padały przede wszystkim statki, które w chwili wybuchu wojny znalazły się na morzu w pojedynkę. Podobnie jak *Athenia* dawały się zaskoczyć w niewłaściwym czasie na niewłaściwym miejscu. Rozwój systemu konwojów mógł zabezpieczyć przed takim zaskoczeniem. Zarówno załogi statków, jak i zarządy przedsiębiorstw żeglugowych pojęły szybko, że warto podjąć największy wysiłek, by włączyć się w konwój, zamiast wlec się w jego ogonie czy też dumnie wybiegać na czoło szarej kolumny piechurów.

Niemieckie okręty podwodne, zgodnie ze swym zadaniem, działały ofensywnie, lecz ich ataki nie były skoordynowane ani nawet bardzo skuteczne. Prawdopodobnie w tym wczesnym stadium wojny nigdy nie było ich na morzu więcej niż tuzin równocześnie, wobec czego musiały atakować pojedynczo. Kręciły się koło wybrzeży Szkocji i Irlandii, a także w Zatoce

Biskajskiej, czyhając na samotne statki, które można zdmuchnąć tak łatwo. Były to więc podwodne zagony, podejmowane indywidualnie - czasem z pomyślnym skutkiem, innym zaś razem daremnie. Z czasem przyszła koordynacja i jednolite dowództwo, na razie jednak cała ta akcja miała charakter raczej amatorski i trudno tu było cośkolwiek przewidywać. Anglia nie miała jednostek eskortowych, a Niemcom brakowało okrętów podwodnych. Atlantyka to ocean ogromny, a w czas zimowych sztormów nie znalazłbyś na świecie wspanialszej kryjówki. Była to więc, zaiste, zabawa w chowanego. W olbrzymim parku, pełnym tajemnych zakątków, bawiło się kilkoro dzieci, a kiedy zmierzch zapadał nad parkiem, odzywały się głosy dorosłych powtarzające jakieś polecenia. Jeśli niektóre z tych dzieci były złośliwe i okrutne, jeśli szczypały, gdy im się udało kogoś przyłapać, to przecież w dziecięcym świstku nikt się nie dziwi takim rzeczom.

Tak wyglądało pole walki na Atlantyku u progu roku 1940. Niebezpieczeństwo czyhało, lecz obie strony zaledwie weszły w akcję. Czaiły się niemieckie okręty podwodne, stawiając jednak raczej na los szczęścia niż na swą zręczność bojową. Z początkiem roku *Compass Rose* wyszła na morze, by wziąć udział w nieskładnej jeszcze walce.

2.

Ich pierwszy konwój, podobnie jak wiele innych w tym krótkim okresie zwodniczego spokoju, przypominał bezkrwawe harce. Dawał on jednak pouczający przedsmak tego, co miało przyjść później. Była to zarazem próba dla korwety, która musiała stawić czoło pogodzie, jakiej dotychczas jeszcze nie zaznała.

Gdy w piękny lutowy ranek wchodzili do Zatoki Liverpoolskiej, by dołączyć się do konwoju, słońce świeciło jasno. Promienie blanku przebiły mgłę poranną, stopiły siwy szron, którym okręt otulił się na nocną wędrówkę, ciepłym, przyjemnym dotknięciem wysuszyły ubrania ludzi na okręcie. Ericson znał dobrze ten port - wszak dziesięć lat tu mieszkał, dziesiątki razy wychodził z niego i wchodził ze swoim statkiem. Wzruszony, szukał wzrokiem znajomych zarysów i sylwetek. Jak zwykle, najpierw rozpoznał wysoką basztę Blackpool w kierunku północnym. A potem latarniowiec miotany niespokojnym wirem przypływu u wejścia do rzeki Mersey. Wreszcie daleko, w sercu miasta, poprzez mgłę i dym w górze rzeki błyszczały bliźniacze wieże Liver Buildings. Gdzieś tam, w małym domku w Birkenhead, Grace z pewnością robi na drutach... Poczul ukłucie bólu na myśl, że byli tak blisko siebie, a przecież nie mogli się zobaczyć. Natychmiast jednak zapomniał o tym zupełnie. Przed nimi, w odległości zaledwie pięciu mil, można już było rozróżnić okręty. Pierwszy z nich to niszczyciel ze starej klasy V i W. To właśnie musi być *Viperous*, skoro zapytuje ich o sygnał rozpoznawczy.

Podczas gdy sygnalista Wells podawał sygnał rozpoznawczy korwety, a następnie przyjmował obszerny sygnał w sprawie organizacji konwoju, Ericson obserwował długi sznur statków, które się do nich zbliżały. Były to statki różnego kształtu i wielkości - zbiornikowce, duże frachtowce i niewielkie statki, które na pewno czułyby się lepiej w obsłudze ruchu przybrzeżnego niż pośród niebezpieczeństw przeprawy przez Atlantyk. Jedne były załadowane do linii maksymalnego zanurzenia, inne zaś szły w balaście i wynurzały się nad wodą bardzo wysoko. Wychodziły kolejno z wąskiego kanału Mersey, powiewając w słońcu flagami sygnałowymi. Wyglądało, jak gdyby się cieszyły, że znów ruszają na morze. To chyba niemożliwe - pomyślał Ericson z uśmiechem, przypominając

sobie łzawe pożegnania, ociąganie się i zawsze te same narzekania: - O Boże, znowu trzeba się tłuc! - które towarzyszyły każdemu rejsowi. Mimo to długa linia czterdziestu sześciu statków promieniowała jakąś ochotą do wyjścia w ten rejs i mocną wiarą w przyszłość.

Oczywiście, niemieckie okręty podwodne czyhały na drodze konwoju - tak przynajmniej mówiono, bo większość statków i większość ludzi na tych statkach nie spotkała jeszcze żadnego. W każdym razie istniała możliwość użycia przeciwko nim okrętów podwodnych. Rzeczą ważną było, by statki doszły do Bostonu, Nowego Jorku, Halifaxu i Rio, ale zupełnie zasadniczą i może najważniejszą rzeczą było - rozprawić się z tą groźbą. Atlantyk nie był nigdy wyłącznie brytyjskim oceanem, lecz w jeszcze mniejszym stopniu był oceanem niemieckim. Czas obecny nie wydawał się odpowiedni do przeprowadzania zmian w tym stanie posiadania.

Ferraby nie miał wachty, lecz stał na pomoście, porwany widokiem statków bardziej, niż mógł przypuszczać. Zachwycalo go wszystko w tym konwoju. Podobało mu się jego zdecydowanie, gdy nabierał szybkości po ostrożnym przejściu przez Kanał. Podobały mu się niektóre statki - zwłaszcza mocne i zgrabne zbiornikowce. I podobali mu się ludzie machający przyjaźnie rękami do *Compass Rose*, gdy sunęła wzdłuż linii statków na koniec konwoju. Ta chwila pełna wewnętrznej treści i mocnej decyzji, to koleżeństwo, braterstwo ludzi morza - właśnie o takich sprawach myślał w okresie szkolenia, właśnie dlatego zgłosił się na ochotnika i wybrał korwetę. Czasem już myślał, że to nie może istnieć naprawdę. Czasem był przekonany, że los z niego zakpi, racząc go trzeciorzędnym dramatem oszustw i rozczarowań. A teraz wie. Wie, że wszystkie jego marzenia się spełnią.

Oto statki gromadzą się na długi, niepewny rejs. Oto przybywa *Compass Rose*, by strzec ich i osłaniać. Oto on, sam Ferraby, oficer wachtowy (nie chodzi przecież o taką dokładność!), ma sobie powierzona część tej opieki. Błada twarz Ferraby'ego okryła się rumieńcem, zastygła w wyrazie twardej stanowczości. Przyglądał się konwojowi z uczuciem dumy właściciela i wyłącznego pana. Nasze statki - powtarzał w myśli - nasze ładunki, nasi ludzie... Jeśli to będzie od niego zależało, od jego pracy i wysiłku, nie oddadzą żadnego z tych statków, nie pozwolą zatopić żadnego statku z następnych konwojów.

Ferraby miał oczy niedoświadczone i naiwne, toteż wiele przyjmował na wiarę. Oczy innych, na przykład Ericsona, nie były naiwne. Musieli stwierdzić, że konwój przedstawia się o wiele bardziej okazale aniżeli eskorta, co zresztą wiernie odtwarzało niełatwą sytuację Royal Navy w tym stadium wojny. Zadanie przeprowadzenia czterdziestu sześciu statków przez najbardziej zdradzieckie i - jak należało przypuszczać - najbardziej niebezpieczne wody świata powierzono następującym jednostkom: jeden niszczyciel liczący piętnaście lat służby i należący do klasy, która - mimo dzielnej załogi i dowództwa - nie nadawała się do żeglugi na Atlantyku ze względu na niedostateczną wytrzymałość oraz na lekkość konstrukcji; dwie korwety - w tym jedna typu sprzed kilku lat, prymitywna w kształcie, druga zaś *Compass Rose*; jeden trałowiec i jeden holownik ratownictwa, który już teraz, na osłoniętych wodach Zatoki Liverpoolskiej, podskakiwał i tańczył jak ziarnko grochu na bębnie. Pięć okrętów wojennych, dokładniej - cztery i pół, miało więc strzec czterdziestu sześciu powolnych statków handlowych. Tego naprawdę nie mogli uznać za szczególną siłę ludzие znajdujący się na rzeczy po jednej i po drugiej stronie... Lecz właśnie tyle ich było, na więcej nie było stać. Skoro zatem nie można liczyć na więcej okrętów, trzeba inaczej zapchać tę dziurę:

chytrość i odrobina szczęścia muszą osiągnąć to, czego nie można się spodziewać w oparciu o normalne rozumowanie i prawdopodobieństwo.

Na *Compass Rose* wrzała praca przez całe popołudnie. Długi był ten dzień dla dowódcy, który tkwił już od świtu na stanowisku. Rzecz jasna, nie mógł myśleć o zejściu z pomostu nie mając w istocie rzeczy nikogo, komu mógłby powierzyć manewrowanie korwetą w bliskim sąsiedztwie tak wielu statków. Tkwił zatem dalej, wciśnięty w kąt pomostu, pił herbatę szklanka za szklanką i bez końca dawał komendy na ster, wykonując kolejne zadania zlecane przez dowódcę *Viperous*. Najpierw musieli sprawdzić, czy wyszły wszystkie statki, porównując w tym celu ich nazwy i rozpoznawcze sygnały z długim spisem, który dostali poprzednio. Następnie doganiali statki idące samopas i zachęcali je do utworzenia bardziej zwartej szyku. W końcu - i to okazało się najtrudniejsze - każdemu z czterdziestu sześciu statków musieli przekazać megafonem ustne rozkazy. Chodziło o zmianę kursu w ciągu najbliższej nocy, więc musieli mieć absolutną pewność, że ich instrukcje zostały w każdym wypadku zrozumiane tak jak należy.

Po dziesięć razy powtarzali treść polecenia - najpierw dowódca, potem Lockhart, który miał właśnie wachtę, a potem sygnalista Wells i znów dowódca. Niektóre statki najwyraźniej ogluchły i trzeba było powtarzać bez końca. Inne znów były cudzoziemskie; musieli czekać, aż wyciągną z czeluści kotłowni człowieka, który potrafi przyjąć rozkazy.

Wreszcie niektóre statki zapadły w poobiednią drzemkę i huczący głos z megafonu brały za zmorę senną.

- Boże święty! - wykrzyknął dowódca, gdy po pięciu minutach wołania nie doczekali się żadnej reakcji od potężnego zbiornikowca oprócz niewyraźnego ukłonu człowieka w meloniku, który stał na pomoście. - Oni chyba naprawdę chcą się zbłąkać dziś w nocy.

Krzycz no pan jeszcze, poruczniku.

- Hallo, numer trzydzieści dwa! - powtarzał znudzonym głosem Lockhart. - Hallo, numer trzydzieści dwa! Mam dla was polecenie. Proszę przyjąć.

Zbiornikowiec parł naprzód, a korweta podskakiwała za nim jak pekińczyk żywiący nieśmiałe zamiary w stosunku do charta.

- Może damy syrenę, panie kapitanie? - zapytał Lockhart. - Zdaje się, że oni nie słyszą ludzkiego głosu.

- Za minutę kropniemy z działła - rzekł Ericson i szarpnął za linkę. Syrena rozdarła powietrze przeraźliwym rykiem. Człowiek w meloniku przeszedł na skrzydło pomostu i zaczął im się przyglądać.

- Numer trzydzieści dwa, mam dla was polecenie! - zawołał szybko Lockhart. - Proszę zapisać.

Człowiek na zbiornikowcu przyłożył dłoń do ucha.

- O, do diabła! Ten dureń jest głuchy! - wykrzyknął Lockhart z rozpaczą, zapominając, że ma mikrofon przy ustach.

Niepochlebny epitet przegrzmiał nad wodą na odległość trzydziestu metrów i trafił najwidoczniej do celu. Człowiek na zbiornikowcu odjął natychmiast dłoń od ucha i zwinawszy ją w pięść potrząsnął ku nim ze złością.

- Uraził pan jego uczucia, poruczniku - rzekł dowódca.

- To przez pomyłkę, panie kapitanie, bardzo przepraszam. - Lockhart był rzeczywiście speszony tym, co się stało, i kiedy znów zaczął mówić, próbował miłym tonem naprawić sytuację.

Przez megafon brzmiało to dosyć dziwacznie, jakby solista w tanecznej orkiestrze przymilał się piosenką publiczności.

- Numer trzydzieści dwa, mam dla was polecenie. Chodzi o ważną zmianę kursu. Proszę zapisać.

W odpowiedzi człowiek na zbiornikowcu przyłożył megafon do ust. Ponad wodą dobiegły niewyraźne słowa:

- Nie bądźcie tacy ordynarni. Poskarżę się na was w moim ministerstwie.

Po czym zszedł z pomostu do kabiny i mocno zatrzaskał za sobą drzwi. Musieli czekać, aż się skończy wachta i ktoś inny wyjdzie na pomost, by przekazać mu rozkaz.

W ciągu pierwszej nocy w konwoju niewiele mieli wytchnienia i bardzo niewiele snu. Wciąż pracowali systemem dwuwachtowym - cztery godziny służby, cztery odpoczynku, na zmianę kapitan z Ferraby'm i Bennett z Lockhartem. Taka organizacja pracy, nawet w najspokojniejszym okresie, wystawiała na ciężką próbę zarówno siły, jak i humor. Jeśli nawet udało im się zasnąć natychmiast po zejściu ze służby, to przecież zanim zdążyli się obrócić na drugi bok, już musieli się budzić i wyłazić z powrotem na pomost. A czas nie był najspokojniejszy i gdy schodzili z wachty, niełatwo było znaleźć spokojny kąt na korwiecie. Podniósł się wiatr, a wraz z nim rozkołysało się Morze Irlandzkie. Okręt z żalosną gotowością poddawał się ruchom morza, przewalając się z burty na burtę i grzmocąc o fale tak, jak gdyby mu płacono za każdą godzinę tej męki. W międzypokładzie, wśród zgielku i kiwania, sen nie przychodził, choć człowiek był zmordowany jak pies.

Były i inne przeszkody. Raz samolot lecący nisko nad konwojem spędził ich niepotrzebnie na stanowiska bojowe o

drugiej nad ranem. Innym razem musieli poganiać jeden ze statków wlokących się w tyle (*Compass Rose* szła na tyle konwoju), aby nie utracił kontaktu z innymi statkami. Posuwali się naprzód w tempie wprost rozpaczliwym. Światło na Chicken Rock, na południowym krańcu wyspy Man, widzieli przed sobą tak długo, że trudno było uwierzyć, by mogli je kiedykolwiek zostawić za sobą i wyjść na pełne morze. Nic więc dziwnego, że ta pierwsza noc w eskorcie konwoju nie napawała otuchą. Jeśli teraz musieli tak harować, kiedy nie było jeszcze śladu wroga i zaledwie parę drobnych wydarzeń zmaćło spokój nocy, to cóż dopiero będzie później, gdy staną w obliczu prawdziwej próby?

Odpowiedź na to pytanie nie była im dana ani tej nocy, ani żadnego z następnych dni siedemnastu, do końca rejsu. Wkrótce przestali się nad tym zastanawiać. Mieli aż nadto roboty bez żadnych niezwykłych wydarzeń. Na drugi dzień sunęli rażniej naprzód w kierunku północno-zachodnim, pomiędzy Szkocją a północną Irlandią. O zmierzchu stracili z oczu ostatni skrawek lądu - prześliczne wzgórza Mull of Kintyre, okryte welonem deszczu, i na północy Islay. Wtedy to wzięli kurs na zachód, na pełne morze. Poczuli ostry wiatr od oceanu - zaczął się pierwszy rejs dalekomorski. Jakby dla podkreślenia zupełnej nieodwołalności tego faktu dostali sygnał o niemieckich okrętach podwodnych, które miały znajdować się w niewielkiej odległości przed konwojem.

Jednakże nie natknęli się na nie. Prawdopodobnie Niemcy byli radzi, że mogą siedzieć pod powierzchnią i wymknąć się w ten sposób sztormowi. Bo tym razem najzacieklejszym wrogiem była pogoda. Przez osiem dni parli przeciw zachodniemu sztormowi - pięćset mil morskich krok za krokiem, walcząc z naporem wiatru, w którego każdym uderzeniu czuli zawziętą złość, przeciw nim tylko wymierzoną. Konwój rozproszył się na pięćdziesięciu milach kwadratowych. Eskortowce najczęściej nie miały z nim

kontaktu. Nie było mowy o utrzymaniu jakiejś „szybkości konwoju”, bo konwój jako zwarta całość nie istniał. Gromada statków radziła sobie jak mogła z okrutnym, kapryśnym Atlantykiem. Duże statki na przodzie zmniejszały szybkość tak, że ledwie panowały nad sterem, próbując w ten sposób utrzymać coś w rodzaju szyku. Lecz mniejsze wciąż zostawały w tyle. Gdy wiatr się nasilał, stawały nieomal w miejscu i często musiały zbaczać z kursu o wiele stopni, aby uniknąć rozbicia się w drzazgi. *Viperous*, który dostawał porządne ciągi i stracił dwóch marynarzy, zmiecionych z pokładu, nadał ósmego dnia taki sygnał: „Konwój rozproszyć się. Iść dalej niezależnie”. W danych okolicznościach sygnał miał w sobie ironię, której niestety nie potrafili ocenić, nie byli bowiem w odpowiednim nastroju.

Eskortowce skupiły się razem. *Viperous* miał uszkodzony pomost, stara korweta straciła łódź, a *Compass Rose* wyszła cało, ale kiwała okropnie. Trałowiec trzymał się dobrze na fali, a holownik zabawnie się ciskał, z histeryczną wprost gwałtownością usiłując dotrzymać kroku pozostałym okrętom. Wyznaczyli miejsce spotkania z dążącym naprzód konwojem i w jakiś cudowny sposób zdołali je odnaleźć. Pośród pustyni smaganej wichrem i ulewą, widząc w promieniu zaledwie pięciuset metrów, odszukali to miejsce pośrodku Atlantyku, miejsce, do którego jeden po drugim dotarły wszystkie statki. Był to wysokiej klasy wyczyn nawigacyjny. Dokonał go *Viperous*. Ericson miał poza sobą niemałe doświadczenie, a jednak widząc, jak pomost *Viperous* zakreśla w powietrzu łuk sześćdziesięciostopniowy - zastanawiał się pełen zdumienia i głębokiego podziwu, jakim u licha sposobem dowódca niszczyciela potrafił tego dopiąć. W tych warunkach bowiem przeprowadzanie obserwacji i określanie pozycji okrętu były niemal niewykonalne. Jednak zostało to wykonane, i do tego - absolutnie dokładnie, tak jak się tego wymaga w czasie manewrów na spokojnej wodzie.

W powrotnej drodze szli z nowym konwojem, złożonym z trzydziestu kilku statków, które dzięki pomyślniejszym warunkom na zachodzie potrafiły zrazu utrzymać się w szyku. Gdy jednak wściekły wiatr jął dmuchać od rufy, trudno było zachować porządek. Nowy alarm z powodu niemieckich okrętów podwodnych zmusił ich do zboczenia na „trasę okrężną”. Stracili sporo czasu i musieli tłuc się po morzu dwa dni dłużej.

Na *Compass Rose* rozpętało się piekło. Okręt kołysał się jak szalony, z niezmordowaną złośliwością odbierał ludziom każdą chwilę wytchnienia. Nie można było myśleć o gotowaniu, nawet gdyby nie zjedli przed kilku dniami ostatnich zapasów świeżego mięsa i jarzyn. Herbata i wołowina z puszki to był żelazny jadłospis - śniadanie, obiad i kolacja przez dwa tygodnie bez przerwy. Wszystko przemokło na wylot. Woda zalała przez wywiewnik calutką mesę oficerską. Pomieszczenia załogi na dziobie były obrazem nędzy i rozpaczy - tłok, namoknięte ubrania zwalone na kupę, graty płaczące się w wodzie pod nogami, jedzenie powywracane na podłogę. I ten hałas, to nieustanne stękanie, walenie w maleńki okręt walczący z potwornym oceanem. Zdawało się, że nigdy nie będzie temu końca. *Compass Rose* dostała się w szpony sztormu. Sztorm chwycił ją mocno i mógł potrząsać tak długo, aż puszcza wszystkie nity. Sztorm szalał i ryczał na korwetę, i nie chciał ucichnąć, póki nie znaleźli się znów pod osłoną lądu. *Compass Rose*, zagubiona w straszliwym oceanie, zdawała się skazana na wieczysty taniec po jego bezdrożach.

Bennettowi nie przypadły do smaku ciężkie próby, których doświadczał wraz z innymi. Mówił o tym uczciwie i wytrwale. On był teraz najwymowniejszy w mesie oficerskiej. Uskarżał się ze złością, w której czuć było prawdziwy niepokój. Przeklęty okręt, zawieszony konwój, cholerna pogoda - oto główne tematy nieustających narzekających, których źródłem był najprawdziwszy

strach. Podobnie jak inni, nigdy jeszcze nie widział takiej okropnej pogody. Nawet nie wyobrażał sobie czegoś równie strasznego. Wiedział o okrętach dostatecznie dużo, by rozumieć, że *Compass Rose* walczy rozpaczliwie, ale za mało, by zdać sobie sprawę, że jest dość mocna do tej walki i że wyjdzie z niej cało. Zważył w swe bezpieczeństwo, a zwątpienie naturalnym porządkiem rzeczy przerodziło się w złość.

Wreszcie zbłądził się przy określaniu pozycji okrętu, i to tak bardzo, że dowódca odebrał mu z rąk sekstant i powiedział:

- Niech pan da temu spokój, poruczniku. Już lepiej ja sam się tym zajmę.

To oczywiście nie poprawiło sytuacji.

Powinien był coś zrobić, by zaprowadzić ład w pomieszczeniach załogi na dziobie, ale nie chciało mu się o tym myśleć. Powinien był zorganizować przynajmniej raz dziennie gorący posiłek, choćby tylko podgrzaną fasolę z konserwy. Oczywiście nie mogło być mowy o rozpaleniu pod kuchnią, ale przy odrobinie dowcipu można by coś urządzić w maszynowni. Wymagało to jednak fatygi przewyższającej jego dobre chęci. Wolał obnosić nadąsane miny, wykręcać się i tęsknić tajemnie do wyplątania się z tej całej historii.

Postanowił, że długo tu nie posiedzi. Ludzie potrafią wygrywać wojnę w inny sposób... Zresztą wszystko to było za bardzo męczące. Dobrze, że mógł zostawiać Lockharta samego na wachcie i przedrzemkać się zdrowo od czasu do czasu. Inaczej byłby zupełnie wykończony.

W ciągu całego niemal rejsu Lockhart czuł się okropnie zmęczony i jakby odrętwiały. Jego szczupłe, wysmukłe ciało nie umiało się bronić przed chłodem. Nie przyzwyczyił się jeszcze do braku snu i do czujności, gdy organizm każdym nerwem aż krzyczy o sen. Dzień za dniem mijał, dręcząc go bezsennością i

kasającym zimnem. Bennett mógł się wykręcać od wachty i siedzieć cały czas w kabinie asdiku. On nie mógł tego zrobić. Cztery godziny służby, cztery odpoczynku - i tak przez siedemnaście dni bez przerwy. Tak wyglądało to dla niego.

Godziny służby oznaczały nieustanne napięcie, maksymalny wysiłek oczu i zmęczonego ciała. Gdy wreszcie po skończeniu wachty, potykając się, zląził po trapie w dół, czekał go nie najlepszy odpoczynek. Herbata i wołowina z puszki wśród bałaganu mesy oficerskiej, wszystko zalane wodą, meble zepchnięte w jeden kąt. A potem, wczepiony kurczowo w koję, stara się usnąć. Okręt bez końca przewala się z boku na bok, lampa świeci na wypadek alarmu, myśl dokuczliwa, nieustanna przypomina, że już za parę godzin trzeba wstać, trzeba znów stanąć oko w oko z morzem i z wiatrem. Kiedy naprawdę wychodził znów na pomost, a zimny wiatr znów smagał go po twarzy i szarpał na nim ubranie, kiedy korweta pod jego stopami zataczała się tak, jak gdyby cały świat się upił, Lockhart czuł, że w jego ciele nie ma już nic, żadnego instynktu, poza drętym trwaniem.

Jedna noc utkwiała mu szczególnie w pamięci. Zbliżał się koniec rejsu. Wiatr odwrócił się i dał od północy z ogromną siłą. Fala jak góra szła na nich z burty. *Compass Rose* wwindowała się na nią i jakiś czas chwiała się trwożnie na szczycie, aż runęła w dolinę fali, kładąc się na burcie. Czasem następna fala, piętrząca się na trawersie, zaskakiwała okręt, gdy jeszcze leżał bezwładnie, i waliła się z góry, nim zdążył się podnieść. W takich momentach serce zamierało mu w piersi. Tony wody wwalowały się z hukiem na pomost i na górny pokład, chmury bryzgów przelatowały nad okrętem, gnane wiatrem, siekące tysiącem drobnych ostrzy. Sztorm hałasował nieprawdopodobnie. Woda tłukła, grzmociła o burtę okrętu, z czarnej czeluści nocy wiatr wył, jak gdyby chciał porazić lękiem każdą żyjącą istotę. Dokoła ciągnęła się pustynia

oceanu, martwa i szara, gdzieś tam zmierzwiła białą, pienistą grzywą. A dalej, poza granicą tej pustyni, wznosiła się ze wszystkich stron złowieszcza ściana ciemności, chaos i niespokojne kłębowisko nocy.

Bennett jak zwykle drzemał w kabinie asdiku. Lockhart, przywarłszy do relingu, wpatrywał się przez zamglone szkła lornetki w jeden ze statków, według którego *Compass Rose* miała pilnować swojego miejsca w konwoju. Przemókł do nitki i zmarzł do szpiku kości. W namiękłych butach zlodowaciałe stopy chlupały przy każdym ruchu. Po twarzy ściągniętej od zimna woda spływała strumieniami, osadzając na brwiach, rzęsach i wargach biały szron soli. Nie czuł bynajmniej żalu do Bennetta, który powinien był stać na jego miejscu. Czuł tylko bezosobiste obrzydzenie do kogoś, kto będąc formalnie jego przełożonym, mógł w takiej chwili być zadowolony, że się wykręcił od swych obowiązków.

Zbyt obce były mu w tym momencie wszelkie rozgrywki osobiste, by się dłużej nad tym zastanawiać. Cały świat skupił się dla niego w huczącym sztormie i w jednej małej plamce po zawietrznej. Ta plamka to był statek, którego nie mógł stracić z oczu. Godzina za godziną pilnował *Compass Rose*, by nie zboczyła ze swego miejsca, zmieniał obroty maszyny, przybliżał się, gdy plamka zaczynała rozpływać się w mroku, i znów się oddalał, gdy wyłaniała się zbyt duża i wyraźna.

Wtem prysło jego napięte skupienie. Ktoś trącał go w ramię. Obrócił się i rozeznał w ciemności jakąś postać.

- Kto to? - zapytał. Przecież to nie mógł być Bennett.
- Tallow, panie poruczniku.
- A, to wy, bosmanie. Przyszliście popatrzeć na tę zabawę?
- Chciałem złapać trochę powietrza, panie poruczniku.

Obaj musieli krzyczeć. Wiatr porywał im słowa z warg i zmiatał je w ciemność.

- Przyniosłem trochę herbaty! - krzyczał Tallow.

Gdy Lockhart skwapliwie brał kubek z jego rąk, bosman dorzucił:

- Wlałem kapeczkę czegoś mocniejszego.

Herbata z rumem... Lockhart schylił się za osłoną relingu i pociągnął łyk z kubka. Gorący płyn przeniknął go płomieniem. Żaden trunek nie smakował mu równie wspaniale. Był serdecznie wzruszony. Tallow podjął dla niego trud gotowania herbaty o drugiej nad ranem, dołał do niej kieliszek własnego rumu i wdrapał się z tym wszystkim na pomost. Nie widział twarzy Tallowa, ale wyczuwał w jego zachowaniu współczucie, które rozgrzewało prawie tak samo jak gorący napój.

- Dziękuję wam, bosmanie - rzekł wypiwszy herbatę. - Bardzo mi tego było trzeba. - Znów przyłożył lornetkę do oczu, upewnił się, że *Compass Rose* nie zeszła ze swego miejsca, i odetchnął. - Co tam słyszać na dole?

- Okropnie, panie poruczniku. Już chyba gorzej być nie może. Tydzień minie, nim dojdziemy do ładu po tej harataninie.

- Już niedługo - pocieszał Lockhart, mimo że sam niezupełnie był o tym przekonany. - Jeszcze dwa - trzy dni i zawiniemy do portu.

- Żeby już jak najprędzej! Przecież to istne piekło. Chłopaki żałują, że nie zgłosili się do armii.

Do końca wachty rozmawiali w ten sposób, wrzeszcząc, aby przekrzyczeć sztorm. Lockhart rad był ogromnie z towarzystwa. Znalazł maleńką isierkę ciepła i współczucia wśród wścieklej napaści żywiołu. Jakże im tego będzie trzeba, jeśli Atlantyk zamierza nadal stroić fochy!

Ferraby czuł się fizycznie gorzej niż ktokolwiek inny. Przez większą część podróży cierpiał na morską chorobę, lecz nie poddał się ani razu. Kiedy czas było iść na wachtę, gramolił się po trapie, z twarzą podobną do brudnej, wyżętej chusty, i jakoś wytrzymał cztery godziny na pomoście. Potem zląził z powrotem po trapie, zmuszał się do zjedzenia czegośkolwiek, znów chorował i leżał w swej koi czekając, aż litościwy sen wymaże ze świadomości zgiełk sztormu i jego nędzny los. Często sen nie nadchodził. Leżał więc z otwartymi oczami przez cały czas wolny od służby. Były to chwile najgorsze. Zwątpienie w możliwość wytrwania na stanowisku gniotło sumienie nieznośnym ciężarem winy.

Pod koniec rejsu zdawało się, że nie wytrzyma nadmiernego wysiłku. Odczuwał to zwłaszcza wówczas, gdy musiał iść na nocną wachtę zażywszy ledwie godzinki snu w dusznej, rozkołysanej kabinie. Wciągając buty i płaszcz na ciepłej podpince, wsłuchiwał się w odgłosy sztormu dochodzące z zewnątrz, w głuchy, zażarty łomot fali o burtę okrętu i o pokład nad głową. Potem wspinał się powoli po trapie, bezmiernie wyczerpany z lękiem w sercu - przed wiatrem i przed tą męką, która czekała go na pomoście. Wpatrywał się w kwadrat ciemnego nieba widoczny w łuku zejściówki z nadzieją, że może wiatr zacichnie. Był bardzo słaby. Nie czuł już w sobie żadnej innej woli, prócz woli przetrwania tej wachty i następnej, i jeszcze kilku wacht, nim dojdą do portu. Kiedyś zatrzymał się w połowie trapu i zapłakał.

- Mavis! - wyrzekł to jedno słowo i począł wspinać się dalej, jak gdyby skądś, z góry, usłyszał odpowiedź swojej żony.

Znosił swą mękę samotnie i odważnie. Nie poddawał się, bo opuszczenie wachty, uznanie swej klęski, byłoby czymś o wiele gorszym niż morska choroba, niż zmęczenie i wiatr, i deszcz, i

wściekłość sztormu. Nie widział wyjścia, które by nie okryło go wstydem. A zatem po prostu nie było wyjścia.

Dowódca podtrzymywał ich wszystkich.

Nie miał ustalonych wacht, nie miał czasu wyznaczonego na spoczynek albo na sen, jeśli sen był w ogóle możliwy. On musiał czuwać nad wszystkim i sam wszystkim kierować na okręcie. Musiał spełniać rozkazy nadane sygnałem, określać pozycję okrętu, utrzymywać w porządku część konwoju powierzoną jego opiece i wysilać swą wiedzę z zakresu nawigacji, by ulżyć, ile się da, ciężkim zmaganiom korwety. Był niby mocna kolumna podtrzymująca sklepienie. Wszystko działało dzięki niezłomnej sile jego charakteru. Każdy człowiek z załogi chciał widzieć mocną, wysoką postać dowódcy w kącie pomostu. Trzeba im było koniecznie otuchy płynącej z jego obecności. Więc dawał ją szczerze, mimo iż bezsenne godziny sięgały zawrotnej liczby.

Był zmęczony. Nie pamiętał, by kiedykolwiek przedtem był tak bardzo zmęczony. Wiedział jednak, że to nie jest granica jego sił, że ma jeszcze rezerwy... Wszystko to wiąże się przecież ze stanowiskiem dowódcy - odwrotna strona medalu, równoważnik godności i szacunku, i oddawanych honorów. Małeńki okręt, oficerowie bez praktyki i straszliwa pogoda - to również wziął na siebie i nie ulegnie. Tak więc stawiał czoło wszystkiemu, co niosła chwila, i w nadmiarze swej siły brał na swe barki wszystkie troski. Był zawodowcem - jedynym pośród amatorów, którzy kiedyś będą mu może poważną pomocą, na razie jednak niewiele mogą dać z siebie. Praca na morzu darzy zawodowca nagrodą dumy. Tak czy owak trzeba ją wykonać, on zaś jest tym, któremu przypadła w udziale. Nie ma tu żadnego wyboru i żadnych wykrętów.

Ku końcowi podróży pokochali go prawie. Był silny, spokojny, nigdy się nie skarżył i można mu było ufać. Takiego właśnie dowódcy potrzebowali. Z innym, gorszym od niego, *Compass Rose* nie dałaby sobie rady. Dążąc wytrwale z powrotem do swego portu, poszturchiwana pięściami okrutnego morza, *Compass Rose* cieszyła się, że ma takiego dowódcę.

Żaden rejs nie trwa wiecznie, chyba że okręt zatonie. I ten rejs dobiegał już końca, poczuli bliskość wyzwolenia. Pewnego popołudnia - w szesnastym dniu podróży - ujrzeli przed sobą nowy horyzont: nie równy już, lecz poszarpany, nie rozmazany w bladej szarości nieba, lecz ciemniejący plamą lądu. Pogórze Szkocji wyłoniło się nagle przed nimi, wabiąc ku sobie. Gdy weszli pod osłonę północnego wybrzeża, zmniejszyło się kołysanie okrętu. Nim zapadł zmierzch, wpłynęli na spokojne wody. Zbliżali się ku portowi, który im obiecywał odpoczynek i spokój. Trudno było zrozumieć, że najgorsze już przeszło, że na tej samej *Compass Rose*, gdy szła na równej stępcie, mogło być ciepło i sucho. Trudno było uwierzyć w odprężenie, którego nie zaznali od dawna. Podejrzewali w tym jakieś złudzenie lub oszustwo. Morze Irlandzkie otworzy się pewnie gdzieś na drugim końcu i znów wypłyną na ocean, by podjąć następną rundę bezlitosnej walki. Zbyt długo cierpieli tortury, by wyrok uniewinnienia mógł od razu wzbudzić w nich wiarę.

Tak skończył się pierwszy rejs z konwojem. Był dla nich głębokim wstrząsem, zwłaszcza że w głębi serc wątpili, czy zdołają prowadzić walkę przeciw okrętom podwodnym, jeśli wypadnie ją wieść w tak okropnych warunkach. Lecz teraz nie myśleli o tym. Zacumowali do burty ropowca tak bezgranicznie wymęczeni, że tego wieczoru mogli już tylko usnąć kamiennym snem.

3.

Wszystko zdawało się wskazywać na to, że zostali przydzieleni do Liverpoolu na stałe, jako część liverpoolskiej grupy eskortowej, którą stopniowo formowano. Jednostki marynarki wojennej stały przy nabrzeżu Gladstone'a w dole rzeki, w pewnym oddaleniu od miasta. Basen był zatłoczony. Stały tam niszczyciele, kanonierki i korwety, wypuszczane teraz przez stocznie w poważnych ilościach. Las masztów, grupy marynarzy kręcących się po nabrzeżu, baraki i magazyny zbudowane specjalnie dla nich - wszystko to napawało otuchą jako dowód wzrastającego potencjału sił eskortujących. Temu wzrostowi towarzyszyło jednak nieustanne zwiększanie wielkości i liczby konwojów, tak że pokrycie zapotrzebowania na eskortowce zdawało się niemożliwe. Było też rzeczą oczywistą, że jeszcze przez długi czas bezpieczeństwo statków handlowych będzie narażone na znaczne ryzyko.

Wśród korwet, które znalazły się w Liverpoolu, była również *Sorrel*. Zatrzymała się dłużej w Ardnacraish z powodu jakichś nieporozumień z admirałem, o czym ludzie z *Sorrel* mówili niechętnie. *Compass Rose* spotkała się z nimi po powrocie z drugiego rejsu.

Ericson nie był zbyt zadowolony, że jego okręt ma bazę w porcie liverpoolskim. Sprawiało mu to nawet przykrość, której przyczyny nie lubił dochodzić. W teorii wszystko wyglądało cudownie: wracają z konwojem, w małym domku za rzeką Grace robi na drutach i czeka na niego. W praktyce musiało go to rozpraszać, a przecież chciał skupić się teraz wyłącznie na okręcie. Wyczuwał w tym niejasno jakieś oszustwo. Brał się za bary z ciężkim życiem, z ciężkim i trudnym obowiązkiem, a teraz dostanie się w inne objęcia i ostatecznie zostanie mu z tego przyjemność... Nie umiałby powiedzieć, jakie zło w tym tkwiło i,

oczywiście, nigdy nie wspomniał o tym żonie. Faktem było, że po przybyciu do portu wołał nocować na okręcie i drażniło go trochę, że musi się przed nią tłumaczyć.

Najwięcej cieszył się z Liverpoolu bosman Tallow. On także miał domek w Birkenhead, akurat na drugim brzegu, naprzeciw basenu Gladstone'a i dlatego nie wahał się w wyborze między wygodami życia na *Compass Rose* i na Dock Road pod numerem 29. Mieszkał ze swoją siostrą Gladys, która po śmierci męża, to jest od czterech czy pięciu lat, prowadziła mu dom. Za każdym razem, gdy przyjeżdżał na urlop, czekał na niego własny pokój, a siostra witała go serdecznie. Gladys Bell (pan Bell był listonoszem) pracowała w jednym z biur w Liverpoolu, dorabiając coś niecoś do skromnej emerytury po mężu. Miała koło czterdziestki, nieładna, lecz miłego usposobienia. Z Tallowem zgadzali się świetnie, nie wymagali od siebie zbyt wiele i było im razem dobrze. Miał nadzieję, że Gladys ponownie wyjdzie za mąż, mimo iż wiedział, że on sam na pewno na tym straci. Nic jednak nie zapowiadało nowego małżeństwa, z czasem więc przestał o tym myśleć. Jeśli jej dogadzało uczciwe wdowieństwo, to on nie miał nic przeciw temu.

Kiedy następnego wieczoru po przybyciu do portu wszedł do małej kuchenki oświetlonej lampą gazową i zawołał: - Jak się masz Glad! (zawsze tak ją witał, odkąd mogła spać) - jej brzydka, ziemista twarz rozjaśniła się radosnym zdumieniem. Ostatni raz widziała go przed sześciu miesiącami.

- Bob, mój chłopcze, skądże się wziąłeś?

- Mam tu trochę postać - odpowiedział. - To nasz port macierzysty. Nie mogło wypaść lepiej.

- Ależ to świetnie! - Natychmiast pomknęła myślą ku spiżarni: czym go uraczyć na pierwszą kolację na lądzie? - Jadłeś podwieczorek? - upewniła się najpierw.

- Podwieczorek? - zaśmiał się drwiąco. - Chcesz, żebym jadł podwieczorek na okręcie, kiedy wystarczy dostać się za rzekę i już mam wszystkie domowe pyszności?

Od progu dało się słyszeć nieśmiałe chrząknięcie.

- A, to ty! - rzekł Tallow z zakłopotaniem. - Sprowadziłem kolegę, Gladys. Szef maszyny Watts. Z tego samego okrętu.

- Przejdźmy do frontowego pokoju - rzekła, gdy już podali sobie ręce i wymruczeli pod nosem nazwiska. - Kuchni wolę nie pokazywać gościowi.

Zapaliła lampę gazową w bawialni. Przeładowany meblami pokój nagle ożył, jakby syk gazu był głosem reżysera dolatującym zza sceny. Był to najparadniejszy pokój w starym i odrapanym domku, lśniący czystością, wypieszczony. Trzeszczące fotele z bocznymi oparciami były wygodne, w samym środku stał godnie stół mahoniowy na czterech mocnych nogach, a różne drobiazgi zdobiące bawialnię były przeważnie pamiątkami, które sam Tallow przywiózł z Gibraltaru, z Hongkongu albo z Aleksandrii. Koronkowe firanki stwarzały atmosferę wytwornej dyskrecji, kosztem światła dochodzącego z ulicy. Z półeczki nad kominkiem spoglądał listonosz Tomasz Bell z miną tak ważną, jakby miał dla każdego z nich list polecony w torbie.

Gladys odwróciła się plecami do zapalonej lampy i z przyjemnością popatrzyła na obu mężczyzn. Obaj wyglądali sztywnie - czyściutkie marynarki, złote naszywki i kanty w spodniach ostre jak nóż. Nie po raz pierwszy musiała się dziwić, że tak świetnie potrafili utrzymywać swą odzież w ciasnych pomieszczeniach okrętu.

- Jak tam ten nowy okręt? - zwróciła się do brata.

Dwaj mężczyźni spojrzeli po sobie i Tallow odpowiedział:

- No cóż, chyba nie zdąży się zestarzeć.

Watts zaśmiał się i podrapał po łysym czole.

- Uważa pani, pani Bell, ta korweta jest trochę przymała. Mieliśmy marną jazdę, powiadam pani.

- Było niespokojnie?

- Tak niespokojnie, jak tylko można sobie wyobrazić - odparł Tallow. - Ciskało nami jak, jak... - szukał odpowiedniego porównania, lecz nie mógł znaleźć. - Pamiętasz, pisałem ci, że ona jest mała, ta korweta. Ale nie napisałem połowy tego, co było. Przeważnie chodziliśmy na głowach.

- A cóż okręty podwodne?

- To my byliśmy okrętem podwodnym, można powiedzieć. - Watts odtajał w przyjaznej atmosferze i przystosował się do niej z gotowością, której trudno się było po nim spodziewać. - Całymi dniami nie wysadzaliśmy głów spod wody. To pewnie nasza nowa, tajna broń - korweta pływająca pod wodą.

Gladys westchnęła ciężko.

- Nigdy nie myślałam... Należy wam się trochę odpoczynku.

- Należy mi się małe piwko! - zawołał raźnie Tallow. - Jak myślisz, Glad? Znajdzie się coś w kredensie?

- Nie, Bob - potrząsnęła przecząco głową. - Nie spodziewałam się was przecież. Najlepiej idźcie coś wypić „Pod Trzema Beczkami”, tam na rogu, a ja tymczasem zrobię wam podwieczorek.

Tallow mrugnął na Wattsa.

- Co ty na to?

Watts kiwnął głową.

- Czemu nie?

- Za pół godziny - przykazywała im Gladys. - Ani minuty później, bo wszystko się zepsuje.

- A co nam dasz?

- To już moja sprawa.

Wzięli czapki i zabierali się powoli do wyjścia. Zupełnie jak chłopcy, gdy chcą się wymknąć na wagary i udają, że są zajęci czym innym. Patrzyła ubawiona, jak wysuwają się boczkami do drzwi. Mężczyźni... Ci jednak zasługiwali chyba na tę nazwę. Przeszła do kuchni i zaczęła się krzątać radośnie, by móc ich przyjąć tak, jak powinni być przyjęci. Później, gdy siedzieli w zacisznej bawialni przy sutym ogniu płonącym na kominku, było im wszystkim bardzo dobrze. Mężczyźni opowiadali o rejsie, o różnych innych rejsach. Ona siedziała na uboczu i słuchała, dorzucając od czasu do czasu jakieś słowo. Nie podobała jej się wcale ta *Compass Rose*. Powiedziała im to wprost, bez ogródek. Oni jednak natychmiast stanęli w obronie korwety. Wszystko potrafili wyjaśnić i usprawiedliwić. Znowu... mężczyźni. Przyjemnie było mieć ich tutaj, wiedzieć, że odpoczywają, że są szczęśliwi po tylu okropnościach.

Po powrocie z pierwszego rejsu Ericson złożył natychmiast wniosek o przydzielenie mu jeszcze jednego oficera. Dla zastępcy dowódcy i dwóch podporuczników było stanowczo za dużo roboty na korwecie, nie mówiąc już o możliwości jakiegoś wypadku czy choroby, co jeszcze bardziej pogorszyłoby sytuację. Sprawa była zupełnie jasna. Najpierw omówił wszystko z jakimś wyniosłym oficerem sztabowym, któremu się zdawało, że korweta to okręt przeznaczony do lokalnych działań obronnych, a potem wyłożył wszystkie argumenty w oficjalnym podaniu do Admiralicji. Dokument ten musiał wypaść bardzo przekonująco, skoro Ich Lordowskie Moście zareagowały na niego już po trzech tygodniach. Odpowiedziano mianowicie, że podporucznik Morell zostanie przydzielony na *Compass Rose* jako „dodatkowy oficer

wachtowy”. Podporucznik Morell miał się bezzwłocznie stawić na okręcie.

Morell przyjechał prosto ze szkolenia i przywiózł z sobą zdumiewającą ilość waliz. Był to wytworny młody człowiek, bardzo dobrze ułożony i tak pewien siebie, że wydawało się wprost nieprawdopodobne, aby raczył zaszczyścić swoją osobą coś tak pospolitego jak korweta. W cywilu był dependentem adwokackim, produktem tego Londynu, który stanowił jaskrawy kontrast z cygańskim światkiem znajomych Lockharta. Lockhart wyobrażał go sobie w czarnym płaszczu i w spodniach sztuczkowych, wychodzącego z poważnych komnat Lincoln’s Inn¹⁵ na równie poważny lunch w „Savoyu”. Albo wieczorem, w nieskazitelnym fraku, w towarzystwie najbardziej dyskretnej debutantki sezonu, w „Ciro” lub w „Embassy”. Miał pełne godności, powolne ruchy i był niezwykle uprzejmy. W nowiułkim, wspaniale skrojonym mundurze nadawał się znacznie lepiej do salonów jakiegoś dyplomaty niż do, pożałuj Boże, mesy oficerskiej na *Compass Rose*. Osoba Morella była dyskretnym przypomnieniem, iż nietaktem jest okazywanie swych uczuć. Nie ulegało wątpliwości, że był wychowankiem Oxfordu.

Trudno było przypuszczać, by on i Bennett mogli się zbliżyć do siebie. Zaraz pierwszego wieczoru przy kolacji Morell przyglądał się z niedowierzaniem, jak Bennett wita zwykłym okrzykiem kielbaski, jak wtyka serwetkę za kołnierzyk i rzuca się z zapalem na niewybredną potrawę. Wyraz niedowierzania na twarzy Morella wydał się Lockhartowi zabawny. Morell nie pisał ani słówka, lecz widać było, że scena ta zrobiła na nim wrażenie. Później kiedy zostali w mesie sami, rzekł do Lockharta tonem wspaniale obojętnym, który był bardziej wymowny od słów:

- Jeśli się nie mylę, zastępca pochodzi z jakiegoś dominium?...

¹⁵ Lincoln’s Inn - siedziba sądów w Londynie (przyp. tłum.).

- Z Australii - powiedział Lockhart równie obojętnie.
- Ach, tak... Spotykałem już kiedyś Australijczyków. Zwykle ofiary jakichś nabieraczy. Nie można ich przekonać, że w Londynie łatwo się natknąć na ludzi sprytniejszych niż oni.
- To nadzwyczajne, jak ludzie wciąż dają się nabijać w butelkę.
- Może nie takie nadzwyczajne - odparł Morell po chwili namysłu. - Ale dość dziwne w każdym razie. A propos... Czy często dają na kolację kielbaski z konserw?

- Bardzo często.

Morell znów się zamyślił.

- Nie wiem, czy wojna będzie trwała długo, czy nie, ale na pewno będzie wydawać się długa.

Była to z jego strony jedyna uwaga, którą mógł ktoś uznać za wyraz krytycyzmu. Mimo tej rezerwy wcześniej doszło do leciutkiego starcia pomiędzy nim a Bennettem. Nazajutrz po południu, już po służbie, Morell odszukał Lockharta i dosyć oficjalnie poprosił go o pewne wyjaśnienia.

- Zastępca dowódcy użył wyrażenia, którego nie znam - zaczął Morell. - Chciałem więc pana poprosić, może pan wie, co to znaczy.

- Jakież to wyrażenie? - spytał Lockhart z powagą.

- Powiedział: „Nie strugaj pan ze mnie wariata”. - Morell zmarszczył czoło. - „Strugać wariata”... Muszę się przyznać, że nigdy tego nie słyszałem.

- O czym panowie mówiliście?

- Rozmawialiśmy o tym, w jaki sposób najlepiej zdemontować celownik na asdiku. - Zawahał się. - Może to jest dla pana trochę za bardzo techniczne?

- Nie - odparł Lockhart. - Ale mogło być za bardzo techniczne dla Bennetta. On przeszedł mniej subtelną szkołę.

- Tak, to zupełnie możliwe. Więc „strugać wariata”...?

- Prawdopodobnie ma znaczyć, że pan go poprawiał nie owijając tego w bawełnę.

Morell uśmiechnął się. Lockhart po raz pierwszy zobaczył uśmiech na twarzy kolegi.

- Zdaje się, że trudno byłoby załatwić to bardziej dyplomatycznie.

- Więc może przesadził pan właśnie w uprzejmości?

Tamten westchnął.

- Jakie to dziwne, znaleźć się między Scyllą a Charybdą pośrodku Atlantyku. Może powinienem wyjaśnić panu tę aluzję. Wie pan, były takie...

- Nie strugaj pan ze mnie wariata - powiedział Lockhart, naśladując wspaniałe wymowę Bennetta.

- Aha! - zawołał Morell. - Teraz rozumiem.

Zaśmieli się obaj. Lockhart był rad, że Morell przybył na korwetę. Niewątpliwie wprowadzi on pewne ożywienie do mesy oficerskiej, choć może mimo woli. A w mesie oficerskiej każda możliwość ożywienia nastroju była niezwykle pożądana.

4.

Kilka następnych rejsów nie różniło się wiele od pierwszego. *Viperous* w dalszym ciągu dowodził grupą eskortowców, wzmocnioną teraz przez *Sorrel*. Wciąż jeszcze nie zetknęli się z nieprzyjacielem. Okręty podwodne kręciły się w pobliżu, nieraz atakowały już inne konwoje, im jednak szczęście sprzyjało po dawnemu. W dzienniku zdarzeń nie odnotowali ani jednego strzału w akcji, tylko, jedna za drugą, uwagi o stanie pogody. Za

to pogoda ciągle dawała się we znaki Zdawało się, iż niezależnie od pory roku Atlantyk nie rozstanie się nigdy w zupełności ze swymi humorami.

Mimo to z wiosną i na początku lata dłuższe dni niosły z sobą ulgę. Wachty dzieńne były już mniej męczące, choćby okręt doświadczał takich czy innych przypadków. Mieli służbę co trzecią wachtę: cztery godziny na pomoście i osiem odpoczynku. Bennett i Lockhart pełnili służbę samodzielnie, a trzecią wachtę miał Ferraby razem z Morellem. Ośmiogodzinna przerwa w służbie była cudowną zdobyczą. Wychodzili na wachtę zupełnie wypoczęci i po prostu nie mogli uwierzyć, że można było przedtem obchodzić się bez tego. Ten nowy układ pracy był bardzo dogodny dla dowódcy, mógł on bowiem wysypiać się przez większą część dnia, o dowolnej zaś porze nocy, wypoczęty i rześki, gotów był stawiać czoło każdej potrzebie. Obserwując swych oficerów wachtowych, doszedł do wniosku, że Bennett był dobry tak długo, dopóki nie zaszło coś niespodzianego. Natomiast na Lockharcie można było polegać zupełnie i być spokojnym, że zawezwie dowódcę we właściwym czasie dla uporania się ze sprawą zbyt trudną dla niego samego. Morell i Ferraby do spółki tworzyli parę oczu i rąk godną zaufania. Czegóż więcej można się było spodziewać od beztroskiej gromadki amatorów wojenno-morskiej przygody?

Noce wymagały, jak zawsze, wysiłku i napięcia nerwów - obojętne, czy nieprzyjaciół był blisko, czy daleko. Co dzień o zachodzie rozlegał się gwizdek na zaciemnienie okrętu. Od tej chwili najmniejsze światelko nie mogło się pokazać na statkach handlowych ani na eskortowcach. Nikły promyczek światła mógł naprowadzić na trop okręt podwodny, który w zupełnej ciemności nie podejrzewał wcale obecności konwoju w swoim zasięgu. Zaciąganie zasłon wprowadzało nastrój oczekiwania. W ciągu dnia mieli już zwykle jakieś ostrzeżenie o okrętach podwodnych,

skoro zaś inne konwoje bywały nieraz w opałach, wcześniej czy później musiała przyjść kolej i na nich. Tak więc każdego dnia o zmierzchu okręt skupiał się w świadomości, że oto zbliżają się do czegoś niepewnego, że każdej chwili mogą wejść do akcji. W każdej sekundzie okręt podwodny może ich zwietrzyć z odległości iluś tam mil, torpeda może pomknąć złowieszczym torem, mogą usłyszeć wybuch w pobliżu okrętu lub poczuć go we wnętrzościach *Compass Rose*. Nakrywali brezentem wszystkie zejściówki i luki, ściemniali światła w pomieszczeniach załogi, gasili ogień w kuchni. *Compass Rose* sunęła w chłodnym wieczornym powietrzu, dążąc w kierunku horyzontu, który zaledwie odznaczał się między morzem a niebem. Podobna była do bladego cienia w gromadzie innych cieni, od których nie wolno było się odłączyć. Gdy blask księżyca nie mógł się przebić przez gęste zwały chmur, utrzymanie wyznaczonego miejsca w konwoju spieszącym naprzód wśród egipskich ciemności wymagało takiego napięcia uwagi i wysiłku oczu, że po czterech godzinach wachty czuli się zupełnie wyczerpani i niemal ślepi. Gdyby zgubili konwój lub zeszli ze swego miejsca, mogli za to zapłacić nie tylko rumieńcem wstydu następnego ranka. Wrogi okręt podwodny mógł wśliznąć się w miejscu nie strzeżonym, mogli mieć na sumieniu życie statków i ludzi.

Były w nocy i inne kłopoty, które komplikowały normalne zadania nawigacyjne. Okręty eskortowe miały raz na zawsze rozkaz chodzenia zygzakiem, by móc rozwijać większą szybkość i zmniejszyć możliwość trafienia przez nieprzyjaciela. Była to bardzo rozsądna ostrożność, wszyscy się z tym zgadzali. Ale zygzakowanie w noc ciemną choć oko wykol, powiększanie trudności trzymania się w konwoju o groźbę zderzenia z którymkolwiek z trzydziestu statków idących tuż obok - to wszystko nie było takie proste, jak parowierszowy rozkaz ze sztabu Royal Navy.

Lockhart miał teraz stale drugą wachtę - od północy do czwartej rano, na niego więc spadł ciężar czarnych, niepewnych godzin. Wypracował sobie własną metodę. Ustawiał *Compass Rose* ukośnie do konwoju, dziobem na zewnątrz, i szedł tym kursem przez kilka minut. Oczywiście po bardzo krótkim czasie znikaly mu z oczu inne statki i miał do swojej dyspozycji ogromny, pusty ocean. Było to częścią manewru. Następnie obracał okręt i tyleż minut szedł odpowiednim kursem w kierunku konwoju. Po zakończeniu manewru miał znowu kontakt z konwojem, w tym samym w stosunku do niego położeniu.

Manewr ten był z jego strony aktem wiary, który stale znajdował potwierdzenie w faktach, lecz mimo to wystawiał jego nerwy na próbę. Miał kiedyś sen koszmarny, który przerodził się w całą czarodziejską historię o *Compass Rose*. Okręt szedł kursem powrotnym w kierunku konwoju. Szedł, szedł i nie mógł dojść do niego. Ciemne, puste morze poblądło już w godzinie świtu, a wkoło wciąż nie było widać ani jednego statku...

Kiedyś dowódca zjawił się na pomoście, właśnie gdy byli na zewnętrznym końcu zygzaka i odpadli zupełnie od konwoju. Rozejrzał się wokoło, jakby nie wierząc własnym oczom.

- Gdzież oni są, panie Lockhart? - zapytał dość ostro.

Lockhart pokazał palcem:

- Tam, panie kapitanie... Jesteśmy na zewnętrznym zygzaku - dodał dla usprawiedliwienia pustego horyzontu. - Będziemy przy nich znów za siedem minut.

Ericson mruknął coś, co nie brzmiało zachęcająco. Lockhart liczył minuty i zastanawiał się, co powie dowódcy, jeśli koszmarnym razem się sprawdzi. Gdy wreszcie statki wyłoniły się znowu z ciemności, czarne i zupełnie prawdziwe, odetchnął z ogromną ulgą. Czuł, że Ericson to zauważył.

- Zygzakowanie na czas? - zapytał krótko dowódca.

- Tak, panie kapitanie.

- Zapisuj pan kurs po każdej zmianie. Lepiej nie zdawać się z tym na sternika, może się pomylić.

I zszedł z pomostu nie mówiąc nic więcej. To właśnie podobało się Lockhartowi w dowódcy: jeśli ci ufał, to dawał tego dowód. Nie kręcił się w pobliżu udając, że robi coś innego, nie pilnował cię bez ustanku jak niańka. A przecież miał prawo niepokoić się i stawiać pytania, kiedy miał na to ochotę. Gdyby stracili kontakt z konwojem z winy któregośkolwiek z oficerów, winnym wobec władz byłby tylko dowódca.

Lockharta drażniło w szczególny sposób przekazywanie wachty Bennettowi. Zgodnie z tradycją zastępca dowódcy miał wachtę poranną - od czwartej godziny do ósmej. Bennett trzymał się tego zwyczaju, jeśli chodzi o przestrzeganie godzin, poza tym jednak trudno twierdzić, by wypełniał swe funkcje. Było to wprost okropne dla Lockharta. Przez całą drugą wachtę trzymał się wiernie konwoju, zachowując ściśle swe miejsce i wykonując szybkie, precyzyjne zygzaki, a potem, na końcu wachty, oddawał *Compass Rose* w pozycji dokładnej co do cala. I wtedy, schodząc z pomostu, słyszał, jak Bennett mówi:

- Sygnalista! Widzicie tam ten statek? Powieście mi, kiedy zaczniemy go tracić z oczu. - I pakował się do kabiny asdiku.

Pewnego pięknego poranka - myślał Lockhart - wszyscy mogą postradać życie tylko dlatego, że Bennett nie lubi świeżego powietrza. Nie były to jednak rzeczy, na które mógłby się poskarżyć w drodze służbowej. Trzeba zaczekać, aż dowódca sam się spostrzeże.

W tym okresie - wciąż jeszcze nie był to dla nich okres wojny, lecz raczej spokojnych ćwiczeń - najciężej było im znosić

nieustające kołysanie, urozmaicone od czasu do czasu okrutnym trzeszczeniem, którym *Compass Rose* witała każdą falę dziobową, a od którego mrowie przebiegało wzdłuż krzyża. Kołysanie dawało się we znaki wszędzie, czy to na służbie, czy poza nią. Nieraz przez cztery godziny bez przerwy musieli trzymać się kurczowo relingu na pomoście, przemoknięci do suchej nitki i zziębnięci, podczas gdy okręt bezwstydnie kładł się na burtę pod kątem czterdziestu stopni. Poza służbą, kiedy niby to mieli odpocząć, przy stole jedzenie spadało na kolana, meble trzeszczały, przesuwały się, a czasem urywały i tłukły po całym pomieszczeniu. Mimo nieustannej czujności ciągle się o coś uderzali. Gdy wychodzili z kabiny, drzwi waliły ich w plecy. Zaledwie sen rozluźnił napięcie uwagi, wylatywali z koi na podłogę. A na podłodze leżały w nieładzie książki i papiery, ubrania i buty, powyrzucane z szuflad i szaf przy jakimś gwałtownym przechyle.

Okropnie wyczerpujące było to, że nigdy nie mogli odpocząć, że zawsze coś się psuło, coś waliło się na nich, coś urywało się i tłukło, hałasowało godzinami. Był jakiś przekłęty rytm w tym ruchu. Czuli się zmęczeni. Zmęczeni nieustannym trzymaniem się czegoś, zmęczeni tym, że za każdą sekundę zapomnienia musieli płacić skaleczeniami nóg i ramion, rozcięciem wargi albo skręceniem kostki. Ale nie można było uniknąć tych rzeczy, należały one w sposób naturalny do procesu pływania na korwecie. Niekiedy, stojąc na pomoście, patrzyli, jak *Sorrel* tańczy na fali niby korek, jak bryzgi piany przelatują ponad nią, ona zaś przedziera się naprzód przez wzburzone morze. Wydawała się mocna, wyglądała jak piękny obrazek - ładnie, i tak, jakby wiedziała, czego chce. Szkoda naprawdę, iż rzeczywistość na pokładzie *Sorrel*, podobnie jak na *Compass Rose*, była tak niewymownie przykra.

Jeden z rejsów, który odbyli w tym czasie, był doskonałym tego przykładem. Po dziewięciu dniach drogi w jedną stronę wracali do kraju ufni, że uda się iść szybko, że tydzień nawet nie minie, jak będą w swym porcie macierzystym. Stało się jednak inaczej... Sztorm wyrwał się znienacka i nie tylko rozproszył konwój, lecz w dodatku przez dwa dni bez przerwy trzymał statki niemal w bezruchu, z jedyną nadzieją na odmianę pogody. W ciągu owych dwóch dni *Compass Rose* zrobiła osiemnaście mil morskich, posuwając się bokiem i biorąc kurs na południe. Szła z małym statkiem handlowym, który miał jakąś awarię w maszynie i prosił, by mu towarzyszyć. Przez całe czterdzieści osiem godzin *Compass Rose* okrążała powoli bezbronny statek. Każde okrążenie trwało aż trzy godziny, okręt bowiem z dręczącą powolnością przedzierał się przez fale spiętrzone w olbrzymie góry i kołysał się, kołysał nieustannie, jakby chciał wyszarpnąć z siebie maszt i wyrzucić go w morze.

Stracili jedną ze swoich łodzi, która znikła pod falą i nie pokazała się więcej. Stracili kilka blaszanek ze smarem, ustawionych na rufie. Tracili też nieraz cierpliwość, lecz ona musiała powracać, musiała pocić się i męczyć aż do samego końca... Gdy wreszcie sztorm się wyszalał i ucichł, następne dwadzieścia cztery godziny spędzili na szukaniu statków handlowych i formowaniu ich w konwój. Rejs trwał dwadzieścia dwa dni. Pod koniec zarówno *Compass Rose*, jak jej załoga wyglądali, jakby przeszła nad nimi fala pływowa, pozostawiając ich w strzępach i bez sił.

W czasie każdego rejsu wyżywienie stawało się po kilku dniach nieznacznie jednostajne i prymitywne. Na *Compass Rose* zapas świeżego mięsa, chleba i jarzyn wystarczał na pięć dni. Potem powtarzały się w nużącej kolejności kielbaski i pieczeń duszona z

puszki, twarde suchary i herbata. (Na puszkach z pieczenia naklejona była etykieta z takim napisem: „Wiejski obiad domowy od mamy Jameson”. Morell, przypatrując się niewyraźnej potrawie na talerzu, powiedział: - Muszę to sobie zapamiętać, żeby nigdy nie pójść na obiad do pani Jameson.) Do utrzymania przy życiu to wystarczało, ale to było wszystko. Jedli te okropne potrawy w mesie zalewanej przez fale, a w najlepszym razie pocącej się w ciągu całej podróży. Nie było obawy, aby rozkosze podniebienia zdołały odwieść kogokolwiek od spełniania swych powinności na *Compass Rose*.

Mimo to zdawali sobie sprawę, że zdarzały się chwile, kiedy można było odpocząć, chwile, kiedy cudownie było znajdować się na morzu. Od czasu do czasu wachta na pomoście w spokojne popołudnie zdawała się rozkosznym sposobem spędzenia czasu - aż śmieszne, że płacono im za to. Konwój szedł w sprawnym szyku, ani śladu okrętów podwodnych, gorące, wiosenne słońce świeciło z bezchmurnego nieba. Dzielne okręty eskortowe (wśród nich korweta *Compass Rose*) szły naprzód, ciągnąc za sobą szeroki, biały i migotliwy ślad, oznaczający drogę bez przeszkód i jeden dzień bliżej domu. Na pomoście nie było nic do roboty, prócz notowania zmian kursu przy zygzakowaniu; trzeba też było uważać na *Viperous*, czy się nie zbudzi zbyt wcześnie po drzemce poobiedniej. Poza tym - było ciepło, powietrze świeże i czyste, spokojny okręt pod stopami i czasem jakiś dźwięk: gramofon albo syk wody tryskającej z węża, szczęknięcie wiadra opróżnionego ze śmieci - ot, żeby nie zapomnieć, że *Compass Rose* w tym pomyślnym rejsie miała na swym pokładzie niemal dziewięćdziesięciu ludzi.

Zdawali sobie sprawę, że niektóre noce były niezrównanie spokojne i piękne, że wynagradzały setki godzin ciężkiego wysiłku. Czasem na osłoniętych wodach, gdy świecił księżyc w pełni, przesuwali się wraz z całym konwojem obok wzgórz

kreślących poszarpaną linię na niebie usianym gwiazdami. Sunąc w cieniu tych wzgórz rozcinali połyskującą wodę ostrzem stępki i odkładali lśniąca bruzdę. Ciągnęła się za nimi daleko, daleko, wpadała w księżycową poświatę i rozpływała się w niej. Przyjemnie było stać na wachcie, gdy nocny wietrzyk igrał i nucił nad okrętem melodię z wyspy Prospera. Morell i Ferraby mówili od niechcienia o swych domowych sprawach. Lockhart i Wells, w czasie następnej wachty, skracali ją sobie wspomnieniami, przewidywaniem przyszłości. Bardzo niewiele mieli tych nocy czarodziejskich, nie zepsutych zmęczeniem, nie zakłóconych alarmem. Słodycz takiej nocy, podarowanej przez los, zostawała na długo w pamięci. Raz i drugi Ericson, wychodząc na pomost przed świtem, zastawał wszystko w tak idealnym spokoju, okręt tak miękko otulony w ciemność, że trudno było uwierzyć w cel ich podróży. Płynąc po gładkiej wodzie *Compass Rose* jakby wyzbyła się wszystkich złych cech swego charakteru. Była już tylko wcieleniem spokoju, ufnego bezpieczeństwa.

Zdawali sobie sprawę z tego, że już okrzepli w zmaganiach z innymi nocami, pełnymi brutalności i nieskończonej długimi. Stali się chytrymi w przewidywaniu ataku kolejnej fali na okręt i doświadczeni w wymykanii się skutkom tego ataku. Chwytać za co się da przy przechodzeniu z miejsca na miejsce, wciskać się w koję tak, by nawet w głębokim śnie nie dać się z niej wyrzucić, nie dopuścić do swego ciała zimna i wody - oto mądrości, których uczyli się w twardej szkole tak długo, aż weszły im w krew. Nawet brak snu łatwiej już teraz znosili. Potrafili zasypiać na pięć minut, kiedy się dało, a w razie potrzeby mogli obywać się bez snu zadziwiająco długo, nie tracąc przy tym nic z ostrej czujności. Godzili się na twarde konieczności życia, lecz świeżość uczuć normalnych, osobistych, stopniowo zanikała.

Pewnego wieczoru Lockhart złapał sam siebie na gorącym uczynku. Odrzucił tomik esejów, zakupiony przed wyjściem na

morze, by zabrać się do byle jakiego, niewybrednego magazynu. Przestraszył się tym i pomyślał: Do diabła, robię się podobny do Bennetta... W pewnym sensie było tak naprawdę i musiało tak być. Minął czas na wrażliwość, miękkość nie była już w modzie, a różne uczucia musiały siedzieć cicho, póki nie zostanie spełnione bezlitosne zadanie wojny.

Nade wszystko zdawali sobie sprawę z tego, że mogą cieszyć się naprawdę tylko jednym fragmentem każdego rejsu - ostatnim jego dniem, kiedy płynęli po osłoniętych wodach i szykowali się na wejście do portu. Idąc przez Morze Irlandzkie ostatnim kursem na port macierzysty, brali się raźnie do roboty, porządkowali okręt po strasznym chaosie podróży. Otwierali szeroko iluminatory, by świeży powiew przedmuchał każdy zakątek, ściągali wilgotną odzież i rozwieszali, by wyschła, zwalniali z zamocowań stoły i stołki w pomieszczeniach i ustawiali wszystko jak należy. Słońce grzało namokłe pokłady i suszyło je prędko, pozostawiając białe osady soli. Mewy polatywały nad dziobem krzyżując ścieżki swego lotu, jak gdyby słały im drogę i witały na progu domu.

Konwój - długi rząd statków, których strzegli przez wiele dni przemierzał ostatnią milę swej trasy, w górę rzeki i do nabrzeża. Wyładowany, wypchany towarami pod same pokłady, konwój wydawał się godny ich trudu. Jego widok budził w nich dumę i zarazem wdzięczność, że oto przeprowadzili go bezpiecznie. Okręty eskortowe oddzielały się i płynęły jeden za drugim obok niedawnych swych pupilów, wciąż dalej w górę rzeki. Przybywali w końcu do portu swych marzeń: spokojny postój przy ropowcu, świeża poczta, gorąca kąpiel, czysta odzież, sen, wypoczynek po tyłu nocach i dniach, kiedy nie wolno było nawet marzyć o takich rzeczach.

5.

Okazało się, że mogą iść na urlop, właściwie - część urlopu, na sześć dni. Szła połowa załogi, a z oficerów wszyscy oprócz jednego. *Compass Rose* miała przechodzić czyszczenie kotłów i drobne naprawy. Był to pierwszy urlop od dnia przejęcia okrętu przed pięciu miesiącami. Czuli, że zarobili na ten odpoczynek, a dowódca, mimo że nie utwierdzał ich w takim mniemaniu, po cichu przyznawał im słuszność.

On sam przez sześć wieczorów siedział w wygodnym fotelu naprzeciw Grace i nie mógł się zżyć ze spokojem, jaki panował w domu. Na *Compass Rose* zawsze coś się ruszało: nawet w czasie postoju działała wentylacja w maszynie, szumiało dynamo, wachtowy tłukł się po górnym pokładzie, nadchodziły sygnały, cicho dźwięczał alfabet Morse'a w kabinie radiostacji, a w mesie oficerskiej aparat radiowy rozweselał jak mógł smętnych marynarzy, uwięzionych w głębi basenu Gladstone'a. A tu nie było nic, prócz lekkiego dzwonienia drutów w rękach Grace i szelestu węgla w kominku. Teściowa odłożyła na później swe przybycie, lecz mogła zjawić się niedługo. Ich syn John był gdzieś na morzu. Od chwili przejęcia *Compass Rose* Ericsonowi nie udało się spotkać z synem, mimo że wychodzili i wracali do tego samego portu. Tak więc w milczącym domu siedzieli we dwoje naprzeciw siebie. Dla Grace nie było w tym nic niezwykłego, lecz Ericson odczuwał niepokojący kontrast z właściwym trybem swego życia.

Były też inne sprawy, do których nie mógł przywyknąć. Ten dom był domem kobiety: miękki, nawet zalotny. Mnóstwo poduszek zaścielało tapczan, wszystkie ozdoby były kruche i delikatne, i nieodmiennie wesołe. Obrus to jakieś koronkowe cudo, o które zaczynał rękami przy każdym ruchu. Czuł się tu nie na miejscu. Dom kruszył i rozluźniał jego wewnętrzną dyscyplinę

w momencie, gdy najważniejszą sprawą było surowe wyrzeczenie. Spał z Grace w podwójnym małżeńskim łóżu na górze i znowu czuł w tym jakieś pobłażanie samemu sobie, jakieś przyjemne ciepło, którym nie chciał się rozkoszować. Grace była jego żoną, lecz kiedy leżał tuż przy niej, choćby w bezwładzie snu, odczuwał w tym zmysłowość, kłam zadawany instynktowi wstrzemięźliwości.

Jeśli nawet zauważała jego subtelny powściągliwość, nie dawała nic poznać po sobie. Od wielu lat przywykła brać rzeczy według ich oficjalnej, widocznej dla wszystkich wartości; tak samo przyjmowała swojego męża. Czas wojny nie był czasem właściwym do zadawania pytań, co się ukrywa pod gładką powierzchnią poprawnych stosunków.

- George, jesteś taki niespokojny - zauważyła którejś nocy, gdy kręcił się i przewracał na łóżku do dwunastej, aż zbudził ją ze smacznego snu. - Nie możesz usnąć?

- To łóżko - odburknął rozdrażniony. - Nie mogę się do niego przyzwyczaić.

- Myślałam, że marynarz potrafi usnąć w każdym łóżku. - Na pograniczu snu i jawy jej zdrowy rozsądek nabierał czasem takiego posmaku, że można by ją posądzić o frywolność. W normalnych warunkach nie pozwoliłaby sobie na tak dwuznaczną uwagę.

- Widocznie ten marynarz nie potrafi.

- Może ci zrobić herbaty?

- Nie, dziękuję.

Teraz, gdy się zbudziła, nie pragnął niczego więcej, jak tylko żeby znów szybko zasnęła, pozostawiając go w samotności. Im dłużej rozmawiali z sobą w nastroju intymnym, tym głębiej dawał się wciągać w ów świat miękkości, obezwładniającej siłę męskiego ducha. Nawet przed wojną wzdragał się czasem na to

powtarzające się okresowo wewnętrzne rozbrojenie. Pływanie to jednak zawód dla swobodnego, mocnego mężczyzny. Obecnie, w czasie wojny, takie rozbrojenie było po prostu zdradą... Gdy Grace obróciła się na drugi bok i znów usnęła, zaczęły go z powrotem prześladować dziwne, przesadnie dramatyczne myśli. Nigdy nie czuł się tak jak teraz. Może za bardzo to wszystko wyolbrzymia, może naprawdę potrzeba mu urlopu? Nie znaczy to jednak, by miał się zupełnie rozkleić. Jutro wpadnie na okręt. Rozejrzy się tylko, zobaczy, czy wszystko w porządku.

Bennett pogadywał z kobietą w pokoju hotelowym. Z kobietą wiadomego gatunku - zepsutą, doświadczoną, stwardniałą na kamień. Pokój też był wiadomego gatunku. Hotel przyczął się w dzielnicy portowej. Był siedliskiem nierządu tak pośpiesznego i nieustannego, że niekiedy więcej ludzi kręciło się po schodach, w górę i na dół, niż korzystało z pokoiów sypialnych. Hotel podobny był do plugawego ula, oddanego bezdusznym praktykom seksualnym, szumiącego miłosnym brzęczeniem... Gdyby Bennett mógł wiedzieć, że ten sam budynek w tej samej chwili gości prócz niego jeszcze czterech członków załogi *Compass Rose*, byłby tym niewątpliwie zaskoczony jako przejawem niesubordynacji. Nie przyszłoby mu na myśl, że to on znajdował się w niewłaściwym miejscu.

Gdy rozwiązywał krawat przed lustrem zmętniałym od brudu i starości, za jego plecami zaskrzypiały sprężyny łóżka - to kobieta przysposabiała się na jego przyjęcie. Tymczasem prowadzili rozmowę stosowną do okoliczności.

- Miałeś przyjemną podróż?

- Jak cholera - rzekł Bennett zwięźle. - Za każdym rejssem jest coraz gorzej. Myślę, że rzucę to wszystko do diabła.

- To chyba niemożliwe?

- Już ja coś wymyślę. Nie mogą mnie na zawsze zamknąć na tej gówniarskiej łajbie niby w kojcu.

- Dziwne życie na takim okręcie. Tyłu chłopów razem upchniętych... O czym wy rozmawiacie?

Bennett ściągnął już spodnie do połowy.

- No, jak ci się zdaje?

- O kochaniu, nie? Ja myślę, że wciąż o kochaniu.

- Tak, mniej więcej.

- Podobno wszyscy marynarze są tacy. - Istota, której nie mogła zadziwić żadna brutalność ani ordynarność, spotykane na co dzień w jej zawodzie, wydała z siebie coś niby sentymentalne westchnienie. Był to jeden z drobnych triumfów jej sztuki nad szczerym przekonaniem.

- Niedawno pisało w „Mirror”, że wciąż aby patrzą i patrzą za kobietą.

- Coś podobnego! - uśmiechnął się Bennett obłeśnie. - Marynarz zawsze tam czegoś wypatruje. Ale kobieta i przytulna norka czekają przecież na niego.

Odruchowo odpowiedziała uśmiechem. Dla niej żaden nieprzyzwoity żart nie był już nowy ani też zabawny, ale klienci okropnie to lubili. Jeden mało nie wypadł z łóżka, tak się śmiał mówiąc jej o znajomym, którego skurcz chwycił akurat przy robocie. Odwieźli go do szpitala na jednych noszach z dziewczyną. Choćby ją mieli zabić, nie umiałyby zmusić się do uśmiechu z tego kawału...

- No - rzekł Bennett podchodząc do łóżka. - Kupę czasu na to czekałem.

- O rany, jaki namiętny! Może ty jesteś Francuz?

- Jedna rzecz tylko jest we mnie francuska. - Tu Bennett głośno zarechotał.

Kobieta znów się uśmiechnęła.

- Bardzo komiczne... Na pewno jesteś Francuzem - obstawała przy swoim. - Mówią, że Francuzi są okropnie namiętni i z tego prędko umierają.

- Nie można wstrzymywać się bez końca - tłumaczył jej rzeczowo. - Cztery miesiące nie folgowałem sobie ani razu.

- No tak, to się tego nabiera - zauważyła obojętnie. - Ostrożnie teraz...

Morell tęsknił za spokojnym wieczorem w domu, ale rzekł do żony:

- Oczywiście, kochanie. A dokąd chcesz iść?

Elaine Morell nie odpowiedziała od razu. Tyle było przyjemnych lokali, a mieli na to zaledwie pięć dni... Oczywiście, że mogła pójść wszędzie i bez niego, ale tak miło będzie, jeśli właśnie w czasie jego pobytu będą się bawić jak najwięcej. Wygląda naprawdę ślicznie w tym mundurze, mimo że cienki, pojedynczy pasek na rękawie jest trochę zniechęcający. Zrobiła minę do lustra, poprawiła niesforny loczek nad karkiem i odrzekła:

- Ty decyduj, kochany. Przecież to twój urlop.

Morell, wyciągnięty na łóżku za jej plecami, zastanawiał się, czy istotnie tak było. Miał nawet wątpliwości, czy - jeśli chodzi o żonę - cokolwiek naprawdę od niego zależy. Była niewiarygodnie piękna i tak umiała przekonywać, że jego wola, każdy rozumny sąd unicestwiały się w jednym momencie. Na jedno przytknięcie jej paluszków gotów był wyrzec się wymarzonego projektu. Ludzie widzieli w nim poważnego młodego człowieka z otwartą głową, który wyrabia sobie własne

poglądy i piękną przyszłość w świecie prawniczym. Lecz nie wiedzieli, nie mogli się domyślać, że jego małżeństwo działa niby zmysłowy rozpuszczalnik na to wszystko, co można było w nim cenić.

Była podrzędną aktoreczką na jednej ze scen londyńskiego West Endu. Chwilowo nie występowała, lecz wojna przysparzała jej zajęć w innym zakresie... Gdy Morell się z nią żenił, miał uczucie, że sam odegra jakąś rolę, tak bardzo dziwaczny wydawał mu się związek pomiędzy nim i tym uroczym stworzeniem. Dziwaczność znikła dzięki temu, że w jej obecności przestawał być sobą, zupełnie i pod każdym względem. Przemawiał do niej tak, jak do nikogo innego, z nieśmiałą czułością, której nie znał w nim żaden z jego przyjaciół i żaden nie byłby w nią uwierzył. Słuchał jej słów i odpowiadał na nie w taki sposób, jak gdyby puste szczebiotanie tych pięknych usteczek było co najmniej przemówieniem prezesa sądu najwyższego do sędziowskiego zespołu... Robił wszystko, co mu kazała robić.

Teraz na przykład jest rozpaczliwie zmęczony. Już trzeci wieczór z kolei chodzą po dansingach i restauracjach, a przecież chce nade wszystko spokoju, chce mieć Elaine tylko dla siebie. Zaraz na wstępie oświadczyła, że musi go wszystkim pokazać. Zaczął się korowód coctailów, kolacji w lokalach i zabaw w nocnych klubach. Nawet pierwszego dnia urlopu wrócili do domu o czwartej rano. Oczywiście wynagrodziła to potem, wynagrodziła z taką podstępą hojnością, że jego zmysły, po trzech miesiącach wygłodzenia, rozprężyły się i zapadły w otchłań. Ona musiała też to odczuć.

- Kochanie - powiedziała tym niskim, gardłowym głosem, który zawsze podniecał go na nowo, nawet w chwili zaspokojenia. - Kochanie, musisz chyba częściej mnie opuszczać... po to, żeby powracać... To było straszliwie słodkie.

Po tak gorącym przywitaniu jakże trudno było odmówić jej czegokolwiek. A gdyby odmówił (tę myśl lepiej zachować w tajemnicy), jak prędko mogłoby wyschnąć słodkie źródło zapamiętania... Była piękna - nie jakąś pięknosłą wyniosłą, niedostępną. Jej twarz przyzywała, usta składały się do pocałunku. Ciało miękkie i doskonałe w kształcie promieniowało takim żarem, że jego przeznaczeniem mogło być tylko stopienie się w twardym uścisku mężczyzny. Morell czuł do niej pociąg zmysłowy, którego ostrości nie mogły złagodzić dwa lata małżeństwa. Każdy jej ruch wzniecał w nim obłąkane pragnienie, jej ciało mieniło się odblaskiem jego rozkoszy. Nawet teraz, gdy patrzył, jak się ubiera, perfumuje ramiona i szyję, poprawia stanik na prześlicznych piersiach, czuł, że go to podnieca... Jeśli zechciała, mogła w dowolnej chwili rozpać w nim szaleństwo, a jeżeli nie chciała, szaleństwo tać się w nim, zmieszane z rozpaczą.

Oczywiście, żądała od niego zbyt wiele. Oczywiście, robiła sobie zabawkę z człowieka rozsądnego, za jakiego się miał. Lecz jedno jej spojrzenie, jeden ruch wynagradzał to wszystko i sprawiał, że naturalną i najważniejszą rzeczą było zrobić jej przyjemność, że każde inne zachowanie zdawało się grubiaństwem. I znowu - gdyby nie chciał sprawić jej przyjemności, gdyby spróbował w czymkolwiek sprzeciwić się jej woli, mogło się to okazać niebezpieczne. Nie śmiał tego uczynić. Było tak wielu innych mężczyzn...

Zaraz pierwszego wieczoru po przyjeździe zadzwonił jeden z „tych innych”. Elaine była właśnie w kąpieli i zawołała z łazienki:

- Przyjmij, kochanie. Jestem całutka mokra.

Kiedy podniósł słuchawkę, jakiś męski głos, przygłuszony muzyką i gwarem, odezwał się natychmiast:

- Elaine? Mamy wspaniałe towarzystwo, brak tylko twego cudnego ciała. Może byś przyszła?

Morell zapytał głupio:

- Halo?

- O przepraszam! - zreflektował się tamten. - Kto przy telefonie?

- Morell.

- Kto taki?

- Morell.

- Ach, tak... - Zakłopotany śmieszek. - Bardzo przepraszam, nie wiedziałem o pańskim przyjeździe.

- Powiem żonie, że pan telefonował. Można wiedzieć, kto mówi?

- O, to nieważne. Nie zwracaj pan sobie głowy. Cześć! - Robił wrażenie cokolwiek zalanego, ale nie tak zupełnie.

Tego wieczoru tańczyli znów do późna. W klubie było gorąco, hałaśliwie. Panował nastrój tak nieskrępowany, jak wśród mieszkańców ZOO. Był tłok. Elaine miała mnóstwo znajomych, w tym z pół tuzina lotników, którzy kolejno prosili ją do tańca. W pewnym momencie, tuląc się do męża w kolorowym półcieniu parkietu, pogładziła go po rękawie i zapytała cicho:

- Kiedy dostanie awans mój najmilszy?

Natychmiast przestał czuć się dumny, że na jego ramieniu spoczywa ta cudna główka. Poczuł się głupio.

Jak zwykle, potrafiła rozproszyć tę chmurkę, gdy powrócili do domu. Alkohol jej w tym dopomógł, podniecił erotycznie. Gdy splekli się w uścisku, zepchnęła go w przepaść bez dna, wyssała z niego wszystką siłę, aż miłosne zmęczenie zmieniło się w ból i tylko sen mógł przynieść mu ulgę.

Ostatecznie miał przecież urlop.

Ferraby i Mavis spędzali czas cudownie, w czułym wzajemnym oddaniu. Mieszkała teraz u matki i nie mieli zbyt dobrych warunków w ciasnym, podmiejskim domku w Purley. Ani przy stole, ani wieczorem nie mogli być sami. Ale rozkosznie było znów na nią patrzeć, rozkosznie znowu być kimś, doznawać względów i szacunku po wzgardliwym lekceważeniu na *Compass Rose*. Można było zapomnieć o drobnych niedogodnościach. Spadł z niego wszelki przymus, znikła nieodstępna nienawiść. A kiedy byli we dwoje, nawrót subtelnej czułości uderzał go tak bardzo przeciwieństwem do atmosfery na okręcie, że zrazu nie śmiał w nią uwierzyć.

- Ależ on musi być po prostu okropny - oburzyła się Mavis, gdy mąż wspomniał jej o manierach Bennetta i jego sposobie postępowania. - Dlaczego na to pozwalają?

- Widzisz, to dyscyplina - rzekł wymijająco. Sam w to nie wierzył, ale wstyd nie pozwalał powiedzieć jej o wszystkim. Nie chciał jednak, by cień ten stał pomiędzy nimi.

- Zastępca dowódcy chce rzeczywiście rządzić okrętem, więc i oficerami.

- Ale nie musi tak obrzydliwie postępować.

- On już taki jest.

- Nie powinni na to pozwalać - powtórzyła uparcie. - Miałabym ochotę powiedzieć mu wszystko, co o nim myślę.

Kochana Mavis, taka miła i śliczna we flanelowych spodniach i granatowym sweterku z angory. Jej słodka twarzyczka ściągnęła się od gniewu i smutku... Pocałował ją i powiedział:

- Zapomnijmy już o tym. Chcesz, pójdziemy na spacer?

- Jeżeli nie jesteś zmęczony.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

- Czymże mam być zmęczony?

Zarumieniła się i nie patrzyła mu w oczy.

- Mój panie mężu, jesteś niemożliwy... Wiesz dobrze, co miałam na myśli.

Poczuł się bardzo męski i wziął ją pod ramię.

Ale nazwisko Bennetta wyzwoliło w nim potok myśli, których nie mógł odpędzić. Tej nocy przyśniła mu się *Compass Rose* pośród sztormu. Śnił, że Bennett krzyczy na niego i nie pozwala mu podać komendy na ster, że grozi im strzaskanie o skały na brzegu. Zbudził się z głośnym krzykiem, cały spocony ze strachu, właśnie w tej chwili, gdy okręt, niesiony na białych grzbietach fal, pędził z zawrotną szybkością prosto na skały... Mavis tuliła go w ramionach. Przerażało ją drżenie jego ciała zlanego potem, przerażała świadomość, że każdy dreszcz rodził się z burzy uczuć, nazbyt gwałtownej dla niego. Przepraszał ją za to, że narobił krzyku, tak jakby tłumaczył się z beznadziejnego kalectwa, które powinno wzbudzić w jej sercu litość.

- Musiało mi się coś śnić - wyszeptał ochryple. - Przepraszam cię, najdroższa.

- Powiedz mi, Gordon, o czym był ten sen?

- Okręt...

- Opowiedz wszystko.

- Już nie pamiętam. - Lecz po chwili zaczął jej opowiadać. Trzymała go mocno i słuchała z niedowierzaniem, ze współczuciem nowym i pełnym zrozumienia, które zalewało jej serce jak morze. Bo w końcu odsłonił jej wszystko - swój strach i niepowodzenia, tchórzliwe zwątpienie w to, czy potrafi wytrwać, całą prawdziwą historię ostatnich miesięcy. Łatwiej mu było tak w ciemności, gdy czuł jej głowę na ramieniu. Zresztą przed nią nie wstydził się swojego wyznania. Gdy skończył, ona była bardziej wzruszona z nich dwojga. To ją gnębiła myśl o powrocie, gdy urlop dobiegnie końca, to ona była z tego powodu w okropnej

rozterce. Nade wszystko czuła się wstrząśnięta odkryciem tych spraw dlatego, że nie mogła się ich domyślić z jego zawsze pogodnych i wesołych listów. Nie był więc tym mężczyzną, którego dawniej знаła i za którego wyszła za mąż. Co oni z nim zrobili?

Rozmawiali z sobą długo w noc. Cóż więcej mogła mu dać prócz zapewnienia, że wierzy w niego i będzie wierzyć zawsze. Było to rozpaczliwie mało wobec okoliczności, które jej przedstawił. Zapamiętała na długo jedno uparte zdanie, które powtarzał, ilekroć namawiała, by poprosił o inny przydział:

- Nie mogę rzucić tego, do czego sam się zgłosiłem.

Nie potrafiła go przekonać o tym, że jego praca okazała się bez porównania cięższa, niż przypuszczał, ani o tym, że zachowanie Bennetta zmieniło z gruntu warunki, w jakich miał pełnić swe obowiązki. Gdzieś głęboko tkwiła w nim i działała uparta, samobójcza wola, która nie pozwalała mu się poddać.

Nie wiadomo dlaczego, po tej nocy nabrała ufności, że będzie miała dziecko, i to w najkrótszym możliwym terminie.

Lockhart wyciągnął los, że zostanie jako dyżurny oficer na okręcie. Jego kolej na urlop miała przyjść następnym razem. Nie uważał się wcale za skrzywdzonego. Ostatnio dostał awans na porucznika. Dodatkowy złocisty pasek błyszczał na rękawie, potęgując poczucie odpowiedzialności. Poza tym mógł zażyć odpoczynku, jakiego potrzebował. Wolne chwile spędzał na *Compass Rose* w podobny sposób, jak byłby je spędzał na urlopie - czytał i słuchał radia, rozplątywał skomplikowany węzeł ostatnich miesięcy. Na *Compass Rose* wygaszono kotły, wentylatory nie działały, było chłodno i cicho. Dziwne wrażenie sprawiała korweta, przedtem zawsze aktywna i ruchliwa, a teraz

zawieszona w mgławicy lenistwa, jak on sam. Miał bardzo mało do roboty, a już zupełnie nie takiego, co wymagałoby skupienia. Po śniadaniu robił przegląd załogi i zapowiadał Phillipsowi, co trzeba w tym dniu sprzątnąć i co pomalować. Zaglądał do poczty, czy nie ma czegoś pilnego. O czwartej wyprawiał ludzi za przepustkami na ląd, wypucowanych i schludnych, a wieczorem koło dziewiątej, obchodził cały okręt i sprawdzał, czy wszystko jest na noc w porządku. Odżywiał się jak na majówce. Zarówno kucharz, jak i Carslake, który był starszym stewardem, poszli na urlop. Żołądkiem Lockharta opiekował się steward Tomlinson, który miał kiedyś kiosk z zakąskami na Edgware Road. Wprawdzie Tomlinson czuł się lepiej obsługując pospiesznie klientów, którzy żądali gorących pasztecików lub suchej kiełbasy (wyłącznie za gotówkę, bez żadnych reklamacji!), niż w wytworniejszym świecie mesy oficerskiej. Ponieważ jednak Lockhart dawnym zwyczajem zasiadał do swych samotnych posiłków z książką w rękę, nie drażniły go ani niedbała obsługa, ani bezbarwne jedzenie.

Korweta była przycumowana tuż obok *Viperous*, na którym także czyszczono kotły. Po raz pierwszy Lockhart miał możliwość z bliska oglądać niszczyciela. Korzystając z tego sąsiedztwa, odwiedzał dość często kolegę na bratnim okręcie. Był nim podporucznik ze służby zawodowej, pozostawiony również na dyżurze, gdy inni poszli na urlop. Choć młodszy stopniem, nie miał ochoty traktować poważnie porucznika z rezerwy ochotniczej. Lockhart świetnie się bawił obserwując jego rozterkę między szczerym respektem dla człowieka z dwoma złotymi paskami i równie szczerą pogardą dla niezawodowca. Trzeba przyznać, że *Viperous* aż promieniował duchem zawodowym. Sztywna atmosfera właściwa Royal Navy w połączeniu z przysłowiowym już niemal urokiem niszczyciela sprawiały imponujące wrażenie. I chociaż *Compass Rose* spełniała te same

zadania, chociaż musiała znosić te same trudy i niebezpieczeństwa, nikt nie mógł wątpić, że *Viperous* był jej starszym bratem, nikt nie mógł kwestionować tej jego godności. Teraz jednak ich wzajemny stosunek w ramach sztywnej hierarchii wojenno-morskiej nie miał już tego znaczenia co na początku. Lockhart, jak wielu innych ludzi, zaczynał wierzyć w korwety. Były to najmniejsze z okrętów strzegących konwojów atlantyckich, wycofano już bowiem, jako nieodpowiednie, trałowce i holowniki. Pływanie na korwecie zaczynało uchodzić za symbol męstwa i nabierało swoistej atrakcyjności.

W okresie urlopowym zaglądało na *Compass Rose* kilka osób. Pewnego ranka zjawił się kapitan Ramsay dowódca korwety *Sorrel*. Zajrzał do mesy oficerskiej i zawołał.

- Czy jest tam kto?

Był to mężczyzna przysadzisty, z czerwoną, wesołą twarzą i wyraźnym akcentem zachodnim. Na swoim okręcie miał opinię straszego służbisty, zmieniał się jednak, zaledwie zszedł po trapie na teren neutralny.

Lockhart odłożył gazetę.

- Dzień dobry, panie kapitanie. Proszę bardzo.

- Czy jest tu wasz dowódca?

- Nie, jeszcze na urlopie. Może pan kapitan zechce czegoś się napić?

- Owszem, owszem. Może jest dżyn? Widzę, że dali panu drugi pasek. A jak ten wasz zastępca?

Lockhart uśmiechnął się krzywo.

- Trzyma się, panie kapitanie.

- Każe wam dobrze tańczyć, co?

- Tak... przestrzega dyscypliny.

Z kolei Ramsay się uśmiechnął.

- Można i tak to wyrazić... No, to na zdrowie!

Pogadali przez chwilę, głównie o grupie eskortowej i o zadaniach, jakie spełniały korwety. Obaj mówili w tonie półzartobliwej rezygnacji, który przebijał we wszystkich rozmowach ludzi z korwet, jeśli tematem rozmów były ich sprawy zawodowe. Ramsay opowiedział ze szczegółami przygodę, jaka spotkała *Sorrel* w ostatnim rejsie. Ogromna fala wwalila się na pomost rozbiła okna w kabinie nawigacyjnej i całkiem wygięła reling.

Lockhart szukał w pamięci czegoś równie efektownego o swojej korwecie, lecz jakoś nie mógł znaleźć. Odczuwał wprost chorobliwą chęć chwalenia *Compass Rose*... Szykując się do odejścia, Ramsay ni stąd, ni zowąd powiedział:

- Kto wie, czy w tych dniach nie dostanie pan nominacji na zastępcę.

Słowa te sprawiły Lockhartowi przyjemność. Zastanowił się później nad nimi. Dotychczas nic podobnego nie przyszło mu na myśl, teraz jednak, rozpatrując ten pomysł z bliska, nie uważał go wcale za fantastyczny. Jeszcze przed kilku miesiącami niewątpliwie patrzyłby na to inaczej.

Drugim gościem Lockharta, gościem dla niego najważniejszym, był sam dowódca. Ericson zajrzał na okręt któregoś dnia pod koniec urlopu i obchodził go z miną podejrzliwego właściciela. Lockhart mimo woli szukał w pamięci i wyobrażał sobie sprawy, które załatwił źle lub których wcale nie załatwił. Ericson jednak zdawał się zadowolony, bo najwidoczniej żadna krzywda nie działa się *Compass Rose*. Pozostał na obiedzie i jakby dla zaznaczenia różnicy między tym dniem a obcowaniem w normalnych warunkach służbowych wyzbył się wszelkich oficjalnych manier. Był bardzo przyjemny w tym nowym stosunku równego z równym. Szczególnie ciekawie opowiadał o

swoich początkach w Royal Navy. A także o tym, jak wojna narzuca konieczność znacznie szybszego szkolenia w porównaniu z nudą wieloletniego pływania w czasie pokoju i z rozpaczliwym tempem awansów, które miały nagrodzić ten trud. Lockhart odnosił wrażenie, że Ericson zaczyna się przekonywać do czegoś - może do przydatności niefachowców takich jak on? - co dawniej odrzucał bez gadania. W ogóle był to jeden z najprzyjemniejszych obiadów na *Compass Rose*. Po tym obiedzie myślał o Ericsonie z szacunkiem, nieomal z uwielbieniem, mimo iż dawniej byłby potępił to uczucie jako rezygnację z własnej osobowości. Niektóre z jego przedwojennych poglądów zużyły się i starły. Jeśli nowe poglądy zajmowały ich miejsce w sposób tak naturalny i nieprzymuszony jak ów nowy stosunek do dowódcy, to na pewno nie było w tym nic złego.

6.

Pierwszego dnia po urlopie Lockhart, Morell i Ferraby siedzieli wieczorem w mesie oficerskiej, gdy Bennett zlażł ciężko po trapie i stanął w otwartych drzwiach. Niewątpliwie był w stanie nietrzeźwym, a ponadto miał spodnie nie zapięte. Sprawiał tak obrzydliwe wrażenie, że trudno było przyjąć do wiadomości jego obecność w towarzystwie, nie okazując mu odrazy i potępienia. Przez chwilę grzebał coś w bufecie, oni zaś patrzyli w milczeniu. Potem odwrócił się ze szklanką w rękę i wodząc spojrzeniem od jednej twarzy do drugiej zaintonował z pijanym patosem:

- Hej-ho, hej-ho! Grzeczne, kochane chłopaczki, wróciły z urlopu na czas... Jakżeście potrafili oderwać się od wszystkich rozkoszy?

Nikt mu nie odpowiedział.

Bennett zrobił nieostrożny ruch i chlusnął na mundur płynem z pełniutkiej szklanki.

- Dobrana z was ferajna... Co, może nie?

Popatrzył zaczepnie na Lockharta.

- Co się tu działo przez ten czas beze mnie?

- Nic się nie działo.

- Wywiewałeś pan ciągle na ląd, prawda? - Golnął potężny łyk, zakaszał się i ledwie zachował przytomność. Jego wzrok powędrował niepewnie w kierunku Morella i Ferraby'ego. - No, a wy, żonkosie... żonkosie... - tu stracił wątek, lecz na nieszczęście rozpędził się znowu. - Wam to się dobrze działo, nic nie gadajcie.

- Było bardzo przyjemnie - rzekł Morell po chwili milczenia.

- Zakład, żeście zostawili po bocheneczku każdy w swojej duchówce - zaśmiał się Bennett chrapliwie. Wtem twarz mu zszarzała, zzieleniała i wytoczył się z mesy. Słyszeli, jak się potykał na trapie i jak zatrzaskał za sobą drzwi od ustępu.

- Cóż, u licha, ma znaczyć to dziwne wyrażenie? - spytał Morell po jego wyjściu.

Lockhart miał bardzo niewyraźną minę.

- Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie głowy takimi bzdurami.

- No, ale powiedz, co to znaczy? - nastawał tamten.

Lockhart wyjaśnił jak mógł najdelikatniej aluzję do ciąży. Coś takiego nie mogło jednak w żaden sposób wyjść delikatnie, toteż reakcja kolegów była taka, jakiej mógł się spodziewać. Ferraby poczerwieniał okropnie i wlepił wzrok w podłogę. Z twarzy Morella znikł zwykły wyraz obojętności, a jego miejsce zajęła na moment wściekłość i odraza.

- Co za potworny człowiek! - rzekł po chwili kłopotliwego milczenia. - W jaki sposób możemy się go pozbyć?

- Coś mi się zdaje, że on sam się wyniesie - odparł Lockhart, rad ze zmiany tematu. - W ostatnim rejsie wyglądał dosyć nieszczęśliwie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się wyrzekł swego stanowiska.

- Ale czy to możliwe? - zapytał Ferraby głosem tak cichym i złamanym, że raczej podobnym do szeptu.

- Och, są różne sposoby... - odparł Lockhart wymijająco. - Gdybym ja był na jego miejscu, dostałbym na przykład wrzodu na dwunastnicy. Nie wiem dlaczego, w marynarce traktują to bardzo poważnie. Wystarczy, żeby zwąchali coś w tym rodzaju, natychmiast wysadzają faceta na ląd. Boją się, żeby na morzu nie wyszła z tym jaka awantura.

- Któryś z nas powinien mu to powiedzieć - rzekł Morell po namyśle. - Nie chciałbym, żeby ta sprawa pozostała nie załatwiona z powodu braku dobrej rady.

- Myślę, że on się orientuje - powiedział Lockhart.

- Jakby to było cudownie, gdyby odszedł - odezwał się Ferraby tym samym cichym głosem. - Wtedy byłoby zupełnie, zupełnie inaczej.

- Dziwniejsze rzeczy już się zdarzały.

- Ale nie przyjemniejsze - wtrącił Morell. - Przynajmniej jeśli o mnie chodzi.

Dziwnym zbiegiem okoliczności, które czasem układają się tak, by złagodzić najbardziej przykre sytuacje, przepowiednia Lockharta sprawdziła się dokładnie. Zaraz nazajutrz przy obiedzie Bennett, który - jak zwykle - jadł z zapalem, schwycił się nagle za brzuch i wydał z siebie przerażający jęk, najprawdziwszy z prawdziwych.

- Chryste Panie! - stękał głosem zduszonym przez ból i kartofle, których miał pełne usta. - Okropnie boli!

- Co się stało? - zapytał Ericson przyglądając się Bennettowi z ciekawością, a jednocześnie z pewnym niedowierzaniem.

- Co za piekielny ból... - Tu Bennett znowu jęknął, tym razem jeszcze żałośniej, i aż położył się na stole. Trzymał się ciągle za brzuch i ciężko oddychał przez zaciśnięte zęby. Z wielu względów trudno było nie rozkoszować się tą sceną.

- Niechże się pan położy - rzekł Ericson. - Trzeba chwilę odpocząć.

- Jezu, Jezu! Ja chyba umieram.

- Może ma pan bochenek w duchówce? - zapytał Morell niewinnie i widząc, że Lockhart ledwie wstrzymuje się od śmiechu, uniósł wysoko brwi.

Bennett podniósł się z trudem i chwiejnie skierował się do drzwi.

- Chyba się trochę położę - rzekł słabym głosem. - Może to przejdzie.

Idąc do swojej kabiny jęczał głośno i przejmująco.

- A to pech! - zauważył dowódca.

- Ogromnie wzruszające - uzalił się Morell. - Zdaje się, że w niczym nie potrafimy mu pomóc. - W tym stwierdzeniu brak chęci pomocy był tak wyraźny, że Lockhart znów omal nie parsknął śmiechem.

Ericson spojrzał uważnie dokoła.

- Dlaczego tak się uśmiechacie?

- Przepraszam, panie kapitanie - odparł Lockhart, który uśmiechał się najbardziej otwarcie. - Właśnie myślałem o czymś takim...

Morell zasępił się i przybrał wyraz wspaniale zgorszony.

- Niezbyt pochlebnie to o tobie świadczy, w takiej chwili... - wyrzekł niezwykle sztywno. - Nie myślałem, że potrafisz śmiać się z czegokolwiek, kiedy zastępca tak cierpi.

Ericson rzucił wzrokiem na jednego, a potem na drugiego, zaczął coś mówić i nagle dał spokój. Zachowywali się okropnie, ale on sam odczuwał jakąś ulgę od chwili, gdy Bennett się stąd wyniósł, więc jakże miał tłumić to samo uczucie u innych? Jediną złą stroną w tej dosyć komicznej historii była możliwość, że Bennett naprawdę zachorował. Maszyny były w dwunastogodzinnym pogotowiu, *Compass Rose* mogła wyjść już nazajutrz.

Jego obawy okazały się słuszne. Bennett uskarżał się na ból przez całe popołudnie, wieczorem udał się do szpitala marynarki wojennej i stamtąd już nie wrócił. Nazajutrz rano Ericson wezwał do siebie Lockharta. Na biurku leżały dwa sygnały o treści nieco sprzecznej.

Jeden zawierał rozkaz wyjścia, a drugi dotyczył Bennetta.

- Lockhart - zaczął dowódca - Bennett na razie nie wraca na okręt. Podejrzewają wrzód na dwunastnicy.

- Ach, tak... - Lockhart znów poczuł ochotę do śmiechu, że wszystko tak ślicznie się sprawdziło. Wtem nagła myśl sprężyła go w czujności. Coś innego sprawdzało się także. Coś, co obchodziło go z bliska, co dotyczyło jego lepszej przyszłości. Czekał, co Ericson powie dalej. Wiedział, co powie, i prawie lękał się usłyszeć. Lękał się, że usłyszy mniej, niż się spodziewał.

Ericson przyglądał się obu sygnałom i marszczył czoło.

- Dziś po południu wychodzimy, musimy wyjść bez niego. Do tego czasu w żadnym razie nie dostaniemy kogoś innego na to miejsce. - Popatrzył na Lockharta. - Musi pan przejąć funkcje zastępcy i odpowiednio zorganizować wachtę.

- Tak jest, panie kapitanie - odparł Lockhart.

Ze zdumieniem zdał sobie sprawę, że serce zakolało mu w piersi uczuciem gwałtownej radości. Zastępca dowódcy... Potrafi się z tego wywiązać i musi wywiązać się dobrze. Taka szansa nie zdarzy się prędko po raz drugi.

- Będę panu pomagał - ciągnął Ericson. - Powinien pan dać sobie radę, dopóki nie przyślą nowego zastępcy.

- Dam sobie radę w każdym razie.

- Naprawdę? - Ericson spojrzał uważniej.

W głosie Lockharta brzmiała bezwzględna stanowczość, która była czymś nowym w ich wzajemnych stosunkach.

- Tak, panie kapitanie.

- No, to w porządku - rzekł Ericson po chwili. - Zobaczymy... Tak czy owak, postaraj się pan tym razem.

Lockhart opuszczał kabinę dowódcy z mocnym postanowieniem, że się postara, jak będzie mógł najlepiej.

Pierwszy rejs na nowym stanowisku był niby rękawica rzucona przez los, którą Lockhart podjął z radosną gotowością. Jeśli chodzi o wachty, było mu teraz o wiele łatwiej. Miał zawsze wachtę poranną - od czwartej do ósmej. W początku lata oznaczało to niemal cztery godziny służby w świetle dziennym zamiast; wysiłku i napięcia nocnej wachty w zupełnych ciemnościach. Z jego awansem wiązały się również inne sprawy - dodatkowa odpowiedzialność, o której nie wolno było zapomnieć ani na chwilę. Począwszy od pierwszego popołudnia, kiedy po ostatecznym sprawdzeniu okrętu z Tallowem zameldował dowódcy, że *Compass Rose* jest gotowa do wyjścia, nie zaznał jednej chwili wolnej od drobnych spraw związanych z uczciwym spełnianiem nowych obowiązków, nie mógł się pozbyć niepokoju,

czy czegoś nie zapomniał. Nie narzekał, gdyż był w tym zainteresowany zawodowo i osobiście. Pragnął za wszelką cenę wyjść zwycięsko z tej próby. Jednakże i w tym rejsie, i w ciągu wielu następnych pracował tak ciężko, jak jeszcze nigdy przedtem.

Krótko mówiąc, musiał dać swemu dowódcy sprawnie i gładko działający okręt, który nigdy, w żadnym wypadku, nie mógł zawieść. W czasie postoju w porcie zakres obowiązków zastępcy obejmował utrzymywanie dyscypliny, uzupełnianie zapasów i amunicji, wreszcie organizację brygad roboczych utrzymujących okręt w porządku i sprawności. Na morzu zadania jego były bardziej istotne i ściślej związane z wojną. Codziennie musiał sprawdzać broń oraz przydzielać grupy marynarzy do różnych napraw. Musiał zmieniać lub wzmacniać wachty. Sprawdzać dwa razy dziennie, czy pomieszczenia załogi są sprzątnięte i suche - w przeciwnym bowiem razie życie na okręcie stawało się jeszcze uciążliwsze i bardziej niechlujne, niż było to podyktowane warunkami. Gdy zapadł zmierzch, *Compass Rose* musiała się rozpląnąć w mroku, bez żadnego światelka. Jej uzbrojenie musiał być w stanie pełnej gotowości, a każdy człowiek na okręcie musiał dokładnie wiedzieć, co ma robić, zależnie od okoliczności. Nie brakowało Lockhartowi zajęć. Dodawała mu sił pomoc dowódcy, nieustanna i pewna, a stosunek Morella i Ferraby'ego sprawiał mu szczerą satysfakcję. Współpracowali z nim chętnie i wesoło. Wyzwoleni spod ciężkiej łapy Bennetta, pragnęli przede wszystkim dowieść, że zmiana wyszła na lepsze, i nie szczędzili trudu, by pomóc Lockhartowi w pierwszym, najtrudniejszym okresie.

Pozbyli się Bennetta na dobre. Rozwiał się w mglistym labiryncie sal szpitalnych i wielokrotnych badań na komisjach lekarskich. Dość, że nie ujrzeli go więcej. Dowództwo Obszaru Zachodniego zatwierdziło awans Lockharta, mimo iż nie obyło się

bez wahań. Na miejsce zwolnione przez Lockharta przybył nowy oficer, podporucznik Baker. Był on młodszy służbą od Ferraby'ego, sądząc zaś po nieśmiałym sposobie bycia, niewiele miał szans wybicia się. W nowym zespole oficerskim zbudził się nowy duch i *Compass Rose* stała się innym okrętem. Mesa oficerska była przyjemnym miejscem odpoczynku i zupełnej swobody. Niczyje posępne, złośliwe spojrzenie nie szukało tu sobie ofiary. Po sześciu miesiącach ciągłej podejrzliwości i chamskiej tyranii cieszyli się teraz wolnością, której jednak nie mieli zamiaru nadużywać. Cały okręt przejął się nową atmosferą. Dotarła ona do pomieszczeń załogi, gdzie grubiańskie metody Bennetta budziły ostry sprzeciw i reakcję w postaci nieróbstwa i wykrętów. Świadomość, że Lockhart jest człowiekiem uczciwym, zachęcała do pracy dla niego. Oczywiście z początku zdarzały się próby wykorzystania łagodniejszych rządów, zwłaszcza przez ludzi zwalnianych na ląd, którzy wracali zbyt późno i tłumaczyli się wykrętnie. Gdy jednak na twierdzenie jednego ze spryciarzy, że właśnie w jego pensjonacie wybuchł pożar, Lockhart - zadawszy sobie trud zdobycia informacji - oświadczył, że tego wieczoru po raz pierwszy od czterech miesięcy liwerpoolska straż pożarna nie miała ani jednego wezwania i gdy ów spryciarz z rozkazu dowódcy powędrował do paki, od razu zabrakło amatorów do dalszych tego rodzaju prób.

Ericson widział te korzystne zmiany i był zadowolony z udanego eksperymentu. Zatwierdzenie nominacji Lockharta kosztowało go dosyć trudu wobec uporu i braku zaufania ze strony władz na lądzie. Lecz sprawa warta była starań. Zarówno on sam, jak i *Compass Rose* wygrali coś, co w niedalekiej przyszłości mogło okazać się bardzo cenne.

Do obowiązków Lockharta od dnia jego przyjścia na *Compass Rose* - kiedy to niechęć przyznał się, że jeden z jego ciotecznych dziadków był ongi chirurgiem w Guy's Hospital - należała funkcja lekarza na okręcie. Dotychczas miał do czynienia tylko z bólem zęba, zaproszeniem oka lub zaważeniem, na które musiał szukać rady, nie mając żadnego doświadczenia w tym względzie. Wszystkie poważniejsze przypadki kierowano do szpitala marynarki wojennej na lądzie, nigdy zaś dotąd nie zdarzyło się, by ktoś zachorował ciężko w czasie rejsu. Zdawał sobie niejasno sprawę, że ten stan rzeczy nie będzie trwał wiecznie. Na innych korwetach udzielano pomocy rannym i chorym ze statków storpedowanych w konwoju. Wcześniej czy później on również stanie wobec próby, do której wcale nie dorósł. Odsuwał od siebie tę myśl, bo naprawdę nie wierzył, by mógł sprostać tak trudnemu zadaniu. Nigdy w swym życiu nie zetknął się jeszcze z widokiem krwi i okaleczeń. Bał się, że pierwsza reakcja mogłaby wypaść kompromitująco. „Zemdlał na widok krwi” - przypominało mu się dość oklepane powiedzenie i doświadczał przykrego uczucia niepokoju. Gdyby jemu tak się zdarzyło, że nie mógłby się przemóc... Kiedy robił rachunek z sobą samym, funkcja lekarza była jedyną funkcją, której chciałby się pozbyć.

Dotychczas była to jednak synekura. Najpoważniejszy problem medyczny, z jakim się zetknął, przekraczał w sposób tak oczywisty jego kompetencje, że mógł z czystym sumieniem odgrodzić się od niego.

Zdarzyło się to na początku rejsu, gdy statki, dobrnąwszy do ujścia rzeki, formowały się w konwój. Wells przyjął sygnał ze zbiornikowca stojącego najbliżej *Compass Rose* i zaraz przekazał go dowódcy.

- Ze zbiornikowca, panie kapitanie: „Czy macie lekarza na okręcie? Czy możecie udzielić porady?” Ericson spojrzał na Lockharta, który stał również na pomoście.

- No, jak tam, poruczniku?

- Może spróbuję, panie kapitanie. Przecież z tej odległości nie mogą bardzo zaszkodzić.

- Dobra. - Obrócił się do Wellsa. - Dajcie sygnał: „Możemy udzielić porady. Jakie są objawy?” Przez chwilę migały lampy sygnałowe. Wells, odczytując odpowiedź, wykrzyknął nagle z przestachem:

- Ojej!

Lockhart po raz pierwszy dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy sygnalisty i ciekaw był, jaka wiadomość mogła go wywołać. Ale Wells miał już znowu twarz obojętną i bezbarwną. Nadał sygnał: „Wiadomość odebrano”, i zameldował:

- Odpowiedź, panie kapitanie: „Obrzmiałość napletka”.

Na pomoście zaległo milczenie pełne głębokiego namysłu.

- Panie kapitanie - rzekł Lockhart - ja nie wiem naprawdę...

- To dobrze o panu świadczy - odparł Ericson. Znowu jedna z tych uwag, które rzucał od czasu do czasu i za które Lockhart lubił go więcej, niż można lubić dobrego dowódcę. - Nie mamy chyba u nas specjalistów w tych sprawach?

- Nie, panie kapitanie.

Ericson podyktował Wellsowi: „Obawiam się, że nie możemy nic pomóc. Zapytam niszczyciela, oni mają lekarza”.

- Przekażcie to. Ładnie wystartował na dwadzieścia jeden dni rejsu - dorzucił po chwili. - Będzie miał nauczkę, żeby na przyszły raz nie iść do tego hotelu.

Sygnały, jakie następnie wymienili z *Viperous*, nie figurują w oficjalnej książce sygnałów. Po tej rozmowie Lockhart czuł w

sobie jeszcze mniejszy zapal do kariery medycznej niz przedtem. Później, na pełnym Atlantyku, zapytali o stan chorego i otrzymali odpowiedź: „Chory miał dobrą noc”.

- Wiadomo - mruknął Morell. - Stąd cały kłopot.

I nagle funkcja lekarza przestała być zabawna.

Dunkierka stała się dla nich sygnałem wystąpienia do walki. Od tego czasu niemal każdy eskortowany przez nich konwój był obiektem ataków ze strony okrętów podwodnych albo ze strony lotnictwa. Straty statków handlowych towarzyszyły nieodłącznie ich wędrówkom przez ocean. Dunkierka musiała zmienić zasadniczo układ sił na Atlantyku. Przeprowadzenie tej gigantycznej operacji wymagało ściągnięcia wielu okrętów, zarówno niszczycieli, jak i korwet, z regularnej obsługi konwojów. Niektóre z tych okrętów zostały zatopione, inne odniosły różne uszkodzenia, a jeszcze inne po Dunkierce musiały strzec angielskich wybrzeży na wypadek inwazji. Liczba eskortowców w tym okresie była tak niewystarczająca, że nawet nadejście pięćdziesięciu już przestarzałych niszczycieli, które Ameryka zdecydowała się przekazać aliantom, nie odmieniło sytuacji. Konwoje wychodziły na ocean, na spotkanie rosnącej siły okrętów podwodnych, pod skąpą i raczej symboliczną osłoną. Gdy po Dunkierce brytyjska marynarka wojenna znowu zaczęła myśleć o walnej rozprawie, jej panowaniu nad przyszłym polem bitwy zagrażał niepowstrzymany napór, który rósł i nabierał tempa z każdym miesiącem.

W zmienionym układzie sił grał rolę jeszcze inny czynnik. Runęła Norwegia i Francja. Irlandia - przedproże Brytanii - była wielkością niewiadomą. Hiszpania zachowywała dwuznaczną neutralność. Prawie całe wybrzeże Europy, od Narwiku aż po

Bordeaux, było schronieniem niemieckich okrętów podwodnych i - co ważniejsze - bazą lotnictwa dalekiego zasięgu. Samoloty leciały trop w trop za konwojem, daleko w głąb Atlantyku. Mogły przyzywać okręty podwodne i wskazywać im cel, jeśli krążyły poza zasięgiem. To współdziałanie przyniosło w krótkim czasie rezultaty katastrofalne dla aliantów. W przeciągu trzech miesięcy po Dunkierce ponad dwieście statków handlowych poszło na dno w wyniku wspólnego działania obu rodzajów broni. Aż do samego końca roku alianci co miesiąc tracili około pięćdziesięciu statków. Odsiecz już nadchodziła - nowe rodzaje broni, liczniejsze eskortowce i samoloty. Ale dla wielu statków i ludzi, dla wielu konwojów, które wracały do portu z śmiertelnymi wyrwami w swych szeregach, odsiecz nadeszła za późno.

Wracając w osłonie takiego pechowego konwoju, w pobliżu Islandii *Compass Rose* przeszła swój krwawy chrzest.

Kiedy przed samą północą rozległ się klakson na alarm, Ferraby, pełniący pierwszą wachtę z Bakerem, zbiegł szybko z pomostu i udał się na rufę do swoich bomb głębinowych.

To on dał alarm, gdy tylko usłyszał warkot samolotów i ujrzał pociski oświetlające na drugim końcu konwoju, które świadczyły o ataku. Był wprawdzie przygotowany na ten okropny hałas i tupot nóg po pokładzie, lecz mimo to nie mógł opanować uczucia zdziwienia i lęku wobec gwałtownego pośpiechu, z jakim okręt szykował się do swej pierwszej akcji. Noc była cicha.

Księżyc w ostatniej kwadrze rozsiewał chłodny blask na górny pokład korwety i odsłaniał ostre, wyraźne zarysy najbliższych statków konwoju. Cudowna noc dla tego, co - dobrze wiedział - musiało się stać. Spieszył wzdłuż *Compass Rose* na rufę, jakby szedł na szafot.

Czuł, że gdyby teraz przemówił, głos by mu zadrżał. Wiedział, że w świetle dnia miałby twarz bladą i drżące usta. Nie był jeszcze gotów na spotkanie tej chwili mimo długich miesięcy szkolenia, mimo stopniowo wzrastającego napięcia. Chwila ta teraz nadeszła i musiał stawić jej czoło.

Wainwright, młodziutki torpedysta, był już na rufie i szykował wyrzutnię. Ferraby poznał po jego pierwszych słowach: „Gotowe, panie poruczniku”, że Wainwright był tak samo jak on okropnie zdenerwowany. Dodawało mu to więcej otuchy, niż mógł przypuszczać. Jeśli strach przed akcją bojową odczuwali i inni, jeśli ten strach nie był tylko jego haniebną słabością, łatwiej będzie wyleczyć się z niego. Zapanował nad głosem i rzekł:

- Przygotować pierwszą serię do odpalenia.

Gdy się odwrócił, by sprawdzić obsługę bomb, ujrzał na trawersie wspaniały fajerwerk wystrzelający w niebo.

Atakujący samolot leciał nisko nad środkiem konwoju, ścigany i smagany ogniem dział przeciwlotniczych z kilkudziesięciu statków równocześnie. Samolotu nie było widać, lecz jego drogę znały płonące wstęgi pocisków świetlnych, rozwijające się w olbrzymi wachlarz nad czołem konwoju. Powstał straszliwy zgiełk - warkot samolotu drążył ciemność, huczały setki dział naraz, na kilku statkach ryczały syreny alarmowe. Prawdziwym piekłem musiał być środek konwoju, gdzie ze wszystkich statków prano w nisko lecący samolot, nie troszcząc się o to, co znajdzie się na linii celu. Stali na rufie, tuż nad wodą umykającą wartkim strumieniem spod śruby, i patrzyli, czekali, usiłowali przewidzieć, w którą stronę polecą samolot po skończonym ataku. Nad nimi, na platformie 47-milimetrowego działa, marynarze z obsługi stali w hełmach na głowie, nieruchomi na tle ciemnego nieba, gotowi do oddania strzału, gdy przyjdzie ich kolej. Ale nie przyszła ich kolej, gotowe do użycia taśmy pocisków nie zostały użyte. Stało się coś, co przekreśliło szanse wejścia korwety do akcji.

Potworny zgiełk skłębiony nad konwojem osiągnął punkt kulminacyjny w chwili, gdy samolot zrzucił dwie bomby na czoło środkowej kolumny: jedna upadła w morze, wzbijając ogromny, pierzasty słup wody, połyskujący w poświacie księżyca; druga trafiła w cel. Trzasnęła z metalicznym szczękiem w statek, którego nie mogli dojrzeć i którego na pewno już nigdy nie zobaczą. Bo zaraz po pierwszym wybuchu rozległ się drugi. Potężna pomarańczowa łuna oświeciła widmowym blaskiem konwój i całe niebo nad konwojem. Pod takim ciosem każdy statek, obojętne - mały czy duży, musiał natychmiast rozlecieć się w drzazgi. Wyrzucone w powietrze szczątki statku z pluskiem spadały znów do morza w promieniu pół mili od miejsca eksplozji. Warkot samolotu zamierał w ciemności, podkreślając coraz wątlejszą smugą dźwięku dokonane zniszczenie.

- Musieli trafić w amunicję - powiedział ktoś w ciemności, przerywając ciszę pełną współczucia i grozy. - Biedne chłopaki!

- Nie zdążyli nic poczuć. Taka śmierć jest najlepsza.

„Ty głupcze!” - myślał Ferraby, daremnie usiłując opanować drżenie. - „Ty głupcze, ty głupcze, przecież nikt nie chce umierać...”

Ericson obserwował przebieg ataku z najwyższego punktu pomostu. Widział, jak bomba trafiła w statek wzniecając snop iskier, a w chwilę potem olbrzymi wybuch, który rozerwał go na sztuki. W pełnej zdumienia ciszy, która potem zaległa, głos jego, gdy dawał komendę na ster, zabrzmiał normalnie i chłodno. Nikt nie mógł się domyślić smutku i gniewu, jakim wezbrało serce Ericsona na myśl o gromadzie marynarzy, takich jak on i jego koledzy, wyrwanych z życia jednym ciosem bomby. Nie można było nic na to poradzić. Samolot już odleciał zabierając ze sobą straszliwe saldo zniszczenia, a jeśli ktoś z załogi pozostał przy życiu - co wydawało się nieprawdopodobne - *Sorrel*, idąca na tyle konwoju, na pewno zajmie się nim jak należy. Wszystko odbyło

się szybko i brutalnie. Chciałby zastanowić się nad tym dłużej, chciałby posłać za nimi myśl pełną żałoby, lecz drugi cios nie zostawił mu czasu na zadumę. Właśnie gdy podnosił do oczu lornetkę, by znów spojrzeć na konwój, najbliższy statek, odległy o sto metrów, zakołysał się od nagłej eksplozji i natychmiast złowieszczo się przechylił.

Tym razem była to torpeda... Ericson usłyszał ją. Skoczył do rury głosowej, by nakazać zwiększenie szybkości i posuwanie się zygzakiem. Zdążył przy tym pomyśleć: Skoro uderza z tej strony, musiała nas minąć o parę stóp zaledwie. Lockhart także usłyszał w kabinie asdiku i nie czekając rozkazu zaczął szukać po zagrożonej stronie. Był to po prostu odruch. Nawet w tej chwili zaskoczenia i niebezpieczeństwa wszyscy posłuszni byli odruchom nabytym w czasie szkolenia. Na dziobie Morell także usłyszał. Znowu poderwał obsługę i załadował działo pociskiem oświetlającym. W sterówce usłyszał Tallow i mocniej zacisnął dłonie na kole, wołając do sąsiadów:

- Uważać na telegraf!

Czekał rozkazów, które miały się teraz posypać. Na samej rufie, przy wyrzutniach bomb głębinowych, Ferraby także usłyszał i zadrżał. Spojrzał w dół, na ciemną wodę uciekającą z szelestem, a potem na trafiony statek, widoczny bardzo wyraźnie. Zapragnął, żeby zaczęła się akcja, żeby mógł wreszcie zapomnieć o sobie i o strachu. Najwyraźniej usłyszał torpedę bosman Watts na dole, w maszynowni. Huknęło jak uderzenie młota, walnęło z trzaskiem w burtę tamtego statku. Gdy po paru sekundach telegraf maszynowy przekazywał rozkaz zwiększenia szybkości, Watts trzymał już rękę na zaworze. Wiedział, co się stało, i wiedział, co może się stać w następnej minucie. Lepiej nie myśleć o rzeczach, które się dzieją tam, na zewnątrz. Tu, w dole, zamknięci poniżej linii wodnej, muszą czekać i mieć nadzieję, i trzymać nerwy w garści.

Ericson zatoczył korwetą szerokie półkole w prawo, na zewnątrz konwoju, tropiąc okręt podwodny wzdłuż przypuszczalnego toru torpedy. Nie złapali jednak kontaktu i zawrócili znów półkolem w kierunku trafionego statku. Wypadł on z linii konwoju, jak ptak ze zwichniętym skrzydłem odpada z klucza cyranek, a konwój mijał go i szedł dalej. Wrak tonął szybko, obie śruby już wynurzyły się z wody i kadłub ustawił się tak, by pójść na dno dziobem do dołu. Dolatywały krzyki przerażonych rozbitków i ciężki zapach ropy. W pewnej chwili, gdy statek zarysował się ostro pod światło księżyca, ujrzeli gromadę ludzi stłoczonych wysoko na rufie. Wymachiwali rękami i krzyczeli, czując, że statek wraz z nimi zaczyna zsuwać się w dół, do grobu na dnie morza. W tej chwili, gdy litość domagała się głosu, Ericson starał się powziąć rozsądną decyzję, stał bowiem wobec trudnego dylematu: jeśli zatrzyma się, by wziąć na pokład rozbitków, to *Compass Rose* stanie się sama nieruchomym celem i stracą szansę wytropienia okrętu podwodnego; jeśli będzie go tropił w dalszym ciągu, to żaden z tych ludzi nie ujdzie śmierci, bo *Sorrel* zajęta jest gdzie indziej. Wybrał kompromis, najmniej niebezpieczny. Spuszczą łódź, która wyłowi ile się tylko da rozbitków, podczas gdy *Compass Rose* znowu oddali się półkolem w prawo. Ale trzeba to zrobić szybko.

Ferraby, wezwany do rury głosowej na rufie, całym wysiłkiem woli zapanował nad drżeniem głosu.

- Tu Ferraby, panie kapitanie.
- Poruczniku, spuścimy łódź. Kto jest u pana starszym?
- Tonbridge, panie kapitanie.
- Niech pan mu powie, żeby wziął ludzi, nie więcej niż czterech, i podpłynął do statku. Niech trzyma się z daleka, dopóki statek nie zatoni. Może im się uda spuścić na wodę ich własne łódzie. Jak

nie, Tonbridge ma zrobić wszystko co możliwe. Wrócimy po niego, tylko najpierw musimy poszukać Niemca.

- Rozumiem, panie kapitanie.

- Niech pan się spieszy, poruczniku. Nie chcę tu stać zbyt długo.

Ferraby zabrał się z całą energią do wykonania rozkazu, znajdując w tym lek na wszystkie dręczące go uczucia. Spuścili łódź tak szybko, że kiedy *Compass Rose* odpływała pozostawiając ją sam na sam z trudnym zadaniem, storpedowany statek wciąż jeszcze trzymał się na wodzie. Trzymał się jednak resztką sił, zawieszony pomiędzy morzem a niebem, przed ostatecznym skokiem w przepaść. Gdy Tonbridge ujął za rumpel i spojrzał w jego kierunku chcąc wziąć właściwy kurs, rozległ się ponad wodą zgrzyt rozdieranej stali i statek zaczął się pograżać. Tonbridge patrzył, wstrząśnięty do głębi grozą i lękiem. Nigdy nie widział czegoś podobnego, nigdy nie powierzono mu jeszcze takiego zadania. Niełatwo będzie je spełnić jak należy. Wystarczyło, że odeszli od *Compass Rose* w sam środek ciemności, że widzieli, jak ich okręt rozpływa się w mroku, że konwój także znikł w oddali, oni zaś byli sami w maleńkiej łodzi pod niebem pełnym gwiazd, pośród wielkiego, nieprzyjaznego oceanu. Ale to, na co musieli patrzeć teraz, podobne było raczej do zmory sennej niż do jawy: storpedowany statek zanurzał się w ich oczach, ludzie, miotając się w wodzie, krzyczeli rozpaczliwie, duszący zapach ropy niósł się ciężką falą w powietrzu. Starszy marynarz Tonbridge miał dwadzieścia trzy lata, był dzieckiem londyńskich slumsów¹⁶ i miał za sobą siedem lat służby w Royal Navy. Fakt, że nie uciekł od tej próby, że potrafił okazać sprawność w działaniu, wykraczał swoją treścią poza wszelkie normalne pochwały.

¹⁶ Slumsy - najuboższe dzielnice Londynu, zamieszkałe przez robotników, bezrobotnych i wszelką biedotę (przyp. tłum.)

Robili, co tylko mogli. Wiosłowali w ciemności, kierując się wołaniem, przerażeni do szpiku kości zduszonym krzykiem ludzi, którzy tonęli, zanim zdążyli podплыnąć. Ze wszystkich sił starali się ratować i pomagać. Wyciągnęli czternastu ludzi: jeden już nie żył, drugi był konający, ośmiu rannych, a pozostali oszołomieni wstrząsem i całkowicie wyczerpani. Niewiele brakowało, a byłoby piętnastu. Właściwie Tonbridge schwycił już tego piętnastego, dyszącego obłędnym przerażeniem i zupełnie wyczerpanego. Lecz dłonie jego ześlizgiwały się po cienkiej warstewce ropy na nagim ciele. Człowiek wysunął się z rąk Tonbridge'a i nim zdążyli opasać go liną, już utonął. Gdy ostatni ludzki cień znikł z powierzchni wody, kiedy zamilkły wołania, wsparli się beczynn timer na wiosłach i czekali. Sami pośród ogromnej, ciemnej pustyni Atlantyku, sami na miejscu niedawnej katastrofy, nad którym unosił się już tylko duszący smród ropy. Wtedy podeszła do nich *Compass Rose*.

Gdy łódź przycumowała do burty, Ferraby stał na śródkręciu i myślał o tym, że za chwilę ujrzy pierwszych rozbitków. Nie spodziewał się widoku takiej nędzy i takiej okropności. Najpierw zobaczył tych, którzy mogli o własnych siłach wdrapać się na pokład - sześciu ludzi o twarzach szerniałych, wstrząsanych dreszczem zimna, w cuchnących, przesiąkniętych ropą ubraniach, które zdążyli wciągnąć, gdy statek został trafiony. Jednemu krew ściekała spod włosów, drugi trzymał ostrożnie rękę, sparzoną gorącą parą do żywego mięsa, od łokcia aż po ramię. Rozglądali się wkoło ze zdumieniem, oszołomieni błyskawicznością katastrofy, ocaleniem i tym, że czują solidny pokład pod stopami.

Zaprowadzono ich do ciepłych pomieszczeń załogi, a tymczasem spuszczano już strop zrobiony z liny i wciągano przez burtę nosze z ciężko rannymi. Jedni leżeli cicho, inni jęczeli, a jeszcze inni wykastywali z siebie ropę, która paliła i zatrzuwała im wnętrzości. Ułożeni jeden obok drugiego, zasłali pokład

kobiercem męki i nieszczęścia, tak nadzy w swym cierpieniu, że okrucieństwem było patrzeć na nich. Łódź objęła się o burtę korwety. Z dołu, z głębokiej ciemności, doleciał głos Tonbridge'a:

- Opuśćcie strop, mam tu jednego nieboszczyka.

Ferraby nigdy nie widział umarłego. Musiał się przemóc, by spojrzeć na żalosne szczątki, wyrwane morzu - ciało zimne jak głaz i już sztywniejące, głowa tłucze się bezwładnie przy wciąganiu przez burtę. Stary marynarz, niepodobny już wcale do marynarza, budzący odrazę maską śmierci. Ferraby miał ochotę stąd uciec, zbierało mu się na wymioty.

Przyglądał się w zdumieniu dwóm marynarzom niosącym martwe ciało. Jak oni mogą to znieść? - pomyślał przerażony. - Jak oni mogą dotykać... tego? Usłyszał za swymi plecami głos Lockharta:

- Zanieście ich do pomieszczeń, bo tutaj nic nie widzę.

Ferraby odwrócił się prędko i zajął się wciąganiem łodzi, byle tylko nie patrzeć na procesję okaleczonych, sponiewieranych marynarzy. Gdy łódź została już wciągnięta i zamocowana, spojrzał znowu na pokład, rad, że udało mu się uniknąć choć w części straszego widoku. Pokład był pusty. Ciemniały tylko plamy krwi i wody, a w powietrzu unosił się drażniący zapach ropy. Wtem strach i odraza ścisnęły go za gardło - bo pokład nie był pusty. O dwa kroki od niego leżał martwy marynarz, przymocowany liną do relingu. Kiwał się razem z okrętem, czekał nadejścia dnia i pogrzebu w głębinach morza. Ferraby odwrócił się i począł biec ku rufie. Gnał go strach, od którego włosy powstawały na głowie.

W obszernym pomieszczeniu załogi, w kręgu światła ściemnionych lamp, Lockhart dokonywał czynów, o których mu się nigdy nie śniło. Od czasu do czasu z błyskiem uciechy w oczach przypominał sobie niedawne obawy. Miał tutaj krwi pod

dostatkiem, było od czego mdleć, ale wszystko ułożyło się jakoś inaczej. Zaszył ranę na czole marynarza, idącą równym cięciem od nosa aż po nasadę włosów. Kiedy wyjmował catgut z opakowania, przemknęło mu przez głowę: Mogliby dodać instrukcję do tego interesu. Zrobił łupki z kawałków ławki i zestawiał złamaną nogę. Opatrzył wiele ran i skaleczeń, zrobił co mógł dla marynarza z poparzoną ręką, który stracił z bólu przytomność. Bezczynnie, z dziwnym uczuciem zubożenia i przykrości przyglądał się konającemu powoli marynarzowi zatrutemu ropą, która dostała się do jego wnętrza, a może i do płuc. Kilku marynarzy z korpusty otoczyło go kołem. Patrzyli, pomagali, jeśli o coś poprosił. Dwaj stewardzi przynieśli herbatę dla zmarzniętych rozbitków, marynarze dawali im suche ubrania. Po godzinie czy dwóch Tallow zszedł na dół i przyniósł Lockhartowi „naparstek” rumu, największy, jaki zdarzyło mu się widzieć. A jednak - nie był za duży... W pewnym momencie dał się słyszeć odgłos wybuchu na zewnątrz. Porucznik uniósł głowę. Poprzez zadymione powietrze, ponad rzędami rannych w bandażach i ludzi wciąż jeszcze drżących z zimna, ponad skręconym z bólu ciałem konającego, poprzez cały brud i chaos tej okrutnej nocy napotkał wzrok Phillipsa. Mimo woli uśmiechnęli się obaj, wyjawiając w ten sposób myśl, którą tylko uśmiechem można było przywitać: gdyby torpeda trafiła w *Compass Rose*, niewiele mieliby szans ocalenia, a cała robota z opatrywaniem rannych poszłaby na marne.

Lockhart znowu się nachylił. Badał ranę szukając odłamka, który musiał w niej tkwić, sądząc po okrzykach bólu, jakie wydawał ranny za każdym poruszeniem.

Świtało prawie, gdy skończył i powłócząc ciężko nogami wyszedł na pomost. Chciał zameldować o wszystkim, co zrobił. U szczytu trapu stał dowódca. Obaj harowali przez całą noc, a teraz - zupełnie wyczerpani - patrzyli w milczeniu jeden na drugiego. W

szarych, ściągniętych twarzach nie było żadnego wyrazu, a jednak w jakiś sposób wyrażały sobie nawzajem uznanie za dzielność. Lockhart miał krew na dłoniach i na rękawach ciepłego płaszcza. Plamy krwi w bladym świetle przedświtu mieniły się metalicznym połyskiem.

Ericson, patrząc na nie, nie od razu zrozumiał, że to krew.

- Miał pan ładną robotę, poruczniku - zauważył spokojnie. - Jakież tam bilans na dole?

- Dwóch zmarło - odparł Lockhart. Głos miał okropnie zachrypnięty i musiał odchrząknąć. - Prawdopodobnie pójdzie jeszcze jeden. Pływał i chodził z ręką okropnie poparzoną, no i ten wstrząs... Poza tym jedenastu. Powinni się wygrzebać.

- A więc czternastu... Cała załoga liczyła trzydziestu sześciu.

Porucznik wzruszył ramionami. Nie mogło być na to żadnej odpowiedzi, a nawet gdyby była, nie umiałby jej znaleźć w obecnym stanie psychicznym. Ostatnie godziny, które spędził patrząc na ból i dotykając go palcami, zabiły w nim zdolność do jakichkolwiek normalnych uczuć. Obejrzał się na statki płynące na trawersie - wylaniały się właśnie w świetle nowego dnia.

- A co się działo tutaj?

- Trafili jeszcze jeden statek, po tamtej stronie konwoju. To razem trzy.

- Jest więcej okrętów podwodnych?

- Chyba nie. Ten sam podszedł na pewno z drugiej strony.

- Dobra robota na jedną noc. - Lockhart nie mógł się zdobyć na nic więcej poza formalnym wyrazem współczucia. - Może pan kapitan chce zejść do kabiny? Mogę dokończyć wachtę.

- Nie, niech pan się prześpi. Zaczekam na Ferraby'ego i Bakera.

- Tonbridge dobrze się spisał.

- Tak... Pan także, poruczniku.

Lockhart potrząsnął głową.

- To było trochę za trudne dla mnie. Muszę zdobyć jakąś książkę o ranach. Będzie jak znalazł, jeśli dalej pójdzie tak samo.

- Nie ma widoków na to, żeby było inaczej - rzekł Ericson. - Ja w każdym razie nie widzę. Trzy statki w przeciągu trzech godzin. Razem stu ludzi. To nieźle.

- Tak - zgodził się Lockhart. - Obiecujący początek. Po wojnie musimy ich zapytać, jak to się robi.

- Po wojnie... - wycedził Ericson. - Mam wrażenie, że po wojnie oni nas będą pytać.

7.

Tego roku zrobili siedem rejsów. Czasem płynęli do Islandii, czasem do Gibraltaru albo do miejsca spotkań na środkowym Atlantyku, skąd zabierali statki płynące do kraju. Normalnym biegiem rzeczy im bliżej zimy, tym bardziej psuła się pogoda. Jednakże, zgodziwszy się raz na zawsze z okrutną niewygodą i zmęczeniem, witali radośnie wzmagający się wiatr i szkło lecące z trzaskiem na podłogę, była to bowiem zapowiedź wytchnienia od innych nieszczęść. Konwój miał wtedy najlepszą osłonę: nieprzenikniona ciemność nocy i morze spiętrzone stromą falą zabezpieczały przed atakiem. Gotowi byli płacić za to tak długo, jak długo będzie trzeba. W owym czasie niemieckie okręty podwodne nie miały tych udoskonaleń, które później pozwalały wystrzeliwać torpedy z dowolnej głębokości. Poza tym przy sztormowej pogodzie trudno im było tropić statki i jeszcze trudniej w nie trafiać. Dawniej nikt z *Compass Rose* nie myślał o tym, że będzie kiedyś tęsknił do sztormu, z czasem jednak nie było dla nich milszej pogody na Atlantyku.

Nie zawsze jednak dał wiatr, nie zawsze chmury zasłaniały księżyc. Wielokrotnie powtarzały się rejsy pechowe. Liczba rozbitków zwiększała się stopniowo, rachunek zatopionych statków wyrażał się nieustannie rosnącą krzywą. Było jasne, że trzeba jakoś rozwiązać zagadnienie rozbitków, w przeciwnym razie można było równie dobrze zaprzestać wyławiania ich z wody. Korwety, przydzielone do ratowania tonących, były wprost w śmieszny sposób nie przygotowane do spełniania tych zadań. By móc nieść pomoc rannym, śmiertelnie wyczerpanym ludziom, potrzebny był lekarz albo przynajmniej doświadczony felczer. Jakież to nonsens, cóż za głupota ryzykować okręt, jeśli wyławia on rozbitków tylko po to, by umierali natychmiast wskutek wstrząsu, oparzeń i zatrucia ropą, których nikt nie potrafi leczyć.

Na korwetach brak było także innych rzeczy, niezbędnych do tej pracy: zapasowej odzieży, koców, izby chorych, środków znieczulających. Brak było nawet brezentu do zaszywania trupów. Mnóstwo tego rodzaju spraw, których nie przewidziano we właściwym czasie, straszło teraz grozą rzeczywistości.

Rok 1940 dobiegał końca pod znakiem takiego właśnie nieprzygotowania, niedołężnego marnotrawstwa wysiłku i męstwa. Przed samym końcem roku drugi jeszcze, pamiętny i złowróżbny znak zawisł nad oceanem. W sam dzień Bożego Narodzenia widzieli, jak w przeciągu niecałej minuty załadowany rudą statek przełamał się na dwoje i zatonął.

Poszedł na dno jak kamień rzucony do stawu. Na powierzchni zostały po nim tłuste plamy oleju i czterech ludzi. Dużo widzieli gwałtownych zatoneń, ale ten statek pobił rekord. Taki widok wciąż jeszcze działał na nich jak wstrząs. Każda strata i każda śmierć, olbrzymie rozmiary morderstwa wciąż przejmowały ich lękiem i poruszały do głębi.

Powinni byli zdawać sobie sprawę, że to dopiero początek.

Część III. 1941: BEZNADZIEJNE ZMAGANIA.

1.

Nowy rok zaczął się od dramatu rodzinnego, którego plugawość i błahość wewnętrzna były niejako odbiciem zjawisk o rozleglejszym zasięgu.

Burza rozpełtała się wokół osoby małego marynarza nazwiskiem Gregg. Należał on do dziobowego oddziału Morella, który wiedział o nim niewiele więcej ponad to, że Gregg był człowiekiem spokojnym i godnym zaufania i że w ciągu piętnastu miesięcy służby na *Compass Rose* nigdy nic nie przeszkrobał. Toteż wielkie było zdziwienie, gdy pod koniec postoju Gregg nie wrócił na okręt. Nie zdołano go nigdzie odszukać przed wyjściem w pierwszy rejs w nowym roku. Wyszli zatem bez niego, zostawiwszy władzom na lądzie potrzebne informacje, aby Gregg po powrocie nie znalazł się na lodzie. Na zbadanie tej sprawy i wszelkie formalności trzeba było zaczekać. Teraz obchodził ich tylko fakt, że zabraknie jednego człowieka. Dalsze kłopoty, drobiazgi i obowiązki związane z postojem w porcie odłożyli na potem. Morze żądało od nich wielkiej uwagi i skupienia.

Lecz kiedy znów przybyli do portu, kłopoty już na nich czekały. Dostatecznie poważną sprawą jest sama nieobecność bez przepustki. Wcale nie wrócić na okręt, to już przestępstwo wyższego rzędu, gdyby bowiem w tym czasie okręt znalazł się w akcji, groziło oskarżenie o dezercję w obliczu nieprzyjaciela. Kiedy więc następnego ranka po powrocie do portu doprowadzono Gregga jako przestępcę do kabiny dowódcy, Ericson czekał z zaciekawieniem na jego wyjaśnienia. Niewykluczone, że ma on jakieś poważne usprawiedliwienie i że

wypłacie się na czysto z tej sprawy, choć trudno to sobie wyobrazić. Poza tym jakaś specjalna okoliczność mogła wpłynąć na złagodzenie zarzutu. Ericson szczerze tego pragnął, gdyż Gregg był chłopcem przyzwoitym, który dotychczas nie miał nic na sumieniu. W innym wypadku mogło go czekać więzienie, a to spaczyłoby chłopaka na zawsze.

Dramat zaczął się wtedy, gdy Gregg odmówił jakichkolwiek zeznań.

Z jednej strony fakty były zupełnie jasne: Gregg opuścił swój okręt pewnego popołudnia, nie stawiał się przed jego odejściem i zameldował się dopiero w dniu powrotu korwety. Siedemnastodniowa nieobecność bez zezwolenia była faktem bezspornym. Ale gdy Ericson zapytał o przyczynę, marynarz potrząsnął tylko głową i wymruczał:

- Nie mam nic do powiedzenia.

Dowódca był tym zaskoczony.

- Musicie coś powiedzieć - upomniął go ostro.

Przyglądał się drobnemu jasnowłosemu chłopcu i usiłował coś odczytać z wyrazu jego twarzy. Nie dostrzegł w niej poczucia winy ani też nieśmiałości, a już z całą pewnością zuchwalstwa. Twarz Gregga miała wyraz zrezygnowania i determinacji, co w danych okolicznościach świadczyło raczej o odwadze.

- Chcę wiedzieć, dlaczego zeszliście z okrętu - ciągnął Ericson - i coście robili przez ten czas, kiedy my byliśmy na morzu. Musicie to wyjaśnić, bo inaczej będzie z tym ciężka sprawa.

Wszyscy wpatrywali się w Gregga: dowódca, Lockhart, Morell i Tallow, który go tutaj przyprowadził. Każda z tych twarzy skupionych w ciasnym kręgu miała odmienny wyraz.

Ericson, jako sędzia, miał twarz obojętną, Morell wydawał się zdziwiony, Lockhart marszczył groźnie brwi, jak przystało na zastępcę dowódcy, a Tallow manifestował obrzydzenie

zawodowca, który już nie ma cierpliwości do tych drabów i ani trochę nie wierzy ich wymówkom. W ogniu tych wszystkich spojrzeń, śmiało stawiając im czoło, marynarz Gregg trwał w nieugiętym milczeniu.

„Kiedy ostatni raz widziałem ojca?” - pomyślał Lockhart bez związku i zaraz zmarszczył brwi jeszcze groźniej. Nie można tolerować podobnych rzeczy.

- No więc... - rzekł Ericson po chwili. - Czekam.

- Nie mam nic do powiedzenia, panie kapitanie - powtórzył Gregg tym samym głuchym tonem.

Podoficer Tallow syknął głośno. Ericson, słysząc to syknięcie, zdał sobie sprawę, że nad obecną chwilą zaciężała czcigodna tradycja i cała procedura wymiaru sprawiedliwości w Royal Navy. Wkrótce przypadnie mu w udziale uczynić zadość tej tradycji, ważąc na szali przestępstwo i karę. Widział w tym niepotrzebny patos i przesadę, skoro w końcu wszystko sprowadza się do niego samego i do biednego marynarza, który nie będzie nawet próbował bronić swej skóry. Chciał dojść prawdziwej przyczyny tej historii, chciał wyratować Gregga z sytuacji, która w każdym wypadku i przy najlepszej woli musiała obrócić się przeciw niemu.

Nie dawał więc za wygraną.

- To po prostu głupota - tłumaczył spokojnie. - Nie wiem, co chcecie ukryć, ale wydaje mi się, że naprawdę nie warto. Czy wiecie, że mogę posłać was za to do aresztu?

- Tak, panie kapitanie - wybąkał Gregg.

- Wolałbym tego nie robić, bo dotychczas nie było z wami żadnych kłopotów, a wasz przełożony mówi, że dobrze pracujecie. Jeżeli jednak odmawiacie wyjaśnień, nie będę miał innego wyjścia. Jak się to stało, że nie wróciliście na okręt? Co robiliście przez siedemnaście dni aż do dzisiaj?

Gregg ciągle milczał. Patrzył uparcie przed siebie, nie wznosząc wzroku powyżej podbródka dowódcy. Dwie wole zmagaly się dalej, choć wynik tej walki był z góry wiadomy. Zdawało się, że wszystkie normalne odgłosy na okręcie i na nabrzeżu zawisły w ciszy, czekając na rozwiązanie tej sceny. Lockhart zabawiał się myślą, że rozwiązanie nigdy nie nastąpi. Gregg może nie dawać żadnej odpowiedzi, oni zaś mogą czekać w nieskończoność, aż się zestarzeją, aż wojna się skończy i nikomu nie będzie już na tym zależało... Może i Ericson miał podobne myśli, bo wyprostował się nagle i powiedział:

- Odprowadzić.

- Odprowadzić - powtórzył Tallow z bardzo dyskretnym akcentem powątpiewania. I zaraz rzucił stanowczo:

- Czapkę włoż!

A potem recytował jak nakręcony:

- W tył zwrot! Odmaszerować, raz, dwa!

Gdy Gregg już wyszedł, Ericson zwrócił się do Morella:

- Jutro znów go wezwę. Przedtem niech pan z nim pogada, może uda się panu wyciągnąć, o co tu chodzi. Nie chcę go stąd odsyłać nie wiedząc, co się naprawdę kryje za tą historią.

- Tak, panie kapitanie - odparł Morell.

- Czy on ma żonę?

- Tak, panie kapitanie.

- Więc niech go pan zapyta, może z tym właśnie miał kłopoty... Bosmanie!

- Słucham, panie kapitanie?

- Odkładamy tę sprawę do jutra rano.

- Rozkaz, panie kapitanie.

- A teraz następny.

Tego samego dnia Morell rozmawiał z Greggiem w swojej kabinie. Ale rozmowa potoczyła się w inny sposób niż rano. Nie trzeba było dbać tak bardzo o formy ani tak bardzo pilnować każdego słowa. Morell mógł postępować z Greggiem tak, jak ze świadkiem w sądzie. Ze świadkiem, który coś wie, lecz trzeba go czarować albo postraszyć, albo wywieść w pole, by się wreszcie wygadał. Skoro nikt poza nimi nie był obecny przy rozmowie i nie prowadził protokołu, można było wyjść dość daleko poza zwykły służbowy stosunek pomiędzy oficerem a jego podwładnym.

- Dowódca chce dla was jak najlepiej - rzekł Morell krótko, gdy Gregg znowu powtórzył swoje uparte: „Nie mam nic do powiedzenia”. - Chce może lepiej, niż zasługujecie, ale to ostatecznie nie moja sprawa. Dowódca musi wiedzieć, dlaczego zesłicie z okrętu i nie powróciliście przed wyjściem na morze. Dlaczego nie mówicie mu tego?

- Nie chcę nic mówić - odparł Gregg równie stanowczo jak przedtem.

- Wolicie miesiąc aresztu?

Gregg zaszępił się, lecz nic nie odpowiedział.

- Zrozumcie, grozi wam za to areszt - ciągnął Morell. - Będziecie mieli czarną plamę na karcie personalnej przez cały czas służby w marynarce.

- Będę służył tylko do końca wojny.

- No dobrze, a czy myślicie, że wojna prędko się skończy? I chcecie chyba awansować, prawda? Nie macie ochoty przez dwa albo trzy lata być ciągle tylko marynarzem? W jaki sposób mają was podać do awansu, jeśli robicie takie rzeczy, a potem nawet nie chcecie się usprawiedliwić?

- Ja nie wiem, panie poruczniku.

- Słuchajcie, Gregg, musicie powiedzieć. - Morell przemawiał teraz bardzo bezpośrednio. - O co tu w ogóle chodzi? Gdzieście się podziewali? Czy jeździliście do domu?

Chwila milczenia. Gregg przełknął ślinę.

- Tak, pojechałem do Londynu.

- No dobrze, to już jest coś. A w domu jakieś zmartwienie, czy tak?

- Teraz już nie.

- Ale było?

- Tak, było.

- A co takiego?

Znów to uparte, puste spojrzenie.

- Nie będę o tym mówić.

- Wiecie, że nie powtórzę nikomu.

- Pan porucznik powtórzy dowódcy - rzekł Gregg domyślnie.

- Wcale nie muszę... A zresztą to będzie tylko dwóch ludzi. Nikt więcej się nie dowie.

Lecz Gregg potrząsnął głową. Zaczynał się już wahać, ale nie mógł się zdobyć na wyjawienie myśli kłębiących się pod czaszką.

- Dowiedzą się, jak powiem tam, przed wszystkimi. Rozniesie się po całym okręcie.

Brwi Morella ściągnęły się surowo.

- To, co mówicie w kabinie dowódcy jako waszego sędziego, nie może się roznieść po całym okręcie. Wy sami dobrze o tym wiecie... No, a teraz dojdźmy z tym wreszcie do ładu. Więc było jakieś zmartwienie?

- Tak, panie poruczniku.

- Z waszą żoną?

- Tak.

- Jakie to było zmartwienie?

Gregg zrobił gest cokolwiek patetyczny.

- Normalne.

- W jaki sposób dowiedzieliście się o tym?

- Ktoś mi napisał, kolega jeden z Londynu.

- I wtedy pojechaliście do domu, żeby zrobić porządek?

- Tak, właśnie.

- Dlaczego nie powiedzieliście mi o tym?

Milczenie.

- Widzicie, co za historia z tego wyszła - powiedział Morell twardo. - Co wy myślicie, do diaska, po co jest oficer, jeżeli nie po to, żeby pomagać, kiedy się zdarzy coś takiego?

- Ja nie wiedziałem... Nie chciałem, żeby się ktoś domyślił.

- Jak mogą się nie domyślać, skoro przez siedemnaście dni nie ma was na korwecie?

- Przecież teraz nikt o tym jeszcze nie wie, tylko pan porucznik.

- Ale powiecie dowódcy - przypomniał mu Morell.

- Nie powiem. Już lepiej do aresztu i raz z tym skończyć.

- Nie bądźcie idiotą. Nie gwarantuję, że wyjdziecie z tego na czysto, ale możecie dużo zyskać. Wiecie, dowódca jest ludzki.

- Ale nie mogę powiedzieć przed wszystkimi - wybuchnął Gregg z rozpaczą. - Wszyscy będziecie słuchać.

- Właśnie że nie musimy słuchać. Możecie mówić z dowódcą w cztery oczy o sprawach rodzinnych. Chyba to dla was nie nowina?

- Tak, panie poruczniku.

- No więc?

Gregg zdecydował się nagle.

- Zrobię, jak pan porucznik radzi.

- Dlaczego nie mówiliście tak rano?
- Jakoś nie przyszło na myśl.
- Można było oszczędzić sobie przykrości. Nikt by marnego słowa nie powiedział. - Morell wstał z krzesła. - Dobra, załatwię z dowódcą, żeby was przyjął po południu.

Gregg zmieszał się nagle.

- Jak ja mam to powiedzieć, panie poruczniku?
- Zwyczajnie. Powiecie, dlaczego wyjechaliście do domu i co się tam stało po waszym przyjeździe.

- I już nic więcej?

- Nic.

- I może nie będę miał kary?

- Tego nie mogę powiedzieć. Jakaś tam kara pewnie będzie. Ale zupełnie co innego, niż jeśli odmówicie wszelkich zeznań. Bo wtedy może być tylko jeden koniec, prawda?

- No tak - Gregg uśmiechnął się nagle: - Bardzo dziękuję, panie poruczniku.

- Nie ma za co dziękować. - Czas było wrócić do normalnego tonu, czas spuścić znowu zasłonę. - Jeszcze nie koniec waszej sprawy, daleko do wieczora. Teraz wracajcie do pracy. Jak dowódca zechce z wami pomówić, dam wam znać. Tym razem powiedzcie mu prawdę, całą prawdę i nie traćcie już czasu.

Jednakże Gregg nie zdołałby się pewnie przemóc i opowiedzieć całej swej historii, gdyby nie to, że do ostatniej chwili przekonywano go i namawiano łagodnie. Ericson, uprzedzony zawczasu przez Morella, w czym tkwiła główna przyczyna wykroczenia, starał się, jak mógł, ułatwić Greggowi wyznanie. Gdy winowajca znalazł się w jego kabinie, dowódca głośno rozkazał, by mu nie przeszkadzano. Kazał Greggowi usiąść, poczęstował go papierosem i zaczął stawiać pytania takim tonem,

jak gdyby był pewien, że marynarz odpowie mu na wszystko bez żadnego zakłopotania. Gregg wahał się jeszcze. Siedział sztywno na samym brzeжку krzesła i pocił się w wyjściowym mundurze ze złotymi naszywkami. Wtem Ericson przechylił się ku niemu przez stół i zapytał:

- Słuchajcie, Gregg, macie żonę?

- Tak, panie kapitanie.

- Pojechaliście do niej do domu?

Gregg szybko spojrzał ku górze i znów opuścił powieki. Wyrzekł zupełnie cicho, niemal szeptem:

- Tak, panie kapitanie.

- Powiedzcie mi wszystko. Na pewno macie ochotę pogadać z kimś o tych sprawach, zupełnie niezależnie od dochodzenia służbowego.

Odwrócił głowę, by nie krępować tamtego. Lecz Gregg już dał się przekonać, szala się przeważyla. Nareszcie tu, w cichej kabinie przeciętej promieniem słońca wpadającym przez iluminator, kołysanej stłumionym odgłosem wody chlupiącej o kadłub, Gregg opowiedział tę straszną historię.

Zaczęło się od listu, który już czekał na niego, gdy *Compass Rose* wróciła z poprzedniego rejsu. List był od przyjaciela.

„Kochany Tomie - pisał ów przyjaciel. - Jasne, to nie jest moja sprawa, ale zaszedłem parę razy na waszą ulicę, myślałem wpaść do Edyty dowiedzieć się, jak ci leci, ale potem nie chciałem wyjść do mieszkania, bo ona miała towarzystwo. Kochany Tom, dosyć jest o tym wszystkim gadania, samochód ciągle stoi przed domem, powiadają, że on jest przedstawicielem jakiejś tam dużej firmy. Widziałem raz, jak się żegnali. Śmiali się mocno i mnie się to nie spodobało, wiesz Tom, i pomyślałem sobie, że muszę do Ciebie napisać. Jeżeli to niedobrze, to ja cię przepraszam, znasz mnie, że zawsze lubię wdepnąć gdzie nie trzeba. Nic się nie przejmuj, ale

postaraj się lepiej o kawałek urlopu i zrób tu porządek, bo to wszystko przez tych zadekowanych facetów, czasem to kuli szkoda na takiego, twój przyjaciel aż do grobowej deski”.

- Musiałem jechać, panie kapitanie - mówił Gregg ściskając i wyłamując dłonie.

Teraz głos jego nie brzmiał już stanowczością, lecz jakby wyzwaniem. - Musiałem jechać natychmiast Bo kiedy się dostanie taki list... Urlop należał mi się nawet nie za następnym razem, znaczy za trzy tygodnie. Musiałem wiedzieć, co się tam dzieje. Dopiero sześć miesięcy, jakżeśmy się pobrali.

Pojechał więc tego samego popołudnia, nie mówiąc nikomu ani słowa. Wymknął się razem z tymi, co mieli przepustki, złapał ostatni pociąg londyński odchodzący z dworca na Lime Street, przyjechał do Londynu wieczorem, gdzieś koło jedenastej, i wsiadł w autobus idący do Highgate.

- I co potem? - spytał Ericson, gdy milczenie zaczęło się nadmiernie przeciągać.

- To mały domek, panie kapitanie - podjął Gregg - dosyć przyjemny domek. Był kiedyś mojej matki, zapisała go mnie. Więc szedłem od przystanku i było zupełnie tak jak w liście. - Wszelka zuchwałość roztopiła się teraz w nieszczęściu. Przeżywał po raz drugi okropną chwilę. - Podeszedłem do domu, przed wejściem stał samochód, a na górze... świeciło się.

Zatrzymał się, zmarszczył czoło. Wyraz cierpienia na gładkiej, okrągłej twarzy był bardzo wzruszający.

- Pan kapitan rozumie? Na dole było ciemno.

- Tak - powiedział Ericson. - Tak, rozumiem.

Przez chwilę Gregg po prostu nie wiedział, co ma zrobić, taki był zaskoczony i przerażony, tak wielkie czuł obrzydzenie. Stał w ciemnej ulicy i spoglądał to na samochód, to znów w górę na światło, straszne światło w sypialni.

- Nie trzeba mi było żadnych słów. To wystarczało, można się było założyć, że tam... Długo czekałem i namyślałem się, co zrobić. A potem tak sobie pomyślałem: „No cóż, to jeszcze dzieciak, i sama, muszę zostawić jej czas”. Więc kiedy szedłem ścieżką do domu, zacząłem gwizdać i narobiłem hałasu przy otwieraniu drzwi wejściowych. Pan kapitan rozumie, ja ją... Kocham - oznajmił szczerze i stanowczo, jakby on tylko wiedział, co to jest miłość. - Braliśmy ślub sześć miesięcy temu.

Zapadło długie milczenie, którego Ericson nie śmiał przerwać, bo czuł wyraźnie, jak bolesne uczucia kryją się za nim. Słowo „kocham” musiało obudzić jakieś beznadziejne wspomnienie. Gdy Gregg znów zaczął mówić, głos jego stał się pusty, jakby teraz miało się zacząć coś jeszcze gorszego. Jak gdyby ta część jego historii, której jeszcze nie powierzył nikomu, była szczególnie zakazana i obciążała winą zarówno tego, kto ją opowiadał, jak tego, kto słuchał.

Żona Gregga, słysząc hałas u drzwi, krzyknęła głośno. Wydało mu się, że była wystraszona. Zaraz też zaczął się ruch na górze. Edyta zawołała: „Kto tam?” On odpowiedział: „To ja, Tom”. Wtedy zaczęły się szepty, które wzbudziły w nim gniew i znowu obrzydzenie. Zapalił światło w przedpokoju i czekał, wiedząc dobrze, co tamci robią na górze i co znaczą te szepty. Zastanawiali się, czy uda się im wyłączyć, jakie są przeciw nim dowody, co widział i czego się domyśla. Widocznie doszli prędko do wniosku, że jest to beznadziejne, bo nagle rozległ się głos męski, a gdy po chwili Edyta zawołała: „Zaraz schodzę!” - znów zabrzmiał ten sam głos tonem bezczelnego wyzwania.

- Jeszcze i wtedy nie wiedziałem, co zrobić, panie kapitanie. Nie mogłem tego wszystkiego zrozumieć. Przedtem nigdy taka nie była, nie zdarzyło się nic podobnego. Pobraliśmy się niedawno, w czasie mojego urlopu. Pan kapitan czytał zapowiedzi, tu na okręcie.

Ericson przypominał sobie nagle, jak to było. Przypominał sobie z niesmakiem, jak odczytywał z zapowiedzi: „Edyta Tappett, panna, z parafii Highgate w Londynie”, i zastanawiał się, jaka to może być dziewczyna o tak niepoetycznym nazwisku. Teraz wiedział. Teraz już obaj wiedzieli...

- Po chwili zeszała. - Gregg mówił prędko, ze wzrokiem utkwionym w podłogę. - Nie była nawet ubrana jak należy. Ot tak, na łapu-capu, w szlafroku.

Ericson pomyślał: On tego nigdy nie zapomni. To straszne mieć taką rzecz w pamięci, na zawsze, na zawsze.

Gregg opowiadał dalej. Przechodził prędko od jednej sceny do następnej, jeszcze straszniejszej, jakby miał tak obfity wybór, że nie potrzebował zatrzymywać się dłużej nad jednym szczegółem.

- Musiała przedtem trochę wypić, zaraz po niej poznałem. Ale nie była pijana i nie dlatego gadała takie rzeczy. Bo wyszło na to, że wszystko moja wina. „Przyszedł do mnie przyjaciel - tak powiada. - Nie spodziewałam się ciebie”. Po prostu. A ja ją pytam: „Przyjaciel? Co to ma znaczyć: przyjaciel?” Wtedy ona: „Tom, tu nie ma o co krzyczeć. Nie masz chyba zamiaru urządzić awantur?” A potem zawołała: „Walterze!” Za chwilą ten facet zszedł na dół. O, ten się nie krępował. - Gregg mówił z wściekłością. - Na schodach zapinał jeszcze marynarkę. Wielki, wspaniały chłop, elegancko ubrany, nadęty jak balon - od razu poznać po nim, że te sprawy są dla niego chlebem powszednim. - Gregg rzucił wzrokiem w górę i znów opuścił powieki, poczerwieniał na wspomnienie głębokiego poniżenia. - On był dwa razy taki jak ja, panie kapitanie. Nie mógłbym nawet... nie mógłbym... - Głos marynarza załamał się tępym akcentem tchórzostwa i rozpacz, zabłąkał się w pustce, gdzie żyła tylko jego klęska i wstyd pałacy, nieżnośny.

- Mniejsza z tym - rzekł Ericson pospiesznie, jakby ta przerwa w opowieści nic nie znaczyła, jakby nie zauważył chwili upokorzenia. - Powiedźcie, co było potem. Co powiedziała wasza żona?

- Powiedziała: „Trzeba mnie było zawiadomić, Tom. Skąd mogłam wiedzieć, że przyjedziesz?” Potem przedstawiła ich sobie, a tamten rzekł dobrodusznie: „Aha, marynarz wraca z dalekich mórz”. Wtedy Gregg mu powiedział, że ma się zaraz wynosić, a tamten na to: „Proszę bardzo bez żadnych awantur”. Był to koszmar, w którym wszystko się działo na opak, w którym Gregg nie mógł odnaleźć swego miejsca.

- Kiedy nareszcie sobie poszedł, rozmówiliśmy się na dobre, ale ona nie chciała w żaden sposób uczciwie na to spojrzeć. - W głosie Gregga brzmiało echo zdumienia, jakim przejęła go ta chwila. - Mówiła, że przywykła już ze mną do... do miłości, panie kapitanie, i że nie może bez tego. Przyznała się, że to już trwało dwa miesiące. Podobno ten facet ją namówił, ale nie żałowała, tyle że żal jej było mnie. Mówiła, że jest wojna, że wszyscy tak robią... Była jak nie ta sama. Ja... ja miałem ją tej nocy, panie kapitanie, chociaż z początku nie chciałem jej dotknąć.

Teraz nastąpiła o wiele dłuższa cisza. Zdawało się, że Gregg już skończył i czeka na wyrok. To nie może być koniec, pomyślał Ericson wpatrując się w biurko. Dosyć w tym okropności, które mogą niejedno usprawiedliwić w zachowaniu się Gregga, ale to są dopiero dwa dni, trzy najwyżej, a Gregg nie wracał przez dni siedemnaście. Ericson czekał. Chciał ponaglić tamtego, ale nie wiedział, jak to zrobić, by się nie wydać brutalnym lub obojętnym.

Opowiadanie wzruszyło go, wstrząsnęło nim nawet. Nie chciał, by Gregg pomyślał, że je lekceważy albo odsuwa na bok, że ma na oku tylko surowe i bezduszne prawo. W pewnej chwili Gregg

podjął znowu swą opowieść bez żadnych ponagleń. Może chciał tylko zebrać myśli, a może miał powiedzieć coś jeszcze gorszego.

- Więc to był jeden dzień, panie kapitanie. Zostałem jeszcze dwa, żeby mieć pewność. Wiedziałem, że zdążę wrócić przed wyjściem okrętu, więc pomyślałem, może nie będzie tak źle. - Tu spojrział ukradkiem na dowódcę, świadom, że nazbyt wiele liczył na bezkarność, ale dowódca nie dawał nic po sobie poznać. Na sąd i wyrok czas będzie po wszystkim.

- Była znów taka sama jak dawniej - mówił Gregg. - Przestała gadać o tamtym facecie, nie wspominała o nowomodnych poglądach, jakby o nich zupełnie zapomniała. Aż dopiero pod koniec, kiedy ja sam zacząłem o tym mówić. Spytałem przed wyjazdem, jak z nami będzie dalej. Przyrzekła uroczyście, że będzie się starać. Więc wyszedłem tak, żeby zdążyć na ranny pociąg...

Po szybkim, krótkim oddechu i po sposobie, w jaki Gregg coraz prędzej wyrzucał z siebie słowa, Ericson poznał, że znowu zbliżał się kryzys, że zaraz spadnie nowy, bolesny cios.

- Spóźniłem się, jakiś zator zakorkował mi drogę, i wróciłem do domu. Pomyślałem, że spędzę z nią jeszcze cały dzień i pojedę wieczornym pociągiem. W domu nie zastałem Edyty. Dom był pusty. Zabrała z sobą walizkę.

Ericson zląkł się, że tym razem Gregg całkiem się załamie. Umilkł, poruszał bezgłośnie roztrzęsionymi ustami i tak wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. Była to chwila klęski. Wydawał się młody, bystry i elegancki w schludnym mundurze, lecz nad starannie wyłożonym kołnierzem, nad czystą, białą koszulką jego twarz zadawała kłam powierzchownemu wrażeniu. Bez słowa Ericson podszedł do bufetu, nalał szklaneczkę whisky i podał Greggowi. Była to rzecz niezwykła i tak odbiegająca od normalnych stosunków służbowych, że mogła się okazać błędem,

chybionym pociągnięciem. Ericson pomyślał przez sekundę, że kiedyś, gdy Gregg zapomni o ciężkiej przeprawie, będzie chciał może tłumaczyć sobie inaczej jego dzisiejsze zachowanie. Może zechce przechwalać się beczelnie w pomieszczeniach załogi: „Kara? O, to nie dla mnie! Stary częstował mnie whisky i mówił, że mogę do niego przyjść, kiedy tylko będę miał ochotę”. Ale nie, na pewno tak nie będzie.

Gest dowódcy wyraźnie zaskoczył Gregga i zmusił do zapanowania nad sobą. Popijał drobnymi łykami, rozglądał się po kabinie i patrzył w słoneczny otwór iluminatora. Tymczasem usta i twarz odprężały się z wolna. Szykował się do dalszego ciągu przerwanej opowieści. To, co powiedział i co miał jeszcze powiedzieć, było - rzecz jasna - rozpaczliwe, nie ma jednak powodu rozklejać się jak baba.

Przyszło mu na myśl, że jego żona mogła pojechać na Edgeware Road, do matki. Nic o tym nie mówiła, ale taka nagła decyzja była do niej zupełnie podobna. Więc pojechał na Edgeware Road autobusem. Ale i tu na próżno.

- Nie było jej, nie pokazała się u matki od trzech tygodni. Widziałem, że teściowa jest urażona, ale nic nie mówiłem, choć pytała. Potem pognałem do tego kolegi, co miałem od niego list, ale on już wyjechał po urlopie i nic się nie mogłem dowiedzieć. Więc dałem spokój i znów wróciłem do domu.

Przez cały tydzień siedział zupełnie sam w pustym i głuchym domu. Opowiadając, zbył to jednym zdaniem, lecz Ericson próbował sobie wyobrazić, jak to musiało wyglądać. Oczekiwanie, zupełna samotność, dręczące podejrzenia i wreszcie pewność zdrady.

- Musiałem zostać, panie kapitanie, bo mogła przecież wrócić - tłumaczył się Gregg dalej. - Byłbym jej szukał, ale gdzie tu szukać po całym Londynie, jak szpilki w stogu siana. Wtem wpadł mi do

głowy pewien pomysł. Aż dziw, że tak późno. Żona ma jedną przyjaciółkę, też mężatkę. Ja nigdy nie lubiłem tej kobiety. Mieszka na drugim końcu Londynu, w White City. Żona mogła zamieszkać u niej, więc pojechałem i pytam. Ta przyjaciółka powiada, że żona była kilka dni temu, ale już wyjechała i nie wiadomo dokąd.

W zacisznej kabinie słowa wylewały się teraz same, nie wstrzymywane żadnym hamulcem. Niezdarne, źle dobrane, płynęły jednak wartko, zdążały niecierpliwie do okrutnego końca.

- Czułem, że ona kłamie, poznałem po oczach. Więc pokręciłem się koło domu i patrzę, czy nie stoi gdzie ten samochód. A potem wstąpiłem do pierwszej knajpy na piwo i żeby coś zjeść. Tam ich nakryłem. Siedzieli i pili porter. - Gregg przełknął głośno ślinę. - Śmiała się, a jak mnie zobaczyła, to mówi głośno: „Patrz, kto tu przyszedł”.

Ericson myślał, że Gregg znów się zatrzyma, jak tylekroć przedtem, ale whisky zrobiła swoje. Zresztą, może to sama opowieść parła naprzód, nie chciała się zatrzymać w tak krytycznym momencie.

- Spytałem, co tu robi zamiast być w domu - podjął Gregg swą relację. - A ona mówi, że to przecież nic złego trochę się napić. Więc ja mówię: „Gdzie byłaś przez ten tydzień?” A ona: „Mieszkałam u Elzy” - to niby u tej przyjaciółki. Więc ja znów, że na to nie pozwolę, a tamten powiada: „Wypij pan, to panu dobrze zrobi”. Ja mówię: „Nie potrzebuję, żeby pan mi stawiał. Jak się to zaraz nie skończy, trzeba będzie pomyśleć o rozwodzie”. Naprawdę to wcale o tym nie myślałem, chciałem go tylko nastraszyć. On zaraz powiada: „Nie masz pan żadnych dowodów”. Więc ja: „A to, żeś pan wychodził z sypialni tamtej nocy?” On na to: „Mówiłem dobranoc pani Greggowej, nic między nami nie było”. I mruga do niej, a ona zaśmiała się wtedy jak... jak taka z rogu.

Zupełnie trafnie ją określa - pomyślał Ericson. - Jakimże więc sposobem może jej jeszcze chcieć, jak może czuć dla niej cokolwiek prócz nienawiści i odrazy? Lecz w głosie Gregga nie brzmiało żadne z tych uczuć. Gdy mówił: „taka z rogu”, to nie dlatego, żeby potępić swą żonę, lecz aby pożałować tego, co stracili oboje, i on i ona. Nie było w tym ani śladu logiki, nie było odważania na szali złego i dobrego. Był tylko nieobliczalny instynkt miłości, to, co człowiek czuje - albo co czuje, że czuć powinien - gdy postanawia związać się z innym człowiekiem. Zdawało się, że Gregg nawet teraz nie podaje w wątpliwość świętości tego związku. Umowa mogła wypaść dla niego źle, lecz umowa obowiązuje. Źródłem wszystkiego była „miłość” - niemądre słowo wzięte z książki, scena z filmu, twardy orzech uporu w mózgu mężczyzny. Gregg mówił dalej ze spokojną pewnością siebie: - Właśnie miałem mu na to odpowiedzieć, kiedy on znów zaczął gadać: „W każdym razie nie przejmuj się pan więcej. Na przyszły tydzień jadę do Ameryki, wielka transakcja”. A wtedy żona: „Pierwsze słyszę coś podobnego. Kiedy chcesz jechać, Walter?” A ten facet: „We czwartek przyjdę się jeszcze pożegnać”. Więc ja powiadam: „Żegnaj się pan z kim innym - nie radzę zbliżać się do mego domu”. To dziwne, panie kapitanie. Wcale się ze mną nie spierał, tylko mówi: „No, to niech będzie, jak pan chce”. Chyba że to, co powiedziałem o rozwodzie, wystraszyło go trochę, a może i tak miał dosyć. Potem wstał i tak powiada do Edyty: „Bardzo dziękuję, pewnie się kiedyś jeszcze zobaczymy”. Ona zdziwiła się bardzo i mówi: „Walter, czy ty się ze mną żegnasz?” Ten Walter wyszedł, a ona jak mi nie zacznie płakać! Zabrałem ją do domu.

Tutaj Gregg przerwał i spojrzał na dowódcę. Chciał wyrozumieć, w jaki sposób Ericson przyjmie to, co miał mu teraz powiedzieć. Zbliżał się oto do końca i najwidoczniej - mimo poprzedniej swej obojętności - czuł, że musi się jakoś

usprawiedliwić, skoro już dano mu sposobność. Ericson usiłował zachować nieprzenikniony wyraz twarzy. Nawet teraz nie czas był jeszcze na wyrok, nie czas na słowa otuchy przekreślające groźbę dyscypliny. Było to przecież nieoficjalne przesłuchanie, na uboczu głównego nurtu. Dalszy, normalny bieg sprawy zostawał jeszcze w zawieszeniu.

Gregg zbierał wszystkie swe siły.

- To było w piątek, panie kapitanie. Zbałaganiłem dziesięć dni, a tamten facet miał wyjechać dopiero w czwartek, za sześć dni. - Znów przełknął ślinę. - Nie mogłem jeszcze wyjechać, panie kapitanie. Nie mogłem jej zostawić, to było niebezpieczne. Tamten mógł się rozmyślić i przyjść do niej, a gdyby nawet nie przyszedł, wiedziałem, że ona by go odszukała, gdyby jej tylko nie pilnować. Więc pomyślałem sobie, że zostanę i będę pilnował. Tak czy tak, już wsiąkłem na całego, a przecież nie było innego sposobu, żeby mieć pewność, że ci dwoje znów się nie zejdą. Niewiele brakowało, chociaż byłem z nią razem. Pewnego razu poszliśmy do kina. Wtem ona wstaje i wychodzi, niby do toalety. Za chwilę wychodzę i ja. Ledwie zdążyłem ją złapać, już w przejściu na ulicę. Potem to już tylko siedzieliśmy w domu... Ciągle płakała i nie dawała spokoju, że chce wyjść. Pod koniec bałem się zasnąć, pozamykałem sukienki i wszystkie jej rzeczy, a klucz schowałem, żeby nie mogła znaleźć. - Przesunął dłonią po czole. - Jednej nocy - to było we środę, właśnie przed wyjazdem tamtego - poczekała, aż zasnę, i wtedy włamała się do szafy, ubrała się. Wtem coś mnie zbudziło. Myślała, że zdąży mi uciec, ale ja pierwszy dobiegłem do drzwi. Więc zaczęła krzyczeć i szarpać się ze mną. Myślałem, że zwariuje... Dla pewności nie położyłem się tej nocy, a rano ona zrozumiała, że jest za późno, i jakby dała za wygraną. Wiedziałem, że mogę już wyjechać... Nie chciałem mówić z nią więcej o tej sprawie. Lepiej zapomnieć i zacząć od początku. Ale kiedy mam się z nią żegnać, ona mi

mówi: „Będziesz miał pewnie kłopoty?” Więc ja powiadam, że tak, że będę miał. A ona na to: „Ja też mam kłopot, Tom”. I mówi, że będzie miała dziecko.

Ericson patrzył w ziemię. Można było zadać już tylko jedno pytanie, lecz nawet za milion funtów szterlingów nie zdobyłby się na to. Wtem Gregg wypowiedział je sam i sam dał odpowiedź, odważnie, od jednego zamachu.

- Ten dzieciak będzie mój, panie kapitanie, i sprawa załatwiona.

Więc znowu miłość - pomyślał Ericson, dziwiąc się w głębi duszy. - Miłość, lek niezawodny. Obojętne, jak obrzydliwe było rozczarowanie, jak podła zdrada...

Kiedy wysłuchał już do końca, zapragnął pozbyć się tego jak najprędzej. Rzecz jasna, Gregg nie może ponosić kary za coś, co znacznie przerasta jego siły, przeciwko czemu nie jest po prostu dość dobrze uzbrojony. Mądre przepisy przewidują dla takich wypadków możliwość łaski. Jednak, mimo że chciał oszczędzić Greggowi wszelkiej dalszej udręki, musi powiedzieć mu to jedno. Musi wypalić to od razu, choćby przez prostą lojalność dla innych marynarzy, którzy wplątawszy się w podobną matnię, nie wzięli jednak prawa we własne ręce, wytrwali w sztywnych ramach dyscypliny. Odwrócił się na krześle.

- Dziękuję, Gregg, żeście mi powiedzieli to wszystko. Zastanowię się nad tym, zanim wasza sprawa zostanie jutro wznowiona. Teraz chcę wam jedno powiedzieć, ale musicie dobrze to sobie zapamiętać. - Tu przywołał na pomoc ton ostry i bezwzględny, który nie bardzo odpowiadał jego uczuciom. - Oficerowie są nie tylko po to, żeby dowodzić okrętem i rozkazywać, ale i po to, żeby pomagać marynarzom. Na przykład w tym wypadku, gdybyście przyszli do mnie zaraz, jak tylko nadszedł ten list, dałbym wam urlop okolicznościowy i nie musielibyście uciekać z okrętu. Można by też załatwić, by ktoś

odwiedził żonę w czasie waszego pobytu na morzu. - Uśmiech przemknął po jego twarzy i zaraz znikł, bo to nie była chwila do uśmiechów. Treść tej chwili najlepiej oddawał żałosny wyraz twarzy człowieka siedzącego naprzeciw. - Zapamiętajcie sobie raz na zawsze, że Royal Navy ma przepisy na wszystko - jak wygrywać bitwy, jak wyjąć z lufy pocisk, kiedy się zatnie i grozi wybuchem, a także jak zaradzić domowym kłopotom, takim jak wasze. Zwykle ten przepisowy sposób postępowania jest jedynym realnym sposobem, najlepszym ze wszystkich, bo przecież Royal Navy dba dobrze o swe sprawy. - W pewnej chwili zauważył, że Gregg z jakiegoś powodu znowu jest bliski płaczu. Więc urwał na tym. Powiedział, co miał do powiedzenia, i nie mógł się zdobyć na dalsze wkładanie łopaty do głowy. - To by było wszystko na razie. Poproście zastępcę, żeby tu do mnie przyszedł.

Po wyjściu Gregga Ericson siedział dość długo pogrążony w myślach. Na jednym punkcie myśli jego były zupełnie jasne i sprecyzowane. Trzeba koniecznie sprawdzić opowieść Gregga - oczywiście na miejscu w Londynie, w drodze służbowej. A jeśli się okaże, że wszystko jest prawdą, można go będzie, zgodnie z przepisami, zupełnie uniewinnić, mimo że Gregg na pewno źle postąpił, mimo że kobiety i sprawy małżeńskie, i wszelkie uczucia nie powinny odgrywać roli w sprawach wojny. Ericson wiedział, że historia Gregga była prawdziwa - i tu właśnie myśl jego zaczęła błądzić własnymi drogami. Nie było żadnego zgrywania się w cierpieniu Gregga, nie było kłamstwa w jego żałosnej historii. Zdarzają się kobiety nic niewarte, zdarzają się też takie, które znudziły się wojną. Lecz jeśli jedno spotka się z drugim w tej samej kobiecie, to żadna podłość, żadne plugastwo nie może być niespodzianką.

2.

Nadeszło przesilenie pór roku. Dłuższe dni zapowiadały już wiosnę, a zarazem przynajmniej jedną ulgę - łatwiejsze noce na morzu. Teraz już tylko druga wachta Morella upływała w zupełnej ciemności. Wkrótce, gdy wiosna ustąpiła wczesnemu latu, nawet Morell mógł przez czas jakiś odetchnąć od ciągłego wysiłku śledzenia konwoju i wpatrywania się w ciemne, zamazane cienie przez cztery godziny bez przerwy. W ciągu ostatniej pół godziny, gdzieś koło czwartej nad ranem, na wschodzie podnosił się rąbek ciemności. W szklach lornetki horyzont zatracił swą nieokreśloność, przybierając ostrzejszy zarys, a statki na linii spojrzenia Morella zrzuciły z siebie ponurą widmowość i znów wkraczały w życie jako twory trójwymiarowe. Gdy Lockhart przychodził go zwolnić i przejąć wachtę, można już było rozróżnić wszystkie szczegóły nadbudówek na *Compass Rose* i twarze ludzi stojących na pomoście. Kiedy mówili sobie nawzajem dzień dobry, mogli już widzieć, kto mówi, a nie domyślać się tylko. Później, po półgodzinie, zaczynało już świtać. Zaczynał się nowy dzień - o jeden dzień dalej w głąb Atlantyku lub też o jeden dzień bliżej domu. Lockhart obserwował spokojny pochód statków, a czasem odpadał w tył na milę, aby podgonić maruderów. Ericson zjawiał się na pomoście szary, nie ogolony, po nocy przespanej niewygodnie w sterówce. Rozglądał się dokoła, węszył poranne powietrze. Chodził z jednego skrzydła pomostu na drugie z sekstantem w rękę, by złapać ostatnie gwiazdy, nim się roztopią w blasku słońca. Wreszcie na znak, że noc już skończona, wychodził Tomlinson, młody steward. Sprzątał talerze i filiżanki po kakao, ślady nocnego posiłku.

Tak wyglądał zwyczajny świt na *Compass Rose*, świt, jaki wstawał nad nią dziesiątki razy. Ale były też inne świty, nie takie spokojne. Zdarzały się ranki tragiczne, kiedy liczyli ludzi na

okręcie, zwierali swe szeregi i podawali na *Viperous* stan rozbitków zachowanych przy życiu i stan umarłych. Teraz, w połowie roku 1941, byli już o rok starsi, i wojna była starsza. Im dłużej trwała ta wojna, tym głębiej - zdawało się - wciągała ich w groźny wir klęski i niepowodzeń.

Fala spiętrzyła się potężnie i szła przeciwko aliantom. Na dwóch trzecich powierzchni Atlantyku atakujący nieprzyjaciel miał w swym ręku inicjatywę. I nie wypuszczał jej z rąk, lecz wspierał bezwzględną siłą i sprawnością. Jak gdyby ciemna plama rozlewała się szerzej i szerzej po tym ogromnym morzu. Obszar bezpieczny kurczył się coraz bardziej. Zatrute wody, na których żaden statek nie mógł być pewny dnia ani godziny, z niezwykłą szybkością zarażały swym jadem coraz szersze kręgi oceanu. Gdzieś na peryferiach wielkie okręty wciąż uprawiały harce wojenne i tylko czasem wymieniały cios błyskawicznie szybki. *Hipper*, *Scharnhorst* i *Gneisenau* zapuszczały głębokie zagony, *Hood* został zatopiony jednym wspaniałym trafieniem z odległości jedenastu mil. A potem szybkim przeciwuderzeniem Anglicy zniszczyli *Bismarcka*. Rachunek został wyrównany. Były to niespodzianki pełne dramatycznego napięcia, rozgłosne wydarzenia w ważkich, lecz sporadycznych bojach. Konwoje wędrujące przez ocean w jedną i w drugą stronę wiodły bój nieustanny i bardziej krwawy, bój z wrogiem, który wciąż mnożył swe siły.

Nie tylko mnożył swe siły, lecz także organizował. Teraz okręty podwodne współdziałały w ataku. Jak wilki polowały stadami po sześć lub siedem, obstawiały znaczną powierzchnię na trasie konwoju i natychmiast po złamaniu kontaktu zwoływały się wszystkie na jedno miejsce. Mogły korzystać z portów francuskich, norweskich i bałtyckich, z dobrze wyposażonych baz wypadowych i remontowych w tych portach. Współpracowało z nimi lotnictwo dalekiego zasięgu, tropiąc i rozpoznając

zwierzyńę. Wróg miał za sobą siłę i dobre wyszkolenie, był lepiej uzbrojony i czuł ostrogę powodzenia. Pierwszy grupowy atak okrętów podwodnych zatopił dziesięć statków spośród dwudziestu dwóch tworzących jeden konwój. Miesięczne liczby zatopień wzrastały ciągle - w jednym miesiącu było pięćdziesiąt trzy, a w następnym pięćdziesiąt siedem. Stopniowo okręty podwodne rozszerzały zasięg działania dalej na zachód, aż w końcu przestał istnieć bezpieczny obszar rozproszenia na środkowym Atlantyku, który przedtem dawał schronienie konwojom. Lotnictwo z Wielkiej Brytanii, Kanady i Islandii (która w tym czasie była włączona w całość strategicznego układu) nie mogło zapewnić konwojom wystarczającej osłony, a wytrzymałość eskortowców miała też swoje granice. Tak więc plama rozlewała się coraz szerzej i statki szły na dno.

Próbowano stosować różne przeciwsrodki: lotnictwo zwiadowcze rozszerzyło zasięg swego działania, wiele statków handlowych wyposażonych było w samoloty myśliwskie wyrzucane z katapult, powoli poprawiało się uzbrojenie okrętów eskortowych. W wyniku tych ulepszeń w połowie roku 1941 udało się zatopić w jednym miesiącu siedem okrętów podwodnych. Był to rekord tej wojny. Lecz cóż znaczyło siedem okrętów podwodnych, skoro było ich ciągle zbyt wiele? Tropiły i uderzały, a nieliczne okręty eskortowe nie mogły ustrzec konwojów. Wciąż ziała przepaść, której nie można było wypełnić inaczej, jak tylko łutem szczęścia i ludzkim wysiłkiem. Lecz ani to, ani tamto nie mogło wyrównać poziomu i tempa akcji nieprzyjacielskiej, nie mogło powstrzymać rzezi.

Compass Rose napatrzyła się dosyć na tę rzeź. Dla nikogo nie był już zaskoczeniem klakson alarmowy, nikt nie był już wstrząśnięty widokiem ludzi sponiewieranych, wymęczonych, których wciągano przez burtę po zatonięciu ich statku. Nikt się nie wzruszał patrząc na konających lub grzebiąc w morzu umarłych.

Wyhodowali w sobie - musieli wyhodować! - zawodowy, pozbawiony ludzkich uczuć stosunek do swego zadania, stępił swą wrażliwość, uzyskując w ten sposób najpewniejszą rękojmię sprawnego działania. Śledzenie okrutnych ścieżek tej złej wojny było po prostu stratą czasu, a gniew albo litość mogły stać się przeszkodą w spełnieniu obowiązku. Stwardnieli na ból i na zniszczenie, brali to wszystko zupełnie zwyczajnie. Skupiali wszystkie swe siły w walce i w ratowaniu ludzi dla jedyne go celu - by mogli oni jak najprędzej powrócić do walki.

Dwaj młodzi oficerowie, Ferraby i Baker, pełnili pierwszą wachtę, od ósmej wieczór do północy. Zgodnie z ostatnim krzykiem mody na korwetach obaj zapuścili wspaniałe brody. Nie wiadomo dlaczego, wyglądali z tym młodziej zamiast starzej i równie nieprzekonująco jak marynarze na scenie teatralnej w jakiejś prowincjonalnej dziurze. (Pewien gość w mesie oficerskiej na widok tych bród zauważył: „Hodujecie sobie niebrzydkie warzywka”. Ta uwaga skłoniła Morella do podniesienia brwi tak wysoko, jak nigdy dotychczas.) Baker przybył na okręt przed rokiem jako nieśmiały młody człowiek, mający w cywilu coś tam wspólnego z księgowością. Do tego czasu nie nabrał pewności siebie. Pod wielu względami podobny był do Ferraby’ego. Obaj zupełnie odruchowo poddawali się władzy, choćby wspartej na bardzo wątpliwych podstawach. Obaj nie mieli wiary w siebie, bali się, że wcześniej czy później egzamin wojny ujawni ich niezdatność. Rozmawiali ze sobą jak równy z równym, tonem pokornej życzliwości, jakim rozmawiają ludzie w biurowej poczekalni, nim zostaną wezwani dla sprawdzenia kwalifikacji na posadę, której zapewne nie dostaną. Wzajemne blagowanie przed sobą nie miało żadnego sensu, gdyż jeden drugiemu nie mógł niczym zaimponować. Ktoś trzeci mógłby dosłyszeć podniesione

głosy, zauważyć kogucie przechwałki, a stąd krok tylko de kompromitacji, choćby nawet wieść o tym nie dotarła do szefa. Ostatnio Ferraby zyskał wyraźną przewagę. Został ojcem i kiedy byli sami z Bakerem, nie wahał się ujawniać pierwszych oznak ojcowskiej powagi.

- Martwisz się, że to dziewczynka? - spytał Baker któregoś wieczoru, gdy jak to zwykle bywało na morzu, rozmowa zesłała na przyjemne sprawy domowe. - Czy naprawdę chciałeś, żeby był chłopiec?

- Wszystko mi było jedno czy chłopiec, czy dziewczynka - rzekł szczerze Ferraby - aby tylko jej nic się nie stało. Pod koniec człowiek jest taki zdenerwowany... Jej matka była oczywiście na miejscu i opiekowała się nią, ale i tak ucieszyłem się, kiedy już było po wszystkim.

Jeszcze teraz wspomnienie tamtej nocy, przed samym końcem ostatniego urlopu, budziło w nim uczucie dotkliwej udręki. Koło północy Mavis zbudziła się nagle z krzykiem, zaczęły się telefony, potem czekali strasznie długo na pogotowie. A potem dręczące oczekiwanie aż do świtu, aż do południa, aż do połowy następnej nocy... Nazajutrz rano widok Mavis wraz z niemowlęciem, widok dwóch głów spoczywających na poduszce, zamiast jednej, był mu nagrodą za mękę. Lecz nawet to nie mogło zabić siły wspomnienia.

- Szczęście, że miałem urlop, kiedy się to zaczęło - ciągnął dalej. - Inaczej, nie wiem naprawdę, co bym zrobił. Wiedzieć, co tam się dzieje, i być samemu na morzu!

- Następnym razem ja idę na urlop - rzekł Baker, reagując na dźwięk lubego słowa. - Jeszcze pewnie ze dwa konwoje, koło sześciu tygodni.

Sześć tygodni... W mózgu Ferraby'ego wyzwolił się nowy nurt myśli, którego nie chciał ujawnić Bakerowi ani nikomu innemu.

Sześć tygodni na Atlantyku to bardzo dużo w tym okresie, kiedy najbliższe sześć godzin, a nawet - dla ścisłości - sześć minut mogło spowodować katastrofę. Ileż okrętów podwodnych czyha na nich. Na pewno prędzej czy później któryś upatrzy sobie *Compass Rose*. Ferraby nie mógł zagłuszyć strachu przed tą chwilą. Jakby po odejściu Bennetta musiał wsunąć kark w jarzmo nowego tyrana, jakby strach przed Bennettem mógł ustąpić miejsca tylko nowemu strachowi - przed ciosem torpedy. Spośród całej załogi Ferraby był wciąż najmniej zahartowany w sprawach, z którymi stykali się na co dzień. Nie mógł zapomnieć kiwającej się głowy martwego marynarza z pierwszej partii rozbitków wyłowionych przez *Compass Rose*. Nie mógł zapomnieć o ciągłych alarmach, o nieuchronnych atakach i jakże wątplych szansach ocalenia. Nawet teraz, rozmawiając z Bakerem lub patrząc na statek, według którego mieli pilnować miejsca korwety w konwoju, czuł podniecenie i niepokój, myślał o tym, co mogą przynieść najbliższe minuty. Zbliżała się północ, koniec wachty. O tej porze najczęściej zdarzały się ataki - uderzenie torpedy, jaskrawy płomień nad trafionym statkiem i wybuch w samym środku konwoju. Jeśli nie zdarzy się to teraz, na pierwszej wachcie, to może zdarzyć się na drugiej, a wtedy jest jeszcze gorzej.

Noc w noc w czasie każdego rejsu Ferraby był wolny o dwunastej. Mógł zejść na dół i spać w swej kabinie bez przerwy aż do rana. Nigdy jednak z tego nie korzystał, chyba na samym początku i na końcu rejsu, kiedy płynęli po wodach spokojnych i bezpiecznych. Już w samym fakcie układania się do snu poniżej linii wodnej było coś, co dręczyło jego wyobraźnię. Zdawało mu się zupełnie wykluczone, aby w ciągu tej nocy torpeda mogła nie trafić w korwetę. A jeśli trafi, to wedrze się na pewno aż tu, do jego kabiny... W bezsenne noce na otwartym bezkresnym Atlantyku wracały koszmarnie myśli. Okręt stale kołysał się i stękał, a woda przepływała o kilka cali od jego pośłania. Pocił się

z lęku, wpatrywał się w gródź i w nity, które trzymały razem cienkie blachy poszycia. Tylko to poszycie dzieliło go od ciemnej wody. Z przerażeniem czekał na szczęk metalu, na wybuch i wdarcie się wody, na potwierdzenie tej strasznej pewności, że znalazł się w pułapce, że woda go zadusi, zanim zdąży ruszyć się z miejsca.

Którejś nocy udało mu się zasnąć, mimo że ostrzegano o grupie okrętów podwodnych gdzieś w pobliżu. Zapadł w drzemkę po godzinie napiętej czujności i właśnie wtedy, pomiędzy snem a jawą, usłyszał potworny wybuch, jak gdyby w samym wnętrzu okrętu. Kiedy wyskoczył z koi, rozległ się klakson na alarm i zaraz potem pospieszny tupot nóg. Pędził co sił do trapu, do otwartego nieba. Czuł, jak zalewa go fala ślepego strachu. Wreszcie na pokładzie zachłysnął się świeżym powietrzem. To, co ujrzał, przypominało mu scenę z piekieł. Jeden z eskortowców wystrzelił białą rozpryskową rakietę.

Potężny blask oświecił morze w promieniu dwóch mil, ułatwiając wykrycie okrętów podwodnych, gdyby zechciały wyjść na powierzchnię. W żółtej poświacie, która zawisała nad spienioną tonią, Ferraby widział konwój pracy przeciwko sztormowi, widział, jak *Sorrel* oddala się w prawo, ścigając i tropiąc wroga. A potem, tuż obok *Compass Rose*, zobaczył statek przechylony złowieszczo na burtę, idący już na dno. Właśnie gdy patrzył, z komina nagle wystrzelił płomień i statek po prostu się rozleciał. Zawiało smrodem spalonej ropy, farby i pary, prawdziwą wonią śmierci. Statek znikł, gasząc trawiący go pożar w objęciach morza. Ferraby poczuł mdłości i oparł się o wspornik. Przecież zamiast tamtego statku mogła zatonać *Compass Rose*, na miejscu tamtych ludzi, schwytanych w potrzask i tonących, mogli być oni, torpeda mogła trafić w jegoabinę.

Przez wiele następnych nocy nie mógł się przemóc, nie mógł zejść na dół po skończonej wachcie. Chodził po górnym pokładzie

albo przycupnął gdzieś w kącie pomostu, w przejściu koło sterówki. Nie spał do rana. Ciągłe dotykał gumowego pasa nadętego powietrzem i lampki ratunkowej. Widział już innych ludzi, uratowanych rozbitków, którzy tak samo nie chcieli zejść na dół, woleli wyrzec się posiłku. Dziwił go wtedy ten strach, mocny jak opętanie. Teraz już się nie dziwił.

Były to jednak sprawy, którymi nie mógł się z nikim podzielić, zwłaszcza z Mavis. Nie powinna domyślać się nawet, jak okropnie się bał, jak wielkie było niebezpieczeństwo. Wynajęli domek pod Liverpooliem. Mógł ją odwiedzać za każdym razem, gdy *Compass Rose* zawijała do portu. Te częste powitania, a zaraz po nich rozłaka i łzy poiły go słodyczą i udręką, lecz wcale nie dodawały mu sił. Z każdym miesiącem wojna stawiała coraz surowsze wymagania, przedstawiała rachunek, którego nie mógł zapłacić, świadom swego bankructwa.

3.

Z czasem porucznik Lockhart przywykł ufać we wszystkim swojemu dowódcy i nauczył się podziwiać go bez granic. Ericson miał wszystkie zalety idealnego dowódcy. Kiedy stał na pomoście, był uosobieniem spokoju niezależnie od tego, co się działo dokoła. Był świetnym marynarzem, umiał prowadzić *Compass Rose* bez cienia niepewności. Niezmordowany, wnikający z ogromną cierpliwością we wszystkie szczegóły swoich obowiązków, czy to chodziło o naganianie statków pozostających w tyle za konwojem, o ustalenie własnej pozycji na morzu czy też o dozór nad malowaniem okrętu, gdy stali przycumowani do ropywca. Był niezastąpiony. Nic więc dziwnego, że Lockhart doznał wstrząsu, gdy Ericson nagle opuścił

swe stanowisko, on sam zaś musiał przejąć dowództwo na pięć dni przed zakończeniem rejsu. Pewnej nocy, gdy *Compass Rose*, zdradliwa i chytra jak nigdy, przechyliła się o czterdzieści pięć stopni na burtę, Ericson wypadł z koi. Złamał żebro i każdy ruch sprawiał mu nieznośny ból. Było wykluczone, aby mógł się pokazać na pomoście. Lockhart podał wiadomość o wypadku na *Viperous* i pełen obaw przejął dowództwo na resztę podróży.

Oczywiście nie miał żadnego wyboru, lecz to bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Kiedy jednak wobec siebie samego przyjął wyzwanie losu i przezwycięzył pierwsze zaskoczenie, poczuł się bardzo dobrze. Grał nową rolę i miał wrażenie, że dorósł do tej roli. Rzecz jasna, było to niesłychanie śmieszne. Pomyśleć tylko: jakiś Lockhart, dziennikarzyna-pędziwiatr, grasuje po Atlantyku jako dowódca tysiactonowego okrętu i załogi złożonej z osiemdziesięciu ośmiu ludzi. W każdym barze na przedwojennej Fleet Street ryczeliby ze śmiechu. Ale to już nie było przed wojną, ludzie byli teraz odlani z innej formy. Lockhart miał poza sobą osiemnastomiesięczną zaprawą. Przez osiemnaście miesięcy patrzył na Ericsona podświadomie wchłaniał w siebie cechy dowódcy. Gdy więc nadeszła ta chwila, musiał tylko postąpić jeden krok wyżej. Dodatkowy wysiłek odcisnął swe piętno na tej chwili, a radosne zdumienie dodało jej smaku. Jedną z najlepszych stron Royal Navy, przynajmniej w czasie wojny, było to, że uczyła szybko i dobrze, uczyła nieustannie. Pewnego pięknego poranka człowiek budził się i brał na siebie całkowitą odpowiedzialność za cenny okręt i za część konwoju, za mnóstwo ludzi, z których wielu było przyjaciółmi. Przyjmował odpowiedzialność tak spokojnie, jak gdyby odwracał nową kartę w książce znanej już na pamięć.

Gdy Ericson wpakował się do koi, gderząc i zrzędząc w przerwach pomiędzy napadami bólu, *Compass Rose* znajdowała się o dziewięćset mil na zachód od Morza Irlandzkiego. Szła na

tyle konwoju, który poruszał się powoli, zażywszy w tym rejsie do syta przeciwnych wiatrów i alarmów przeciwko okrętom podwodnym. Teraz jednak szczęście się odmieniło, wiatr ucichł i w ciągu tych pięciu dni nie otrzymali żadnych ostrzeżeń, nie mieli żadnego poważniejszego alarmu. Lockhart ułożył wachty w ten sposób, by się uwolnić od wszelkich stałych godzin. Nie przywykł jeszcze do dowództwa i nie miał takiej pewności siebie jak Ericson, toteż wyrzekał się snu na znacznie więcej godzin, niż było potrzeba, i spędzał na pomoście dwie trzecie doby. Musiał być gotów na każdą niespodziankę, a najpewniejszym sposobem było czuwać na miejscu o każdej porze, w której można się było spodziewać tej niespodzianki. Od czasu do czasu schodził z raportem do dowódcy, który stale powtarzał uparcie te same pytania: Czy konwój idzie w porządku? Czy *Compass Rose* utrzymuje swe miejsce w konwoju? Czy były ostrzeżenia o okrętach podwodnych? Czy Lockhart przeprowadził dokładne obserwacje i czy określił pozycję okrętu? Jaka jest pogoda? Jedyne pytanie, którego nigdy nie zadał bezpośrednio, mogłoby brzmieć: Czy daje pan sobie radę? Lockhart był wdzięczny za zaufanie, którego dowód widział w tym przemilczeniu. Raz Ericson zbliżył się do tego pytania, bardzo dyskretnie, jak gdyby po stycznej.

- Przypuszczam, że parę lat temu nie myślał pan wcale o dowództwie - napomknął od niechcenia.

Lockhart uśmiechnął się. Stał pośrodku kabiny, jeszcze opatulony od zimna. Morskie buty i ciepły płaszcz z podpinką tworzyły dziwaczny kontrast z wytwornym szlafrokiem Ericsona.

- Parę lat temu, panie kapitanie, dowodziłem pięciotonowym jachtem, dosyć ładnym, nawiasem mówiąc, i rozbijałem się po nim po Solent¹⁷.

¹⁷ Solent - wody pomiędzy Southampton i Portsmouth a wyspą Wight (przyp. tłum.).

- A jaka była załoga?
- Załoga była też dosyć ładna...
- Wynoś się pan na pomost - zawołał Ericson - bo dostanę gorączki!

„Bogu niech będą dzięki za dobrego dowódcę” - myślał Lockhart wspinając się z powrotem po trapie. - „I za dobrego człowieka, za człowieka, którego trzeba szanować i lubić w każdych okolicznościach.” W ciągu ostatnich miesięcy ich wzajemne stosunki zacieśniły się bardzo na płaszczyźnie przyjaźni milej dla obu stron. Byli ciągle ze sobą, zadowoleni z wyników współpracy. Stopniowo wyzbyli się wobec siebie oficjalnego skrępowania i wszelkich służbowych formułek, które ograniczyli do nieuniknionych publicznych wystąpień. Zwracając się do dowódcy, czy to publicznie, czy też w cztery oczy, Lockhart mówił mu w dalszym ciągu: „panie kapitanie”, bo nie odczuwał potrzeby, by mówić inaczej. Obaj jednak mieli nawzajem zupełne zaufanie do swoich możliwości i uważali swą współpracę za wybitnie udaną spółkę. Wiele, bardzo wiele zmieniło się między nimi od czasu, gdy przed półtora rokiem Lockhart po raz pierwszy przestąpił próg baraku nad rzeką Clyde.

Spokojny rejs dobiegał już końca bez żadnych ważniejszych wydarzeń, prócz przypadku z islandzkim trawlerem idącym na południe, który w dość gęstym mroku zamierzał przejść pod kątem prostym w poprzek konwoju. Trzeba go było odwieść od ryzykownego zamiaru. W cieśninie pomiędzy Szkocją a północną Irlandią konwój rozdzielił się na trzy szlaki: część statków poszła w kierunku ujścia Clyde, inna zaś na południe, do Cardiff i Barry Roads, wreszcie największa część poszła w kierunku Zatoki Liverpoolskiej. Idąc przez Morze Irlandzkie i zbliżając się do liverpoolskich wybrzeży, Lockhart odczuwał wyostrome napięcie, jak w ostatnim okresie szkolenia, które ma się zakończyć groźnym pisemnym egzaminem. Niejedno mogło się

zdarzyć na ciasnych wodach, gdyby pokpili sprawę z nawigacją albo nie byli dostatecznie czujni. Trzeba było uważać na zdradliwą linię wybrzeża, na ożywiony ruch statków w jedną i drugą stronę, na gromady rybackich statków przybrzeżnych, które swoim zwyczajem nie zawsze miały światła, lecz za to zawsze ciągnęły sieci niewiadomej długości i kształtu. Statki rybackie to była groźba specjalnego rodzaju. Do biur Admiralicji napływały od wieków pretensje rybaków, nie pozbawionych wyobraźni. Dostrzegłszy z odległości choćby i pięciu mil jakikolwiek okręt wojenny, wznosili ręce do nieba i przysięgali na wszystkie świętości, że ich sieci zostały zaczepione i podarte na strzępy. W celu samoobrony Admiralicja zaprowadziła specjalny Dziennik Statków Rybackich. Notowano w nim dokładną pozycję każdego statku rybackiego dostrzeżonego przez okręt wojenny, ponadto zaś przypuszczalną odległość. Nie zawsze można się było tam wybronić, lecz przynajmniej można było odróżnić pretensje bezczelne od niepoważnych.

Ostatniej nocy Lockhart wcale nie schodził z pomostu. Sprawdzał kurs, rozpoznawał pławy i światła pojawiające się kolejno, niczego nie chciał zostawić na los szczęścia. Teraz rozumiał, jak strasznie musiał się męczyć Ericson w pierwszym okresie ich pływania, kiedy miał tylko niewprawnych, niedoświadczonych oficerów do pomocy i okręt, którym nawet marynarz zawodowy musiał dowodzić i kierować w znacznej mierze na ślepo. Gdy świt już wstawał na niebie, a konwój, minąwszy bezpiecznie wyspę Man, zmierzał prosto na wschód, do Liverpoolu i do domu, Lockhart odczuł ogromną ulgę. Znużony i wdzięczny myślom, że najtrudniejsza część rejsu była już poza nim, że czeka go tylko przycumowanie do nabrzeża, co zresztą budziło w nim niepokój. Słońce wysysające wilgoć z pokładów i rozigrane mewy, splatające wieniec triumfu nad czołem *Compass Rose*, utwierdzały go w świątecznym nastroju. Nie był zmuszony

zmierzyć się z żadną niezwykłą przygodą, lecz każda rzecz na nowym stanowisku była dla niego nowa. Gdyby w czymkolwiek nie dał sobie rady, czyż mógł bardziej publicznie okazać swą niezdarność?

Ale zbyt wcześnie cieszył się na święto. Miał właśnie zejść do kabiny, by się ogolić i przebrać, pozostawiając ostatnią, bezpieczną wachtę Bakerowi, gdy spostrzegł, że *Viperous* z wielką szybkością zmierza na tył konwoju, wyrując w morzu olbrzymią bruzdę. Miał w swoim wyglądzie niepotrzebną nikomu teatralność, której Lockhart najbardziej zazdrościł niszczycielom. *Viperous* przeszedł między dwoma ostatnimi statkami skrajnej kolumny, obrócił się w pienistej kipieli i zbliżał się do burty *Compass Rose*.

- Włączyć megafon! - rozkazał szybko Lockhart. Nie miał pojęcia, o co tamtym chodziło, lecz prawdopodobnie dojdzie do jakiejś rozmowy. Na pomoście *Viperous* ktoś podniósł do oczu lornetkę i patrzył w ich stronę. O piętro niżej marynarze na obu okrętach stanęli wzdłuż relingów i rozpoznając przyjaciół wymieniali z sobą uwagi na temat powrotu do portu.

Wtem z *Viperous* zahuczał przez megafon niski, przyjemny głos, brzmiący akcentem władzy:

- Jak zdrowie waszego dowódcy?

Lockhart podniósł do ust mikrofon.

- Bez większej zmiany - odpowiedział. - Boli porządnie. Wciąż jeszcze musi leżeć.

- Proszę przekazać ode mnie pozdrowienia... - Zapadła chwila ciszy. - Dziś idziemy na urlop, wobec czego mam zamiar dostać się wcześniej do portu, żeby załatwić sprawę żołądka. Chyba potrafi pan wprowadzić konwój? Do latarniowca jest jeszcze z dziewięć mil.

- Potrafię - odparł Lockhart. Nie było czasu na wahanie, chociaż miał bardzo niejasne pojęcie o tym, czego od niego wymagano. - Tak jest, potrafię go wprowadzić.

- Komodor¹⁸ dał właśnie sygnał, by statki ustawiły się w szyku torowym - mówił dalej dowódca niszczyciela. - Zajmij pan miejsce przed nim, jak tylko statki się sformują. Kiedy dojdziecie do basenu Gladstone'a, trzeba jak zwykle dać sygnał o przybyciu - trzydzieści osiem statków, konwój BK 108. Ja sam wyjaśnię sprawę naszego okrętu.

- Tak, panie kapitanie - rzekł Lockhart, przypominając sobie o niezbędnej formułce. Dowódca *Viperous*, najstarszy oficer w grupie eskortowców, był młodym człowiekiem o bardzo groźnej reputacji.

Jeszcze przez chwilę oba okręty szły z jednakową szybkością.

- No, to w porządku - doleciał głos z niszczyciela. - Zostawiam panu tę sprawę. Tylko nie wchodźcie za prędko, kapitan portu bardzo tego nie lubi.

Gdzieś w głębokościach wielkiego okrętu telegraf szczęknął w maszynowni i *Viperous* skoczył w przód, tnąc dziobem falę niby ogromne ciastko z kremem. Na korwecie słyszeli głos coraz cichszy, lecz władczy aż do końca: „A teraz patrzcie, jak wygląda prawdziwy chart oceanów”. *Viperous* oddalał się tak szybko, że *Compass Rose* zdawała się stać w miejscu, a Lockhart zamyślił się raz jeszcze nad nieporównaną wyższością niszczycieli. Ach, gdyby na *Compass Rose* można było pocisnąć jakiś magiczny guzik i pozostawić w tyle całą flotę!

Miał jednak coś więcej do roboty, niż wzdychać do gwiazdki z nieba. Konwój formował się w szyk torowy, w jedną kolumnę, by móc się wcisnąć w wąskie koryto rzeki. Korweta musiała nadrobić

¹⁸ Komodor (po ang.: commodore) - czołowy statek konwoju lub też oficer R.N. dowodzący statkami konwoju i zaokrętowany na jednym z nich (przyp. tłum.).

co najmniej sześć mil, by zająć stanowisko na czele kolumny. Wiadomo, *Compass Rose* nie może dorównać szybkością niszczycielowi, ale stara się, jak umie najlepiej. Jej kadłub drga od zwiększonych obrotów i oto zaczyna mijać jeden statek po drugim, dążąc na czoło konwoju. Lockhart spostrzegł, że słońce się schowało i nagle zrobiło się chłodniej, ale nie zastanowił się nad tym. To, co się stało potem, było dla niego zupełnym zaskoczeniem.

Właśnie mieli się zrównać z czwartym kolejnym statkiem w konwoju. Latarniowiec znaczący wejście do rzeki widoczny był w odległości około dwóch mil przed nimi, gdy nagle zniknął im z oczu. Lockhartowi nie chciało się wierzyć, by widoczność mogła się popsuć tak gwałtownie. Obejrzał się na burtę i nie zobaczył konwoju. Jak gdyby ktoś gąbką starł kredę z tablicy. Była to mgła. Mgła idąca z północy, zstępująca w poprzek ich szlaku warstwą grubą jak kołdra, zamazująca w oka mgnieniu wszystkie kontury.

Lockhart, ogarnięty nagłym przestrawem, wsparł się o reling. Mgła otulała ich wielkimi, grubymi chustami, gryząca i zimna. Mógł jeszcze dojrzeć lufę działa w odległości dwudziestu stóp przed sobą, ale nic więcej. Nie widział morza ani statków, nie widział nawet dziobu korwety. Okręt poruszał się jak w worku bez żadnej barwy, odcięty od świata i oślepy. Nagle Lockhart usłyszał innych mieszkańców tego samego worka - to konwój ogarnięty ławicą mgły skarżył się głośnym chórem syren. Mgła zaskoczyła statki gęsto ustawione w kolumnie. Wiele z nich szło za swym poprzednikiem w odległości mniejszej niż własna długość. A teraz konwój zwierał się jak pociąg towarowy, gdy zadziałają hamulce. Zupełnie niewidoczne, posuwając się dalej po omacku w zimnej, białawej wacie, statki robiły to, na co je było stać w tej chwili - hałasowały jak mogły najgłośniej i wzdychały, by mgła się podniosła.

Przerażenie Lockharta nie trwało długo. *Compass Rose* była już kiedyś we mgle i wtedy miał sposobność podziwiać spokój dowódcy, jego zupełne panowanie nad sytuacją. Trzeba było po prostu pójść za jego przykładem. Doznał wprawdzie pokusy, by odpaść od konwoju i iść zupełnie niezależnie, ale odsunął tę pokusę. We mgle trzeba ufać, że inne statki będą trzymały się kursu i samemu tak właśnie postępować. Inaczej wszelkie próby odtworzenia obrazu konwoju okażą się daremne. Wystarczy, by jeden statek utracił panowanie nad swymi nerwami i spróbował wydostać się z zagrożenia, a już cały obraz ulega zamięnieniu, trzeszczą subtelne wiązania wspólnego bezpieczeństwa i następuje katastrofa.

W tej chwili *Compass Rose* miała wszystkie statki konwoju po prawej burcie. Lockhart próbował ułożyć sobie w głowie ich rozstawienie, orientując się według różnych głosów syren. Najbliższy statek, którego syrena miała ton szczególnie głęboki, był dużym zbiornikowcem. Mijali go właśnie w momencie, gdy ogarnęła ich mgła. Statek przed zbiornikowcem wydawał dziwne, sapiące dźwięki, jak gdyby woda dostała się do gwizdka syreny. Komodor idący na czele kolumny miał również syrenę o dźwięku łatwym do rozróżnienia. Nad rykiem syren górował władczy głos rogu mgłowego na latarniowcu Bor, odległym o dwie mile, wyznaczając przednią krawędź całego układu. Tylko do latarniowca mogli posuwać się jako tako bezpiecznie, poza nim bowiem kanał zwężał się do pięćdziesięciu metrów. Jeżeli mgła się nie podniesie i konwój zmuszony będzie zakotwiczyć, trzeba to zrobić nie później niż za dwadzieścia minut.

Lockhart miał bądź co bądź jakiś obraz całości. Obok niego stali w wilgotnej mgle na pomoście Morell, Baker, sygnalista Wells i dwaj marynarze na oku. Każdy z nich starał się także coś zaobserwować i wysnuć właściwe wnioski. Wiedzieli, że dźwięki bywają zwodnicze. Można było na przykład słyszeć wyraźnie

syrenę z jakiegoś kierunku, podczas gdy było to jej echo odbite od wału mgły. W rzeczywistości dźwięk pochodził z nieznanego obszaru zagrożenia. *Compass Rose* szła naprzód po spokojnej wodzie, mając po prawej burcie niewidzialny korowód widm, zachowujących na ślepo odległości pomiędzy sobą i sztyk torowy. Cztery dźwięki, w które Lockhart wsłuchiwał się ze szczególną czujnością - syreny dużego zbiornikowca i statku idącego przed nim, syrena komodora i róg latarniowca - nadto zaś, jako dźwięk piąty w tym zespole, syrena na *Compass Rose*, powtarzały się w stałej kolejności i w jednakowych odstępach. Ryk syren pozostałych statków konwoju rozpływał się we mgle. Dopóki kwintet tych głosów trwał w prawidłowym układzie, mogli bezpiecznie oczekiwać, aż mgła przewali się nad nimi lub rozproszy.

Wtem Lockhart uniósł głowę i dostrzegł, że w tej samej chwili Wells sprężył się jak na baczność. Rozległ się ryk nieznanego syreny, nie należącej do zespołu. Zdawało się, że dochodzi gdzieś z lewej burty i od dziobu, a więc ze strony przeciwnej niż szedł konwój.

- Statek po lewej burcie, panie poruczniku? - zaryzykował Wells.

Czekali w milczeniu, aż tajemnicza syrena znowu się odezwie. Raz - to duży zbiornikowiec, dwa - to statek idący bezpośrednio przed nim, trzy - to komodor, cztery - przeciągły jęk rogu mgłowego z latarniowca. A potem: pięć - dźwięk o nierównym natężeniu, teraz już bliższy, dolatujący z bezpiecznej przestrzeni po lewej burcie, która oto ostrzega o bliskim zagrożeniu. Na dźwięk ten Lockhart poczuł, że włosy jeżą mu się na głowie. Mógł to być statek wychodzący z portu liverpoolskiego na morze lub, równie dobrze, zbłąkany statek z własnego konwoju czy wreszcie zupełnie obcy, idący niezależnie tym samym szlakiem co oni. W każdym razie był tu, był gdzieś we mgle przed nimi, po

lewej burcie, pchał się naprzód Bóg wie jakim kursem i z każdym rykiem syreny zbliżał się coraz bardziej.

Porucznik chwycił obu rękami za reling i wpatrywał się w nieprzeniknioną ścianę mgły. Nie potrzebował się odwracać, by wiedzieć, że tamci wpatrują się w niego. On był teraz ośrodkiem wszystkiego, los *Compass Rose* był w jego ręku, jej bezpieczeństwo i, być może, życie całej załogi zależało od tego, co on za chwilę postanowi. Zabrzmiała ich własna syrena, blisko i przeraźliwie, potem kolejno cztery znajome i bezpieczne dźwięki i wreszcie ten przekłęty piąty - jeszcze bliżej, dokładnie na wprost dziobu albo troszeczkę z lewej. Lockhart dał rozkaz: „Wolno naprzód!” - i zdziwił się, że głos jego brzmi tak spokojnie. Szczęknięt telegraf, zmniejszyły się obroty maszyny pulsującej głuchym pomrukiem, spieniona fala dziobowa opadła z cichym szelestem. Napięcie jednak nie osłabło. Ciało Lockharta sprężone było jak do skoku i złane potem. *Compass Rose* szła ciągle naprzód, zbliżała się do krawędzi znajomego układu, lecz zarazem zbliżała się do nieznanego statku, do siły niewiadomej, która mogła ich zniszczyć. Jeżeli komodor nie da sygnału zakotwiczenia, Lockhart musi się na coś zdecydować - albo natychmiast stanąć w miejscu, albo zatoczyć szeroki łuk w lewo, uciec od zbiorowiska statków i od niebezpieczeństwa. Iść dalej naprzód znaczyło - wżerać się coraz głębiej w pas ochronny, oddawać piędź za piędzią ostatnie zabezpieczenie. Usłyszał, jak stojący obok Morell zakasłał. Po czole spływały mu krople wilgotnej mgły zmieszanej z potem. Syrena *Compass Rose* zaryczała potężnie nad samą głową. Wtedy Lockhart ujrzał oczyma wyobraźni to, co mogło się stać za kilka sekund - trzask, zgrzyt drewna i metalu, zmiażdżone dzioby dwóch okrętów, krzyk ludzi zaskoczonych w pomieszczeniach załogi, jęki rannych. Czuł, że tamci wpatrują się w niego, że mu ufają, ale nie są spokojni.

Mają nadzieję, że potrafi sprostać nieuniknionej próbie... Wtem marynarz na oku zawołał z lewej burty:

- Statek po lewej!

Mgła nagle się podniosła i równie nagle zaświeciło słońce. W odległości czterdziestu metrów mały statek żeglugi przybrzeżnej przemykał się obok korwety i sunął dalej wzdłuż konwoju. Głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z piersi Lockharta. Ostatnie strzępy mgły odsłoniły mu widok nienaruszonej linii statków i wyraźną sylwetkę latarniowca kołyszącego się łagodnie na gładkiej wodzie. Niebezpieczeństwo, jak przyszło nagle, tak i nagle się rozwiało. Teraz mógł już naprawdę odetchnąć. Postąpił, jak umiał najlepiej, i okazało się, że to wystarcza. *Compass Rose* na czele konwoju pruła wesoło naprzód, ku dobrze znanym zarysom macierzystego portu.

W godzinę później znaleźli się w tłoku statków na rzece Mersey. Musieli więc posuwać się godnie i powoli, zdążając w górę rzeki do miejsca kotwiczenia konwoju. Za korwetą wyciągnął się długi wąż statków zanurzonych głęboko pod ciężarem ładunku, obszarpanych po długiej wędrówce, dumnych, a równocześnie wyglądających bardzo codziennie. Były to statki, których strzegli przez wiele dni, które znali już dobrze z tego konwoju i z poprzednich. Statki, które tak często klęli za wypadanie z szyku lub podziwiali za umiejętność żeglarską.

Więc jeszcze jeden konwój... Lockhart już stracił rachubę - może ten jest szesnasty, a może dwudziesty, Jeszcze jedna wielka gromada statków, przeprowadzonych bezpiecznie do kraju wraz z tysiącami ton niezbędnych ładunków, z setkami ludzi. Przeprowadzonych po zwycięskiej walce z żywiołem, którą toczyli w cieniu śmiertelnej groźby ze strony wroga. W sercach załogi eskortowca najsilniej grała niewątpliwie duma. Duma i trzeźwe uczucie wdzięczności. Kraj bardzo potrzebował dostaw,

ludzie byli ogromnie cenni, a *Compass Rose*, ich okręt, był ukochanym zakładnikiem w rękach losu. Wtem Wells zawołał:

- Sygnał od komodora, panie poruczniku!

Wszyscy na pomoście ucichli, gdy przyjmował i potwierdzał odbiór sygnału z wielkiego frachtowca idącego na czele konwoju. Po chwili Wells obrócił się ku Lockhartowi:

- Od komodora, panie poruczniku: „Jak to miło znowu zobaczyć ptaszki na Liver Buildings. Dziękujemy i do widzenia”.

Lockhart popatrzył w górę rzeki. W śródmieściu Liverpoolu wielkie, złociste ptaki wieńczyły kompleks Liver Buildings. Wraz z komodorem cieszył się ich widokiem, cieszył się najdrobniejszym piórkiem w złotych skrzydłach.

- Nadajcie: „Za każdym razem wydają się większe i piękniejsze. Do widzenia” - dyktował Wellsowi.

Zaczekał, aż sygnał zostanie nadany. Potem z dziwnym uczuciem zawodu dał rozkaz na ster i *Compass Rose* wielkim łukiem odeszła od konwoju, zmierzając do miejsca postoju przy ropowcu. Zadanie zostało wykonane, byli oficjalnie zwolnieni, ale rozstając się z konwojem miał takie uczucie, jakby oddawał przybrane dziecko, które zdążył pokochać. Przedtem niepokoił się myślą, jak doprowadzi korwetę do ropowca, teraz jednak wykonał manewr z taką niedbałą zręcznością, jakby przez cały rok nie robił nic innego. Skoro potrafił znieść brzemień ostatnich dni rejsu, skoro wyszedł zwycięsko z próby mgły, nie było chyba nic takiego, czego nie zdołałby dokonać. Wreszcie dał rozkaz: „Odstawić maszyny!” i zszedł na dół, by złożyć raport dowódcy. Czuł się w tej chwili co najmniej o dziesięć lat starszy i dumny ze swej dojrzałości.

4.

Znali życie na morzu - surowe, samodzielne, czasem przerażające. Znali też słodycz życia w domowych pieleszach, kiedy przyszła kolej na urlop. Znali wreszcie to życie pośrednie, jakie pędzili na postoju, wypoczywając po ostatnim rejsie i przygotowując się do następnego. Z tych trzech rodzajów bytowania tryb życia na postoju dawał im chyba najżywsze poczucie tego, że są kółeczkiem w skomplikowanej maszynie bojowej, od której działania zależy wynik wielkiej bitwy na śmierć i życie. W ciągu dwóch lat basen Gladstone'a, schronienie niemal wszystkich okrętów eskortowych Obszaru Zachodniego, zmienił się w wielki ul brzęczący skoncentrowaną działalnością marynarki wojennej. Bitwą o Atlantyk kierowali poważni strategowie z siedziby sztabu w podziemiach Liver Buildings. Tu, w basenie Gladstone'a, i w innych mniejszych basenach wzdłuż rzeki stały u nabrzeży w trzech lub czterech szeregach okręty, które walczyły w tej bitwie, zwyczajne pionki, które wykonywały robotę. Stały okryte pleśnią słonego osadu, odrapane, zmordowane, zagnane do ostatniego tchu. Jeszcze mokre od potu i krwi po ostatniej utarczce, wdzięczne za chwilę wytchnienia albo zastygłe w czujnym oczekiwaniu na przypływ, który znów je wyniesie na ocean. Miały wygląd roboczy i pozbawiony elegancji, wydawały się jednak dzielne i godne zaufania. Stały ciasno, rufa przy rufie, ich maszty wyrastały ku niebu gęstym lasem, a nadbudówki dziobowe wznosiły się wysoko nad mołem. Moło zapchane było szopami, barakami szkoleniowymi, zawalone niechlujnym bałaganem rozmaitych urządzeń, części zamiennych, blaszanek z olejem, a także świeżo dostarczonym zaopatrzeniem. Wszystkie spojrzenia biegły ku okrętom: wysmukłe, szare niszczyciele, przysadziste korwety i kanonierki, okręty trałujące tor wodny - cała drużyna związana z sobą nierozdzielnie, trzymająca w swym ręku losy bitwy. Tu, w basenie Gladstone'a,

spoczywała niezłomna zbroja konwojów, pancierz Atlantyku. Nie świecił on srebrzystym połyskiem, tu i ówdzie był wyszczerbiony i - co tu mówić! - porządnie przetarty, napięty do granic wytrzymałości. Ale wytrzymał dwa lata brutalnej walki i gotów był wytrzymać tak długo, jak długo potrwa wojna, i jeszcze pięć minut dłużej.

Ludzie odlani byli z tego samego kruszcu co okręty. Dla marynarzy Bitwa o Atlantyk zmieniła się we własną, prywatną wojnę. Kto raz w nią wdepnął, ten musiał poznać wszystkie jej tajniki. Wiedział, jak pełnić służbę w ciemne, plugawe noce, jak przezwycięzać udrękę zmęczenia, jak wyławiać rozbitków, zatapiać okręty podwodne, jak chować umarłych i jak samemu umierać nie zabierając czasu innym. Znał generalny plan bitwy, choć nie tak szczegółowo jak własną część wspólnego zadania, i wiedział, jak się ten plan kształtuje.

Wiedział na przykład, że obecnie konwoje tracą punkty. Znał na pamięć miesięczne statystyki zatopień, wyczyny i wartość okrętów z innych grup eskortowych, nazwiska dowódców okrętów podwodnych, wyróżniających się znajomością swojego rzemiosła albo szczególną bezwzględnością. Bitwa o Atlantyk stała się osobistą sprawą każdego marynarza, a ci, którzy brali w niej udział, zaznali tego rodzaju dumy i koleżeństwa, którego nic nie może zastąpić. Bo oni byli fachowcami, oni walczyli razem, wiedzieli, czego ta bitwa wymaga od człowieka. Poznali straszliwą furję, szalejącą coraz okrutniej z miesiąca na miesiąc, dręczącą każdego, kto dostał się w jej szpony - od najwyższego oficera do prostego palacza, dręczącą do najostatniejszych granic wytrzymałości.

Tak właśnie miały się sprawy przede wszystkim z marynarzami, którzy pływali na korwetach. Były to jednak najmniejsze okręty zagubione na dzikim Atlantyku w tym rozpaczliwym stadium wojny. Gdy ludzie z korwet spotykali się w porcie po ciężkim

konwoju, mając za sobą zwycięski atak wroga, a zatem straty w ludziach i w statkach, byli w pełni świadomi swojej misji. Czytali o sobie w gazetach i przytaczali zabawne tytuły, pozostające tak bardzo w tyle za rzeczywistością. Lecz w głębi duszy każdy z nich czuł, że pochlebna opinia publiczna o marynarzach z korwet jest właśnie odbiciem rzeczywistości, która na morskim pustkowiu budzi strach zmieszany z uczuciem triumfu, stanowi nieustanne, potężne wyzwanie i pozwala wyjść cało ze swych objęć tylko prawdziwemu mężczyźnie. Jeśli marynarz powiedział: „Pływam na korwecie”, mógł się spodziewać niechybnej odpowiedzi: „Musi wam być cholernie ciężko. Mówią, że flaki można wypłuć od tego kiwania”. Lecz jakkolwiek usłyszałby odpowiedź, jakiegokolwiek byłyby rozmiary współczucia lub niezrozumienia, rzeczywistość towarzyszyła mu zawsze i sam wobec siebie miał prawo być z niej dumny.

W porcie oficerowie sąsiednich okrętów odwiedzali się wzajemnie. Smak cudzego dżinu i nowy punkt widzenia w domowych plotkach o grupie eskortowców miały moc ożywiania dnia powszedniego na postoju i czasu oczekiwania na akcję. Ludzie ci niewiele się różnili między sobą. Na wszystkich okrętach byli tacy sami amatorzy morskiej wojaczki, którzy z biegiem czasu zdobywali wiedzę zawodową i marynarską dzielność.

Zastanawiając się nad oficerskim zespołem *Compass Rose*, Ericson uświadamiał sobie, że w teorii ma do czynienia z dziennikarzem, prawnikiem, urzędnikiem z banku i młodszym księgowym. Były, to jednak etykiety bez najmniejszego znaczenia. Teraz ci młodzi ludzie byli wyłącznie oficerami, którzy prowadzili korwetę i potrafili przystosować się tak zupełnie, że przeszłość po prostu od nich odpadła, pozostawiając tylko piętno osobowości odcisnięte na zawsze. Tak samo było na innych okrętach. Wszystkie korwety miały oficerów tego samego

gatunku. Nowe, eksperymentalne okręty przechodziły szkołę wojenną na morzu razem ze swymi ludźmi i razem z nimi wyrastały w szybkim i równomiernym tempie na jednostki bojowe odznaczające się niezawodnością w działaniu, odgrywające w walce rolę kluczową. Cóż dziwnego, że ci młodzi mężczyźni, spotykając się w okresie wytchnienia między rejsami, wszyscy jak jeden mąż okazywali tę samą, nieco wzgardliwą pewność siebie, która cechuje wybranych. Pływanie na korwecie było próbą nie byle jaką, a także nie byle jakim wyróżnieniem. Nikt nie mógł wiedzieć o tym lepiej niż oni.

Świadomość ta musiała zabarwiać - i zabarwiała - w swoisty sposób ich stosunek do ludzi, którzy nie brali udziału w Bitwie. W czasie postoju załoga *Compass Rose* stykała się często z personelem lądowym prowadzącym ciągle szkolenie w zakresie artylerii i hydrolokacji, które wypełniało większość dni służby pomiędzy dwoma rejsami. Poza tym wielu ludzi przychodziło z lądu na okręt - najrozmaitsi specjaliści, którzy dokonywali przeglądu wyposażenia korwety, personel łączności i mechanicy, przedstawiciele różnych „stowarzyszeń przyjaciół” i wreszcie duchowni. Niektórzy mieli istotne powody, żeby odwiedzać okręt, inni nie mieli żadnych, prócz wiecznie wyschniętego gardła i możliwości splukania go w jednym z dziesięciu pływających barów.

Bardzo różnorodny był dobór ludzi przychodzących na *Compass Rose*, trzeba jednak powiedzieć otwarcie, że niemal wszystkich witano z zadowoleniem, gdyż w większości byli to ludzie ciężkiej pracy, bardzo pomocni dla okrętu, prości i szczerzy. Na pewno uczciwie twierdzili, że tęsknią do służby na morzu i nie mają ochoty przesiedzieć całej wojny przy papierkowej robocie.

Byli jednak i inni. Tacy, którzy skubali od niechcenia i wyjadali smakowicie słodką kruszonkę z grubego placka rzemiosła

morskiego. Pieczeniarze z zawodu - zjawiali się murowanie o jedenastej przed południem i pod jakimś niewymyślnym pozorem zakotwiczeni w mesie oficerskiej ze szklanką w rękę i z butelką w zasięgu działania. Siedzieli z mocnym postanowieniem wytrwania i w końcu trzeba było wybierać - albo zamknąć bar, albo zaprosić ich na obiad. Niektórzy zgrywali się zapewniając, że ich najgorętszym pragnieniem jest - wyjść na morze, „tylko ten katar przeklęty...” Inni nie wysilali się nawet na udawanie. Okazywali wszem wobec błogie zadowolenie z siebie, które jest naturalną ozdobą osobników zajmujących wygodne posadki, mających mnóstwo wolnego czasu i przez naturę nadane prawo do wysuszania butelek na cudzy rachunek w ciągu iluś tam godzin dziennie. Gdy człowiek nie zdążył jeszcze wytchnąć po dwóch lub trzech tygodniach sztormowej pogody na morzu, a w dodatku - być może - po ciężkich zmaganiach z wrogiem atakującym konwój, gdy nie rozstał się jeszcze ze wspomnieniem ludzi oddających ostatnie tchnienie właśnie w tej samej mesie, niełatwo mu jest zachować uprzejmość wobec gościa, który uważa to wszystko za dość przyjemną zabawę, a własną, jedwabną rolę w tej wojnie za nagrodę należną wrodzonym zdolnościom.

Najczęściej, nawet pomiędzy sobą, reagowali na to milczeniem, milczącą wzdargą. Nie mogli wyrazić jej inaczej nie ujawniając równocześnie, co myślą o swej własnej roli. Czasami jednak pogarda wzbierała i przelewała się na zewnątrz. Kiedyś obiad na *Compass Rose* spóźnił się o godzinę z powodu zatwardziałego gościa, który - mimo przejrzystych aluzji - nie chciał zrozumieć, że poranne posiedzenie dżynowe już się skończyło. Zasiadali do stołu w przykrym nastroju zniechęcenia i rozdrażnienia. Ericson był tego dnia na lądzie, Lockhart zajmował jego miejsce. Nabrał na talerz porcję zupełnie zimnych cynaderek w cieście i powiedział, wyrażając uczucia wszystkich obecnych:

- Ten facet przebrał miarę. Przyłazi dzień po dniu, odkąd stoimy w porcie, i nie wydaje się, żeby choć palcem ruszył przy jakiej robocie. Co on tu dzisiaj robił? - zapytał Morella.

- Wypił osiem szklaneczek dżynu - odparł Morell spokojnie. - A poza tym powiedział, że nasze działo jest bardzo ładne i bardzo czystuśkie.

- Oficer artylerii floty! - zawołał Lockhart ze złością. - Miałbym ochotę wziąć to działo i...

- Zgadza się z moim przedmówcą. Ale zastrzegam sobie prawo do odpalenia.

Ferraby siedział na szarym końcu i obracał widelcem wystygłe jedzenie.

- Nie pamiętasz go z czasów szkolenia na *King Alfred*? - zapytał Lockharta. - Był razem z nami. Mówił, że pójdzie do Obrony Wybrzeża.

- A tak, przypominam sobie tę gębę.

- Miałeś dzisiaj dość czasu, żeby odświeżyć to wspomnienie - dorzucił Morell.

- Najgorzej mnie denerwuje ta jego postawa, jego poglądy na wojnę. Przychodzi, opija się dżynem, nie stara się nawet udawać, że robi dla nas cośkolwiek, a potem peroruje o wojnie, o Royal Navy, jakby to była gra w palanta wynaleziona tylko po to, żeby on miał wygodne zajęcie.

- Przypuszczam, że dla niego wojna jest właśnie zabawą - rzekł Morell. - Takich ludzi jak on można liczyć na setki. Nie rozumieją, w czym tkwi istota rzeczy, nie chcą tego zrozumieć. Wystarają się o ciepłe miejsce z dodatkiem funkcyjnym i niech tam sobie trwa ta wojna jak najdłużej - im dłużej, tym są szczęśliwsi. Nie walczą, nie pomagają w walce, bo przecież nie rozumieją, co to jest walka. Dla nich to jakiś drobny kosmiczny

przypadek, któremu zawdzięczają elegancki mundur i możliwość kombinowania papierosów bez cła.

- No dobrze, ale ilu jest ludzi, którzy patrzą na to jako na walkę?
- Baker rzadko przyłączał się do rozmów w mesie oficerskiej, tym razem jednak odważył się wziąć udział w dyskusji. Powiódł niepewnym wzrokiem po kolegach. - Zdaje się, że my wszyscy stoimy dosyć blisko tego, a jednak... - zająknął się na chwilę. - Nawet kiedy jesteśmy na morzu, trudno wciąż myśleć o tym, że to dlatego, że musimy wygrać tę wojnę i pobić Niemców. Najczęściej wcale się o tym nie myśli, że to wojna - po prostu odrabia się swoją robotę, bo wszyscy robią tak samo. I gdyby to byli Francuzi zamiast Niemców, każdy z nas tak samo by robił swoje i nie pytałby o nic.

- Rozumiem, co masz na myśli - odezwał się Lockhart po krótkim milczeniu. - Czasami rzeczywiście jest tak, jakby się człowiek dostał w tryby maszyny, którą ktoś inny prowadzi i reguluje.

Zawahał się. Oczywiście należało powiedzieć, że każdy powinien się być przed wojną żywiej interesować sprawami polityki, by móc zrozumieć, o co toczy się wojna, by móc odczuwać zupełnie osobiste i przemożne pragnienie zwycięstwa. Ale w stosunku do Bakera, który zaledwie przekroczył dwudziestkę i pozbawiony był szerszych zainteresowań, taka uwaga mogła brzmieć zbyt ostro. W jego wypadku trudność tkwiła nie tyle w braku zainteresowań, ile w braku dojrzałości.

- Mimo to - ciągnął Lockhart - siedzimy w tej maszynie i walczymy. Jeśli nawet nie przyklepamy etykietki z patetycznym napisem: „Walczymy o demokrację” albo: „Zadajemy śmiertelny cios tyranii faszyzmu”, to przecież naprawdę robimy właśnie to, nie co innego, i tylko to jest ważne.

Morell spojrzał na niego z zaciekawieniem.

- Ty naprawdę tak to odczuwasz?

- Tak. - Widząc, że inni koledzy też patrzą na niego ze zdziwieniem, Lockhart zrezygnował z powagi i rzekł z uśmiechem:

- No tak, okrutny ze mnie patriota. Tylko dlatego ruszam się jako tako.

Ktoś zapukał i w drzwiach zjawił się bosman.

- Oficer artylerii flotylli, panie poruczniku - zameldował służbiście.

- Co? - spytał Morell.

- Wrócił ten sam oficer, co dopiero zszedł na ląd.

- O Boże! - jęknął Lockhart.

- Kazał oddać panu porucznikowi, - Bosman podał kopertę. - Mówił, że całkiem o tym zapomniał.

- Dziękuję - odparł Morell.

Wziął kopertę i rozciął ją nożem. Wypadł złożony we czworo arkusz imponującej wielkości. Gdy Morell przebiegał go spojrzeniem, na jego twarzy odbił się wyraz komicznego przestachu.

- Boże święty! - wykrzyknął - to przecież niemożliwe.

- Cóż to takiego? - spytał Lockhart.

- Poprawka do nowego regulaminu artylerii, który wydano wczoraj - odparł Morell. - Nasz miły przyjaciel wreszcie udowodnił rację swego istnienia.

- Coś ważnego?

- O tak, coś wręcz zasadniczego.

Wyczuli w głosie Morella nutę sztucznego opanowania i spojrzeli ku niemu pytająco.

- Najlepiej przeczytam wam: „Regulamin Artylerii - recytował z przesadną starannością. - Poprawka numer jeden. Strona druga, wiersz szósty. Zamiast: szczał, powinno być: strzał”.

Spośród wielu okrętów spotykających się stale w Liverpoolu niektóre miały załogi alianckie. Ludzie ci bądź to zdołali umknąć razem ze swymi okrętami i przedarli się z nim do Anglii, bądź zaciągali się do marynarki wojennej dopiero po przybyciu do Wielkiej Brytanii i służyli na przekazanych im okrętach angielskich. Między innymi było tam kilka trałowców holenderskich, jedna norweska korweta i francuski ścigacz okrętów podwodnych o tak przedziwnym kształcie, że na pierwszy rzut oka trudno było rozpoznać, czy ten okręt tonie, czy nie. Okręty te i ci ludzie to był ciekawy problem: czy należy ich traktować poważnie, liczyć na nich jak na uczciwych i cennych sprzymierzeńców, czy też nie brać ich wcale pod uwagę, widzieć w nich tylko niespodziewaną dekorację i tolerować ją tak długo, dopóki nie przeszkadza w poważniejszych zajęciach, lecz nie ludzić się, że to są okręty wojenne i ludzie zdadni do walki.

Kłopot tkwił w tym, że nie wszystkie okręty były jednakowe: jedne wydawały się zupełnie do rzeczy, a inne nie. Okręty „cudzoziemskie” były przede wszystkim i w sposób oczywisty zamknięte w sobie, izolowane na obcym terenie i odcięte od własnych zwyciężonych narodów. Oficerowie i marynarze w stosunkach z obcymi okazywali wojowniczą rezerwę, którą trudno było przełamać. Człowiek chciał ich zrozumieć, skłonny był niejedno wybaczyć i współczuć im. Tak wiele jednak innych spraw absorbowало uwagę, że dosyć niezwykła i delikatna operacja wczuwania się w położenie wygnańca sprawiała naprawdę zbyt dużo kłopotu, chyba że było się w szczególnie współczującym nastroju. Czasem, gdy dali się przekonać i

gawędzili swobodnie, sprawa wydawała się warta zachodu. Wielu opowiadało niesłychanie ciekawe historie o tym, w jaki sposób znaleźli się wśród walczących po stronie sprzymierzonych. Historie o jakże ważkiej treści w porównaniu ze zwykłym wpisaniem nazwiska na kropkowanej linii i wciągnięciem munduru Royal Navy Volunteer Reserve. Dzieje dramatów i intryg, gdy kraj ojczysty stał na skraju przepaści, dzieje ucieczki, która była jedynym sposobem uratowania honoru, historie szaleńczych decyzji podejmowanych pod maską biernej rezygnacji, historie walk i wymykania się, i wreszcie, nagle - odetchnięcie wolnym powietrzem Anglii. Wszyscy oni doświadczali w takiej czy innej formie tego samego upojenia wolnością i wszyscy byli smutni, oglądali się wstecz ku temu, co pozostało za nimi. Lecz nawet w smutku byli różni, nawet ich smutek miał różny stopień nasilenia.

Holendrzy i Norwegowie wydawali się z gruntu poważni i solidni. Oni także oglądali się wstecz - wielu nie miało żadnych wiadomości o przyjaciółach i krewnych od czasu, gdy ich kraje zalała fala najazdu w roku 1940. Ale równoważyli swój smutek spojrzeniem w przyszłość, pozytywnym dążeniem do odzyskania, odbudowania tego, co utracili, wywalczeniem honorowego powrotu do ojczyzny i do pokoju. Ich okręty sprawiały zawsze wybitnie dobre wrażenie, bo ludzie na tych okrętach mieli, jak się zdawało, wybitne walory. Odciąwszy się od ojczyzny i domu, mogli się skupić bez reszty w jednym wysiłku, a ten wysiłek zawierający w sobie marynarskie cnoty porządku, cierpliwości i męstwa, znajdował odbicie we wszystkim, co robili, i niemal w każdym ich słowie. Kiedyś Ericson spędził wieczór na jednym z holenderskich trałowców stojących w basenie Gladstone'a. Nazajutrz tak sformułował swoje wrażenia:

- Podobają mi się Holendrzy - rzekł przechadzając się z Lockhartem po górnym pokładzie w czasie przerwy w zajęciach. -

Biorą to wszystko poważnie. Każda rzecz ma dla nich taki czy inny związek z wojną, a jeśli nie ma, to nie chcą o niej słyszeć. Kiedy wspomniałem, jaka to szkoda, że królowa Julianna miała trzy córki z rządu, a nie syna, dowódca zrobił się czerwony jak burak i mówi do mnie: „Jeśli się panu wydaje, że nie będziemy walczyć za córki, to zaraz wybiję to panu z głowy”. Oczywiście - dodał tonem uspokojenia - skończyło się na tym, że wypiliśmy parę szklaneczek sznapsa, ale on był zdecydowany. Miło pomyśleć, że taki właśnie człowiek trałuje drogę przed konwojem, a nie jakiś tam zjadacz żab, co tylko wzdycha za domem i nie przepatrzy każdego kąta jak należy.

Rzeczywiście, Francuzi byli inni i nikt nie mógł temu zaprzeczyć. Tak się zdarzyło, że Lockhart dość często odwiedzał jeden z okrętów francuskich ze względu na wspaniałe jedzenie i na okazję porozmawiania po francusku. Otóż nie mógł się oprzeć wrażeniu, że panuje tam niewyraźne, trudno uchwytnie rozluźnienie dyscypliny, którym zdawał się zarażony cały ten okręt. Nie można było wątpić w całkowite oddanie Francuzów sprawie sprzymierzonych. Ponieśli jednak klęską i nie mieli zbyt silnej wiary w możliwość wyratowania Francji z jej poniżenia. O generale de Gaulle'u mówili z szacunkiem, ale zarazem tak, jakby zawsze przewidywali, że sprawa obróci się na gorsze. Gdyby de Gaulle miał zawieść nadzieje, gotowi byli przestać się nim zajmować - *faut pas penser, faut accepter*¹⁹ - i postawić na jakiegoś innego faworyta, choćby na faworyta imieniem Laval, który biegał w barwach kolaboracji. Stracili swą dumę. Dumę, którą umieli zachować Holendrzy i Norwegowie. Mówili bardzo dużo o swoich domach i rodzinach, a znacznie mniej o zadaniach, które mieli wykonać. Rwali się do domu, do domu za wszelką cenę, do domu za cenę niewoli, jeżeli nie można było wrócić po drodze zwycięstwa. Zdawało się niekiedy, że główną sprężyną ich

¹⁹ Nie trzeba myśleć, trzeba się pogodzić (franc.) (przyp. tłum.).

działania nie była ojczyzna, lecz miłość - to słowo nagłące do czynu, które dziwnym zrządzeniem losu ich serca dotknęło niemocą. Szkoda... Lockhart mieszkał kiedyś w Paryżu i zachwycał się wszystkim, co francuskie, teraz więc przejęty był żalem. Tak jednak objawiał się esprit gaulois²⁰ w obliczu przeciwności i tego nie dało się ukryć.

Pewnego wieczoru dowódca okrętu francuskiego, lekko podpity, w toku ożywionej rozmowy powiedział nagle do Lockharta:

- Tak naprawdę, to wy nam nie ufacie, co?

W głosie jego brzmiała gorycz, która zdawała się dopowiadać: „Nic nie szkodzi, tak czy owak jesteście narodem barbarzyńców”. Ale piętno niewiary istniało i oto zostało potwierdzone. Nie można go było zetrzeć zarzutem anglosaskiego braku wrażliwości, nie można było udawać, że jest ono zwykłym nieporozumieniem.

Amerykanie nie przystąpili dotychczas oficjalnie do wojny. Ostroga Pearl Harbour nie wyrwała ich jeszcze z półsnu neutralności, trwającego dwa lata. Lecz tu i ówdzie można ich było spotkać: lotników zażywających w Liverpoolu odpoczynku między dwoma lotami poprzez ocean lub marynarzy na bezimiennych przestworach środkowego Atlantyku. Amerykanie zaczęli eskortować niektóre konwoje ze swoich portów aż do punktu, w którym mogły je przejąć eskortowce brytyjskie. Niszczyciele o dziwnych kształtach i długich nazwach, zaczynających się często od imion „Jakub” lub „Efraim”, wyłaniały się z mgły i zaczynały nadawać sygnały Morsem, powolutku, z ogromną cierpliwością, by tępi Anglicy mogli przecież coś niecoś zrozumieć. „Mają nas za stado półgłówków!” - wybuchnął Wells ze złością, gdy jakiś szczególnie troskliwy operator amerykański wyprowadził go z cierpliwości. „Zupełnie

²⁰ Galijski duch (franc.) (przyp. tłum.).

jak pierwsza lekcja w czasie szkolenia. A w dodatku sam zrobił byka w słowie port²¹.

Na ogół jednak umacniało się przyjemne poczucie koleżeństwa. Dobrze było mieć nieco więcej okrętów do pomocy w okresie natężonego wysiłku. Łańcuch transatlantyckich połączeń został wzmocniony w sposób najbardziej właściwy, przez bezpośrednie szczepienie ogniwa brytyjskiego z amerykańskim. Anglicy odczuwali z tego powodu zadowolenie przepojone braterską wdzięcznością. Ameryka nie weszła dotychczas w szranki wojny, lecz pomagała jak mogła, lawirując pomiędzy układem lend-lease a dyskretną współpracą marynarki wojennej. Inni natomiast nie pomagali. Mogą być różne stopnie neutralności, tak jak są różne stopnie zdrady. Można wybaczyć kobiecie przelotny okres ochłodzenia, lecz któż jej wybaczy, jeśli uśmiechnięta spoczywać będzie stale w objęciach innych mężczyzn? Jednakże w najpodlejszej zdradzie czy to ślubów małżeńskich, czy więzów międzyludzkich mogą być różne nasilenia winy. Można na przykład zrozumieć, jeżeli nie wybaczyć, stanowisko państw takich jak Hiszpania lub Argentyna, które miały wiele politycznych pokrewieństw z Niemcami, nie ukrywały swej nienawiści do Anglii i cieszyły się z góry jej klęską. Kraje te przede wszystkim nie zawierały nigdy ślubów z demokracją. Trudno jednak powstrzymać się od wzgardy wobec kraju takiego jak Irlandia, dla której ta wojna powinna być jej własną wojną. Bo gdyby Niemcy zwyciężyli, przepadłyby jej szanse wolności i niezawisłości. Z punktu widzenia działań na morzu fakt, że Irlandia stała na uboczu i nie brała udziału w konflikcie, stwarzał szczególnie trudną sytuację i narażał czasem na groźne niebezpieczeństwo marynarzy pływających na Atlantyku. Nic tedy dziwnego, że odpłacali Irlandii szczególną niechęcią.

²¹ Angielskie słowo: harbour (port) Amerykanie piszą odmiennie, mianowicie: harbor (przyp. tłum.).

Irlandzka neutralność, dla której kraj ten umiał znajdować szlachetne motywy, umożliwiała Niemcom utrzymywanie w Dublinie ośrodka szpiegowskiego, niby okna wybitego w ścianie Wielkiej Brytanii, przez które wróg zaglądał od początku aż do samego końca wojny, wyrządzając nieobliczalne szkody sprawie sprzymierzonych. Dla marynarki wojennej jeszcze bardziej katastrofalne skutki wynikały z utraty baz w południowej i zachodniej Irlandii, z których Royal Navy mogła korzystać w czasie pierwszej wojny światowej, a które teraz były dla niej zamknięte. Niełatwo było obliczyć, ilu ludzi, jak wiele okrętów kosztowała co miesiąc ta odmowa Irlandii, lecz ostateczna suma była ważka, rachunek tragiczny. Eskortowce mogłyby wychodzić z tych baz znacznie dalej w głąb Atlantyku, mogłyby zapewnić dodatkową osłonę prześladowanym konwojom. W bazach tych korwety i niszczyciele brałyby szybko paliwo, a holowniki szły by niezwłocznie na pomoc statkom unieruchomionym na morzu. Gdyby te bazy mogły się znaleźć w ręku sprzymierzonych, siły obydwu przeciwników w Bitwie o Atlantyk byłyby mniej więcej wyrównane. Lecz Irlandia odmówiła swych baz. Okręty eskortowe wychodziły na pole walki długą, okreśną drogą i musiały zawracać do portu co najmniej dwa dni wcześniej. Straty w ludziach i statkach przedłużały zmagania o całe miesiące, rachunek urósł tak, że uśmiechnięte oczy Irlandczyków w dniu zwycięstwa narodów sprzymierzonych nie mogły go wyrównać.

Z ciasnego, formalnego punktu widzenia Irlandia miała prawo tak właśnie postąpić. Optowała za neutralnością i cały dalszy ciąg historii jej stosunku do wojny wynikał z tej decyzji. Istotnie, wolno jej było wstrzymać się od udziału w wojnie niezależnie od tego, jakie szkody pociągnie to za sobą dla sprawy aliantów. Lecz marynarze widzieli, jak toną ich statki, i liczyli przyjaciół, którzy mogliby żyć, a musieli umierać. Marynarze patrzyli prościej na te sprawy. Wiedzieli, że Irlandia cieszy się bezpieczeństwem pod

parasolem Brytanii, żywi się tym, co przywiozą angielskie konwoje, i korzysta z opieki angielskiego lotnictwa. Rękojmnią neutralności były wszak w gruncie rzeczy brytyjskie siły zbrojne. Marynarze nie dostrzegali innej rekompensaty za opiekę, prócz bezkarnego sabotowania wojennego wysiłku sprzymierzonych. Więc byli źli, źli nieustannie. Płynąc wzdłuż niewdzięcznych wybrzeży, zamieszkanym przez ludzi, których ani ziębiły, ani też grzały losy wojny, dopóki oni sami żyli spokojnie we własnym świecie z bajki, mieli dość czasu, by zastanawiać się nad nowym rodzajem ludzkiej nieprzyzwoitości. Nazwisko człowieka, który stał bezczynnie i patrzył, jak ci podrzynają gardło, nie mogłoby zajmować poczesnego miejsca na liście ludzi, których chciałbyś lubić po wojnie.

Liverpool był miastem marynarzy i umiał to okazać w sposób wyraźny wspaniałomyślny. Co wieczór ze statków handlowych stojących wzdłuż nabrzeży, z eskortowców stłoczonych w basenie Gladstone'a setki mężczyzn schodziły na ląd. Każdy chciał się nacieszyć krótkimi godzinami wolności. Upijali się, robili awantury, zapełniali ulice i bary, mieli monopol na prostytutkę, uwodzili młode dziewczęta i używali z mężatkami - a Liverpool wybaczał im wszystko i darzył nadal gościnnością, nie wystawiając rachunku. Trudno określić wkład Liverpoolu w utrzymanie morale brytyjskiej marynarki w czasie tej wojennej inwazji. Lecz nie ulega wątpliwości, że atmosfera bez troski, pewność serdecznego przyjęcia, potwierdzana z roku na rok praktyką, walczyły pomogły marynarzom. Dzięki temu mieli do czego tęsknić po ciężkich tygodniach na morzu, mieli coś, co stępiało żądło osamotnienia i wyczerpania.

Rzecz prosta, że *Compass Rose* też korzystała z dobrodziejstw tak gościnnego miasta. Po osiemnastu miesiącach bazowania w

tym porcie większość załogi miała stosunki na lądzie i każdy mógł być pewien zarówno domowych obiadów, jak i błogosławieństw normalnego życia w rodzinie, które jest - jak wiadomo - najlepszym lekiem krzepiącym. Niektórzy marynarze z korwety pożenili się z liverpoolskimi dziewczętami, inni zaś sprowadzili tu na stałe swe żony. Mogli się oni cieszyć sytuacją, która była najlepszym kompromisem pomiędzy wojną a czasem pokoju, jaki można sobie w ogóle wyobrazić. Tak więc *Compass Rose* związana była z Liverpooliem i oby tylko zły los nie zechciał jej przenieść do ujścia Clyde albo do Londonderry, gdzie były również poważne bazy Obszaru Zachodniego.

Ericson rad był z trwałych kontaktów z lądem, gdyż były one rękojmią dobrego samopoczucia załogi i zmniejszały szanse poważniejszych wykroczeń przeciwko dyscyplinie urlopów. Jeśli chodzi o niego samego, pogodził się jakoś z myślą o trwalszych ramach życia domowego, z Grace jako tłem niczym nie zamaconym i z małym domkiem w Birkenhead jako miejscem wytchnienia pomiędzy rejsami. Nie znaczyło to wcale, że mniej się przejmował *Compass Rose*. Matka Grace mieszkała już u nich i fotel po lewej stronie kominka okupowany był przez nią niewzruszenie. Dzięki temu nie musiał czuć się winny, gdy w razie potrzeby spędzał noc na korwecie.

Drugi mieszkaniec Birkenhead, bosman Tallow (teraz już starszy bosman), wypasł się na przysmakach swej siostry Gladys. Miał sporo uciechy z sytuacji, jaka się wytworzyła między Gladys a szefem maszyny Wattsem. Od pierwszego postoju *Compass Rose* w Liverpoolu Watts był wytrwałym i zawsze mile widzianym gościem w domku na Dock Road. On był wdowcem z dorosłymi dziećmi, ona zaś wdową, dla której minęły już czasy romantycznych zapalów. Spokojnie i rozważnie zawarli porozumienie, na mocy którego mieli zaraz po wojnie osiąść gdzieś razem i żyć jak Pan Bóg przykazał, składając do wspólnej

skarbonki jego emeryturę i jej skromniutkie oszczędności. Watts postanowił wyjawic swe zamiary bratu Gladys, lecz kluczył wokół tematu tak zawiłymi ścieżkami, że Tallow nie mógł nic z tego zrozumieć. Dopiero gdy Watts wybąkał coś o „ustaleniu się po wojnie”, Tallowa nagle oświeciło.

- Ależ to świetnie, Jim! - zawołał bosman.

Byli sami w mesie podoficerskiej i Tallow w nagłym porywie wyciągnął rękę do Wattsa. Lecz natychmiast obaj uczuli zakłopotanie i uściśnęli sobie dłonie nie patrząc na siebie. Mimo to głos Tallowa brzmiał ciepło, gdy znów zaczął mówić.

- Nic lepszego nie mogło jej się przytrafić. Ani tobie. Mówiłeś już z Gladys?

- Niby tak... - Watts czuł się wciąż zawstydzony okazywaniem swych uczuć. - Tak jakbyśmy już doszli do... porozumienia. Tylko jest jedna rzecz...

- No, cóż wam stoi na przeszkodzie?

- Ona się trochę martwi o ciebie. Że to niby prowadziła ci gospodarstwo od dawna, no nie? Więc nie chce, żebyś miał niewygodę.

- Nawet o tym nie gadaj - uśmiechnął się Tallow. - Ja sam mogę się przecież ożenić, nie dziś to jutro, skąd można wiedzieć? Na nic się nie oglądaj, Jimmy, oddam ci pannę młodą, kiedy sam zechcesz.

- Coś mi się nie zdaje, żeby to mogło być prędko - odparł Watts.

- Ta wojna tak się wlecze. Jeszczem nie widział takiej cholernej wojny.

- Z tym to masz rację. Ale o mnie się nie martw. Powiedz, którego dnia, a już ja zatańczę na twoim weselu.

Nie było sądzone, by Tallow zatańczył na weselu swej siostry. Bo Liverpool, miasto marynarzy, miało wkrótce zapłacić na ten

tytuł cenę straszniejszą, niż można sobie wyobrazić. Drobną częścią tej ceny były zdeptane marzenia o szczęściu bosmana Wattsa.

5.

Już w dole rzeki, przy latarniowcu Crosby, wiedzieli, że coś się stało. A potem, kiedy płynęli na tyle konwoju w górę Mersey, ludzie z załogi zebrali się na górnym pokładzie i osłaniając oczy przed ostrym majowym słońcem, spoglądali ku miastu, które było ich miastem. Morell stał na pokładzie dziobowym, przy ludziach szykujących już cumy. Skierował szkła lornetki ku wieżom Liver Buildings. Wydało mu się, że widzi dym, dużo dymu, a tu i ówdzie na tle nieba poszarpane sylwetki, których nigdy przedtem nie widział. Wtem usłyszał przy sobie okrzyk Phillipsa:

- O rany! Zrąbali nam miasto!

I Morell, i wszyscy inni poczulі cierpką woń dymu spływającego w dół rzeki. Morell wpatrzył się w wielki dom towarowy tuż przy basenie Gladstone'a. Budynek był rozłupany od góry do dołu. Jedna połowa piętrzyła się ogromną kupą gruzu, a reszta, szerniała w pożarze, tliła się jeszcze. Sunąc szklami lornetki przez całe miasto, aż hen, do Birkenhead na drugim brzegu, rozpoznawał wiele takich gmachów i dziesiątki, dziesiątki domków leżących w gruzach wewnątrz wielkiego wypalonego kręgu. W północnej dzielnicy jeszcze płonęły pożary i całun dymu zwiisał ciężko nad miastem. Widział ogromne wyrwy, całe ulice zmiecione z powierzchni, rzędy domów pokaleczone, poszarpane. Opuścił szkła, wstrząśnięty rozmiarami zniszczenia, nagością miasta leżącego przed nimi w ruinie. Tak niedawno pozostawili je w dostatku, w bezpieczeństwie. Spotkał wzrok jednego z

marynarzy, z oddziału dziobowego, który - jak słyszał - sprowadził właśnie młodziutką żonę na stałe do Liverpoolu.

- Jak... jak to wygląda, panie poruczniku? - spytał tamten łamiącym się głosem.

- Nie najlepiej - odpowiedział mu Morell. - Wygląda tak, jakby było kilka nalotów.

- Łajdaki! - mruknął Phillips do wszystkich i do nikogo. - Popatrzeć tylko na te domy...

Dym i smród spalenizny, okrutna woń zniszczenia słała się ku nim ponad rzeką.

Z punktu obserwacyjnego dostali sygnał, by iść prosto do basenu Gladstone'a.

- Mam nadzieję, że nie trzasnęli w ropowiec - rzekł Ericson, gdy Wells odczytał mu sygnał. - Wyleciałby w powietrze jak fajerwerk.

Oglądał przez lornetkę drugi brzeg rzeki, gdzie było Birkenhead i jego domek. Zniszczenie zdawało się tutaj szczególnie bezlitosne, jakby bombowce, szukając basenów portowych, wzięły równe szeregi domków za pobliskie nabrzeże i spuściły na nie z triumfem swój śmiercionośny ładunek. A może było im wszystko jedno, w co trafią? Wtem *Compass Rose* obróciła się w poprzek rzeki. Ericson krzyknął ostro:

- Uważajcie, bosmanie!

W rurze głosowej zabrzmiała odpowiedź Tallowa:

- Przepraszam, panie kapitanie.

Ericson przypomniał sobie, że nie on jeden interesował się osobiście tym, co się stało w Birkenhead. Nareszcie mógł dać rozkaz zmniejszenia szybkości i wziąć kurs na wejście do basenu Gladstone'a, ujętego w przysadziste, kamienne nabrzeża. Przynajmniej wkrótce się dowiedzą, nie będą czekać, aż tę

najgorszą wiadomość przyniesie im niepewna poczta lub przypadkowa plotka.

Gdy podchodzili do nabrzeża po południowej stronie basenu, już biegło ku nim sześciu ludzi od najbliższego niszczyciela, by przyjąć cumy. Pierwsza rzutka śmignęła jak bicz z okrętu na nabrzeże, znów nawiązując kontakt po dwóch tygodniach pobytu na morzu. Starszy marynarz Phillips, stojąc wysoko na dziobie, zawołał do tych w dole:

- Co się tu dzieje?

Jeden z cumowników, krzepki marynarz z trzema naszywkami, spojrzał w górę ku niebu i skrzywił głowę w uśmiechu.

- Coś niecoś straciliście, kolego! - zawołał w odpowiedzi. - Osiem nocy jak obszył, tylko tyle. Bombowce przylatywały co noc, a było ich do cholery, niczym wróble na dachu. Powiadam wam, zrobili z miasta bigos.

- No, mówcie - nagiął Phillips. - Która dzielnica dostała najgorzej?

Marynarz zrobił niewyraźny gest ręką.

- Ja myślę, że wszędzie rąbali nielicho: Bootle, Birkenhead i Wallasay. A w śródmieściu to samo, nie ma już wcale Lord Street. Tak, tak, mieli za swoje po obu brzegach rzeki. W gazetach pisało, że to najgorszy nalot w tej wojnie. Ja bym już nie chciał gorszego. Tu, przy nabrzeżu, zapalił się statek z amunicją. Zdążyli go przeciągnąć na sam środek rzeki, zanim wyleciał w powietrze.

Cumownik żywiej zamachał ręką.

- Nigdy nie dostałem od żony lepszego lekarstwa na wytrzeźwienie... No, podajcie cumę dziobową.

Z pomostu zabrzmiał chłodny, surowy głos dowódcy:

- Przestańcie gadać i zróbcie raz porządek z tymi cumami.

Phillips zrobił znak ręką do marynarza na dole, a tamten odpowiedział mu ruchem głowy. Obaj wiedzieli doskonale, jak długo można prowadzić taką rozmowę.

Gdy wreszcie zacumowali, Ericson dał rozkaz, by odstawić maszynę, a potem zwrócił się do Lockharta:

- Poruczniku.

- Tak, panie kapitanie?

- Myślę, że będzie dużo próśb w sprawie nadzwyczajnych urlopów. Niech pan skreśli normalne urlopy i da je marynarzom, którzy tu mają domy albo rodziny.

- Rozkaz, panie kapitanie.

- Dopilnuj pan, niech dobrze zabezpieczą cumy. Ja zejść na ląd, do telefonu.

Gromada marynarzy czekała na rozmowę. Stali w ogonku przed jedyną budką telefoniczną na nabrzeżu, chcąc jak najprędzej dowiedzieć się o swoich. Czekali cierpliwie nie zamieniając z sobą ani słowa. Ericson dostał połączenie i przez chwilę rozmawiał z żoną. Głos miała dziwnie stłumiony, ale przynajmniej żyła...

Ferraby, którego domek stał już właściwie poza miastem, także miał szczęście. Lecz kiedy przyszła kolej na Tallowa, nie mógł połączyć się ze swoim numerem, za każdym razem słyszał ciągły, wysoki sygnał, który oznaczał: „Linia uszkodzona”. Kiedy wrócił na okręt i przebierał się śpiesznie w podoficerskim pomieszczeniu, by znowu zejść na ląd, Watts zaproponował nieśmiało:

- Słuchaj, Bob, miałbym chęć pójść razem z tobą.

Tallow właśnie się golił i kiwnął mu głową.

- Dobra! Idziemy razem.

- Mogli tylko uszkodzić przewody - powiedział Watts po chwili.

Tallow znów kiwnął głową.

- Możliwe.

Ale im bardziej zbliżali się do domu, przeprawiwszy się promem przez rzekę, tym lepiej mogli się orientować, że to nie to. Od przystanku szli w górę, w kierunku Dock Road, posuwając się bardzo powoli. Ulice zasypane były gruzem, szkłem i kawałkami drewna. Resztki zwalonych domów, woń ledwo ugaszonych pożarów towarzyszyły ich ponurej wędrówce. Nie rozmawiali z sobą, bo straszliwe zniszczenie powiedziało już za nich wszystko. Po cóż się było zastanawiać i zgadywać, czego się dowiedzą za chwilę, skoro każdy krok na tej drodze, każdy sklep i domek zamieniony w ruinę umacniał ich w pewności. Szli obok siebie, noga w nogę, prawdziwe wilki morskie w eleganckich, dobrze skrojonych mundurach. Wreszcie skręcili na ostatnim rogu lub raczej w miejscu, gdzie powinien być róg ulicy, i spojrzeli na Dock Road.

Niewiele tu pozostało. Poszły oba domy narożne tuż obok i trzy następne. A potem była ogromna dziura na środku jezdni, a potem, jeszcze dalej, sterczała góra gruzu. To było wszystko, co pozostało z domu, który zwałił się na ulicę. Musieli spuścić serię bomb z samolotu, równiutko, jak rząd guzików na sukni. Wstrząśnięty, oszołomiony, Tallow szukał spojrzeniem najdalszego punktu zniszczenia. A gdy znalazł, powiedział tonem ni to zdziwionym, ni to zrezygnowanym:

- To tam, Jimmy. Poznaję, że to tam.

I wtedy zaczął biec jak szalony. Wattsa ogarnął ten sam nagłący niepokój, poszedł więc w jego ślady i obaj biegli równym kłusem wzdłuż martwej ulicy. Minęli pierwszy kompleks zrujnowanych domków, minęli następny i wielki krater w jezdni, w końcu dobiegli do ostatniego narożnika, który też leżał w gruzach. Numer dwudziesty siódmy był wpółrozwalony od podmuchu. Tak

samo trzydziesty pierwszy. Numer dwudziesty dziewiąty trafiony był bezpośrednio.

Dock Road, numer 29. W pogodne, słoneczne popołudnie ruiny domku wyglądały mizernie i bardzo skromniutko. Pas oddartej tapety łopotał na wietrze, połowa schodów wisiała w dziwnym przegięciu, a zlew kuchenny sterczał nad kupą cegieł niby ołtarz jakiegoś domowego bóstwa. Domek zapadł się, wylał się strugą gruzu do ogródka i na ulicę.

Szkło i kawałki cegły chrzęściły pod stopami. Nie było już domu. Nie było przytulnego kąta, gdzie Tallow między dwoma rejsami czuł się tak dobrze, tak wygodnie, gdzie Watts wybąkał swoje kulawe oświadczenia, gdzie Gladys urządziła miłą, bez troską przystań dla wszystkich trojga. Pozostała bezkształtna masa przelewająca się poza granice własnych fundamentów, kupa śmieci, nad którą, niby znak ostatecznego przekleństwa, unosił się swąd wypalonego pożaru. W ruinach grzebało kilku ludzi z brygady ratowniczej, w granatowych kombinezonach pokrytych grubą warstwą kurzu. Podobni byli do śmieciarzy, którzy nie wiedzą, czego szukają i co mogą znaleźć.

Po chwili wahania Tallow podszedł do tego, który stał najbliżej. Był to wysoki mężczyzna w jasnym stalowym hełmie.

- Jak to się stało? - spytał cicho.

Tamten ledwie spojrzał na niego i odburknął:

- Co za głupie pytanie. Nie mam czasu.

- To jest mój dom - rzekł Tallow zupełnie bezbarwnie.

- A, pański dom!... - Wysoki mężczyzna wyprostował plecy. - Bardzo mi przykro, bosmanie. Widzi pan, kręci się tutaj tylu durniów, przez całe życie tylu nie widziałem.

Przyjrzał się Tallowowi ze szczerym współczuciem.

- Trafili jak wymierzył. To gdzieś w połowie nalotów, będzie już z pięć dni temu. Był pan wtedy na morzu?

- Tak. Właśnie wróciłem.

Watts dodał:

- Nic nie wiedzieliśmy.

Zamilkli. Tylko pył poderwał się w górę z szelestem i znów opadł. Tallow zdobył się na pytanie:

- A co z mieszkańcami tego domu?

Człowiek z brygady ratowniczej odwrócił się i patrzył na jezdnię.

- Niech pan lepiej zapyta na posterunku, ot tam - wskazał palcem. - Oni się tym zajmują.

- Ale co się z nimi stało? - nalegał Tallow. - Wie pan czy nie?

Tym razem mężczyzna w hełmie spojrzał mu prosto w oczy, szukając właściwych słów.

- Nie powinien pan się za wiele spodziewać, bosmanie. Taki nalot... Wynosiliśmy ludzi. Dwie kobiety. Nie znam ich nazwisk. Niech pan się dowie na posterunku. Powiedzą panu o wszystkich szczegółach.

- Czy już nie żyły? - chciał wiedzieć Tallow.

Chwila wahania, a potem:

- Tak, nie żyły.

Przechodząc przez ulicę w stronę posterunku Tallow powiedział:

- To była na pewno pani Crossley. Lubiała wieczorami przesiadywać u Gladys.

W małym murowanym budynku na rogu trzech ludzi z posterunku obrony przeciwlotniczej grało przy stole w karty. Dwaj byli młodzi, jeden zaś starszy, z siwymi włosami. Gdy

Tallow i Watts weszli schylając głowy w zbyt niskim przejściu, jeden z tych młodych spojrział na nich i zawołał z udanym przestradchem:

- Patrzcie, chłopaki, przyszła marynarka!

Starszy mężczyzna odłożył na bok karty i rzekł:

- W samą porę na filiżankę herbaty. Zawsze miło mi powitać przedstawicieli Royal Navy.

- Nazwisko Tallow - rzekł bosman zwięźle. - Dock Road, numer 29. - Wskazał kierunek ruchem głowy. - Wie pan, po tamtej stronie ulicy. Co z mieszkańcami?

Zapadło długie milczenie. Tamci, zaskoczeni, wpatrywali się w stojącego przed nimi bosmana. Z ich twarzy powoli znikał uśmiech, wesole powitanie rozplynęło się w fali przykrego zawstydenia. Wreszcie starszy mężczyzna wybąkał:

- Pan Tallow, a tak. To pański dom, prawda? Bardzo mi przykro, naprawdę bardzo przykro. - By ukryć zakłopotanie zaczął przekładać papiery na zwykłym, sosnowym stole. - Panie Tallow... Oczywiście, posłałem zaraz sprawozdanie do Zarządu Miejskiego. Dwie ofiary - tak, odnotowałem to tutaj. Pani Bell i pani Crossley. Nie dostał pan powiadomienia z magistratu?

- Tylko co wróciliśmy. Przez dwa tygodnie byliśmy na morzu. A kiedy to się stało?

- Piątego maja. To znaczy pięć dni temu. - Znów odczytał nazwiska. - Pani Bell, pani Crossley. Czy to pańska rodzina?

Tallow przełknął ślinę.

- Pani Bell to moja siostra. A pani Crossley była jej przyjaciółką.

Starszy mężczyzna pokiwał głową.

- Bardzo współczuję. Jeśli mogę pomóc w czymkolwiek...

- A co się stało z...

Jeden z młodzieńców, ten właśnie, który ich witał tak wesoło, wstał nagle i powiedział:

- Trzeba się z tego otrząsnąć... No, usiądź pan na minutę.

- Kiedy był pogrzeb? - pytał Tallow stojąc bez ruchu.

- Dwa dni temu. - Młody odkasznął. - Rozumie pan, byli tam jeszcze inni. Razem dwadzieścia jeden osób.

- Dwadzieścia jeden? I wszyscy z Dock Road?

- Tak. Ta noc była ciężka.

Watts stał u drzwi wejściowych zaraz za Tallowem. Teraz poruszył się i zapytał.

- Gdzie to było? Znaczą się, pogrzeb.

- Na cmentarzu przy Croft Road - odparł tym razem najstarszy z trzech mężczyzn. - Wszystko odbyło się bardzo przyzwoicie, może pan być spokojny. Był burmistrz i rada miejska. Wszyscy zostali pochowani w dużej, wspólnej mogile, a kwiaty i wieńce... - Przerwał i nagle dokończył innym tonem: - Panie Tallow, one nie zdążyły nic poczuć. W minutę, nie, w sekundę było po wszystkim. Na pewno nie cierpiały.

- Tak - odparł Tallow - ja rozumiem.

- To też pociecha - rzekł cicho stary człowiek.

- Tak - zgodził się Tallow. - Dziękuję panu. Przyjdę tu jeszcze jutro albo pojutrze.

Na dworze wydawało się bardzo jasno po mroku panującym wewnątrz budynku. Dwaj marynarze stali obok siebie, nie patrząc jeden na drugiego. Patrzyli na zburzony dom i na ludzi łąjących po ruinach. Jakieś dzieci bawiły się w ogródku od ulicy. Ustawiały wysoko ścianę z cegieł, a potem ją burzyły. Dokoła panował spokój, pustka i pył zniszczenia.

- Bob! - odezwał się Watts po chwili. - Współczuję ci, naprawdę ci współczuję.

- A ja tobie współczuję, Jim. Wiem, co to dla ciebie znaczy. My obaj straciliśmy... - Nagle Tallow rozprostował ramiona. - No, co się stało, to już się nie odstanie. Idziemy.

Zaczął iść powoli z powrotem, w górę ulicy Dock Road, a Watts znowu szedł obok, noga w nogę.

- To dziwne - mówił Tallow, gdy mijali dziurę wyrwaną w jezdni. - Nie mogę jakoś w to wszystko uwierzyć. - Spojrzał w niebo. Było niewinne i zdradliwe. - Nie ma w tym przecież za grosz sensu - rozważał dalej, a w jego głosie brzmiał ból i zdumienie. - Człowiek powraca z morza i cieszy się jak nie wiem co na ten powrót, leci do domu i tu się dowiaduje, że ludzie, którzy powinni by żyć w dobrym zdrowiu, naprawdę już nie żyją i że ich pochowano, kiedy człowiek był o dwa dni drogi od portu. To przecież nie ma żadnego sensu - powtarzał bezradnie. - Jim, muszę się chyba napić.

6.

Zrobili jeszcze cztery rejsy, ciężkie, pełne nerwowego napięcia, jak większość ówczesnych rejsów z konwojami. Aż wreszcie w połowie lata przyszło to, na co czekali od miesięcy - remont korwety i długi urlop z tej okazji. Miał to być pierwszy długi urlop, od czasu gdy *Compass Rose* weszła do służby. Wszyscy pragnęli tego urlopu, wielu potrzebowało go koniecznie. Życie w konwojach atlantyckich wzbierało z wolna, lecz stale wzrastającym napięciem, zmierzającym do punktu szczytowego, którego jednak nie można było przewidzieć. Życie to brało okrutny haracz z nerwów ludzkich i z siły wytrwania, tak samo jak z okrętów. Wyczerpanie przejawiało się w różnych drobiazgach - w spóźnionych powrotach z lądu, kiedy wiadomo

było, że nie ma mowy o wymiganiu się od kary, w sporach i kłótniach w mesie oficerskiej, w prawdziwej pladze drobnych kradzieży w pomieszczeniach załogi. Jedynym lekarstwem na to wszystko był dobry wypoczynek, wolny od wszelkiego przymusu, od groźby niebezpieczeństwa, od wszelkiej dyscypliny. Po takim wypoczynku będą znów zdolni podjąć swój ciężar i pocić się, i męczyć do samego końca, ale bez niego, bez okresu wytchnienia, rozdrażnienie i nieudolność w pracy mogłyby przybrać zastraszające rozmiary.

Nie mniej niż załoga, *Compass Rose* także potrzebowała odpoczynku. Była to pierwsza dłuższa przerwa w jej służbie od chwili opuszczenia stoczni nad rzeką Clyde przed blisko dwoma laty. Nie mówiąc o niezbędnych drobnych naprawach, zaszyły w tym czasie zmiany w konstrukcji tego typu okrętów, dysponowano lepszą bronią, zwiększyły się załogi, było więc masę do zrobienia, by dorównać nowoczesnym korwetom. *Compass Rose* miała dostać zupełnie nowy pomost, o wiele większy i lepiej osłonięty. Maszt miał być przesunięty w tył, za pomost, jak na wszystkich okrętach wojennych. Nareszcie miała być izba chorych, wyposażona jak należy, nowe wyrzutnie bomb głębinowych, a także nowy typ asdiku, który potrafi powiedzieć wszystko o tropionym okręcie podwodnym, prócz jego nazwy. Lista zmian i uzupełnień była bardzo obszerna.

Compass Rose z westchnieniem ulgi osiadła w doku remontowym i odwróciwszy się plecami do morza, poddała się kuracji odmładzającej, która trwać miała sześć tygodni.

Dwie trzecie załogi poszły na urlop, a w mesie oficerskiej tylko Lockhart i Baker dotrzymywali sobie towarzystwa. Lockhart odczuwał silnie nastrój odprężenia. Swój urlop odłożył na później, by dopilnować remontu *Compass Rose* w pierwszym okresie. Należało to do jego obowiązków służbowych. Obchodził cały okręt i sprawdzał według skomplikowanej listy remontowej, co

było do zrobienia. Z dziwnym rozczarowaniem przekonywał się, że korweta w tak krótkim czasie zszarpała się do szczętu. Powinna była dłużej wytrzymać. Zaledwie kilka dni temu wróciła z morza w zupełnym porządku - zręczna, sprawna i tak zdyscyplinowana po dwóch latach pływania, że wszystko tam było dopięte na ostatni guzik. I nagle, od jednego razu, pękła obręcz tej dyscypliny. *Compass Rose* była już tylko wrakiem, martwym okrętem uwiązany do mola, brudnym, niechlujnym. Kotły wystygły, ludzie gdzieś się rozeszli, wyciekło z okrętu życie. Trudno było uwierzyć, że mogło się to stać tak szybko i tak całkowicie.

Patrzył na robotników, jak cięli pomost na części acetylenowym palnikiem, patrzył, jak iskry spadają na niepotrzebną podstawę działa, które zostało już zdjęte. Strapiony, powłókł się na rufę, gdzie spawacze mieli zakładać nowe wyrzutnie bomb głębinowych. Stare powyginali dziwacznie, tak że już niczemu nie mogły służyć. Wiedział, że *Compass Rose* wyjdzie z tego wszystkiego silniejsza i więcej warta niż kiedykolwiek przedtem. Ale w tej chwili zupełnego rozkładu niezmiernie przykro było widzieć, jak okręt - niedawno taki sprawny i schludny - w ciągu niewielu dni stracił właściwie prawo do swego imienia.

W pierwszych dniach kapitalnego remontu Lockhart patrzył także na inne sprawy, które jeszcze mniej mu się podobały. Nie mógł się oprzeć pokusie porównywania lub raczej przeciwstawiania karnej, wesolej załogi *Compass Rose* i jej pracy - tak niewymownie ciężkiej, którą dzień po dniu podejmowała na nowo jako rzecz zwykłą, naturalną - temu, co robotnicy stoczniovi uważali za wzmożony wysiłek wojenny. Możliwe, że to była zła stocznia. Ale czy zła, czy dobra, kontrast bił w oczy i narzucał niemiłe wnioski. Niektórzy robotnicy pracowali uczciwie i ciężko, lecz większość postępowała inaczej. Najczęściej, nie spiesząc się, łazili z miejsca na miejsce, po dziesięć razy na dzień

ugadywali po kątach, a kończyli dzień pracy tak punktualnie, że gdy zabrzmiał gwizdek na fajerant, już zbiegali po trapie, gnając co prędzej do domu. Nieraz Lockhart nakrywał karciarzy na dole w maszynowni, gdzie czuli się bezpieczni przed okiem majstra. W kabinie asdiku zbierała się co dzień po południu partia zażartych pokerzystów. Zamykali się tam od wewnątrz i grali aż do piątej, nie zwracając uwagi na nic i na nikogo. Zważywszy, że wiedli oni życie bezpieczne, wolni od dyscypliny i przymusu, że mogli wracać co wieczór do swych domów, że wymagano od nich pracy tylko w określonych godzinach i że płacono im za to o wiele więcej, niż zarabiał marynarz na okręcie, trudno było nie czuć zniecierpliwienia i wzgardy na widok ich niechętniej postawy. Oni także należeli do ludzi, za których marynarze musieli walczyć i umierać, z bliska jednak nie wydawało się wcale, by byli tego warci.

Pewnego razu Tallow zjawił się u Lockharta okropnie wzburzony.

- Niech no pan porucznik sam przyjdzie zobaczyć - rzekł sapiąc z podniecenia i poprowadził go na pokład.

Wzdłuż łodzi zamocowane były tratwy ratunkowe typu Carleya, każda wyposażona w komplet wiosł, baryłkę wody i wodoszczelne pudło blaszane z prowiantem obliczonym mniej więcej na tydzień. Były dwie tratwy, a więc powinny być dwa pudła blaszane z żywnością. Ale po tygodniu pobytu na stoczni oba pudła zniknęły jak kamfora.

- Te śmierdzące szczury lądowe - złościł się Tallow, zapominając o zwykłej rezerwie - kradną prowiant marynarzowi, choć wiedzą, że może z niego wyżyć, jak torpeda rozwali mu okręt. Do diabła! Wsadzić takich na tratwę i zostawić na środku Atlantyku - niech się sami wygrzebią, jak potrafią. Czy nie możemy się upomnieć, panie poruczniku?

- Obawiam się, że nie.

Lockhart przyglądał się ograbionym tratwom z melancholijnym spokojem. Niejednego zdążył się już nauczyć w ciągu tych kilku dni.

- Oczywiście, możemy złożyć zażalenie, porozmawiam o tym z kierownikiem budowy. Ale przez to prowiant nie wróci na tratwy i ludzie nie zrozumieją, że zrobili coś bardzo złego. - Spojrzał na bosmana. - Widzicie, oni po prostu myślą inaczej niż my, i to wszystko.

- Czas najwyższy nauczyć ich myśleć jak należy - mruknął Tallow ze złością. - Strajkują te facety, kiedy im przyjdzie ochota. Więcej forsy, a mniej roboty, i broń Panie Boże ostrego słówka od majstra. Chciałbym ich widzieć przy naszej robocie, choćby przez jeden rejs. Dowiedziałyby się jeden z drugim, że siedzą tutaj jak u Pana Boga za piecem.

Po powrocie do portu marynarze czytali w gazetach sprawozdania o strajkach i czasem zastanawiali się głęboko, za cóż u licha oni walczą. Bo naprawdę, mówiąc najdelikatniej, musieli w tym widzieć zaprzeczenie zdrowego rozsądku. Gdy człowiek raz włożył mundur, musiał już bez gadania robić wszystko, co mu kazano, za marne grosze i w strasznych warunkach. Tymczasem sąsiad z tej samej ulicy, chodzący wprawdzie w cywilu, lecz tak samo jak on zainteresowany w zwycięstwie, miał prawo drzeć z państwa dziesiątą skórę, póki nie dostał tego, na co miał ochotę. Marynarze niewiele o tym rozmawiali. Nie mieli po prostu czasu, zajęci robotą, a poza tym nie byli skorzy do gadania. Ale gdzieś w głębi świadomości czało się to wszystko - sprawy czarnego rynku i tych facetów, którzy kombinowali dodatkową żywność lub marnowali benzynę. Tę samą benzynę, której przywiezienie do Anglii kosztowało niejedno ludzkie życie. Te ciemne sprawy składały się razem na fatalne poczucie upośledzenia, które w ciężkich momentach

mogło wywołać złość tak wściekłą, że zatruchiła wszelką przyjemność, wszelką dumę ze spełnianego zadania.

W zwykłych warunkach Ericson spędzałby mnóstwo czasu na okręcie, doglądając remontu. Nie mógłby oprzeć się pokusie zaglądania do wszystkich zakamarków, w czasie gdy z *Compass Rose* wyprawiano takie niezwykle dziwy. Lecz po raz pierwszy od wybuchu wojny urlop jego zbiegł się z urlopem syna. Pragnął więc spędzać w domu każdą chwilę, nacieszyć się w pełni tym spotkaniem, które nieprędko się powtórzy albo - jeśli zły los tak zechce - może nie powtórzyć się nigdy. Młody John Ericson ukończył praktykę i został czwartym oficerem. Granatowy mundur z jednym błyszczącym paskiem dziwnie leżał na chłopięcej, zbyt szczupłej figurze. Ericson przyglądał się synowi ukradkiem. Chłopiec siedział na sofie, po której tak przecież niedawno gramolił się, niezdarnie, a potem jeździł na niej jak na koniu. Trudno było uwierzyć, że ten chłopiec ma prawo nosić rynsztunek mężczyzny. Dorósł tak prędko, chyba wtedy, gdy Ericson odwrócił się na chwilę plecami, a teraz - rzecz niesłychana, fantastyczna - pracował w tym samym zawodzie co ojciec!

Wieczorem, nad kółkiem rodzinnym skupionym przy kominku, snuł się jak mgiełka nastrój umownej fikcji, nierealności. Ericson siedział w tym samym fotelu co zawsze i czytał lub rozmawiał. W rogu sofy Grace robiła zawzięcie na drutach, a w drugim rogu John, niewiarygodnie dorosły, pykał z nowej, błyszczącej fajki. Naprzeciw Ericsona siedziała w drugim fotelu starsza pani - jego teściowa. Rozwiązywała krzyżówki i narzucała im wszystkim swoją wolę. Ericson uważał, że matka Grace jak gdyby złagodniała, lecz nie za bardzo. Po dawnemu próbowała rządzić się w domu jak przysłowiowa szara gęś i tak się zachowywać,

jakby była jedyną dorosłą osobą wśród gromady dzieciaków. Szczęście, że bywał w domu tak rzadko i że mógł się zawsze wycofać na *Compass Rose*, gdy miał już tego dosyć. Starsza pani, niby ogromny pająk, nie zamierzała się stąd ruszyć - to było oczywiste. Usadowiła się na wieki wieków i cały dom musiał się na nowo ułożyć dokoła jej osoby. Dowódcy jednego z okrętów wojennych Jego Królewskiej Mości niełatwo było uznać taki stan rzeczy za normalny.

Źródłem uczucia nierealności były przede wszystkim rozmowy, jakie wiedli. Rozmawiali o najróżniejszych rzeczach, tylko nie o tym, co wypełniało po brzegi ich umysły, tylko nie o tej sile, która skupiła ich razem na moment i w każdej chwili może ich znów rozproszyć - nie o wojnie. Zarówno Ericson jak i syn jego chętnie by o tym mówili, ale obecność kobiet dziwnie ich onieśmiałała. Gdy tak siedzieli przy kominku, pamięć marynarskiego znoju, wspólnego im obu, żyła w nich dostatecznie silnie, by rozumieli, że nie da się jej wymienić na słowa wypowiedane w nastroju „kominkowym”. Jeśli zbliżali się kiedykolwiek do tego tematu, to wyłącznie przekomarzając się wzajemnie, w myśl uświęconej tradycją rywalizacji pomiędzy Royal Navy a marynarką handlową. Ostrożnie dotykali tego, co musiało ich mocno łączyć. Zdobywali się tylko na rozważanie błahych, powierzchownych różnic - odmiennych komend dla steru lub innych stawek płacy, rzeczy bez najmniejszego znaczenia. Grace przerywała wówczas rozmowę mówiąc na przykład:

- Jestem pewna, że to zupełnie wszystko jedno, jaką szybkość może rozwinąć korweta. Przecież i tak musicie iść wszyscy razem, prawda?

Starsza pani mruczała pod nosem, skrobiąc ołówkiem po gazecie:

- Jakie to może być słowo? Ma jedenaście liter i oznacza to samo co „próżność”.

Cała rodzina zabierała się rażno do rozwiązania najważniejszego problemu.

I tak spędzali z sobą wiele wieczorów - dwóch mężczyzn i dwie kobiety, związani z sobą blisko, a jednak dalecy. Świadomi ważności wojny, odwracali się od niej ku sprawom najbliższym, jakie mogły nasunąć się na myśl.

Raz jednak w ciągu tego spotkania Ericson rozmawiał ze swoim synem. Było to jakoś pod koniec urlopu młodego oficera. Ericson, łaknąc podświadomie prawdziwej przyjaźni, zaproponował chłopcu przejażdżkę autobusem za miasto i długi spacer przez bagna Cheshire. Autobus wiozł ich w kierunku przeciwnym do wybrzeża, przez brzydkie przedmieścia Birkenhead i dalej równiutką wstęgą szosy obstawionej po obu stronach domami. Wsiadłszy z autobusu, ruszyli na północny zachód, prosto ku morzu. Szli dobrym krokiem przez bite cztery godziny, a słońce przygrzewało przyjemnie. Wiatr wiał im w twarz od Morza Irlandzkiego i hen, aż gdzieś od Atlantyku. Sami w pustej i dzikiej okolicy, będącej częścią tej Anglii, którą obaj znali i kochali, poczuli się sobie bliscy i rozmawiali tak, jak mogliby rozmawiać na morzu, na wspólnej wachcie w cichą, spokojną noc. Rozmawiali o swoim zawodzie, o tym, wokół czego krążyły ich myśli. O tym, co się zdarzało konwojom, o okrętach i o bliskich, znajomych ludziach, których stracili na zawsze, o prawdzie, jaka się kryła za cyframi statystyk, o nudnych, fałszywych sprawozdaniach drukowanych w gazetach. Późno po południu wyszli na brzeg północno-zachodni i położyli się na stoku wzgórza łagodnie spadającym ku morzu. Wpatrzyli się w linię statków widocznych na horyzoncie, a zmierzających na pełny Atlantyk. Wtedy dopiero zaczęli mówić zupełnie swobodnie, pozbyli się wstydu i mogli wyjawiać tajone dotąd uczucia.

- To jest zwyczajna rzecz, tatusiu - stwierdził John Ericson w pewnym momencie, gdy znów wrócili do wydarzeń ostatnich

miesiące i do straszliwej statystyki zatopień. - Nie można tego nazwać inaczej. To samo dzieje się z każdym konwojem po kolei, tylko za każdym razem jest trochę gorzej. Jak można wysłać nas dalej na morze mając tę pewność absolutną, że połowa statków nie wróci!

- Niektóre konwoje jakoś się przedostają - rzekł Ericson jakby na usprawiedliwienie.

- Cholernie mało... Nie mamy oczywiście żadnych pretensji do eskortowców. Robią, co mogą, i robią bardzo dużo. Po prostu system konwojów nie zdaje egzaminu. Żebyś ty słyszał, co nasz stary powiada na ten temat! My na przykład możemy w każdej chwili rozwinąć piętnaście węzłów, a musimy wlec się jak żółwie po siedem, osiem węzłów, bo nas wkleili w konwój na całe trzy tygodnie, jak nieruchomy cel dla okrętów podwodnych.

- Mimo to bezpieczniej jest dla was iść w konwoju niż niezależnie. Najlepszym dowodem są cyfry.

- Trochę inaczej to wygląda, kiedy torpedy śmigają naokoło, a komodor nadaje zawsze ten sam sygnał: „Zachować szybkość konwoju”. Kiedy się widzi za każdym konwojem, jak statki i dobrze znajomi ludzie wylatują w powietrze, jak idą na dno albo dostają bombą z samolotu. Czasami jest mi tak... - Urwał w połowie zdania.

- Jak, John?

- Tatusiu, czy ty się boisz? - Młodzieńcza twarz, odbicie jego własnej twarzy, nie wyostrzone jeszcze dłutem czasu, zwróciła się ku niemu z wyrazem udręki. - Czy boisz się naprawdę, czy... trzęsiesz się ze strachu, kiedy wiesz, że za chwilę rozpocznie się atak?

- Myślę, że wszyscy się boimy... - Ericson leżał na plecach i patrzył w niebo, błękitne i złote od słońca. Starał się mówić spokojnie i z zupełną swobodą. - Wiem w każdym razie, że ja się

boję. Najlepszy sposób to jak najmniej pokazywać po sobie, bo to jest zaraźliwe. I robić swoje tak, jakby się człowiek nie bał. - Zaczął się przyglądać z wielką uwagą gałązce wrzосу. - Wiesz, John, w tym nie ma naprawdę nic złego, że się boimy. Jeżeli ktoś ci opowiada, ktoś z marynarzy, że wcale się nie boi, to łże albo jest takim beznadziejnym tępakiem, że w ogóle nie ma o czym gadać.

- Czasami bierze mnie porządnie...

- No, więc przynajmniej nie kłamiesz...

Obaj zaśmiali się głośno. Nigdy jeszcze nie czuli się sobie tacy bliscy, tacy ufni i gotowi do najuczciwszych wyznań.

- Wiesz, tatusiu, na morzu często myślę o tobie - zaczął po chwili John. On także wpatrywał się w niebo, z którego zapadający wieczór pośpiesznie ścierał barwy. Daleko na horyzoncie linia łącząca morze z niebem zmaćla się, gdy słońce umoczyło w wodzie brzeg swojej tarczy. - A najwięcej, kiedy korwety uganiają naokoło konwoju. Takie niewiarygodnie małe...

- To wcale nie tak źle być małym celem dla wroga.

- To wcale nie tak źle czuć pod nogami solidne dziesięć tysięcy ton, kiedy sztorm wścieka się na Atlantyku.

- John, ja także myślę o tobie. - Ericson pił radość tej chwili poufnego zbliżenia, pierwszej od czasu, gdy John był jeszcze dzieckiem. Nie bardzo wiedział, jak wyrazić to wszystko, co miał do powiedzenia. - Widzisz, obaj pracujemy w tym samym zawodzie i wiemy dobrze, jaki to zawód. Muszę się niepokoić o ciebie. Niepokoję się i... jestem z ciebie dumny. Mnie w twoim wieku daleko było do tego. Więc będziesz uważać na siebie, dobrze?

Kiedy przyjdzie czas na to, chciałbym cieszyć się na całego z końca wojny. Ale, ale, John!

Trzeba pomyśleć o pociągu, bo inaczej babcia znów wstąpi na wojenną ścieżkę.

John wstał i błysnął zębami w uśmiechu:

- Babcia jest okropna, prawda tatusiu?

- No, oczywiście... trzyma nas wszystkich w garści.

- Och, mnie to nie przeszkadza. - John znów się uśmiechnął. - Nie jestem przecież dowódcą mojego statku.

W ogrodzie przy małym domku pod samym Liverpoollem Ferraby bawił się z dzieckiem. Była to sześciomiesięczna dziewczynka - śliczniutka, roztawiona, raczkująca zabawnie. Gdy zawołano: „Urszulka!” - odpowiadała pełnym zachwytem bulgotaniem.

Ferraby przepadał za wszystkimi funkcjami, które wiązały się z jego ojcowską godnością - poczynając od wyprowadzania na dwór wózka każdego popołudnia, a kończąc na szykowaniu kąpeli o przepisanej temperaturze. I jeśli nawet musiał się budzić w nocy, to godził się z tym chętnie, jako z czymś przynależnym do ojcostwa i wzmacniającym naturalne związki. Ale najwięcej ze wszystkiego lubił po prostu być z dzieckiem, patrzeć na nie, mówić do swojej córeczki i czuć, jak maleńkie paluszki zaciskają się na jego palcu. Przez cały ten czas nie odczuwał potrzeby jakiegoś bardziej ekscytującego zajęcia. Urlop mijał mu dzień za dniem w takim powszednim i tkiwym nastroju. Nie chciał niczego więcej. Teraz jednak, gdy bawił się z dzieckiem na słońcu, gdy trzymał w ramionach rozgrzane ciało córeczki i muskał jej skórę delikatną jak płatek kwiatu, myśli jego błędziły daleko. Myśli te były ze stali i z wichrów, najobrzydliwsze myśli, jakie mogą się urodzić w głowie człowieka.

Nachodziły go niespodzianie jak fala i wtedy nie mógł nad nimi zapanować. O jakiejś porze dnia lub nocy wracał wspomnieniem do korwety. Myślał o tym, że urlop mija szybko, i o tym, co nastąpi po okresie wytchnienia, który skończy się wkrótce. Czasami - jak właśnie w tym momencie! - świadomość kontrastu między czułością a grozą, pomiędzy dwoma krańcami podwójnego życia, jakie wiódł teraz, przygniatała go poczuciem daremnego wysiłku. W tej samej chwili poił się słodyczą terażniejszości oprawnej w zieleń cichego ogrodu i drżał przed groźbą przyszłości czającej się tam, na Atlantyku. Czuł, że potrafi patrzeć w jedno tylko oblicze i że to nie jest oblicze przyszłości. Przyszłość była zbyt straszna i zła, nienawidził jej z całej duszy.

Nie opowiadał już Mavis o tych sprawach, czasem jednak mówił o nich córeczce.

Teraz pot mu wystąpił na czoło od myśli pełnych lęku i czarnych przeczuć. Mała, ciągle gaworząc, dotarła na brzeg koca i przewróciła się miękko buzią na trawę. Żałosny lament ucichł jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej, gdy Ferraby podniósł dziewczynkę i przytulił mocno do piersi. Mavis na płacz dziecka wybiegła z domu i zatrzymała się, patrząc z uśmiechem na tych dwoje. Niech Bóg ma go w swojej opiece! Jak to dobrze, że Gordon tak wypoczął i czuje się szczęśliwy.

Młodziutki Baker odpowiedział: „Tak, mamó. Bardzo chętnie”. I poszedł na górę, aby włożyć kołnierzyk i krawat. W tym tygodniu chodził już z matką trzy razy z wizytami. Mama tak bardzo się cieszyła i tyle miała przyjemności pokazując go najprzeróżniejszym ludziom, że nie potrafił jej tego odmówić. Ostatecznie nie miał nic ciekawszego do roboty.

Jak zwykle, spędzał urlop u matki w Birmingham, w niedużym domku na przedmieściu. W pierwszych dniach przyjemnie było nawet dać się rozpieszczać, objadać się przysmakami i rozkoszować cudowną wygodą domu prowadzonego przez mamę, być męskim centrum świata, otoczonym czułym trzepotem opiekuńczych skrzydeł kobiety. Lecz wkrótce zaczęło mu to brzydnąć. Nie mógł się opędzić myśli, że miłsze by mu było nie takie trzepotanie i może jakaś inna czułość...

Baker miał dziewiętnaście lat, był chłopcem nieśmiałym i chcącym się podobać. Jego naturalne instynkty, dotychczas nie zaspokojone, znajdowały pewną podnieť w zamiłowaniu do pokątnych form erotyzmu. Zbierał więc podkasane dziewczątka z „Esquire” i równie szacownych wydawnictw, prenumerował przeróżne „artystyczne” magazyny, a nawet miał ukrytą pod stosem koszul w swej szafie kolekcję pocztówek, na których uwieczniano miłość w aspekcie atletycznym i w zadziwiającej obfitości odmian. Dotychczas jednak nie zjawiała się żadna realna istota, by nadać barwę życia tym snom na jawie. Jedyne dziewczęta, z jakimi się spotykał w Birmingham, to były „zaaprobowane” córki matczynych przyjaciółek, wybrane przez mamę - jak mu się zdawało - ze względu na niewzruszoność i zacność zasad. A w Liverpoolu jedyną znajomą kobietą była wrenka siedząca w Biurze Wypłat. Miała główkę zbyt nabitą zrobieniem kariery, by zwracać uwagę na jakiegoś podporucznika. Toteż na jego nieśmiałe zabiegi odpowiadała uśmiechem równie nikłym, jak wąski pasek na jego rękawie. Spędzał więc wolny czas i okres urlopu na lądzie to wzlatując na szczyty nadziei, to znów waląc się w otchłań rozpacz. Nadzieja szeptała mu do ucha, że gdzieś, zaraz za rogiem ulicy, ukaże się dziewczyna, której tak pragnął, a rozpacz łkała mu w sercu, gdy za narożnym domem znów nie było nikogo. To nie było uczciwie. Inni mieli swoje dziewczęta i wyprawiali z nimi różne rzeczy. Nawet w

kinie cuda się działy w ostatnim rzędzie krzeseł. Tylko on jeden musiał czekać, aż się zjawi jego własna dziewczyna i zaspokoi daremną tęsknotę.

Z dołu mama wołała: „Tom! Czas już iść”. Więc włożył płaszcz i zaczął powoli schodzić. Jeszcze jedna wizyta. Lecz przecież nigdy nie wiadomo. Może właśnie tym razem spotka swoją dziewczynę, ona uśmiechnie się do niego i zaraz będą oboje wiedzieli, i w jakiś sposób wymkną się z tłumu ludzi, i on zacznie z nią robić cudowne, najcudowniejsze rzeczy, i wtedy, wtedy nareszcie to się stanie.

Okazało się, że była tym razem dziewczyna, ale okropna: niezgrabna, z ziemistą cerą i piersią płaską jak deska, w ogóle do niczego. Nie potrafił sobie wyobrazić, że ją całuje. Siedzieli pięknie przy okrągłym stole, pili herbatę i jedli kanapki z ogórkiem. Pani Keyes, pani Ockshott i pani Henson, mama Bakera i jakiś starszy facet, który był czymś tam mężem, panna, która była czyjąś tam córką, i on sam na miejscu honorowym - młody oficer Royal Navy, korzystający z krótkich chwil wytchnienia między straszliwymi rejsami. Rozmowa toczyła się właśnie na ten temat. W takich wypadkach mama nie szczędziła wysiłku, by zmusić go do mówienia. Właściwie najprościej było zgodzić się na to i bujać ile weszło. W tym bezkrytycznym otoczeniu łatwo było pofolgować fantazji.

- Czasami - mówił połykając kanapkę - kiwa tak mocno, że nie można nic postawić na stole. Musimy jeść prosto z puszek albo w ogóle nic nie jemy.

Panie cmokały współczująco, a mama wykrzyknęła z przerażeniem i z dumą macierzyńską:

- No, proszę sobie wyobrazić!

Zauważył wlepione w niego z zachwytem oczy tej pannicy. Ale była taka okropnie brzydka... Siedziała z rozchyłonymi kolanami,

tak że mógł dostrzec jej cnotliwe majteczki z gumką opasującą uda. Czasem widywał takie w ogłoszeniach. Nie, do niczego... Wziął jeszcze jedną kanapkę.

- Tak - ciągnął nonszalancko. - Pamiętam, steward przyniósł mi kiedyś na pomost trochę pieczeni wołowej. Nie miałem nic w ustach przez... przez dwie doby. Najzabawniejsze, że kiedy przynieśli mi tę pieczeń, nie mogłem jeść. Zapewne z wyczerpania.

- No, proszę sobie wyobrazić! - znów zakrzyknęła mama. - Tom, a teraz opowiedz o tym marynarzu, co to już tonął. No wiesz, kiedy was fala wyrzuciła za burtę.

- Ach, to... - Panna wciąż wpatrywała się w niego, ale zsunęła już kolana. Bardzo szczęśliwie - pomyślał i podał filiżankę, by dostać nową porcję herbaty. - Nic takiego - zaczął zbierając szybko myśli. - Więc pewnej nocy, kiedy dowódca zażądał ludzi na ochotnika...

Zrobił z tego doskonałą historię. Może nawet trochę za dobrą, jeśli sądzić po wyrazie twarzy drugiego mężczyzny w tym pokoju. Ale kobiety połykały opowieść. Brzydka panna śledziła każdy jego ruch i każde słowo jak zahipnotyzowana. Pasł się tym uwielbieniem, póki trwało, ale już w drodze do domu popadł z powrotem w nastrój nudy i zniechęcenia. Po co mu te wszystkie stare krowy i ta panna brzydka jak noc? Marnował dla nich swe przeżycia. O, jakże chciałby o nich opowiadać w blasku kominka, w towarzystwie innej dziewczyny, swojej własnej... Chciałby trzymać jej głowę na kolanach i patrzeć w oczy wzniesione ku niemu, i wiedzieć, że się nie sprzeciwi, gdy wsunie dłoń głęboko, głęboko w wycięcie sukni.

„Jakie to musi być cudowne, mieć żonę” - pomyślał nagle. - „Naprawdę mieć żonę.”

Morell siedział w dobrze ogrzanym, tchnącym kobiecą miękkością saloniku westminsterskiego mieszkania. Obracał w palcach szklaneczkę brandy i spoglądał na zegar, by sprawdzić, czy nie czas już iść do teatru po żonę. Na krześle naprzeciw niego leżała marynarka od munduru i także czekała na oznaczoną chwilę, by ruszyć się z miejsca. Ale, chociaż jej oczekiwał niecierpliwie, chwila ta jeszcze nie nadeszła.

Zegar wskazywał pięć minut po dziesiątej, nie miało więc sensu wychodzić wcześniej niż za pół godziny. Elaine nie lubiła, gdy się kręcił koło teatru albo w jej garderobie, podczas gdy ona była jeszcze na scenie. A rzadko się zdarzało, by była gotowa przed jedenastą - już bez szminki i przebrana do wyjścia. (Na morzu lubił sobie wyobrażać, że czeka w garderobie i bawi się jej pudełkiem do szminek, że gwarzy z garderobianą, zanim ona zejdzie ze sceny. A tymczasem wyszło jakoś inaczej.) Czasem wzdychał po cichu, żeby przestali już grać tę sztukę. Jednakże nie zanosilo się na to. Poza tym było to samolubstwo, Elaine bowiem zmartwiłaby się bardzo. Lecz z drugiej strony z powodu tego engagement nieczęsto ją widywał w czasie swego urlopu. Sześć wieczorowych przedstawień w tygodniu i jeszcze dwa poranki - niewiele zostawało chwil wolnych, nawet nie biorąc pod uwagę innych umówionych terminów, a więc obiadów i kolacji, i rozmaitych fajfów, które wiążą się jakoby nieodłącznie z występowaniem w sztuce cieszącej się powodzeniem w londyńskim West Endzie.

Morell popijał brandy, a wskazówka zegara pełzła powoli ku wpół do jedenastej. Był w niewesołym, niepewnym usposobieniu, mimo że wkrótce miał ją znowu zobaczyć. Sęk w tym, że nie mógł się spodziewać, by to spotkanie było dla niego przyjemne.

Z początku zdawało mu się, że Elaine z prawdziwą przykrością myśli o chwilach, których nie mogą spędzać we dwoje.

- O, moje kochanie, co za pech! - zawołała w dniu jego przyjazdu. - Właśnie kiedy dostałeś długi urlop, dali mi rolę w sztuce, która na pewno dobrze pójdzie. No, trudno - mówiła przytulając policzek do jego ramienia - przyjdź po mnie do teatru, a potem już ja ci wszystko wynagrodzę.

Późnym wieczorem czekał na nią u drzwi wiodących na scenę i zabrał ją do domu. Istotnie, wynagrodziła mu ten zawód z namiętną czułością, którą pamiętał jeszcze z poprzednich urlopów. Żyli tak trzy, a może cztery dni. Nie dostrzegał w niej ani cienia powściągliwości i czuł się ogromnie, bezgranicznie szczęśliwy. A potem, potem...

Na czym właściwie polegało niezaprzeczone zepsucie się ich wzajemnego stosunku? Co było powodem, że jej zainteresowanie osłabło, a zarazem znikła jego szczęśliwość i spokój? Przede wszystkim winne tu było życie w tłumie ludzi. Nieustające telefony, spotkania, których nie chciała się wyrzec, późne przyjęcia po teatrze, w których on nie mógł uczestniczyć.

- Ależ, kochanie - mówiła w takich wypadkach - cóż byś tam robił? Towarzystwo wyłącznie z teatru, przez cały czas będzie się gadać o teatralnych sprawach. Zanudzisz się na śmierć.

A gdy próbował ją zatrzymać, odpowiadała z naciskiem i z nutką zniecierpliwienia:

- Mój drogi, ja nie mogę tam nie pójść. To bardzo ważne, od tego może zależeć moja następna rola.

Nic nie można było poradzić na taki argument ani na żaden inny, który ona uznała za ważny.

Daremne były jego pytania. Kiedy chciał się dowiedzieć, dokąd właściwie wychodzi, odpowiadała:

- Och, takie sobie przyjęcie. Nie znasz tych ludzi i myślę, że nie znalazłbyś w nich nic ciekawego dla siebie.

Pytanie i odpowiedź, pytanie i milczenie, pytanie i wybuch złości. (Ale nie mógł powstrzymać się od pytań. Był okropnie zazdrosny o każdą chwilę, którą spędzała bez niego.) - Och, mój kochany, przestań mnie wreszcie maglować! - mówiła w końcu, gdy z głupim uporem prowadził dalej śledztwo. - Doprowadzisz mnie przecież do szaleństwa!

I na tym się kończyło. Pragnął jej wytłumaczyć, do czego ona go doprowadzi, ale bał się już wszelkich wzruszeń, wszelkiego zapuszczania się po omacku poza strefę ich normalnego pożycia, bał się wszelkich eksperymentów. Tak wiele miał do stracenia i z jakiegoś powodu zdawało mu się jasne, że jego znacznie mniej niż ją stać było na to. Każda następna próba odzyskania straconej pozycji była coraz słabsza, coraz pewniej tracił grunt pod stopami i coraz bardziej oczywista stawała się jego haniebna kapitulacja.

Nie miał przeciw niej żadnej Broni i już się z tym zdradził, a skutek był jak najgorszy dla obojga.

I jeszcze coś, coś znacznie gorszego, zauważył na samym początku: jakby leciutkie ochłodzenie jej namiętności, jakiś automatyzm reakcji. Rozważając to wszystko na zimno, nie był pewien, czy szczerze dawała się unosić miłości, czy tylko umiejętnie odgrywała swą rolę. Kiedyś zdarzyła się taka chwila, aż śmieszna w swoim rozdzieleniu: byli ze sobą bardzo blisko, ale on patrzył na nią jak gdyby z ogromnej odległości. W tej chwili zaczął układać w myśli przemówienie. Obracał na końcu języka dziwne słowa: „Ta kobieta, jak wysoki sąd sam zechce zauważyć, uprawia miłość z niezwykłą doskonałością techniczną, która...” Ale nie mógł dokończyć tego zdania. Nagle poczuł chłód, porwały go mdłości. Zaledwie zdołał dopełnić aktu miłosnego tak, by nie zdradzić siebie i jej nie zdemaskować.

Nie było nic konkretnego, przeciw czemu mógłby zaprotestować, a także nic konkretnego, czym mógłby się pocieszyć. Najgorsze było to, że nie mógł z nią o tym rozmawiać,

nie mógł już prosić, by mu dodała otuchy, ani przyjmować od niej słów pocieszenia. Mieszkali w jednym domu i spali w jednym łóżku, rozmawiali o sprawach łatwych i zdawkowych, wymieniali ze sobą określoną porcję dowcipów. Lecz głębiej, pod powierzchnią, nic nie łączyło ich z sobą. Znikła szczerość i ufność wzajemna, on zaś bał się przywoływać je na nowo z przeszłości, bał się dowiedzieć, dlaczego odeszły.

Wtem zegar wybił wpół do jedenastej. Morell zerwał się, by włożyć marynarkę, lecz w tym momencie zadzwonił telefon.

Przeczekał całą minutę, nie podnosząc słuchawki. To na pewno ktoś z jej znajomych. Ach, ci jej niemożliwi znajomi - kobiety gadatliwe i złośliwe jak osy, tłuści mężczyźni z ruchliwymi rękami i z umowami w kieszeni, młodzi bohaterowie sceny, wyglądający raczej na homoseksualistów, ale gotowi popробować wszystkiego, całe to teatralne tałałajstwo plus pewna ilość oficerów robiących karierę na bezpiecznych przydziałach krajowych.

Telefon dzwonił wytrwale, więc Morell podszedł w końcu do bocznego stolika i podniósł słuchawkę. To była Elaine...

- Kochanie - zaszczębiotała pośpiesznie, jakby spodziewając się, że będzie się sprzeciwiał. - Mam zaproszenie na przyjęcie zaraz po przedstawieniu.

- Ach, tak - odpowiedział spokojnie.

- Muszę tam iść, kochany. Będzie Readman. Wiesz, ten reżyser.

- Dobrze - powiedział po chwili. Chciał powiedzieć coś zupełnie innego, lecz zdawał sobie sprawę, że to nie ma celu. - Czy mogę przyjść po ciebie?

- Nie, mój kochany. Wrócę okropnie późno.

- Wiesz przecież, że to nie ma znaczenia. Więc gdzie będziesz?

- Naprawdę jeszcze nie wiem. - W jej głosie brzmiała znów nutka rozdrażnienia. - Pewnie pójdziemy do jakiegoś lokalu. Nie rób sobie kłopotu.

On jednak upierał się niemądrze.

- To zadzwoń do mnie. Przyjdę, gdzie zechcesz i kiedy zechcesz. - A równocześnie myślał: Och, najdroższa, przecież ty jesteś moją żoną, a to już ostatni tydzień urlopu. Chcę żebyś była tutaj, a nie na jakimś przyjęciu z obcymi ludźmi. Ale te słowa byłyby także bezcelowe.

- To nie ma sensu... - zaczęła, a potem wywinęła się chytrze, zasypując go prędkimi zdaniem, by nie miał czasu na odpowiedź. - Naprawdę, kochany, to będzie za późno. I wcale na mnie nie czekaj. Wyśpij się lepiej. Zobaczymy się rano. No, pa, do widzenia.

Właśnie otwierał usta, by wypowiedzieć jakieś nowe błaganie, gdy usłyszał, że odłożyła słuchawkę. Zaraz odezwał się zwykły sygnał.

Usiadł z powrotem w fotelu i wziął do ręki szklaneczkę. Miał uczucie strasznego zawodu, jakby wszystko rozleciało się nagle w kawałki. Wtem, nim zdołał zapanować nad biegiem swych myśli, przemknęły mu przed oczami dwa straszliwe obrazy, jeden po drugim. Nie rozumiał, jaki to perfidny instynkt przywiódł mu je tak żywo na pamięć, lecz gdy się już zjawiły, nie mógł ich od siebie odpędzić. Najpierw przypomniał sobie wielki siniec na udzie Elaine. Spostrzegł go zaraz pierwszej nocy, kiedy przyjechał na urlop. Na ciele Elaine bardzo łatwo występowały sińce. W czasie miodowego miesiąca nieraz przekomarzali się na ten temat i jeszcze wtedy, po przyjeździe, także z tego żartował. - „Uderzyłam się wysiadając z taksówki” - odrzekła na jego pytanie. - „Ładna historia!” - mruknął, udając podejrziwość, i natychmiast zapytał innym tonem: „Czy mogę sprowadzić ci

drugą taksówkę... już teraz?” Ona odpowiedziała: „Licznik już został uruchomiony...” Rozkoszna chwila roztopiła się w ogniu szaleństwa, lecz teraz pamiętał tylko o tym, że miała gotową odpowiedź na pierwsze pytanie.

Pojawienie się następnego obrazu wyrwało go z wygodnego fotela. Wstał i z piekącym uczuciem zawstydzenia wszedł do łazienki. W łazience wisiał na drzwiach worek na gąbki, w którym Elaine trzymała swoje „rzeczy”. Wsparł się o ścianę, walcząc z pokusą wstrętnego pytania, którego nie chciał postawić nawet wobec samego siebie. Potem wyciągnął rękę, zdjął woreczek z wieszaka, otworzył go i brzydząc się sobą, zajrzał do środka.

Tego, czego szukał, nie było w worku.

Oczywiście, to jeszcze niczego nie dowodziło. Kiedyś - już dosyć dawno temu - powiedziała: „Wiesz, chcę być zawsze gotowa dla ciebie”. Może i dziś to, czego nie znalazł, miało takie proste i tkliwe wytłumaczenie.

Lecz gdy tylko znalazł się z powrotem w pokoju i usiadł w swym fotelu, wyobraźnia zaczęła mu podsuwać okrutne w każdym szczególe obrazy Elaine oddającej się innemu mężczyźnie.

Lockhart spędzał urlop także w Londynie, lecz nie przeżywał takich wzruszeń. Prawdę mówiąc, bywało z nim i tak, że gdyby zdarzyła się okazja skorzystania z małżeńskich kłopotów jakiegoś Morella - byłby chętnie skorzystał, ot, żeby nie wyjść z wprawy. Na morzu świadom był swego wyłącznego oddania celowi, któremu służył. Lecz długi urlop na lądzie musiał wystawiać na próbę każdą szczelinę w pancerzu jego wstrzemięźliwości, musiał przypominać mu jakże odmienną przeszłość i ujawniać słabość człowieka wobec zmysłowej pokusy, którą - tak mu się do

niedawna zdawało - zrzucił z siebie razem z cywilnym ubraniem. W rzeczywistości jednak okazja jakoś się nie zdarzała i urlop mijał mu w zrównoważonym męskim świecie, do którego już przywykł w ciągu ostatnich dwóch lat.

Mieszkał w oddanym mu czasowo mieszkaniu w dzielnicy Kensington, którego właściciel wyjechał w jakiejś tajnej misji do Stanów Zjednoczonych. Tak długo żył w gromadzie, że teraz mógł się istotnie czuć osamotniony. Ale za progiem był Londyn - własne, najpiękniejsze miasto, odrapane wprawdzie, poznaczone śladami bomb, lecz zawsze gotowe uraczyć go swymi darami. Ludzie, bary, teatry i koncerty, zwykła włóczęga po ulicach zbiegających ku rzece lub wśród zieleni rozgrodzonych parków - wszystko to miał pod ręką i smakował we wszystkim, rozkoszując się różnaitością wrażeń.

Widywał mnóstwo ludzi - przypadkiem, przez zbieg okoliczności dlatego, że się umówił albo dlatego, że miał pecha. Najlepiej zapamiętał dwóch. Nie byli oni najtrafniej dobranymi przedstawicielami wojennego Londynu, nie byli też najmilszymi spośród jego znajomych. Utkwili mu w pamięci z tego samego powodu, dla którego spośród gromady dzieci na imieninowym przyjęciu najtrwalsze wrażenie - szczególnie u dorosłych - pozostawia to dziecko, które wymiotowało przy stole albo tupać nogami ze złości.

W Café Royal spotkał człowieka, który przez krótki i raczej niechlubny okres był jego szefem w londyńskim biurze reklamowym. Lockhart wziął tę posadę gdzieś koło roku trzydziestego piątego, kiedy nie miał już grosza przy duszy. W innych warunkach ani by o tym pomyślał, taka głupia i nieprzyjemna wydała mu się ta robota od samego początku. Jego praca polegała na układaniu tekstów reklamowych zachwalających różne produkty spożywcze. Szef, niejaki pan Hamshaw, wielki i tłusty mężczyzna, tłumacząc Lockhartowi, do

jakiego stylu należy dążyć w tych elaboratach, usiłował przeszczepić mu własną świadomość pełnionej misji i był wyraźnie zgorzchnięty nie dość poważnym podejściem do tej sprawy nowego pracownika. Przez kilka miesięcy pchał tę robotę jak po grudzie. Coraz więcej tekstów wracało z adnotacją: „Zanadto chropowate”, „Za sztywno”, „Proszę bardziej giętko”, a kiedyś nawet: „Wzmianka o ślinie brzmi niedelikatnie”. Wreszcie pewnego dnia proponowane przez Lockharta końcowe zdanie w reklamie psich sucharków: „Psy lubią te sucharki”, zostało przekreślone, a zamiast niego pan Hamshaw napisał: „Nigdy jeszcze przedstawicielom psiego świata nie ofiarowano równie smacznego kąska”. Wtedy zrozumiał, że ma już tego dosyć, że musi odejść, choćby mu przyszło znów pętać się bez grosza.

Czekał na jakąś okazję, by móc pożegnać się z gestem. I oto zdarzyła się okazja. Pewnego pięknego ranka zastał na swoim biurku kartkę od Hamshawa: „Proszę przygotować tekst odpowiedni na śmietankowe ciągutki firmy Bolger”. Lockhart namyślał się przez chwilę, potem coś nagryzmolił na tej samej kartce, wziął kapelusz i wyszedł z biura. Po kilku godzinach Hamshaw, szperając w pokoju Lockharta, wpadł na ostatni jego elaborat: „Ciągutki Bolgera - tłuste i czarne jak Ali Baba”.

Nawet w tamtych odległych czasach Hamshaw był wystarczająco pompatyczny. Teraz, kiedy z ramienia Ministerstwa Informacji miał rządzić myślami niemalże całych kontynentów, przybrał postawę po prostu olimpijską. Powitał Lockharta niedbałym skinieniem głowy i powiedział:

- A, Lockhart! Proszę do mojego stolika - jakby ofiarowywał święty sakrament podejrzanemu odstępcy. Przez jakiś czas rozmawiali z sobą dosyć ogłędnie.

- Wspaniałą ma pan służbę - rzekł Hamshaw z rezerwą, masując lekko obfity podbródek. - Ale muszę panu powiedzieć, że my w

Ministerstwie uważamy was za... jakby to wyrazić... za trochę zacofanych.

- Zacofanych? - powtórzył Lockhart nie zdradzając żadnego wzruszenia.

Hamshaw kiwnął potakująco głową, wepchnął do ust kanapkę i znów kiwnął głową.

- Właśnie. Chcielibyśmy w was widzieć więcej gotowości do użyczenia materiałów, na przykład w sprawie Atlantyku, no i tak dalej. Naprawdę, bardzo trudno skłonić Admiralicję do współpracy, bardzo trudno.

- Sądzę, że oni zapatrują się dosyć poważnie na sprawy bezpieczeństwa.

- Kochany panie Lockhart, mnie pan nie będzie uczył, co to jest bezpieczeństwo - rzekł Hamshaw takim tonem, jakby to on wymyślił samo pojęcie bezpieczeństwa. - Mogę pana zapewnić, że nam także bardzo to leży na sercu. My chcemy po prostu większej uczynności w udostępnianiu danych o tym, co właśnie się dzieje, z zastrzeżeniem wszelkich wymagań bezpieczeństwa. Bo wszystkie te wasze osiągnięcia - jeśli w ogóle można mówić o osiągnięciach - nie są nic warte, ale to zupełnie nic, jeśli ludzie o nich nie słyszą.

Lockhart zmarszczył brwi. Nie widział powodu, dla którego miałby się godzić na takie nonsensy, uwzględniając nawet uprzejmość towarzyską. Odpowiedział więc zwięźle i zimno:

- Zatopiony okręt podwodny jest zatopiony, obojętne, czy wydrukują o tym na pierwszej stronie kolorowym drukiem, czy też nie. Reklama po fakcie nie ma tu najmniejszego znaczenia.

- Reklama, jak pan to nazywa - tu Hamshaw spojrzał na niego złym okiem, podejrzewając brak należnego szacunku dla sprawy - reklama jest ważna dla morale. Podtrzymywanie morale narodu to jeden z najistotniejszych naszych celów. A to wymaga nieustannego dostarczania pomyślnych wiadomości. Ośmielę się

twierdzić z całą odpowiedzialnością, że prowadzenie wojny choćby przez jeden dzień nie byłoby możliwe, gdyby nie ciągle podtrzymywanie ducha w społeczeństwie, co właśnie jest naszym dziełem. No tak, ale - mówił dalej, spostrzegłszy, że Lockhart przestał uważać - czas już dać spokój mojemu konikowi, mimo że jest on bardzo interesujący. Niechże mi teraz pan opowie coś o swojej pracy. Jest pan z niej osobiście zadowolony?

- Tak, chyba - odburknął Lockhart.

- Z wielu względów - rzekł Hamshaw patrząc prosto przed siebie - wielka szkoda, że nie został pan u nas. Udało mi się wziąć z sobą do Ministerstwa część mego dawnego personelu, ludzi najbardziej zaufanych. Dzisiaj im wszystkim dobrze się powodzi. Pan mógłby być teraz młodszym inspektorem, a może nawet naczelnikiem wydziału.

- Coś podobnego! - zdziwił się Lockhart.

- Tak, tak. Są duże możliwości awansu, bardzo duże. No cóż, może pan czuje się nieźle w marynarce?

- Tak, raczej nieźle.

- No właśnie, a przecież tylko o to chodzi, bo tu czy tam, to ostatecznie jedna wojna - wywodził Hamshaw tonem niesłychanie protekcjonalnym - i jedna wzniosła sprawa. Zapewniam pana, że my to rozumiemy. To oczywiste, że nie wszyscy możemy być obarczeni stwarzaniem siły napędowej do walki. Marynarka też spełnia zaszczytną rolę, na samym polu walki.

- Jak to brzydko wygląda w pańskim ujęciu - rzekł spokojnie Lockhart, i po raz drugi w historii ich wzajemnych stosunków wziął czapkę, by się salwować ucieczką. - Ale niech pan wytrzyma z nami jeszcze trochę. Robimy, co możemy, żeby się włączyć do waszej wojennej maszyny.

- Widzę, że pana czymś dotknąłem - rzekł Hamshaw urażony.

- Tak - odparł Lockhart - czymś mnie pan dotknął. - I pozostawił mu tę zagadkę do rozwiązania. Niewątpliwie Hamshaw załatwi się z tym prędko, przypisując cały epizod jakiejś godnej ubolewania formie wojennej psychozy.

Tego samego popołudnia, w barze restauracji na Fleet Street, spotkał kolegę-dziennikarza, niejakiego Keysa, którego nie widział od wybuchu wojny. Keys był znacznie starszy od niego. Tęgi, doświadczony reporter w jednym z poczytnych dzienników. Podobnie jak w wypadku Hamshawa, zdawało się, że wojna spotęgowała jego wrodzone skłonności i dodała im bodźca. Jeśli dawniej zapatrywał się dosyć sceptycznie na ludzką naturę w ogólności, to teraz ział po prostu cynizmem w stosunku do każdego aspektu wojny i do ukrytych motywów każdego człowieka mającego z nią jakiegokolwiek związku. Nie trzeba mu było żadnej innej zachęty prócz szklanki whisky pod ręką, by uraczyć Lockharta niezwykle gwałtowną tyradą, zwróconą przeciwko całej Anglii. Nikt z jego rodaków nie uniknął pręgierza. Politycy ścielą sobie mięciutkie gniazdko, nie dbając o dobro publiczne, przemysłowcy zgarniają fantastyczne zyski ze sprzedaży tandety na potrzeby wojenne, a wszystkie gazety bez wyjątku jadą przez tę wojnę na łgarstwie, przemilczając niepowodzenia sprzymierzonych i zmyślając sukcesy na ich miejsce. Robotnicy to sami bumelanci, co do jednego. A żołnierze, lotnicy, marynarze...? Ci, oczywiście, to ofiary oszustwa na wielką ogólnonarodową skalę, jeśli nie gorzej.

- W każdym razie nie ma żadnej różnicy pomiędzy nami a Niemcami - dowodził Keys zaciekle, patrząc na mundur Lockharta takim wzrokiem, jakby to był ubiór przestępcy, hańbiący każdego, kto go nosi. - I my, i oni dążymy do tego samego - do panowania w Europie i do zdobycia rynków zbytu, bo jedno wynika z drugiego. Tyle że Niemcy są od nas odrobinę uczciwsi w tych sprawach, ot i wszystko.

- Hm... - odparł Lockhart wymijająco. Przy barze stał tłum ludzi. Nie chciał zwracać uwagi dyskusją, która i tak musiała być jałowa, a mogła stać się nieprzyjemna. Właśnie nad ich głowami wisiał duży transparent z napisem ułożonym z gotyckich liter: „W tym lokalu nikt się nie smuci”. Czy nie lepiej przyjąć tę dewizę za swoją?

- Do diabła! - zaklął Keys, jak fanatyk, który chce biczowaniem wprowadzić się w trans. - W ciągu ostatnich miesięcy musiałem napisać więcej bzdur o wspaniałych wyczynach aliantów, niż można sobie wyobrazić. Rzygać się chce od tego.

- Więc dlaczego pan pisze?

Keys wzruszył ramionami.

- Dla tego samego, dla czego pan nosi mundur - odparł z akcentem goryczy.

- Nie sędzę - rzekł Lockhart krótko.

- Tylko niech pan nie oszukuje sam siebie. Przychodzi wojna i zgłasza się pan na ochotnika jak grzeczny chłopczyk, bo wszyscy naokoło robią to samo. Przychodzi wojna i moja gazeta musi zadać w patriotyczne surmy, bo inaczej nikt jej nie kupi. A ja znów muszę wypisywać te bzdury, bo gdybym ich nie pisał, to mogę się pożegnać z posadą. Ta sama przyczyna - lęk, żeby się nie wychylić, żeby nie narazić się innym przez to, że człowiek nie chce iść razem z tłumem jak baran w stadzie.

- Są jeszcze inne przyczyny - wtrącił Lockhart.

Keys prychnął drwiąco.

- Pewnie chce pan powiedzieć, że cała Royal Navy walczy za Boga, króla i ojczyznę?

- Coś podobnego tkwi niewątpliwie na dnie naszych uczuć - rzekł Lockhart tonem chłodnej rozwagi. - Wiem oczywiście, że to nie jest wojna o prawo i sprawiedliwość, że cała słuszność nie jest

po jednej tylko stronie. Wiem, że w pańskiej tezie o panowaniu nad Europą jest sporo prawdy i że trzeba dwa razy pomyśleć, zanim się przyjmie za dobrą monetę frazesy z patriotycznych przemówień. Ale gdybyśmy mieli przegrać, a przede wszystkim gdybyśmy nie wypowiedzieli tej wojny, przepadłyby dla nas wszelkie szanse zrealizowania któregośkolwiek z tych pojęć, w które wierzymy. Jak pan myśli, jak wyglądałaby Anglia, gdyby zarządzili nią Niemcy?

- Sprawniej by wszystko szło - odpalił Keys bez namysłu.

Lockhart uśmiechnął się tylko.

- Widzę, że niewiele posunąłem się naprzód - rzekł dobroduszenie. Nie mógł oburzać się na Keysa, który tak długo żył podwójnym życiem wiadomości dla wszystkich wiadomości zza kulis, że przestał już niemal odróżniać uczucia szczere od udanych i stał się nieczuły zarówno na jedne, jak i na drugie. - Muszę po prostu snuć dalej patriotyczny sen na jawie. Ale, wie pan, czasami to jest uczucie prawdziwe - ciągnął dalej spokojnie. - I kupa ludzi oddała za to życie.

- Kupa głupców - poprawił Keys pogardliwie.

- No tak - rzekł Lockhart - ale oni nie mogli tego wiedzieć, prawda? Mogli opierać się tylko na gazetach, a wy, dziennikarze, tak dobrze robicie, co do was należy...

Wieczorem Lockhart trochę sobie popił, zapewne w charakterze odtrutki. Kiedy w stanie lekkiego upojenia schodził wzdłuż pochyłości Piccadilly ku Knightsbridge, w kierunku swego mieszkania, próbował uporządkować wrażenia ze spotkań tego dnia. Jeśli już ma wybierać między Hamshawem i Keysem, to woli bez porównania stosunek Keysa do wojny.

Dziennikarz może być sobie zgryźliwy i cyniczny, ale przynajmniej nie oszukuje sam siebie, nie stroi się w nim pompatycznej wzniosłości, którym Hamshaw otacza siebie i

wojnę, i swoją rolę w tej wojnie. Wojna jest inna. Nie ma tu żadnej świętej sprawy, której służą zaprzysiężeni rycerze. Lecz z drugiej strony wojna nie jest zażartą walką o najpodlejsze zyski, jak twierdzi Keys. Tak, w tym, co Keys mówił, jest coś, jest jakaś krucha podstawa dla myśli, że wojna toczy się między dwoma przeciwnikami, na których ciąży jednakowa wina, z których każdy dąży do hegemonii w Europie. Ale to coś nie wystarcza, by ostatecznie uznać tę wojnę za prymitywne zmagania dwóch egoizmów, by zniszczyć wolę wyboru przyszłego zwycięzcy. Keys ubrał w rysz tunek argumentów własną zgorzkniałość, która mogła wypływać z dziesięciu różnych źródeł. Jej korzenie mogły tkwić nawet głęboko w bolesnym dla niego fakcie, że był już za stary, by przydać się na cokolwiek w tej wojnie. Skoro dla tak niegodnej przyczyny został z niej wykluczony, postanowił odrzucić od siebie całą tę historię.

- Nie możemy urodzić się wszyscy w jednym czasie - obwieścił Lockhart głośno, zwracając się ku fasadzie dużego bloku mieszkalnego przy Rutland Gate. Keys nie myślał zapewne tak logicznie i nie był tak bezgranicznie mądry jak on w tej chwili. Keys był za stary, by móc brać udział w walce, i dlatego walka wydawała mu się zajęciem bez żadnej wartości, a wojna - kupiecko-zbójecką wyprawą, w której łup zdobywa się mordem.

Rzecz jasna, że musiało w tym być coś więcej. Lockhart nie był nigdy przysięgłym patriotą. Nawet i teraz, wciągnięty w walkę bezpośrednio, nie odczuwał z tego powodu nic prócz wiary w konieczność zwycięstwa i chęci urządzenia się potem w przyzwoity i odpowiedni sposób. Lecz zwycięstwo było sprawą najpierwszą i najważniejszą. Poza nim mogła być tylko klęska wszystkiego, na czym mu zależało i czego pragnął oddanie się w jarzmo okrutnej, bezosobowej i wstrętnej tyranii, opuszczenie ciężkiej zasłony na wszelką ludzką nadzieję.

Na pewno byli i Niemcy, którzy czuli podobnie jak on: dobrzy Niemcy, uwiedzeni, lecz szczerzy w swych poglądach i tak samo jak on wrażliwi na sprawy ludzkie. Dobrzy żołnierze, dobrzy marynarze i dobrzy lotnicy, przekonani, że oto niszczą nikczemne plany Anglii, dążącej do podboju. Szkoda, że i tych Niemców trzeba zabijać...

- Naprawdę to ja też jestem Niemcem - oświadczył znów głośno i wsparł się na chwilę o słup latarni ulicznej. - Nie ma żadnej różnicy między nami. Ale moja część Niemiec musi zwyciężyć, a potem zaczniemy dzielić wszystko od nowa.

- Tak, panie szanowny - odezwał się policjant, który nagle wyrósł przy jego boku. - A pan szanowny daleko ma do domu?

Lockhart zamrugał powiekami, starając się skupić spojrzenie na jednym punkcie. W świetle latarni postać stróża porządku zdawała się ogromna.

- Dlaczego policjanci muszą być zawsze wyżsi ode mnie? - spytał żałośnie. - A w Niemczech...

- Może taksówkę dla pana szanownego? - zaproponował policjant z właściwą jego zawodowi bezmierną cierpliwością. - Mają postój na Knightsbridge, stąd parę kroków.

- Piękna noc, w sam raz na przechadzkę - stwierdził Lockhart.

- Piękna noc, w sam raz do spania - poprawił go policjant tonem pełnym wymówki. - Wszyscy śpią naokoło. Nie trzeba ich budzić, prawda?

- Służył pan kiedy w marynarce? - Lockhart szukał jakiego punktu zaczepienia dla nawiązania przyjaznego kontaktu.

- Nie, nie służyłem - odparł tamten. - W ogóle miałem pecha. - Na znak dany przez policjanta taksówka przejeżdżająca wolno w kierunku śródmieścia zawróciła i zatrzymała się tuż przy nich. - Adresik szanownego pana?

Lockhart podał swój adres i stał w miejscu, chwiejąc się lekko. Policjant otworzył drzwiczki. Gdy człowiek się zaleje, najgorsze jest to, że inni ludzie są o tyle sprawniejsi. Zatrzymał się, z jedną nogą na stopniu taksówki.

- Szedłem sobie do domu zupełnie spokojnie - powiedział z naciskiem.

- Oczywiście, panie szanowny.

- Nie chcę żadnych awantur - odezwał się kierowca, starszy mężczyzna w grubym, zielonym płaszczu. - Wszystko jedno, czy to marynarz, czy kto inny.

- Naturalnie - zgodził się z nim policjant. Gdy Lockhart opadł już na poduszki tylnego siedzenia, zatrzasnął drzwiczki samochodu. Zajrzał przez otwarte okno i upewnił się jeszcze:

- Na pewno podał pan dobry adres?

- Tak - odparł Lockhart. - Ten adres wyryty jest w moim sercu.

- No, dobra - rzekł policjant i skinął do kierowcy. - Ruszaj pan.

- Musimy zwyciężyć! - rzucił mu Lockhart na odjeźdźnym.

- To jasne - odparł tamten. - Ale jeszcze nie dzisiaj w nocy. Trzeba zostawić coś na jutro.

- Jak to jest na tych wojennych okrętach? - zagadnął kierowca nie odwracając głowy, gdy ujechali już z milę.

- Po prostu okropnie. - Lockhart próbował zapalić papierosa i równocześnie odpłatywał maskę przeciwigazową.

- Tak tylko pytam - burknął cierpko kierowca. - Dla mnie, niechby tam wszystkie potonęły.

- Nie chce pan wygrać wojny? - zdziwił się Lockhart.

- Chciałbym i to, i owo - odparł kierowca, rzucając szybkie, znaczące spojrzenie na licznik. - Pan wie, po dwunastej podwójna taksa.

- Bzdury!

Tamten nacisnął hamulec i stanął w miejscu.

- Co pan szanowny powiedział? - spytał ponuro.

- Ja jestem londyńczykiem - zaczął Lockhart i zdziwił się jasnością swych myśli. - Wie pan doskonale...

Nie był zadowolony z tego wieczoru.

Jednakże urlop nie skończył się tą nutą ani wspomnieniem Hamshawa czy Keysa. Zabrał ze sobą z urlopu zupełnie inne wspomnienie. Ostatniego wieczoru w Londynie wybrał się do teatru na komedię muzyczną bez większych pretensji intelektualnych, bo tylko na to udało mu się dostać bilet. I właśnie tam, kiedy zabłyśły światła w czasie przerwy, ujrzał coś, z czym nie mógł się potem rozstać przez wiele miesięcy.

Była to grupa oficerów RAF z jakiegoś szpitala, zapewne z takiego, który miał oddział chirurgii plastycznej. Młodzi mężczyźni w mundurach lotniczych - a naliczył ich sześciu - byli zupełnie jednakowi. Patrząc w bok, wzdłuż rzędu krzeseł, Lockhart odniósł wrażenie tak potwornego zniekształcenia, że na chwilę uwierzył w złudną grę światła i cieni. Nie była to jednak żadna złuda. Twarze tych ludzi były naprawdę zniekształcone w ten sam okrutny sposób, okaleczone zarówno przez rany, jak i przez pospieszną łataninę chirurgów. Twarze ściągnięte od blizn lub śladów oparzeń, powykręcane karykaturalnie, bez brwi, bez uszu, bez warg i podbródków. Pokryte szarożółtymi plamami wypalonymi przez ogień lub martwą sinością blizn, napięte wyrazem namiętności i bólu, który doprowadzał Lockharta do mdłości. Obok każdej z tych strasznych twarzy widniała twarz młoda i świeża - twarz dziewczyny. Wszystkie dziewczęta uśmiechały się i rozmawiały z ożywieniem, spoglądając bez żadnego wzdragania w tamte twarze. A tamte twarze nie mogły

się uśmiechać i ledwie mogły mówić, odpowiadały więc spojrzeniem badawczym, przerażająco czujnym.

- Nie powinni ich wpuszczać - wyszeptała jakaś paniusia siedząca tuż za Lockhartem.

- Trzeba mieć wzgląd na wrażliwość przyzwoitych ludzi.

„Milcz, wściekła suko!” - pomyślał i omal nie wypowiedział tego głośno. Znowu spojrzał na tych okaleczonych ludzi, którzy skupiali na sobie spojrzenia wielu osób, przyciągali je swą chorobliwą szpetotą jak magnesem. Biedaczyska! - użalał się nad nimi. - Może z czasem, za rok, za dwa, będziecie się z tym czuli jako tako.

To właśnie i tylko to znaczyła wojna. Tego nie można było otoczyć przesadnym nimbem ani umniejszyć, ani też wykorzystać w jakikolwiek sposób. Rad był, że światła znowu pogasły, lecz rad tylko ze względu na nich, bo oni musieli witać z ulgą zasłonę ciemności. Jeśli chodzi o niego, gdy minął pierwszy wstrząs przerażenia i litości, to okrutne świadectwo trwającej wciąż walki stało mu się bliższe i bardziej zrozumiałe niż cokolwiek innego w Londynie. Ci mężczyźni byli zaiste godnym symbolem wszystkiego co najlepsze w tym mieście, poznaczonym bliznami i ogniem tak jak oni. Kaleki na całe życie - tak, być może. Ale pracują i mówią, i bawią się tym, co im pozostało, i nic ich nie zdoła pokonać ani teraz, ani w przyszłości.

Dobrze było wziąć z sobą takie wspomnienie z urlopu. Wspomnienie, które nie osłabia, marzenie o domu, które nie grozi zwiotczeniem woli. Lockhart wziął je z uczuciem wdzięczności.

Ledwie poznali *Compass Rose* po skończonym remoncie. Zdawało się, że nie należy już do klasy korwet, że dostąpiła niespodziewanych zaszczytów. Nowy pomost był kopią pomostu

niszczyciela; był na nim stół osłonięty do map i masę miejsca naokoło. Izbę chorych wyposażono w urządzenia i środki potrzebne we wszystkich wypadkach, z jakimi mieli do czynienia. Miał ją prowadzić specjalny sanitariusz, który był kiedyś weterynarzem na wsi. *Compass Rose* dostała więcej wyrzutni bomb głębinowych i więcej dział przeciwlotniczych. Był także nowy asdic, lecz przede wszystkim była najnowsza broń - był radar.

Radar, ten najgroźniejszy wynalazek w wojnie morskiej, przyszedł do nich dość późno. Dostały go już wszystkie niszczyciele eskortujące i parę co szczęśliwszych korwet. W ciągu ubiegłego roku Ericson wiele razy upominał się o zainstalowanie radaru, lecz zawsze zbywano go niczym.

- To beznadziejne - klarował mu urzędnik zajmujący się tymi sprawami w sztabie. - Mam na liście kupę innych okrętów przed panem. Mówiąc szczerze - powiedział ten facet, który widocznie nie bawił się w wytworne słówka - jeśli chodzi o radar, to korwety wiszą u ostatniego cycka. Musicie po prostu czekać, aż wszyscy inni dostaną.

- Co za szkoda, że nie ma tu Bennetta - zmartwił się Morell, obecny przy tej rozmowie. - To powiedzonko wprawiłoby go w zachwyt.

Ale wreszcie mieli ten radar. Górował nad pomostem w całej swej chwale i obiecywał tak wiele. Radar był tym, czego im było trzeba. Był orężem, o który wojna na Atlantyku wołała już od dawna. Mógł wykrywać w ciemnościach nocy lub we mgle wszystko, co się czaiło w pobliżu. Mógł z dużej odległości wysledzić okręt podwodny na powierzchni morza, potrafił wskazać jego kurs i szybkość. Na świecącym ekranie radaru występował „obraz” konwoju i statków rozproszonych w pewnym zasięgu. Obraz ten niezmiernie ułatwiał utrzymywanie stanowiska w konwoju i wprost trudno było zrozumieć, jak mogli dotychczas

obejść się bez radaru. Nie trzeba już sterczeć na pomoście i wypatrywać oczu w ciemnościach, skoro radar może to zrobić za człowieka. Nie trzeba szukać zagubionych statków ani konwoju zbliżającego się do miejsca spotkania - widać to wszystko wyraźnie na ekranie, z odległości dziesiątek mil. Radar będzie im pomocą i podtrzymaniem - rozumieli to dobrze. A poza tym - kto wie? - może okazać się bronią, dzięki której szanse na Atlantyku zaczną się wyrównywać. Może wskazywać delikatnym palcem i udaremniać podstępne, wrogie ataki. Może okazać się najlepszym darem nauki dla człowieka.

Dostali radar na czas, by wrócić na morze w momencie, gdy Bitwa o Atlantyk osiągała największe nasilenie. Na czas, by wziąć go z sobą w najgorszy ze wszystkich rejsów.

7.

Uśmiechnięta pogoda późnych dni lata pomagała im przyzwyczaić się znowu do życia na morzu po długotrwałym odprężeniu w okresie remontu. Ciekawe było to zżywanie się na nowo ludzi i maszyn. Czasem i maszyny, i ludzie stawali wobec zaskoczenia. Wychodząc z basenu, *Compass Rose*, wskutek jakiegoś defektu w urządzeniu nawrotnym, zderzyła się ze ścianą mola, na szczęście niezbyt mocno. Jeden z marynarzy, na wieczną swą hańbę, uległ morskiej chorobie w czasie pięciominutowego przejścia w poprzek koryta rzeki do ropowca, przy którym zawsze cumowali. Były to jednak drobne epizody w szybko postępującym procesie powrotu do życia na okręcie. Gdy połączyli się z konwojem w pobliżu latarniowca, odzyskali już co najmniej w połowie dawną sprawność, a po dwóch dniach na morzu, gdy ląd znikł im już z oczu i płynęli szerokim łukiem na południo-zachód,

ku Gibraltarowi, okręt był znów całkowicie gotowy do walki. Dnie skąpane w słonecznym blasku i ciche, spokojne noce następowały po sobie jak ogniwa złotego łańcucha. Zdawali sobie sprawę, jakie to szczęście płynąć tak godzinę za godziną po granatowym morzu, gładkim jak lustro. Zupełnie jak na beztroskiej letniej wycieczce, za którą płaciło się przed wojną gwineę dziennie. W tych warunkach mogli tym szybciej dokonać skoku z lądu na morze. Z wielu względów przyjemnie było znaleźć się znów na okręcie, z dala od niepewnych, nabrzmiałych uczuciem związków z lądem. Teraz byli znów częścią wzmocnionej eskorty, złożonej z dwóch niszczycieli i pięciu korwet, która miała osłaniać dwadzieścia jeden statków zmierzających z obfitym ładunkiem do Gibraltaru. To było ich prawdziwe zadanie. Znowu skoncentrowali się na nim z ochoczą gotowością. Rozumieli wagę swego zadania i zawsze zastanawiali się nad tym, czy Royal Navy może sobie pozwolić na dawanie im jakichkolwiek urlopów.

Wkrótce niestety opadła zdradliwa maska wspaniałej pogody, rozviała się złuda łatwego przejścia z lądu na morze.

Zaczął się od jednego samolotu. Był to, jak się okazało, stary znajomy - czterosilnikowy Focke-Wulf, Samolot zwiadowczy, który zbliżył się do nich od wschodu i zaczął powoli krążyć nad konwojem. Latał wysoko, poza zasięgiem dział, jakimi rozporządzali. Zdarzyło się to już przedtem i nie mogło być żadnych wątpliwości co do zadań, jakie spełniał samolot. Notował pozycję konwoju, śledził go, zapisywał dokładnie jego szybkość i kurs, a potem przysyłał meldunek do jakichś władz centralnych i powiadamiał wszystkie okręty podwodne, działające w pobliżu. Różnica polegała na tym, że tym razem samolot zjawił się już na początku rejsu i że gdy wpatrywali się w niego myśląc o wszystkim, co musiał dla nich oznaczać ten widok, słońce świeciło na niebie bez chmurki i zalewało ciepłym blaskiem ocean

gładki i piękny jak stare zwierciadło, którego spokój ledwie zakłócał pochód statków dążących na południe. Tak się nie postępuje z Bogu ducha winnym konwojem - pomyśleli zwierając szeregi i wodząc szklami lornetek za wysłańcem drapieżcy, zataczającym w górze powolne kręgi. - Zostawże nas w spokoju na malowanym oceanie, pozwól się przemknąć, nikt się o tym nie dowie...

O zmierzchu samolot odleciał z głuchym warkotem ku wschodowi, nie spiesząc się, spokojnie. Patrzyli za nim z pomostu. Serca ścisnęły się niedobrym przeczuciem. Czas było zaciemnić okręt i przygotować się na noc.

- To za łatwa robota - rzekł Ericson, wyrażając słowami myśli wszystkich stojących na pomoście. - Polata sobie nad nami, da jakiś sygnał naprowadzający i to wystarczy. Wszystkie okręty podwodne w zasięgu stu mil mogą już walić prosto na nas. - Rzucił badawczym wzrokiem na niebo, niewinne i czyste. - Przydałoby się trochę wiatru. Przy tej pogodzie nie mamy żadnych szans.

Tej nocy nie zdarzyło się nic niezwykłego, tylko o jedenastej wieczór odebrali sygnał z Admiralicji, nadany do konwoju. „Są informacje o pięciu okrętach podwodnych w waszym rejonie. Dalsze podobno dołączają” - ostrzegał sygnał, nie troszcząc się o ścisłość szczegółów i pozostawiając ich własnemu losowi. Kiedy ciemność zapadła, konwój zszedł z kursu, na którym go widział samolot, i skręcił ostro w bok, mając nadzieję umknąć w ten sposób przed pościgiem. Być może, udał się wybieg, być może, okręty podwodne były wciąż poza zasięgiem. Dość, że pięć godzin spowitych w ciemność nocy minęło spokojnie. Na ekranie radaru zwarty czworobok statków, obrzeżony wysuniętym na boki rąbkiem eskortowców, posuwał się naprzód nie zaczepiany i jakby nie zauważony. Skoro świt *Viperous*, jak zwykle, przebiegł wokół całego konwoju, a mijając w swym pędzie *Compass Rose*, nadał

sygnał: „Zdaje się, żeśmy ich wystawili do wiatru”. Stroma fala, którą zostawił za sobą niszczyciel, właśnie zaczęła ich kołysać, gdy usłyszeli warkot samolotu. Szpieg znowu krążył nad nimi.

W południe pierwszy statek dostał torpedę w brzuch i stanął w płomieniach. Był to potężny zbiornikowiec. W tym konwoju szły same duże statki; wiele z nich zmierzało na Maltę, inne do portów we wschodniej części Morza Śródziemnego. Stanowiły sam wybór, cenną zdobycz, wartą zaiste prześladowania i pościgu. Toteż ścigano ich i prześladowano bez pardonu. Szybkie zniszczenie zbiornikowca stało się sygnałem do bitwy trwającej osiem dni bez przerwy. W bitwie tej konwój spłacał z okrutną systematycznością krwawy haracz; co noc przerzedzały się jego szeregi, a co dzień o świcie rozlegała się mrożąca krew w żyłach piosenka - apel coraz szczuplejszej gromadki pozostałych przy życiu.

Walczyli, bronili się zaciekle, lecz mieli przeciw sobie zbyt wielką przewagę. Otoczeni przez tak liczного wroga, nie mogli skutecznie zasłonić szczelin i rys w swojej zbroi.

„W waszym rejonie znajduje się dziewięć okrętów podwodnych” - informowała tegoż dnia o zmroku Admiralicja, szlachetna i wspaniałomyślna jak zawsze. Te dziewięć okrętów podwodnych zatopiło trzy statki z konwoju, jeden z nich w okolicznościach straszniejszych niż inne. Statek ten wiozł koło dwudziestu wrenek, pierwszą grupę przeznaczoną dla Gibraltaru. Z *Compass Rose* marynarze przypatrywali się dziewczętom spacerującym po pokładzie, machali do nich przyjaźnie rękami, cieszyli się ich widokiem nawet na taką odległość. Statek, na którym płynęły, był ostatnią ofiarą tej nocy. Zatonął tak prędko, że ogień, ogarniający całą część rufową, ledwie zdążył wybuchnąć, już został ugaszony. Odgłos pożaru ginącego w wodzie, dziki, syczący ryk, nieopisany w swym okrucieństwie, dolatywał do *Compass Rose*.

- Boże, przecież to te smarkule! - zawołał Ericson, wytrącony ze zwykłego spokoju w tym przerażającym momencie.

Ale nie mogli nic pomóc. Z *Viperous* dostali rozkaz podjęcia poszukiwań w dużym zasięgu i nie mogli tego zaniechać. Jeżeli było kogo ratować, ktoś inny musiał się tym zająć.

Istotnie, jeden ze statków handlowych wyratował cztery dziewczyny, zatrzymując się odważnie w pobliżu katastrofy i spuszczać na wodę łódź ratunkową. Nazajutrz rano widzieli, jak siedziały zbite w ciasną gromadkę na górnym pokładzie i wpatrywały się w morze. Nikt nie machał już wesoło ręką z tej ani z tamtej strony. Lecz statek, który je uratował, był jednym z dwóch zatopionych przez wroga zaraz następnej nocy. On także tonął szybko i *Compass Rose*, przydzielona tym razem do wylawiania rozbitków, zdołała wciągnąć na swój pokład tylko czterech ludzi żyjących i sześć trupów. Wśród umarłych była też jedna wrenka, jedyna z grupy dwudziestu dziewcząt, której ciało odnaleziono.

Tallow ułożył trupy w równym szeregu na pokładzie rufowym. Ciało dziewczyny wyglądało nieskończenie żałośnie. Była młodziutka. Jasne, kobiece włosy po raz pierwszy dotknęły pokładu *Compass Rose*. Rozłożyły się na nim mokrym wachlarzem, obramowując zastygłą w przerażeniu twarzyczkę, która za życia musiała być ładna.

Rankiem Lockhart przyszedł na rufę, by dopilnować zaszywania ciał w brezent, w którym je mieli pochować. Gdy spojrzał na martwą dziewczynę, gardło ścisnęło mu się spazmem. Wojna nie mogła mieć smutniejszego, obrzydliwszego oblicza. Tak wiele jednak było do zrobienia poza żałobą i litością... Pochowali ją w morzu wraz z innymi i dopisali jej nazwisko na liście w dzienniku zdarzeń. I szli wciąż dalej na południe w tym rejsie marnotrawiącym życie i bogactwo.

Stracili już sześć statków w przeciągu dwóch dni, a mieli przed sobą cały tydzień, nim się dostaną pod osłonę lądu. Ale teraz odmieniło się szczęście. Dwie z kolei ciemne noce i częste, gwałtowne zmiany kursu zmyliły pościg. Mimo że wciąż musieli być czujni i trwać w napięciu, zwłaszcza w nocy, w ciągu czterdziestu ośmiu godzin cieszyli się cudowną świadomością wytchnienia. Konwój liczył już tylko piętnaście statków. Rwał naprzód, jak mógł najszybciej, wpatrzony w południowy horyzont, który wabił nadzieją bezpieczeństwa.

Na *Compass Rose* wesoły optymizm wziął górę nad uczuciem nieuniknionej katastrofy, któremu już zaczynali ulegać. Rozbitkowie łazili po górnym pokładzie owinięci w koce i strzepy ubrań, stawali gromadą przy relingu i patrzyli na konwój. Z ich spojrzeń znikał stopniowo ów pełen napięcia wyraz czujnego zbiega, wyraz obciążający sumienie dowództwa Royal Navy. Nadzieja budziła się do życia. Może jednak dojdą do portu...

Tak było przez dwa dni i dwie noce. Na trzeci dzień o świcie na czystym niebie pokazał się samolot i jął zataczać kręgi. Znów ich odnalazł.

Rose, młody sygnalista, usłyszał go pierwszy. Jakieś drżenie w górnych warstwach powietrza, ni to szept, ni to słabiutki pomruk, znak, że zostali odkryci. Rozejrzał się szybko naokoło, przechylając w bok głowę, i zawołał:

- Lotnik! nadchodzi... z którejś strony.

Ferraby i Baker byli właśnie na służbie. Poderwali się czujnie tym samym nerwowym ruchem. Pomruk samolotu nasilał się coraz bardziej i można już było poznać kierunek - zbliżał się gdzieś od lewej burty, od dalekich brzegów Hiszpanii, a konwój szedł po prawej burcie korwety.

- Panie kapitanie - zawołał Baker przez rurę głosową - słychać samolot!

Lecz Ericson już się wspinał po trapie. Znienawidzony odgłos samolotu wyrwał go z kabiny na pomost. Rozejrzał się na wszystkie strony, mrużąc oczy przed blaskiem.

- Jest tam! - zawołał nagle i wskazał im palcem. Z perłowej mgły, która rankiem zawisała nisko nad horyzontem, wyłonił się na trawersie wraży samolot, szperające oko nieprzyjaciela.

Wszyscy na pomoście wpatrywali się w niego, związani z sobą jedynym uczuciem gniewu i nienawiści. To nie była uczciwa gra... Mogli stawać przeciw okrętom podwodnym, a przynajmniej mogli mieć szanse bardziej wyrównane. Przy jako tako sprzyjającej pogodzie, przy normalnej zręczności nawigacyjnej konwój mógł zacierać za sobą ślad, mógł się wymykać i wykręcać, i ufać, że uniknie pogoni. Lecz w żaden sposób nie mogli umknąć lotnemu szpiegowi, drapieżnemu wysłannikowi obcego żywiołu, który obracał wniwecz ich taktyczne wybiegi, pożerając z łatwością choćby największą przestrzeń, jaką udało im się odgradzić od wroga. Gdy tak stali wpatrzeni w samolot, bezradni i jakby obnażeni, serca wzbierały im bezsilną wściekłością. Oczywiście cała historia zaczęła się od początku mimo ich troski i czujności, mimo największych wysiłków. A wszystko dlatego, że kilku młodych lotników mogło na swej maszynie przemierzyć w parę godzin pół oceanu i runąć z góry na łup, o ileż powolniejszy. Samolot szybko wykonał swe zadanie; okręty podwodne najwidoczniej krążyły niedaleko. Dogoniły ich po dwunastu godzinach i tej nocy wyrwały z konwoju dwa dalsze statki. Znowu podjęły polowanie, goniły za nimi rozżartym stadem, powracał dziki, coraz szybszy rytm walki i ucieczki. Konwój bronił się dzielnie. Eskortowce szły do przeciwnatarcia, statki handlowe zmieniały kurs i zwiększały obroty swych maszyn. Wszystko na próżno. Wstał świt szóstego dnia, zapadła szósta noc. Dokładnie o dwunastej zabrzmiały dzwonki alarmowe i wystrzeliła w niebo pierwsza rakietą ze statku ugodzonego śmiertelnie, który wzywał

pomocy. Długo płonął ten statek lejąc czerwony blask na wodę, długo, leniwie unosił się na fali, aż zmienił się w migotliwy słup ognia i pozostał daleko za konwojem. W ciągu następnych dwóch godzin, a nawet dłużej, nic nie zakłóciło spokoju. Wszyscy trwali na stanowiskach bojowych. Konwój sunął wciąż na południe pod ciemnym, bezksiężycowym niebem. Wtem, daleko na horyzoncie w kierunku pełnego morza, w odległości pięciu mil morskich od korwety, znowu zaczął się atak. Jaskrawy, pomarańczowy płomień rozdarł ciemność na dwoje, zacichł, jeszcze raz buchnął w górę i rozpląnął się w nicość. Oczywiście znowu trafili w statek. Ale tym razem znaczyło to dla *Compass Rose* więcej niż jeden stracony statek. Bo tym razem... tym razem trafili *Sorrel*.

Wszyscy wiedzieli, że to musiała być *Sorrel*, bo w tej odległości nie mógł iść żaden statek handlowy, a zresztą wiedzieli z sygnału, który przekazali jej przedtem od *Viperous*. „W razie nocnego ataku - brzmiał sygnał - *Sorrel* ma iść w odstępie pięciu mil za konwojem od strony pełnego morza i prowadzić dywersję za pomocą bomb głębinowych, rakiet itd. W ten sposób można będzie odciągnąć od konwoju główne siły ataku”. Widzieli rakiety wcześniej, lecz nie zwrócili uwagi. A przecież oznaczały nie co innego, tylko to, że *Sorrel* gdzieś w odległym kącie spełniała obowiązek zgodnie z planem... Prawdopodobnie plan był słuszny, skoro mieli aż dwie godziny wytnienia. Tak, niewątpliwie, z tego punktu widzenia był to wspaniały manewr który odwrócił co najmniej jeden atak od właściwego celu. Ale ktoś musiał za to zapłacić. Mądry manewr nie mógł powstrzymać skradającego się wroga, nie mógł przeszkodzić wystrzeleniu torpedy. W braku cenniejszych zdobyczy *Sorrel* musiała stać się celem, musiała być samotna w chwili swego zgonu, w kręgu ciemności broniących dostępu do konwoju.

Biedna *Sorrel*, biedna siostrzana korweta... Na pomoście *Compass Rose* stali pogrążeni w żałobie ludzie, którzy ją znali

najlepiej. Stali odgradzeni od siebie mrokiem nocy, ale związani wspólnym wstrząsem i żalem, pełnym niedowierzania. Czy naprawdę mogło to spotkać *Sorrel*, taką samą korwetę jak ich własna?

Ujrzawszy wybuch, Ericson połączył się natychmiast z radiokabiną.

- „Do *Viperous* od *Compass Rose* - zaczął dyktować sygnał. - *Sorrel* storpedowana na stanowisku dywersyjnym. Czy mogę zejść ze swego stanowiska i szukać rozbitków?” Nadajcie to jak najprędzej - rzucił marynarzowi, który odebrał sygnał. - Nadajcie przez radio.

Po przekazaniu sygnału stali na pomoście w głuchym milczeniu, w ciemności, śledząc niewyraźne zarysy najbliższego statku i odwracając się od czasu do czasu w stronę, gdzie *Sorrel* została ugodzona. Nikt nie odezwał się słowem. Na to nie było słów. Mogły być tylko myśli, i to niewiele.

Dzwonek z kabiny radiostacji przeciął ostrym dźwiękiem napięte milczenie. Wells stał najbliżej rury głosowej i pochylił się ku niej.

- Tu pomost - odpowiedział i słuchał przez chwilę. Potem wyprostował się i przez szerokość pomostu tonącego w cieniu zawołał do dowódcy: - Odpowiedź z *Viperous*: „Nie oddalać się od konwoju przed końcem nocy”.

I znów zapadła cisza, cisza nabrzmiała grozą i przerażeniem. Ericson zaciął zęby. Powinien był się tego spodziewać. Rzecz jasna, to była właściwa odpowiedź z punktu widzenia czysto technicznego, nie skażonego uczuciem. *Viperous* nie mógł sobie pozwolić na wyrwanie jeszcze jednego eskortowca z osłony konwoju i przydzielenie go do zadań drugorzędnych. To była właściwa odpowiedź, ale - na Boga! - jakże twarda. Tam w tyle, w czarnej pustce nocy, teraz już z dziesięć mil poza nimi, ginęli

ludzie, ludzie specjalnego gatunku - marynarze tacy jak oni i dobrze im znajomi. Musieli pozwolić im umrzeć, a w najlepszym razie musieli odłożyć pomoc na później, mimo że czas tej zwłoki będzie kosztował życie niejednego człowieka.

Zatopienie *Sorrel* wstrząsnęło załogą *Compass Rose*. *Sorrel* była pierwszym z ich grupy eskortowcem trafionym przez wroga. A przecież wśród wszystkich eskortowców właśnie ona była najlepszym kompanem, obok niej, burta w burtę, cumowali po każdym z niezliczonych rejsów przez ostatnie dwa lata. Marynarze z *Sorrel* byli ich przyjaciółmi. Z nimi grywali w loteryjkę i włączali się po knajpach na lądzie. Ich zawsze bili w meczach piłki nożnej. Dosyć nieszczęścia, że torpeda trafiła *Sorrel*, ale porzucać jej załogę, dać jej tonąć lub pływać w beznadziejnych ciemnościach, to był już cios najgorszy, najokrutniejszy.

- Koniec nocy - rzekł nagle Morell, przerywając milczenie ciężące chmurą ołowiu nad pomostem. - To znaczy - za dwie godziny.

- Tak - odparł Ericson odpowiadając nie na słowa, ale na myśli Morella. Noc była zimna. Dwie godziny czekania, a potem czas potrzebny na dojście tam, gdzie *Sorrel* zatonęła... Czy będzie jeszcze kogo wylawiać?

Było ich piętnastu. Piętnastu z załogi liczącej dziewięćdziesięciu ludzi.

Znaleźli ich bez trudu pod koniec rannej wachty. Już z odległości trzech mil dostrzegli na płaskim, wygładzonym morzu dwie ciemne plamki - były to tratwy ratunkowe. Mieli czas oswoić się z tym bezlitosnym widokiem, lecz teraz wzruszył ich znów do głębi. Przejęci grozą jak za czasu swych pierwszych

doświadczeń, patrzyli na tratwy zapchane ludźmi, na płataninę lśniących od ropy ciał, unoszących się bezwładnie wśród szczątków *Sorrel*. Tu i ówdzie, w przejmującym odrazą pokosie śmierci, dostrzegli własne mundury, własne dystynkcje i czapki, niemal odbicia własnych twarzy. Ludzie na tratwach zdrętwieli już z zimna i nasiąkli ropą, ale gdy *Compass Rose* zbliżyła się do nich, jakiś marynarz zaczął gwałtownie wymachiwać rękami, witając w szale radości wybawcę, który podszedł na odległość dwudziestu metrów. Niektórzy spośród rozbitków już nie żyli. Zmarli z zimna lub z wyczerpania, chociaż udało im się znaleźć schronienie na tratwie. Głowy ich spoczywały na kolanach kolegów, którzy podtrzymywali je troskliwie i rozgrzewali aż do chwili skonania, a może i przez wiele godzin po śmierci. Ericson patrzył przez lornetkę na obszarpaną gromadkę pozostałych przy życiu. Nagle dostrzegł zszarzałą twarz Ramsaya, dowódcy *Sorrel* i przyjaciela swego od lat. Ramsay trzymał w ramionach ciało młodego marynarza, brzydkie i żałosne w bezwładzie śmierci. Głowa chłopca zwisała do tyłu, usta były otwarte. Ale twarz żywego człowieka pochylona nad trupem była niemal równie żałosna. Na twarzy Ramsaya, gdy tak siedział trzymając martwe ciało i oczekując wybawienia, malowało się wszystko - dzieje straconego okrętu i jego załogi, cierpienie i wyczerpanie minionych sześciu godzin.

Była to twarz dowódcy, który poniósł klęskę i obchodzi żałobę po swym okręcie. Który dźwiga sam jeden potworne brzemie tej straty.

Lockhart czekał na śródokręciu, by odebrać rozbitków wciąganych na pokład. Gdy Ramsay wygramolił się przez nadburcie, powitał go serdecznie.

- Bardzo się cieszę, panie kapitanie! - zawołał gorąco. Wszystko w Ramsayu przejmowało go nagłym, głębokim wzruszeniem: wyraz twarzy i powolne, znużone ruchy, i mundur śmierdzący

ropą. Uratowanie mu życia, nawet w tak tragicznych okolicznościach, zdawało się triumfem i łaską boską. - Wszyscy mieliśmy nadzieję...

Urwał niezręcznie, wpatrując się w Ramsaya. Pojął natychmiast, że nie wolno, nie wolno w żadnym wypadku powiedzieć: „Wszyscy mieliśmy nadzieję, że pana przynajmniej wyłowimy”. Nie mogło to odpowiadać uczuciom Ramsaya w tym momencie. Raczej przeciwnie.

- Dziękuję, poruczniku. - Ramsay wyprostował się i odwracając się ku burcie, wskazał niepewnym gestem na ludzi wciąż czekających na tratwach. - Zaopiekuje się pan nimi, prawda? Jednemu czy dwóm niewiele już brakuje.

Lockhart skinął mu głową.

- Dopilnuję wszystkiego, panie kapitanie.

- To ja pójdę na pomost.

Ale ociągał się z odejściem i wsparłszy się o reling patrzył bolesnym wzrokiem, jak resztki jego załogi podsadzano albo wciągano na stropie, albo też podnoszono ostrożnie na pokład. Pośród gromady ludzi zajętych pracą był sam na sam ze swoją żalobą. Gdy żywi znaleźli się pod troskliwą opieką i zaczęto się krzątać koło umarłych, obrócił się i począł iść powoli w kierunku trapu wiodącego na pomost. Na pokładzie ciemniały za nim ślady stóp, bosych i umazanych ropą. Lockhart był rad, że ma w tej chwili pełne ręce roboty. Była to bowiem chwila, na którą nie wolno zwracać uwagi pod żadnym pozorem.

Znalazłszy się na pomoście, Ramsay wyciągnął dłoń do Ericsona i powiedział:

- Dziękuję, George. Nie zapomnę ci tego. - W słowach tych zabrzmiał bardzo wyraźnie zachodni akcent.

- Wybacz, że nie przyszliśmy wcześniej - odparł Ericson zwięźle. - Nie mogłem odejść od konwoju przed końcem nocy.

- Nie ma wielkiej różnicy. - Ramsay odwrócił się i patrzył na zwłoki, wciągane przez burtę, a także na ciała zaśmiecające gładką powierzchnię morza w krąg korwety. - Większość została na dole. *Sorrel* złamała się przez pół i zatonięła w parę minut.

Ericson milczał. Wtem Ramsay obrócił się ku niemu i rzekł, jakby do siebie:

- Nigdy człowiek nie myśli, że sam może oberwać. Nie można być na to przygotowanym, choćbyś nie wiem jak długo o tym myślał. A kiedy się zdarzy...

Umilkł, jakby pod wpływem żalu do siebie samego, żalu, którego nie potrafił wyrazić. W tym momencie rozmowę ich przerwał Rose, sygnalista, który stał pochylony nad rurą głosową.

- Sygnał od *Viperous*, panie kapitanie! - zawołał głośno. - Do naszej korwety: „Wracajcie natychmiast do konwoju”.

- Coś tam się musi dziać - rzekł Ericson. Podeszedł do trapu i spojrzał w dół, na śródokręcie. Obie tratwy były już puste, lecz w promieniu pół mili koło dwudziestu ciał unosiło się wciąż na wodzie. - Chciałbym ich... - zaczął wahająco.

Ramsay potrząsnął głową.

- Nie, George, to nie ma znaczenia - powiedział spokojnie. - Zresztą, co za różnica? Zostaw ich tak, jak są.

Gdy *Compass Rose* odchodziła od miejsca klęski, Ramsay nie patrzył na nic i na nikogo.

Koło południa dogonili konwój i dowiedzieli się od razu, że w biały dzień znów jeden statek został trafiony torpedą. Nic dziwnego, że *Viperous* chciał jak najprędzej mieć w pogotowiu wszystkie eskortowce. W tej długiej walce i pościgu nie było chwili przerwy, nie było wytchnienia. Rzecz jasna, zmarli nie

mieli praw, mimo że teraz zaczęli górować liczbą nad żywymi. Siódmego dnia po południu konwój liczył już tylko jedenaście statków. Jedenaście z dwudziestu jeden, które wyruszyły w ten rejs. Pozostawili za sobą na dnie oceanu dziesięć dobrych statków handlowych i wielu, wielu ludzi, a także jeden eskortowiec. Strach było pomyśleć o olbrzymiej przestrzeni morskiej, o setkach mil przebytej drogi, zbryzganej plamami ropy, usianej szczątkami statków i trupami ludzi. Przypominało to z okrutną ironią grę w pościg śladem papierków, konwój bowiem znał swój ślad krwią i skarbami wytrząsanymi z olbrzymiego, ropiejącego worka. Były i takie sprawy, o których woleli nie myśleć: wrenki i *Sorrel*, i krzyki ludzi zaskoczonych na pierwszym storpedowanym statku, i zbiornikowiec ogarnięty pożarem.

Nie była to walka jednostronna, w której jeden przeciwnik raz za razem zadaje młotem ciosy, a drugi daremnie próbuje się wywinąć, ale na razie prawie że na to wychodziło. Zbyt wiele okrętów podwodnych było z nimi w kontakcie, za mało mieli eskortowców, konwój nie miał dostatecznej szybkości i nie był dość zwrotny, by mogli mieć szanse w tej walce. Walczyli i robili wszystko, na co ich było stać. *Compass Rose* w licznych przeciwnatarciach wyrzuciła przeszło czterdzieści bomb i należało przypuszczać, że niektóre dosięgły celu. Inne eskortowce wykazały też wiele energii. Sam *Viperous* po precyzyjnie wykonanym ataku miał dostateczne dowody w postaci plam oliwy i szczątków na powierzchni morza, by rościć sobie prawo do jednego okrętu podwodnego, który poszedł na dno. W zestawieniu z całością sytuacji było to jednak przysłowiowym młóceniem plew. Skoro tyle okrętów podwodnych czyhało na ich szlaku, cud tylko mógł wyprowadzić konwój ze śmiertelnej pułapki. Lecz żaden cud nie zbłądził w ich stronę. Nie mieli żadnej szansy zwycięstwa i nie mieli drogi powrotu. Jedyne, co im pozostawało,

to zewrzeć szeregi i przeć wciąż naprzód z jak największą szybkością, i przetrwać tę mękę do końca.

Nigdy jeszcze nie była *Compass Rose* tak zatłoczona, zapchana rozbitkami. Szczęście, że mieli izbę chorych i sanitariusza, który potrafił chodzić koło rannych i wyczerpanych. Lockhart sam nigdy by sobie nie poradził z nieustannym napływem rozbitków. Prócz tych, którzy wymagali pomocy lekarskiej i starań, zebrała się na korwecie wielka gromada uratowanych marynarzy, znacznie liczniejsza od miejscowej załogi. W mesie oficerskiej można było naliczyć czternastu oficerów marynarki handlowej, w tym trzech kapitanów. Ponadto było stu dwudziestu jeden marynarzy z pokładu, palaczy, kucharzy, Hindusów i Chińczyków. W dzień zalegali górny pokład, a wieczorem pchali się do pomieszczeń, by coś zjeść i przespać się, i doczekać ranka. W nocy zaciemnione pomieszczenia załogi były czymś, czego się nie da opisać. Żółty blask lampy oświeślał scenę z dantejskiego piekła, koszmar chaosu i czujnego napięcia, udręki i cierpienia.

Pomieszczenia zapchane były po brzegi. Ludzie stali, siedzieli, klęczeli albo leżeli gdzie się dało. Skuleni pod stołami, wciśnięci w ciasne kąty, wyciągnięci w górze, na szerokich przewodach wentylacyjnych. Jedni dostawali morskiej choroby, inni z krzykiem zrywali się ze snu, jeszcze inni pożerali łapczywie jedzenie, przyciskali do siebie resztki swojego mienia i wpatrywali się w jakąś pustkę przed sobą. Jęczeli ranni, zdrowi na pozór ludzie śmiali się dziwnie bez żadnego powodu. Byli i mężni, którzy potrafili przywołać jeszcze uśmiech na usta i odpowiadać przytomnie.

Lockhart miał zwyczaj co dzień przy wieczornym obchodzie przechodzić przez pomieszczenia dziobowe od końca do końca. Teraz, torując sobie drogę w rozpaczliwym tłoku, nie mógł opanować wzruszenia, przerażenia i smutku na widok tego brudnego zakamarka wojny. A jednak można było zaczerpnąć

otuchy z tego widoku i lżej odetchnąć w zetknięciu z ludzką cierpliwością i wytrwaniem. Można było poczuć się dumnym... Tu i tam jednostki dawały się zepchnąć na krawędź klęski i panicznego strachu. Lecz brutalne stłoczenie, odzież w strzępach, smród ropy i bandaże, i ciężki zapach ludzi, którzy znaleźli się w nędzy - wszystko to nie wystarczało jeszcze do pokonania gromady. Byli to przecież marynarze, nie mogli dać się pognębić nawet i tej zmorze, która rzuciła się na nich tak nagle i tak długo dusiła za gardło. To prawda, wpadli paskudnie, ale musiałyby im się przydarzyć coś o wiele gorszego, żeby zmienili swe zdanie o morzu. Szczególnego rodzaju zmora nawiedzała Lockharta, ilekroć patrzył na rozbitków i na to, jak marynarze z *Compass Rose* przyjmują na wesoło ten, najazd, ilekroć dojrzał w tłoku jakąś twarz zdumioną lub przerażoną. A gdyby, tak jak *Sorrel*, oni dostali torpedę? A gdyby, jak *Sorrel*, okręt rozłamał się na dwoje i zatonął w ciągu minuty? Co by się wtedy działo tu, na dole? Jaka straszna pułapka, jaka szarpanina i jatki w tej ostatniej podróży na dno. Naprawdę, lepiej nie myśleć o szczegółach takiej sytuacji, chociaż bardzo możliwe, że ludzie stłoczeni w pomieszczeniach właśnie tymi myślami wypełniali nadmiar wolnego czasu.

Kiedyś, gdy Lockhart poprawiał bandaż na ramieniu jednego z rozbitków, ten mruknął pod nosem:

- Teraz już mogę pływać, prawda, poruczniku?

Lockhart odpowiedział uśmiechem.

- Na pewniaka. Ale w tym rejsie nie będziecie już pływać.

Marynarz spojrzał mu prosto w oczy i kiwnął głową.

- No tak, to murowane. Jak tutaj coś się przytrafi, to można powiedzieć, że już leżymy w trumnie.

Tego samego popołudnia, gdy dogonili konwój, nadszedł znów sygnał od Admiralicji. „Jedenaście okrętów podwodnych krąży w waszym rejonie - brzmiała wiadomość. - Niszczyciele *Lancelot* i *Liberal* dołączą do waszej eskorty koło godziny osiemnastej”.

- Dwa niszczyciele klasy L, ależ to wspaniale! - zachwycił się Baker przy podwieczorku w mesie oficerskiej. - To potężne okręty i zupełnie nowiutkie.

- Tak, powinny być potężne - odezwał się Morell, przeczytawszy raz jeszcze tekst sygnału. - Jedenaście okrętów podwodnych, to znaczy po jednym na każdy statek konwoju. Śmiem wątpić - dodał bardzo łagodnie - czy Ich Lordowskie Moście naprawdę życzyły sobie tak idealnej równowagi.

Lockhart uśmiechnął się do niego.

- Denerwujesz się, John?

Morell namyślał się chwilę.

- Muszę przyznać - rzekł w końcu - że sytuacja nie wygląda różowo. Żebyśmy wyłazili ze skóry, te przeklęte okręty podwodne potrafią za każdym razem przebić się przez osłonę. Straciliśmy blisko połowę statków, a do Gibraltaru mamy całe dwa dni. - Zamilkł. Aż dziwnie pomyśleć, że nawet gdyby się na tym skończyło, będzie to z wszelką pewnością najgorszy rejs z konwojem w historii wojen morskich.

- Będzie przynajmniej o czym opowiadać wnuczkom przy kominku.

- O tak, na pewno. Zagwarantuj mi tylko, że będę miał wnuki, a natychmiast poprawi mi się humor.

- W jaki sposób można zagwarantować, że będziesz miał wnuki? - zapytał Baker, który - przynajmniej na *Compass Rose* - nie był zbyt błyskotliwym rozmówcą.

- Jeżeli mają być takie głupie jak ty - odparł Morell z nutą zniecierpliwienia, tak niezwykle u niego, że musiała świadczyć istotnie o zdenerwowaniu - to obym nie miał wnuków!

Zapadło długie milczenie, nabrzmiałe urazą. Lockhart pomyślał, że wszystkich dręczy to samo uczucie. Są podrażnieni, gotowi każdej chwili wybuchnąć i bynajmniej nie skłonni pobłażać jeden drugiemu. Zmęczenie i napięcie nerwowe, wzrastające w ciągu ubiegłego tygodnia, staje się trudne do zniesienia. Nie ma na to innego lekarstwa prócz schronienia się w porcie z resztką konwoju, lecz od tej chwili dzielą ich jeszcze dwa długie dni. Zapragnął gwałtownie, goręcej niż czegokolwiek na świecie, znaleźć się w spokojnym, bezpiecznym kącie. Jak wszyscy na korwecie, jak wszystkie eskortowce i wszystkie statki handlowe, był już bez mała wykończony.

Obydwa niszczyciele zjawily się dokładnie o szóstej po południu. Szły od południowego wschodu i zbliżały się szybko, odkładając olbrzymie, pienne bruzdy. Oba demonstrowały szczególnie okazale tę bohaterskość, którą chlubiły się wszystkie niszczyciele. Smukłe, szybkie i niezwykle potężne - podobne raczej do lekkich krążowników niż do niszczycieli. Nie ulegało wątpliwości, że każdy wart jest tyle, co trzy normalne eskortowce. Ich przybycie mogło dodać otuchy całemu konwojowi. Wystarczył cień podejrzenia, a choćby cień cienia, by zaczynały pruć toń morza, śmigając wokół konwoju i przecinając mu drogę z pełną szybkością trzydziestu pięciu węzłów. Nadawały sygnały na trzy kierunki równocześnie i nie chciały zatrzymać się w miejscu dłużej niż pięć minut.

- Jak to się pokazują! - mruknął Wells, starszy sygnalista, śledząc przez lornetkę mijające ich w pędzie okręty, które znów wymyśliły sobie jakieś ważne zadanie. Lecz w jego głosie brzmiała nuta zawiści, gdy dodał w formie komentarza: - Dobrze im się fyrtać na wszystkie strony niczym wypindrzonym

dziewuchom - nie musieli pilnować tego konwoju przez ostatni tydzień.

O zmierzchu obaj przybysze ustatkowali się wreszcie: jeden zajął pozycję na czołe, drugi - na tyle konwoju. Utrwaliło to jeszcze uczucie wybawienia w ostatniej sekundzie, z jakim konwój witał nadejście niszczycieli. Tamci dobrze wiedzieli o wrażeniu, jakie sprawiała ich obecność. Mniejsza z tym jednak, ile w tym było teatralnego efektu, skoro obecność ta naprawdę zmieniała sytuację. Był wprawdzie atak tej nocy, lecz stado okrętów podwodnych zdołało wyrwać z konwoju zaledwie jeden statek, i to najmniejszy ze wszystkich. Został trafiony w rufę i tonął powoli. Z całej załogi zginął tylko jeden marynarz hinduski, który z dzikim okrzykiem skoczył niby to w morze, lecz trafił głową prosto w łódź ratunkową przy burcie statku. Na tle masowego mordy, z którym stykali się na co dzień, ten zgon jakby z komedii zdawał się fantastyczny i przez to naprawdę śmieszny. Tak czy owak, był to już jedenasty statek stracony spośród dwudziestu jeden. A zatem straty przekroczyły połowę, ustalając nowy, okrutny rekord w osiągnięciach okrętów podwodnych. Następnej nocy, ósmej i ostatniej w tej bitwie, byli już tylko o trzysta mil od Gibraltaru. I właśnie ta noc miała wyrównać pozorne zwolnienie tempa klęski.

Ostatnia noc kosztowała ich znowu trzy statki. Jeden z nich, zbiornikowiec z cennym ładunkiem, dostał torpedą i stanął cały w ogniu. Ta strata obeszła zwłaszcza *Compass Rose*, korweta bowiem była najbliżej zbiornikowca w momencie trafienia. Krążyła koło niego, lecz ropa chlustająca kaskadą z rozdartego kadłuba wylewała się płomieniem na wodę niby ognisty dywan w czarnej komnacie nocy. Na tle huczącej zasłony ognia, która w mgnieniu oka podniosła się na pięćdziesiąt stóp w górę, *Compass Rose* musiała być widoczna na wiele mil wkoło. Nawet poruszając się szybko, była wspaniałym celem. Ericson musiał zdecydować,

czy mają się zatrzymać i ratować rozbitków, czy też uznać takie ryzyko za niedopuszczalne. Mógł sobie świetnie wyobrazić, jak będą wyglądali unieruchomieni naprzeciw ognistej ściany. *Compass Rose* i cała jej załoga, i wielka gromada rozbitków wyratowanych z takim trudem, wszystko to stanie się bezradnym celem dla wroga w promieniu dziesięciu mil. Lecz, z drugiej strony, zostali wyznaczeni do akcji ratowniczej, a w morzu byli ludzie. Łodzie spuszczone ze zbiornikowca już umykały od strasznej wieży z płomieni. Należy wykonać zadanie, czyn miłosierdzia, jeśli tylko ryzyko jest do przyjęcia. Jeśli warto narażać życie dwóch setek ludzi, by uratować jeszcze pięćdziesięciu. Jeśli granice rozsądku zdołają pomieścić ludzkie uczucia.

Decyzja należała wyłącznie do dowódcy. Była to jego chwila, próba mocy wewnętrznej. Była to rzeczywistość poza fasadą oddawanych honorów, hierarchii służbowej oraz dwóch i pół pasków na rękawie. Ericson stał na pomoście i milczał, ważył szanse decyzji. Na całym okręcie nie było człowieka, który chciałby w tej chwili zamienić się z nim na miejsce.

Rozkaz padł szybko i stanowczo:

- Maszyny stop!
- Maszyny stop... Maszyny zatrzymane, ster zero.
- Porucznik Lockhart!
- Tak jest, panie kapitanie?
- Przygotować się do przyjęcia rozbitków. Nie będziemy opuszczać łodzi. Muszą dopłynąć do nas albo dobić własnymi łodziami. Nie ma obawy, że nas nie dostrzegą. Trzeba pogonić ich przez megafon.
- Rozkaz, panie kapitanie.

Lockhart miał zejść z pomostu, gdy Ericson dorzucił tonem swobodnej pogawędki.

- Nie będziemy tracić zbyt wiele czasu, prawda, poruczniku?

Gdy *Compass Rose* zatrzymała się wreszcie i czekała kołyszając się lekko, cała zalana blaskiem, wszystko na okręcie zastygło w napięciu milczenia. Z pomostu można było rozróżnić każdy szczegół na górnym pokładzie. Nie było najmniejszych wahań w tej iluminacji. Równy, potężny blask rzucał na morze cień korwety, obnażał ich przed okiem wroga, nadawał białym twarzom zwróconym ku niemu szczególną wyrazistość, jakby na fotografii. Ferraby stał na rufie ze swoim oddziałem bomb głębinowych. Patrzył na huczące płomienie, na trzy łodzie pełnzące ku nim powoli, słyszał dalekie krzyki, a tu i ówdzie dostrzegał na wodzie podskakujące światełka, które świadczyły o tym, że dzielni pływacy walczą z żywiołem o swe ocalenie. On sam czuł tylko niecierpliwość, smaganą strachem. O Boże, o Boże, o Boże! - myślał tylko to jedno, i myślał niemal głośno. - Zostawmy już to wszystko i nie stójmy tak w miejscu, nie stójmy w miejscu...

W odległości kilku metrów od niego, po lewej burcie, Lockhart na śródookręciu kierował spokojnie przygotowaniami do akcji ratowniczej. Szykowano strop do podnoszenia rannych i mocowano sieci wyrzucone za burtę, po których ludzie mieli się wspinać na pokład. Ferraby przyglądał się koledze nie z podziwem czy też zazdrością, ale z bezsilną nienawiścią. Do diabła! - myślał, z trudem się powstrzymując, by nie wymówić tych słów głośno. - Jak możesz tak się zachowywać? Dlaczego nie czujesz się tak jak ja, a jeśli czujesz się tak samo, to dlaczego nic po tobie nie widać? Odwrócił się od ruchliwych postaci, od nieznosnego żaru i powiódł wzrokiem po ciemnym sklepieniu nieba, ochlapanym strzępami dymu, spryskanym kłębowiskiem wirujących iskier. Obejrzał się za siebie i zatonął spojrzeniem w zewnętrznym pierścieniu ciemności, którego blask pożaru nie mógł przeniknąć. Tam musiały się czaić okręty podwodne,

stamtąd musiały ich śledzić. Żaden okręt podwodny w promieniu pięćdziesięciu mil morskich nie będzie mógł nie dojrzeć takiego drogowskazu, żaden w promieniu pięciu mil nie oprze się pokusie wystrzelenia torpedy, każdy zaś w promieniu dwóch mil musi trafić w cel nieruchomy, rysujący się wyraziście na tle płomieni. To podłość w tych warunkach zatrzymywać się dla kilku przeklętych drabów z marynarki handlowej.

Łódź przybiła do burty, obijając się i zgrzytając o stalowe poszycie. Lockhart zawołał:

- Zamocować od dziobu!

Słysząc było jakieś drapanie się po burcie, a potem nieznany głos z akcentem cudzoziemskim, trochę zdyszany.

- Bóg zapłać, żeście stanęli!

Zaczął się wyciąganie rozbitków. Nie trwało to długo, lecz im się zdawało, że trwa wiecznie. Przyszło to na nich pod koniec długotrwałej, nieustającej udręki tego rejsu, kiedy wszyscy, co do jednego, byli u kresu sił. Toteż minuty mijające w bezruchu, w przerażającym blasku reflektorów tej fantastycznej sceny, pełzły chłodnym dreszczykiem wzdłuż krzyża i obezwładniały. To niemożliwe, by ważywszy się na takie zuchwalstwo mieli ujść stąd bezkarnie. W wojnie morskiej istnieje pewna granica odwagi. Poza tą granicą los czeka na śmiałka i karci go bezlitośnie. Albo zafasujemy coś tym razem - rozważał Wainwright, torpedysta, stojąc obok wyrzutni bomb i wpatrując się w ścianę ognia - albo też szkopy nie zasługują na zwycięstwo.

Istotnie, jeśli mogli dostać *Sorrel* idącą zygzakiem z szybkością czternastu węzłów, to z *Compass Rose* nie powinni mieć chyba kłopotu. Minuta mijała za minutą. Przyjmowali na pokład rozbitków z trzech łodzi i tych, którzy sami zdołali dopłynąć. Potężny słup ognia siał równym blaskiem, oni zaś pograżali się coraz głębiej w świecące trzęsawisko, z którego nic, nic ich nie

ocali. Szczęśliwi ci, którzy mieli robotę. Lecz ci, którzy musieli tylko czekać, jak Ericson na pomoście albo palacze w maszynowni poniżej linii wodnej, ci poznali w ciągu długich minut udręki, co znaczy strach.

I nic im się nie stało. To był cud tej nocy. Może jakiś okręt podwodny wystrzelił i spudłował. Może te, które krążyły w zasięgu, zadowolily się dotychczasową zdobyczą i nie chcąc kusić losu zaniechały dalszych ataków i znikły pod powierzchnią. W każdym razie *Compass Rose* uszło na sucho jej niezwykle zuchwalstwo.

Kiedy już wyłowiono wszystkich rozbitków, korweta ruszyła z miejsca. Ożywający na nowo puls maszyn przebiegł nerwowym drżeniem wzdłuż całego okrętu. Zwiastował wbrew rozsądkowi wybawienie w ostatniej minucie i napełnił ich wszystkich zdumieniem. Puls stawał się coraz mocniejszy i coraz szybszy, coraz bardziej zwycięski. *Compass Rose* oddalała się od słupa płomieni, pozostawiała w tyle swąd palącej się ropy, unosząc z sobą partię rozbitków wyrwanych wprost z paszczy śmierci. Junacki gest korwety nie sprowokował nieszczęścia. Podjęli ryzyko i wszystko się udało. Radość triumfu nie głuszyła trzeźwego uczucia wdzięczności za ocalenie i pokory. Może lepiej nie myśleć o tym zbyt wiele. Lepiej pogrzebać tę chwilę czym prędzej w niepamięci, zapomnieć o niej i nigdy więcej nie ryzykować w ten sposób.

O czwartej, tuż przed świtem, znowu zatonał statek po przeciwnej stronie kolumny. A kiedy się całkiem rozwidniło i resztki konwoju zwierwały się w szyku, spadł ostatni, okrutny cios w tym rejsie.

Spadł na statek wlokący się w tyle z powodu uszkodzenia maszyny. Trafiony statek zanurzył się głębiej i zaczął powoli tonąć. Ale czy to nie potrafiono zorganizować akcji ratunkowej, czy też przyczyną było silne przechylenie się statku pod ciosem torpedy, dość że nie spuszczone na wodę ani jednej łodzi. Ludzie z załogi nie mieli więc wyboru: musieli skakać w morze i płynąć co sił, by wyrwać się z fatalnego wiru, który ciągnął ich w dół, i... ufać w szczęśliwą gwiazdę. *Compass Rose* odpadła od konwoju, by iść na pomoc tonącemu, i krążyła w pobliżu, gdy statek zaczął się zanurzać. W końcu znikł pod powierzchnią. Woda marszczyła się tylko kręgami drobnych fal wokół punktu, który przestał już istnieć. Wówczas Ericson obrócił swój okręt dziobem ku miejscu katastrofy i ku dziesiątkom ludzkich głów rozsianych na powierzchni morza. Jednak tym razem akcja ratunkowa nie była sprawą prostą. Właśnie Ericson miał dać rozkaz spuszczenia łodzi, gdy asdic pochwycił kontakt. Złapał echo podwodne tak ostre i wyraźne, że mogło ono oznaczać tylko okręt podwodny.

Lockhart był na swym stanowisku w kabinie asdiku i czuł, jak serce stanęło mu na chwilę na dźwięk tego kontaktu. Nareszcie... Zawołał przez otwarte okno:

- Cel dwa-dwa-pięć, przesuwaj się w lewo! - i znów schylił się nad asdikiem w skupieniu pełnym napięcia.

Ericson dał do maszyny rozkaz zwiększenia szybkości i zaczął oddalać się od wskazanej przez Lockharta pozycji, chcąc zwiększyć odstęp od nieprzyjaciela. Gdyby mieli użyć bomb głębinowych, konieczny będzie dłuższy rozpęd dla nabrania szybkości. Zapytał Lockharta:

- Jak tam wygląda, poruczniku?

Lockhart zaś, wsłuchując się w ostry poświst i obserwując echo widoczne na rekorderze, odpowiedział:

- To okręt podwodny. Nie może być nic innego.

Podawał w dalszym ciągu namiar i odległość kontaktu. Ericson szykował się do rozpoczęcia ataku z odpowiednią szybkością i do rzucenia po drodze serii bomb głębinowych.

Wtedy właśnie, gdy *Compass Rose* odwróciła się dziobem do wroga i nabierała szybkości, wszyscy zauważyli to, co przedtem uszło ich uwagi. Miejsce, gdzie czaił się okręt podwodny i gdzie mieli wyrzucić bomby, roilo się od pływających rozbitków.

Na ten widok Ericson zaczerpnął gwałtownie tchu. Około czterdziestu ludzi miało się w wodzie na niewielkiej przestrzeni. Jeśli nie przerwie ataku, to z wszelką pewnością pozabija ich co do jednego. I on, i wszyscy na okręcie znali dobrze działanie bomb głębinowych wybuchających pod wodą: rozdzierający trzask, od którego morze porywa się do skoku i wystrzela wrzącą kipiela w niebo, splątane żniwo morszczyń wyszarpanych z głębin i martwych ryb, zaścielające powierzchnię morza po wybuchu. Zamiast glonów i ryb tym razem mieli przed sobą ludzi. Ludzi, którzy płynęli ku nim z ufnością i nadzieją... Ale tam jest okręt podwodny, jeden z wilczego stada, co ściga ich bez przerwy i wykrwawia od tyłu dni, groźba zagłady, której muszą przyznać pierwszeństwo ze względu na to, co może spotkać w przyszłości inne statki i inne konwoje. Słyszał echo z głośnika, a poza tym uznawał wprawę Lockharta, jeśli chodzi o ocenę wskazań asdiku. Sekundy mknęły szybko, zmniejszała się odległość, on zaś walczył ze skrupułami, z obezwładniającym instynktem litości. Regulamin powiedział: „Atakuj za wszelką cenę”, a sytuacja, w której się znaleźli, była po prostu jedną z kart regulaminu. Ludzie szamoczący się w wodzie nie mieli znaczenia, gdy szło o wyrównanie rachunku z mordercą. Jednak jeszcze przez kilka chwil zbierał odwagę i siły do tego, co musiał uczynić.

- A jak jest teraz?

- To samo. Twarde echo i dokładnie ta szerokość celu. To musi być okręt podwodny.

- Porusza się?
- Bardzo wolno.
- Ludzie są w morzu, właśnie na tym miejscu.

Milczenie. *Compass Rose* szła dalej do ataku, odległość się zmniejszała. Już tylko pięćset metrów dzieliło ich od ludzi płynących w ich kierunku i od okrętu podwodnego, od fatalnego splotu, nad którym nie mieli prawa się zastanawiać.

- A teraz? - powtórzył Ericson.
- Zupełnie tak samo. Jakby przestał się ruszać. Jeszcze nigdy nie mieliśmy tak silnego kontaktu.
- Kupa chłopaków jest tam w wodzie.
- Tak, a pod nimi okręt podwodny.
- No, więc w porządku - rozstrzygnął Ericson w nagłym przypływie brutalności, który ułatwił mu decyzję. - W porządku, zajmiemy się okrętem podwodnym... - I nie wahając się dłużej, dał rozkaz do stanowiska bomb głębinowych na rufie:
- Przygotować wyrzutnie!

Skoro dokonał już strasznego wyboru, rzucił się do ataku z otępiałym mózgiem, cały skupiony w woli mordy - tego jednego, i oszukiwał sam siebie, że innego już nie popełni.

Wielu spośród płynących zaczęło wymachiwać rękami, widząc, co ma się stać za chwilę. Jedni krzyczeli, inni usuwali się w bok, chcąc zejść z drogi okrętu i z wściekłością bili wodę pięściami w nadziei ocalenia. A jeszcze inni, mniej bystrzy lub bardziej wyczerpani, wciąż wierzyli, że *Compass Rose* spieszy na pomoc, wciąż, niemal że do ostatniej chwili, machali rękami i uśmiechali się do niej. Okręt nadleciał jak anioł zemsty i werznął się w sam środek grupy rozbitków. Zdumienie i przerażenie na ich twarzach odbiło się echem na *Compass Rose*, gdzie wielu marynarzy, zwłaszcza z obsługi bomb głębinowych na rufie, nie mogło wprost

uwierzyć w to, co kazano im robić. Dwóch tylko ludzi nie dzieliło przerażenia rozbitków: Ericson, bo zamknął się w sobie i odrzucił wszelką myśl, oprócz tej jednej - o okręcie podwodnym, który muszą za wszelką cenę zniszczyć, i Ferraby, któremu przypadło w udziale wyrzucić bomby głębinowe. Dobrze wam tak! - myślał z okrutną satysfakcją, gdy korweta parła przez kłębowisko ciał, porywając niektóre obracającą się śrubą, a bomby staczały się wzdłuż rufy i wylatywały z wyrzutni. Dobrze wam tak! Zesłęj nocy o mały włos przez was nie wyginęliśmy, tam przy pożarze. A teraz na was kolej.

Zaległa chwila śmiertelnego oczekiwania. Przez kilka sekund ludzie na *Compass Rose* i ci, co zostali poza nią w morzu, wpatrywali się w siebie z litością, z lękiem i niedowierzaniem. Potem, jak uderzenie olbrzymiego młota, rozległ się wybuch bomb głębinowych.

Los oszczędził patrzącym szczegółów tego widoku, ukrywając je w potężnym wzburzeniu wywołanym eksplozją. Tamci musieli umrzeć natychmiast, zgnieceni potwornym ciężarem wody walącej się z góry. Ale jeden szczegół koszmarniej sceny odcisnął się w pamięci marynarzy z korwety. Kiedy wzburzona woda trysnęła wysoko szarą, kłębiastą fontanną, na szczycie jej pióropusza ujrzeni podskakującą figurkę, kukłę machającą rękami i nogami, jak gdyby w chwili zgonu wygrażała im wszystkim ze złością i żalem. Zdawało się, że wisi w powietrzu bez końca i przeklina ich, przeklina, zanim spadnie z powrotem w kipiące morze.

Zawrócili na miejsce wybuchu. Asdic milczał i nie łapał kontaktu. Miejsce to przypominało akwarium, w którym zatruta woda zabiła wszelkie żywe stworzenie. Ludzie unosili się na powierzchni bezwładnie, jak martwe złote rybki w krwawej otocze. W większości ciała były zmiażdżone i poszarpane tak, że zatraciły wszelki kształt ludzki. Z kilkoma, które znalazły się

zapewne na skraju wybuchu, śmierć obeszła się inaczej. Rozdarte od podbródka do krocza, były czysto wypatroszone niczym śledzie. Kilka mew krzątało się nad nimi, skrzecząc z radości i podniecenia. Poza tym nic nie ruszało się dokoła.

Nikt nie spojrział na Ericsona, gdy oddalali się od tego miejsca. Gdyby ktoś to uczynił, byłby niechybnie zaskoczony wyrazem jego twarzy i niezwykłą bladością. Wydany na pastwę samoudręki, przerażony tym, co uczynił, doszedł do wniosku, że przede wszystkim nie mieli wcale przed sobą okrętu podwodnego. Kontakt musiał oznaczać storpedowany statek z wolna opadający na dno albo wodę wzburzoną jego zatonięciem. W każdym razie krwawe jatki, które urządził, to było coś ekstra, pokaźny i wyłącznie brytyjski wkład w ogólny sukces tego rejsu.

Gdy minęli cieśninę i wdychając gorącą woń Afryki, niesioną podmuchem od Ceuty, wzięli kurs na port gibraltarski, daleko im było do jakiej takiej równowagi ducha.

Za długo to wszystko trwało, zbyt wielka była klęska, za dużo kosztowała. Tkwili na stanowiskach bojowych przez osiem dni bez przerwy, zadowalając się prowizorycznym posiłkiem - kanapkami z mięsem i kakao. W tym czasie przeżywali nieustanne nawroty alarmów i niepokoju, który często osiągał rozpaczliwe napięcie. W ciągu całego rejsu nie było prawie chwili, w której by mogli zapomnieć o czyhającym wrogu, o dniach nieludzkiego wysiłku, jakie mieli przed sobą. Nie dane im było odetchnąć i zakosztować spokoju. Od jednego ranka do następnego byli głodni, brudni i zmordowani. Żyli w tłoku i dezorganizacji wywołanej obecnością potrójnej liczby ludzi na okręcie. Pośród tego wszystkiego musieli zachować czujność i niezawodną sprawność, o którą nie tak łatwo nawet w normalnych warunkach.

Okropne było to, że wszystko szło na marne, że nie zdało się na nic. Czy można sobie wyobrazić bardziej jałowe wydatkowanie energii ludzkiej i wytrzymałości? Oprócz *Sorrel*, która była klęską

specjalnego rodzaju, stracili czternaście statków z ogólnej liczby dwudziestu jeden. Dwie trzecie konwoju zmiotły z powierzchni morza kolejne ataki zespołowe nieprzyjaciela, tak umiejętnie i straszliwe, że próby przeciwdziałania okazały się całkowicie daremne. To właśnie było najgorsze w tym nieszczęsnym rejsie - nieunikniona świadomość daremności, przekonanie o tym, że okrętów podwodnych jest zawsze więcej niż eskortowców i że mogą one uderzać i trafiać, jak im się podoba.

Eskortowce, a z nimi *Compass Rose*, szamotały się przez wszystkie te dni bezskutecznie. Pozostawało im tylko co dzień o świcie liczyć straty konwoju i od czasu do czasu manifestować swą siłę jakimś wyczynem, którego efekt podobny był do kropli wody wchłoniętej przez morze. W końcu nabrali już obrzydzenia do tej rzezi, a także do walki.

By zrównoważyć śmiertelny upust krwi, jakiego doznał konwój, największy w tej i w każdej innej wojnie, *Viperous* zniszczył jeden okręt podwodny. Drugi prawdopodobnie został zatopiony. A sama *Compass Rose* wyловиła stu siedemdziesięciu pięciu rozbitków, niemal dwa razy tyle, ile liczyła jej załoga. Nie znaczyło to jednak wiele w zestawieniu z ogólnymi stratami w ludziach. Nie znaczyło to wiele, gdy pomyśleli o tych, których zmasakrowali bombami, i zabili, zamiast uratować. Nie znaczyło to wreszcie zbyt wiele wobec cienia padającego od tragicznej postaci Ramsaya, dowódcy *Sorrel*, który bez słowa, w ponurym zamyśleniu, stał w głębi pomostu, gdy *Compass Rose* wchodziła do bezpiecznego schronienia w Gibraltarze. Sunęła mimo wyniosłej Skały Gibraltarskiej, patrzącej na nich z góry i drwiącej zapewne z maleńkich, pobitych okręcików tam w dole.

W dniu wejścia do portu, o wpół do dziewiątej wieczór, ktoś zapukał do kabiny dowódcy. Ericson siedział w fotelu ze szklanką w ręku, a na stoliku stała w połowie opróżniona butelka.

- Proszę wejść! - rzekł tonem, w którym nie było żadnego wyrazu prócz apatycznej niedbałości.

Pił jednym ciągiem od czwartej, usiłując zapomnieć albo przynajmniej zamazać ostrość pewnych obrazów z ostatniego rejsu. Ale był to daremny wysiłek - wystarczył jeden rzut oka na twarz Ericsona, by się o tym przekonać.

W odpowiedzi na jego zaproszenie w drzwiach kabiny ukazały się trzy dziwne postacie. Trzech wysokich i bardzo jasnowłosych mężczyzn, ubranych jednakowo, w błękitne garnitury o niemożliwym kroju, jaskrawe koszule w grube, brązowe prążki i żółte buty ze spiczastymi nosami. Stali przed nim niby trio z jakiegoś wodewilu i uśmiechając się, niepewnie patrzyli z góry na postać wciśniętą w głąb fotela. Zdawało się, że czekają, aby ich poznał i przywitał, a równocześnie nie są pewni swojego miejsca w nowych okolicznościach. Przypominali uczniów, którzy wywiali z lekcji i niechący wpakowali się wprost do pokoju dyrektora.

Ericson wstał z fotela i chwiejąc się lekko, usiłował skupić spojrzenie na jednym punkcie.

- Kto... - zaczął pytanie, i nagle ich poznał.

Byli to jego pasażerowie, wyłowieni z morza kapitanowie zatopionych statków norweskich, którzy przez trzy czy cztery ostatnie dni rejsu mieszkali w mesie oficerskiej. Gdy Ericson widział ich po raz ostatni, mieli na sobie strzępy mundurów. Najwidoczniej zdążyli już być na lądzie i jakiś kupiec gibraltarski wyszukał co miał najokropniejszego, by ich wystroić na cywila. Istotnie, było to niezwykle przebranie dla ludzi, którzy w

normalnym mundurze kapitańskim imponowali wyrazem powagi i dzielną postawą.

Najwyższy, a także najbardziej jasnowłosy, prawdopodobnie wybrany na mówcę, postąpił krok naprzód i przemówił głosem kurczowo utrzymywanym na granicy trzeźwości.

- Dobry wieczór, panie kapitanie. My wróciliśmy, żeby podziękować panu za życie.

Ericson zamrugał powiekami.

- Nie poznałem panów od razu - powiedział niewyraźnie. - Proszę, siadajcie, panowie. Napijemy się?

- Nie, dziękuję - odparł rzecznik Norwegów.

- Dziękuję, tak! - odezwał się skwapliwie jego kolega, stojący tuż za nim. - Chcę się napić z odważnym człowiekiem, co zatrzymał swój okręt w samym środku pożaru i uratował mi życie.

- Ja także - wtrącił się trzeci Norweg, w najokropniejszym ubraniu i w najbardziej wymyślnej koszuli. - Ja także chcę się napić, ja tym bardziej. W imieniu mojej żony, w imieniu trojga dzieci.

- To doskonale - rzekł Ericson trochę zakłopotany. - Więc siadajmy. Czego panowie się napiją?

Lecz kiedy tamci dostali szklaneczki i usiedli na twardych krzesłach, rozmowa jakoś nie chciała się kleić. Wzniesli uroczysty toast na cześć swojego ocalenia i za każdą wychyloną szklaneczką powtarzali: „Skol!” Poza tym, jak się zdawało, nie mieli nic szczególnego do powiedzenia. Ericson czuł jeszcze w głowie opar ponurych myśli, nie mógł więc przejść tak szybko do nastroju towarzyskiej beztroski. Trzej goście, odwiedzając sklepy na lądzie, nie ominęli na pewno kilku barów, a dodatkowym czynnikiem hamującym rozmowę była ich łamana angielszczyzna. Ericson z pewnym wysiłkiem wyraził uznanie dla ich nowych, przerażających garniturów. Potem znów pili i znów wołali:

„Skol!” A potem zapadło kamienną ścianą milczenie. Ten rodzaj milczenia, który natychmiast ujawnia, że wszelka poprzednia rozmowa, choćby najbardziej ożywiona, była zwyczajnym konwencjonalnym udawaniem. W końcu przerwał je pierwszy z norweskich kapitanów, przechylając się z uroczystym wyrazem twarzy do Ericsona:

- My wiemy, że pan ma o czym myśleć.

- Tak, właśnie rozmyślałem.

- I smutno panu?

- Tak. Dosyć smutno.

Z kolei drugi kapitan pochylił się ku niemu.

- To ci tam w morzu, prawda?

Ericson skinął głową.

- Ci, których musiał pan zabić? - dołączył się do chóru trzeci kapitan norweski.

- Ci, których musiałem zabić - powtórzył Ericson po chwili. Kiedyś, na jakiejś rosyjskiej sztuce, słyszał podobny dialog. Może sztuki norweskie też są takie?

- Nie mógł pan inaczej postąpić - rzekł pierwszy kapitan tonem zdecydowanym, a tamci kiwnęli głowami.

- Tak - odezwał się drugi, trzeci zaś rzekł:

- Skol! - i wypił swoją szklankę do dna.

- Może i tak - zgodził się Ericson. - Ale tamci nie wyglądali z tego powodu ładniej, prawda?

- To wojna - stwierdził drugi kapitan.

- Skol! - zawołał znów pierwszy.

- Muszę iść umyć ręce - wycofał się trzeci.

Gdy wrócił do kabiny, Ericson nagle się ożywił.

- Myślałem, że tam był naprawdę okręt podwodny, gdyby nie to, nie byłbym tego zrobił. - Zdał sobie sprawę, że słowa te brzmią okropnie głupio i zaraz dodał: - Musiałem się na coś zdecydować. Napisałem o wszystkim w raporcie.

- Pan jest w porządku - stwierdził jeden z Norwegów.

- Ale jest o czym myśleć - odezwał się drugi.

- Oczywiście, trudno o tym nie myśleć.

- Na myśli jest dżyn - oznajmił pierwszy kapitan z nieubłaganą logiką.

- Skol! - zawołał Ericson.

Trwało to jeszcze bardzo długo. Nie było mu ani lepiej, ani też gorzej niż przedtem.

Kiedy trzech Norwegowie już sobie poszli, Ericson nie doznał ulgi. Po prostu sięgnął znów po butelkę. Święta prawda, na myśli jest tylko dżyn.

W jakiś czas po północy odnalazł go Lockhart. Stał przechylony przez reling w pobliżu swej kabiny, wpatrywał się w wodę i bełkotał coś niewyraźnie. Sam Lockhart, chociaż nie wypił tak dużo, czuł się niewiele lepiej, jeśli chodzi o własne, osobiste myśli. Wieczorem zszedł na ląd z kapitanem Ramsayem, by odprowadzić go do kwatery w pobliskich koszarach marynarki. Szli przez ulice smutni i milczący wśród tłumu kipiącego weselem, które odbijało się od twardej skorupy ich nieczułości. Rozstali się niemal jak obcy. Kiedy wrócił na okręt, nie mógł się zdecydować na zejście do pomieszczeń. Miał nerwy rozklekotane, jak wszyscy na *Compass Rose*, i był zanadto zmordowany, by odpocząć. Zbyt wiele myśli kłębiło mu się w głowie, aby mógł usnąć.

Włączył się tedy po okręcie, a gdy doszedł do końca stalowego pokładu, zobaczył Ericsona przewieszzonego przez reling gestem poddania i klęski. Zatem był na okręcie ktoś, kto czuł się jeszcze

gorzej niż on. Gdy Lockhart podszedł bliżej, wysoka, masywna postać poruszyła się i obróciła ku niemu.

- Czy dobrze się pan czuje, panie kapitanie? - zapytał Lockhart.

- Nie - odparł tamten natychmiast. - Przed panem nie mam zamiaru ukrywać, że czuję się źle.

Głos miał schrypnięty i niewyraźny. Lockhart nigdy nie słyszał go mówiącego w ten sposób i chociaż przez dwa lata obcowali z sobą tak blisko, daremnie usiłował rozpoznać w tym rozbitym głosie dobrze mu znany ton pewności siebie.

Porucznik podszedł zupełnie blisko i także wsparł się o reling. Stali przy burcie przeciwnej do nabrzeża. Przed nimi rozciągał się port, oświetlony widmowym blaskiem księżyca. Od strony dziobu majaczył czarny cień lotniskowca Ark Royal, ich najbliższego sąsiada; w tyle, za rufą, piętrzyła się wyniosła Skala Gibraltarska, przystań, do której dążyli przez wiele dni i nocy. Nad *Compass Rose*, spoczywającą po przegranym rejsie, wisiała ołowiana cisza.

- Musi pan zapomnieć o tym wszystkim - odezwał się Lockhart zapominając o barierze rezerwy, która ich zawsze dzieliła. - Nie ma sensu zamartwiać się tym teraz. Nie może pan tego odmienić.

- To był okręt podwodny! - wrzasnął Ericson z wściekłością. Był zupełnie pijany. - Niech mnie diabli, jeśli było inaczej... Wszystko napisałem w raporcie.

- W każdym razie to moja wina. Ja rozpoznałem okręt podwodny. Jeżeli można mówić o zamordowaniu tych ludzi, to ja ich zamordowałem.

Ericson patrzył na niego. Nie do wiary! Miał w oczach łzy, lśniące niby diamenty zawieszone na rzęsach maski. Te łzy zdradzały zarazem jego słabość i męskość w chwili nagiego wyznania. Lockhart patrzył na nie zdumiony i przejęty współczuciem. Jakże go wzruszała ta twarz, blada i umęczona, jaką otuchę niosły po strasznej udręce błyszczące łzy tego

mocnego człowieka. Chciał coś powiedzieć, chciał ubiec Ericsona, oszczędzić mu dalszego obnażania. Lecz tamten położył mu nagle rękę na ramieniu i powiedział niemalże swoim zwykłym głosem:

- Nikt ich nie zamordował... To wojna, to ta cholerna wojna. Po prostu musimy robić takie rzeczy, a po wszystkim możemy tylko odmówić pacierz... Piłeś pan, poruczniku?

- Tak, panie kapitanie. Dużo piłem.

- Ja także... Pierwszy raz od początku wojny. No, dobranoc.

I nie czekając na odpowiedź skierował się niepewnie do swej kabiny. Po chwili rozległo się głuchoe stuknięcie. Lockhart wszedł do kabiny. Ericson leżał na ziemi z twarzą zagrzebaną w fotelu, nie wiedząc już nic o bożym świecie.

- Panie kapitanie - próbował Lockhart przemówić do niego oficjalnie - powinien pan się położyć.

Nie było żadnej odpowiedzi, oprócz ciężkiego oddechu Ericsona.

- Biedne chłopisko! - mruknął Lockhart ni to do siebie, ni to do rozciągniętej u jego stóp postaci. - Biedaku, dobrze ci się dostało, prawda?

Zastanowił się, jak tu ściągnąć z dowódcy ubranie i zapakować go do koi. Wiedział, że w żaden sposób nie poradzi, nie udźwignie bezwładnej masy stu kilogramów. Począł więc obracać i podciągać ciało śpiącego, układając je wygodnie w fotelu. Pogadywał sobie przy tym zajęciu.

- Nie mogę cię wpakować do łóżka, kochany mój, drogi dowódco, ale mogę urządzić cię na noc przytulnie. A co to będzie za ból głowy, gdy się obudzisz! Nie daj Boże! Nie chciałbym stanąć jutro przed tobą jako podsądny. A teraz wyprostuj nogi, ot tak. - Rozluźnił krawat, rozpiął kołnierzyk, popatrzył jeszcze przez chwilę na leżącego spokojnie i zwrócił się ku drzwiom. -

Tylko tyle mogę dla ciebie zrobić - zatrzymał się z ręką na wyłączniku. - A chciałbym więcej, chciałbym móc cię naprawdę uleczyć... - Przekręcił światło. - Tak, Ericson, pijany czy trzeźwy, jesteś zawsze wspaniały.

Był już jedną nogą za drzwiami, gdy usłyszał za sobą głos dowódcy, niewyraźny i senny:

- Poruczniku... Wszystko słyszałem.

- Nic nie szkodzi, panie kapitanie - odparł Lockhart bez cienia zakłopotania. - Mówiłem prawdę. Dobranoc panu.

Gdy wyszedł, otoczyła go cisza. Zszedł na dół i pusta mesa oficerska także przywitała go ciszą. Od góry do dołu i od końca do końca umęczona korweta spoczywała w objęciach snu, ufna, że zdoła zapomnieć o okrutnej przeszłości. Lockhart zastanowił się chwilę nad tą przeszłością i nad swoją w niej winą. Potem otworzył bufet, wyjął butelkę i szklankę i naśladując przykład, który wydawał mu się teraz godny naśladowania, urzynał się do nieprzytomności.

8.

Morell siedział wygodnie na balkonie wiszącym nad główną ulicą Gibraltaru i z powagą popijał sherry z wysokiego kielicha. Był to napój marki Tio Pepe, o pięknej, bladej barwie i tak wytrawnym smaku, że czuć go na języku było rozkoszą i zaszczytem.

W dole, w wąwozie ulicy, tłum gęstniał, w miarę jak marynarze z niezliczonych statków stojących w porcie schodzili na ląd. Tyle tu było rzeczy nowych! W sklepach pełno jedwabnych pończoch i perfum, pojazdy zwane gharry przeciskają się wzdłuż wąskich uliczek, a wietrzyk szarpie swawolnie ich baldachimy. Kawiarnie

i piwiarnie wabią nieustającą muzyką i śmiechem. Wszystko ich tu bawiło, bo wszystko było częścią nowej przystani w ich tułaczce. Zawsze cieszyli się na Gibraltar, a ludzie z *Compass Rose* znaleźli tu tym razem balsam kojący ból klęski, potwierdzenie ich cudownego ocalenia z koszarnej przygody. Morell, jak wszyscy inni, całą duszą cieszył się nowym otoczeniem. Po siedmiu dniach pobytu w tym mieście blask słońca i wspaniałe lenistwo w białym, tropikalnym ubiorze, pływackie wyprawy na wschodnią stronę potężnej Skały i nieznajome twarze na ulicach, urok poznawania obcego portu - wszystko to nie straciło dla niego nic z pierwotnego czaru. Niewiele można było powiedzieć dobrego o ostatnim rejsie, jeśli jednak miał człowiek tę odrobinę szczęścia i wyszedł z niego żywy, zamiast zostać gdzieś na dnie oceanu jak prawie cała załoga *Sorrel*, to w Gibraltarze było szczególnie miło czuć się żywym.

Zauważyli, że otacza ich specjalna atmosfera. Pogłoski o okrutnych cięgach, jakich doznał ten konwój, rozeszły się szybko wśród personelu bazy. Wystarczyło wspomnieć w kantine na lądzie: „Byłem w konwoju AG 93”, żeby zaległa cisza pełna czujnego napięcia, żeby wszystkie spojrzenia zwróciły się z zaciekawieniem na tego jednego człowieka. Konwój AG 93 miał już swoją legendę. Ktokolwiek brał w nim udział, musiał - według wszelkich prawideł - albo być całkiem wykończony na ciele i umyśle, albo w ogóle być na tamtym świecie. Mimo wszystko, zdobycie choćby tak wątpliwej sławy nie było bez znaczenia w porcie odgrywającym kluczową rolę w przebiegu wojny. Wszakże tu właśnie bazowały wielkie okręty zdobywające światową sławę w nagrodę za męstwo i odwagę.

Taki na przykład *Arc Royal*, stojący w porcie bezpośrednio przed nimi. Stromizna jego dziobu wspinała się w górę, niby nawisła skała, aż po rozległy pokład samolotów, wieńczący jego kadłub. Potężny lotniskowiec był najzacieklej ściganym okrętem

na siedmiu morzach świata, był wytęsknionym celem bomb i torped, a także tematem chętnych łgarstw nieprzyjaciela. Wraz z nim stał tu krążownik liniowy *Renown* i reszta „Siły H”, sławnej eskadry okrętów, które wyrąbywały drogę dla konwojów zdążających na Malte, walcząc z zaciętym przeciwnikiem i znalazły przy tej okazji czas, by zagnać *Bismarcka* w otchłań śmierci o tysiąc mil dalej na północ. Obok nich roilo się w porcie od mniejszych okrętów - flotylle niszczycieli, wiele trałowców i kilka okrętów podwodnych, nękających statki żeglugi przybrzeżnej w zachodniej części Morza Śródziemnego. Po przeciwnej stronie zatoki, w Algeciras, szpiegował ich nieprzyjaciel, korzystający z wygodnego schronienia pod skrzydłem Hiszpanii. Taki był bowiem wkład tego kraju w zwycięstwo. Hen, na wschodzie, Kreta i Grecja jęczały w szponach krwiożerczego najeźdźcy. Ponad tym wszystkim czuwała legendarna Skała, niedostępny labirynt tuneli i wyciągów, niewyczerpany skład amunicji, zaopatrzenia i armat. Trzymała cieśninę za gardło i tym samym śmiertelnym uchwytem panowała nad tysiącem mil kwadratowych oceanu.

Morell zażądał, by mu podano jeszcze jeden kieliszek sherry, i siedział dalej w miłym, rozkosznym zakamarku fortecy, patrząc jak słońce zachodzi i jak się wydłużają wieczorne cienie. Popijał wytworny trunek w nastroju całkowitego zadowolenia. Wtem dały się słyszeć niewyraźne krzyki i odgłos bójki z pobliskiej kawiarni. Nie chciało mu się ruszyć, by wyrzeć na ulicę przez poręcz balkonu; zresztą nie był wcale ciekaw znaczenia tych hałasów. Gdyby marynarz z *Compass Rose* miał znaleźć się w opałach, dowie się o tym na pewno jutro rano.

Jeśli zaś to kto inny, niechaj się rzną choćby potłuczonymi butelkami - on palcem nie kiwnie, by temu przeszkodzić. Niczego nie pragnął więcej niż tej chwili - żadnych silniejszych wrażeń, żadnych komplikacji ani anioła stróża na ścieżce losu. Mieli już

swoją porcję udreki i wyszli z niej cało. Dobrze, och, bardzo dobrze jest zaznać nareszcie spokoju!

9.

Szóstego dnia w rejsie powrotnym do kraju, jakoś pod koniec przedpołudniowej wachty, bosman Watts wyszedł na pomost z zafrasowaną miną. Dotychczas wszystko szło gładko z tym konwojem - nie szpiegował ich żaden samolot, nie było wiadomości o okrętach podwodnych zaczajonych na szlaku, nie zdarzyła się żadna tragedia. Jakże przyjemna odmiana... Lecz teraz zanosilo się na to, że przestanie wszystko iść gładko, i właśnie on musiał oznajmić tę nowinę.

- Panie kapitanie!

Watts stanął w głębi pomostu i w zakłopotaniu przestępował z nogi na nogę na białym poszyciu z desek. Starał się, jeśli to było możliwe, nie przychodzić na pomost, bo czuł się tu dziwnie nie na miejscu. Jego właściwe miejsce było w maszynowni, trzy piętra niżej, wśród rurociągów i rozmaitych przyrządów pomiarowych, na których znał się tak dobrze. Te różne faramuszkę na otwartym powietrzu - marynarze na oku i flagi sygnałowe, i woda, woda ze wszystkich stron - nie, to nie dla niego. W wytłuszczonych butach z brezentu i kombinezonie wyglądał dziwacznie przy tych tutaj - wystrojonych w szykowne morskie buty i płaszczy na podpince. Ericson przygotowywał się właśnie do sprawdzenia pozycji w południe, a zarazem rozkoszował się ciepłymi promieniami słońca. Odwrócił się na głos bosmana:

- No, cóż tam, szefie? Coś niedobrego?

- Chyba że tak, panie kapitanie. - Watts postąpił dwa kroki i wytarł dłonie w kombinezon. Ziemista, pofałdowana twarz miała

wyraz strapienia. - Jedno łożysko nie podoba mi się. Grzeje się bardzo, prawie do czerwoności. Wypadnie odstawić maszynę i zajrzeć do środka.

- Łożysko wału głównego?

Ericson zdawał sobie sprawę, że jego znajomość maszynowni, chociaż wystarczająca w normalnych warunkach, nie obejmuje jednak wszystkich technicznych subtelności, a chciał wiedzieć, jak stoją sprawy.

- Tak, panie kapitanie. Wygląda na to, że zatkał się przewód smarowy.

- Może wystarczy zmniejszyć obroty? Wolałbym nie zatrzymywać okrętu, jeśli tylko poradzicie sobie bez tego.

Watts energicznie potrząsnął głową.

- Jeżeli wał będzie się dalej obracał, to się zatnie. Trzeba zatrzymać maszynę, muszę sprawdzić kanały olejowe aż do głównego przewodu. Niełatwo tam się dostać, bo to łożysko rufowe, zaraz przy grodzi.

Ericson zmarszczył w skupieniu czoło, usiłując odtworzyć prawdziwy stan rzeczy z dość niewyraźnych pojęć. Sprawa wydawała się jasna. Jeśli się grzeje główne łożysko, to znaczy, że brak mu oleju. A jeśli potrwa to dłużej, tak że metal osiągnie temperaturę topnienia, to stopią się panewki i łoża, a wał się zatrze. W porównaniu z innymi historiami był to śmiesznie prosty kawałek z misteriów mechaniki. Szukał przez chwilę innego wyjścia z sytuacji, rozumiał jednak, że było tylko to jedno. Tak więc będą zmuszeni uczynić rzecz najmniej wskazaną w wojnie morskiej - zatrzymać się wśród oceanu i odstawić maszynę.

- Więc dobrze, szefie - rzekł Ericson decydując się na to. - Nadam sygnał, a potem dam znać telegrafem, żeby zatrzymać maszynę. Ale spieszcie się jak najbardziej.

- Będę się spieszył, panie kapitanie.

Mieli kontakt wzrokowy z *Viperous*, który chodził szerokim zygakiem przed konwojem. Odpowiedź na sygnał *Compass Rose* brzmiała lakonicznie:

- Działajcie samodzielnie. Dawajcie o sobie znać.

- Potwierdzić! - rzucił Ericson do Rose'a, który miał wachtę. Dał rozkaz do sterówki:

- Prawo dziesięć! Maszyna stop!

Compass Rose odsunęła się szerokim łukiem od konwoju i tracąc stopniowo szybkość, w końcu zatrzymała się.

W milczeniu stali na pomoście, gdy mijał ich konwój. Korweta idąca w tyle zmieniła kurs, by przejść tuż obok jak ciekawy terier, który nie wie, czy ma zamerdać ogonem, czy też zaszczekać. Na dole, w maszynowni, Watts ze starszym maszynistą Graceyem zabrali się do dzieła. Badali doprowadzenie oleju. Dostęp do ciasnego kąta przy grodzi był rzeczywiście trudny. Szukając zatkanego miejsca, musieli wybrać spośród dziesiątków przewodów najbardziej podejrzany i rozmontować go na części, by móc ustalić, który odcinek jest zatkany. W maszynowni było bardzo gorąco. Zgięci we dwoje, macali złącza z przeciwnych końców rurociągu, bo ciasnota nie pozwalała im stanąć obok siebie. Przed odłączeniem poszczególnych odcinków musieli zluźnić i wymontować odcinki innych rurociągów. Dopiero po dwóch godzinach udało im się ustalić miejsce - prostokątne kolanko, prawdopodobnie zatkanie całkowicie.

Watts odsunął się i wyprostował ramiona. Trzymał w rękę wygiętą rurkę, a drugą ręką ocierał pot z czoła.

- A teraz co? - zadał retoryczne pytanie. - Jak tu poznać, co siedzi w środku?

- Najlepiej possać i zobaczyć, co z tego wyjdzie - odparł Gracey, cieszący się sławą kawalarza w pomieszczeniach załogi.

- Podaj kawałek drutu - zgasił go Watts. Szef maszyny pozwalał niektórym ludziom na żarty, ale nie starszym maszynistom. - Nie za gruby... Pójdę zameldować dowódcy.

Pracowali jeszcze przez dwie godziny, ale nie posunęli się ani o krok naprzód. To, co siedziało w rurce, musiało w niej mocno ugrzęznąć. Nie dało się tego wydymuchać ani przepchnąć, ani roztopić czy też rozkruszyć na kawałki. Ericson stał na pomoście obezwładnionego okrętu i ledwie hamował niecierpliwość. Miał ochotę zbiec na dół i huknąć na nich, żeby przestali się próżniaczyć i skończyli raz wreszcie z tą robotą. Wiedział, że to nie miało celu, a poza tym byłoby niesprawiedliwe. Watts robił przecież, co mógł. Nikt inny na okręcie nie potrafiłby lepiej. O czwartej, gdy ostatnie statki konwoju znikły za horyzontem, Ericson nadał do *Viperous* sygnał radiowy, wyjaśniający sytuację. Nie było żadnej odpowiedzi prócz potwierdzenia sygnału. Najwidoczniej *Viperous* ufał, że zrobią wszystko co możliwe, by przyspieszyć naprawę i dołączyć z powrotem do konwoju.

Wciśnięty w mroczny kąt na pomoście, patrzył na ciemną, gładką wodę, odbijającą chmurne niebo. Za jego plecami Ferraby i Baker, oficerowie wachtowi, pokazywali sobie od niechcienia rozebrane na części działko przeciwlotnicze typu Hotchkiss, przy którym krzątał się jeden z artylerzystów. Czujny asdic trząsał i gwizdał monotonnie, antena radarowa obserwowała niewidzialny horyzont. Marynarze na oku podnosili od czasu do czasu lornetki i omiatali nimi każdy swój sektor - do przodu, w tył, i znów do przodu. *Compass Rose* stała zupełnie nieruchomo. Bandera zwisała martwo, a cień korwety na wodzie ani drgnął, nie zmieniając zarysu. *Compass Rose* trwała w oczekiwaniu. Czekala na ruszenie maszyny i na to, co mogło ją spotkać niespodziewanie, bez żadnej możliwości obrony. Kto wie, co się ukrywa pod powierzchnią ciemnego morza, kto wie, jakie złowieszcze oko śledzi ich w tej chwili? Ciężkie, pełne napięcia

milczenie kłębiło się od tych myśli, a cóż można im było przeciwstawić oprócz nadziei, że kiedyś ruszą z miejsca?

Na rufie kilku marynarzy łowiło ryby. Gdyby im kto powiedział, że łowią w wodzie głębokiej na dwa tysiące metrów - a przecież tak właśnie było! - nie zaniechaliby chyba swego zajęcia. Bo w takiej chwili łowienie ryb, choćby na przynętę z okruszyn chleba zawieszoną na dwa tysiące metrów ponad dnem morskim, było lepsze niż zupełna bezczynność.

Bosman Watts powziął wreszcie decyzję. Powodowała ona dalszą poważną zwłokę i groziła zepsuciem wszystkiego bez możliwości naprawy. Ale nie miał wyboru.

- Musimy rozpiłować tę rurkę - rzekł do Graceya po którymś z rzędu daremnym ataku na upartą przeszkodę. - Kawalek po kawałku, aż znajdziemy ten korek.

- A potem?

- Wyjmiemy go i zlutujemy wszystko z powrotem.

- Całą noc diabli wezmą, jak się w to zababrzemy - mruknął Gracey niechętnie.

- A jak się nie zababrzemy, to całą wojnę diabli wezmą - odpalił Watts. - Znajdź mi piłkę, a ja zamelduję dowódcy.

Bosman Watts stał właśnie na pomoście, gdy *Viperous* znów się pojawił. Było około piątej po południu. Niszczyciel szedł od północnego zachodu. Wielki reflektor sygnałowy zaczął migotać, ledwie okręt wychynał zza horyzontu. Chciał wiedzieć wszystko - jak wygląda naprawa, jakie są szanse wyruszenia znów w drogę i czy nie mieli podejrzanych kontaktów, czy nie widzieli jakiegoś samolotu w czasie swego postoju. Po naradzie z bosmanem Ericson odpowiedział, jak potrafił najlepiej: umiejscowili już zatkanie i prawie na pewno będą je mogli usunąć, ale zejdzie przy tej robocie większa część nocy.

Viperous zatrzymał się, gdy tylko nawiązali ze sobą łączność i w czasie wymiany sygnałów krążył leniwie w odległości dziesięciu mil od korwety. Nastąpiła przerwa w sygnałach, po czym niszczyciel nadał: „Niestety, nie możemy dać wam na noc eskorty”. „Oczywiście, w porządku” - odpowiedział Ericson sygnałem. - „Będziemy spali sami”. - Dodał te słowa na wypadek, gdyby *Viperous* martwił się tą historią. Zupełnie zrozumiałe, że nie można na noc pozbawiać konwoju aż dwóch eskortowców. Nie mogło być zastrzeżeń co do słuszności tej decyzji.

Znowu zamilkły światła sygnałowe. *Viperous* już się obracał na północny zachód. Zwrócony do nich rufą, nadał ostatni sygnał: „Życzę wam szczęścia”. - I zaczął się oddalać. Był już na granicy zasięgu widoczności, gdy jeszcze raz zamigotał reflektor: „Dobranoc, Kopciuszkule!”.

„Dobranoc, kochany starszy braciszku!” - dyktował Ericson Rose’owi. Ale wycofał ten sygnał, zanim Rose zaczął nadawać. Dowódca *Viperous* był starszy od niego stopniem właśnie o tę drobnostkę, dla której powstrzymał się od żartu.

Naprawa wprawdzie nie trwała całą noc, ale i tak ciężkie to były godziny. Watts osiem razy przecinał przewód olejowy, nim znalazł zatkane miejsce. Samo zgięcie kolanka zapchane było tamponem z pakułów, które zbiły się i stwardniały, tworząc masywny korek. Przez pół godziny Watts wściekał się i wymyślał, łamiąc sobie głowę, w jaki sposób pakuły mogły się dostać do rurki. A maszynista Gracey i cała załoga maszynowni zastanawiali się w tym czasie nad zagadnieniem dyscypliny w marynarce wojennej. Nie było jednak chwili do stracenia, toteż - szalejąc i ciskając na wszystkie strony pytaniami - Watts równocześnie uwijał się z robotą, lutował rozpiłowane odcinki

rury i przywracał całości pierwotną długość i wygięcie. Rezultat jego trudów nie wyglądał wcale zachęcająco. W pewnym momencie odcinek rurki stopił się w płomieniu lampy lutowniczej na masywny kawałek, opóźniając całą robotę i grożąc ostatecznym niepowodzeniem. W końcu jednak całe kolanko zostało oczyszczone i wygładzone, tak że mogli się zabrać do wmontowania go na miejsce.

Tymczasem zapadł zmierzch, a jego śladem wkrótce noc zstąpiła na morze. Zastosowali wszelkie możliwe środki, by ukryć swą obecność. Lockhart obszedł dokoła górny pokład trzy albo cztery razy, by się upewnić, że okręt jest dobrze zaciemniony, że najmniejszy promyczek światła nie może ich zdradzić. Odbiorniki radiowe w mesie oficerskiej i w pomieszczeniach dziobowych zostały wyłączone, a załodze surowo zakazano niepotrzebnych hałasów. Łodzie ratunkowe na wychylonych żurawikach gotowe były do spuszczenia. Odmocowano i tratwy, na wypadek - jak się wyraził Tallow z makabrycznym humorem - gdyby musieli zdecydować się na wyścig pływacki.

- A niech mi który zacznie hałasować po nocy - zagroził marynarzom pracującym na górnym pokładzie - krawat sobie zrobię z flaków takiego hycła.

Sytuacja, w jakiej się teraz znaleźli, była o wiele groźniejsza niż jakikolwiek poprzedni postój czy mitręga, tym razem bowiem byli zupełnie bezbronni. Gdyby torpeda przeszła pod brzuchem korwety, mogliby tylko zawołać: „Do widzenia!” i czekać na następną. Godziny ciekły, a napięcie stawało się nieznośne. Właśnie tu, na tym kawałku morza, iluż ludzi znalazło śmierć w poprzednim rejsie! Teraz oni tu siedzą jak kaczka tknięta paraliżem i czekają na cios torpedy.

Nie mogli przecież robić nic innego, jak tylko czekać. Wachta mijала za wachtą. Marynarze na czubkach palców zdążali na stanowiska, zamiast - jak zwykle - tłuc się po pokładzie i łomotać

butami po trapach. *Compass Rose* wciąż trwała w bezruchu. Od czasu do czasu ciemna woda mlasnęła o burtę. Błyszczący sierp księżyca wisiał na niebie ponad bezkresnym Atlantykiem i oświetlał krajobraz ich przygody. Nerwy ludzi na całym okręcie były jednakowo napięte. Wszyscy jednakowo nie ufali przyszłości i przeklinali maszynistów. To oni dopuścili do tego, że maszyna się zatkała, a teraz wałkonia się i tylko udają, że coś robią. Lockhart miał zamiar zająć jakąś konkretną robotą wachtowych na pokładzie i wszystkich wolnych marynarzy, aby odwrócić ich uwagę od bezpośredniego zagrożenia. Ale wszystko, o czym pomyślał - czy to ćwiczebny alarm przeciwpożarowy, czy opuszczanie łodzi do linii wodnej - nie mogło obejść się bez hałasu i zapewne bez świecenia latarek na górnym pokładzie. W końcu zaniechał swego zamiaru i dał im spokój. Czekanie w bezczynności było wyczerpujące nerwowo, lecz ryzyko towarzyszące każdemu działaniu mogło okazać się o wiele gorsze.

Ericson spędził ten czas na pomoście. W tej sytuacji tam było jego stanowisko i on sam nie wybrałby innego. Marynarze na oku zmieniali się co pół godziny. Od czasu do czasu przynoszono kakao z mesy oficerskiej. Asdic i radar trzymały nieustającą wachtę. Ericson przewyciężał szaloną niecierpliwość i nie ruszał się z miejsca. Niby nieszczęsny wódz wagabundów tkwił jak na tronie na pomoście bezużytecznego okrętu. Patrzył na wodę, na horyzont, czasem na jasny księżyc, którego nie zasłaniała żadna chmurka. Rzucił okiem na cienie ludzkie zgromadzone na górnym pokładzie, czekające w milczeniu przy działach i łodziach zamiast iść spać do pomieszczeń. To było coś nowego na *Compass Rose*. Nie mógł ich jednak winić za ostrożność, nie mógł potępiać za strach.

Tuż obok siebie miał wymowny przykład nerwowego napięcia i niepokoju. Od czasu gdy okręt się zatrzymał, Ferraby nie zszedł na dół, a teraz, opatulony kocem, leżał na skrzydle pomostu.

Zwrócony twarzą do góry, trzymał ręce splecione pod głową. Nadmuchany pas ratunkowy wzdymał mu się na piersi niby obfity biust kobiecy. Leżał tu od północy, odkąd zszedł z wachty, i przez ten czas nawet się nie poruszył, nie zmienił pozycji. Ericson myślał, że podporucznik drzemie. Lecz w pewnej chwili, obchodząc pomost dookoła, zauważył, że Ferraby ma oczy otwarte i wpatruje się w niebo. Na skroniach lśniły kropelki potu. Daleko mu było do snu... Ericson zatrzymał się w swej wędrówce i spojrzał w bladą twarz młodego oficera.

- Jak się pan czuje, poruczniku? - zapytał swobodnym tonem.

Nie było odpowiedzi ani żadnego znaku, że słowa jego zostały usłyszane. Ericson nie upierał się przy swym pytaniu. W tej sytuacji nie należało zwracać uwagi na ludzkie reakcje. Trzeba było patrzeć przez palce i milczeć. Już od dwunastu godzin okręt tkwił w miejscu - nieruchomy, bezbronny cel dla wroga. Mieli świeżo w pamięci *Sorrel*, a *Sorrel* zatonała właśnie w tym miejscu. Cóż dziwnego, że tu i ówdzie nerwy, napięte do ostatnich granic w wysiłku przetrwania, drgały, odskakiwały jak struna.

Nie mówiąc już nic więcej, wrócił na przednią część pomostu i usiadł na swym krześle. Ferraby nie mógł odpowiadać za to, co się z nim działo. Nie można go było potępiać za nadmierną wrażliwość, tak samo jak nie można potępiać noworodka za to, że waży dwa kilogramy zamiast trzech. Łono wojny wydało go na świat właśnie takiego. Jednakże gdzieś głęboko, w podświadomości, Ericson czuł dziwną zazdrość. Myślał ze złością, jaka to musi być ulga móc rozluźnić twardy pancerz opanowania, odrzucić maskę autorytetu i pokazać, choćby całemu światu, własne zmęczenie i strach. Gibraltar - przypomniał sobie nagle. - Załamałem się wtedy i Lockhart to widział. Ale to był alkohol. Alkohol i straszna wino, nic poza tym. To się nie może powtórzyć, nie może powtórzyć się teraz... Czekając w ciemności,

patrzac, jak morze marszczy się drobną falą w smudze księżyca, powoli tężał w sobie.

Raz tylko w ciągu nocy ich nieskończone czuwanie zostało zakłócone nagłym alarmem. Wystraszyli się bardzo. Zaraz po zmianie wacht, a więc po dwunastej, zapadła głucha cisza, ożywiona tylko szelestem wody chlupoczącej o burtę. Wtem wdarło się w tę ciszę gwałtowne łomotanie dolatujące z dołu. Seria uderzeń rozlegała się echem po całym okręcie. Poderwali się czujnie, jeden spoglądał na drugiego, szukając otuchy w twarzy przyjaciela. Po cichu klęli maszynistów, bo przez nich zbudziły się na nowo strach i nienawiść. Ten łomot można było usłyszeć na wiele mil dokoła. Ericson zwrócił się do Morella, który przed chwilą przejął wachtę.

- Zejdź pan na dół do Wattsa - rozkazał ostro. - Niech przestanie natychmiast hałasować albo niech to jakoś przygłuszy. Powiedz pan, że nie stać nas na taką orkiestrę. - A gdy Morell miał zejść z pomostu, Ericson dodał mniej oficjalnie: - Niech mu pan powie, że torpeda trafi najsamopierw w niego.

„To święta prawda” - myślał Morell zstępując coraz niżej, do samego wnętrza okrętu. Schodząc poniżej linii wodnej, w takiej chwili jak ta, człowiek jakby świadomie układał się w trumnie. Nie mógł się oprzeć uczuciu serdecznego podziwu dla ludzi, którzy od tylu godzin pracowali cierpliwie na głębokości dziesięciu stóp pod wodą. Oczywiście, to należało do ich obowiązków, tak jak niekiedy do jego obowiązków należało sterczeć na odsłoniętym pomoście, podczas gdy samolot siekł ogniem z broni pokładowej. Jednakże w takich jak teraz warunkach robota pod pokładem była ryzykiem podejmowanym na zimno, ryzykiem, które wymagało specjalnego rodzaju wytrzymałości nerwowej. Jeśli torpeda trafi w okręt, załoga maszynowni musi natychmiast paść ofiarą. Może będą mieli dziesięć sekund na wydostanie się stamtąd, zanim woda zdąży ich

zalać. Nie można sobie wyobrazić okropniejszego końca niżli te dziesięć sekund. Wypełni je nieprzytomna walka dwunastu ludzi o dostęp do trapu, walka w ciemnościach czarniejszych od smoły. W każdym razie nie powinni tak hałasować przy robocie. Po co samemu kłaść głowę pod topór?

Gdy schodził po ostatnim, zatłuszczonym oliwą trapie do maszynowni, ustało stukanie młotka, a Watts, słysząc dźwięk kroków na stalowym poszyciu, obrócił się ku niemu.

- Pan porucznik przyszedł zobaczyć, jak się tu bawimy? Teraz to już długo nie potrwa.

- To niezła wiadomość, szefie - odparł Morell. Żadna uświęcona hierarchia marynarki wojennej nie mogła go zmusić, by zwracał się do Wattsa, który mógłby być niemal jego dziadkiem, inaczej niż tonem swobodnie przyjacielskim. - Ale, widzi pan, dowódca denerwuje się trochę tym hałasem. Nie da się jakoś ciszej?

- Już tak jakby skończone, panie poruczniku - oświadczył Watts.
- Właśnie umocowaliśmy z powrotem jedno złącze. Naprawdę słychać było stukanie na górze?

- Słychać? Na dziesięć mil wkoło wszystkie okręty podwodne powystawiały głowy. Skarżyły się, co to za hałas.

Ludzie zajęci przy naprawie przewodu parsknęli śmiechem. Tu, na dole, tylko najzabawniejszy dowcip o okrętach podwodnych mógł być jako tako zabawny. Morell powiódł wzrokiem po twarzach jaskrawo oświetlonych nie osłoniętą lampą, przymocowaną do stojaka. Na wszystkich malował się ten sam wyraz, te same kolejne warstwy stanów ducha - zmęczenie, czujne skupienie i... strach na samym dnie. Widywał ich codziennie - Watts, starszy maszynista Gracey i paru młodszych maszynistów - Binns i Spurway, których nazwiska pamiętał, bo upijali się na ładzie, praktykant maszynowy Broughton, o którym wiedział, że był katolikiem. Ale dopiero teraz ich poznawał. Wszelkie

etykiety i cechy charakteru, jakie im przedtem przypisywał, po prostu odpadły od nich, stopiły się, obnażając sam rdzeń tych ludzi, których mózgi i palce potrafią albo nie potrafią naprawić przewodu olejowego, zanim napadnie na nich wraży okręt podwodny, i których twarze odzwierciedlają tę niepewną przyszłość. Nie było w nich żadnej małostkowości, żadnych osobistych słabostek czy niezdyscyplinowania. Bo kiedy pracowali, Troska przysiadła im u ramion, a uskrzydłony rydwan Czasu ścigał się z nimi. Morell uśmiechnął się do natrętnych metafor, tak dziwnie brzmiących w jaskrawym świetle i wśród mocnych zapachów maszynowni. Ci ludzie zdawali sobie sprawę z sytuacji, a ta świadomość wypędziła z nich wszystko, prócz naglącego niepokoju, by wreszcie skończyć to, co mieli do zrobienia.

- Są jakieś wiadomości o okrętach podwodnych, panie poruczniku? - spytał po chwili Gracey.

Pochodził z Lancashire i wymawiał znienawidzone słowa: „łokręt podwodny” w sposób zabawny, odejmując im przez to okrutne żądło. „Łokręt podwodny” przestawał być złowieszczym memento, zatracił raczej jakimś kawałem z kabaretu. Nie miał w sobie groźniejszej treści niż na przykład słowo „teściowa” albo „za duża porcja flaków”. Jakie to piękne i jaka szkoda, że nieprawdziwe! - pomyślał Morell.

- Dotychczas żadnych - odpowiedział na pytanie Graceya. - A konwój także świetnie się miewa. Ale myślę, że lepiej nie sterczeć tu za długo.

Watts skinął głową.

- Na to wychodzi, że sami się prosimy o nieszczęście - mruknął pośepnie. - Jak nas tym razem nie dostaną, to już nigdy.

- Jak długo jeszcze, szefie?

- Może ze dwie godziny.

- Nigdy nie było takiej marudnej roboty - wtrącił się Gracey. - Myślałby kto, że całą maszynę mamy przefasonować.

- Jak wrócimy, to ja idę do koszar - oświadczył Broughton. - Wolę siedzieć w kotłowni w Chatham, byle nie tu.

- Kto by nie wołał? - odezwał się Spurway, najmniejszy z maszynistów i najczęściej zalewający się w pestkę. - Lepiej czyścić ustępy na nabrzeżu, piątek i świętek.

Morell pojął w tej chwili, jak strasznie byli wyczerpani nerwowo, jak bardzo wypadli ze sztywnych ram dyscypliny. Rzucił im na odchodnym:

- Szczęść Boże w pracy! - i począł wspinać się po trapie.

Na pomoście najpierw przywitały go gwiazdy, a potem ciemne morze. Chłodny wietrzyk dmuchał od czasu do czasu, uderzając pospiesznym pluskiem o burtę okrętu. Samotna wśród ciemnej nocy, *Compass Rose* przyczaiła się i czekała.

10.

O przejmującej chłodem porze między drugą a trzecią nad ranem, kiedy księżyc schował się za chmurami, a morze było czarne i niezgłębione jak żałoba, na trapie wiodącym na pomost rozległ się odgłos kroków. Tym razem kroki brzmiały inaczej - były wesołe i szybkie, już się nie ociągały. Przychodził kierownik maszyn.

- Panie kapitanie! - zawołał ku niewyraźnej postaci schylonej nad relingiem.

Ericson stał w przedniej części pomostu. Zdrętwiał z zimna od długiego czuwania, więc obrócił się sztywno.

- Tak, szefie?

- Wszystko w porządku!

- Nareszcie! - odetchnął Eriscon z wdzięcznością i rozprostował ramiona. Nareszcie mogli stąd ruszyć, wyrwać się z pechowego miejsca, ratować się ucieczką. Uczucie ulgi było bezgraniczne, zalewało go, wypełniało każdą komórkę, ciała. Chciał krzyczeć i dziękować Wattsowi, uścisnąć mu rękę, dać upust zwariowanej radości. Ale powiedział tylko:

- Dziękuję wam, szefie. Dobrzeście się spisali. - Podszedł do rury głosowej i huknął: - Sterówka!

- Tu sterówka, pomost, panie kapitanie! - odezwał się spłoszony głos sternika, wyrwanego gwałtownie z marzeń o domu.

- Zadzwońcie: „Przygotować maszynę”.

Wkrótce ruszyli w drogę. Szli na północ z dużą szybkością, goniąc za swym konwojem. Okręt rozgrzewał się i wracał do życia, i znów oddychał nadzieją. Nie musieli oglądać się za siebie. Mieli szczęście wprost niewiarygodne: nie zostawili za sobą żadnego ze swoich, nic nie oddali wrogowi.

Koło szóstej, gdy niebo zaczęło się rozjaśniać na wschodzie, radar przychwycił konwój samym brzegiem ekranu. Lockhart miał właśnie wachtę. Wpatrywał się uważnie w niewyraźny obraz - jeszcze bardzo daleki. Minie na pewno parę godzin, zanim nawiążą bezpośrednią łączność. Ale przynajmniej odnaleźli swe miejsce na mapie, nie są już sami na pustyni morza, która mogła się stać ich grobem. Zbudził dowódcę, by - zgodnie z rozkazem - oznajmić mu tę wiadomość. To podłość przerywać mu sen dla takiej zwykłej sprawy, z którą można doskonale poczekać. Lecz rozkaz był wyraźny. A zresztą może Ericson uśnie tym smaczniej, gdy się dowie, że znów mają kontakt z konwojem? Istotnie, senny pomruk, który przypląnął rurą głosową w odpowiedzi na słowa

Lockharta, zdawał się świadczyć o tym, że Ericson, jak pstrąg wyskakujący w górę z dna rzeki, zaledwie wyjrzał na powierzchnię, by przyjąć wiadomość, i że natychmiast znów da nurka w głębinę snu. Lockhart, uśmiechając się, zamknął pokrywę rury. Po takiej nocy dowódca zasłużył na spokojny sen.

Poranna wachta dobiegała końca, zbliżała się godzina ósma. Wschodnia połowa nieba była już prawie jasna, poblądło ciemne morze. Tomlinson, młodszy steward, zbierał talerze i kubki po nocnym posiłku. Przesuwał się cichutko po mokrym od rosy pokładzie, niby nowy bohater w trzecim, nieoczekiwanie radosnym akcie. Obroty maszyny zbliżały się do maksymalnej szybkości. *Compass Rose* szła pewnym kursem, orientując się na środek konwoju. Lockhart nie miał nic do roboty, więc tupał dla rozgrzewki i śledził ekran radaru, na którym obraz statków tężał w coraz wyrazistszym kształcie, w miarę jak malała odległość. Przyjemnie było patrzeć, jak zwarta plama świetlnych punkcików - znajoma i miła jak pokład pod stopami - nabiera mocy i zbliża się ku nim. Zbyt długo błakali się z dala. Teraz pragnęli nade wszystko uciec od swej samotności. Oto mieli tę plamkę, osiągalną już teraz i wyczekującą, niby rodzina, która się zebrała, by powitać wracających z podróży. Myśl Lockharta powędrowała własnymi ścieżkami. Gdy sternik i marynarze na oku zmieniali się na ostatnie pół godziny w tej wachcie, odpowiadał zupełnie machinalnie. *Compass Rose*, walcząca pierś o pierś z długą atlantycką falą, rozkołysana pod jego stopami, mogła być równie dobrze pociągiem zataczającym się na ostatniej zwrotnicy przed dworcem Euston. Na końcu peronu czeka na niego... Poderwał się na dźwięk dzwonka z kabiny radaru.

- Tu radar, pomost!

Lockhart pochylił się do rury głosowej.

- Tu pomost.

Usłyszał głos radarzysty - monotony, trochę znużony, bez śladu podniecenia:

- Złapałem małe echo na tyle konwoju. Pan porucznik widzi u siebie?

Lockhart spojrział na ekran zainstalowany tuż przy rurze głosowej. Był to dokładny odpowiednik ekranu w kabinie radarowej. Tak - przytaknął samemu sobie - to prawda. - Pomiedzy nimi a konwojem widoczne było małe, pojedyncze echo. Migalo i znowu zanikalo jak płomień świecy trzepocący na wietrze. Przyglądał mu się przez chwilę, zanim odpowiedział. Świetlisty punkcik nie był większy od łebka szpilki, lecz powracał na ekran uparcie, nieustannie. Złapali kontakt i trzeba to wyjaśnić. Znowu pochylił się do rury.

- Tak, widzę. Jak myślicie, co to takiego? - I nie czekając na odpowiedź zagadnął: - A kto przy odbiorniku?

- Tu Sellars.

„Sellars” - zastanawiał się Lockhart. - „Starszy radarzysta, dobry fachowiec, człowiek, którego warto pytać”. Powtórzył więc pytanie:

- Jak myślicie, co to takiego?

- Trudno powiedzieć, panie poruczniku - odparł Sellars. - Coś małego, ale trzyma się cały czas w tej samej odległości za konwojem.

- Może to wtórne echo?

- Coś mi się nie wydaje. - W głosie radarzysty brzmiało powątpiewanie. - Przede wszystkim, nie zgadzałby się namiar.

- No, więc może jakiś maruder wlecze się za konwojem?

- Trochę to za małe na statek. Widzi pan porucznik ten okręt na prawym skrzydle konwoju? To pewnie eskortowiec. Jest znacznie większy od tamtego!

Lockhart rzucił okiem na ekran. Tak, i to prawda. Na skraju konwoju, odsunięte od niego w prawo, widoczne było pojedyncze echo, oznaczające najpewniej korwetę. Było istotnie znacznie większe od tajemniczej świetlnej plamki. Zawahał się - czy zameldować dowódcy o nowym echu, czy raczej nie budzić go dla byle powodu ze snu, na który tak ciężko zarobił? Mogło być dziesięć wytłumaczeń dla tego echa, a wszystkie niewinne. Może był to po prostu błąd samego radaru, który nie wyrósł jeszcze z okresu dziecięcych chorób? Mógł to być także statek z konwoju, mimo że wielkość echa nie przemawiała za tym przypuszczeniem. Wreszcie niewykluczone, że była to ulewa. A może... może było to coś, co naprawdę pragnęli ujrzeć? Jeszcze przez dwie minuty wpatrywał się w echo, zaostrzające się nieco i jak poprzednio zachowujące stałą odległość od konwoju. W końcu rzekł do Sellarsa:

- Uważajcie na ekran!

Sam, choć niechętnie, podszedł do rury głosowej łączącej z kabiną dowódcy i nacisnął dzwonek.

Ericson wylazł na pomost przecierając oczy palcami i masując zdrętwiały od snu policzek. Nie był w najlepszym humorze. Spał zaledwie cztery godziny, a i to zbudzili go pierwszym meldunkiem o konwoju. Teraz znów go wyrwano ze snu tylko dlatego (jak mówił sobie w duchu), że jakaś wściekła mewa usiadła na radarowej antenie, a zastępca dowódcy nie miał dosyć oleju w głowie, żeby ją spędzić. Nie był to najprzyjemniejszy sposób przywitania pięknego ranka. Gdy Lockhart pokazał mu echo na ekranie i wyjaśnił, jakim uległo zmianom, Ericson mruknął coś niewyraźnie, potem zaś, podnosząc wzrok od ekranu, oznajmił krótko:

- Przypuszczalnie maruder.

- Jest znacznie mniejszy od wszystkich innych statków, panie kapitanie - zaryzykował Lockhart.

Uznawał prawo dowódcy do złego humoru o tej ранnej godzinie i liczył się z tym, gdy postanowił go zbudzić, teraz zaś chciał usprawiedliwić ten alarm. Wskazał palcem na ekran.

- To tutaj, to jest eskortowiec na tyle konwoju, tak mi się zdaje. A to „coś” jest w odległości co najmniej dziesięciu mil za nim.

- Hm... - mruknął znów Ericson. - Kto trzyma wachtę przy radarze? - spytał idąc śladami myśli Lockharta.

- Sellars.

Ericson schylił się nad rurą głosową i gruntownie odchrząknął, nim zaczął mówić:

- Radar!

- Tu radar, pomost - odezwał się Sellars.

- No, co z tym echem?

- Jest ciągle na ekranie. - Podał odległość i namiar. - To znaczy, jakieś dziesięć mil w tyle za ostatnim statkiem konwoju.

- Odbiornik nie nawala?

- Nie, panie kapitanie - odparł Sellars porywczo. O godzinie za dziesięć ósma, w chłodny, przejmujący poranek nie miał zamiaru godzić się na takie zarzuty, choćby ze strony niewyspanego dowódcy. - Odbiornik jest w porządku.

- Widzieliście już kiedy takie echo?

Chwila milczenia.

- Chyba nie, panie kapitanie. Mniej więcej takie echo może dać pława albo mały stateczek.

- Może to jakiś trawler albo lugier?

- Nie, jeszcze mniejsze. Prędzej łódź ratunkowa.

- Hm... - Ericson znów zapatrzył się w ekran.

Obserwując go, Lockhart uśmiechnął się dyskretnie. Widać było, że zły humor dowódcy toczy z góry przegraną bitwę z jego uznaniem dla fachowości Sellarsa. Za nimi marynarze wachtowi i Baker, który właśnie się zjawił, by przejąć służbę, przyglądali się także dowódcy, czekając w czujnej gotowości na jego decyzję. Mimo to decyzja Ericsona zaskoczyła ich wszystkich.

- Alarm, na stanowiska bojowe! - rzekł i wyprostował się szybko. Po czym tym samym ostrym tonem dał rozkaz do sterówki: - Cała naprzód! Dziesięć stopni w prawo od kursu!

Lockhart otworzył usta, by coś powiedzieć, i zamknął je czym prędzej nie powiedziawszy ani słowa. Pod wpływem zaskoczenia o mały włos nie palnął kolosalnego głupstwa, o mało nie zapytał: „Czy pan naprawdę myśli, że to okręt podwodny?” Ostry, nieustający dźwięk alarmowych klaksonów we wszystkich częściach okrętu i łomot ciężkich butów na pokładach oraz na trapach były najlepszą odpowiedzią na głupie pytanie. Stojąc przy rurach głosowych przyjmował i potwierdzał raporty z różnych stanowisk. Czuł przy tym silniejsze podniecenie niż normalnie w takich okolicznościach. Znał już na pamięć, do znudzenia, całą procedurę alarmu. Robili to - na niby albo naprawdę - w ciągu długich dwóch lat. Ale tym razem... kto wie, może tym razem jest w tym istotnie coś niezwykłego.

Jeden po drugim, różne głosy pobudzały na nowo jego czujność.

Ferraby meldował z rufy:

- Obsługa bomb głębinowych gotowa!

Morell z pokładu dziobowego:

- Obsługa działa gotowa!

Baker ze śródokręcia:

- Obsługa czterdziestkisiódemki gotowa!

Bosman Watts meldował z głębokości:

- Tu stanowisko bojowe w maszynowni!

A Tallow ze sterówki:

- Sternik przy kole!

Lockhart powiódł szybkim spojrzeniem dookoła, ku rufie, ku dziobowi - chciał wszystko sprawdzić ostatecznie dla własnego spokoju. Marynarze na oku byli na swoich stanowiskach przy działkach przeciwlotniczych. Wells stał przy dużej lampie sygnałowej.

Pod pomostem marynarze w stalowych hełmach skupili się czujnie przy 105-milimetrowym dziale. Morell podniósł lornetkę i czas jakiś wpatrywał się w przestrzeń przed okrętem, po czym obrócił się i dał swoim ludziom rozkaz, by załadować działo. Na rufie Ferraby kierował inną grupą - odbezpieczali bomby głębinowe i szykowali wyrzutnie. Lockhart mógł być zadowolony. Zwrócił się do swego dowódcy, by zameldować o całkowitej gotowości zespołu ludzi i broni, którego będzie mógł użyć wedle swego uznania.

- Stanowiska bojowe w gotowości, panie kapitanie! - zaraportował i wrócił na swoje miejsce przy asdiku. To także była broń, która mogła zabijać w razie potrzeby.

Compass Rose, jak gdyby czując ciężar odpowiedzialności za tyłu ludzi sprężonych w czujnym napięciu, drżała leciutko. Ericson nie opuszczał ekranu. Decyzję poderwania załogi na stanowiska bojowe powziął pod wpływem nagłego impulsu. Musiał przyznać, że ta decyzja mogła być nawet wynikiem zwyczajnej irytacji, przekornego uczucia, że jeśli on sam nie może spać spokojnie, to niech i inni czuwają z nim razem. Z drugiej strony złapali przecież to dziwaczne echo, bardziej obiecujące niż kiedykolwiek przedtem. Bardzo być może, że w końcu wytropili to, o co chodziło, a jeśli tak, to dobrze, że *Compass Rose* jest przygotowana na wszystko. Podniósł do oczu lornetkę. Patrzył w

kierunku dziobu, ale poranna mgła nie odsłoniła jeszcze horyzontu i nie mógł nic zobaczyć. Znow rzucił okiem na ekran i pochylił się do rury głosowej.

- Podajcie cel.

Sellars podał odległość i zamiar kontaktu. Nieznane „coś” posuwało się stale z tą samą szybkością co konwój, tak że doganiali je szybko.

- Echo wzmacnia się trochę, panie kapitanie - meldował Sellars.

- Ta sama wielkość, ale wyraźniejsze. To musi być coś „twardego”.

Tyle im mówił obraz na ekranie radaru. Konwój zarysował się teraz wyraźnie. Zwarty czworobok statków, odsunięte od niego eskortowce i mały intruz płynący za nimi. Ericson zaczął wierzyć, że książki mówią prawdę. Bo oto po raz pierwszy śledzi okręt podwodny, który poczyną sobie dokładnie tak, jak w podręczniku - tropi konwój spoza zasięgu widoczności, może po nieudanym ataku tej nocy, i czeka, aż znow zapadnie ciemność, by jeszcze raz spróbować szczęścia. Ale okręt podwodny nie wie nic o tym, że za nim płynie spóźniony eskortowiec, okręt, którego nie ma na scenie, lecz który nadaża szybko, by wniwecz obrócić zamiary wroga. Gdyby mogli mieć go w zasięgu, nim zdąży ich zobaczyć!

Compass Rose szła wciąż naprzód, uskrzydłona nadzieją, zmierzająca jak strzała do swego celu. Spieszyła, by go zdemaskować i przekonać się, że to zdobycz należąca jej według prawa. Jeśli to był naprawdę okręt podwodny, to wpadła im w ręce najwspanialsza szansa w tej wojnie. Na to właśnie czekali, ten moment nadawał sens ich sile wytrwania. Następna godzina mogła wszystko usprawiedliwić. Na górnym pokładzie marynarze na stanowiskach bojowych cieszyli się z góry. Rozeszła się wiadomość, że ścigają coś konkretnego, a dalsze informacje przesiąkające z kabiny radarowej orientowały ich w sytuacji i

karmiły nadzieją. Na pomoście każdy, kto miał lornetkę - dowódca, Wells, dwaj marynarze na oku - wpijali się wzrokiem w horyzont obiecujący wyjawić lada chwila swą tajemnicę.

Compass Rose szła wciąż naprzód. Ciężką falę dziobnicą, wlokła za sobą długi, kipiący ślad, pędziła w srogiej niecierpliwości po swój łup, zmagając się z wiatrem. Słońce wytoczyło się nad horyzont. W jego bladych promieniach stopniała mgła, a morze na dziesięć albo piętnaście mil przed nimi roziskrzyło się blaskiem diamentów. Blade słońce, coraz jaskrawsze słońce, radosne słońce stawalo po ich stronie, wschodziło po to, by im pomóc. Wiatr skomlał w olinowaniu, na górnym pokładzie czuć było drzenie dziobowych płyt poszycia, rozcinających falę. A część rufowa, tam gdzie wyrzutnie bomb, pulsowała uderzeniami śruby o wzburzoną wodę, wibrowała rozlewną, monotonną nutą, niby stale powracający motyw w pełnym grozy utworze muzycznym. Szef bierze maszynę do galopu - uśmiechnął się Ericson z zadowoleniem. - Przynajmniej obudzą się te bęcwały palacze i trochę sadzy utrzęsie się w kominie. Po nocy spędzonej w żalosnej bezsilności dobrze było odmienić rolę i pędzić w chyżym pościgu.

Compass Rose szła wciąż naprzód.

- Podajcie cel - zażądał Ericson, piąty czy szósty raz z rzędu.

A z dołu głos Sellarsa - triumfujący, podniecony - potwierdził mniejszą odległość i upewnił go, że spotkanie zapowiada się interesująco. Ericson miał uczucie, że korweta pod jego ręką zwiera się cała w sobie i sprężyła do skoku. Było to jedno z tych dziwacznych uczuć, które go czasem nawiedzały w chwili wielkiego zmęczenia albo napięcia nerwów. Czuł okręt pod sobą, jak jeździec czuje konia. Był rad i dumny z natychmiastowej reakcji swego rumaka. Więc na to czekali tak długo, dla tej chwili tak ciężko harowali. Podeszedł do kompasu, określił dokładną

pozycję na podstawie ostatniego odczytu radaru, podniósł do oczu lornetkę i wpatrzył się w horyzont.

Niemal natychmiast dostrzegł to „coś”.

Czarna, czworokątna plamka na horyzoncie, wieżyczka bojowa okrętu podwodnego.

Właśnie gdy się przyglądał, podniosła się na długiej fali i dojrzał u jej nasady białą grzywę, odrzuconą przez kadłub sunący pod powierzchnią. Daleko przed okrętem podwodnym zbłąkane strzępy dymu zdradzały z odległości przeszło dwudziestu mil obecność konwoju.

Dwa łupy i dwaj myśliwi... Wyprostował się szybkim ruchem i skoczył na przód pomostu.

- Morell! - zawołał.

Morell spojrzał ku górze:

- Tak, panie kapitanie?

- Tam, przed nami, okręt podwodny na powierzchni. Na razie poza zasięgiem. Ale bądźcie gotowi. Jeśli uda się podejść bliżej, spróbujemy wpakować mu coś niecoś, nim się zanurzy. - Ericson odwrócił się do Lockharta. Lecząc właśnie w tym momencie Wells, który stał obok i patrzył przez lornetkę, zawołał:

- Widzę go, panie kapitanie. Prosto przed nami jak strzelił! - Głos mu się łamał z podniecenia, ale poczucie obowiązku natychmiast przykróciło mu cugli. - Czy mamy nadać sygnał?

- Tak. Sygnał radiowy. Uprzedźcie radiostację. - Zamilkł, by zebrać myśli. - Zapiszcie: „Do Admiralicji, powtórzone do *Viperous*. Okręt podwodny na powierzchni dziesięć mil w tyle za konwojem TG 104. Kurs 345. Szybkość 5 węzłów. Będziemy atakować”. - Znowu zwrócił się do Lockharta, siedzącego w kabinie asdiku. - Poruczniku, to jest...

Lockhart wystawił głowę przez okienko i uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Podśluchiwałem, panie kapitanie... Dla mnie na razie za daleko.

Ericson odpowiedział uśmiechem.

- Niedługo będzie nam potrzebna pańska czarodziejska skrzyneczka. Bądź pan gotów do obejrzenia najwspanialszego w historii zanurzenia alarmowego, jak tylko nas spostrzeżę.

- Panie kapitanie - napraszał się Lockhart - lepiej im dosolić, póki mają portki spuszczone.

W ciągu kilku następnych minut zawrzało na okręcie. Najpierw Ferraby na stanowisku bomb głębinowych dostał ostrzeżenie o bliskim ataku, potem Watts w maszynowni.

- Dodajcie gazu, szefie - rzucił Ericson przez rurę głosową. - Nie mamy dużo czasu.

Compass Rose porwała się naprzód, pchnięta niby ostrogą ciśnieniem dodatkowej pary. Zdawała się kopać i odpychać wodę w pędzie ku swej zdobyczy, w rozpaczliwym pragnieniu dopadnięcia jej, zanim zostanie spostrzeżona. Przez lornetkę Ericson widział większą już plamkę bojowej wieżyczki. Mógł rozróżnić szczegóły, grę światła i cieni, a nawet głowę i ramiona człowieka, którego sylwetka rysowała się na ostrej linii horyzontu. Człowiek patrzył uparcie przed siebie, skupiony na wąskim łuku, w którym mieściło się jego zadanie. „I nieświadome swego losu igrają małe ofiary” - przemknęło Lockhartowi przez myśl, gdy wpatrywał się gołym okiem w widoczny już wyraźnie okręt podwodny. Wciąż jeszcze był za daleko, by asdic mógł złapać kontakt, ale przy takim tempie rozbiją go w puch własnym ciężarem, bez korzystania z błogosławionych darów nauki. Odległość ciągle się zmniejszała. Sellars coraz bardziej podnieconym głosem dawał kolejne namiary. Wtem na pomoście

rozległ się niespodziewany dzwonek - dzwonek ze stanowiska artylerii na dziobie. To Morell oznajmił tonem tak spokojnym, jakby składał życzenia z powodu jakiejś oficjalnej okazji.

- Myślę, że mógłbym go już dostać, panie kapitanie.

Teraz dzieliły ich od celu cztery mile, siedem tysięcy pięćset metrów. Dla niewielkiego działka odległość była duża; ten strzał mógł popsuć wszystko. Lecz z drugiej strony - rozważał Ericson - ten tępak w wieżycze bojowej musi się przecież obrócić, musi ich dostrzec. A wtedy zawoła „Donnerwetter!” albo też „Gott im Himmel!” i natychmiast razem z okrętem podwodnym da nura w bezpieczną głębię. Zwłóczył jeszcze przez chwilę, wążąc na jednej szali szanse odkrycia przez wroga, na drugiej - ograniczone możliwości dzielnej pukawki, która była ich bronią zasadniczą. Wreszcie przechylił się przez reling i skinieniem głowy dał Morellowi znak, że zezwala.

W tej samej chwili huk działa wstrząsnął powietrzem. Palce Morella musiały czekać w gotowości do ostatniego ruchu...

Strzał był dobry, nawet jeśli uwzględnić pomoc radaru przy określaniu odległości. A jednak nie dosyć dobry w takiej krytycznej sytuacji. Szary słup wody bluznął w niego w odległości trzydziestu metrów przed nieprzyjacielem, dając mu sygnał alarmowy, najlepszy, jakiego mógł sobie życzyć. Człowiek w wieżycze odwrócił się, jakby nie wierząc świadectwu swych zmysłów, podobny w tym do kochanka, którego zapewniono, że mąż jest gdzieś za siedmioma morzami, i który nagle usłyszał głos jego w przedpokoju. Znikł tak błyskawicznie, jakby go z dołu wciągnięto. Wieżyczka była pusta. Ciszę oczekiwania rozdarł po raz drugi potężny łoskot działa. Ericson zaklął głośno - tym razem strzał nie doniósł, a wysoka fontanna zasłoniła im widok. Kiedy opadła i mogli sięgnąć wzrokiem w to miejsce, okręt podwodny już się zanurzał dziobem w dół, niepokojąc i burząc toń morską.

Niezależnie od bystrości swych marynarzy na oku musiał mieć wielką wprawę w szybkim znikaniu pod powierzchnią. W przeciągu kilku sekund schował się kadłub i prawie cała wieżyczka. Morell zdążył odpalić po raz trzeci, nim okręt podwodny znikł zupełnie, ale wzburzenie wody nie pozwalało stwierdzić celności strzału. Zdawało się, że pocisk padł tuż obok celu i mógł weń trafić. Zanurzając się, okręt podwodny umykał w prawo.

Ericson wrzasnął:

- Lockhart, trafiony!

Niemal natychmiast zabrzmiał skupiony głos Lockharta:

- Mam kontakt...

Na całym pomoście słyhać było wyraźnie i głośno poświst asdiku. Lockhart, strasznie zdenerwowany, stał za krzesłem operatora, który usiłował nie stracić kontaktu. Nie mogą go teraz zgubić, przecież widzieli go na własne oczy przed kilku sekundami! *Compass Rose* szła z bardzo dużą szybkością. Ponaglił operatora, gdy okręt podwodny już-już miał się wymknąć z sektora asdiku. Tamten spocił się z podniecenia i bębnił pięścią po poręczy krzesła.

- Przesuwa się szybko w prawo, panie kapitanie! - zawołał Lockhart i kiwnął głową z satysfakcją, gdy Ericson wziął kurs na przecięcie drogi wrogowi. Przekazał ostrzeżenie na stanowisko bomb głębinowych. Byli już bardzo blisko, tak blisko, że echa kontaktu, zlewając się z rewerberacjami od wody, traciły swą ostrość. W tym momencie pech albo szczęście mogły zaważyć na szali. Gdyby okręt podwodny skorzystał z tej chwili i zmienił gwałtownie kurs, mógłby się wymknąć z obszaru zagrożenia i uniknąć śmiertelnych skutków eksplozji.

Czekali jeszcze kilka sekund, potrzebnych na przebycie ostatnich metrów. Lockhart nacisnął dzwonek na „Pal!” i w chwilę później seria bomb głębinowych plusnęła w wodę.

Wybuch targnął powierzchnią morza. Ferraby, zajęty ładowaniem wyrzutni, dręczył się myślą, że w odległości kilku metrów znajduje się okręt podwodny. Na huk bliskiej eksplozji podskoczył w górę, nieprzytomny ze strachu. Woda chlusnęła wysoko. Wydawało się jednak nieuczciwe i wprost niewiarygodne, że razem z wodą nie wyleciały w powietrze szczątki strzaskanego okrętu. Byli tak pewni, że go trafili. *Compass Rose* szła dalej, wzburzone morze już się wygładzało, lecz oni patrzyli wciąż za siebie w milczącym oczekiwaniu. Wpatrywali się w plamę bezbarwnej wody na miejscu wybuchu. Czekali, aż okręt wypłynie na powierzchnię i odda im się w ręce.

Daremnie. Zanikały już kręgi fal, a wraz z nimi ich szalone nadzieje. Z gniewem i ze zdumieniem zaczynali pojmować, że atak się nie udał.

- Niech to cholera weźmie! - zaklął Lockhart, wyrażając uczucia całego okrętu. - Na pewno trafiliśmy, przecież był tam ten diabeł.

- Wracamy, będziemy tropić dalej - przerwał mu Ericson ostro. - To nie koniec.

Lockhart poczerwieniał na tę nauczkę, udzieloną mu wobec wszystkich. Już i tak czuł się dość nieszczęśliwy, a dowódca rozdrapał świeżą ranę. Dał rozkaz:

- Przeszukać sektor rufowy! - i schylił się nad asdikiem.

Niemal od razu złapał zgubiony kontakt w odległości pięćdziesięciu metrów od miejsca, gdzie wyrzucili serię bomb głębinowych.

Compass Rose zrobiła pełny obrót i już pędziła do następnego ataku. Tym razem poszło łatwiej. Możliwe, że jednak go trafili, bo okręt podwodny jakby się nie ruszał i nie próbował umknąć.

- Cel nieruchomy! - meldował Lockhart, gdy korweta dokonała już zwrotu, i powtarzał te słowa w regularnych odstępach czasu aż do końca ataku.

Znów wyskoczyły bomby głębinowe, znowu potężny wybuch wstrząsnął okrętem i znów czekali na znak zwycięstwa albo klęski.

- Lada minuta... - odezwał się ktoś na pomoście.

Za rufą wylaniał się z morza, jak wielka, nieruchawa ryba, okręt podwodny - czarny i lśniący w blasku słońca.

Ryk triumfu wyrwał się z piersi marynarzy na górnym pokładzie. Najpierw wynurzył się dziób okrętu, wytrąconego z pozycji poziomej siłą wybuchu. Najwyraźniej okręt nie panował nad swymi ruchami. Woda chlustała i ściekała z otworów w poszyciu w miarę wznoszenia się kadłuba. Wielkie bąble powietrza pękały wokół wieżyczki. Z rozdartego poszycia w połowie długości okrętu wylewała się ropa.

- Ognia! - zawołał Ericson.

Kilka następnych sekund należało już tylko do Bakera. W danych warunkach nie mogli się posłużyć żadną inną bronią prócz jego automatycznej czterdziestkisiódemki. Staccato strzałów dziurawiło spokojne powietrze niby seria uderzeń mechanicznego młota. Wlokąc za sobą łańcuch huków i wstrząsów, rozżarzone pociski świetlne goniły się nisko nad wodą w wyścigu do mety, którą był okręt podwodny. Stał teraz znowu na równej stępcie i spokojnie kołysał się na wodzie. Dziwny i wstrętny był widok tego nikczemnika, przyczyny setek nie przespanych nocy, wypełnionych lękiem i męką. Nagle zjawił się tuż przed nimi jak niewiniątko. Gdyby przestępca, który obraził honor i prawa społeczeństwa, którego obawiano się i unikano od dawna, rozsiadł się ni stąd, ni zowąd przy kominku w uczciwym domu, wrażenie byłoby podobne.

Działko Bakera już zdążyło się wstrzelać. Jaskrawe błyski odskakiwały od dziobu okrętu, a po nich wykwiwały małe, żółtawe grzybki dymu. Pociski były lekkie, lecz uderzając raz za razem, pruły solidny kadłub, obliczony na duże ciśnienia, i dobierały się do wnętrzości. Gdy *Compass Rose* znów zawróciła, przechylając się mocno pod naporem steru, do akcji włączyły się cekaemy na dolnym i górnym pomoście. Wszczął się okropny jazgot. Okręt podwodny zanurzył się głębiej, a z wieżyczki zaczęli wylazić ludzie. Większość biegła na przód okrętu potykając się na nierównym pokładzie. Podnosili ręce do góry, machali nimi i krzyczeli do *Compass Rose*. Lecz jeden, bardziej zaciekły lub może odważniejszy od innych, otworzył ogień spoza osłony wieżyczki. Seria pocisków z broni maszynowej chlasnęła *Compass Rose* po śródokręciu. Lecz nagle ogień ustał, a dzielny Niemiec przewrócił się i zawisł na krawędzi wieżyczki. Reszta załogi zaczęła skakać do wody lub padała na pokład, bo *Compass Rose* nie przestawała siec ogniem i trafiała zarówno w ludzi, jak i w okręt. Krew rozlewała się po mokrym pokładzie, spływała ściekami, ciemna, przyjemnie czerwona na tle nienawistnego szarego kadłuba. Okręt podwodny obsuwał się rufą naprzód w głębinę oceanu, konał w wirze bąbli powietrza i ropy, wśród dymu i woni prochu. Ktoś wysunął się do połowy ciała z wieżyczki i rzucił w morze obciążony worek. Szamotał się przez chwilę chcąc się wydostać na zewnątrz, lecz ciało strzelca musiało zawalić wyjście. Nim zdążył je usunąć, okręt znikł pod powierzchnią. Na koniec wybuch trysnął fontanną wody zmieszanej z olejem.

Potem zapadła cisza.

- Zaprzestać ognia! - rozkazał Ericson, gdy woda opadła i powierzchnia morza wygładziła się pod warstwą oleju. - Ster zero! Maszyna stop! Przygotować sieci za burtą dla rozbitków.

Tak minęła wspaniała chwila.

Był jeden marynarz na korwecie, dla którego chwila ta skończyła się wcześniej niż dla innych. Młody artylerzysta ze zwycięskiej obsługi działka został zabity na miejscu kulą samotnego strzelca z okrętu podwodnego. Za zasłoną podstawy działła nikt nie mógł widzieć małej gromadki towarzyszy schylonych nad jego ciałem, pełnych litości i żalu. Tworzyli zamknięty w sobie świat żałoby, wprowadzie kontrastującej z nastrojem okrętu, lecz mimo to prawdziwej. Byli osamotnieni w swym smutku. Inni nie mogli ich dostrzec i nie chcieli patrzeć w tę stronę. Patrzyli, pożerali wzrokiem pozostałych przy życiu marynarzy z okrętu podwodnego, którzy płynęli do *Compass Rose* po ocalenie. Wielu dyszało rozpaczliwie gardłem ściśniętym ze strachu lub krzyczało ratunku u kresu sił. A marynarze z *Compass Rose*, wciąż upojeni triumfem, naigrawali się z nich. Nie mogli się przejmować nieszczęściem tych ludzi, którzy - gotowi byli przysięgać na to! - jeszcze przed kilku minutami głosili nieugięte hasło totalnej wojny.

- Takich rozbitków to lubię - oznajmił nagle Morell wszem wobec i nikomu specjalnie. - To ich pomysł ta cała zabawa. Zobaczmy, jak odegrają swą rolę.

Odegrali ją zupełnie tak samo jak inni rozbitkowie, których *Compass Rose* po wielekroć wyciągała już z wody. Jedni wołali ratunku, inni płynęli ku swym wybawcom milcząc dla oszczędzenia sił, a jeszcze inni tonęli nie osiągnąwszy celu. Był wśród nich jeden wyjątek, wybitny indywidualista, który mógł zaprzepaścić szanse wszystkich. Płynąc ku sieci zwisającej z burty okrętu, spojrzał w pewnym momencie w górę na swoich wybawców, wzniosł prawą rękę i wrzasnął co tchu w piersi:

- Heil Hitler!

Z pokładu korwety wzniosł się natychmiast wściekły pomruk. Marynarze od razu stracili ochotę do wciągania rozbitków. Po co się mają szarpać?

- Jakie to dranie honorne! - rzekł Wainwright posępnie. - Niechby zostali tak i dobrze nasiąkli...

Lockhart stał na pokładzie pilnując przygotowań do akcji ratowniczej. Okrzyk Niemca zbudził w nim nagłą wściekłość. Miał ochotę głośno wyrazić zgodę ze zdaniem Wainwrighta. Dowódca miałby zupełną słuszość, gdyby dał rozkaz: „Cała naprzód!” i pozwolił tym ludziom chlapać się w morzu, aż potoną. Był to jednak krótkotrwały zryw ślepego uczucia.

- Pośpieszcie się! - zawołał udając, że nie dostrzega nastroju otaczających go ludzi. - Nie mamy czasu do stracenia...

Jednego po drugim wyciągali z wody. Tego, który krzyknął: „Heil Hitler!”, wyciągnęli na końcu, a Tonbridge, bynajmniej nie ułomek, nastąpił mu tak solidnie na bosą stopę, że Niemiec wrzasnął zupełnie inaczej.

- Nie hałasować tam! - rzekł Lockhart - surowo z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu. - Nic wam już przecież nie grozi. Ustawcie ich - zwrócił się do Tonbridge’a.

Jeńcy ustawili się w szereg. Było ich czternastu; jeden trup leżał na pokładzie. Załoga *Compass Rose* skupiła się w nierównym półkolu i patrzyła na jeńców. Wyglądali niezbyt imponująco i niepięknie. Z rąk i nóg, z przemokłej, poszarpanej odzieży woda ściekała na pokład. Na twarzach malował się wyraz niedoli i ulgi zarazem, jak u bardzo podłych aktorów, którym udało się przebrnąć przez sztukę, nie oberwawszy nic od publiczności. Nie byli bohaterami, o nie! Pozbawieni swego okrętu, zaledwie byli ludźmi. Marynarze z korwety czuli się rozczarowani, niemal wystrychnięci na dudków. Więc nad takimi ludźmi odnieśli zwycięstwo, a potem wyratowali ich od śmierci! Więc załoga okrętu podwodnego to jest naprawdę tylko to?

Było w nich jeszcze coś. Coś drażniącego, co dolegało i przejmowało niepokojem, jak zakażona kończyzna w zdrowym

ciele. Byli obcy. Ich widok na korwecie wzbudzał taką samą odrazę, jak pojawienie się okrętu podwodnego na powierzchni morza. Byli ludźmi z innego, niewypowiedzianie wstrętnego świata - nie tylko Niemcami, lecz Niemcami z okrętów podwodnych, gatunkiem podwójnie nikczemnym. Zrewidowano ich jak najspieszniej, spisano na liście i ukryto w głębi okrętu.

Ericson kazał sprowadzić do swej kabiny niemieckiego dowódcę, który był także wśród jeńców, i postawić przy drzwiach wartownika, raczej dla formy tylko. Później, gdy mieli już konwój w zasięgu wzroku i *Compass Rose* zmierzała ku *Viperous*, by złożyć meldunek, Ericson zszedł z pomostu z zamiarem obejrzenia swego odpowiednika. Tak właśnie go sobie ochrzczył w nastroju triumfu i zadowolenia. *Compass Rose* naprawdę sprawiła się dobrze, uszczknęła wreszcie tego, co kosztowało ją dwa lata ciężkich zmagañ, i Ericson w nadmiarze dobrego humoru gotów był wobec każdego być wspaniałomyślnym. Jednakże po nerwowym napięciu tego ranka jego usposobienie balansowało na bardzo wątej linii równowagi. Nie był przygotowany na zetknięcie się z takim człowiekiem, jakiego zastał w kabinie. Toteż w czasie rozmowy w jego usposobieniu zaszła najgwałtowniejsza zmiana, jakiej kiedykolwiek doświadczył.

Niemiecki dowódca stał pośrodku kabiny i z dość żalosną miną wyglądał przez iluminator. Na odgłos kroków odwrócił się i przywdział przepisowe oblicze, jedyne, jakie świat godzien był oglądać. Wysoki, płowowłosy i młody - tak młody, że mógłby być prawie synem Ericsona. Ale, dziękować Bogu, nie jest moim synem - pomyślał prędko Ericson, zauważywszy blade, fanatyczne oczy, grymas wzgardy wykrzywający mu usta, szyderczy uśmiech i nienawiść do niższej istoty, której był więźniem. Tak, był młody, ale na jego twarzy choroba zrodzona z

poczucia potęgi wycisnęła piętno starości. Nic już nie da się zrobić z tych ludzi - pojął Ericson w ponurym objawieniu. - Nieuleczalni. Można ich tylko wystrzelać i mieć nadzieję, że następne wydanie będzie lepsze:

- Heil Hitler! - odezwał się Niemiec. - Chciałem...

- Nie - przerwał Ericson ostro. - Nie od tego zaczniemy. Jak pańskie nazwisko?

Niemiec patrzył na niego w milczeniu.

- Von Hellmuth - powiedział wreszcie. - Kapitan von Hellmuth. Pan też jest kapitanem? A jak pan się nazywa?

- Ericson.

- Oo, dobre niemieckie nazwisko! - zdziwił się von Hellmuth i uniósł wyblakłe brwi, jakby odkrył oznakę szlachectwa w zwykłym włóczędze.

- Nic podobnego! - uciał Ericson ze złością. - I dość tej arogancji. Jesteś pan jeńcem, a tu jest miejsce pańskiego aresztu. Proszę się zachowywać jak należy.

Niemiec zmarszczył gniewnie brwi na taki brak względów i ogłady. Tchnął teraz cały wrogością, nawet linia ramion wyrażała tę wrogość.

- Wziął nas pan podstępem, kapitanie - rzekł z gorzkim przekąsem. - W żadnym innym wypadku...

W jego tonie brzmiała wyraźnie aluzja do zdrady i nieuczciwej taktyki, do postępowania niezgodnego z honorem Niemca. Tak mogli postępować tylko Anglicy, Polacy lub Murzyni. A co wy robiliście, do diabła przez cały ten czas - żuł Ericson twarde myśli. - Wy zawsze braliście ludzi podstępem, skradaliście się do nich, nie dając żadnej szansy. Lecz tamten na pewno by tego nie pojął. Więc Ericson uśmiechnął się tylko z ironią i odpowiedział:

- No cóż, to wojna. Bardzo mi przykro, jeśli dla pana to za ciężkie przeżycie.

Von Hellmuth cisnął weń wściekłym spojrzeniem, lecz przemilczał ten przytyk. Pojął zbyt późno, że skarżąc się na sposób, w jaki go zwyciężono, przyznawał się zarazem do własnego błędu. Jego wzrok obiegił wkoło kabiny, a na ustach pojawił się szyderczy uśmiech.

- Dosyć nędznie wygląda ta kabina - oświadczył butnie. - Nie jestem przyzwyczajony...

Ericson podszedł blisko, trząsł się cały ze złości. Gdybym miał przy sobie rewolwer, zastrzeliłbym go jak psa - pomyślał nagle. - Do tego mogą człowieka doprowadzić te diabły. W ten sposób bakcyli ich wściekły lęknienie się w innych sercach i rozmnaża.

Kiedy przemówił, głos jego brzmiał ostro i namiętnie:

- Milczeć! Jeszcze słowo, a każę pana zamknąć do schowka na prowiant. - Otworzył drzwi i zawołał: - Wartownik!

Starszy marynarz, stojący na warcie z rewolwerem u pasa, pojawił się w kabinie.

- Słucham, panie kapitanie.

- Ten jeniec jest niebezpieczny. Jeśli zrobi choć jeden ruch do wyjścia, natychmiast zastrzelić.

Twarz marynarza była jak drewno, nie wyrażała żadnych uczuć. Tylko oczy strzeliły spojrzeniem od dowódcy do von Hellmutha, błysnęły zaciekawieniem.

- Tak jest. Rozkaz, panie kapitanie! - I znikł za drzwiami.

Twarz von Hellmutha mieniła się wyrazem pogardy i niepokoju.

- Jestem oficerem niemieckiej marynarki wojennej... - spróbował oponować.

Lecz Ericson przeciął krótko:

- Jest pan łajdakiem w każdym języku świata.

Znów poczuł przyływ wściekłości. Mógłbym to zrobić - myślał zdumiewając się dzikością swych uczuć - Teraz mógłbym to zrobić, zupełnie po prostu, jakby chodziło o przytknięcie palcem.

- Nie zależy mi na tym, żeby pana dowieźć do Anglii - zaczął, powoli cedząc słowa. - Możemy pochować pana w morzu jeszcze dziś po południu, jeśli tak zechcę. Więc uważaj pan, tylko tyle: uważaj pan!

Odwrócił się i wyszedł. Potem, stojąc już na pomoście, dziwił się bardzo, że wcale mu nie wstyd tej sceny.

11.

Na pokładzie rufowym dwa ciała leżały obok siebie, starannie owinięte w dwie różne bandery. Ericson odchrząknął, gdyż miał rozpocząć czytanie modlitw żałobnych. Dwie barwne plamy z hipnotyczną mocą przykuwały jego spojrzenie. Pod płótnem bander leżą dwaj marynarze - rozważał w duchu. - Nie ma między nimi różnicy prócz tej, że naszego zabili na miejscu, a tamten zmarł z wyczerpania i z ran. Niewiele różnią się od siebie i te bandery, użyte dziś do wspólnego celu. Może nawet śmiały rysunek swastyki lepiej nadaje się na całun niżli biała bandera... - Znów odchrząknął, zły i zdziwiony wybrykiem swych myśli.

- „Krótki jest żywot człowieka zrodzonego z niewiasty” - recytował nie zaglądając do książki.

Znał tę modlitwę na pamięć, ale wzruszały go jej słowa brzmiące łagodnie. Wymawiając je myślał o zmarłych, o młodym marynarzu, pierwszym z załogi *Compass Rose*, który poległ w tej wojnie. Było mu smutno. Niemiecki dowódca stał bez straży o krok od niego, także smutny w swej nowej roli. Dumna twarz

zmieniła się bardzo, wzruszenie zdarło z niej maskę arogancji. Uznawał swą klęskę... To pewnie ta swastyka - domyślał się Ericson. - Zmarły marynarz z załogi własnego okrętu ani go grzeje, ani ziębi, ale „gest honorowy” wspólnego pogrzebu i widok nieprzyjacielskiej bandery kładą go na obie łopatki.

Lockhart dał sygnał na pomost: maszyna stanęła. Na *Compass Rose* zaległa cisza, tylko pod rufą woda cmoktała i bulgotała cichutko.

„Teraz oddajemy ich ciała głębokościom” - zabrzmiał głos Ericsona i zamilkł.

Rozległy się przeraźliwe gwizdki, przechyliły się deski, długie pakiety owinięte w brezent wysunęły się z całunów bander, ześliznęły za burtę i znikły bez śladu. Tuż obok siebie Ericson słyszał i czuł, jak drży niemiecki dowódca. No tak - pomyślał - ostatecznie to jest naprawdę smutne.

Włożył czapkę i oddał salut. Niemiec, śledzący jego ruchy, uczynił to samo. Kiedy spojrzeli na siebie, Ericson dostrzegł łzy błyszczące w bladych oczach. Kiwnął mu głową i odwrócił spojrzenie.

- Dziękuję, kapitanie - odezwał się von Hellmuth. - Doceniam to, co pan zrobił. - Wyciągnął niezgrabnie rękę. - Ja chciałbym...

Ericson uścisnął mu dłoń nie mówiąc słowa. Wstydził się swego wzruszenia i tych trzydziestu kilku marynarzy, którzy na nich patrzyli.

A Niemiec znów przemówił:

- Towarzysze na morzu...

Czy ma na myśli dwóch marynarzy, których ciała właśnie oddali morzu - ciekaw był Ericson - czy też raczej ich dwóch, dwóch dowódców wspólnie przeżywających tę chwilę? Może to zresztą wszystko jedno... Znów skinął głową i począł się oddalać, pozostawiając Lockhartowi troskę o jeńca.

Kiedy odchodził, wzruszenie i smutek opuściły go nagle. Wydały się nieszczerze. Wszak nie było to żadne niezwykle wydarzenie. Ileż pogrzebów wyprawili na *Compass Rose*! Dotychczasowy rekord to osiemnaście w jednym dniu, osiemnaście pogrzebów jednego ranka przed śniadaniem. Cóż więc znaczyły dwa? Dla dwóch prawie nie warto wychodzić na pokład. Cholerne szkopy! - złościł się wchodząc na pomost. - Najpierw doprowadzają człowieka do szewskiej pasji, a potem każą mu płakać. Było w tym coś niedobrego i podstępного. Zło tkwiło w samej ich obecności na okręcie. Człowiek osłabiał się wewnątrz przez obcowanie z nimi. Brać jeńców, to jakieś nieporozumienie - pomyślał z okrucieństwem. - Trzeba ich było użyć jako cel do ćwiczeń w strzelaniu. Trzeba było odpłynąć i zostawić ich tam, na wodzie, niechby sobie wrzeszczeli. Oni potrafią wprowadzić rozkład na każdy okręt, zburzyć wszelkie ustalone pojęcia.

Czuł w głębi serca, że nawet ta myśl okrutna, myśl o wystrzelaniu rozbitków szamocących się w morzu, zrodziła się z obecności jeńców niemieckich na korwecie, ze sposobu, w jaki von Hellmuth dwukrotnie wytrącił go z równowagi.

Usiadł na swoim krześle na pomoście i skupił się w świadomym wysiłku odzyskania normalnego stanu ducha. Czuł się bardzo zmęczony.

12.

Zmęczenie i gwałtowne wzburzenie uczuć sprawiły, że nie prawie nie mówił o zatopieniu okrętu. Gdy przeminęło pierwsze podniecenie, stał się dziwnie milczący. W mesie oficerskiej

Lockhart umilkł jak zmyty, kiedy na propozycję, by wypić dla uczczenia zwycięstwa, Ericson odpowiedział:

- Nie wydaje mi się wskazane wprowadzanie zwyczaju picia na morzu.

Ericson tulił mocno do piersi dumę i radość ze wspólnego triumfu. Właściwie po raz pierwszy zrozumiał do głębi sens powiedzenia: „tulić do piersi”, i czuł, jak promieniuje z niego niemal fizyczne ciepło. Nie uczestniczył w szalonym i hałaśliwym nastroju, któremu uległ cały okręt, rozbrzmiewając o różnych porach dnia i nocy okrzykami radości. Lecz podświadomie, tak jak każdy marynarz na korwecie, czuł wyraźnie, że dokonali czynu wieńczącego zwycięstwem ten rok 1941, wieńczącego zarazem dwa lata trudu i wysiłku, niosącego nagrodę za każdą przeklinaną minutę w ciągu tych lat. Ciężko zapracowali na swój okręt podwodny, wycierpieli wszystkie męki zmęczenia i apatii, wypatrywania oczu w ciemnościach, zimna i straszliwych niewygód. Teraz, za jednym pociągnięciem, wszystko starte z tablicy, rachunek wyrównany. Ericson miał swój osobisty rachunek. Wolał nie dzielić się z nikim nowym poczuciem swej wypłacalności.

Raz tylko wysunął się z pustelni swych uczuć, jak ślimak ze skorupy. Jeszcze w tym samym rejsie, kiedy zbliżali się do kraju, przypadkiem znaleźli się burta w burtę z *Viperous*. Gratulacje, które za pośrednictwem głośnika sypnęły się z niszczyciela, zwolniły w nim napiętą sprężynę, wyzwoliły chłopięcą butę i wesołość. Pochwycił za mikrofon.

- Chcecie zobaczyć, jak wyglądają szkopy?! - zawołał do *Viperous* poprzez dwadzieścia metrów dzielących dwa okręty. - Właśnie czas ich przewietrzyć. Wyprowadź ich, poruczniku - zwrócił się w bok do Lockharta. - Ustaw ich pan na dziobie.

Po chwili pierwszy jeniec ukazał się na trapie, a za nim gęsiego inni.

- Zarosło trochę bractwo - mówił przez głośnik, jak gdyby tłumacząc się, gdy jeńcy wychodzili na pokład i rozglądali się wkoło jak myszy, które wyszły z ukrycia pod podłogą. - Coś mi się zdaje, że powinniśmy wygrać tę wojnę, jak myślicie?

Część IV. 1942: CZAS WALKI.

1.

Stary rok 1941 zakończył się triumfem, lecz zanim dobiegł do końca, osiągnął niezwykle nasilenie okrucieństwa i klęski, pod których znakiem rozpoczął się rok nowy. Przed Bożym Narodzeniem dwa spośród krajów sprzymierzonych poniosły na morzu niezwykle ciężkie straty. Wielka Brytania straciła dwa duże okręty - *Prince of Wales* i *Repulse* - w jednym ataku z powietrza, a Stany Zjednoczone dostały w Pearl Harbour cios obezwładniający, który pozbawił je od razu połowy czynnej floty. („Musiało być gorąco” - Lockhart podsłuchał przypadkiem rozmowę w pomieszczeniu załogi. A drugi nieznany głos odpowiedział: - „Największa niespodzianka od czasu, jak cycki cioci Klarci wkręciły się w magiel...”)

Atak na Pearl Harbour wciągnął Amerykę do wojny. W najkrytyczniejszym momencie przybywał z odsieczą nowy sojusznik. Ale Atlantyk nigdy nie był dla Stanów głównym teatrem działań. Od początku do końca osłona tego szlaku decydującego o życiu i śmierci należała do okrętów brytyjskich i kanadyjskich. Ameryka patrzyła na Pacyfik, gdzie - zaiste - nie brakowało jej roboty, jeśli miała powstrzymać zaciekły napór japońskiej ofensywy. Na Atlantyku do walk eskortowców przeciw okrętom podwodnym wybiegali na ring ciągle ci sami zapaśnicy. Zaczęła się czwarta runda, najkrwawsza ze wszystkich.

Walka wylała się ze szranków jak wezbrana rzeka. Dzikie, złośliwe ciosy przeciwników spadały w zawrotnym tempie, które musiało przyspieszyć rozstrzygnięcie. Okręty podwodne miały niezaprzeczoną przewagę i potrafiły z niej korzystać niezwykle zręcznie, a przy tym z zupełną bezwzględnością. Niemcy

rozpoczęli ten rok z potencjałem dwustu sześćdziesięciu okrętów podwodnych. Co miesiąc przybywało dwadzieścia nowych. Rosła flota, dzięki której mogli w każdym momencie dysponować stu jednostkami na samym Atlantyku. Rozciągnięte długim szeregiem w poprzek szlaków, którymi płynęły konwoje, z ogromną wprawą i całkowitą pewnością przecinały im drogę i meldowały o nich swym zwierzchnim władzom. To przecinanie drogi łączyło się zawsze z udoskonalonym systemem ataków zespołowych. Dwadzieścia albo więcej okrętów podwodnych, naprowadzonych na konwój, rzucało się na niego rozżartym stadem. Ciosy spadały jeden po drugim dopóty, dopóki niedobitki nie dojrzały wreszcie do portu. Wobec tak przygniatającej przewagi wysiłki sprzymierzonych dawały nikłe rezultaty, a próby przeciwdziałania przypominały bezradne gesty ślamazarnego boksera, którego wypuszczono na ring przeciw dziesięciu ruchliwym zawodnikom.

W ciągu marca tylko spoczęły na dnie morza aż dziewięćdziesiąt cztery statki. W maju już sto dwadzieścia pięć, a w czerwcu sto czterdzieści cztery - bez mała pięć w każdym dniu. Do końca roku zastraszały wysokie straty miesięczne wahały się stale koło setki. Był to szczyt nasilenia wojny morskiej. Podobne tempo strat, gdyby się miało utrzymać, zapowiadało klęskę sprzymierzonych w określonym terminie. Eskortowce nie szczędziły wysiłku, wyposażone w nową broń zaczepną i wzmocnione włączeniem do osłony konwojów niewielkich lotniskowców, przerobionych ze statków handlowych. Ponadto utworzono tak zwane grupy wspierające - samodzielne jednostki uderzeniowe, liczące od sześciu do ośmiu eskortowców. Grupy te wciąż przebywały na morzu, gotowe nieść pomoc atakowanym konwojom. Dzięki tym wielostronnym wysiłkom alianci zaczęli odnosić nie notowane przedtem sukcesy. W ciągu pierwszych siedmiu miesięcy zatopili czterdzieści dwa okręty podwodne, a w rekordowym listopadzie zniszczyli ich szesnaście. Była to

podwójna „wydajność” w porównaniu z poprzednim rokiem, lecz okręty podwodne także podwoiły swoje konto. W ostatecznym wyniku nieprzyjaciół zdobywał przewagę punktów, jeśli można użyć takiego słowa mówiąc o walce zdradzieckiej i niehumanitarnej. Gdyby nie udało się zahamować fali niszczącego przypływu i odwrócić jej w przeciwnym kierunku, to Bitwa o Atlantyk musiałaby rozstrzygnąć o losach wojny. Sprawa sprzymierzonych, ściśniętych i zdławionych głodem i brakiem materiałów wojennych, byłaby sprawą przegraną.

„Ta wojna - powiedział Churchill przy jakiejś okazji - to wojna macania na ślepo i tonięcia, zasadzek i wielkiej strategii, nauki i sprawności nawigacyjnej”.

Wszystko to było prawdą, a czasami wyglądało jeszcze okrutniej. Czasem krew lała się obficie niż woda.

2.

Pewne okresy tkwiły w pamięci *Compass Rose*, jak owady o szczególnie odrażającym kształcie i barwie tkwią wgniecione na zawsze w zbrukaną tkaninę, której nie da się wyprać żadnym czyszczącym środkiem.

Był więc na przykład Czas Martwego Sternika. (Każdy z tych okresów miał swą odrębną nazwę, nadaną na gorąco, w toku związanych z nim wydarzeń, albo też później, w godzinach wspomnień i rozważań. Ułatwiała to bardzo zabawę we wspominki.) Wydarzenie to miało w sobie coś z fantastycznej opery i skłoniło Morella do wyrażenia takiego końcowego wniosku: „Sądzę, że zbłądziliśmy w krainę Latającego Holendra”. Było to dość cyniczne skwitowanie całej historii, ale właśnie w

ten sposób układały się teraz uczucia i myśli marynarzy z korwety.

W czasie przedpołudniowej wachty Baker pierwszy zauważył łódź ratunkową. Płynęła śmiało, przecinając drogę konwoju i nie ustępując nikomu. Ścigał ją oburzony chór syren, gdyż statki jeden po drugim zmieniały kurs, aby uniknąć zderzenia. Zawezwany na pomost Ericson przyglądał się łodzi przez lornetkę. Widać było, że musiała od dawna dryfować, a żagiel - spłowiały i poszarpany - stracił właściwy kształt i nie brał wiatru. Mimo to samotny sternik na rufie, pochylony nad rumplem, pewnie trzymał swój kurs. Wprawdzie, według ścisłych przepisów dla szlaków morskich, łódź - jako statek żaglowy - miała prawo pierwszeństwa, lecz trzeba było nie lada odwagi, by użyć tego prawa nie troszcząc się o skutki.

Zdawało się, że łódź kieruje się prosto na korwetę, co było oczywiście rozsądne, choćby kapitanowie kilku statków mieli z tego powodu dostać ataku serca. Eskortowce były przygotowane do przyjmowania rozbitków i sternik prawdopodobnie wiedział o tym. Ericson zatrzymał swój okręt i czekał, aż mała łódź przybliży się do niego. Trzymała kurs, ale w ostatniej chwili obróciła się nagle z podmuchem wiatru i przeszła pod rufą *Compass Rose*.

Marynarz stojący przy wyrzutni bomb głębinowych rzucił w dół linę, a wszyscy zaczęli krzyczeć. Jednakże sternik nie tylko nie próbował pochwycić liny, lecz nawet nie spojrzał w górę. Łódź przepłynęła i zaczynała się oddalać.

- Musi być głuchy - rzekł Baker ze zdziwieniem. - Ale przecież chyba nie głuchy i ślepy równocześnie?

- Głuchy jak pień, najgłuchszy ze wszystkich głuchych - oznajmił Ericson z posępnym uśmiechem, Dał do maszyny rozkaz: „Wolno naprzód!” i położył korwetę na kurs, którym szła łódź z tajemniczym sternikiem. Z wolna zrównali się i tak ją

zasłonił od wiatru, że w końcu stanęła. Ktoś rzucił ze śródkręcia linę z zaczepem i przyciągnęli łódź do burty.

Sternik siedział na rufie tak spokojnie, jakby niczego nie spostrzegł.

Łódź zachwiała się lekko, gdy starszy marynarz Phillips zeskoczył do niej z burty. Uśmiechnął się do sternika.

- No, kolego! - zawołał.

Nagle, zaskoczony obojętnością rozbitka, pochylił się ku niemu i wyciągnął rękę. Gdy znów się wyprostował, twarz jego była szara z przerażenia i wstrętu.

Spojrzał w górę ku Lockhartowi, który czekał na śródkręciu.

- Panie po... - Nie dokończył. Skoczył do burty łodzi i zaczął wymiotować.

Było tak, jak się domyślił dowódca. Sternik tej łodzi musiał umrzeć wiele dni temu. Bose stopy, rozpłaszczone na deskach, były cienkie jak papier, a dłoń trzymająca kurczowo ster podobna była raczej do szponów. Oczu, które zdawały się tak śmiało patrzeć przed siebie, nie było wcale - stały się łupem ptaków morskich. Zostały tylko puste oczodoły. Sto dni słonecznych spaliło twarz gorącym oddechem, sto chłodnych nocy ściągnęło ją siecią zmarszczek.

Na łodzi nie było śladu kompasu ani mapy. Barylka na wodę była pusta i rozeschnięta. Nikt nie potrafił odgadnąć, jak długo trwała ta nedorzeczna podróż. Samotny, pełen nadziei, po śmierci jak za życia, sternik wytrwale oddalał się od lądu, który pozostał o tysiąc mil za nim.

Był także czas, który nazwali Czasem Zgruchotanego Statku. Przeszli wtedy prawdziwą szkołę cierpliwości.

Zaczęło się od radiowego sygnału na pełnym Atlantyku. Mogli z niego zrozumieć jedynie SOS oraz szerokość i długość geograficzną, określające pozycję w odległości czterystu mil na północ od konwoju. Reszta to był już tylko groch z kapustą zmieszanych znaków Morse'a, z których z wielkim mozolem zdołali zrekonstruować pojedyncze słowa, jak „bomba”, „pożar” i „opuszczony”. *Viperous* niełatwą miał decyzję - czy warto pozbawić się eskortowca dla tak niepewnych poszukiwań? Nie ma żadnych powodów, by przypuszczać, że podana pozycja odpowiada rzeczywistości, a konwój nie może przez dłuższy czas obyć się bez okrętu z eskorty. Nawet gdyby sygnał nie był fałszywy. A przecież może być fałszywy. Może to głupi żart znudzonego radiotelegrafisty albo przynęta wystawiona przez okręt podwodny, jak to się już zdarzało. Jednakże *Viperous* zdecydował, że warto się zająć tą sprawą. Sygnał do *Compass Rose* brzmiał: „Rozpocząć poszukiwania zgodnie z SOS dziś o trzynastej zero-zero”. Nieco później następny sygnał radiowy: „Do widzenia”.

Pierwsza część ich zadania nie była trudna. Po prostu zrobili zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w lewo, przeszli na szybkość piętnastu węzłów i przez następne dwadzieścia sześć godzin trzymali się uparcie tego samego kursu i szybkości. Cieszyli się z tej kawalerskiej jazdy jak pies spuszczonej ze smyczy, na której prowadzi go co ranka najpowolniejsza stara dama na kuli ziemskiej. Teraz nie byli niczym skrępowani, nie musieli się troszczyć o konwój, nie było dowódcy grupy, który budził się z drzemki i pytał, co oni, u licha, wyprawiają. *Compass Rose* rwała naprzód. Wzmagający się wiatr od rufy i coraz silniejsza fala spychały ją czasem z kursu i sternik znów z trudem ją naprowadzał. Była zupełnie sama. Jak na obrazie, pruć samotnie zimne, ołowiane fale, zapatrzona w bezpieczny horyzont.

Szli całą noc i cały następny ranek. Nie dostrzegli po drodze nic - ani jednego żagla, ani smużki dymu z komina. Pustka ta przypominała nieustannie bezkres nieobjętego oceanu, w którym każdy mógł znaleźć kryjówkę. Setki statków krążyły wciąż po Atlantyku, a *Compass Rose* czuła się mimo to jego wyłączną panią. Nic nie zdawało się przeczyć jej przeświadczeniu, że oto jakimś cudownym sposobem była jedynym, ostatnim okrętem pływającym po morzach świata.

Lecz gdy przebyli wyznaczoną odległość i znaleźli się w przypuszczalnym obszarze poszukiwań, słowo „kryjówka” znów przyszło im na myśl, tym razem jak szyderstwo. Rzeński lutowy dzień zbliżał się już do końca. Zaledwie trzy godziny dzieliły wczesne popołudnie od nocy. Szukali statku, który mógł być zbombardowany lub zatopiony, mógł udawać głupiego albo znajdować się na zupełnie innej długości, może nawet na innej półkuli. Ericson wykreślił na milimetrowym papierze szereg kwadratów wyznaczających kursy poszukiwań. Kolejne kwadraty przesuwali się w kierunku wiatru, w którym powinien był dryfować poszukiwany statek. Boki każdego kwadratu odpowiadały siedmiu milom. Co dwie godziny obszar poszukiwań miał się przesuwać o dalsze siedem mil ku północnemu wschodowi. Potem przeniósł to wszystko na mapę, by móc ustalić końcową pozycję korwety. Zabrali się do przetrząsania oceanu wedle tak ułożonej marszruty.

Było okropnie zimno. Zapadła ciemność i zaczął prószyć śnieg. Mijały godziny jedna za drugą, a nic nie zjawiało się w polu widzenia i ekran radaru nie łapał żadnego echa. Stopniowo tracili świadomość, że czegoś poszukują, i myśleli już tylko o pogodzie. Wiatr ostro zaciął, śnieg przenikał chłodem, a woda umykająca wzdłuż burt burzyła się i huczała. To była rzeczywistość. W jej obliczu pierwotne uczucie nagłego pośpiechu coraz bardziej tępiało i stopniowo rozplýwało się w nicość. Ileś tam godzin temu

zapewne był jakiś sens w starannie przygotowanym, drobiazgowym przepatrywaniu tego miejsca. Ale to było dawno temu. Teraz zbombardowany statek (jeśli istnieje) i jego załoga (jeżeli jeszcze żyje) są na pewno gdzie indziej. A tymczasem jest przeraźliwie zimno i tak okropnie... O północy zerwała się zamieć. O czwartej nad ranem Lockhart wyszedł na wachtę. Ledwie wysunął się na pomost, nieprzenikniona, mroźna ciemność ugodziła weń żądłem, przenikając do szpiku kości.

- Jest jaki ślad?! - zawołał do Morella.

- Nie, żadnego. Jeśli dryfują w taki czas, to niech ich Pan Bóg ma w swojej opiece.

Żadnego śladu nie odkryli w ciągu tej wachty ani potem, kiedy zaświtał dzień, ani przez całe przedpołudnie. Koło dwunastej wiatr jakoś przycichł, a śnieg od czasu do czasu przewiewał mimo tak powolutku i łagodnie, jakby się spodziewał, że ktoś go wymaluje na świątecznej kartce. Nikt jeszcze nie mówił głośno o swoich wątpliwościach, lecz wszyscy zaczęli się zastanawiać, czy te poszukiwania nie trwają już nazbyt długo. Szukali od dwóch dni; w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin przetrząsnęli bez mała sześćset mil kwadratowych. W umowie o ratownictwo nikt by nie żądał więcej.

- Wiesz, przypomniałem sobie, dziś jest świętego Walentego - rzekł Ferraby ni stąd, ni zowąd do Bakera, gdy trzymali popołudniową wachtę i nie mieli co robić.

Ericson dosłyszał te słowa i burknął:

- Zapisz pan to do dziennika zdarzeń, bo nic innego chyba nie zapiszemy.

Nigdy nie miał zwyczaju dzielić się z innymi wątpliwościami lub okazywać wahania. Wobec takiej uwagi czuli się w prawie sami powątpiewać o sensie tej sytuacji, a nawet dać spokój całej tej historii, zawrócić i zapomnieć o wszystkim.

Wtem na ekranie radaru pojawiło się wyraźne echo. W pierwszej chwili fakt ten zaledwie dotarł do ich świadomości.

Był to na pewno statek, ten sam, który mieli odnaleźć. Wyszli na niego niespodzianie. Do ostatniej chwili krył się za białą zasłoną wirujących płatków i nagle wyłonił się tuż przed nimi - mały, byle jaki frachtowiec ze szwedzkimi znakami na kominie. Statek był opuszczony i dryfował z wiatrem jak obszarpany włóczykij, lawirujący w tłumie niepewnym zygzakiem. Przechylił się na burtę. Pomost i część dziobowa były spękane i szerniały od ognia, a przednia część pomostu, w którą - jak się zdawało - trafiła bomba albo pocisk, przypominała pogiętą klatkę z prętów stalowych, z której jakaś silna, odważna istota wyrwała się na wolność. Brak było jednej łodzi, a druga zwisała na blokach, obrócona niemal do góry dnem i pusta. Poza tym nie zobaczyli nic więcej.

Compass Rose krążyła powoli, czujna na każdy ruch i odgłos, lecz żaden dźwięk nie zmącił ciszy, nic się nie poruszało, prócz śniegu padającego na pokład. Zaryczała syrena z korwety, huknął strzał oddany w powietrze - odpowiedziała cisza i bezruch. Zatrzymali się, spuścili łódź. Wsiadł do niej Morell, a wraz z nim Rose, młodziutki sygnalista, starszy marynarz Tonbridge i Evans z maszynowni. Gdy odbijali od burty, Ericson przechylił się z pomostu z megafonem przy ustach.

- Nie możemy stać w miejscu! - zawołał do nich. - Ten statek jest zbyt pociągającym celem. Nie martwcie się, jeśli zginiemy wam z oczu.

Morell odpowiedział skinieniem głowy. Nie myślał o korwecie. Myślał o tym, co zobaczy za chwilę na opuszczonym wraku. I myśl ta przejmowała go lękiem.

Nie nadaje się do tych rzeczy - stwierdził w duchu, gdy przebywali na wiosłach niewielką przestrzeń dzielącą oba okręty.

- Nie nadaję się do tych bomb, do przelewania krwi, do wszystkich brutalności zniszczenia i klęski. Gdy Tonbridge z cumą w ręku skoczył na przechylony pokład i zamocował łódź do wraka, Morell zdobył się tylko na to, by przeleźć jego śladem przez burtę.

Nie bał się, w normalnym znaczeniu tego słowa. Po prostu wątpił, czy potrafi poradzić sobie z tym czymś nieznanym i na pewno odrażającym.

W milczeniu wlaźł na nadburcie i stanął na pokładzie - wysoki, poważny młody człowiek w brązowym płaszczu i w morskich butach. Poprzez prószący śnieg wpatrywał się w zarys zgruchotanego pomostu. Zwrócił się do Evansa:

- Zajrzyjcie na dół. Sprawdźcie, jak wysoko zalane. - A potem do Tonbridge'a: - Wy zostańcie przy łodzi. - I wreszcie do Rose'a: - A wy chodźcie ze mną.

Poszli. Na stalowym pokładzie kroki głośno dudniły, zostawiając na śniegu świeżutkie ślady, podobne do śladów dziecięcych nóżek w ogrodzie, rankiem. Dokoła była cisza, całkowita pustka i spokój, jakich nigdy nie spotkasz na okręcie, chyba że jest to okręt przeklęty.

Nie było tak źle, jak Morell przypuszczał, przynajmniej w tym sensie, że nie zemdlał ani nie zwymiotował, nie zbłąźnił się w żaden inny sposób. Ale konkretne fakty były przerażające. Bomba trafiła bezpośrednio w pomost. Wybuchł pożar i tu, i - większy jeszcze - w sąsiedztwie dziobówki. Trudno było odgadnąć, jak wielu ludzi stało na pomoście, gdy padła bomba. Żeby choć jedno ciało pozostało w całości! Nic... Z porozrzucanych szczątków można by, na pierwszy rzut oka, złożyć z powrotem cały pułk mężczyzn, wymiecionych z życia. W istocie musiało ich być nie więcej niż sześciu. Ciała ich, poszarpane na części zwisały żalonymi strzępami na grodziach jak koszmarna tapeta, lśniąca tu

i ówddie mętnym połyskiem na pół wyschniętej farby. Całe to pomieszczenie miało dekoracje z krwi ludzkiej i z ludzkiego mięsa. „Gdy tata tapetował salonik - zanucił Morell jakąś szaloną piosenkę - nie przyszło mu wcale na myśl...”

Ręka sternika wciąż trzyma koło sterowe, lecz ręka ta wyrasta z niczego, z pustego powietrza. Gdziekolwiek rzucisz okiem, strzępy mundurów i wnętrzości, kępki wydartych włosów. Na jakiejś płaskiej powierzchni profil głowy wtłoczony w warstwę farby występuje plastycznie, jak wstrząsająca karykatura na afiszu ulicznym, ulepiona z kawałków kości ludzkich i ze skóry.

- Umarłeś z otwartymi ustami - przemówił Morell do maski. Patrzył na nią oczami, które straciły zdolność przekazywania swych wrażeń mózgowi. - Przypuszczam, że mówiłeś coś uprzejmego.

Przeszedł na nie osłoniętą część pomostu, wznoszącą się wysoko nad wodą, i rozejrzał się wkoło. Śnieg padał spokojnie i leniwie, pobielając powierzchnię morza na chwilę przed stopniem. Dokoła nie było nic prócz bezimiennej szarości. Zaczynało się zmierzchać. *Compass Rose* zjawiała się na chwilę i znowu znikła. Odwrócił się do Rose'a, który stał z lampą sygnałową i czekał na niego. Popatrzyli na siebie przez całą szerokość pomostu - każdy z nich ujrzał w twarzy drugiego ten sam wyraz poważnego skupienia, ten sam wysiłek pogodzenia się z widokiem szlachtuza i zachowania spokoju. Tego rodzaju rzeczy należały wszak do programu wojny, do tego ich sposobiono, takie przeszkody stawiał im teraz dzień powszedni. Czasem brali je bez wysiłku, a kiedy indziej z wysiłkiem. Rose na pewno popatrzył na to wszystko, a potem musiał się odwrócić - pomyślał Morell. - Na pewno czeka, żebym się do niego odezwał albo żebym go zabrał z pomostu. No cóż, ja sam niczego nie pragnę więcej. Odchrząknął głośno.

- Dowiemy się, co tam Evans wypatrzył, i damy sygnał do dowódcy.

Statek nie mógł iść samodzielnie, lecz nie nie stało na przeszkodzie, aby wziąć go na hol. Wprawdzie pomieszczenie maszyny i jedna ładownia były zalane na dużej wysokości, ale woda już przestała się dostawać do wnętrza, wobec czego wrakowi nie zagrażało zatonięcie.

Tej treści sygnał został nadany do *Compass Rose*. Odczytawszy go, Ericson namyślał się przez, chwilę, czy wziąć statek na hol od razu, czy też najpierw pokręcić się po okolicznych wodach i poszukać łodzi oraz rozbitków. Jeśli dryfowali dwie doby przy tej pogodzie, to niewiele przemawia za tym, że jeszcze żyją. Lecz z drugiej strony, skoro nie ma obawy, by statek zatonął, nic nie przemawia przeciw temu, by szukać ich jeszcze przez jeden dzień albo i dłużej. Co do Morella, to lepiej, jeśli zostanie, gdzie jest. Będzie miał oko na wszystko, a poza tym nie zabraknie mu roboty przy doprowadzaniu wraka do porządku.

„Zostanie pan na statku” - nadał więc ostatecznie sygnał do Morella. - „Wychodzę szukać łodzi z rozbitkami i wrócę jutro rano”. Jakieś niejasne uczucie kazało mu zapytać: „Czy bardzo pan szczęśliwy, że nie jedziecie z nami?”.

„Szczęśliwy” - pomyślał Morell - „to słowo istotnie odpowiednie..”. Była już prawie noc. Mieli pozostać sami w tej pływającej trumnie przez przeszło dwanaście godzin oddanych ciemności. Mogli patrzeć na śnieg i słuchać szumu morza, i cieszyć się towarzystwem zmasakrowanych trupów na pomoście. „Szczęście to pojęcie dość względne” - zaczął dyktować Rose’owi, lecz nagle się rozmyślił. Humor nie licował z tą chwilą.

- Odpowiedzcie: „Wszystko w porządku” - rozkazał krótko. Zawołał Tonbridge’a i Evansa i wrócił wraz z nimi na pomost. Musieli zacząć robotę od tego miejsca.

Morell nie miał już nigdy zapomnieć tej nocy. Korzystając z resztek światła dziennego, zabrali się do oczyszczania pomostu. Błogosławili cienie zmierzchu, dzięki którym mogli znieść jakoś tę wstrętą babraninę. Pracowali w milczeniu, dysząc ciężko i nie patrząc na to, co robią. Szczątki, które musieli usunąć, znikwały równomiernie za burtą, a litościwie morze chowało je w swej głębi. Raz tylko Tonbridge przerwał milczenie:

- Szkoda, że nie ma gumowego węża - rzekł prostując się w kącie, gdzie grzebał się od kilku minut.

Morell nie odpowiedział, inni także milczeli. To miejsce, mimo iż przysłonięte mrokiem, mówiło samo za siebie.

Posilili się tym, co przywieźli z sobą, i herbatą ugotowaną na maszynie, którą znaleźli w kuchni. Potem urządzili się na noc w ciasnej kabince nawigacyjnej za pomostem. Mieli materace i kołdry oraz lampę, od której promieniowało ciepło. Było zupełnie nieźle jak na tę jedną noc poza własnym okrętem. Byłoby tylko nie zacząć myśleć.

Lecz Morell zaczął myśleć. Myśli zabiły nadzieję snu i wypędziły go na pokład. Bliskość ludzi śpiących tuż obok niego nie dodawała mu otuchy. Przeciwnie, drażniło go, że tamci znaleźli jednak ulgę. Wiedział, że jeśli zostanie z nimi dłużej, to zmyśli jakiś pretekst, żeby ich zbudzić. Cicho zstępował po trapie, a przemierzając pokład między dziobówką a pomostem, starał się tłumić oddech. Ostrożnie, jak spiskowiec, odsunął na bok brezentową zasłonę u wejścia do pomieszczeń dziobowych. Postąpił naprzód i poczuł ziejącą pustkę. Potarł zapalną. Znajdował się w obszernej mesie, zaludnionej chybottliwymi cieniami i wypełnionej ciszą opuszczenia. Znów rozbłysła zapalną. Zobaczył długi stół, na nim rzędy talerzy, a na talerzach nie dojedzone mięso, pokruszone kawałki chleba, noże i widelce odrzucone pospiesznie w chwili katastrofy. Nikt nie dokończy tych potraw. Ludzie, którzy odłożyli w popłochu widelce i noże,

prawie na pewno już nie żyją. Myślę obrazkami, fotografiami - zdziwił się Morell. Zapalka zamigotała i zgasła. Lecz fotografia warta jest tyleż, co świeżo ukuta myśl, skoro rzeczywistość, której ma być odbiciem, napiera z tak bliska, dociskana ogromnym ciężarem faktów.

Czuając za plecami ścigające go widma, wyszedł na zasypyany śniegiem górny pokład i dotarł na rufę. Wiatr jęczał w olinowaniu dziwną, skowyczącą melodią, woda bulgotała tuż pod stopami. Statek był niespokojny, pragnął zmagać się z falą jak dawniej. Morell nie znalazł spokoju ani otuchy na otwartym powietrzu. Zbyt wiele cieni skradało się dokoła, zbyt wiele niespodzianek mogło się czaić w nieznanych zakamarkach pokładu. A gdyby miały go spotkać inne niespodzianki? Gdyby statek nie był zupełnie opuszczony? Z najbliższego ciemnego kąta może na niego wyskoczyć obłąkany marynarz z siekierą. A gdyby odkrył świeże odciski stóp na śniegu, tam gdzie nikt z nich nie chodził?

Jakiś cień poruszył się u samej podstawy masztu. Morell zdusił krzyk, ściskając mocno pięści w kieszeniach płaszcza. Cień znowu się poruszył i przemknął nieco dalej.

- Stój! - wrzasnął Morell.

Kot miauknął cicho i uciekł.

Wstał ranek, a jego śladem nadeszła *Compass Rose*. Nie miała żadnych wiadomości - ani o łodzi, ani o rozbitkach. W pewnym sensie i Morell nie miał nic szczególnego do zameldowania. Z *Compass Rose* najpierw podano rzutkę, następnie cienką linę z kokosowego włókna i w końcu gruby hol. Na wraku nie było windy, więc ludzie Morella musieli ciągnąć ręcznie, niemalże cał za calem, zmagając się z martwym ciężarem stalowego holu. Zdawało się, że nie zdołają dociągnąć do burty. W końcu jednak zamocowali linę i dali sygnał na korwetę. Zaczęła się podróż powrotna ze statkiem na holu.

Nawet przy spokojnej pogodzie nie mogli robić więcej niż trzy węzły. Tak więc przez dziesięć dni wlekli się w żółtym tempie, nim dobrnęli do celu. Co rano, ledwie się rozwidniło, Morell machał na powitanie ręką do Lockharta. Co wieczór, gdy zabrzmiał gwizdek na zaciemnienie okrętu, Lockhart tym samym gestem przesyłał Morellowi „Dobranoc”. Dzień za dniem i noc za nocą pęłżyły dwa statki przez ocean, oba równie bezużyteczne poza tym jednym celem, związane z sobą holem jak pępowina i wystawione niemal w bezruchu na cel pierwszego okrętu podwodnego, który zechce je dostrzec. Gdy wreszcie w ujściu Mersey statki rozdzieliły się i Morell mógł wrócić na korwetę, zdawało mu się, że strząsnął z siebie koszmarny sen, z którego nie miał nadziei obudzić się żywy.

- Żałujesz, że już koniec? - zakpił Lockhart, gdy Morell wszedł na pomost korwety.

- Nie - odparł Morell, skubiąc palcami brodę wyhodowaną w ciągu dziesięciu dni. - Nie, nie żałuję. - Obejrzał się na statek stojący za rufą, którym teraz zajęły się holowniki portowe. - Śmiem nawet twierdzić, że te historie o więźniach wypuszczonych na wolność, którym dokucza brak łańcuchów, to płód powieściopisarskiej fantazji i słabego pojęcia o życiu.

Był okres, dla którego nie mieli właściwej nazwy, najczęściej jednak mówili o nim jako o Spotkaniu Dowódcy.

Było to w rejsie do Gibraltaru, rejsie zgodnym ze złą tradycją większości gibraltarskich konwojów. W drodze na południe tracili statek za statkiem i choć tylko dwa dni dzieliły ich od końca podróży, zaciekle stado okrętów podwodnych szło wciąż za nimi trop w trop. Ericson interesował się specjalnie statkiem idącym na czele konwoju. Często przez kilka minut nie odwracał od niego

szkieł swej lornetki, a z pierwszym brzaskiem biegł wzrokiem właśnie do tego statku. Przetrwał on cało do ostatniego dnia. Lecz gdy po strasznej nocy świt znów rozjaśnił niebo, nie było już tego statku na zwykłym miejscu - zajął je statek następny z kolei.

Rankiem, jak co dzień, dostali sygnał od *Viperous*: „Następujące statki zostały zatopione ostatniej nocy: *Fort James*, *Eriskay*, *Bulstrode Manor*, *Glen Mac Curtain*. Poprawcie odpowiednio listę konwoju”.

W wyrazie twarzy Ericsona, gdy czytał ten sygnał, było coś niezwykłego, co kazało im powstrzymać się od uwag. Stał na pomoście przez całą godzinę, milczący, zapatrzony w konwój. Nagle zwrócił się do Wellsa:

- Zapiszcie sygnał... „Do eskortowców konwoju od *Compass Rose*. Dajcie nam znać o wszystkich rozbitkach uratowanych z *Glen Mac Curtain*”.

Odpowiedzi napływały powoli i nie brzmiały wesoło. *Viperous* i jeszcze dwa eskortowce powiadomiły, że nie mają nikogo z tego statku. Od korpety idącej na tyle konwoju dostali sygnał: „Dwóch marynarzy i jeden palacz chiński”. Okręt, który prowadził akcję ratowniczą, nadał wiadomość: „Pierwszy oficer, dwóch marynarzy, jeden palacz i pięciu Hindusów”.

Czekali, lecz wyglądało na to, że to już koniec. *Glen Mac Curtain* musiał szybko zatonać. Ferraby stał na wachcie i odważył się zagadnąć dowódcę:

- Niewielu ich wyciągnęli, panie kapitanie?

- Tak, niewielu - rzekł Ericson. Obejrzał się na horyzont za rufą, podszedł do swego krzesła i opadł na nie ciężko.

Nagle statek handlowy idący w tyle konwoju zaczął nadawać im sygnał. Wells przyjmował, burcząc pod nosem niecierpliwie.

- Wiadomość z polskiego statku, panie kapitanie - rzekł do dowódcy. - „Przez pomyłkę przyjęliśmy wasz sygnał” - czytał. - „Mamy jednego rozbitka z *Glen Mac Curtain*”.

- Spytajcie o nazwisko - rzekł Ericson. Głos jego brzmiał spokojnie, lecz można w nim było wyczuć tak niezwykle napięcie, że wszyscy na pomoście mimo woli utkwili wzrok w dowódcy.

Wells nadawał pytanie bardzo powoli. Oczekiwano z niecierpliwością. Kiedy z polskiego statku zaczęto nadawać sygnał, Wells odczytywał od razu, w miarę jak nadawano:

- To czwarty oficer - mówił głośno. A potem literował: - E-r-i-c-s-o-n. - Wells obejrzał się szybko. - Ericson... Tak samo się nazywa jak pan kapitan.

- Tak - odparł Ericson. - Dziękuję wam, Wells.

Był okres, ważny właściwie tylko dla Lockharta, który on nazwał Czasem Poparzonego Rozbitka.

Na ogół nie zajmował się zbytnio doglądaniem rannych i chorych rozbitków. Sanitariusz Crowther był dość inteligentny i dobrze przygotowany fachowo, toteż jeśli liczba potrzebujących pomocy nie przekraczała możliwości jednego człowieka, zostawiał go samego z jego robotą. Jednak od czasu do czasu zdarzała się w tym ciężkim roku szczególnie duża porcja rannych i wyczerpanych rozbitków, którym niezbędna była natychmiastowa pomoc. Właśnie podczas takiej sytuacji, gdy noc rzuciła im na pokład plon blisko czterdziestu rozbitków z dwóch różnych statków, Lockhart powrócił do swej dawnej funkcji lekarza okrętowego.

Mała, dwuosobowa izba chorych była już oczywiście zapełniona. Robota, do której miał się zabrać, czekała jak za dawnych czasów w pomieszczeniach dziobowych. Tym razem

zatłoczona, źle oświetlona przestrzeń nie wywołała w nim prymitywnej reakcji buntu i obrzydzenia jak ongi, przed dwoma laty, gdy wszystko to było dla niego nowością pełną udręki. Lecz nic nie zmieniło się w samym obrazie - nie był on wcale łagodniejszy, mniej wstrząsający ani mniej wstrętny. Tak samo leżeli rzędem ludzie przemoczeni do nitki, usmarowani i brudni, drżący z zimna. Tak samo śmierdziało ropą i wodą morską. Taki sam wyraz ulgi na jednej twarzy, a na innej wspomnienie przeżytych okropności. Zupełnie tak samo jedni pili herbatę, inni wyszarpywali z siebie wnętrzności w wymiotach, a jeszcze inni opowiadali swą historię każdemu, kto chciał słuchać. Crowther ułożył w jednym kącie tych wszystkich, którym potrzebna była pomoc. I tutaj ten sam, dobrze znajomy obraz: ranni, bezsilni marynarze, cierpiący i lękający się śmierci, i tacy, którzy w straszliwej męce modlą się tylko, by prędzej umrzeć.

Crowther pochylił się nad jednym z tych ostatnich. Odciał nogawkę brudnego kombinezonu i odsłonił zmiażdżone kolano. Lockhart obejrzał resztę rozbitków i zorientował się natychmiast, któremu najpierw należała się pomoc.

Przeszedł pod drugą ścianę i przystanął przy marynarzu, którego ostrożnie podtrzymywało dwóch kolegów. Trudno było uwierzyć, że był jeszcze przytomny, że mógł dać wyraz swej męce. Zgodnie z wszelkimi regułami powinien już nie żyć, a nie jęczeć i usiłować wyszarpnąć coś ze swojej piersi. Odniósł głębokie, okropne poparzenie trzeciego stopnia, od szyi aż do pasa. Cała powierzchnia oparzenia obnażona była ze skóry i upieczona, jakby trzymano go zbyt długo nad ogniem na nieruchomym rożnie. Nic dziwnego, że zalatywało od tego człowieka jakimś kuchennym zapachem, niewymownie odrażającym. Co musiał czuć, gdy słona woda morska dotknęła jego ciała, tego nie można sobie wyobrazić.

- Buchnęło z kotła - wyjaśniał jeden z podtrzymujących go marynarzy. - Dostał w piersi palącą się ropą. Da się go jakoś urządzić, panie poruczniku?

- Urządzić - pomyślał Lockhart. - Chciałbym go urządzić od razu w trumnie.

Przewyciężając odręę zbliżył się do strasznej maskary. Ponad spalonym, popękanym mięsem twarz tego człowieka - bez rzęs i brwi, z wypalonymi włosami nad czołem - była zupełnie bez wyrazu i jakby nieprawdziwa. Lecz oczom nie brakowało wyrazu, oczom roztopionym w bóle i zdumieniu. Gdyby mógł schylić głowę i spojrzeć na własne piersi - przeszło Lockhartowi przez myśl - dałby spokój wszystkim zmartwieniom i poprosiłby z miejsca o rewolwer. Odwrócił się i krzyknął do Crowthera:

- Co jest na oparzenia?

Crowther pogrzebał w torbie sanitarnej.

- Ta maść! - zawołał i podał najbliższemu stojącemu.

Dziesięć gorliwych rąk podało ją dalej, aż do Lockharta, jakby przekazując eliksir życia. W istocie była to mała tubka wypełniona maścią, jak tubka pasty do zębów. Na wierzchu miała etykietkę z uśmiechniętym dzieciakiem i napis: „Przynosi ulgę przy wszelkich oparzeniach. Stosować w niewielkich ilościach”.

:Stosować w niewielkich ilościach” - zastanawiał się Lockhart. - „Gdybym smarował tak oszczędnie jak proszkiem z platyny, to i tak trzeba by zużyć ze dwie tony tej maści”. Stał z tubką w ręku i przypatrywał się znowu poparzonemu miejscu. Marynarz podtrzymujący chorego chciał mu dodać otuchy:

- Jest już pan doktor. Zobaczysz, zaraz cię doprowadzi do porządku.

Spojrzenie bezrzęsych oczu uniosło się powoli i spoczęło na twarzy Lockharta z takim wyrazem, jakby sam Chrystus pochylał się nad nędzarzem.

Lockhart wziął kawał waty, nałożył maść i przełknął ślinę, by pokonać uczucie mdłości. Zaczął bardzo ostrożnie smarować pierś rozbitka. Przedtem powiedział jeszcze:

- To maść kojąca.

„Powinien krzyczeć” - przyszło mu nagle na myśl i omal nie zatkał uszu. Na staroświeckich obrazkach można było oglądać wrzeszczącego mężczyznę, nad którym znęcał się chirurg-cyrulik, a przyjaciele chorego raczyli go rumem albo po prostu ogłuszali drewnianym młotkiem. Okropne było to, że poparzony marynarz był wciąż przerażająco żywy. Wyrывał się i szarpał w rękach dwóch trzymających go ludzi, podczas gdy Lockhart, smarując go i gładząc z macierzyńską czułością, odrywał jedną po drugiej kolejne warstwy mięśni. Bo drugą okropnością było to, że nawet najostrożniejsze dotknięcie zabierało wraz z watą kawałek po kawałku spaloną tkankę.

Lockhart zauważył, że ludzie otaczający go pierścieniem zamilkli. Nie mógł widzieć, lecz czuł, jak ich twarze ściągają się grymasem litości i wstrętu, gdy on coraz głębiej wprowadzał maść i wyjmował strzępki martwego ciała, jak płatki spękanej farby. Jak długo mam to robić? - zastanowił się w pewnym momencie, ujrzawszy bez zdziwienia odsłonięte żebro, nagie i lśniące, niezwykle czyste i surowe. - Przecież to nic nie pomoże - snuł w myśli swój monolog, gdy tamten w końcu zemdłał, a dwaj podtrzymujący go koledzy spojrzeli na Lockharta pytająco, z wyrazem zwątpienia. Maść już się kończyła. Zmasakrowana pierś straszyla pustką jak fundamenty zburzonego domu. Umrzyj nareszcie! - pomyślał prawie głośno, smarując spalone miejsce przy szyi i obnażając znów warstwę mięśni tak wyraźnych, jak na rysunku w podręczniku. Proszę cię, już się nie broń i umrzyj, bo ja nie mogę dłużej, ale nie mogę też przestać, dopóki żyjesz.

Ludzie stojący w tyle syknęli nagle. Pod delikatnym dotknięciem Lockharta nowy płat tkanki oderwał się i przywarł do

waty. Crowther, zaciekawiony kręgiem milczących ludzi skupionych pod ścianą, podszedł i ukląkł obok Lockharta. Po chwili spytał cicho, potrząsając w zwątpieniu głową:

- Czy to warto, panie poruczniku?

A Lockhart dalej smarował i myślał: Robię to przecież cudownie. Dadzą mi zajęcie w fabryce konserw. Trochę krwi spłynęło na odsłonięte żebro. Otarł je watą natychmiast, jakby zawstydzony swą niezręcznością. Przepraszam, to pewno moja wina. I znowu: Umrzyj! Błagam cię, umrzyj! Robię wariata z siebie i z ciebie także. I tak nic z ciebie nie będzie. Zobaczysz, urządzimy ci porządny pogrzeb.

Nagle chory otworzył oczy. Popatrzył na Lockharta z głębokim, przerażająco wymownym zdziwieniem, jakby usłyszał jego myśli i wiedział już teraz, że to nie przyjaciel dotyka jego ran, lecz zdrajca. Ciało chorego skręciło się z bólu, spalona pierś zadrgała spazmem cierpienia.

- Spokojnie, Jock - powiedział jeden z kolegów.

Och, umrzyj - modlił się Lockhart wyciskając ostatek maści na watę. Przyłożył ją do mięśnia na ramieniu, który natychmiast ustąpił i oddzielił się od ścięgna. Umrzyj! Ulituj się nad nami i umrzyj!

Głośno powtórzył idiotyczne słowa:

- To jest maść kojąca.

Lecz na usta cisnęły się inne: Umrzyj! Dlaczego się upierasz? - Wszyscy już mają dosyć. Ty sam miałbyś już dosyć, gdybyś mógł na to patrzeć. Błagam cię, umrzyj!

I nagle... och, o wiele za późno! - poparzony marynarz posłusznie wyzionął ducha.

Był także Czas Szkieletów.

Pewnego letniego dnia, już późnym popołudniem, *Compass Rose* szła spiesźnie za konwojem. Straciła wiele godzin na daremne szukanie samolotu, który zgodnie z otrzymanym sygnałem miał spaść na morze daleko na południe. Nie odnaleźli samolotu ani żadnego śladu po nim. *Viperous* dał im przez radio rozkaz: „Dołączyć natychmiast”, spieszyli więc, by dognać konwój przed nocą. Ocean był gładki jak szkło, a niebo blade i niepokalanie błękitne. Korzystając z ostatnich ciepłych promieni słońca marynarze włączyli się po górnym pokładzie obnażeni do pasa. W takim dniu nie chciało się nic robić dokładnie - ot, tylko sunąć przed siebie bez wyraźnego celu i niezbyt szybko. Szkoda, że jednak trzeba było iść z większą szybkością. W dodatku na ekranie radaru pojawił się „podejrzany kontakt” o kilka mil w bok od ich kursu. Nie było innej rady - musieli zboczyć i przeszukać niepewny obszar.

- Bardzo małe echo - tłumaczył się radarzysta. - I dosyć mętne.

- Bezpieczniej sprawdzić - rzekł Ericson do Morella, który go wezwał na pomost. - Nigdy nie wiadomo... - Uśmiechnął się. - Co to panu przywodzi na myśl: małe i mętne?

Morellowi przywodziło to na myśl niedużego człowieka idącego zygzakiem wzdłuż Regent Street po przehulanej nocy. Ale zawstydził się tej myśli i odpowiedział:

- Może być jakiś wrak, panie kapitanie. Albo okręt podwodny nie bardzo wynurzony.

- Albo delfiny - dokończył Ericson, tym razem w lepszym humorze niż normalnie, kiedy go obudzono. - Albo też glony morskie i wielkie pchły piaszkowe skaczące po wierzchu. W każdym razie diabli to nadali. Wcale nie mam ochoty tracić czasu.

Okazało się jednak, że stracili bardzo niewiele czasu, bo *Compass Rose* szybko przebyła tę przestrzeń, a to, co odkryli na miejscu, nie zatrzymało ich długo. Najlepsze oczy na okręcie miał Wells, toteż on pierwszy dostrzegł jakieś punkciki na powierzchni morza. Punkciki te stopniowo rosły, aż w końcu, w odległości mili, zmieniły się w ludzkie ramiona, i głowy, w wiązkę ciał pływających na wodzie.

- Mój Boże, to rozbitki! - zawołał dowódca. - Ciekawe, od jak dawna pływają.

Wkrótce mieli się tego dowiedzieć. *Compass Rose* podsunęła się bliżej, marynarze stanęli przy relingu wpatrując się w grupkę ludzi zagubionych wśród morza. Ericsonowi przypomniła się chwila, niezbyt odległa, gdy tak samo spieszyli w kierunku ludzi miotających się w wodzie, spieszyli po to, by wybić, wymordować ich wszystkich. Teraz będzie inaczej - myślał wydając rozkaz zmniejszenia obrotów. Teraz będzie mógł tamto naprawić.

Nie potrzebował zadawać sobie trudu zmniejszania szybkości. Mógł być tak samo dobrze przebić się przez nich całym pędem, jak wtedy. Zdziwiło go, że rozbitkowie nie machają rękami, nie krzyczą do *Compass Rose* uświęconym zwyczajem wszystkich rozbitków. Zdziwiło go, że żaden nie próbuje podpłynąć w kierunku okrętu, by prędzej przeskoczyć przepaść między śmiercią a życiem. Wtem, patrząc przez lornetkę, zrozumiał, że nie mają już żadnej przepaści do przebycia. Bo ludzie wynurzający się z wody, podtrzymywani w stojącej pozycji przez pasy ratunkowe, nie mają już ludzkich rysów. Od wielu, wielu nocy i dni pływają tu szkielety.

Było coś niewiarygodnie wstrętnego w widoku tej gromadki bezwstydnie rozrzuconych trupów z wyblakłymi twarzami i białymi, bezwłosymi czaszkami, skupionej ciasno, jak ludzie na przystanku oczekujący na autobus, który przeszedł dwadzieścia lat

temu. Naliczyli ich dziewięć. Unosiły się w wodzie, nie dalej niż cztery albo pięć metrów jeden od drugiego. Tu i ówdzie ciała złączyły się z sobą, jakby w uścisku. *Compass Rose*, okrążając to miejsce, pozostawiała falę, na której trupy rozbitków podskakiwały i kłaniały się sobie niby tancerze w jakimś piekielnym balecie.

Dziewięciu - myślał Morell wstrząśnięty ich widokiem. - Jak należałoby nazwać tę gromadkę? Szkoła czy może korpus szkieletów?

Nagle zauważył - i wszyscy to spostrzegli - że trupy były połączone liną. Brudne, postrzępione odcinki liny, przewiązanej wpół ciała każdego, zwisały i ciągnęły się w wodzie.

Gdy fala wzbudzona przez korwetę odepchnęła od siebie dwa trupy, łącząca je lina napięła się gwałtownie, uderzając z gniewnym pluskiem o wodę. Pozostałe szkielety kiwały się i składały ukłony, jak gdyby pochwalając ten dowód koleżeństwa.

- Ależ to koszmar - wzdrygnął się Ericson. - Człowiek bałby się śnić o takich rzeczach.

A *Compass Rose* wciąż krążyła. Przyglądała się makabrycznej kompanii trupów. Musiały pływać tu od wielu miesięcy. Pod żółkłą skórą nie zostało już ani włókienka ciała, ani wspomnienia ciepła i męskiej prężności. Umarli i umierali wciąż, nawet za progiem śmierci, poza tą chwilą, kiedy ostatni z żywych odnalazł wieczysty spokój.

Zawahał się, czy nie należy ich wyłowić, lecz wiedział, że nie może tego uczynić. *Compass Rose* spieszyła się bardzo. Cóż im to pomoże, jeśli wyłowi ich z wody i pozaszywa w brezent i... z powrotem odda ich morzu? A jednak...

- Ale dlaczego są związani? - pytał w zdumieniu Morell, gdy korweta, okrążywszy po raz ostatni fatalne miejsce, oddalała się pozostawiając trupy za sobą. - To przecież nie ma sensu.

Ericson myślał już o tym.

- Mogło mieć sens - rzekł bardzo cicho. - Jeśli płynęli w łodzi i fala zalewała im łódź, mogli powiązać się liną, żeby nie pogubić się w nocy. W ten sposób istniała większa szansa, że ktoś ich wyratuje.

- I nikt ich nie wyratował - stwierdził Morell po chwili.

- Tak, nikt ich nie wyratował. Chciałbym wiedzieć, jak długo... - Lecz nie dokończył zdania lub raczej dokończył je w myśli.

Chciał wiedzieć, jak długo konali ci ludzie. I co się działo z innymi, gdy umarł pierwszy? Co się działo, gdy wymarła połowa? Jak czuł się ten ostatni pozostały przy życiu, ciągnąc za sobą, niby potworny ogon, martwe ciała kolegów nanizane na linę, wciąż dysząc nadzieją, lecz świadom zarazem, że zmarli towarzysze skazują go na śmierć.

Możliwe - rozmyślał Ericson - że w końcu zwariował i pragnął uciec, odpłynąć od nich. Holował te osiem ciał i krzyczał, póki nie stracił sił i przytomności; a wtedy zrezygnował, zawrócił i dołączył do tamtych.

Ot, i gotowa powieść...

Był czas, czas najgorszy ze wszystkich, w którym przejrzał się jak w zwierciadle cały ocean zasłany trupami - Czas Płonącego Zbiornikowca.

Załoga *Compass Rose*, podobnie jak marynarze z innych okrętów eskorty, miała wprost bezgraniczny podziw dla tych, którzy pływali na zbiornikowcach. W ciągu całego rejsu, trwającego trzy lub cztery tygodnie, ludzie ci żyli jakby na beczce z prochem. Ładunek, który wieźli, był krwią dla organizmu wojny, lecz był zarazem najbardziej niebezpiecznym ładunkiem.

Dość jednej torpedy, jednej niewielkiej bomby lub nawet zbłąkanej kuli z cekaemu, by cały statek zmienił się w płonącą pochodnię. Nieraz zdarzały się takie wypadki w konwojach, którym towarzyszyła *Compass Rose*. Nieraz patrzyli na śmierć tych nieszczęśliwców lub wyławiali z morza resztki załogi zbiornikowca. Uratowani, natychmiast po przybyciu do portu bez chwili wahania zgłaszali się do tej samej służby. Ci ludzie, wydatkowani na koszty wojny, to były prawdziwe „talony benzynowe”, które umiano wyszachrowywać w garażu, na rogu ulicy. Ilekroć marynarze widzieli lub czytali w gazetach, że kradnie się lub marnotrawi benzynę, natychmiast poza skromnym tytułem, poza żartem kabaretowym wyobrażali sobie koszt tej benzyny w przeliczeniu na życie ludzkie. Wtedy wzbierał w nich gniew, wzbierało obrzydzenie.

Tak więc nie inny statek, lecz właśnie zbiornikowiec zgotował załodze *Compass Rose*, patrzącej na jego śmierć, najokropniejsze przeżycie w całej tej wojnie.

Polubili go bardzo. Wśród pięćdziesięciu statków w konwoju zmierzającym do Anglii tylko ten jeden zbiornikowiec stanął na drodze nieszczęściu. Mieli dla niego sentyment, tak jak czasem przywiązywali się do statków znanych z poprzednich konwojów albo do takich, które miały dziwaczne kominy, lub wreszcie i do takich, które łąły, jak to one potrafią dotrzymać kroku całemu konwojowi. Tym razem źródłem ich sentymentu był fakt, że zbiornikowiec stanowił cel numer jeden dla okrętów podwodnych atakujących konwój. W ciągu kolejnych trzech nocy zatopiły statek idący przed nim i bezpośrednio za nim, a także statek w sąsiedniej kolumnie, tuż obok. Im bliżej byli lądu, tym goręcej pragnęli doprowadzić go bezpiecznie do portu. Lecz szczęście odwróciło się od ich faworyta. Ostatniego dnia na pełnym morzu, gdy wzgórza Szkocji miały już-już wyłonić się zza horyzontu,

nieprzyjaciół dopadł swojego celu. Śmiertelny cios ugodził w zbiornikowiec.

Było piękne, słoneczne popołudnie. Jak zwykle, nadeszło ostrzeżenie, jak zwykle, czekali na atak. Znajomy wybuch targnął trzewiami morza. Ze statku, który mieli osłaniać, wzbil się gigantyczny, kłębiasty słup dymu i płomieni. Po minucie długi, wysmukły kadłub stał cały w ogniu.

Statki idące z obu stron zbiornikowca i za nim odsunęły się w tył i na boki, jak ludzie, obchodzący dokoła wyrwę na gładkiej drodze. *Compass Rose* natychmiast ruszyła na pomoc. Ale nikt jeszcze nie obmyślił pomocy, która by mogła przydać się na cokolwiek statkowi ugodzonemu w ten sposób. Już w momencie wybuchu ropa wyrzucona w powietrze, spadając oblała statek ogniem. Teraz zaś, gdy coraz więcej ropy tryskało z kadłuba i rozlewało się dokoła na wodzie, zbiornikowiec znalazł się w samym środku olbrzymiego pożaru. Jedyna luka w zwartej ścianie płomieni pozostała w pobliżu dziobu. I właśnie tam, na pokładzie dziobowym, zaczęła się gromadzić załoga. Drobne figurki biegly i potykały się w szalonym wyścigu o szansę ocalenia. A ludzie z *Compass Rose* patrzyli. Figurki wymachiwały rękami, krzyczały i zastęgały w niepewności na chwilę przed skokiem. *Compass Rose* podsunęła się jeszcze, jak mogła najbliżej. Wołali do tamtych, by się nie bali i próbowali szczęścia. Nawet z tej odległości czuć było na korwecie nieznośny i niebezpieczny żar. Krzyki rozpacz i strachu, ludzie miotający się w zbitej gromadzie, a za nimi statek huczący ogniem za zasłoną dymu i palącej się ropy - wszystko to razem tworzyło najprawdziwszy obraz piekielnych czeluści i potępienia.

Na dziobie zebrało się koło dwudziestu ludzi. Jeśli postanowili skakać, to niechaj skaczą prędko. Istotnie, po jednym, po dwóch, wahając się i rozmyślając, zaczęli skakać do morza. Raz po raz biały bryzg wody wzlatywał w górę na tle szarego kadłuba.

Wkrótce wszyscy byli już w morzu i płynęli ku *Compass Rose*. Z pomostu korwety, z ust marynarzy stłoczonych przy relingu, leciały ku nim okrzyki zachęty. Przestrzeń dzieląca rozbitków od okrętu kurczyła się coraz bardziej.

Nagle zobaczyli, że ropa, rozlewając się coraz szerzej na wodzie i ciągnąc za sobą płomienisty żagiel, posuwa się szybciej od najszybszego z płynących. Ludzie na *Compass Rose* zauważyli to pierwsi, lecz rozbitkowie wkrótce spostrzegli się także. Płynąc krzyczeli, oglądali się w tył i w nagłym obląkaniu tłukli pięściami wodę, wyszarpywali drogę do życia.

Lecz jednego po drugim chwytaly ogniste szpony. Najpierw najstarszych, później tych, którym pasy nadęte powietrzem nie dały płynąć szybciej, wreszcie, na samym końcu, dzielnych pływaków bez pasów ratunkowych. Tym razem najgorszy był los silnych pływaków, bo i tak żaden nie był dość silny. Jednego po drugim doganiał krwiożerczy płomień, lizał gorącym językiem, spalał i pozostawiał za sobą.

Compass Rose nie mogła podsunąć się bliżej, by uratować choćby tych kilku, którzy już do niej podpływali. Ciemne, śmierdzące kłęby dymu zakryły niebo i przysłoniły słońce. Marynarze na górnym pokładzie spływali potem. Mając własny ładunek paliwa i amunicję, nie mogli podejść bliżej. Nie mogli tego zrobić nawet dla nieszczęśliwców skwierczących w ogniu, których twarze skurczone szpetnym, nieludzkim grymasem strachu rozdzierały się krzykiem: Ratunku! Wkrótce musieli ustąpić przed duszącym żarem, cofnąć się i porzucić tych, którzy jeszcze walczyli. Ryzyko było śmiertelne, musieli uznać się za pokonanych.

Czekali w niewielkiej odległości, zupełnie bezradni. Nikt się nie ruszył na pomoście, nikt nie przemówił słowa. Marynarz na oku, młodziutki chłopiec, ledwie siedemnastoletni, płakał patrząc na pożar. Nie szlochał, łzy spływały mu cicho po policzkach. Któż

umiałby powiedzieć, jakie to były łyzy - gniewu, litości czy gorzkiego żalu na widok ludzi ginących okrutną śmiercią, żalu, że nie można im pomóc? *Compass Rose* stała w miejscu, aż wszyscy wyginęli, aż cały fatalny krąg ze statkiem pośrodku i ze wszystkimi ludźmi zamknął się równym, nieubłaganym pierścieniem ognia. Wtedy dopiero odpłynęli. Po drodze oglądali się często. Z odległości pięćdziesięciu mil widzieli jeszcze ciemną kolumnę dymu. O zmroku luna świeciła na horyzoncie i czasem zamigotał daleki płomień. Oczywiście ludzi tam już nie było, płonął tylko olbrzymi stos pogrzebowy.

3.

Znów nadszedł termin długiego urlopu.

Każdy następny urlop różnił się od poprzedniego - posuwał naprzód albo hamował to, co zaczęło się przedtem. W czasie tej wojny nic nie trwało w bezruchu, w żadnej absolutnie dziedzinie. Lata mijały pożerając nie tylko ludzi i bogactwa, lecz także porywając za sobą normalny nurt życia. Nic nie czekało w miejscu, nikt nie zwlekał do końca wojny z rozpoczęciem nowego rozdziału. Mężczyźni starzeli się lub dojrzewali, kobiety kochały ich coraz bardziej lub coraz mniej albo zaczynały kochać na nowo. Dzieci przychodziły na świat, jedzenie psuło się coraz bardziej, nadchodziły terminy płatności, wujek umierał i zostawiał dziwaczny testament, matka sprowadzała się do wspólnego mieszkania, farba zaczynała odpadać z sufitu w łazience. Czasem, z powodu wielkiej odległości i rozstania, trudno coś było poradzić na tę farbę albo na dziecko, albo na większe czy mniejsze kochanie. Mężczyźni nie mieli wyboru - musieli mieć nadzieję i ufać, dać się uspokajać lub zdradzać, a po powrocie godzić się z

tym, co zastali. Odległości były naprawdę zbyt wielkie, a nie łącząca ich z domem czasem zbyt wąta, by i tam mogli odgrywać swą rolę równie skutecznie, jak na morzu. Morze zaś miało pierwszeństwo i nikt nie pytał, jak im się to podoba.

Dziecko starszego marynarza Gregga nie było udane. Postanowił wcale nie myśleć o jego pochodzeniu. Mógłby o tym zapomnieć, gdyby dziecko brało za serce, gdyby było wesołe albo po prostu zdrowe. Ale było inaczej i dlatego nie mógł nie widzieć w chorowitym, wrzeszczącym dzieciaku pamiątki po wysokim mężczyźnie, Walterze jakimś tam, który dał nogę dokonawszy zbrodni. Tęsknił do tego urlopu, do obcowania z Edytą i zobaczenia jej dziecka. Ale teraz poznał to dziecko aż nazbyt dobrze. Blade, chuderlawe, niezaprzeczenie brudne, wypełniało dom wrzaskiem od góry do dołu i ozdabiało brudnymi pieluchami większą część kuchni. Co do Edyty... Tak, nie był już pewien, czy może cośkolwiek powiedzieć o Edycie.

Zwątpienie ogarnęło go wtedy, gdy pewnego wieczoru, wracając z dłuższej wyprawy po zakupy, minął wychodzącą z ich domu obcą kobietę w średnim wieku, w mundurze Ochotniczej Służby Kobiecej. Spojrzała na niego pytająco, a gdy usunął się na bok, by ją przepuścić, uśmiechnęła się jakoś niechętnie. Przez chwilę patrzył podejrzliwie za postacią znikającą w głębi ulicy, a potem wszedł do kuchni. Zobaczył to, co zawsze: na sznurku nad płytą kuchenną i na wieszakach do ubrań suszyły się rzeczy dziecka; ono samo popłakiwało w łóżku. Wśród zmieszanych zapachów jedzenia, siuszków dziecięcych i przypalonych pieluch Edyta siedziała przy ogniu, zaczytana w filmowym magazynie.

Rzucił czapkę na stół kuchenny i zapytał:

- Kto to był tutaj?

Edyta uniosła powieki:

- Jak to kto?

- No, ta kobieta.

- Ach, ta... - wzruszyła ramionami udając obojętność. - Taki tam szpicel z dobroczynności.

- Z jakiej dobroczynności?

- No, z dzielnicowej rady opiekuńczej. Posyłają takie do domów. Nie mają widać nic ciekawszego do roboty.

Gregg postanowił raz wreszcie wyjaśnić to wszystko. Usiadł naprzeciw żony.

- No dobrze, ale po co w ogóle tu przychodziła?

Edyta ziewnęła, nie podnosząc oczu znad pisma.

- Ot, po prostu zaczęła przychodzić. Niby odwiedzać dziecko. To taka społeczna praca.

- Ale co powiedziała?

- Powiedziała, że będzie go doglądać.

- To znaczy... karmić, tak?

- No tak. I siedzieć przy nim ciągle.

- Przecież ty siedzisz z dzieckiem, prawda?

- Pewnie, że siedzę. Nie wypytuj tak, Tom. Powiadam ci, ona tylko wsadza noc w cudze sprawy. Całe to wezwanie... Bezczelna stara suka. Jej to na pewno żaden nie próbował zrobić dzieciaka.

- Wezwanie...? - Gregg podniósł się z krzesła ze zmarszczonym czołem. - Mów, co to wszystko ma znaczyć?

- Ktoś zrobił donos - rzekła Edyta niechętnie, ociągając się. - Dziecko płakało jednej nocy.

- No dobrze, i co dalej?

- Myśleli, że zostawiłam je samo. Ale ja tylko spałam. Tom, słowo honoru. Nie słyszałam, że płacze, i tyle. A ktoś poleciał donieść.

- Dlaczego nie mówiłaś mi o tym?

- A cóż tu jest do mówienia? - odparła bez troski. - I tak nie mogą mi nic zrobić. Kupa wariatek.

- Ale to wstyd taka sprawa...

Jak tylekroć przedtem, znowu zastanawiał się, o ile można jej wierzyć. Mógł się tylko domyślać, zgadywać, co się działo w tym domu, gdy on był nieobecny. Mógł kierować się tym, co wyglądało na prawdopodobne. Zbliżył się do łóżeczka i popatrzył na dziecko, które grzebało w buzi drewnianą łyżką. W kącikach spierzchłych usteczek widać było zajady, a twarzyczka była drobna i chuda. Nóżki dziecka leżały na brudnym i zmiętym prześcieradle jak dwa blade patyczki. Szkoda, że nie potrafi mówić - pomyślał nie po raz pierwszy.

Odwrócił się do żony.

- Słuchaj, Edyta, czy nigdy nie zostawiasz dziecka samego? Może wychodzisz wieczorami?

- Ale co znowu!

- Ciekawe, dlaczego nie słyszałaś, kiedy płakało.

- Wiesz przecie, jak mam mocny sen.

Lockhart był także w Londynie. Zrobił aż cztery rzeczy, a potem utknął w miejscu. Najpierw poszedł na koncert. Potem odwiedził redaktora, dla którego pisał coś niecoś przed wojną, i sprzedał mu artykuł o korwetach, podlegający kontroli Admiralicji. Następnie wziął w łaźni kąpiel po turecku. W końcu zamówił nowiutki mundur z małym listkiem dębowym, który miał

oznaczać, że jego nazwisko było wymienione w rozkazie. Wszystko to razem zajęło mu dwa dni, po czym zaczął rozglądać się za czymś więcej i właściwie nie wiedział, co z sobą zrobić. Nie nudził się, żaden londyńczyk nie może się nudzić w Londynie. Po prostu w czasie urlopu życie jego pozbawione było ludzkiego sensu. Prawdziwym, żywym światem była dla niego korweta i nic poza tym. Z dala od niej był zawieszony w próżni, czekał, kiedy będzie mu wolno porzucić nieciekawe „życie na niby” i wrócić do rzeczywistości.

Oczywiście było to bardzo niemądre. Powinien przecież korzystać z urlopu. Ale na lądzie brakowało mu czegoś, co mogłoby nadać sens tej niezbędnej przerwie w służbie na morzu. Na przykład nie byłoby źle mieć kogoś, komu mógłby powiedzieć na końcu: do widzenia!

Później, gdy siedział już w pociągu na dworcu Euston i obserwował na peronie trzynastym odjeżdżających urlopowników, zachwiał się w swoich marzeniach. W atmosferze ogólnych pożegnań dawała się odczuwać obecność czegoś, co musiało zatruwać i przeszłość, i przyszłość. Pocałunki i łzy, spragnione usta, szukające na ślepo po raz ostatni ukochanych ust - wszystko mówiło o tym, że urlop był smutny, bo cień rozstania zmącił go od samego początku, że w domu i na morzu dla tej samej przyczyny przyszłość kielkować będzie jak ziarno samotnej tęsknoty. Łatwo zrozumieć, co oznacza tęsknota dla mężczyzny, dla jego sprawności i dobrego samopoczucia. Jest to nieunikniona część składowa wojny, lecz zarazem - kłoda na drodze jej postępu. Marynarzy nic nie powinno wiązać z lądem, jeśli mają pokazać, co potrafią w chwili ciężkiej próby. Wiecznie powracające marzenie o domu może im tylko przeszkadzać, bo sący słabość do serca i ćmi bystrość oczu, gdy oczy i serce powinny być czujne i mocne jak stal.

Gdybym kochał jakąś kobietę tak bardzo... - myślał Lockhart spoglądając ukradkiem na marynarza z *Compass Rose*, maszynistę, który żegnał się z żoną; na twarzach obojga malowała się rozpacz. - Gdybym za każdym razem wracając na okręt czuł się tak, jak on się czuje w tej chwili, musiałbym knocić następnego ranka każdą robotę.

Nim zdążył doprowadzić tę myśl do końca, zdał sobie sprawę, jak jest powierzchowna. Pociąg ruszył, pozostawił za sobą dworzec w Euston i podążał ku północy. Lockhart zastanawiał się nad tym, czy można stosować tego rodzaju zasady do wszystkich ludzi. Komuś czułość kochanki lub szczęśliwe pożycie małżeńskie mogło być właśnie niezbędne do udźwignięcia brzemienia wojny. Może dzięki tym sprawom, i tylko dzięki nim, potrafił funkcjonować i jakoś znosić to wojenne życie. A znów ktoś inny rozkleja się i rozprasza bez twardej, codziennej dyscypliny. I jeśli się nie podda surowej, niemal zakonnej regule, to nie będzie z niego pożytku na wojnie.

On sam... Cóż, nawet tego nie był zupełnie pewien. Przed wojną przywykł do towarzystwa kobiet. Potem wyrzekł się ich zupełnie i bezterminowo. Dotychczas czuł się z tym doskonale, lecz ostatnio przychodziło mu na myśl, że jakieś ustępstwo na rzecz, powiedzmy - ludzkich uczuć mogłoby ewentualnie okazać się korzystne.

Na przykład - ciągnął swe rozważania sadowiąc się do długiej nocnej podróży - ta blondyneczka z WAAF²² siedząca naprzeciw... co za przepyszne nogi, ich linii nie psują nawet brzydkie, szare pończochy. Ramiona tej dziewczyny muszą być miłe w dotyku. A oczy... Już teraz, w tak niekorzystnych warunkach, zerkają wcale obiecująco w jego stronę. Jak miękko,

²² WAAF (Women Auxiliary Air Force) - Kobięca Służba Pomocnicza Lotnictwa (przyp. tłum.).

jak głęboko zajrzałyby w serce te same źrenice, gdyby głowa dziewczyny spoczęła na poduszce.

Zmysłowy sen na jawie rozplynał się stopniowo w sennym marzeniu, które towarzyszyło mu długo w drodze na północ.

Ericson nie śnił na jawie, a w nocy też nieczęsto. Przed urlopem czuł się bardzo zmęczony i chciał po prostu nic nie robić, spać tylko i odpoczywać, i łązić po domu, aż znów czas będzie wracać na korwetę. Grace rozumiała go i była gotowa dostosować się do tego programu. Ale trzecia osoba w ich domu - teściowa Ericsona - nie mogła uwierzyć, że nie kryje się za tym żadna szczególna intencja. Było zupełnie jasne, że z jakiegoś powodu tłumaczy sobie jego rozleniwienie jako wyraz krytycznego stosunku do Grace czy do niej samej lub może do sposobu prowadzenia całego gospodarstwa. Starsza pani zrobiła się okropnie kłótliva. Ze swej fortecy przy kominku (kiedyś to było moje miejsce! - wzdychał żałośnie Ericson) ferowała wyroki i oznajmiała swe zdanie tonem niezwykle drażniącym, który wżerał się przykrym zgrzytem w jego tęsknotę za spokojem.

- Powinien więcej z tobą wychodzić - to był najmielszy temat półgodzinnej udręki, gdy wszyscy troje siedzieli przy kominku. - Wstydzisz się ciebie, czy co?

Ericson złościł się zawsze, że mówiła w ten sposób, jakby był małym chłopcem, któremu łaskawie pozwolono przysłuchiwać się rozmowie dorosłych.

- Kiedy nie mam ochoty, mamo - odpowiadała Grace. - W domu jest bardzo przyjemnie.

- Na pewno masz ochotę. Jesteś młodą kobietą. Po co dostaje te ordery, jeśli nosa nie chce wysadzić z domu?

Na piersi Ericsona biało-niebieska wstążeczka D.S.C.²³ jaśniała samotnie i dumnie. Przy ostatnich słowach teściowej Ericson spuścił gazetę na kolana i rzekł dobrodusznie:

- Pomyliło się mamie. Dali mi odznaczenie za okręt podwodny, nie za paradowanie z żoną po Lord Street, tam i z powrotem.

Starsza pani zmarszczyła nos z wyrazem dezaprobaty.

- To nie jest normalne... Powinien zaprowadzić cię także na okręt. Albo jest tym dowódcą, albo nie jest.

- Mamo - mitygowała ją Grace.

- Okręt jest teraz w remoncie - przeciął Ericson ten temat.

- Uważam, że powinien zaprosić cię na obiad. Miałabyś jakąś rozrywkę.

- Nie mam ochoty na rozrywki - broniła się Grace.

- Jeśli mamy jeść pieczeń wołową z puszki - wtrącił się Ericson - to wolę zjeść ją tutaj niż w mesie zimnej jak psiarnia.

- Co masz na myśli z tą pieczeniową z puszki, chciałabym wiedzieć? - W głosie teściowej brzmiał pomruk nadciągającej burzy. - Zdaje się, że Grace robi co może, żeby ci uprzyjemnić życie. Od rana do wieczora haruje w kuchni jak niewolnica, bez żadnej rozrywki... Kiedy żył jeszcze twój ojciec - zwróciła się do córki - zawsze wychodził ze mną dwa razy w tygodniu.

„Nieszczęsny frajer!” - pomyślał Ericson i znów zasłonił się gazetą. - „Pewnie dlatego wyniósł się tak wcześnie na tamten świat”. Jak zwykle, niepotrzebnie wmieszał się do rozmowy. Nic to nikomu nie dawało, a stara pani wierciła dziurę w brzuchu, jak kret wierci w ziemi swój chodnik. Później jednak, gdy zostali we dwoje, powrócił do sprawy, która zastanowiła go na chwilę.

- Grace, może naprawdę wolisz gdzieś wyjść wieczorem zamiast siedzieć tak w domu?

²³ D.S.C. (Distinguished Service Cross) - odznaczenie bojowe (przyp. tłum.).

Uśmiechnęła się tklawie.

- Chcę tego, czego ty chcesz. Wiem, że jesteś zmęczony, kiedy powracasz z morza.

Uściskał jej ramię rzadkim u niego gestem czułości.

- Nie wiem, co bym zrobił bez ciebie, Grace. Ale do twojej matki nie mam już czasem cierpliwości, tak wiecznie się uskarża, cokolwiek się zrobi albo czego się nie zrobi.

- Starzeje się, George.

- Wszyscy się starzejemy - odburknął rozdrażniony. - Ja sam się starzeję, i to jak! To nie znaczy, że mam prawo dokuczać bez przerwy, żeby wszyscy widzieli, że jeszcze żyję.

- Ty jesteś inny.

- I ty jesteś inna.

Uśmiechnęła się znowu.

- Podobno córki zawsze w końcu upodabniają się do matek.

- W takim razie zmiłuj się Panie Boże nade mną za lat dwadzieścia.

- Posłuchaj, George. Jakie masz plany na popołudnie i wieczór?

- Spać. - Pochwycił jej spojrzenie i zaśmiał się głośno. - Zdaje się, że ty jednak miałabyś ochotę pięknie się ubrać i pójść gdzieś z wizytą?

- Nie - odrzekła poważnie. - Będiesz spał, zapracowałeś na to. Z wizytami będziemy chodzić później, kiedy to wszystko się skończy.

Tallow i Watts siedzieli w barze na Lime Street, pili piwo i przyglądali się grającym w strzałki. Dwie czapki bosmańskie leżały przed nimi na stoliku, daszek przy daszku. Dobrze skrojone

mundury ze złotymi guzikami i z naszywkami, w których odbijało się światło, wyglądały zbyt elegancko i trochę zbyt sztywno jak na to otoczenie. Lokal był zatłoczony, brudny i nieprzyjemny. W czasie jednego z nalotów bomba trafiła gdzieś obok i w knajpie poleciały wszyściutkie szyby, do ostatniego kawałka. Okna zabito deskami, tak że nawet w południe w dusznej, nie przewietrzanej sali paliły się lampy. Za każdym razem, gdy otwierano drzwi od ulicy, straszliwy przeciąg wiał po nogach, a pijany jegomość za ladą wołał donośnie:

- Uważać na światło, bo zrobią z nas wszystkich marmoladę!

Te same słowa powtarzał co wieczór przez całutki rok. Kilka razy doszło z tego powodu do kłótni, a nawet do bójek, na ogół jednak ludzie uśmiechali się tylko i nic nie mówili. Na wszelki wypadek drzwi miały automatyczną sprężynę i grube zasłony, co podkreślało jeszcze bardziej trzeciorzędny i prowizoryczny charakter lokalu.

Mimo to Tallow i Watts spędzali tu wszystkie wieczory. Ostatecznie można tu było siedzieć tak samo dobrze, jak w każdym innym barze, a przynajmniej mieli stąd blisko do hotelu YMCA²⁴, w którym mieszkali. Żaden nie pisał o tym słówka, lecz obaj rozmyślali ze smutkiem i żalem o przeszłości, o miłym, pogodnym domku na Dock Road. Wtedy opłacało się schodzić na ląd i był jakiś sens w układaniu sobie programu zajęć. Teraz pozostały im tylko takie lokale i posłanie w cnotliwym domu noclegowym, szklanka herbaty i porcja mięsa w cieście w narożnej jadłodajni. Był to taki jaskrawy kontrast w stosunku do przeszłości, że nie mogli do tego przywyknąć.

Jeśli chodzi o Wattsa, to zerwanie z przeszłością miało dla niego jeszcze inne, bolesne znaczenie, lecz o tym nie wspominał po pierwszych, ciężkich tygodniach. Gladys zniknęła z jego życia

²⁴ YMCA (Young Men Christian Association) - społeczna organizacja chrześcijańska, prowadząca m.in. niedrogie hotele-gospody (przyp. tłum.).

właśnie w tym momencie, gdy wszystko zdawało się tak dobrze układać. Nawet sam siebie nie usiłował przekonać, że bomba, która zburzyła domek na Dock Road, zniszczyła wraz z nim szaloną, romantyczną miłość. Ale mogło być z tego dobre, spokojne małżeństwo, to właśnie, czego pragnął. Żałoba po śmierci Gladys była czymś podobnym do smutku Tallowa, gdy zatopiono *Repulse*, jego dawniejszy okręt. Ta śmierć zniszczyła obiecującą przyszłość, w której był jakiś sens. Ta śmierć była bezmyślnym marnotrawstwem, pozostawiała pustkę tam, gdzie nie powinno być pustki.

Ktoś wszedł do knajpy. Trociny na podłodze zawirowały w przeciągu, a jegomość przy barze zawołał:

- Uważać na światło, bo zrobią z nas wszystkich marmoladę!
- Idiota! - mruknął Tallow pośpiesznie.
- Napijmy się jeszcze - zaproponował Watts.

Znów siedzieli w milczeniu - pili i przyglądali się niskiemu mężczyźnie w sukiennej czapce, który trafiał strzałkami do tarczy, jak chciał. Jego niezwykła zręczność budziła szmer uznania wśród pozostałych graczy.

- Musieliśmy go już widzieć - odezwał się Watts. Wstał, wziął puste kufle i podszedł do baru po nowe piwo.

Ferraby bawił się z dzieckiem w ogrodzie, ale dziecko było już teraz inne i Ferraby też był inny.

Dziewuszka miała już osiemnaście miesięcy i zaczynała mówić. Poza tym zaczynała objawiać swą własną wolę, a ta jej wola zdawała się obracać przeciwko ojcu. Napięcie i rozprężenie nerwów, którego nie mógł się wyzbyć, przechodziły na dziecko wraz z jego dotknięciem. Mała biegła już tylko do matki, gdy

szukała pociechy lub towarzystwa, nigdy do niego. A jeśli wziął ją na ręce, natychmiast wyrwała się i odsuwała niechętnie. Przypatrywała mu się z bezpiecznej odległości, a na drobnej, wyrazistej twarzyczce malował się lęk. Martwiło go to i dziwiło zarazem. W jaki sposób wyczuwała jego straszne zdenerwowanie? Czy dziecko mogło coś wyczytać z drżenia ojcowskiej ręki? Jakim cudem, gdy tylko znaleźli się razem, ta mała kędzierzawa główka potrafiła wyśledzić niepokój i chaos w jego myślach?

Tak, właśnie chaos. Wiedział, jaką koszmarną drogę obrały jego myśli, jak całkowicie były pochłonięte obrazem straszliwej śmierci, lecz nie mógł nad nimi zapanować. Patrząc na gładkie, delikatne ciało własnego dziecka widział w nim inne ciała, wcale nie gładkie, wcale nie delikatne - ciała zmiażdżone, poparzone, ciała rozpadające się po wyciągnięciu z morza. Pod kasztanowatymi loczkami dostrzegał czaszkę zbielełą na słońcu, poprzez pulchne ramionka przeziarał błyśnięcie kościotrup. W rodzonym dziecku wyobraźnia kazała mu widzieć śmierć, a w ukochanej żonie jeszcze gorzej niż śmierć.

Już od kilku tygodni nie mógł się zdobyć na fizyczne współzycie z Mavis. Prześladował go jakiś nienormalny strach przed tym, co swego czasu musiał oglądać z bliska. Lęk, że w miłosnym uścisku może wyrządzić jej ciału jakąś potworną krzywdę, że ciało Mavis może od tego zgnić i otworzyć się od łona w górę, i nigdy się nie zrosnąć.

W cichym, słonecznym ogrodzie maleńka dziewczyneczka powiedziała:

- To... liść - i pokazała paluszkami na drzewo szemrzące nad ich głowami.

- Tak, to jest liść, dobrze mówisz - pochwalił ojciec i ścisnął ją leciutko za nóżkę.

- Nie! - zawołała natychmiast, odsunęła się dalej i patrzyła - poważna, zamknięta w sobie i czujna.

- Nic ci nie zrobię, córeczko - próbował ją ośmielić.

Zawahała się, zrobiła jeden krok, ale... krok w tył. Nim zdążył się opamiętać, nałożyć hamulec swej chorobliwej wyobraźni, obraz dziecka odmienił mu się w oczach i przepadł dla niego.

W bosej nóżce wysuniętej do przodu ujrzał zmiażdżony kikut wystający spod koca, a w paluszkach podniesionych do buzi - gruby palec męczyzny, włożony do ust dla wywołania wymiotów, dla wyrzucenia z wnętrzości zatruwającej je ropy.

Odwrócił się i położył na trawie. Czuł drżenie całego ciała przyciśniętego do ziemi.

Morell mył ręce w toalecie nocnego klubu i przypadkiem podsłuchał rozmowę dwóch oficerów RAF o swojej żonie. W związku z tym, gdy wreszcie udało mu się wyciągnąć Elaine do domu, doszło pomiędzy nimi do okropnej kłótni, do sprzeczki, która trwała przez kilka dni i do końca urlopu pozostała właściwie nie rozstrzygnięta. Trudno bowiem uznać za rozstrzygnięcie fatalne uczucie rezygnacji i klęski, które go trapiło.

Dwaj lotnicy byli cokolwiek zawiani. Weszli do toalety o parę minut później niż Morell i wcale nie zwrócili uwagi na postać przy umywalce. On jednak słyszał dokładnie każde słowo ich swobodnej pogwarki.

- Moja jest całkiem fajna - odezwał się pierwszy.

- A moja, bracie, pikantna jak dżyn - odpowiedział mu drugi.

- No, zobaczymy, jak ci będzie smakować jutro rano.

- Co to za wydrowaty typek ta w czerwonej sukni?

- Coś w rodzaju aktorki. Elaine Swainson.

- A, to ta... Może ją znasz?
 - Kiedyś znałem. Dzisiaj ona już patrzy wyżej. Jak nie masz, bracie, tony galonów na czapce, szkoda gadać - nie puści do łóżka.
 - No, a opłaci się starać?
 - Podobno tak... Jak chcesz, to spróbuj. Może jej przyjdzie ochota zabawić się w księżniczkę i błędnego rycerza.
 - Nie jest mężatką?
 - Niezupełnie. Nastąpił skrzep małżeński.
 - Co ty znów opowiadasz?
 - Mąż jest podobno do niczego.
- Zaśmiali się obaj.
- To byczo, stary koniu.
 - Nie wiem, czy nie napiszę książki na podobny temat. No co, będziesz próbował z tą Elaine?
 - Może i tak. - Znów śmiech, tym razem inny. - Słuchaj, pożycz mi funta.
 - Co, funta? - Szydercze parsknięcie. - A dziesięć to nie łaska? I nie spodziewaj się reszty.
 - Traktuje to handlowo, czy jak?
 - Pod łóżkiem ma pancerną skarbonkę. No, chodź już, trzeba jeszcze popatrzeć na tę stadninę.

Wspomnienie tej rozmowy nie opuszczało Morella po powrocie na okręt. Pamiętał każde słowo i każdą zmianę tonu. Pamiętał zapach lizolu w toalecie i urażone spojrzenie sprzątaczk, gdy się wymykał nie dawszy jej napiwku. Prócz rozmowy lotników była jeszcze ta kłótnia z Elaine. To właśnie było najgorsze.

Zaczęło się w taksówce, w drodze do domu, a potem kłócili się w mieszkaniu. W końcu musiał spać sam na sofie i przeżył

najokropniejszą noc w swoim życiu. Nazajutrz nie nastąpił rozejm i udręczone myśli nie doznały wytchnienia. Nie chciała nic wyjaśnić, do niczego się przyznać, nie chciała nawet zaprzeczyć jego podejrzeniom. Widać było wyraźnie, że gwizdże na niego i na jego opinię. Mógł z tym zrobić, co mu się podobało.

Sęk w tym, że wcale nie wiedział, co zrobić. Mógł wierzyć albo nie wierzyć, że była mu wierna. Ale nie umiał sobie odpowiedzieć, czy pragnie mieć Elaine za wszelką cenę czy też tylko za cenę uczciwą.

Elaine wiedziała o tym i ta świadomość dawała jej bat do ręki.

- Możesz myśleć, co chcesz - rzekła pogardliwie zaraz nazajutrz rano. - Mdl mi od tego nieustannego śledztwa, od tych tragedii za każdym razem, kiedy przyjeżdżasz na urlop.

- Kochanie, ja nie robię tragedii...

Stała przy oknie w zielonym szlafroku w kwiaty, spod którego wyglądał rąbek nocnej koszuli i kładł się na wzorzystym rannym pantofelku. Patrzył na nią. Po nocy spędzonej samotnie była dla niego piękniejsza niż zwykle i bardziej pociągająca. Jej ciało wabiło go, wołało ku sobie, a zimna twarz usiłowała zagłuszyć to wołanie.

- Czy nie możesz zrozumieć, co ja czuję? To chyba naturalne, że jestem zazdrosny, kiedy słyszę, jak ludzie mówią o tobie w ten sposób.

- Mógłbyś darować mi prawo do tej niepewności.

- Między nami nie powinno być żadnych niepewności.

- Och, Boże! - westchnęła z niecierpliwym gestem. Setki razy widział ten gest powtarzany przez nią na scenie. - Co za śmiertelna nuda... Czy myślisz, że będę wysiadywać w domu co wieczór, żeby tobie dogodzić?

- Gdybyś mnie kochała, siedziałabyś w domu... Kochasz mnie, Elaine?

- Jeśli się zachowujesz przyzwoicie. Nikt mi nie będzie dyktował, co mi wolno, a czego nie wolno. Nie chcę, żebyś był tak zupełnie pewien mojej osoby.

- Mnie możesz być zupełnie pewna.

Skinęła głową i nic nie odpowiedziała.

Po chwili rzuciła od niechcenia:

- Może wcale tego nie pragnę.

Zdumiony, zdołał tylko pomyśleć: Ależ, najmilsza, przecież jesteśmy małżeństwem...

Coś się w tym wszystkim nie zgadzało, ale nie chciał się wgłębiać i badać - co. I tak walczył gołymi rękami, bez żadnej broni, a musiał ją odzyskać, nie chciał, nie mógł jej stracić. Więc poddał się, prosił o przebaczenie i błagał, żeby kochała go nadal. Raczyła się zgodzić bez najmniejszego zapалу. Widział wyraźnie - jeśli nie dawał się zaślepić wzruszeniu namiętności, albo nadziei - widział, że Elaine gwizdze i na to. Miała najmocniejszą pozycję w świecie - była ukochaną kobietą, która darzy miłością wtedy, gdy ma ochotę, a za najlżejszym sprzeciwem zmienia się w sople lodu.

Chciał ją całować, pragnął wziąć ją w ramiona i zanieść do łóżka. Ale nie wiedział, jak ona odniesie się do tego. Nie wiedział teraz i nie będzie wiedział już nigdy. Oderwał od niej oczy i powiódł spojrzeniem po pokoju - przeładowanym poduszkami, tchnącym zapachem kobiecości i obietnicy. Nagle przypomniał mu się pomost zgruchotanego statku, ustrojony szczątkami trupów i krwią.

Tutaj także jest szlachcuz, zupełnie jak tam - powiedział sobie w duchu.

Baker po raz pierwszy spędzał urlop nie w domu. Nawet nie zawiadomił matki, że będzie miał urlop. Napisał, że *Compass Rose* zawinęła do portu na krótko, a gdy doczekał się pierwszego dnia dwutygodniowej wolności, wziął pokój w małym hoteliku w śródmieściu i tam się urządził. Nie wiedział, co ma robić w czasie urlopu, prócz tej jedynej rzeczy, tego spełnienia, o którym marzył i dumał od dawna.

Teraz musi tego dokonać. Dość długo marzył. Wszyscy poza nim spali z kobietami, opowiadali o tym, uważali to za rzecz oczywistą. Kiedyś w pomieszczeniach załogi podsłuchiwał wyrażenie, które połaskotało jego wyobraźnię: „Powiadam ci, dała mi taki kompres”. On także chciał dostać taki kompres. Nie za następnym razem, kiedy wróćą do portu, ale już teraz, bezwzględnie teraz.

Zaraz pierwszego wieczoru stał na przystanku tramwajowym przed Dworcem Głównym, rozglądał się i namyślał. Wiedział, że nie ma zielonego pojęcia o tym, czego zamierza dokonać. Gdy nadszedł czas działania, ogarnął go paniczny lęk i niezdecydowanie. Powinien był kogoś zapytać, powinien był słuchać uważnie, co inni mówią o tych sprawach, zamiast rozplływać się w swoich marzeniach na jawie. W jaki sposób ma zacząć kobietę? Co trzeba zrobić? Jak odróżnić zwyczajną kobietę od prostytutki? No, a później - czy dać pieniądze od razu, czy nic nie mówić i dopiero po wszystkim położyć je na nocnym stoliku? Czy to drogo kosztuje? Czy takie kobiety mówią z góry, ile trzeba zapłacić? Czy znają się na tym, co się robi, żeby nie było dziecka? Czy mogą zaaresztować go za to, gdyby się wykryło? I... jak to się robi, jak ma zacząć i czy to może trwać długo?

Zapłatał się w tych wątpliwościach i aż się spocił, ale nie zmienił decyzji. Zaczął iść powolutku w stronę hotelu „Adelphi”,

przyglądając się każdej kobiecie idącej naprzeciw. Miał w kieszeni dwadzieścia pięć funtów, wołał się zabezpieczyć.

Wieczorem, po skończonym urlopie, oficerowie zebrali się w mesie i popijali po kolacji w dosyć markotnym nastroju. Wtem Lockhart obwieścił głośno:

- Wiecie, grzebałem się w ciekawych cyfrach.

- Wierzę na słowo - rzekł Morell łagodnie, podnosząc wzrok znad gazety. - Ale chyba oszczędzisz nam szczegółów?

- Oj, aby tylko nie liczby! - prosił Baker.

- Kiedy to są specjalne liczby. Kosztowały mnie bez mała dzień roboty, zanim je wyciągnąłem ze starych dzienników zdarzeń. Czy macie pojęcie, że jutrzejszy konwój to nasz trzydziesty pierwszy? Że mamy już za sobą czterysta dziewięćdziesiąt dni pływania, prawie półtora roku?

Przyjęli tę wiadomość chmurnym milczeniem.

- Nie wiedziałem, że to już tyle - odezwał się Morell. - Teraz już wiem. No i co jeszcze?

Lockhart spojrzał na kartkę, którą miał w ręku.

- Przepełniliśmy dziewięćdziesiąt osiem tysięcy mil. Wyciągnęliśmy z morza sześciuset czterdziestu rozbitków.

- A iluśmy pochowali? - zapytał Ferraby.

- Tego nie obliczałem. Każdy z nas miał około tysiąca wacht...

- I w rezultacie całej tej historii - przerwał mu Morell - wykończyliśmy jeden okręt podwodny. Czy chcesz rozkrwawiać nam serca? - Wstał i przeciągnął się w ramionach. Twarz miał bladą i raczej mizerną, co mogło świadczyć o bardzo dobrze albo też o bardzo źle spędzonym urlopie. - A jutro ruszamy znów z

konwojem i potem znów, i znów... Ciekaw jestem, z czego my w końcu umrzemy.

- Z wyczerpania nerwów - podsunął Baker.

- Ze starości - oświadczył Ferraby.

- Z zatrucia żołądka - sądził Lockhart, który się przejadł.

- Nic podobnego... - Morell znów się przeciągnął i ziewnął. - Pewnego pięknego dnia ktoś zadzwoni na alarm i powie, że wojna się skończyła i że możemy wracać do domu. Wtedy wszyscy pomrzemy ze zdziwienia.

- Jeżeli w takich warunkach, to nie najgorsza śmierć - uśmiechnął się Lockhart.

Morell skinął mu głową.

- Tak, wcale nie najgorsza. Tylko nie sądzę, żeby mogła nas spotkać jutro.

4.

Lockhart stał na pokładzie dziobowym, mając po obu bokach dwuszerę marynarzy, a podoficerów przed sobą. Czekał i dziwił się, dlaczego Ericson postanowił tym razem odbyć apel niedzielny, mimo że *Compass Rose* miała wyjść z portu o jedenastej przed południem. Normalnie, jeśli wychodzili w niedzielę, nie zawracał sobie tym głowy. I tak dość było roboty, a załoga burczała, że trzeba się ubierać w czyściutki mundur po to, żeby za chwilę znów wciągać robocze ubranie. Możliwe, że dowódca chciał trochę zdopingować załogę w pierwszym dniu po urlopie. Oficjalna parada z nabożeństwem na zakończenie - to nie był zły sposób, żeby ściągnąć na nowo cugle dyscypliny, żeby dać poznać poglądowo różnicę między życiem na lądzie a życiem na

okreście. A może - pomyślał Lockhart - może ja sam powinienem także dać poznać tę różnicę na swoim podwórku?

- Porucznik Morell! - huknął ostro.

- Tak jest, panie poruczniku?

- Powiedz pan swoim ludziom, żeby przestali gadać.

- Rozkaz, panie poruczniku.

Zgodnie z przyjętymi formami, Lockhart mówił przesadnie zimno i sztywno, a Morell słuchał niezwykle uważnie. Wszystko to razem miało być formalnym wyrażeniem nagany w ramach hierarchii Royal Navy. Starszeństwo Lockharta w stosunku do Morella wynosiło niespełna trzy tygodnie - dość, by zachować ciągłość w łańcuchu dowodzenia, ale zbyt mało, by stanowisko zastępcy mogło wyznaczyć jakąś granicę pomiędzy nimi.

Słyszał, jak Morell daje z kolei reprimendę jakiemuś winowajcy. Przeszedł w kierunku dziobu, spoglądając po drodze na marynarzy ustawionych w szeregach, które przed chwilą lustrował. Cóż z tego, że byli na urlopie? Mimo to wyglądają jak trzeba - czyści, wypucowani, ogromnie schludni i dziarscy. Wiatr smagał wodę w basenie, szarpał linkami flagowymi, tu i ówdzie podnosił marynarskie kołnierze. Chłodny i ostry wiatr, zapowiadający niespokojny początek najbliższego rejsu. Ilu znów marynarzy będzie chorować tej nocy po dwóch tygodniach na lądzie? Niech tylko wysuną się z ujścia rzeki, zaczną się niezłe kiwanie.

U szczytu trapu ukazała się głowa Ericsona.

- Baczość! - zawołał Lockhart i zaszalutował dowódcy, meldując mu załogę korwety do przeglądu.

Ericson bez pośpiechu szedł wzdłuż szeregów. Spostrzegł od razu, że byli wyszykowani na sto dwa, i chciał jak zwykle, przez swą wnikliwość okazać im, że wszystko to warte było zachodu. (Pamiętał zasłyszane przypadkiem żale jakiegoś marynarza z

obcego okrętu: „Co, apele? Nasz stary przelatuje jak spłoszona wiewiórka i zaraz daje nura z powrotem do swego dżynu”.)
Compass Rose miała to szczęście, że jej załoga trzymała się razem. Już trzeci rok mijał, odkąd korweta rozpoczęła służbę, a zmian w stanie załogi jakby nie było. Przechodząc wzdłuż wyciągniętej linii, Ericson zdał sobie sprawę z upływu czasu i z przesunięć na drabinie hierarchii wewnątrz okrętowej rodziny. Wells na przykład był znów podoficerem, a starszy marynarz Phillips i Carslake, starszy steward, obaj awansowali na ten stopień. Wainwright był starszym torpedystą. Ci zasłużyli - myślał Ericson zbliżając się do oddziału łączności z Ferraby'm na czele, który mu salutował. Dzięki nim *Compass Rose* była jednym z najlepszych okrętów w ich grupie. *Viperous*, nie namyślając się wiele, zawsze ją właśnie wybierał, gdy było jakieś szczególnie trudne zadanie do spełnienia. (Taka opinia była oczywiście dość obosieczna. Bo co innego zdobyć sławę przez zatopienie okrętu podwodnego, a znowu co innego być z tego powodu skazanym na odrabianie wszelkich ubocznych zadań - holowanie wraków i ratowanie, i poszukiwanie rozbitek - ze stratą paru dodatkowych nocy spędzonych na morzu, gdy konwój zawinął już do portu.) Ci ludzie w każdym razie zrobili z *Compass Rose* to, czym była obecnie. Dla nich oznaczało to blisko trzy lata szkolenia i ćwiczeń, i uczenia się życia na morzu, trzy lata ciężkiej harówki w najokropniejszych warunkach, trzy lata okrutnej pogody, okrutnych niebezpieczeństw i okrutnych widoków, zachowanych w pamięci.

Życie na *Compass Rose* pochłaniało ich całkowicie. Zdarzało się, że na dnie i tygodnie bez przerwy zmieniali się już tylko (a może rozrastali się właśnie?) w parę oczu skupionych w wysiłku patrzenia, w parę solidnych butów zakotwiczonych w pokładzie i w pas ratunkowy, zamocowany wpół ciała. To były rzeczy najważniejsze, rzeczy, w które człowiek powinien się wcielić.

Ericson wciąż nie przestawał się dziwić, że znaczna część załogi, która poddała się tej niezwyklej przemianie, to byli niezawodowcy. Przyszli na ochotnika albo też z poboru od najróżniejszych zajęć, które nie miały nic wspólnego z morzem. Mimo to dziś nie różnili się niczym od starych wilków z Royal Navy.

Mają morze we krwi - myślał odpowiadając na salut Bakera i podchodząc do jego oddziału, w którym byli marynarze z maszyny. Coś jednak jest w tym powiedzeniu. To nie tylko romantyczne pojęcie przekazane przez czasy Nelsona, nie tylko piosenka o „Dębowym sercu”, śpiewana pięknym barytonem, ze szczególnie dziarskim akcentem na wierszu o „naszych wesołych majtkach”. „Mają morze we krwi” - to znaczy, że możesz wpuścić Anglików na okręt, pierwszych lepszych Anglików, a oni będą na tym okręcie pracować i walczyć tak, jakby przez całe życie tylko to robili.

Był dumny ze swych ludzi.

Dokończył przeglądu ostatniego oddziału i wrócił na swoje miejsce w środku czworoboku. Zdjął czapkę i po chwili milczenia zaczął czytać modlitwy rannego nabożeństwa.

Zaczęła się krzątanina, jak zawsze przed wyjściem z portu. Okręt rozbrzmiewał różnymi odgłosami, niby nagłym wezwaniem do czynu.

Ericson siedział w kabinie i przysłuchiwał się znajomym hałasom, rosnącym w miarę zbliżania się terminu odejścia. Po tych odgłosach mógł orientować się dokładnie w różnych czynnościach. Słyszał gwizdek zwołujący załogę na zbiórkę. Słyszał, jak zaczynają się kręcić po pokładzie, mocują różne przedmioty, wyrzucają odbijacze za burtę i odbierają cumy rzucone z nabrzeża. Znów zabrzmiał gwizdek, tym razem zupełnie blisko, i zaraz po nim głos bosmana:

- Próba klaksonów alarmowych! Próba klaksonów alarmowych!

Natychmiast dźwięk klaksonów rozległ się w każdym zakątku okrętu i nie ustawał w ciągu całej minuty. Pomimo ostrzeżenia Ericson uczuł nieprzyjemne ułucie gdzieś koło serca. Niewidzialny, ukryty we wnętrzu okrętu, Watts, szef maszyny, dawał znać o swoim wkładzie w ogólne przygotowania. Szczęknęła winda obrócona dla próby, maszynka sterowa, puszczona wstecz i naprzód, dokonała pełnego przełożenia steru, a lekkie pulsowanie kadłuba świadczyło o powolnym ruchu wału głównej maszyny - może pięć, może dziesięć obrotów na minutę - nim się zacznie jej długa, odpowiedzialna służba. Przez następne czterysta godzin, jeśli nie dłużej, wał nie przestanie się obracać. Bezpośrednio nad głową Ericsona zadźwięczały w sterówce dzwonki telegrafu, odpowiadały im cicho dzwonki z maszynowni.

Wreszcie, po dłuższej chwili, zabrzmiał ostatni gwizdek:

- Wszyscy na stanowiska do odkotwiczenia!

W drzwiach kabiny ukazał się Lockhart z czapką wsuniętą pod ramię i zameldował:

- Okręt gotów do wyjścia, panie kapitanie.

Ericson wziął lornetkę z półki nad koją, zapiął starannie płaszcz i wyszedł po trapie na pomost.

Konwój zebrał się w ujściu rzeki, przy latarniowcu Bar, od strony morza.

Razem czterdzieści cztery statki, od zbiornikowca liczącego dziesięć tysięcy ton do jakiegoś chłodniowca, który był niewątpliwie najstarszym tego rodzaju statkiem na świecie. Dalsze sześć statków miało się przyłączyć na południe od wyspy Man, i

jeszcze osiem - na wysokości zalewu Clyde. Baker odznaczał nazwy oraz sygnały rozpoznawcze statków idących z Liverpoolu na liście konwoju, którą rozłożył przed sobą na stole do map. Jak tylekroć przedtem, znów musiał podziwiać niesłychanie trudną pracę organizacyjną poprzedzającą wyjście każdego konwoju. W tym samym czasie płynęło przez ocean dziesięć lub więcej konwojów, powyżej pięciuset statków. Statki te wychodziły z dwudziestu różnych portów rozsianych po całym wybrzeżu Wielkiej Brytanii. Wszystkie musiały na określoną datę mieć kompletną załogę i ładunek, niezależnie od przeszkód na kolei i w porcie. Każdy z tych statków musiał dostać tę samą instrukcję konwojową, a każdy kapitan musiał uczestniczyć w odprawach przed rejsem, na których otrzymywał ostatnie polecenia.

Wszystkie statki musiały się spotkać w oznaczonym terminie i miejscu i nie mogło zabraknąć dla nich pilotów. Ich gotowość do wyjścia musiała być zgrana z gotowością towarzyszącej grupy eskortowej, co z kolei wymagało tych samych przygotowań i równie starannego doprowadzenia na miejsce. Musiała na nie czekać swobodna przestrzeń przy nabrzeżach i robotnicy gotowi do przeładunku. Setki zakładów przemysłowych musiały mieć gotowy ładunek na oznaczony dzień. Jeden zwrotniczy, któremu przytrafiło się zapaść na stacji w Birmingham lub Clapham, mógł zepsuć wszystko. Trzeci oficer, który przez pomyłkę zalał się w pestkę we wtorek zamiast w poniedziałek, mógł pokrzyżować dziesięć troskliwie ułożonych planów. Każdy z nalotów, których setki trapiły porty brytyjskie, mógł roznieść w drzazgi połowę konwoju, a reszty nie opłacało się wysłać na Atlantyk.

A jednak statki zjawiały się zawsze. I teraz, w to rześkie, chłodne popołudnie, stawily się jak zwykle. Zaznaczając ołówkiem nazwy, w miarę jak Wells je wywoływał, Baker rozmyślał leniwie, kto też mógł stać za tą organizacją. Czy jakiś

jeden nadczłowiek, czy też komitet, a może setki urzędników urywających telefony w nieustannej wzajemnej łączności?

W każdym razie szczerze dziękował Bogu, że to nie jego zmartwienie. On sam miał swoje zmartwienie, bardzo osobiste.

Trasa konwoju wiodła najpierw na północ wzdłuż wybrzeża szkockiego, pomiędzy wyspą Lewis a stałym lądem, poprzez wzburzone, rozkołysane pływami wody cieśniny Minch, a następnie na zachód od przylądka Wrath na pełny ocean.

Minęli wyspę Man i wybrzeża wygodnickiej, neutralnej Irlandii, i wzgórza szkockiego Lowlandu. Najpierw dołączyły do nich statki idące z Bristolu, a potem z ujścia Clyde. Upłynęły pierwszy dzień i pierwsza noc. Szli wciąż w kierunku północnym, zbliżając się do miejsca, gdzie mieli porzucić osłonięte wody, by zwrócić się na zachód. Lecz „osłonięte wody” to nie było najlepsze określenie cieśniny Minch. Ten wąski pas morza pomiędzy Stornaway a wybrzeżem Szkocji jest jednym z najburzliwszych obszarów morskich wokół wysp brytyjskich. Poprzecinany wirowymi prądami, usiany nagłymi płyciznami, zmacony na północnym swym krańcu nieustannie, o każdej porze dnia i nocy, wdzierającą się falą od Atlantyku. Żaden statek nie przeszedł tędy spokojnie, marynarze nigdy nie czuli się pewnie.

Compass Rose wraz z konwojem mijała jedno z najpiękniejszych miejsc świata, w którym morze naznaczyło sobie spotkanie z niebem i z ziemią. Mijała śmiałą linię wybrzeża z łańcuchem falochronów błyszczących w słońcu i świeżo wybielone domki w głębi zatoczek, latarnie i nabieżniki stojące na straży u wejścia do nich. Mijała królewskie, purpurowe wzgórza ze szczytami ustrojonymi w śnieżne czapy. *Compass Rose* miała to wszystko przed sobą - tylko patrzeć i radować się pięknem.

Lecz marynarze z korwety myśleli ciągle o jednym - o tym, że zawzięta fala może przechylić ich okręt zbyt mocno na jedną burtę, że *Compass Rose* nie zdoła odzyskać równowagi.

Wprawdzie dotychczas nie zdarzyło się jeszcze nic podobnego, ale mieli już czas dowiedzieć się i nauczyć, że na wojnie ten pierwszy raz mógł zawsze nastąpić.

Pod wieczór jednak, gdy doszli do przylądka Wrath, kołysanie zmniejszyło się znacznie, a odgłos śruby obracającej się w wodzie stał się równomierny. *Compass Rose* wraz z całym konwojem zwróciła się na zachód, dążąc na otwarty ocean. Przed samym zmierzchem rześista ulewa zamazała ostry, surowy kontur wzgórz, które miały im przesłać ostatnie pozdrowienie od lądu na wiele, wiele dni.

Znów wyruszali na Atlantyk. Zostawiali za sobą ojczystą wyspę i szli naprzeciw bezmiernemu zmęczeniu, naprzeciw wysiłkowi napiętych nerwów. Stawali wobec wielkiego znaku zapytania, jakim był każdy następny rejs. Znów brali na barki ciężkie brzemie, znów spotykali oko w oko, z zachłanną nienawiścią, wszystkie te rzeczy, do których przywykli, mąkę, którą zrozumieli do głębi.

W pobliżu Islandii poznali, co to jest mróz. *Compass Rose*, odprowadziwszy cztery statki z konwoju do portu w Reykjavíku, płynęła wzdłuż zamrożonych wybrzeży na południowy zachód, okryta grubym kożuchem szronu na nadbudówkach. Wachtowi na pokładzie przytupywali i chuchali zdrętwiałymi od zimna ustami, patrząc obojętnie na obcą wyspę, roziskrzoną w bladych, skośnych promieniach słońca jak zamrożone ciastko zapomniane na oknie w kuchni. Wyglądała dokładnie tak, jak powinna

wyglądać Islandia - nic dodać, nic ująć. Nieskończoność śniegu i czarne skały, i góry w bieli, i rozległy lodowiec.

Lecz widok ten nie był dostateczną nagrodą za ileś tam stopni mrozu, które musieli znieść, by móc go oglądać na własne oczy.

O czwartej po południu Ericson wyszedł na pomost, zanotował pozycję korwety i dał rozkaz zwiększenia szybkości. Zboczenie do portu islandzkiego oddaliło ich bardzo od konwoju, lecz Ericson chciał spróbować dogonić go przed północą.

Gdy ciemność zapadła, mróz zwiększył się jeszcze.

5.

Torpeda trafiła w *Compass Rose*, gdy korweta szła z maksymalną szybkością. Cios wroga i wściekły pazur oceanu rozdarły ją śmiertelnie. Cios padł w odległości trzech metrów od dziobu. Huk wybuchu, jak zatrzaśnięcie drzwi od życia, zgrzyt prutego metalu i złowieszczy szum wody wlewającej się do wnętrza kadłuba pod olbrzymim ciśnieniem. Gorący podmuch ze strzaskanej części dziobowej wionął na pomost niby dym ohydneho kadzidła. *Compass Rose* skręciła gwałtownie i stanęła, drżąc całym ciałem jak pies ze skrwawionym pyskiem. Dziób był prawie zmieciony, a rufa już unosiła się w górę, zanim korweta zdążyła się zatrzymać.

W momencie katastrofy na pomoście stali: Ericson, Lockhart i Wells. Nagłe, nieprawdopodobne nieszczęście odczuli jak uderzenie obuchem w głowę. Noc ciemna choć oko wykol utrudniała im jeszcze orientację; nie chcieli wierzyć, że *Compass Rose* została trafiona. A przecież silne nachylenie pokładu mogło znaczyć tylko to, łoskot ześlizgujących się przedmiotów potwierdzał okropną prawdę. Wtem inny odgłos sparaliżował na

chwilę mózg Ericsona i nie pozwolił mu myśleć. Przez rurę głosową, łączącą pomost z pomieszczeniami na dziobie, dolatywało straszne, zwierzęce wycie, jakby sto psów zamkniętych w głębokiej jamie nagle oszalało. To marynarze zaskoczeni wybuchem daremnie szukali wyjścia. Słysząc było wyraźnie ich krzyki, wściekłe walenie pięściami i wołania o pomoc. Dla nich nie mogło być pomocy. Jak kat ścinający głowę toporem, Ericson zatrzasnął pokrywę rury, by przestać słyszeć.

- Wezwijcie *Viperous* przez radio - rozkazał Wellsowi. - Otwartym tekstem. - Nadajcie... - Siłą zmusił swój mózg do myślenia. - Nadajcie: „Storpedowani w pozycji zero-pięć-zero, trzydzieści mil od konwoju”.

- Przygotować łodzie i tratwy - rzekł do Lockharta. - Ale czekajcie na rozkaz.

Pokład przechylał się coraz mocniej. Z dołu rozległ się łomot, jakby coś bardzo ciężkiego urwało się i zsuwało po pochyłości. Z zaworu bezpieczeństwa w pobliżu komina para zaczęła uchodzić z sykiem potężniejącym w ryk.

Przez głowę Ericsona przeleciała myśl: Boże, przecież ona już tonie, zupełnie jak *Sorrel*.

- Radiostacja zniszczona, panie kapitanie - meldował Wells.

W mesie oficerskiej huk torpedy i wstrząs dały się odczuć z przerażającą siłą. Wybuch nastąpił w sąsiednim pomieszczeniu, a gródź wygięła się i wybrzuszyła zwisając nad stołem, przy którym właśnie jedli. Skoczyli na równe nogi i rzucili się natychmiast do drzwi. W jednej chwili u stóp trapu wiodącego na pokład stłoczyło się pięciu ludzi: Morell, Ferraby, Baker, Carslake i Tomlinson, młodszy steward. Popychali jeden drugiego. Baker wrzeszczał:

- Mój pas, zostawiłem mój pas ratunkowy!

Ferraby przewrócił się z impetu, Tomlinson machał ścierką w powietrzu, Carslake sięgnął ręką nad ich głowami i chwycił się ręką za poręcz. Na pozór mogło się wydawać, że ta gromadka szamoczących się ludzi uległa panice, w rzeczywistości była to po prostu odruchowa reakcja na niebezpieczeństwo. Ktoś musiał dostać się pierwszy na trap. Nagłość wspólnego zagrożenia sprawiła, że wszyscy równocześnie znaleźli się w tym miejscu.

Wtem Morell odwrócił się twarzą do tych, którzy napierali nań z tyłu, rozepchnął ich łokciami i skoczył do kabiny. Nad koją wisiała fotografia Elaine. Pochwycił ją i wepchnął do kieszeni na piersiach. Obejrzał się szybko, ale nie znalazł nic więcej, co pragnąłby z sobą zabrać.

Wybiegł z kabiny, lecz tamtych już nie było. W ciągu niewielu sekund jego nieobecności zdążyli już uciec... Gdy dobiegał do trapu, okropny trzask rozległ się za jego plecami. Obejrzał się za siebie i przez drzwi mesy dostrzegł, że gródź rozdarła się na dwoje i woda buchnęła do środka. Parła szumiącym wodospadem w jego kierunku. Chociaż wspinał się szybko, nim stanął na najwyższym stopniu, woda sięgała mu do pasa. Wessała się chciwie w uda, gdy wyszarpywał się z jej objęć. Spojrzał w dół na wirujący chaos, który pochłoniął wszystko - mesę, kabiny, odzież i całe ich podręczne mienie. Pod wodą świeciła wciąż jakaś lampa, rozświetlając ciemnozielony, zdradziecki nurt, który omal go nie pochwylił. Otrząsnął z siebie lęk i westchnął z ulgą. Wybiegł na pokład umykający nagłą stromizną spod nóg. Mroźne nocne powietrze rozbrzmiewało krzykiem rozpacz.

W ciemnej przestrzeni pomiędzy łodziami kotłowali się ludzie. Rzucali się na oślep to w tę, to w tamtą stronę, przeklinali

okropnie, wpadali jeden na drugiego i obsuwali się po stromej pochyłości pokładu. Wysoko nad ich głowami para z zaworu bezpieczeństwa wyła wzmagającym się jękiem, jakby korweta, wypuszczając z siebie wnętrzności, równocześnie ciskała na ocean krzyk gniewu i wyzwania. Jednej łodzi nie mogli spuścić na wodę, gdyż okręt za bardzo się przechylił. Druga zacięła się w blokach i żadna siła nie mogła jej poruszyć. Tonbridge, który odpowiadał za łodzię, walił w nią i tłukł pięściami. Dwunastu ludzi próbowało z nim razem unieść ją i zwolnić z uchwytu. Tkwiła w miejscu jak przybita gwoździami do pokładu, nieporuszona. Tonbridge wołał po raz czwarty czy piąty:

- No, chłopaki, raz, dwa i... trzy!

Musiał krzyczeć, żeby go usłyszeli, ale na nic się nie zdały krzyki, na nic wysiłek marynarzy. Gregg stał tuż przy Tonbridge'u, wparty mocno w nadburcie. W pewnym momencie wydyszał:

- Teddy, nic z tego nie będzie... Siedzi cholernie mocno... To ten przechył...

Wtedy Tonbridge zawołał:

- Tratwy! Spuścić na wodę tratwy!

Dali więc spokój łodzi. Zawiodła ich w śmiertelnej potrzebie, przez nią zmarnowali cenne minuty. Rzucili się do tratw. Znów popychali się wzajemnie, wpadali na sztagi kominowe i przeklinali to piekło. Tonbridge kazał wziąć tratwę ze wzniesionej burty okrętu i przenieść ją na przeciwną burtę. W ciemnościach gromada ludzi oszalałych ze strachu szarpała się i szamotała przy tratwie, jakby już walcząc o prawo do ocalenia. Tonbridge cofnął się krok wstecz i spojrzał w górę na pomost, skąd powinien paść rozkaz - ostatni rozkaz dowódcy. Pomost rysował się pochyłą linią na niebie. Tonbridge pomacał pas ratunkowy i dociągnął

wiązania. Cicho, nie troszcząc się o to, czy go usłyszą, powiedział:

- Będzie chłodno, chłopaki.

Na dole, w maszynowni w trzy minuty po wybuchu torpedy Watts wraz z Broughtonem wciąż czekali na rozkaz, by zejść ze stanowiska. Wiedzieli, że rozkaz powinien przyjść z góry, wierzyli, że przyjdzie... Gdy torpeda trafiła w *Compass Rose*, Watts stał na platformie i z własnej inicjatywy zatrzymał maszynę, a widząc, że korweta przechyla się groźnie, otworzył zawór bezpieczeństwa, by zmniejszyć ciśnienie w kotłach. Śledził przebieg wydarzeń na okręcie według odgłosów dochodzących z zewnątrz, a dla wprawnego ucha nie było to trudne. Kolejne trzaski rozlegające się w części dziobowej, to grodzie pękające pod naporem wody, a tupot i hałasy nad głową, to opuszczanie łodzi ratunkowych. Los ich był przesądzony, przypieczętowany bezwładnym przechyłem na burtę. Czekali stojąc jeden przy drugim w opustoszałej maszynowni - leciwy szef maszyny i młody praktykant. Watts spostrzegł, że Broughton żegna się znakiem krzyża; był przecież katolikiem. Niech go Pan Bóg ma w swej opiece tej nocy. Ostro zadzwonił pomost, Watts podszedł do rury głosowej.

- Tu maszynownia.

- Szefie - doleciał głos dowódcy jakby z ogromnej odległości.

- Tak, panie kapitanie?

- Zostawcie wszystko i wychodźcie na pokład.

Nic więcej, ale to wystarczyło.

- No, synku, szorujemy na górę! - zawołał do Broughtona. - Tu już nic po nas.

- Okręt już tonie? - spytał Broughton niepewnie.
- Ale nie ze mną. No, wiejemy!

Cztery minuty od trafienia... W pomieszczeniach dziobowych panuje już spokój, ustało walenie pięściami, wrzask oszalałej gromady ucichł, wciśnięty z powrotem w gardło. Torpeda ugodziła w korwetę w niedobrym momencie - dla wielu marynarzy był to najgorszy i ostatni moment ich życia. Trzydziestu siedmiu ludzi nie mających wachty - marynarze z pokładu i z maszyny - znajdowało się właśnie w pomieszczeniach. Jedni siedzieli przy stole i jedli, inni spali, a jeszcze inni czytali, grali w karty albo w domino. Było tu ciepło i przyjemnie za dobrze zamkniętymi drzwiami wodoszczelnymi, za jedynymi drzwiami w tym pomieszczeniu... Żaden nie wyszedł stąd z życiem. Większość zginęła na miejscu, lecz kilku - kto wie, szczęściarzy czy pechowców? - zdołało dopaść do drzwi albo dopełznąć do nich.

Wybuch wgniół i wypaczył powierzchnię drzwi, które zacięły się na amen. Nie było innego wyjścia prócz rozdartego otworu, przez który woda wwałała się do wnętrza potężną, wściekłą kaskadą.

To, co się potem działo, trwało na szczęście krótko. Lecz zanim woda zdusiła ostatni krzyk, porozginała palce zaciśnięte jak szpony, działo się to, co Ericson słyszał przez rurę głosową - paroksyzm strachu i rozpacz, konwulsyjne, gwałtowne ruchy w wodzie sięgającej zachłannie do gardła, straszny zakątek człowieczego ZOO, którego spraw nikt nie powinien oglądać.

Na drugim końcu korwety spokojny, opanowany mężczyzna zajął swe stanowisko i wziął się do roboty, którą mu przydzielono na wypadek opuszczenia okrętu. Był to Wainwright, torpedysta z obsługi bomb głębinowych. Stercząc wysoko na rufie, która zaczynała górować nad resztą kadłuba, wyjmował z bomb zapalniki, aby nie wybuchały po zatonięciu okrętu.

Pracował bardzo systematycznie. Odkręcić, pociągnąć i odrzucić - odkręcić, pociągnąć i odrzucić. Pracując pogwizdywał bezdźwięcznie piosenkę „Wytoczcie antałek piwa...” Każdy zapalnik zajmował Wainwrightowi dziesięć do piętnastu sekund, nim zdołał się z nim uładzić. Musiał unieszkodliwić w ten sposób trzydzieści bomb głębinowych. Liczył, że wystarczy mu na to czasu. Pod jego stopami rufa wciąż podnosiła się w górę jak koniec gigantycznej piły. W otaczającym mroku rozpoznawał linię okrętu zsuwającego się stromo w głąb oceanu. Słyszał jęk pary uchodzącej przez zawór i krzyki marynarzy dalej, na górnym pokładzie. Ale też wrzeszczą - pomyślał beznamiętnie. - Szkoda, że nie mają nic ciekawszego do roboty.

Samotny, pracował dalej w skupieniu. Odczuwał jakąś niejasną radość wyrzucając za burtę przedmioty, z którymi musiał się męczyć przez te trzy lata. Każdy z tych cholernych kawałków miał swój osobny numer i specjalną skrzynkę, był wpisany na listę i miał swój arkusz zapisów. Teraz każdy się zmieniał w jeden plusk w ciemnościach, a tych plusków nie musiał już liczyć.

Cień jakiejś postaci wyłonił się z mroku, wspinając się z trudem po pochyłości i wpadł prosto na niego. Poznał oficerski mundur i twarz Ferraby'ego.

- Kto to? - wykrztusił Ferraby zduszonym głosem.

- Tu starszy torpedysta, panie poruczniku. Wyciągam zapalniki.

Pośpieszał z robotą nie czekając na uwagi tamtego. Ferraby rozglądał się wkoło jak zabłąkany w krainie koszmarnych snów.

W końcu podszedł do drugiej wyrzutni i niezręcznymi palcami zaczął wyjmować zapalniki. Pracowali wytrwale, odwróceniu do siebie plecami i mocno wparci w pokład umykający spod stóp. Z początku obaj milczeli. Potem Wainwright zaczął znów pogwizdywać, a Ferraby, kiedy wypadł mu z rąk zapalnik, zaszlochał krótko. Wtem okręt przechylił się gwałtownie, a rufa wzniosła się jeszcze wyżej, niby królewski tron, u którego stóp rozesłało się morze.

Siedem minut od chwili trafienia... Ericson pojął, że korweta już tonie i nic nie zdoła jej powstrzymać. Pomost zawisł nad wodą pod ostrym kątem, rufa sterczała w górze, a dziób siedział głęboko w morzu, zanurzony po pokład. Okręt, któremu oddali szmat swego życia i tak wiele starań, ich własna *Compass Rose* stanęła już w pozycji do ostatniej podróży na dno i w tej pozycji długo nie pozostanie.

Dręczyło go wszystko to, czego nie zdołał uczynić: sygnał do *Viperous* i spuszczenie łodzi, podparcie grodzi w mesie oficerskiej, którą może zdołaliby uratować na czas. Przypomniawsobie - admirał w Ardnacraish miał rację, powinni byli ćwiczyć opuszczanie okrętu. Lecz nieszczęście spadło zbyt nagle. Może nic nie mogło ocalić korwety, może nie była dość silna i odporna, może szanse nieprzyjaciela były zbyt murowane i on nie powinien się gryźć z tego powodu.

Stojący tuż przy nim Wells był czujny jak zawsze.

- Czy mam wrzucić książki do morza, panie kapitanie?

Ericson gwałtownie uniósł głowę. Wyrzucenie za burtę poufnych ksiąg sygnałowych i szyfrów, zapakowanych w obciążonym worku, to była najostatniejsza rzecz, której musieli dokonać przed zatonięciem okrętu. To był ostatni znak zguby i

unicestwienia. Pamięta, widzi tamtego Niemca z okrętu podwodnego, jak rzuca w morze worek i pada spełniając ostatni obowiązek. Przez sekundę zwlekał z wydaniem rozkazu, przejęty lękiem i niedobrym przeczuciem.

Znów obrzucił spojrzaniem korwetę. Była już spokojniejsza. Przystąpiła fatalny prób zamętu i wścieklej samoobrony trwającej kilka minut. Zrobili to, co do nich należało, ale wszystko na próżno. Teraz musieli już tylko przetrwać ostatnią, krótką chwilę, nim skoczą w dół i zaczną płynąć w ciemności. Uprzytomnił sobie pozycję korwety o trzydzieści mil w tyle za konwojem. Czy któryś z eskortowców idących na tyle konwoju zobaczy *Compass Rose* na ekranie radaru, czy zauważy, że znikła z ekranu i czy się domyśli, dlaczego? To była ich jedyna szansa w mroźną, okrutną noc.

- Tak, wyrzucicie książki za burtę - powiedział do Wellsa, po czym obrócił się do innej postaci zastygłej w głębi pomostu i zawołał: - Bosmanie!

- Tak jest? - odezwał się Tallow.

- Gwizdek na opuszczenie okrętu.

Zszedł za Tallowem po trapie, wspinał się za nim po przechylonym pokładzie i słyszał przed sobą jego głośne wołanie:

- Opuszczać okręt! Opuszczać okręt!

Gromada ludzi pchała się w milczeniu i roztrącała łokciami, dążąc w kierunku sterczącej wysoko rufy. W dole, na ciemnej wodzie, dwie tratwy ratunkowe czekały już na nich, ofiarowując skąpą, mizerną pomoc w śmiertelnym zagrożeniu. Kilku marynarzy z oddziału Tonbridge'a, spuściwszy tratwy na wodę, zabrało się z powrotem do łodzi. Lecz daremnie szarpali się i męczyli - łódź zaklinowała się jeszcze mocniej pod wpływem większego przechyłu. Gdy Ericson wszedł między swych ludzi, poznali go i słowo: Dowódca! Dowódca! - wytryskało dokoła

podnieconym pomrukiem. Z czyichś ust padło pytanie: - Co z nami będzie, panie kapitanie?

Compass Rose drżała pod ich stopami i zanurzała się dziobem coraz głębiej.

Jakiś marynarz stojący przy relingu zawołał nagle:

- Chłopcy, ja skaczę! - i śmignął głową naprzód za burtę.

- Już czas - rzekł Ericson. - Szczęść Boże nam wszystkim!

Strach targnął sercami. Niektórzy skakali od razu i odsadzali się od tonącej korwety. Krztusząc się dreszczem zimna wołali do kolegów, by szli za ich przykładem. Inni zwlekali, pchali się wciąż dalej ku rufie i ku przeciwnej burcie, wzniesionej wysoko nad wodą. Gdy w końcu zdecydowali się skakać, wielu obsuwało się po stalowym, obrośniętym muszlami poszyciu, kalecząc się i szarpiąc na strzępy odzież i wystające części ciała - czasem twarze, a czasem genitalia. Na morzu wykwitwały chybotliwe światełka - zapalające się lampki na pasach ratunkowych. Marynarze odpływali jak mogli najszybciej i gromadzili się na wodzie krzycząc i dodając sobie nawzajem otuchy. Zwrócili się twarzami do *Compass Rose* i patrzyli. Wynurzona połową kadłuba, zawahała się na chwilę przed skokiem w dół. Na tle nieba widniała śruba obnażona bezwstydnie i głupio. Maszt napominał ich pochylonym palcem, by zachowali się jak trzeba, gdy już nie będzie korwety.

Nie zwlekała zbyt długo, nie mogła dłużej zwlekać. Widzieli, jak rufa wzniosła się jeszcze wyżej. Ostatni marynarz na okręcie stał na relingu rufowym i nagle skoczył krzycząc przeraźliwie. Ten krzyk wyzwolił całą lawinę hałasów. Z ogluszającym trzaskiem ładunek bomb oberwał się z wyrzutni. Szorowały

łomocąc wzdłuż górnego pokładu, aż wpadły z pluskiem do morza.

Z wielu ściśniętych krtani wyrwały się dwa słowa:

- Już tonie!

Usłyszeli zgłuszony huk i każdy z nich poczuł nieznośny ucisk pod sercem, niby dławiącą dłoń olbrzyma. *Compass Rose* ześlizgiwała się w dół. Teraz już się śpieszyła, jakby rada była zapomnieć co prędzej o swojej klęsce. Maszt przełamał się i wpłatał w olinowanie, gdy korweta szła na dno. A gdy i rufa skryła się pod powierzchnią, głęb wody trysnął w powietrze. Poczuli zapach ropy, ciężki, drapiący w gardle. Przyzwyczaili się do tego zapachu przy tylu konwojach. Ale nigdy nie przyszło im na myśl, że *Compass Rose* może któregoś dnia zionąć tym samym smrodem.

Wygladziło się morze, ropa rozlała się na wodzie, okręt zatonął na dobre. Kilka minut zmiotło z powierzchni to, co trwało lata. Ostry chłód, o którym zapomnieli w obliczu dopełniającej się zagłady, znów zaczynał się dawać we znaki. Byli osieroceni, porzuceni, samotni w ciemnościach - około pięćdziesięciu ludzi i dwie tratwy wśród bezmiaru nieszczęścia, strachu i oceanu.

Na dwóch tratwach nie było miejsca dla wszystkich, nie mogło być miejsca. Jedni siedzieli albo leżeli w środku, inni chwycili się linek zwisających z burt tratwy, jeszcze inni, nie tracąc nadziei, opływali ich wkoło lub czepiali się szczęśliwszych kolegów, którzy zdobyli miejsce. Podskakujące światełka skupiały się przy tratwach. Płynąc, ludzie zachłystywali się z zimna i ze strachu. Lodowata pięść fali waliła ich po twarzy, ropa wlewała się do nosa i do gardła. Bardzo szybko zaczęły im drętwieć ręce, a potem nogi, potem chłód zaczął przenikać głęboko do wnętrza ciała,

szukając zimnymi palcami serca. Miotali się na różne strony, próbowali dopchać się siłą do tratwy i znowu odpadali, odepchnięci przez innych. Krążyli dalej w ciemności, krzyczeli, przeklinali kolegów, wołali ratunku i modlili się zaślinionymi wargami.

Wśród tych, którzy trzymali się linek, ten i ów poczuł, że już nie zdoła dłużej, i oddawał się fali. Wśród tych, którzy nałykali się ropy, ten i ów dostawał obezwładniających skurczów i wypływał z siebie jad zatruwający wnętrzności. Wśród tych, którzy pokaleczyli się na ostrych blachach poszycia, ten i ów zastygał w śmiertelnym uścisku zimna.

Sączyły się mroźne godziny nocy. Rozbitkowie na tratwach walczyli z sennością lub pogrążali się w rozpacz, wpatrzeni w beznadziejną, nieprzeniknioną ciemność, wsłuchani w szum morza i wiatru. Czuł smród ropy i słyszeli głosy kolegów, którym zabrakło już sił do walki ze strachem i zimnem.

Ludzie zaczęli umierać.

Niektórzy umierali dobrze. Tak właśnie zginął starszy podoficer Tallow, starszy marynarz Tonbridge, Wainwright i Wells, i wielu innych. Ci ludzie wszystko robili dobrze, zupełnie odruchowo. W momencie śmierci nie zawiódł ich naturalny odruch.

Tallow zginął troszcząc się o innych marynarzy. Było to zawsze jego głównym zajęciem na korwecie i tym zajmował się do końca. Odstąpił swego miejsca na tratwie marynarzowi, który nie miał pasa ratunkowego. Ujrzawszy go w tak rozpaczliwej sytuacji, Tallow najpierw zburzał chłopaka za nieprzestrzeganie przepisów, a potem zsunął się z tratwy i podsadził tamtego. Zaledwie jednak sam zanurzył się w wodzie, schwycił go straszny skurcz, tak że nie mógł utrzymać linki. Właśnie uratowany przez

niego chłopak mruczał pod nosem coś o „cholernym bosmanie, co nie da człowiekowi spokoju”, gdy Tallow odpadł od tratwy, pozostał za nimi w tyle i nagle umarł z zimna, zupełnie sam.

Tonbridge wyczerpał swe siły próbując dotrzeć do rozproszonych ludzi podprowadzić ich ku tratwom. Zdołał ocalić w ten sposób sześciu kolegów, zbyt wyczerpanych, by mogli myśleć i działać na własną rękę. Wtem usłyszał zduszony krzyk z głębi ciemności - jeszcze jeden marynarz tonący w morzu. I Tonbridge po raz siódmy zanurzył się w ciemność, spiesząc na ratunek koledze. Ale tym razem już nie wrócił.

Wainwright doszedł do wniosku, że obydwie tratwy powinny trzymać się razem i sam sobie wyznaczył zadanie naprowadzenia ich, dopchnięcia do siebie. Nie szło to jednak tak łatwo, jak mu się zdawało, on sam zaś nie był taki silny, jak się spodziewał. Wkrótce ogarnęła go złość na upartą falę, która wciąż odpychała tratwy od siebie, i na zimno okradające go z sił. Zmagał się i walczył do upadłego, i zginął walcząc wściekle.

Wells umarł licząc żywych członków załogi. Przez cały czas swej służby sporządzał najrozmaitsze spisy. Spisy sygnałów, listy statków w konwoju i spisy flag sygnałowych. Teraz uznał za rzecz szczególnej wagi ustalenie, ilu ludzi opuściło korwetę i ilu pozostało przy życiu. Dowódca na pewno o to zapyta, a nie miał ochoty się zbłaźnić. Pływał więc przeszło godzinę i liczył głowy kolegów na wodzie. Doszedł już do czterdziestu siedmiu, lecz wtedy przyszło mu na myśl, że spośród tych, których zliczył, ktoś mógł tymczasem umrzeć. I zaczął od początku.

Za drugim razem nie szło mu już tak prędko. Płynął w stronę niewyraźnej postaci, która nie odpowiadała na jego wołanie. Wydało mu się, że ten człowiek, zamiast się zbliżyć, oddala się od niego. Wells płynął wolno, odpychając się rzadkimi uderzeniami rąk i dysząc ciężko. W parę sekund po ustaleniu, że milczący

człowiek już nie żyje, on sam rozstał się z życiem, wymawiając dokładną liczbę, która na pewno nie odpowiadała już prawdzie.

Niektórzy źle umierali - Watts, szef maszyny, i starszy marynarz Gregg, podoficer Carslake i wielu innych. W tych ludziach natura albo minione życie posiało ziarno egoizmu, tchórzostwa lub bezgranicznej żądzы przetrwania, która zżerała ich samych.

Watts nie umierał dobrze. Może nie należało wymagać od niego więcej. Był stary i zmęczony, był nieprzytomny ze strachu. Zamiast siedzieć z wnukami przy kominku, szamotał się w wodzie zmieszanej z ropą, objając się w ciemnościach o ludzi, których znał dobrze, a którzy byli już tylko trupami. Od momentu gdy skoczył z *Compass Rose* do wody, nie przestawał krzyczeć i wołać ratunku. Czepiał się innych rozbitków, walczył zaciekle o miejsce na tratwie już zapchanej po brzegi i coraz głębiej grzął w trzęsawisku obłędnego strachu. To strach go zabił, strach przede wszystkim. Wmówił sobie, że nie wytrzyma już dłużej i zginie, jeśli nie wyratują go zaraz. Wówczas ostatni paroksyzm przerażenia spętał mu ręce i nogi, ścisnął kruche naczynia krwionośne i niechlubna śmierć przyszła mu na ratunek. Nie była w niczym podobna do śmierci, jakiej mógł oczekiwać stary, wysłużony marynarz. I służbą wieloletnią, i zwykłą swą odwagą zasłużył na coś więcej niż ten ostatni, modlitewny skowyt, którym pożegnał się ze światem. Lecz to samo można było powiedzieć o innych w chwili strasznego skonu.

Gregg źle umierał, bo czepiał się życia z nieposkromioną nadzieją. Dziwne było jego spotkanie ze śmiercią. Przed samym wyjściem w ten rejs Gregg znowu dostał list od swego kolegi z armii. „Kochany Tom - pisał ów serdeczny kolega. - Chciałeś, żebym miał oko na Edytę, kiedy przyjadę na urlop. No więc...” Greggowi trudno było uwierzyć, że jego żona zeszła z uczciwej drogi, jak tylko zostawił ją samą i wrócił na okręt. Gdyby to nawet była prawda, nie wątpił ani chwili, że w ciągu paru dni zdoła

wszystko naprawić. Abym tylko mógł do niej wrócić - przekonywał sam siebie. - To jeszcze dziecko, trzeba jej tylko przemówić do rozsądku, trzeba, żebym ją kochał. Właśnie dlatego uważał, że nie wolno mu umrzeć. Tego samego zdania było wielu rozbitków, toteż walka o pozostanie przy życiu była bezwzględna i zacięta, zwłaszcza tam, gdzie się toczyła bez świadków.

Całą godzinę Gregg roztrzącał brutalnie i odpychał kolegów, nim doznał do jednej z tratw. Widział, że wszelkie próby dostania się na nią były zupełnie beznadziejne, ale z żelazną stanowczością robił wszystko, co mógł, by nie stracić miejsca zdobytego przy burcie. W końcu zdołał się wcisnąć pomiędzy burtę a linkę opasującą tratwę dokoła. Był więc przywiązany bezpiecznie, jak mała paczka do większej, i zamierzał spędzić w ten sposób resztę nocy marząc o domu i o żonie, która na pewno będzie go kochać jak dawniej, niech tylko do niej powróci. Zbyt chciwie pragnął życia. Ciekły godziny nocy, Gregg słabł, a zimno obezwładniało go sennością. Lina, przeciągnięta przez pętle dokoła tratwy i ciasno napięta rozpaczliwym uchwytem rąk dwudziestu rozbitków, obsunęła mu się z ramion na szyję. Ocknął się nagle, czując jej ucisk na szyi. Nim zdążył się wyzwolić, tratwa zakołysała się mocno, bo ktoś przewrócił się z jednej burty na drugą. Lina zacisnęła się mocniej i wyciągnęła go z wody. Było zanadto ciemno, by ktokolwiek mógł spostrzec, co się z nim dzieje, a zduszone wołanie Gregga zgubiło się wśród innych zduszonych krzyków, pośród normalnej wrzawy ludzi tonących. Szarpiąc się rozpaczliwie, przyspieszył tylko swą śmierć przez powieszenie.

Carlake umarł śmiercią mordercy. O najciemniejszej godzinie nocy dostrzegł niedużą belkę pływającą na wodzie. Belka ta mogła wystarczyć dla jednego człowieka i właśnie jeden człowiek już na niej leżał - radiotelegrafista Rollestone. Rollestone był mały, miał okulary na nosie i bał się bardzo. Carlake bał się tak

samo jak on, we wszystkim innym jednak miał nad nim przewagę. To, że nie zdobył miejsca na tratwie, roznieciło w nim mściwą i obłąkaną żądzę ocalenia. Poznał Rollestone'a wyciągniętego na belce, podpłynął więc do niego i szarpnął w dół sam koniec belki, tak że zanurzyła się w wodzie. Rollestone uniósł ostrożnie głowę.

- Uważaj - jęknął przerażony. - Jeszcze mnie przewrócisz.

- Pomieścimy się obaj - rzekł groźnie Carslake i znów ściągnął belkę pod wodę.

- Nie, nie możemy się zmieścić. Odczep się ode mnie. Znajdź sobie drugą belkę.

Była to najciemniejsza godzina nocy. Carslake podpłynął z przeciwnej strony i zaczął siłą odrywać palce Rollestone'a od belki.

- Czego ty chcesz? - skomlał radiotelegrafista.

- Pierwszy ją zobaczyłem - dyszał Carslake spychając tamtego.

- Ale ja wlałem już na nią - płakał Rollestone ze strachu i złości. - To moja belka.

Carslake szarpnął nim mocno, wczepiając się w zaciśnięte dłonie. Belka przeważyla się, zakołysała niebezpiecznie, a Rollestone zaczął krzyczeć: „Ratunku!” Carslake wzniósł błyskawicznie pięść i huknął go w usta. Spadł z belki w wodę, lecz natychmiast zaczął się na nią gramolić, kopiąc równocześnie Carslake'a. Ten wyczekał, aż głowa Rollestone'a zarysowała się wyraźnie na tle ciemnego nieba, wzniósł w górę obie dłonie splecione w podwójną pięść i trzasnął z całej siły, i jeszcze raz, i jeszcze. Rollestone zdążył krzyknąć raz jeden, nim umilkł na zawsze. Była to najciemniejsza godzina nocy.

Lecz zbrodniczy wysiłek wyczerpał Carslake'a. W momencie gdy zabijał, miał w sobie ciepło, a teraz chłód przenikał go do kości. Wdrapując się na belkę czuł, że jest zbyt ciężki i zbyt drętwe ma ruchy, że nie zdoła zachować równowagi. Nagle

stoczył się z belki z powrotem w morze. Dyszał powoli i z trudnością. Belka odpłynęła na fali, bezużyteczna i bezpańska.

Niektórzy umierali po prostu, zwyczajnie. Podporucznik Baker i Evans z maszynowni, porucznik Morell i inni. Ludzie ci nie mieli nic szczególnie cennego, dla czego chcieliby żyć, albo też zaplątali swe życie tak fatalnie, że w śmierci witali wyzwolenie.

Baker, na przykład, rozstając się z życiem nie doznawał tej trwogi, jaką musiał wycierpieć w ciągu ostatniego tygodnia. Od dnia, w którym *Compass Rose* wyruszyła w ten rejs, obijał się po wszystkich kątach korwety przytłoczony nieznośnym ciężarem winy, zupełnie sam ze swym wstydem i lękiem, który z dniem każdym utwierdzał się w odrażającej pewności. Nie wiedział absolutnie nic o wenerycznych chorobach i nie miał do kogo się zwrócić. Właściwie domyślał się tylko, że obrzmiałość i bolesność męskich organów, i zbrukana bielizna - są objawami tego, co w szczęśliwszej przeszłości przywykł nazywać „drobną nieprzyjemnością”. Był to beztroski żart beztroskiego młodzieńca z towarzystwa. Mijały dni i nie mógł już wątpić o tym, co mu się przytrafiło. Przez ten tydzień uciekał od ludzi, cierpiał coraz dotkliwiej, lecz nade wszystko czuł upokorzenie i strach. Tej nocy, gdy *Compass Rose* została trafiona, już postanowił odebrać sobie życie.

Po opuszczeniu korwety pływał przez kilka minut, a potem dostał się jakoś na tratwę. Powolne obsychanie po wyjściu z wody było okropnie bolesne. Kręcił się niespokojnie, zmieniał co chwila pozycję, lecz nie znajdował ulgi. W końcu, już po paru godzinach, doprowadzony do ostateczności, ześliznął się z powrotem do wody. Lodowate morze przyjemnie głuszyło ból, odbierało wrażliwość... Przyjemnie było czuć, jak zimno przenika w

pachwiny i nareszcie poskramia tę wstrętną, znienawidzoną część ciała. Umarł tak szybko, jak każdy inny człowiek, który nie broni się przed zimnem w momencie, gdy jeden stopień mniej lub więcej rozstrzyga o tym, czy strumień krwi będzie toczył się dalej, czy też skrzepnie w żyłach na zawsze.

Palacz Evans także umarł przez miłość. Prawdę mówiąc, w życiu Evansa było tak dużo miłości w tej albo innej postaci, że od dawna przestał już nad tym panować. W obecnym stadium wojny Evans dorobił się dwóch żon, jednej dokuczliwszej od drugiej - jedna mieszkała w Glasgow, a druga w Londynie. Miał smętną młodą niewiastę w Liverpoolu i wesołą wdówkę w Londonderry. W Manchester młoda dziewczyna niańczyła jego dziecko, a w Greenock inna dziewczyna dopiero oczekiwała dziecka. Gdy okręt wchodził do Gibraltaru, już na nabrzeżu parę ognistych Hiszpanek witało go powiewając chusteczką. Jeśli okręt zachodził na Islandię, albo do Halifaxu lub do Saint John's na Nowej Funlandii, nie mijała godzina, a już docierało na korwetę jakieś miłosne wezwanie albo pogrożki dla Evansa. Wszystkie pieniądze wydawał na opłacanie rachunków sześciu różnych gospodarstw albo na alimenty. Każdą swobodną chwilę w czasie postoju w porcie poświęcał na pisanie listów. Rzadko dawał się skłonić do zejścia na ląd. Rozwścieczeni mężowie, ojcowie lub bracia, czekający na niego zaraz u wejścia do portu, nie zachęcali go do tego.

Evans zabrnął w tak opłakaną sytuację przez zbytnią i zaiste fatalną przedsiębiorczość. Nie był bynajmniej przystojny. Po prostu nie mógł pozwolić na to, by kobieta powiedziała mu: Nie!

Ostatnio jednak zaszło coś zupełnie nowego, co wyglądało niepokojąco. Przed samym wyjściem *Compass Rose* dwie ślubne „żony” zwąchały pismo nosem i dowiedziały się o sobie. Okręt opuścił port w samą porę i Evans umknął przed nimi. Ale mógł się domyślać, co teraz nastąpi. Dwie żony zawrą sojusz przeciw

innym kobietom i potrafią odstęczyć je od niego. A potem znów się sprzymierzą, tym razem przeciw niemu. Już widział się przed sądem za oszukańcze obietnice, na ławie oskarżonych za uwiedzenie dziewicy, w więzieniu za długi i za bigamię. Przyszłość malowała mu się w najciemniejszych kolorach, tak zagmatwana, że nie mógł sobie wyobrazić żadnego rozwiązania.

Koło trzeciej nad ranem przysła na niego kolej zmagania się z zimnem o życie. Czuł tylko znużenie i rezygnację. W nagłym przeblasku świadomości uznał, że dość już naużywał się w życiu - zbyt wiele, by mógł używać dalej, bez końca - że teraz nadszedł dla niego czas zapłaty za wszystko. A jeśli teraz nie zapłaci - w ciemnościach nocy, w zimnym morzu zbryzganym ropą, sam na sam z sobą - to będzie musiał spłacić surowszy rachunek po powrocie do kraju.

Właściwie nie poddał się fali, ale przestał się troszczyć o to, czy będzie żył, czy też umrze. Tej nocy wola, która nie była ze stali, nie wystarczała. Evans nie walczył o uśmiech życia ze zwykłym sobie, a teraz niezbędnym zapamiętaniem. Dziwne, że właśnie ta nazbyt dzielna część jego ciała, przez którą wplątał się w tak wiele kłopotów, najmniej okazywała decyzji w ostatnich już zabiegach. Chłód szybko pełznący od lędźwi był, zaprawdę, szyderczą nauczka, której mu udzielało jakieś Naczelne Dowództwo. Jakby po raz pierwszy i zarazem ostatni samo życie pokiwało już tylko głową nad jego osobą i założyło nogę na nogę.

Morell, dziwnym zrządzeniem losu, zmarł z francuskimi słowami na ustach, ze słowami w ojczystym języku swej babki. Zmarł tak, jak żył ostatnio, to znaczy - sam. Znaczną część nocy unosił się na wodzie w dość dużej odległości od gromady rozbitków. Podtrzymywany pasem ratunkowym, leżał nieruchomo na fali, przyglądając się podskakującym światelkom i słuchając krzyków rozpacz i strachu. Czuł się wyodrębniony od wszystkiego, co działo się dokoła, podobnie jak to nieraz bywało

w przeszłości. Nikt nie mógł od niego wymagać, by przyłączył się do tego towarzystwa. Śmierć znajdzie go i tutaj, o trzydzieści metrów od innych, jeśli zechce po niego przyjść. A tymczasem to, co zostało mu z życia, jest wciąż jego prywatną, osobistą własnością.

Dużo myślał o Elaine. Myśli te trwały tak długo, jak on sam, prawie do świtu. Koło piątej nad ranem nadszedł czas, gdy zdrętwiałe od zimna ciało i wyczerpany mózg, zamknąwszy pełny krąg, spotkały się w tym samym punkcie zupełnej bezsily. Teraz pojmował, że był po prostu głupi, gdy chodziło o Elaine, tak - głupi i bezradny. Wybrał śmieszną drogę protestów i perswazji. Ostatnio zachowywał się tak, jak zazdrosny małżonek w popularnej farsie. Stapał po deskach sceny w groteskowej masce rogowca, a kochankowie wyglądali zza kulis i mrugali znacząco do licznie zgromadzonej publiczności. Teraz rozumiał, że wszystko, cokolwiek czynił, było zupełnie bezcelowe. Żadne słowa, żadne błagania ani protesty nie mogły mieć znaczenia. Elaine kochała go albo nie kochała, pragnęła go albo mogła się obejść bez niego, była mu wierna albo go zdradzała. Gdyby kochała go dostatecznie mocno, dotrzymałaby kroku jego miłości. Lecz jeśli było inaczej, on nie mógł jej przywołać z powrotem, nie mógł w nią wmówić miłości.

Teraz było oczywiste i jasne jak słońce, że nie dbała o niego ani trochę.

Ta naga myśl wniknęła jak obnażone ostrze w ciało stygnące od chłodu. Zachwiał się płomyk życia. Minęła długa chwila bez żadnej myśli, a gdy się ocknął, zrozumiał, że przechyla się oto poprzez próg snu i śmierci. Teraz było mu wszystko jedno. Z rozpaczliwym spokojem zebrał wszystkie swe siły, by podsumować to, co wypełniało mu umysł i było treścią życia. Trwało to długo i wymagało ogromnego wysiłku. Nagle powiedział głośno:

- Il y en a toujours un qui baise et un qui tourne la joue.²⁵

Przechylił głowę w bok, jakby w zadumie: czy nie da się czegoś zmienić w tym stanie rzeczy? Nic nie przychodziło mu na myśl. Z wolna wszelki ślad myśli rozpływał się w nicość. Głowa Morella wciąż przechylała się na bok, ale w pewnym momencie poza namysłu zastygła w pozę śmierci.

Niektórzy - było ich bardzo niewielu - pozostali przy życiu. Kapitan Ericson, porucznik Lockhart, starszy radarzysta Sellars, sanitariusz Crowther, podporucznik Ferraby, podoficer Phillips, starszy maszynista Gracey, maszyniści Spurway i Grey, radiotelegrafista Widdowes, marynarz Tewson. Jedenastu na obu tratwach. Nikt prócz nich nie dożył do rana.

Lockhartowi przywodziło to na myśl towarzyskie zebranie na ładzie, z którego goście stopniowo się ulatniają, w miarę jak mijają godziny, jak wywiązują się sprzeczki, jak ogarnia ich odrętwienie i senność. Najpierw wyglądało to nieźle. Dwie tratwy, dźwigające każda dwunastu ludzi i jeszcze paru uczeplonych u linki, przebiły się ku sobie mimo wysokiej fali i Lockhart przeprowadził coś w rodzaju apelu stwierdzając, że przeszło trzydziestu ludzi nie dało się śmierci. Ale było to znacznie wcześniej, w pełni towarzyskiej zabawy... Długa, nie kończąca się noc nizała chwilę za chwilą, ludzie wymykali się z życia bez uprzedzenia, zastygali w jednym śmiertelnym dreszczu, niemal wpół słowa. Dokładna ewidencja zmarłych i żywych stała się niemożliwa, zawodna i bezsensowna. Czyż warto liczyć i poprawiać rachunek, skoro już wkrótce - jeśli noc nie skończy się

²⁵ Zawsze jeden całuje, a drugi odwraca policzek - trawestacja popularnego przysłowia francuskiego (przyp. tłum.).

przedtem i słońce nie rozgrzeje ich trochę - końcowe saldo może ujawnić całkowitą klęskę?

Wśród nocy, która nie chciała się skończyć, nocy wypełnionej szeptem nieszczęścia, ludzie na tratwach byli milczeniem lub głosem. Jeśli milczenie trwało zbyt wiele minut, wiedzieli, że mają o jednego kolegę mniej, że ktoś inny może już zająć jego miejsce, ktoś, kto zdołał zachować w swym ciele strumyczek życia i ciepła.

- Chryste, jak zimno...
- Daleko był od nas konwój?
- Jakieś trzydzieści mil.
- Słuchaj, Shorty...
- Czy ktoś widział Jamesona?
- Był w pomieszczeniach.
- Stamtąd żaden nie wyszedł.
- Miały szczęście chłopaki... Tamto lepsze niż tu.
- Nas jeszcze mogą wyratować.
- Robi się jakoś widniej.
- To tylko księżyc.
- Shorty, obudź się...
- Nie tonęła dłużej niż jakie pięć minut.
- Tak jak *Sorrel*.
- Trzydzieści mil... Powinni nas złapać radarem.
- Jeśli dobrze patrzyli.
- Kto szedł na tyle konwoju?
- *Trefoil*.
- Shorty...
- Ilu ludzi na tamtej tratwie?

- Chyba tyłu, co u nas.
- Chryste, jak zimno...
- I wiatr się zrywa.
- Chciałbym spotkać tego łajdaka, co nas wrobił w nieszczęście.
- Dla mnie wystarczy raz go spotkać.
- Shorty, co ci się stało?
- Jesteśmy bardzo niedaleko Islandii.
- Nie potrzebujesz tego mówić.
- *Trefoil* to przyzwoity okręt. Powinni nas zobaczyć radarem.
- Chyba, że jakiś główniarz zasnął na wachcie przy odbiorniku.
- Shorty...
- Przestałbyś lepiej. Nie widzisz, że się skończył?
- Ale kiedy rozmawiał ze mną.
- Kiedy, tumanie? Godzinę temu...
- Wilson już umarł, panie poruczniku...
- Na pewno?
- Tak, już zimny jak lód.
- To go wyrzucicie. Kto wchodzi zamiast niego?
- Kto ma ochotę na wspinaczkę?
- Po co? Na tratwie tak samo zimno.
- Chryste, jak zimno...

O jakiejś porze nocy sierp księżyca wyjrzał zza poszarpanych chmur i oświetlił na chwilę ponury krajobraz. Odsłonił pustkę morza wspinającego się groźnie pod biczem wiatru, sylwetki ludzi skulonych ciasno na tratwach i cienie tych, którzy czepiali się linek, i niewyraźne zarysy ciał kołysanych i unoszonych na fali daleko, coraz dalej od żywych towarzyszy, i czerwone światelka płonące bez celu na piersiach ludzi, którzy je zapalali pełni

nadziei i ufności. Na kilka minut chłodny blask spoczął na licu morza i na czołach niewielu ludzi, którzy jeszcze prosto trzymali głowy. Potem księżyc się schował. Szybko zasłonił twarz, zdjęty litością i zdumieniem. Miał dość tego widoku i rozumiał, że ludziom w tak wielkim nieszczęściu należy się już tylko łaska ciemności.

Ferraby nie umarł. Gdzieś w porze przedświt, gdy trzymał w ramionach Rose'a, młodego sygnalistę, wydało mu się, że jednak umarł. A to Rose umarł, nie on. Przez całą noc Rose siedział na tratwie tuż obok niego. Czasami rozmawiali, a czasem milczeli. Przypomniawszy sobie inną noc, już dawno temu - pierwszą ich noc na morzu. Ośmieleni ciemnością i samotnością w nowym dla obu otoczeniu, pogadywali wtedy ze sobą i czuli się sobie bliscy.

Teraz potrzeba zbliżenia była jeszcze silniejsza, więc znów zwrócili się ku sobie. Byli tacy młodzi i tacy naiwni w swym milczącym pragnieniu pokrzepienia, że w pewnej chwili dłonie ich splotły się mocno ze sobą. W końcu Rose umilkł i nie chciał odpowiadać na jego pytania, osunął się na niego bezwładnie, jak gdyby usnął. Ferraby otoczył go ramieniem, a gdy Rose opadł jeszcze niżej, ułożył go sobie na kolanach.

Przeczekał chwilę, pełen lęku przed straszną prawdą, i wreszcie zapytał:

- Rose, co ci jest?

Nie było odpowiedzi. Pochylił się i dotknął twarzy spoczywającej zaraz pod jego twarzą. Powodowany instynktem współczucia, dotknął ustami, a gdy się wyprostował, usta miał lodowate i drżące. Teraz pozostał sam... Łzy spływały mu po policzkach i spadały na otwarte, obrócone ku górze oczy. Pogrążony w rozpacz i w śmiertelnym lęku, tulił do serca - jak nieżywe dziecko - zimne i sztywniejące ciało przyjaciela.

Lockhart także nie umarł, choć nieraz w ciągu tej nocy zdawało mu się, że umrze. Wiele godzin zostawał w wodzie czepiając się tratwy numer dwa, powierzonej jego opiece. Nad ranem, kiedy zwolniło się miejsce, wgramolił się na tratwę. Rozejrzał się z tego niewielkiego wzniesienia, poczuł dotkliwe zimno i smród ropy, zobaczył drugą tratwę w pobliżu i przestrzeń wzburzonej wody pomiędzy nimi. Zadumał się nad czarnymi cieniami trupów na morzu, zapatrzył się na chmury pędzące w nieustannym wyścigu, na samotną gwiazdę u szczytu niebieskiej kopuły, wsłuchał się w jęk mroźnego wiatru. I właśnie wtedy, gdy to wszystko miało go już przytłoczyć i ograbić z nadziei, jeszcze raz zebrał się w sobie, wziął w garść siebie samego i tę gromadkę na tratwie, postanowił przetrwać żywy do świtu i doholować tamtych za sobą.

Kazał im śpiewać, ruszać rękami i nogami, kazał rozmawiać i nie pozwolił im zasnąć. Bił po twarzach, kopał i rozhuśtywał tratwę, tak, że musieli się ruszać i trzymać mocno, by nie wlecieć do wody. Sięgnął głęboko do repertuaru sprośnych powiastek i opowiadał im tak ohydne i idiotyczne kawały, że byłby czerwienił się przy tym, gdyby udało mu się znaleźć chociaż kropelkę krwi na ten cel. Kazał im bawić się w zabawę „Pod rozłożystym kasztanem” i w zagadki. Wyciągnął Ferraby’ego zza kurtyny milczącej rozpacz i kazał recytować wszystkie znane mu wiersze. Naśladował różne postacie z oklepanej farsy i zmusił innych, aby grali z nim razem. Kazał wiosłować wokoło i śpiewać „Wołga, Wołga...” Przypomniawszy sobie zabawę z lat dziecięcych, podzielił ich na grupy i kazał krzyknąć równocześnie: - Rosja! Prusy! Austria! - co miało dać w efekcie odgłos podobny do kichnięcia olbrzyma. Marynarze na tratwie nienawidzili go za to, jego i jego głosu, i wariackiego optymizmu. Klęli go zupełnie otwarcie, a on odpłacał im tą samą monetą i obiecywał wzmocnioną porcję aresztu, jak tylko wróca do portu.

Wyczyniając te cuda, czerpał z jakichś nieznanych zasobów sił i energii, które teraz niosły mu ocalenie. Kiedy wydostał się z wody, był straszliwie zmarznięty i zdrętwiały. Wściekła, szalona ruchliwość i błazeńskie sztuczki roznieciły w nim iskrę ciepła i zaraziły innych. Niektórzy zrozumieli, o co gra idzie, i poczęli na własną rękę wygłupiać się i błaznować, i poruszać gwałtownie. W ten sposób uratowali swe życie.

Sellers, Crowther, Gracey i Tewson nie umarli. Byli na tratwie numer dwa razem z Lockhartem i Ferraby'm. Nikt prócz tych sześciu nie pozostał przy życiu, gdy świt rozjaśnił niebo, mimo zacieklego wysiłku, z jakim starali się odpędzić słodką pokusę snu. *Compass Rose* była pierwszym okrętem Tewsona, a ten rejs był jego pierwszym rejsiem. Był to wesoły chłopak z londyńskiego przedmieścia. W ciągu nocy rozśmieszał ich ciągle, pytając z udaną naiwnością:

- Czy takie coś zdarza się w każdym rejsie?

Był to dość marny żart, ale Lockhart rozumiał, że właśnie tego im było potrzeba. Były także inne numery. Sellers śpiewał nie kończącą się pieśń o „Jawnogrzesznicy z Jeruzalem”, Crowther (ten sanitariusz, który był kiedyś weterynarzem na wsi) naśladował głosy przeróżnych zwierząt, Gracey zrobił im pokaz walki bokserskiej z cieniem, przy czym omal nie wywrócił ich wszystkich do morza. Robili naprawdę, co mogli, i tylko to uratowało im życie.

Phillips, Grey, Spurway i Widdowes także nie umarli. Ci byli na tratwie numer jeden razem ze swym dowódcą i jemu zawdzięczali życie. Podobnie jak Lockhart, Ericson rozumiał, że trzeba walczyć ze snem ciągle i bez wytchnienia, jeśli ktokolwiek z nich ma dożyć do rana. Większą część nocy spędził egzaminując swych ludzi do następnego awansu. Zrobił z tego coś w rodzaju gry towarzyskiej, na pół poważnej, na pół żartobliwej. Każdemu zadał trzydzieści parę pytań. Jeśli odpowiedź była dobra, wszyscy

musieli bić brawo, jeśli zaś zła, musieli ryczeć ile tchu w piersi, a ten, kto palnął byka, wykonywał za karę jakieś gimnastyczne ćwiczenie. Swoim autorytetem ciągnął za sobą tych ludzi przez kilka godzin. Dopiero kiedy zbliżał się świt, on sam poczuł, że mózg już odmawia mu posłuszeństwa i że nie potrafi się skupić. A kandydaci do awansu milkli jeden po drugim, klaskanie i krzyki były już tylko mizernym echem tych odgłosów. Jękiem wiatru i szelestem podobnym do szelestu fali liżącej burtę tratwy lodowatym, zakręconym jęzorem i czekającej ufnie, aż przyjdzie czas, że pochłonie ich wszystkich.

I dowódca nie umarł. Gdy *Compass Rose* zatoneła, czuł, że nie zostało mu nic, z czym chciałby umierać. Wysiłek nocnego „egzaminu” był koniecznością, więc podjął go jak automat - dlatego że był dowódcą, że odpowiadał za garstkę tych ludzi na tratwie, którym zawsze należała się jego troska i pomoc. Ale nie wkładał serca w ten wysiłek. Serce skurczyło się i zamarło w ciągu kilku okropnych minut między trafieniem torpedy a zatonięciem okrętu. Kochał swą *Compass Rose* nie sentymentalnie, ale uczuciem mocnym i dumnym, które musiało się zrodzić i rozwinąć w ciągu ostatnich trzech lat. Pogardliwe, lekceważące zniszczenie korwety pod jego własnymi stopami było okrutnym wstrząsem. Nie znał słowa odpowiedniego, by nazwać tę noc, nie znał czynu, którym mógłby zrównoważyć jej ciężar. Ta noc zabiła w nim wszelkie uczucia. Lecz mimo to nie umarł, bo miał czterdzieści siedem lat, był marynarzem, był silny i zręczny i dobrze znał się z morzem, choć nienawidził go teraz.

Jego ludzie tęsknili do ranka. Sam Ericson zauważył po prostu, że wkrótce zacznie świtać i że resztki jego załogi mogą dożyć do tego czasu. Gdy pierwsze blade światło wypęzło ze wschodu i położyło się na wodzie, poderwał siebie i swych ludzi. Kazał wiosłować w kierunku tamtej tratwy, którą zniosło o dobrą milę. Rozwidniało się szybko, jakby sam wiatr siał światło naokoło.

Bezlitośnie padało na groźne, ponure morze, na pasma ropy rozciągnięte na jego powierzchni i na bezwładnie pływające łachmany, które były niedawno żywymi ludźmi. Tratwy zbliżyły się do siebie. Tu i tam ludzie machali rękami, tak podnieceni, jakby trudno im było uwierzyć, że nie są sami. Gdy byli już dość blisko, z tratwy Lockharta doleciało jakieś ochryple wołanie, a Phillips na tratwie Ericsona odpowiedział niewyraźnym okrzykiem ze ściśniętego gardła.

Nikt już nie odezwał się więcej, aż tratwy podpłynęły i dotknęły burtą o burtę. Wtedy popatrzyli na siebie ze zgrozą i lękiem.

Na obu tratwach było mniej więcej jednakowo. Tu i tam garstka zmaltretowanych, śmierdzących ropą ludzi trzymała się prosto, podczas gdy inni leżeli sztywno w ich ramionach albo, jak psy, wyciągnęli się u ich stóp. Dokoła wianek takich samych postaci, towarzyszących nieodstępnie - straszliwa frędzla trupów podskakujących na wodzie, wpatrzonych w niebo twarzami bez żadnego wyrazu, przymarzniętych szponami rąk do linki.

Między trupami a żywymi nie było wyraźnej granicy. Ludzie siedzący na tratwach upodabniali się do trupów, które hołubili w ramionach i do tych, które płynęły po wodzie, opuszczone przez wszystkich. Byli częścią tego samego deseni, zamazanego łąką nieszczęścia.

Ericson liczył postacie żywych na tratwie numer dwa. Są czterej marynarze, Ferraby i Lockhart. Wyglądają równie przerażająco jak ludzie na jego własnej tratwie: szerniali, trzęsący się z zimna, policzki i skronie wpadnięte, bez kropli krwi pod skórą. W ciemnych godzinach nocy chowali się przed śmiercią, a teraz, kiedy ranek zaświtał, obezwładnieni lękiem wciąż jeszcze kulą się w jej cieniu. Wszystkich razem zostało jedenastu... Roztarł dłonią zmarznięte wargi, odchrząknął i powiedział:

- No tak, poruczniku...

- Tak, panie kapitanie...

Lockhart patrzył przez chwilę w oczy swego dowódcy, lecz odwrócił spojrzenie. Nie było, nie mogło być ulgi w tej trudnej do zniesienia chwili.

Wiatr dał im w twarze mroźnym podmuchem, morze chlustało drobną, lodowatą falą o burty tratw, a frędzla martwych ciał zaprzężonych do linki kołysała się w tańcu kościotrupów. Wschodzące słońce demaskowało okrutne szczegóły. W jego promieniach tratwy, przerażające same w sobie, okazały się drobnym fragmentem straszego pobojuwiska, na którym walały się trupy, szturchane i potrącane wśród szczątków zatopionego okrętu, pod bladym, obojętnym sklepieniem nieba. Te szczątki pływające po brudnej, splamionej ropą powierzchni oceanu - wszystko, co pozostało z ich *Compass Rose* - raniły i zawstydzaly swym widokiem patrzących.

To obraz tego roku - pomyślał Lockhart. - Powinien się nazywać „Poranek z trupami”.

Tak odnalazł ich *Viperous*.

Część V. 1943: RÓWNOWAGA SIŁ.

1.

Trzy spośród czterdziestu luster zdobiących ściany wytwornego baru w Londynie odbijały postać Lockharta w trzech różnych pozycjach do wyboru: na wprost, profil z prawej i profil z lewej. Lockhart czekał na Ericsona, z którym umówił się na obiad, i nie mając co robić przyglądał się z pewnym zainteresowaniem tym trzem aspektom młodego, szczupłego oficera marynarki wojennej, który wypoczywał po trudach służby czynnej. Mundur jest bez zarzutu. Twarz wprawdzie wychudzona, lecz zwracająca uwagę wyrazem zdecydowania, a cienie pod oczami świadczą o ciężkich, surowych przejściach.

Na tle sali urządzonej z przepychem i wyrafinowaniem, wysłanej grubym, puszystym dywanem i zastawionej lśniącoymi meblami, twarz i postać Lockharta odbijały swą zbytnią rzeczowością. Co prawda, było tu sporo oficerów z wszystkich rodzajów broni - przy barze i przy stolikach pod ścianami, ale żaden z nich nie miał bojowego wyglądu. Właściwie wyglądali tak, jakby siedzieli tu od początku wojny. Kobiety, którym towarzyszyli, w jeszcze silniejszym stopniu sprawiały wrażenie, że zawsze można je tu oglądać. Mimo to Lockhart doszedł do wniosku, że sam nie wygląda zbyt dziko w tym otoczeniu. Jeśli nie mógł popisać się swobodną pewnością siebie starego bywalca, to przynajmniej nadawał swemu kątowni sali atmosferę autorytetu, granatowej i sztywnej stanowczości, która dosyć dobrze harmonizowała z grubym dywanem. Zresztą jeszcze jedna szklaneczka dżynu i tak czy owak, przejdzie do klasy bywalców. Rozejrzał się dokoła.

- Kelner!

- Słucham pana. - Bardzo leciwy kelner w miękkiej, wygniezionej koszuli podszedł do jego stolika.

- Proszę jeszcze szklaneczkę dzynu.

- Raz dzyn, proszę pana.

- Chwileczkę...

- Słucham, coś jeszcze?

Lockhart wskazał na dzbanek z wodą.

- Kurz pływa na wodzie!

Staruszek cmoknął z zakłopotaniem.

- Pan szanowny wybaczy. - Podniósł dzbanek, przyjrzał mu się dokładnie i postawił na tacy. - Zaraz każę dać inny. - Pochylił się poufnie nad gościem. - Pan szanowny wybaczy. To wszystko z powodu wojny.

- Och, jeśli tak - uspokoił go Lockhart - to nie będę się tym przejmował.

Stary kelner trząsł głową z wyrazem zgorszenia.

- Pan szanowny pojęcia nie ma, jak to jest teraz ze wszystkim. Popękane szklanki, za mało lodu, kawałki korka pływają w sherry.

- Znów się pochylił nad ramieniem Lockharta. - Przedwczoraj znalazłem karalucha we frytkach.

Lockhart przełknął gwałtownie ślinę.

- Czy musi pan o tym opowiadać?

- Ja tylko tak wspominam szanownemu panu. Człowiek by nie chciał podać coś takiego gościowi, ale co my możemy poradzić? Dostawcy nie tacy już jak kiedyś. No, widzi pan szanowny, zeszłego tygodnia jeden amerykański oficer skarżył się, że woda sodowa jest ciepła.

- Ciepła woda sodowa, to przecież potworne - rzekł Lockhart rozmarzony.

- Jasne, to każdy smak zepsuje.
- Tak, rzeczywiście. I okropnie w tym pływać...
- Przepraszam pana szanownego?
- Nie, nic. Właśnie o czymś myślałem.
- Więc jeden dzyn?
- Tak, może być trochę głębszy.

Spojrzał w bok i nagle zobaczył Ericsona u wejścia do baru. Przez chwilę przyglądał mu się uważnie, a potem rzucił kelnerowi:

- Zresztą, niech już będą dwa dzyny podwójne. Zdaje się, że będzie okazja do wypicia.

Spojrzenia ich spotkały się i Ericson zaczął się przeciskać przez zatłoczoną salę do stolika. Lockhart dostrzegł coś jakby skrępowanie w ruchach tej silnej, wyniosłej postaci, domyślał się powodu i był tym rozczulony. Z takim człowiekiem dobrze jest przeżyć wojnę...

Gdy Ericson podszedł do niego, Lockhart wstał i powitał go szerokim uśmiechem.

- Gratuluję, panie komandorze.

Ericson trochę zawstydzony, spojrzał na czapkę, którą miał w ręku. Błyszczące złotem dystynkcje nad daszkiem świadczyły o bardzo świeżym awansie.

- Dziękuję, poruczniku. Powiedzieli mi o tym w zeszłym tygodniu. Oczywiście, przyszedł termin na awans.

- Oczywiście, termin i nic poza tym - rzekł Lockhart spokojnie.
 - Ale pomimo to piję na cześć awansu. - Wypił ostatek trunku ze szklanki i spojrzał w kierunku baru. - Zamówilem dla pana duży dzyn.

- Wystarczy na początek - zgodził się Ericson.

Kelner przyniósł szklaneczki. Ericson podniósł swoją i przepił do Lockharta, który wpatrywał się w złotą plecionkę na czapce. Teraz Lockhart poczuł się skrępowany. Od przeszło dwóch miesięcy nie widział dowódcy, a ich ostatnie pożegnanie, tam na nabrzeżu, było zbyt dziwną mieszaniną uznanych form, głębokiego wzruszenia i zdumienia, że obaj jeszcze żyją, by mógł wspominać o tym teraz i tutaj lub w jakimkolwiek innym otoczeniu.

- Wątpię, czy ze mnie zrobią komandora - odezwał się wreszcie.
- Sam czas służby nie wystarczy, przynajmniej mam nadzieję, że nie. A nic innego nie może za mną przemawiać.

- Nie bądź pan taki pewny - Ericson zawahał się chwilę. - Wczoraj prawie przez cały dzień byłem w Admiralicji. Znowu zaczyna się ruszać.

Lockhart poczuł ściśnięcie w gardle - nerwowe przerażenie, którego nie nauczył się jeszcze opanowywać. Jeśli „zaczyna się ruszać”, to znaczy, że i jego poruszają. To znaczy - koniec tak ciężko zarobionego urlopu, koniec wytchnienia i swobody. To znaczy - trzeba wszystko rozpocząć na nowo. Wiedział, że Ericson musiał już postanowić o jego przyszłości albo co najmniej wyrazić Admiralicji swe zdanie w tej materii. Bał się prawie usłyszeć, jak ma wyglądać ta przyszłość. Jego wewnętrzna równowaga między samoopanowaniem a załamaniem nerwowym była wciąż bardzo chwiejna po nadmiernym napięciu i wstrząsie związanym z *Compass Rose*. W tym stanie ducha gotów był widzieć w każdej zmianie po prostu koniec świata. Nawet świecąca złotem czapka Ericsona miała leciutki posmak katastrofy. Była tajemnym ostrzeżeniem, oddawała niepowrotnej przeszłości to, co znał i czemu już ufał, nie obiecując w zamian nic prócz zmian i komplikacji. Ta czapka mogła oznaczać wszystko - mogła oznaczać samotność, nowe, nieznane trudności i

rozstanie... Wiedząc, że musi to wyglądać zaskakująco i dziwnie, zmienił niespodziewanie temat.

- A co pan robił poza tym? Był pan może u żony Morella?

Ericson na razie chętnie zboczył na inną ścieżkę.

- Tak, właśnie stamtąd przychodzę.

- No, i jak ona?

- Zastałem ją w łóżku.

- Ach, tak... Czy ciężko to przeżywa?

- Zdaje się, że przeżywa to bardzo lekko - rzekł Ericson z sarkazmem. - Był tam ktoś u niej.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Niech diabli wezmą tę wojnę - odezwał się Lockhart.

- Tak, niech ją diabli.

Nie wiadomo dlaczego, Lockhart poczuł ogromną ulgę. „Płeć...” - pomyślał. - „Ten lek uniwersalny”.

- Proszę mi wszystko opowiedzieć, zupełnie dokładnie. Widać, że nie traciła czasu, prawda?

- Nie zdaje mi się, żeby traciła czas i przedtem - rzekł Ericson. - Ale sam pan osądzi. Przyszedłem, jakaś pokojówka czy też sprzątaczką otworzyła mi drzwi. Oświadczyła, że pani Morell nie przyjmuje nikogo. Nie chciałem robić tej drogi na darmo, więc mówię: „Proszę powiedzieć pani, że dowódca jej męża chce z nią chwileczkę pomówić”. Obiecała, że pójdzie i zapyta. - Zamilkł na chwilę. - Wie pan, to dziwne. Ani mi na myśl nie przyszło, że coś jest nie w porządku, chociaż czekałem bardzo długo. Właściwie powinienem był się domyślić. To mieszkanie zaraz od wejścia pachniało burdelem.

- Ja bym nie poznał - wtrącił Lockhart z udaną skromnością.

- Mogę dać adres, jak pan chce. No więc na koniec weszła do pokoju. - Ericson znów przerwał swą opowieść.

- Ładna? - zapytał Lockhart.

- Bardzo... Miała na sobie szlafrok, ale poza tym wyglądała zupełnie przyzwoicie i diablo ponętnie. Przeprosiła, że musiałem tak długo czekać, usiadła i czeka, aż ja zacznę. Więc mówię, jak żałuję jej męża, jak bardzo lubiliśmy go wszyscy - to, co zawsze się mówi.

- Ale tym razem to prawda.

- Ale tym razem to prawda... Skończyłem, czekam, że może zechce o coś zapytać. A ona nic, tylko siedzi i patrzy na mnie. Więc pytam, czy chce się dowiedzieć, jak to było ze storpedowaniem okrętu i co się stało z jej mężem. - Urwał. - Wtedy odpowiedziała: „Nie, właściwie specjalnie mi na tym nie zależy. Przecież to się zawsze odbywa mniej więcej tak samo, prawda?”

- Och... - wyrwało się Lockhartowi.

Ericson pokiwał głową.

- Czułem się już wtedy jak dureń. Ona najoczywściej wyszła dopiero z łóżka i teraz, półleżąc na tapczanie, wyglądała bardzo uroczo. Muszę przyznać, że ma cudowną figurę. Twarz jak aksamit, bez jednej fałdki czy skazy, wspaniale zrobiona, no i tak samo pogrążona w żałobie jak ten drań, co nas poczęstował torpedą. Kiedy sobie przypominę Morella, wszystko to zdaje się nierealne. - Zaśmiał się krótko. - Prawdę mówiąc, miałem w zanadrzu taki frazes, na wypadek gdyby była za bardzo zgnębiona. Coś tak mniej więcej, że teraz to oczywiście straszne, ale później będzie mogła być dumna z jego śmierci i ze służby na morzu. Ale Bóg mnie strzegł! Tego nie powiedziałem. Wreszcie miałem już dość, więc wstaję i mówię do niej: „Jeśli mogę coś zrobić dla pani, proszę mnie powiadomić”. A na to ona... no tak,

uśmiechnęła się do mnie czarująco i powiada: „Wspaniale! Może chce pan bilety do teatru, to zostawię w kasie na pana nazwisko. Niech pan pamięta, żeby przyjść potem za kulisy”.

Ericson popił dzynu. Po chwili podjął na nowo:

- Już nawet nie wiem, co jej odpowiedziałem, w każdym razie nie skorzystałem z propozycji. Pożegnałem się, ona wyprowadziła mnie do hallu i otwierała już drzwi na klatkę schodową, gdy wtem w głębi mieszkania zaczął się jakiś hałas, jakby walenie pięściami. Ktoś z trzaskiem otworzył drzwi i usłyszałem głos mężczyzny, najwidoczniej pod gazem: „Na miłość Boską, wyrzuć już tego marynarza i chodź do łóżka!” Byłem już na klatce schodowej, a kiedy odwróciłem się do niej, powiedziała mi prędko: „Do widzenia” i zaraz zamknęła drzwi. Po chwili usłyszałem za tymi drzwiami...

- Mówiła coś? - zapytał Lockhart.

- Nie, zaczęła się śmiać.

Gwar sali barowej, który odsunął się od nich gdy Ericson opowiadał, teraz osaczył ich znowu. Tu i tam wystrzelały pojedyncze donośne głosy, szkło dzwięczało na stołach, jakaś para chichotała w pobliżu. Lockhart leciutko westchnął. Niejedno kryło się za tym westchnieniem, wiele bezsilnych i sprzecznych myśli, ale powiedział tylko:

- Ciekaw jestem, czy Morell wiedział o tym wszystkim.

Ericson uniósł głowę.

- Mam wrażenie, że to nie jest tego rodzaju kobieta, która zadawałaby sobie trud ukrywania, jeśli przyjdzie jej na co ochota.

- Biedne chłopisko... Szkoda dla niej porządnego człowieka.

- Szkoda porządnego człowieka zupełnie niezależnie od tej wątpliwej damy. Opowiedzieć jej o śmierci Morella, to tak jakby zbrukać to wszystko.

- To prawda... - Lockhart podniósł szklaneczkę. - Za nieobecnych przyjaciół.

- Za nieobecnych.

Kiedy wypili i odstawili szklaneczki, Lockhart zebrał się w sobie i zapytał:

- A co w Admiralicji?

Ericson oparł się plecami o krzesło i zatarł dłonie, rad, że nareszcie może podzielić się przyjemną wiadomością.

- Ho więc... Jest nowy okręt, poruczniku - nowe zadania, wszystko zupełnie nowe. Dają mi teraz fregatę, to najnowszy typ eskortowca. A że dali mi to - tu wskazał złote dystynkcje na czapce - więc będziemy dowodzić grupą eskortowców. A panu dają jeszcze pół paska.

Lockhart, szczerze spłoszony, znieruchomiał na krześle.

- O rany, komandorze! Co oni wyprawiają?

- Wydali nowy regulamin marynarki wojennej - wyjaśnił Ericson. - Ma pan wymagany wiek, dostateczny staż na stanowisku zastępcy i odpowiednie opinie.

- Przypuszczam, że to pan... - uśmiechnął się Lockhart.

Ericson odpowiedział uśmiechem.

- Przypuszczam, że to ja... Ale jest jeden sęk. Albo raczej - mógłby być sęk, jeżeli o mnie chodzi. - Zatrzymał się na chwilę. - Mówilem, że będę dowódcą grupy eskortowej. Zgodzili się dać mi zastępcę w stopniu kapitana, żeby miał oko na całą grupę eskortowców i na mój okręt. To stanowisko warte wyższego stopnia. Powiedzieli, że jeśli chcę, to dadzą mi pana. Odpowiedziałem, że jeszcze nie wiem.

Lockhart czekał. Nie był zupełnie pewien, co się kryje za tym ostatnim zdaniem. Może Ericson wątpi, czy on da sobie radę na

tym stanowisku, może zauważył, że nie jest jeszcze w porządku z nerwami, a może chodzi mu o co innego?

Tak, chodziło mu o coś zupełnie innego.

- Niech pan słucha - rzekł nagle Ericson. - Będę grał z panem w otwarte karty. Jeśli pan chce, może pan dostać samodzielne dowództwo, to znaczy - dowództwo korwety. Awansują już teraz paru zastępców i pan mógłby, jak to się mówi, pójść na swoje. W tym wypadku także dam o panu dobrą opinię. - Znów wydawał się trochę skrępowany. - Nie wiem, jak pan się na to zapatruje. Jeśli zostanie pan ze mną, pańskie dowództwo odwlecze się co najmniej o rok, a może w ogóle uciec panu sprzed nosa. Czasem trzeba te rzeczy chwytać na gorąco, we właściwym momencie, bo inaczej przepadną na dobre. To stanowisko u mnie - starszego zastępcy dowódcy na grupę - jest rzeczywiście dobre, a ja bardzo bym chciał mieć pana u siebie. Ale to nie jest szczyt pańskich możliwości i nie zamierzam wmawiać panu czego innego. - Zaśmiał się niespodzianie. - To wszystko jest trochę kłopotliwe. Musi pan sam zdecydować w tej sprawie. Ja przyjmę każdą pańską decyzję bez zastrzeżeń.

W momencie przełomowej decyzji myśli Lockharta były szybkie i niecierpliwe. Tak albo nie - myślał. - Rozdroże mojej kariery. Muszę wybrać, być może, między sławą a zapomnieniem w cieniu innego człowieka, może między życiem a śmiercią. Lecz zaraz nadbiegła inna myśl: Wszystko to bzdura. Nie mam po co się nad tym zastanawiać. Przecież my dwaj dobraliśmy się w korcu maku i tylko Panu Bogu dziękować, że pozwalają nam dalej być razem. Po co mam się wygłupiać i zmyślać jakieś rozterki tam, gdzie ich nie ma? Znowu uśmiechnął się pogodnie i oparł się o krzesło.

- Proszę, niechże mi pan opowie o tym nowym okręcie - rzekł bawiąc się szklanką.

Spojrzenie Ericsona było całkowitym równoważnikiem tych uwag, których obiecał nie robić. Nie musiał nic już dodawać na ten temat.

- To nowa klasa - objaśniał. - Fregaty. Są naprawdę coś warte. Ta sama wielkość i kształt co niszczyciel. Ośmiu albo dziewięciu oficerów i stu sześćdziesięciu ludzi załogi. Wszystko tam jest, czego dusza zapagnie: turbiny i dwie śruby, trzy działa dużego kalibru, nowe asdiki i nowiutki radar. W skład grupy wejdą prawdopodobnie trzy fregaty i cztery albo pięć korwet. Będzie kupa roboty, żeby obtańcować to bractwo i dociągnąć do jakiegoś poziomu. Nawiasem mówiąc, nasza fregata jest dopiero w budowie, na Clyde. Przejmiemy ją za parę miesięcy.

- Jak się nazywa?

- *Saltash*. One wszystkie mają nazwy od rzek.

- *Saltash*... - Lockhart obracał te dwie sylaby na języku. Trudno się przyzwyczaić do nowej nazwy. - To brzmi całkiem przyjemnie, ale muszę się przyznać, że nigdy nie słyszałem o takiej rzece.

- Bo to bardzo mała i nieznana rzeczka w Northumberlandzie. Już sprawdziłem. Wpada do Tyne, ale nie ma jej nawet na mapie.

- No, to teraz już będzie - oświadczył Lockhart tonem niemal zaczepnym. Strzelił głośno palcami. - Kelner! Proszę nam przynieść dużo, dużo dżynu... *Saltash* - powtórzył w zamyśleniu. - Myślę, że da się z niej coś zrobić.

- Dla mnie kojarzy się z tą nazwą rym nieodparty - podsunął Ericson. - *Saltash* - schlastasz...

- Tak, rzeczywiście - ucieszył się Lockhart. - Będę zawsze o tym pamiętał.

Obiad był pierwszorzędny, a pod koniec nastrój zupełnie poróżwiał. Obrawszy nowy, wyraźny kurs, Lockhart poczuł się

znacznie lepiej. Ericson zaraził się jego nastrojem i razem z nim odwrócił się plecami do ciemnej przeszłości, skupiając wszystkie nadzieje na tym, ku czemu mieli iść. Wesoło, jakby się wybierali na wakacyjną wycieczkę, umówili spotkanie w Glasgow w końcu tego miesiąca, aby obejrzeć po raz pierwszy nową fregatę. Nie mówili o wielu sprawach wiążących się z tym, że znów mają być razem na morzu. Obaj byli zupełnie pewni, że żadna inna propozycja, choćby nawet nęcąca, nie zadowoli ich w pełni i że coś w ich wspólnej przeszłości ukształtowało już przyszłość.

„Skoro obaj jesteśmy zadowoleni” - myślał Lockhart spoglądając przez stół na Ericsona, zajętego ostrożnym pykaniem cygara, do którego nie nawykł - „to znaczy, że obaj mamy szczęście i nie ma czym zawracać sobie głowy. Wojna nie podaruje nam drugi raz takiej okazji... Sporo jest dżynu w tej myśli” - przyznał się sam sobie z godnym podziwu rozsądkiem. - „A wina też nie mało. Ale to złota myśl, mimo wszystko, myśl bardzo cenna”.

- Panie komandorze, właśnie mam cenną myśl.

- Ja także - rzekł Ericson. - Brandy czy benedyktynka?

Jeszcze tego samego tygodnia Lockhart, pozostawiony sam sobie, miał się przekonać, że przeszłość nie umarła i że nie można jej odpędzić przez sam fakt myślenia o jutrze i planowania przyszłości. Znienacka, w chwili zwolnionej czujności, został podstępnie zwabiony i zmuszony do spojrzenia po raz ostatni wstecz, na *Compass Rose*. Poruszyło go to do głębi.

Wybrał się na poranek muzyczny w National Gallery na Trafalgar Square. Poranki właśnie wchodziły w modę i ściągały tłumy słuchaczy. Tak licznie zgromadzona publiczność spieszyła go trochę, usiadł więc w końcu sali, w dyskretnym cieniu

kolumny. Myra Hess grała na fortepianie. Grała Szopena, a publiczność słuchała w zupełnej ciszy. Dźwięki padały w tę ciszę jak klejnoty, pysznie uformowane i powiązane z sobą, płynne i zarazem rzeźbione. Padały prosto w serce.

Słuchał z ufnością, poddając się całkowicie muzyce, nieświadom otoczenia. Zagrała dwa łagodne nokturny, a potem... potem etiudę. Tę, w której powraca zstępujący w dół pasaż jak straszny, rozdzierający lament. Lockhart oparł się plecami o fotel i jak dziecko pozwolił się nieść muzyce z nuty na nutę i z frazy na frazę... Westchnął głęboko i spostrzegł się nagle, że płacze.

Wiedział, dlaczego płacze i dlaczego nie może zapanować nad łzami. Płakał nad wszystkim, o czym zdawało mu się, że już zapomniał. I nie tylko dlatego, że w dwa miesiące po okropnym przeżyciu był wciąż słaby i nieodporny nerwowo. To sama *Compass Rose* wyciskała łzy z jego oczu, zmarnowana miłość i trud, i zmarli towarzysze. Nie tylko zmarli... Na początku miesiąca odwiedził Ferraby'ego, który jeszcze leżał w szpitalu. Siedząc przy łóżku kolegi Lockhart zastanawiał się w duchu, czy Ferraby kiedykolwiek wygrzebie się z tego. Był ruiną człowieka - chudy, zniszczony, zupełnie roztrzęsiony nerwowo. Głowa na poduszce podobna była do czaszki kościotrupa. Na napiętku miał zawiązany kawałek sznurka.

- Ten sznurek... - powiedział Ferraby z pewnym zakłopotaniem i zaczął się nim bawić. - Dali mi go na nerwy. Mam się tym bawić, ile razy poczuję, że muszę coś zrobić z rękami. - Mówiąc to skręcał sznurek zakrzywionymi palcami, ciągnął i zwijał w węzły, obracał i machał nim niby wahadłem. - Ale teraz jest mi o wiele lepiej - rzekł i odwróciwszy się do ściany, zapłakał.

Płakał tak samo jak teraz Lockhart. Może tymi samymi łzami, a może innymi. Wiele łez mogło płynąć za *Compass Rose* - zbyt wiele, by można je było pohamować, przełknąć lub też ich nie zauważyć. Lockhart obrócił się bokiem, usiłując zapanować nad

rozedrganą twarzą i ustami. Muzyka umilkła. Brawa nappełniły salę klaskaniem. Młoda panna, siedząca w pobliżu, spojrzała na niego uważnie i szepnęła coś swemu towarzyszowi. Pod wpływem ich natrętnych spojrzeń wstał i przeszedł niezręcznie do pustej sali obok. Czuł wciąż bolesne ściskanie w gardle, lecz łzy przestały już płynąć i obsychały na policzkach.

No dobrze, więc płakałem - rozmawiał sam z sobą - i co z tego? Ktoś powinien płakać za *Compass Rose*, zasłużyła na łzy. Mogę to być i ja - skoro już ta muzyka... i tylu ludzi wyginęło, i okręt zmarnowany. Muzyka wyzwoliła ten płacz, ale tak czy owak trzeba było zapłakać. Wolę już płakać przy Szopenie niż w głuchym milczeniu albo przy szklance dżynu, albo przy kobiecie. Słuchałem tej muzyki, cudownej i smutnej, ale gdzieś spodem jej nurtu myślałem o nich wszystkich, o Ferrabym i Morellu, o tym jak Tallow ustąpił swego miejsca na tratwie. Nie mogłem powstrzymać łez. Teraz tuż się skończyło, i lepiej, że teraz. Musiało to kiedyś przyjść i już minęło. Nie kosztowało nic, nic nie zepsuło, a także niczego nie dowiodło prócz faktu, że przeszłość jest smutna i marnotrawna i że czasem muzyka może to wytknąć palcem i powiedzieć wyraźnie.

Ustąpiło ściskanie w gardle, wrócił więc i stanął u wejścia do sali koncertowej, wspierając się o kolumnę. Po przerwie znów popłynęły dźwięki. Teraz nie miały już nad nim mocy. Mógł słuchać i pozostać spokojny.

Zrozumiał też, ale dopiero później, że na tym skończyła się jego żaloba.

2.

Znów stocznie nad rzeką Clyde. Teraz tętniły znacznie intensywniejszą pracą. Ericson dobrze pamiętał powolne rozkręcanie się w trzydziestym dziewiątym, kiedy wybrzeże Clyde zaczynało dopiero chwycić wojenne tempo, kiedy dość było jeszcze wolnej przestrzeni i czasu. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Od Renfrew w dół aż do Gourock obydwa brzegi były zapchane statkami w różnych stadiach budowy, a ludzie pracujący przy nich mieli twarze skupione w niecierpliwym dążeniu do skończenia z jedną robotą i przejścia do następnej. Zmieniło to nasilenie produkcji. Tempo strat ponoszonych w Bitwie o Atlantyk stawiało coraz większe wymagania, a wrogie naloty zaostriżyły wolę odwetu. Wieści nadchodzące z Afryki o armii lądowej, która nie tylko broniła swych pozycji, lecz parła naprzód, do zwycięstwa, były jak lek krzepiący i dodawały bodźca, by także i na morzu śmiało uderzyć naprzód i wreszcie skończyć z tą wojną. Clyde płonęła ogniem zapału. Robotnicy ze stoczni rozsypanych wzdłuż brzegów harowali od blisko czterech lat, by zaspokoić nieustannie rosnące potrzeby wojny na morzu. Na pewno zasługiwali na odpoczynek, lecz jeśli dawali to po sobie poznać, to tylko przez pośpiech i niecierpliwość, nie zaś przez mniejszą wydajność pracy. Wydajność była zawsze ta sama, nasilona i godna podziwu.

Saltash była prawie gotowa i stała przy nabrzeżu wyposażeniowym naprzeciw stoczni Browna. Z bliska fregata zdawała się ogromna. Dla Ericsona i Lockharta, patrzących na nią z nabrzeża, była niepokojącym symbolem wielkości i wagi tych spraw, które znów mieli wziąć na swoje barki.

- Wygląda jak blok mieszkaniowy - rzekł Ericson sunąc wzrokiem od śmiałej krzywizny dziobu spiętrzonego wysoko nad

ich głowami, poprzez wyniosłą nadbudówkę pomostu i rozległy stalowy pokład, aż hen, ku ściętej rufie.

Istotnie *Saltash* wyglądała potężnie, solidnie i ciężko, i miała w sobie coś, co pod względem trwałości przypominało długie budynki ciągnące się wzdłuż nabrzeży. Jakoś będą musieli wyjść z tym gmaszyskiem na morze. Od strony nabrzeża miała normalny, trochę niechlujny wygląd okrętu, który jeszcze nie rozstał się z lądem. Pierwsza powłoka szarej, bojowej farby zbrukana była i pochlapana minią. Górne pokłady były brudne, zaśmiecone różnymi odpadkami w ciągu kilku tygodni prac wyposażeniowych. Ogłuszający hałas pneumatycznych młotów do nitowania, które wciąż pracowały na dziobie, podkreślał wyraziście cały ten bałagan.

Była więc brudna, hałaśliwa i nieporządna. Przypadkowy przechodzień nie uznałby jej pewnie za godną spojrzenia. Lecz Ericson już w tej chwili nie umiałby przejść koło niej obojętnie, tak samo jak nie mógłby rozstać się z morzem.

Wszedł pierwszy na fregatę po trapie z surowych desek i zeskoczył na pokład zagracony drewnianymi skrzynkami i próżnymi puszkami po smarach. Wrażenie wielkości i skomplikowanej konstrukcji było teraz jeszcze silniejsze. Jeśli nawet pominąć zamieszanie spowodowane bieżącymi pracami, niełatwo będzie objąć i opanować to wszystko. *Saltash* miała więcej niż dziewięćdziesiąt metrów długości i wznosiła się w górę zrębami, piętrzyła się stromą linią od pokładów na dziobie i na rufie, przez górny pokład, dolny i górny pomost, i bocianie gniazdo, aż po antenę radarową, wieńczącą szczyt masztu. Na różnych poziomach okręt był już zapchany wyposażeniem, a wszystko wskazywało na to, że przybędzie go jeszcze niemało. Zamocowania dla wielkiego zapasu bomb głębinowych, tratwy i sieci ratunkowe, dziesiątki łożysk na pociski do dział. Działa - pomyślał Ericson z satysfakcją. - Masa dział, a nie jakieś tam

marne półtorej armatki, jak mieli na korwecie. Tu będą trzy dużego kalibru i poczwórne sprzężone działko automatyczne, i cały tuzin oerlikonów, powtykanych wokół górnego pokładu jak gałązki jemioli. Do tego nie byle jakie szykany - podnośniki z mechanicznym napędem, dostarczające pociski z komór amunicyjnych, by wszystkie te działa mogły pukać wesoło bez przerwy, dwie duże łodzie motorowe, radar artyleryjski na dalocelowniku, jeź - broń najnowsza, służąca do wyrzucania przed dziób całego roju małych granatów głębinowych, echosonda i urządzenie przeciwdziałające torpedom akustycznym; wszystko to mogli zauważyć nawet przy pobieżnym przeglądzie. Widzieli w tym zapowiedź przyszłych trudności i mnóstwa rzeczy, których będą musieli się nauczyć. Lecz równocześnie widzieli właśnie w tych rzeczach, z chwilą gdy będzie można praktycznie je wykorzystać, obietnicę groźnego i wspaniałego okrętu.

Ericson pozostawił Lockharta przy jakimś urządzeniu do trałowania min, nie znanym dla nich obu, i począł schodzić w dół, do maszynowni. Kolejne trapy wiodące w głąb okrętu były coraz bardziej wytłuszczone i brudne. Gdy znalazł się wreszcie w maszynowni, źle oświetlonej prowizorycznie założonymi lampami, jego ręce i rękawy u płaszcza miały wygląd dość opłakany. Całe to pomieszczenie, obfitujące w mroczne zakamarki, robiło wrażenie kłębowiska różnych przedmiotów, nie mających ze sobą nic wspólnego. Było poza tym zimne i wilgotne. Kilku robotników majstrowało coś przy rurociągu olejowym, a po przeciwnej stronie ktoś w białym kombinezonie i czapce marynarskiej oglądał główną tablicę rozdzielczą, świecąc sobie latarką. Na odgłos kroków odwrócił się i Ericson mógł przyjrzeć mu się z bliska. Był to niski, mniej więcej czterdziestoletni mężczyzna z rzadkimi i już siwiejącymi włosami nad mocną, ogorzałą twarzą. Malował się na tej twarzy wyraz energii i rzeczowości, a ponadto coś jakby głęboko zakorzeniona

służbistość, która natychmiast ujawniła się w pełni na widok złotych dystynkcji na czapce Ericsona, trzech złotych pasków i wstążeczki orderu D.S.C.

- Jestem dowódcą fregaty - rzekł Ericson po chwili milczenia. - Czy pan jest oficerem-mechanikiem?

- Tak, panie komandorze - odparł tamten z pewną powściągliwością. - Moje nazwisko Johnson.

- Miło mi pana poznać. - Ericson wyciągnął do niego rękę. - Jak tu u pana wygląda?

Johnson zatoczył ręką dookoła.

- Siłownia jest już w komplecie, panie komandorze. Ja siedzę tu od trzech tygodni, ale roboty zaczęły się, rzecz prosta, już znacznie wcześniej. Teraz robią przy wentylacji i przy prądnicy. Mówią, że potrwa miesiąc, nim maszyna będzie gotowa do prób.

- No, a jeśli chodzi o jakość wykonania?

Johnson odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Trochę to wszystko za oszczędnie, panie komandorze. Cóż, czwarty rok wojny. Ale turbiny są w porządku - piękna robota. Podobno będzie z nich można wyciągnąć dwadzieścia pięć węzłów.

- To wcale nieźle. Na jakim okręcie był pan przedtem?

- *Manacle*. To niszczyciel. Przeważnie na Morzu Śródziemnym.

- A tutaj po raz pierwszy będzie pan głównym mechanikiem?

- Tak, panie komandorze. - Zawahał się. - To znaczy jako oficer. Niedawno awansowałem z podoficera.

Ericson był bardzo zadowolony. Jeszcze dość młody oficer-mechanik, świeżo awansowany z podoficera, służył na niszczycielu. To wygląda obiecująco. Można przypuszczać, że jego kwalifikacje nie zardzewieją na nowym stanowisku. Okręt o dwóch tysiącach ton wyporności, mający dwie turbiny parowe, to

już nie ta „uproszczona” klasa co *Compass Rose*. Siłownia jest tu skomplikowana i będzie wymagała stałej umiejętnej opieki.

Zauważył, że Johnson przygląda się niepewnie jego dłoniom, i rzekł z uśmiechem:

- Trochę się ubrudziłem schodząc tutaj do pana.

- Zaraz przyniosę rękawice, jeśli pan komandor pozwoli. - Johnson poczuwał się do winy i chciał jakoś temu zaradzić. - Rzeczywiście, okropnie tu brudno. Ci ze stoczni nic sobie z tego nie robią, zapaskudzą okręt od góry do dołu.

Ericson skinął głową.

- W tym stadium robót trudno utrzymać czystość, to zrozumiałe. Dobrze, daj mi pan rękawice i jakiś kombinezon, jeśli się znajdzie. Będę się tutaj kręcił przez najbliższe tygodnie.

- Może pan komandor chce teraz wszystko obejrzeć?

- Nie, chief²⁶, jeszcze za wcześnie. Poczekam, aż się to trochę uładzi.

Umilkł, zamierzając skończyć na tym rozmowę. Wahająco, niepewnie, Johnson zapytał:

- A pan komandor na jakim był okręcie?

- Na korwecie *Compass Rose*.

Przez twarz Johnsona przemknął błysk zrozumienia. Musiał słyszeć o *Compass Rose* - domyślił się Ericson. - Pewnie pamięta wszystkie szczegóły: że zatонуła w ciągu siedmiu minut, że straciliśmy osiemdziesięciu ludzi z dziewięćdziesięciu jeden. Wie wszystko, bo cała marynarka wojenna wie o tym, i ci, którzy pływają na niszczycielach po Morzu Śródziemnym, i ci, których bazą jest Scapa Flow. Na tym właśnie polega uczucie wzajemnego związania i wspólnej, bolesnej straty. Tysiące marynarzy odczuły żal i smutek osobisty na wieść o zatonięciu korwety. Jednym z

²⁶ Chief - popularny sposób zwracania się do oficera-mechanika (przyp. tłum.).

nich jest właśnie Johnson, mimo że *Compass Rose* pływała o tysiąc mil od jego okrętu, i że nigdy nie słyszał przedtem jej nazwy.

Ericson czuł na sobie spojrzenie Johnsona, rzekł więc z pewnym wysiłkiem:

- Została storpedowana.

- Tak, wiem o tym, panie komandorze.

To było wszystko, co mieli do powiedzenia na ten temat.

Z maszynowni Ericson udał się na pomost. Odkładał to na sam koniec, a teraz uznał, że już czas. Było tu pusto i każdy jego krok zostawiał świeży ślad na poszyciu pokrytym szronem. Najpierw uderzyła go rozległość pomostu, a następnie bogactwo wyposażenia. Były tu szeregi telefonów i rur głosowych, dodatkowe ekrany radarowe i duża kabina dla map w głębi pomostu, przyrządy do sterowania działami i wspaniała aparatura asdiku. Był oświetlony stół do nakresów, notujący automatycznie ruchy okrętu, był też obszerny górny pomost, a na nim dwa wielkie reflektory do nadawania sygnałów. Na morzu trzeba tu będzie mieć gromadę ludzi - uprzytomnił sobie w tej chwili. - Dwóch oficerów wachtowych, dwóch sygnalistów, dwóch marynarzy na oku, dwóch ludzi przy asdiku i jeszcze gońca, razem co najmniej dziewięciu, nawet w normalnej wachcie. Ale z takiego stanowiska można będzie dobrze dowodzić. Przeszedł powoli na przód pomostu i spojrzał w dół, na pokład dziobowy i na dwa działa okryte brezentem. Niespodzianie opadło go uczucie zniechęcenia. Oczywiście, będzie mu łatwo dowodzić z wyniosłego i rozległego pomostu, tak bogato wyposażonego w różne pomoce techniczne. Ale co z tego? Wiadomo, co się stało z poprzednim okrętem. Surowy chłód poranka przejął go

dreszczem. Uchwycił się relingu, jakby w obronie przed uderzeniem fali walącej się na pomost. Ciemne, zanieczyszczone ropą wody Clyde lizały kadłub fregaty, przypominając natrętnie o morzu, które Czyhało u ujścia rzeki. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy często nachodziły go tego rodzaju myśli, lecz miał nadzieję, że wkrótce zdoła się od nich uwolnić. Nie przypuszczał, że osaczą go znów tak gwałtownie z chwilą wstąpienia na pomost nowego okrętu.

Musi się od nich uwolnić, i tylko jeden jest na to sposób. Wyprostował się, przeszedł przez pomost i zszedł po trapie do kabiny. Po drodze spotkał Lockharta.

- Zabierz pan od głównego mechanika wszystkie plany i inne papierki - rzekł energicznie. - Na początek musimy się zapoznać z całym wyposażeniem.

Tak więc trzeba było znów zacząć wszystko od nowa.

W kilka dni później nowy oficer przybywający na okręt wywarł niespodziewane wrażenie na Lockharcie. Właśnie siedział w małym pokoju, przydzielonym do ich wyłącznego użytku w jednym z baraków na nabrzeżu, i przygotowywał rozkład wacht na podstawie listy załogi, gdy ktoś otworzył drzwi za jego plecami i jakiś głos zapytał:

- Ej, tam! Czy to tutaj na *Saltash*?

Ten ton, ta wymowa... Lockhart obrócił się błyskawicznie wraz z krzesłem i... westchnął z ulgą. To nie był Bennett, dawny, australijski zastępca dowódcy, lecz trudno było usłyszeć głos równie do tamtego podobny. Ten tutaj miał to samo nosowe brzmienie, tak samo ostro wymawiał samogłoski, wywołując z przeszłości Bóg wie jakie przykre i drażniące wspomnienia. Przybysz był porucznikiem o rumianej twarzy i smukłej postaci, odzianej w mundur z dziwnej, niebieskiej wełny. Stał w drzwiach z miną ogromnie pewną siebie, lecz gdy wzrok jego padł na rękaw

Lockharta, poderwał się szybko na baczność i rzekł zupełnie innym tonem:

- Przepraszam, że przeszkadzam panu kapitanowi. Mam się zameldować na *Saltash*.

Lockhart wsłuchiwał się w ten głos jak zaczarowany. Opamiętał się jednak.

- To właśnie tutaj, a fregata stoi ot, tam - wskazał przez okna na szary, poplamiony kadłub. - Kto pan jest?

- Allingham, panie kapitanie. Oficer artylerii.

- Australijczyk?

- Tak jest. R.A.N.V.R. - Przyjrzał się znowu dwóm i pół paskom na rękawie Lockharta. - Czy pan kapitan jest może dowódcą?

- Nie, zastępcą. Dowódca jest komandorem.

Allingham z wyraźną skwapliwością wrócił do swobodnego tonu.

- Widzę, że to nie byle co. Ale dlaczego aż taka pompa?

- Będziemy dowodzili grupą eskortową - wyjaśnił Lockhart oschle. Słyszac tę wstrętną wymowę gotów był z miejsca traktować niechętnie człowieka, a tym bardziej nie miał zamiaru tolerować pyszałkowatej buty. - Wobec tego ja będę zastępcą dowódcy na grupę.

- To nie najgorzej. A jaki ten okręt?

- Teraz tam jeszcze solidny bałagan. Ale będzie na pewno dobry. - Lockhart zrezygnował cokolwiek ze swej sztywności. - Dla pana mnóstwo dział do zabawy.

- Cudownie!

Znów ta wymowa i to wyrażenie dźgnęły Lockharta przypomnieniem ostrym i szybkim jak strzała. Nie mógł się wprost powstrzymać od poruszenia tego tematu.

- Mieliliśmy na poprzednim okręcie zastępcę dowódcy, który także pochodził z Australii. Nazywał się Bennett.

- Co, może Jim Bennett?

- Tak mi się zdaje.

Allingham gwizdnął.

- Co też pan mówi... Podobno wspañale się tu spisywał?

- Tego bym nie powiedział.

Allingham złożył maskę przeciwgazową i czapkę na stole.

- Jeśli to ten sam gość, to na pewno nie byle szprotka. Byłem na jego odczycie, kiedy powrócił stąd do Australii.

- Na odczycie? - zdumiał się Lockhart.

- No tak. On ma teraz przydział na łądzie. Musi pan przecież wiedzieć, że był wykończony nerwowo po zatopieniu tych okrętów podwodnych?

- Nie, nie wiem. Niechże mi pan opowie.

- Ho, ho! On jest sławny tam u nas w kraju. Prawdziwa figura. Służył podobno na okręcie, co się nazywał *Compass Rose*. Kiedyś zachorował im stary i Bennett musiał wyjść jako dowódca z konwojem. Wtedy to rozwalili dwa okręty podwodne po czterech dniach walki. On sam przez cały czas tkwił na pomoście, nic dziwnego, że się po tym załamał. - Allingham przerwał swą opowieść. - Mówiąc tak między nami, parę gazet zaczęło trochę rozrabiać, że to niby nie dostał żadnego odznaczenia. Więc co, to chyba ten sam gość, o którym pan mówi?

- O tak, z całą pewnością ten sam. - Lockhart odzyskał równowagę. - Więc pan powiada, że Bennett wygłasza odczyty o tym wszystkim?

- Jeszcze jak! Użyli go do akcji werbunkowej. A poza tym w różnych fabrykach, wie pan, jak zawsze propagandowe hocki-

klocki. Mówią, że to podnieca robotników do większej wydajności.

- Mnie to w każdym razie podnieca - rzekł Lockhart ze szczególnym spokojem. - Kiedy ostatni raz widziałem Bennetta, dostał wrzodu na dwunastnicy z powodu zbyt łapczywego jedzenia kiełbasek z puszki. Zszedł z *Compass Rose* do szpitala na lądzie.

- Jak to, więc żadnych okrętów podwodnych? - zdumiał się Allingham. - A to wyczerpanie nerwowe?

Lockhart potrząsnął głową.

- I okręt podwodny, i wyczerpanie nerwowe tylko my mamy na swoim rachunku.

Allingham roześmiał się serdecznie.

- Byczy chłop z tego Jima Bennetta. Ten to potrafi baierować.

- Bennett jest drań - oświadczył zwięźle Lockhart. - Mierzył mnie i on sam, i wszystko, co miało z nim związek.

Coś w jego tonie zastanowiło Allinghama. Zawahał się, a potem rzekł ze szczególnym naciskiem:

- Nie wszyscy w Australii są tacy jak on.

- Zaczynam się o tym przekonywać - uśmiechnął się Lockhart.

Allingham uśmiechnął się także, z widoczną ulgą, i zaniechał śliskiego tematu.

- To niemożliwe, żeby wszyscy byli podobni do niego - ciągnął Lockhart. - Australia musiałaby się już dawno rozlecieć.

Wstał od stołu.

- Zapomnijmy już o tym. Chodź pan obejrzeć fregatę.

Saltash liczyła ośmiu oficerów. Prócz Ericsona. Lockharta, Johnsona i Allinghama był jeszcze lekarz w stopniu porucznika i dwóch podporuczników (jeden z nich wyszkolony oficer nawigacyjny) oraz podchorąży, który miał pełnić funkcję adiutanta dowódcy. Pierwsze oficjalne spotkanie w obszernej mesie oficerskiej przywiodło Ericsonowi na pamięć podobną scenę z przeszłości. Zwłaszcza młodzi oficerowie okazywali tę samą rezerwę i ostrożność, którą dobrze pamiętał z dawniejszych czasów u Ferraby'ego i Lockharta, kiedy macali na oślep w zupełnie nowym otoczeniu i próbowali odgadnąć, czym można zasłużyć na pochwałę, a czym nie. Patrząc jednak na zgromadzonych przy stole, doszedł do wniosku, że na tym kończyło się podobieństwo. Z wyjątkiem podchorążego, ci nie byli zielonym narybkiem - wszyscy służyli już na morzu i znali na wylot blaski i nędze eskortowania konwojów. Rzecz jasna, że na takim okręcie nie mógłby wyjść na morze z dwoma świeżo upieczonymi podporucznikami, którzy nigdy jeszcze nie stali na wachcie, i z zastępcą dowódcy tego kalibru co Bennett. Zaczekał, aż wszyscy zajmą miejsca, i zastukał palcami o stół.

- Wezwałem panów tutaj - zagaił tę pierwszą odprawę - żeby przywitać wszystkich razem, a także dowiedzieć się coś niecoś o tym, co każdy z was robił przed przybyciem na *Saltash*. - Rozejrzał się po kręgu twarzy wpatrzonych w niego uważnie. - Trochę już wiem. Zastępca dowódcy był razem ze mną na innym okręcie, a z chiefem - tu zwrócił się z uśmiechem w kierunku Johnsona - rozmawiałem już przedtem. Jeśli chodzi o resztę, to znam tylko nazwiska. - Spojrzał na listę, która leżała przed nim na stole.

- Zaczniemy od artylerii. Pan musiał, zdaje się, odbyć najdłuższą drogę, żeby się do nas dostać. Więc co pan robił przedtem?

- Służyłem na trałowcu, panie komandorze - odparł Allingham gładko, najwidoczniej przyzwyczajony do tego, że przy

podobnych okazjach on pierwszy zwracał uwagę przełożonych. - Wzdłuż północnego wybrzeża Australii. Bazowaliśmy przeważnie w porcie Darwin. Potem trochę mi się sprzykrzyło, bo nie było żadnego ruchu w interesie i wcale nie wyglądało na to, żeby Japończycy mieli się na nas obrócić. Więc zgłosiłem się o przeniesienie tutaj.

- Czy były w ogóle miny w tamtym rejonie?

Allingham zaprzeczył ruchem głowy.

- Przez trzy lata wyłowiliśmy aż dwie.

- A przeszkolenie artyleryjskie przechodził pan tu, w Wielkiej Brytanii?

- Tak, panie komandorze. Przyjeżdżam prosto z Whale Island.

- Bardzo was tam ganiali?

Allingham wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Nie było czasu przystanąć, odkąd dostaliśmy się za bramę tej szkoły. Ja sam straciłem ładne kilkanaście funtów.

Dyskretny śmiech przebiegł dokoła stołu. Szkoła artyleryjska marynarki wojennej na Whale Island miała już ustaloną sławę z powodu niezwykle ostrej dyscypliny, o której każdy z absolwentów mówił bez skрэpowania.

- No więc, ma pan tu dosyć dział, żeby nie stracić wprawy. - Wybrał następne nazwisko z listy i odczytał: - Raikes, podporucznik. - Zwrócił się z zapytaniem do młodego człowieka przy końcu stołu: - A skąd pan do nas przychodzi, poruczniku?

- Ze wschodniego wybrzeża, panie komandorze.

Raikes miał być oficerem nawigacyjnym. Był to bystry młodzieniec o zdecydowanym i trochę sugestywnym sposobie bycia. Ericson odniósł wrażenie, że w cywilu Raikes musiał się trudnić wkręcaniem ludziom niezbyt chodliwych artykułów z zakresu gospodarstwa domowego i zabrał z sobą na wojnę

wszystkie niezbędne w tym zawodzie sztuczki wymowy i obejścia.

- Jaka baza? Harwich?

- Tak jest. Prowadziliśmy konwoje stamtąd do ujścia Humber.

- Na jakim okręcie?

- Na korwecie. Typ przedwojenny, z dwiema śrubami.

- Tak, pamiętam. Musiał pan zdobyć duże doświadczenie w żegludze przybrzeżnej.

- Tak, panie komandorze. - Raikes wahał się przez chwilę. Nie był pewien, co Ericson wie o wschodnim wybrzeżu i co chce wiedzieć. - Dla konwojów jest tor wytrałowany i wytyczony pławami co pięć mil. Jak wyjść poza ten tor, to albo człowiek siada na mieliźnie, albo znów wyskakuje w powietrze na polu minowym.

- Ile razy panu się to zdarzyło?

- Mnie ani razu, panie komandorze.

Ericson uśmiechnął się na tę błyskawiczną replikę.

- No cóż, będzie pan musiał podciągnąć się teraz do innej nawigacji. Kiedy miał pan ostatni raz sekstant w rękę?

- Na kursie szkoleniowym, już parę lat temu. Na wschodnim wybrzeżu to nie było potrzebne. Ale w ostatnich czasach porządnie ćwiczyłem.

- Dobra. Na moim dawnym okręcie sam to przeważnie robiłem, ale teraz chciałbym przekazać panu te czynności.

Następnym oficerem na liście był lekarz okrętowy.

- Porucznik Scott-Brown - odczytał Ericson i z łatwością rozpoznał doktora, nie patrząc nawet na czerwone podkładki pod galonami na jego rękawie. Scott-Brown przypominał mu Morella. Miał ten sam wyraz pewności siebie i lekkiej nonszalancji, był jednak głęboko przekonany, że prawdziwe ramy i tło jego życia

były zupełnie gdzie indziej. Był duży i jasnowłosy. Siedział na krześle tak swobodnie i pewnie, jakby to on prowadził rozmowę, a Ericson był pacjentem, który ma obowiązek przyznać się do wszystkiego. „Ostatecznie, to nic nie szkodzi” - pomyślał dowódca. - „Byle był dobrym lekarzem”.

- Skąd pan przybywa, doktorze?

Odpowiedź Scott-Browna była dosyć niespodziewana.

- Z Harley Street²⁷, panie komandorze.

- Aha... To pierwszy pański okręt?

Scott-Brown potwierdził skinieniem głowy.

- Miałem praktykę, później robiłem przy Guy's Hospital pracę naukową, no a potem przyszły te wielkie naloty na Londyn. Puścili mnie dopiero niedawno.

Mówiąc to wcale nie miał zamiaru się tłumaczyć, jakby nie ulegało wątpliwości, że nie marnował czasu, zanim się zgłosił w tak późnym terminie do marynarki wojennej.

- Będzie pan dla nas luksusowym nabytkiem - rzekł Ericson. - Dotychczas nie mieliśmy lekarza.

- A kto się zajmował chorymi i rannymi?

- Ja - odezwał się Lockhart.

Przyglądał się Scott-Brownowi i, tak jak Ericson, przypomniawszy sobie Morella. Ten gość jest absolutnie pewny siebie i swoich możliwości, zupełnie jak Morell, ale nie drażni tym, raczej uspokaja i dodaje otuchy. „Już nie będę się tym zajmował” - myślał Lockhart z wdzięcznością - „chyba żeby było bardzo gorąco.”

Scott-Brown zwrócił się do niego.

- Jakże pan się nauczył tej roboty?

²⁷ Przy Harley Street w Londynie mieszkają słynni lekarze (przyp. tłum.).

- Tak jakoś, przy robocie. Obawiam się, że musiałem wyprawić na tamten świat o wiele więcej pacjentów niż pan, doktorze.

Uśmiech przemknął po twarzy Scott-Browna.

- To dosyć śmiałe twierdzenie - rzekł powoli. - Ja przecież praktykuję prawie od ośmiu lat.

Znów śmiech trysnął pierścieniem dokoła stołu i złączył ich z sobą.

„Może być wcale przyjemny zespół oficerski” - doszedł do wniosku Ericson. - „Jest w nich dużo różnorodności i dużo rozsądku, i solidność, i śmiałość”.

- W ciągu ostatnich dwóch lat miałyby pan u nas niemało zajęcia - zwrócił się znów do Scott-Browna. - Nie wiem, jak będzie teraz.

Na liście zostały jeszcze dwa nazwiska - drugiego podporucznika i podchorążego. Kątem oka Ericson obserwował tego ostatniego. Był to szczupły, wysoki chłopiec o rozbijającym niewinnym wyrazie twarzy. Bawił się nerwowo popielniczką w oczekiwaniu na swą kolej. Wygląda prawie na sztubaka - stwierdził Ericson w duchu. - I najpewniej był jeszcze sztubakiem przed kilku tygodniami. Taki młodzik mógł sobie chyba pozwolić i poczekać trochę z tą wojną. - Spojrzał na tego drugiego, na podporucznika, który siedział tuż obok.

- Vincent... Chyba gdzieś już pana widziałem?

Vincent był niski, ciemny i trochę nieśmiały. Nim się odezwał, skupiał się jakby w sobie, dobierając z widocznym wysiłkiem właściwe słowa.

- Byłem w tej samej grupie eskortowej co pan komandor - zebrał się wreszcie na odpowiedź. - *Trefoil*.

Ericson skinął powoli głową.

- Tak mi się właśnie zdawało.

Odpowiedział normalnym głosem, ale znajoma nazwa zakłóciła na jedną chwilę rytm jego serca. *Trefoil* i *Compass Rose* w ciągu blisko dwóch lat były niby dwie siostry. W czasie ich ostatniego rejsu *Trefoil* szła na tyle konwoju i właśnie ona - czujna, na szczęście, i przytomna - zauważyła zjawienie się *Compass Rose* na ekranie radaru i zaraz zameldowała o tym na *Viperous*. Prawdopodobnie on sam i Lockhart zawdzięczali swe życie *Trefoil*, a zupełnie możliwe, że ten drobny, nieśmiały podporucznik bezpośrednio przyłożył do tego ręki. Nie chciał jednak poruszać teraz tej sprawy. Lepiej zachować ją na inną, poufniejszą okazję.

- W takim razie wiemy wszystko o sobie nawzajem - rzekł z miłym uśmiechem - i pan wie, na czym polega praca... Został już tylko pan - zwrócił się nagle w stronę podchorążego Holta. - Cóż pan porabiał ostatnio?

Popielniczka z hałasem spadła ze stołu. Podchorąży Holt poczerwieniał gwałtownie. Rumieniec rozlewał się na jasnej, delikatnej twarzy, nadając jej wyraz godnej pozazdrosczenia młodzieńczości i zdrowia. „Do licha!” - pomyślał Ericson. - „Nie ma więcej niż siedemnaście lat. Mógłbym być jego ojcem, a właściwie, bez mała dziadkiem”.

- Przepraszam, panie komandorze - rzekł Holt. Był już opanowany i męski. - Właśnie ukończyłem szkolenie na *King Alfred*.

- A przedtem?

- Przedtem... Eton²⁸, panie komandorze.

- Ach, tak.

Ericson spojrzał na Johnsona, serdecznie ubawiony wyrazem głębokiego szacunku na jego twarzy. Oczywiście, Eton

²⁸ Eton - ekskluzywna szkoła średnia dla chłopców z arystokratycznych lub zamożnych rodzin (przyp. tłum.).

przydawało mesie oficerskiej posmaku rasy, było zaczynem wytwornych manier w surowym świecie marynarzy. Jeszcze raz spojrzął na Holta, którego twarz, po otrząśnięciu się z pierwszego zakłopotania, pociągała wyrazem żywej inteligencji i poczuciem humoru. Kto wie, może w przyszłości będą o nim pamiętać nie tylko z powodu wytwornej etykiety zakładu wychowawczego w Eton.

- Uczyli was tam czegokolwiek o morzu?

- Och, wprost przeciwnie, panie komandorze - odparł Holt ze zdziwieniem. - Tam bardzo ciasno pojmują wykształcenie.

Po raz trzeci rozległ się cichy śmiech, a Ericson z przyjemnością go słuchał. Niech no ten dzieciak stanie na własnych nogach - snuł po cichu swe myśli - potrafi nas wszystkich odmłodzić. A diablo nam tego trzeba...

Zaległa chwila milczenia. Ericson spoglądał na każdego kolejno i starał się zebrać razem wszystko, czego się od nich dowiedział i co oni usłyszeli od niego. „Teraz już wiemy w każdym razie, skąd kto przychodzi” - rozmyślał dalej. - „Przychodzimy wprost z Atlantyku i z Morza Śródziemnego, ze wschodniego wybrzeża Anglii, z północnej Australii, z ulicy Harley, no i z Eton. Razem wzięwszy, ta różnorodność miejsc pochodzenia zapewniała poważny zakres doświadczeń. *Saltash* już o to zadba, żeby mieli co robić i czego się uczyć, lecz równocześnie sama będzie czerpała z dość obfitego zasobu ich wspólnych umiejętności i energii.”

Odchrząknął i rzekł:

- Dobra, na początek to wystarczy. Będzie dosyć harówki, zanim przygotujemy fregatę do wyjścia, ale jestem zupełnie pewien, że każdy z was zrobi, co do niego należy. Zastępca wyznaczy panom ich obowiązki, a każdy z was zna już oczywiście swój zasadniczy przydział. Powtórzę jeszcze raz - tu

spojrzał na listę. - Allingham - artyleria, Raikes - nawigacja, Vincent - wyrzutnie bomb głębinowych, i Holt - korespondencja. Nie przypuszczam, żebyśmy byli gotowi do prób wcześniej niż za trzy tygodnie, więc będziecie mieli dość czasu, by doprowadzić swe działy do wzorowego porządku.

Wstał i dał znak Lockhartowi, by wyszedł z nim razem. W drzwiach odwrócił się jeszcze i rzekł:

- Jeśli nadszedł już dżyn, może spotkamy się o szóstej, mniej oficjalnie.

Gdy drzwi zamknęły się za nimi, w mesie zaległa cisza. Johnson zagłębił się w podręczniku mechaniki, rozłożonym przed nim na stole. Doktor Scott-Brown i Raikes palili papierosy. Holt wygrzebywał spod stołu, jak najbardziej nieznacznie, fatalną popielniczkę. W końcu, po długim milczeniu, Allingham spojrzał przez stół na Vincenta, tego podporucznika, który był przedtem na Trejoil i zapytał:

- Co to się stało z tamtym okrętem starego? Storpedowany?

Vincent odpowiedział skinieniem głowy, z trudem szukając właściwych słów.

- Tak. Gonili właśnie za konwojem, bo przedtem mieli odprowadzić parę statków do portu w Islandii. Złapaliśmy ich na naszym radarze, jakoś niedługo po północy. Ich korweta była daleko w tyle i nagle znikła z ekranu. Zaczekaliśmy trochę, ale już nie wróciła na ekran, więc daliśmy sygnał do *Viperous*, bo on dowodził grupą eskortową. Więc *Viperous* zawrócił i rankiem odnalazł tratwy.

- Cholerne szczęście, że ktoś ich zauważył na ekranie - rzekł Allingham.

- Tak - przyznał powściągliwie Vincent.

Scott-Brown spojrzał na niego.

- To pewnie pan?
- Ja byłem właśnie oficerem wachtowym.
- Dobra robota - rzekł Allingham z uznaniem. - Ilu ich wyłowili?
- Zdaje się, że dziesięciu. Dziesięciu albo jedenastu.
- Allingham gwizdnął przeciągle.
- To nie za dużo.
- Co to za odznaczenie ma dowódca? - dopytywał Scott-Brown.
- To D.S.C. - wyrwał się podchorąży Holt. - A zastępca był wymieniony w rozkazie.
- Ciekaw jestem, za co to wszystko?
- Johnson uniósł głowę znad książki.
- Zatopili okręt podwodny w powrotnym rejsie z Gibraltaru. Będzie rok temu. Wzięli też kupę jeńców.
- Uśmiech zadrgał na twarzy Scott-Browna.
- Ma pan wspaniałą pamięć, chief.
- *Compass Rose* była dobrym okrętem - odparł Johnson poważnie. - Jednym z najlepszych.
- Fatalny pech, że ich tylu przepadło - odezwał się Holt. Jego młodzieńczy głos i „londyński” akcent dziwacznie odbijały od chropowatej, północnej wymowy Johnsona. - Ciekaw jestem, jak to naprawdę wygląda, kiedy trafi torpeda.
- Lepiej nie zastanawiaj się pan nad tym - wtrącił Raikes zwięźle. - Podobno nie warto się tego dowiadywać.
- Co do mnie, to wcale nie jestem ciekaw - oświadczył Scott-Brown.
- Ani ja - dorzucił Allingham. - Mam ochotę jeszcze zobaczyć Australię.
- Co za niezwykle życzenie - zdziwił się Holt niewinnie.

Allingham popatrzył na niego przez chwilę i wreszcie rzekł:

- Młody człowieku, powinieneś trochę poruszać mózgiem. Czyżby was nie uczyli o Australii w tej waszej wyśmienitej szkole?

- Uczyli, oczywiście - odparł skwapliwie Holt. - Sami skazańcy i króliki.

- No, no, panie młodszy! - porwał się Allingham energicznie.

- Zdaje się - wmieszał się Scott-Brown - że nabierają pana w najklasyczniejszym stylu Eton.

- Aha... - Allingham wycisnął z siebie coś w rodzaju uśmiechu. - Czy nie ma w brytyjskiej marynarce takiego przepisu, że można spuścić lanie podchorążemu?

Johnson znów podniósł głowę.

- Był taki przepis, ale już wygasł dawno temu.

- No, ja jestem trochę staroświecki kawalarz. Myślę, że trzeba będzie przywrócić ten zwyczaj.

W kabinie dowódcy Ericson dzielił się wrażeniami z Lockhartem.

- Wie pan, nieźle się przedstawiają. Mają w każdym razie poważne doświadczenie, chyba o dwieście procent więcej niż *Compass Rose*, kiedy zaczynała karierę.

- Bez osobistych wycieczek, panie komandorze - uśmiechnął się Lockhart.

- Pamiętam, jak pan i Ferraby przyszlście do tego baraku na nabrzeżu. Tacy niewinni, niby dwie białe myszki. To naprawdę zabawne, że znów mamy u siebie Australijczyka. Przypomina mi to Bennetta.

- Tak - odparł Lockhart. - Coś okropnego!

3.

Zwykle dwa razy w tygodniu Holt jeździł do miasta, by odebrać ze sztabu poufne sygnały i dopilnować najrozmaitszych spraw związanych z przygotowaniem *Saltash* do wyjścia na morze. Jednakże po dwóch tygodniach Lockhart poczuł niepokój. Jakby zbyt długo tkwił już bez przerwy na okręcie i nadszedł czas odetchnięcia innym powietrzem po dusznej atmosferze codziennej rutyny i drobnych szczegółików, które były jego nie kończącym się wkładem w dzieło przygotowania fregaty. Przez dwa tygodnie mordował się ze spisami zaopatrzenia, z listami niezbędnych zmian, spisami wyposażenia pomieszczeń, wreszcie z różnymi skomplikowanymi planami, które miały zapewnić utrzymanie *Saltash* w pełnej sprawności na morzu i w porcie. Prac tych nie uważał za szczególnie interesujące i pragnął jakiejś odmiany. Ciekaw był także, co słyhać nowego na szerokim świecie, na świecie poza wylotem Clyde, która była ich jedynym łącznikiem z morzem. Już od czterech miesięcy nie widział Atlantyku, a żywe zainteresowanie i - bez przesady - poczucie odpowiedzialności za cały ocean, które osłabły po głębokim wstrząsie przeżytym na *Compass Rose*, powracały teraz na nowo. Chciał znowu włączyć się w nurt, chciał popytać, jak stoją sprawy i jak przebiega Wielka Bitwa. Tym bardziej że już za kilka tygodni mieli wrócić na pole tej bitwy z nowym zupełnie orężem.

Tak więc któregoś ranka przy śniadaniu Lockhart oświadczył Holtowi:

- Dziś ja się wybiorę do Glasgow. Mam ochotę odetchnąć świeżym powietrzem.

Scott-Brown spojrzał na niego znad gazety.

- No, tego to pan właśnie nie znajdzie w Glasgow.

- W każdym razie mam ochotę na jakąś rozmaitość - przyznał się Lockhart z uśmiechem.

- Panie kapitanie... - wtrącił się do rozmowy Holt.

Lockhart odwrócił się ku niemu.

- Panie kapitanie, tam w sztabie jest oficerka, istne чудо!

- Co takiego?

- Oficer Pomocniczej Służby Kobiet, panie kapitanie.

- To brzmi już trochę lepiej. Więc o co chodzi z tą wrenką?

- Podobno to najładniejsza dziewczyna wśród wrenek. W sztabie wszyscy koło niej skaczą na dwóch łapkach.

- Nie wiem, czy to wrenka jest temu winna. No, ale o co chodzi?

- Nie, ja nic. Ja tylko pomyślałem, że lepiej wspomnieć o tym panu kapitanowi.

Lockhart z powagą skłonił głowę.

- Dziękuję. A gdzie można obejrzeć to чудо?

- W Biurze Oficera Operacyjnego. Właściwie to ona wszystkim tam rządzi.

- A co pan robił w Biurze Operacyjnym? Przecież Biuro Sygnałów jest na zupełnie innym piętrze i chyba o milę stamtąd.

Podchorąży uśmiechnął się niewinnie:

- Ja tylko podtrzymywałem kontakt, panie kapitanie.

Scott-Brown popatrzył na niego.

- Ile wiosen pan sobie liczy, panie podchorąży?

- Już prawie osiemnaście.

- Trudno mi nie uważać, że ma pan jeszcze sporo czasu na tego rodzaju sprawy.

- Nie ma się po co spieszyć z tymi rzeczami - poparł go Raikes.

- Trochę trzeba zostawić na potem, jak pan dorośnie.

- W Australii - wtrącił się Allingham - w tym wieku już byłby żonaty.

- Śmiem twierdzić, że i w Anglii tak samo, gdyby istniała sprawiedliwość. - Scott- Brown przemawiał, jak zwykle, tonem autorytatywnym i chłodnym. - Są jednak ludzie, którym się udaje unikać odpowiedzialności w nieskończoność.

- To przywilej bogatych - zauważył Raikes.

- Ja nie jestem wcale bogaty - bronił się Holt.

- Ale za to na pewno utalentowany - rozstrzygnął Lockhart. - A to jest jeszcze lepsze.

- Oczywiście - zawtórował Scott-Brown. - Niektórzy twierdzą, że tylko w tym jest prawdziwe bogactwo.

Lockhart aprobował skinieniem głowy.

- Masa kobiet jest tego zdania.

- Zwłaszcza te trochę starsze, co to żyją z własnych funduszków.

- Nic z tego nie rozumiem - przyznał się Holt bezradnie.

- No, to może jeszcze coś z pana będzie. - Lockhart rozprostował ramiona. - Dobra, obejrzę sobie tę pańską wrenkę, bo właśnie tak się składa, że mam zamiar dowiedzieć się w Biurze Operacyjnym, kto wygra wojnę...

- Hm... - odchrząknął Scott-Brown.

- Hm... - chrząknął Holt jeszcze bardziej znacząco.

- Chrząkajcie sobie, ile wam się podoba. - Lockhart szykował się do wyjścia. - Za bardzo już zboczyłem z dawnego kursu, żeby to odrobić.

Chór pochrząkiwań, jak ogień zaporowy, ścigał go z mesy oficerskiej wzdłuż korytarza aż do samej kabiny.

W błady ranek marcowy Glasgow wydawało się szare i nieskończenie nudne. Kiedyś wiosna przyjdzie i tu - myślał

Lockhart przepychając się wolno przez Argyll Street, wśród tłumu zaspanych sklepikarzy i niewyraźnych mężczyzn, czekających, jak psy z podkulonym ogonem, na otwarcie piwiarni i knajp. - Ale jeszcze nie przyszła, nie ma się po prostu o co zaczepić. Przypomniawszy sobie tygodnie spędzone w Glasgow przed przeszło trzema laty, gdy on i Ferraby mieszkali w jednym pokoju hotelowym, a w godzinach wolnych od służby na *Compass Rose* włóczyli się po mieście, usiłując za wszelką cenę czuć się jak dwa młode, wesole zuchy używające wielkomiejskich rozkoszy. Glasgow nie nadawało się jakoś do tej roli, tak jak teraz nie godziło się z samym wyobrażeniem wiosny i z obietnicą jej nadejścia. Dziś miało ten sam posępny, nieciekawny wygląd, ten sam wyraz beznadziejności, co w roku trzydziestym dziewiątym. Prawdopodobnie coś się musiało tu dziać od tamtych czasów. Dzieci musiały przychodzić na świat, ludzie kochali się, tracili i zarabiali pieniądze, ale nie było tego widać na brudnych, wilgotnych chodnikach ani w ponurych, na pół opustoszałych sklepach, a blade twarze przechodniów na ulicy, zapatrzone w głąb siebie, przeczyły temu stanowczo.

Człowiek jest tutaj zdany na samego siebie - snuł nić rozmyślań, utkwivszy przypadkiem wzrok w wystawie trzeciorzędnego jubilera. Na podstawkach umieszczonych jedna nad drugą mnóstwo obrączek ślubnych czekało tu na klientów, którzy nie przychodzili, na isierkę, której nikt nie chciał rozniecić. Gdyby człowiek nie czuł we własnej piersi tajemnego wezwania i wabiącej pokusy życia poza utartym szlakiem, gdyby nie chował w sobie ziarna upartej pewności siebie, która przemienia ciało ludzkie w ludzką osobowość, to na tych dziesięciu milach kwadratowych nigdzie by tego nie znalazł.

Ale może to вина wojny... W sztabie odebrał cały plik sygnałów i kilka zalakowanych kopert. Potem zszedł o dwa piętra niżej i powędrował ciemnym korytarzem, rozbrzmiewającym echem

kroków, aż do pokoju z napisem na drzwiach: „Oficer Operacyjny Sztabu”. Zapukał i wszedł do środka.

Przy jednym biurku nie było nikogo, przy drugim siedziała młoda dziewczyna. Gdy wszedł, rozmawiała z kimś przez telefon i słuchając, przez pół minuty nie odwracała wzroku od twarzy Lockharta. Był rad, że może patrzeć jej w oczy tak długo bez żadnej przeszkody. Oczy te były duże, z długimi rzęsami, były najwspanialszą ozdobą niezwykle subtelnej twarzy. Nie była w żadnym wypadku „najładniejszą dziewczyną wśród wrenek”, jak się wyraził podchorąży. Na taki tytuł pierwsza lepsza mogła zasłużyć. Ona zaś była śliczna - te oczy i podłużna twarz z dość wydatnymi kośćmi policzkowymi, i ciemne włosy zaczesane do tyłu, i gładka matowa cera. Chyba niczego ci nie brak - zdumiewał się Lockhart podchodząc bliżej do biurka i dokonując odkrycia, że oczy są szare, a dłonie wąskie i ślicznie utrzymane. Spuścił i odwrócił spojrzenie, bo nie czuł się jeszcze na siłach patrzeć w jej oczy bez końca. Do biurka przypięta była kartka z napisem: „Drugi oficer Hallam”. Drugi oficer - myślał bez najmniejszego zdziwienia. - Drugi oficer w Biurze Operacyjnym sztabu. Musi być nadzwyczajna. Ale czy może być inna z tym wyglądem? Śliczna, inteligentna, a w schludnym mundurze tak jej do twarzy, jak w najpiękniejszej balowej toalecie. Trochę się zagalopowałem - pomyślał podniecony - ale niech mnie kule biją, jeżeli to nieprawda!

Powiedziała do kogoś w telefonie:

- Więc proszę mi to przysłać - i odłożyła słuchawkę. Zanotowała coś na bloku leżącym przed nią i uniosła powieki.

- Tak, słucham pana?

Lockhart przetłknął z wysiłkiem ślinę.

- Jeśli to nie jest zakazane - zaczął trochę niepewnie - chciałbym rzucić okiem na mapę i dowiedzieć się, jak stoją sprawy na Obszarze Zachodnim.

- Ach, tak. - Nie wysilała się wcale na minę wyrażającą wątpliwość, po prostu była chłodna i obojętna. Należało przypuszczać, że mnóstwo ludzi przychodziło tu do niej pod byle jakim pretekstem.

- Nie sędzę, żeby to było możliwe - odpowiedziała po chwili. - Wszystkie te wiadomości są ściśle zastrzeżone.

Głos jej miał niskie i tak melodyjne brzmienie, że każde słowo zdawało się naprawdę warte wypowiedzenia, a nie tylko pospiesznego przełknięcia.

- Wiem o tym, oczywiście - usprawiedliwiał się Lockhart. - Ale, widzi pani... Tkwiłem w tym przez całe trzy lata, a teraz od czterech miesięcy jestem na lądzie, bo przejmujemy nowy okręt. Więc chciałem się połapać w tym, co się dzieje.

Byłby się niewątpliwie zżymał na konieczność długich wyjaśnień, gdyby nie to, że ona była z całą pewnością osobą, która ma prawo do wszelkich wyjaśnień. Szare oczy utkwily w jego oczach spokojnie, bez żadnego wahania.

„Gdzieś w głębi, poza tym wszystkim musi być jednak kobieta” - zastanawiał się Lockhart. - „Musi być, tylko że dzisiaj nie chce się pokazać. W każdym razie nie mnie.”

Po chwili zapytała:

- Z jakiego pan okrętu?

- *Saltash*.

- A, ta nowa fregata.

I nagle uśmiechnęła się. W uśmiechu usta jej rozchyliły się miękko i Lockhart zadrżał.

„To dlatego, że od tak dawna nie widziałem żadnej przyzwoitej dziewczyny” - tłumaczył sobie w myśli własną wrażliwość. Lecz zaraz się zreflektował: - „Do diabła! Przecież muszę to sobie jakoś wytłumaczyć.”

Po chwili znów zapytała:

- Czy macie tam u siebie niejakiego Gavina Holta?

- Tak, oczywiście. To podchorąży. Właściwie, mam od niego pozdrowienia dla pani.

- Właściwie, proszę go także pozdrowić ode mnie.

Lockhart zorientował się nagle, że może zbyt obcesowo usiłował się zbliżyć do dziewczyny. Za minutę może go mieć zupełnie dosyć. Lecz nie, mówiła dalej raczej uprzejmym tonem:

- Kto jest u was, dowódcą? A może właśnie pan?

- Nie, nie ja. Komandor Ericson.

- Ach, tak. To, zdaje się, wybitny oficer?

- Tak.

Wzrok jej powędrował ku paskom na jego rękawie.

- Więc pan jest zastępcą dowódcy?

- Tak - skinął głową.

Jej brwi ściągnęły się lekko.

- Dosyć dziwne, nie uważa pan? Dlaczego nie samodzielne dowództwo?

- Bo chciałem być z Ericsonem - odparł Lockhart trochę zaczepnie.

Brwi poruszyły się znowu. W ich leciutkim wzniesieniu był wyraz niesłuchanie lekceważący.

- Przestraszył się pan dowództwa?

Lockhart poczerwieniał gwałtownie. „Niech się dzieje, co chce” - pomyślał z determinacją, a głośno powiedział:

- Gdybym się bał dowództwa, to niech mnie diabli wezmą, jeśli bym pani się z tego spowiadał.

Chwila milczenia. Na jej ustach znów zakwitł uśmiech i rozświecił oczy, które szukały otwarcie jego oczu.

- Przepraszam - rzekła miękko. W jej głosie drżała odrobina śmiechu. - Naprawdę, przepraszam pana. Proszę zrozumieć, gdyby pan pracował w tym gmachu i musiał stale oglądać dziesiątki młodych ludzi, co tylko kombinują, jak się dorobić awansu, nie biorąc na swoje barki większej roboty, to i pan by się zrobił podejrzliwy.

- To nie jest tak, jak pani myśli - próbował jej wyjaśnić.

- Oczywiście, że nie. Teraz już sobie przypominałam, kim pan jest. - Na jej twarzy zjawił się szczerzy, cudowny wyraz skruchy. - Pan był z nim razem na *Compass Rose*, prawda?

- Tak, ale skąd pani o tym wie?

- Ktoś mi powiedział parę dni temu. Zniszczyliście okręt podwodny. Czy mam pana przeprosić jeszcze raz?

- Nie, nic podobnego. Ale czy zwiększą się przez to moje możliwości spojrzenia na mapę i dowiedzenia się nowin?

Skinęła ochoczo głową.

- To się samo przez się rozumie. O czym mam panu opowiedzieć?

Przez blisko dziesięć minut rozmawiali o sprawach fachowych. Lockhart wyniósł z tej pogawędki skomplikowane przekonanie, że sprawy na Atlantyku są już obecnie na nieco lepszej drodze po bardzo złym okresie koło Bożego Narodzenia, że drugi oficer Hallam pełni tę funkcję od czterech miesięcy i że jej oczy są raczej ciemne, a nie jasnoszare. Nie mógł jednak bez końca cieszyć się tymi oczami i śliczną twarzą, i głosem.

- Ma pan pewnie masę roboty z tym przejmowaniem okrętu.

Prawdopodobnie zwracała mu w ten sposób uwagę, że sama jest bardzo zajęta. Nie czuł się wcale dotknięty, bo i tym razem jej wolno było tak mówić.

Poza tym rozumiał dobrze, że tylko przypadek pozwala mu korzystać z jej łaskawości. Gdyby nie to, że zaraz na początku potraktowała go tak niesprawiedliwie i lekceważąco, na pewno nie wysilałaby się, by mu to wynagrodzić swą czarującą uprzejmością. Zapewne nie wyszłaby mu naprzeciw ani jednym kroczkiem.

Mimo to w ich pożegnaniu taił się jakiś nieokreślony żal. Gdy Lockhart wstał z zamiarem odejścia, jakiś młody porucznik z Royal Navy wetknął głowę przez drzwi i zapytał:

- Julie, idziemy razem na obiad?

Ona odpowiedziała z uśmiechem:

- Tak, za jakieś pięć minut, Edwardzie.

Julie... - zastanawiał się Lockhart wracając długim, ponurym korytarzem. - Jakie to piękne imię! - Dochodząc do końca korytarza, uzupełnił swą myśl: - Za to imię Edward nigdy mi się specjalnie nie podobało.

Lockhart miał rzeczywiście dużo roboty przy przejmowaniu *Saltash* - zresztą wszyscy mieli co robić. Przybyła już załoga z zachodu, z koszar marynarki wojennej w Devonport. Było ich teraz na fregacie razem stu siedemdziesięciu dwóch ludzi. Dobre ich rozmieszczenie i podział na wachty - to było trudne i żmudne zadanie, wymagające nie lada cierpliwości. W tym stadium prac organizacyjnych spadło ono wyłącznie niemal na Lockharta i na sternika, starszego podoficera Barnarda. Barnard był żywym przeciwstawieniem Tallowa. Tallow był trochę powolny w ruchach i bardzo solidny, w całkowitej harmonii ze swym

północnym akcentem. Barnard był mały, energiczny i bystry, a jego ociężała zachodnia wymowa zdawała się po prostu nieporozumieniem, jakby subtelny bohater sztuk salonowych grał dla zabawy rolę wiejskiego gospodarza. Nosił niedużą, jasną bródkę. Ujrawszy go po raz pierwszy, Lockhart zaniepokoił się trochę. Nie wiem, czy nie lepiej kazać mu zgolić tę brodę. Za bardzo z tym podobny do kapitana Nemo. Ale broda Barnarda nie była jakąś bzurną, pretensjonalną pozą. Była prawdziwą brodą atlantycką, wyhodowaną w chłodzie i znoju powszedniej służby konwojowej. Trzeba się było tylko przyzwyczaić, potem już broda wydawała się niezbędną częścią osobowości tego rzutkiego i zdolnego człowieka. Barnard był zdecydowanym służbistą i groźnym okiem tropił wszystkich wykraczających przeciwko dyscyplinie. Równocześnie miał w sobie budzącą zaufanie ludzkość i w ciągu pierwszych kilku tygodni jego zasługi w dziele zespolenia jeszcze nieco surowej załogi były nieocenione.

Wszyscy oficerowie mieli mnóstwo roboty. Niektóre z tych zajęć widziało się i słyszało w każdym zakątku fregaty. Inne były mozolne i ciche. Niewątpliwie najwięcej hałasu i ruchu wprowadzał Allingham, który wziął się z zapalem do dzieła, próbując wpoić w swych artylerzystów coś z tej fanatycznej dyscypliny, którą jemu samemu wszczepiano tak niedawno na Whale Island. O każdej porze dnia można było usłyszeć w dowolnym punkcie górnego pokładu rozlewną australijską wymowę w całej gamie rozkazów i uwag związanych z ładowaniem oraz strzelaniem z dział. Więc najpierw ostra seria rozkazów, potem szereg poruszanych części i znowu potok słów, zwykle grzmiących naganą i groźbą. Jednak w sposobie bycia Allinghama, w jego wściekłym zapale było coś, co pociągało ku niemu podwładnych, mimo że nie dawał im spokoju. Te same słowa i zwroty w ustach jakiegoś Bennetta brzmiałyby wręcz obraźliwie, lecz tu nie mogło być mowy o żadnej urazie.

Artylerzyści widzieli, że Allingham wiele potrafi, że gotów jest o każdej porze skoczyć gdzie trzeba i samemu przyłożyć ręki. Szli więc za nim, jak to się mówi, bez mrugnięcia okiem.

Zupełnie inaczej odnosił się do podwładnych podporucznik Vincent, który ćwiczył obsługę bomb głębinowych. Po dwóch czy też trzech latach służby na korwecie Vincent znał swą robotę na wylot, ale nie mógł się zdobyć na stanowczość wydając rozkazy. Sposób, w jaki prowadził ćwiczebny atak na okręt podwodny, przywodził na myśl młodziutką przedszkolankę, której jedyną skuteczną bronią jest apel do dobrej woli dzieciarni.

- Zdaje się, że to nie wyszło najlepiej - mówił łagodnie Vincent.
- Na drugi raz postarajcie się zrobić to trochę prędzej.

Dokąd tylko donosił głos, a głos Allighama niósł się bardzo daleko, wszyscy słyszeli jego wrzaski:

- Może wam się wydaje, nygusy jeden z drugim, że w końcu zmięknę, jak się będziecie pałętać po pokładzie niczym gromada starych kurw na majówce? Długo będziecie na to czekać. No, a teraz już, jazda!

Tylko przyszłość mogła rozstrzygnąć, która z dwóch metod szkolenia okaże się lepsza. Pomiedzy dwoma skrajnymi biegunami Johnson pokazywał się często na górnym pokładzie jak człowiek, który walczy o byt na obcej ziemi. Krążył milczący i skupiony, wlokąc za sobą całą brygadę brudnych, umorusanych maszynistów. Ściągał, co tylko mógł, do podręcznego magazynu przy maszynowni. Czasem przystawał słuchając wrzasków Allinghama, czasem obserwował przez chwilę Vincenta. A potem marszczył brwi i odwracając się do swej dziwacznej eskorty, rzucał któremuś z nich krótkie, niezrozumiałe słowo. Zbierali się wtedy wszyscy wokół nowo odkrytej zdobyczy - mogła to być na przykład puszka oleju lub komplet części zapasowych - i zabierali się do niej, akcentując swoje prawo własności powolnymi gestami

ludzi, dla których jedna chwila może pomieścić nie więcej niż jedną myśl.

A w mesie oficerskiej niemal przez cały dzień roboczy panował święty spokój. Pracowało tam stale trzech ludzi: Scott-Brown sprawdzał wyposażenie sanitarne, pozycja za pozycją; Raikes, oficer nawigacyjny, uzupełniał swoje mapy, a podchorąży Holt sporządzał spisy poufnych akt i sygnałów. Ktoregoś ranka Lockhart zajrzał do mesy i zdziwił się nastrojem skupienia, z jakim oddawali się pracy. Słyszał tylko skrzypienie pióra i szelest odwracanych kartek. Wtem Holt uniósł głowę znad stołu i spotkał spojrzenie Lockharta.

- Niegrzeczni chłopcy, panie kapitanie - rzekł pokazując palcem na sufit, skąd dochodziły niesamowite huki i stuki.

To Allingham raz za razem wyczyniał w szalonym tempie jakieś cuda ze swymi artylerzystami.

Holt wywrócił oczy z wyrazem głębokiego zgorszenia:

- A tu pracują najtęższe mózgi z całego okrętu i siedzimy cichutko jak myszki.

- Spokój tam, spokój! - zamruczał Scott-Brown, nie odrywając wzroku od spisów.

- To niby ja? - zdziwił się podchorąży.

- Tak, właśnie pan - odpowiedział mu Raikes. - Masz pan czas na gadanie, to możesz mi pomóc przy tych tu mapach.

- Ależ ja jestem zawałony robotą. Wysiedziałem już dziury w spodniach do samej kości.

Podchorąży westchnął bardzo głęboko i schylił się znowu nad swymi papierami. Z góry zabrzmiał potężny ryk Allinghama, który właśnie zaczynał zwykłą rozmowę ze swymi ludźmi. W drzwiach stanął brodaty bosman i służbiście meldował Lockhartowi:

- Ludzie czekają do raportu.

Krzepiący zapach kawy dolatywał z kredensu.

Saltash zaczynała już chwycić rytm.

Dowódcy nie było na fregacie. Dowódca wrócił po prostu do szkółki.

Przez dwa tygodnie tkwił w Liverpoolu zakopany po uszy w czymś, co się nazywało niewinnie „kursem taktycznym dla dowódców”, a co się okazało przerażającą mordęgą. Zadaniem kursu było przedstawienie najnowszych osiągnięć w wojnie morskiej na Atlantyku oraz przeprowadzenie praktycznych ćwiczeń dla bliższego zapoznania się z nimi. Oficerowie biorący udział w kursie najpierw słuchali wykładów, a potem każdego popołudnia zbierali się w dużym, pustym pokoju, którego podłoga miała przedstawiać teren działań na morzu. Modele wyobrażały statki idące w konwoju i eskortowce w ich osłonie, a także grożącego nieprzyjaciela. Zaczynała się „zabawa w konwoje”. Nadchodziły „meldunki o wykryciu”, rozpętywał się sztorm i statki tonęły. Wrogie okręty podwodne otaczały konwój pierścieniem, eskortowce zaś musiały obmyślić jakieś przeciwposunięcie taktyczne i zaraz wprowadzić je w czyn, zupełnie jak na morzu. Ćwiczenia prowadził jakiś groźny komandor z Royal Navy. Mnóstwo wrenek asystowało w czujnej gotowości, przesuając modele statków, przynosząc najświeższe „sygnały”, a czasem doradzając dyskretnie następne posunięcie. Nie wiadomo jakim sposobem, zdawały się wiedzieć wszystko o wszystkim.

Mimo obszernego programu wykładów Ericson borykał się z wielkimi trudnościami w czasie tych ćwiczeń. W ciągu czterech miesięcy, które spędził na lądzie, wiele spraw posunęło się

naprzód na Atlantyku. Weszły do akcji nowe rodzaje broni, zjawiły się nowe niebezpieczeństwa i nowe sposoby prowadzenia przeciwnatarcia, o których wiedział bardzo niewiele. Doszedł ponadto do wniosku, że stracił wprawę i że opuścił go jego instynkt dowódcy. Gdy wyłaniało się niebezpieczeństwo, musiał natychmiast uchwycić myślą sto rzeczy i zabezpieczyć się na wszystkie strony. Zdarzało się, że z trudem przypominał sobie właściwe komendy na ster lub biedził się nad ułożeniem zrozumiałego sygnału. Przy tych zabawach w konwoje, ze względu na stopień, najczęściej właśnie jego wyznaczano dowódcą grupy. A gdy popełnił jakiś błąd, nie mógł obronić się przed myślą, że za parę tygodni wyprowadzi na morze swą własną grupę i że jeśli zrobi ten błąd w prawdziwej bitwie, to zapłacą za niego bardzo wysoką cenę. Więcej statków pójdzie na dno i więcej ludzi utonie. Może znów jakiś płonący zbiornikowiec i może nowa *Compass Rose*? Wszystko to teraz zaciąży bezpośrednio na jego rachunku i na jego sumieniu.

Pomyłki, które popełniał, były niejednokrotnie tak prymitywne, że stawał wobec nich przerażony. Jedna utkwiała mu w pamięci na bardzo długo. Jak zwykle, przydzielono mu funkcję dowódcy grupy. Akcja miała odbywać się w nocy. Dla dokładności obrazu otrzymał dwa meldunki o nieprzyjacielu w postaci dwóch kolejnych sygnałów, przekazanych w odstępie minuty. Brzmiały one: „Echo radarowe namiar trzysta, odległość trzy mile” oraz „Echo asdiku namiar trzysta sześćdziesiąt, odległość jedna mila”.

Oznaczało to prawdopodobnie dwa okręty podwodne znajdujące się w pewnej odległości od siebie, lecz po tej samej stronie konwoju. Ericson namyślał się przez chwilę, po czym nadał sygnały do dwóch eskortowców skrzydłowych, polecając im zbadać kontakty. Po nadaniu sygnałów próbował skoncentrować myśl na tym, co powinno dalej nastąpić, starał się przenieść sytuację akcji pozorowanej w rzeczywistość konwoju na pełnym

oceanie, w atmosferę rzeczywistego zagrożenia i konieczności osłonięcia stu statków przed atakiem. Ale mózg jego zastygł w bezruchu i nie był zdolny do wykrzesania myśli. Minuty mijały jedna za drugą. Wtem wrenka stojąca tuż obok niego potrząsnęła poważnie głową i rzekła tonem wymówki:

- Panie komandorze, musi pan przecież pamiętać, żeby zatkać tę dziurę na prawym skrzydle innym okrętem z eskorty.

„Dziura na prawym skrzydle...” - Ericson ugiął się pod ciężarem winy. - „No tak, przecież już raz mieliśmy taką dziurę.” Popatrzył na dziewczynę, która nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia lat. Widok tej młodej, myślącej, inteligentnej twarzy ubódł go nagle, obudził poczucie niższości. „Zdaje się, że zaczynam wysiadać” - pomyślał chłodno, a zaraz potem z przerażeniem: - „A może już jestem do niczego?” Dwudziestoletnia smarkata wie, jak należy postąpić, a on, mając czterdzieści osiem lat, ani be, ani me. Może w tym właśnie tkwi całe nieszczęście: ma już czterdzieści osiem lat, a blisko cztery lata trwa ta zabawa. Możliwe, że jego umysł wyjałowiał na dobre i stracił raz na zawsze giętkość niezbędną na tym stanowisku. Możliwe, że już odrobił swą wojnę, przynajmniej jeśli chodzi o bezpośredni, bojowy udział.

Wprawdzie pokiwał tylko głową nad tą niepiękną myślą, ale już nie potrafił jej odpędzić. Nawet pod koniec kursu, kiedy zaczynał się oswajać z tym wszystkim i poprawił sobie opinię, nie mógł się pozbyć uczucia przygnębienia, a obraz przyszłości niepokoił go i przytłaczał. Po zatonięciu *Compass Rose* i tak niełatwo było zaczynać na nowo, niełatwo wciągnąć się znów we wszystko. Nowa taktyka, zwiększony zakres odpowiedzialności i szereg skomplikowanych problemów wymagały teraz od niego nieporównanie większego wysiłku. Oczywiście, że trzeba się niesłychanie dużo nauczyć. Zupełnie możliwe, że dla niego przeminął już czas nauki. Jakież to będzie dowódca grupy, jeśli

popelnia błędy, których przed rokiem nie byłby zrobił nawet przez sen?

Po powrocie na *Saltash* nie okazywał nikomu swego zwątpienia. Zresztą, gdy tylko wszedł na okręt i poczuł twardy pokład pod stopami, co najmniej część tych obaw wydała mu się głupia i mocno przesadzona. Mając czterdzieści osiem lat naprawdę nie mógł być jeszcze za stary do pełnienia funkcji dowódcy. Lockhart powitał go u trapu, a gdy razem obchodzili fregatę, Ericson uczuł nowy przypływ otuchy na widok postępów, jakie poczynili w czasie jego nieobecności. Było już wpół do piątej i marynarze, którzy mieli zejść z przepustkami na ląd, ustawili się właśnie na rufie. Raikes sprawnie i jak należy dokonywał przeglądu przed zwolnieniem, a marynarze wyglądali czysto i zgrabnie. Sam okręt zdawał się niemal gotowy do wyjścia. Górny pokład nie był już niczym zastawiony, a świeża farba błyszczała czystością. Nikt już nie musiał szukać wolnego przejścia na obcym, zagraconym terenie - fregata wyłoniła się nagle jako zorganizowana jednostka, łatwa do rozpoznania i znana w każdym szczególe. Lockhart zdał mu dokładnie sprawę z przebiegu i stanu prac, po czym obaj zeszli na dół do mesy, gdzie wszyscy oficerowie już się zebrali na herbatę. Ericsonowi miło było odetchnąć w tej młodej kompanii i włączyć się do rozmowy, która w stosunku do niego zawierała tyle tylko akcentu służbistości, ile go było trzeba dla wyróżnienia dowódcy, a była dość swobodna, by każdy czuł, że w mesie oficerskiej nie jest na służbie, lecz jakby na własnych śmieciach. Był w tym nastrój subtelnej i naturalnej równowagi, którą obie strony umiały doskonale utrzymać.

- Jak tam było na kursie, panie komandorze? - zapytał Allingham, skoro tylko się usadowił w fotelu. - Bardzo męczyli?

Ericson skinął głową.

- Nie powiem, żeby nas ganił w ścisłym tego słowa znaczeniu, ale na jedno wychodziło. Dawno już nie miałem takiej harówki.

- Czy szkopy znów wymyśliły nową broń? - dopytywał się Raikes.

- No, cóż... - Ericson zastanowił się. - Poważnie ulepszyli te akustyczne torpedy, co to depcą człowiekowi po piętach, ale w obecnej chwili i to już przestarzałe. Chodzą słuchy o jakimś podwodnym aparacie do oddychania dla okrętów podwodnych. - Urwał i popatrzył kolejno po obecnych. - O tym zresztą nie wolno mówić. Ma to być coś w rodzaju długiej rury, która pozwala im siedzieć pod wodą, jak długo zechcą.

- A to dranie! - rzekł Raikes z podziwem raczej niż z zawziętością.

- Trzeba będzie trochę lepiej się starać, i to wszystko. - Zwrócił się do Johnsona. - Chief, zaczniemy próby za jakieś dziesięć dni. Popłyniemy w dół rzeki do Tail-of-the-Bank i tam postoiemy, aż przyjdzie czas ruszyć do Ardnacraish.

- Coś mi się zdaje, że raz już słyszałem podobny program - odezwał się Lockhart.

- Ja też - wtrącił się Vincent. - Ciekaw jestem, jak się miewa okrutny starzec z Ardnacraish.

- Kto to taki? - zapytał zaciekawiony Scott-Brown.

- Kto? Taki admirał, co pociąga i dopina na ostatni guziczek wszystkie okręty eskortowe. Od chwili wybuchu wojny odwalił kawał roboty, ale trudno go nazwać aniołem miłosierdzia.

- Na tym stanowisku nie potrzeba anioła. - Ericson dumiał nad najbliższą przyszłością. - Co myślicie o pożegnalnym przyjęciu, zanim się stąd ruszymy?

- Już po trochu przygotowane, panie komandorze - oznajmił Lockhart. - Gdzieś w końcu przyszłego tygodnia, jeśli to panu

odpowiada. Chieł ma nam wykombinować bajeczne oświetenie, trochę się wypije, a potem będzie coś w rodzaju kolacji.

- A wystarczy znajomych na takie przyjęcie?

Scott-Brown zaśmiał się głośno.

- Jest już sześćdziesiąt nazwisk na liście zaproszonych.

- Jak to, sześćdziesiąt? - Ericson uniósł brwi ze zdziwienia. - Co wyście tu robili, jak mnie nie było?

- Pan komandor wie, jak to goście ściągają do mesy oficerskiej - rzekł Johnson z posępnym wyrazem twarzy człowieka, który ma bardzo skromne saldo na koncie bankowym i żadnych towarzyskich ambicji. - Czasem to człowiek myślał, że jest w jakimś hotelu, a nie na okręcie.

- Ale jest dużo osób zupełnie przyzwoitych - stwierdził Scott-Brown. - Przecież i my korzystaliśmy z cudzej gościnności. Więc mają być oficerowie z tych dwóch okrętów, co stoją przy nabrzeżu, no i pracownicy ze stoczni, i kilka osób z bazy. I mnóstwo wrenek. Mam tu gdzieś taką prowizoryczną listę.

Wygrzebał ją z kieszeni i podał dowódcy.

- Admirał przyjdzie? - spytał Ericson spoglądając na pierwsze nazwisko na liście.

- Jego adiutant mówi, że tak. Podobno przepada za przyjęciami i żadnego nie opuści za skarby świata.

- No, dobra. - Ericson dalej przeglądał listę. - A te wszystkie tajemnicze szkockie nazwiska to pewnie ludzie ze stoczni... Kto to jest drugi oficer Hallam?

- Uroczy kociak z Operacyjnego - wyskoczył Holt.

- Co? Co takiego? - zdumiał się Ericson.

Podchorąży spłonął dziewczęcym rumieńcem.

- No... jedna wrenka z Biura Operacyjnego, panie komandorze. Kapitan Lockhart ją zaprosił.

- Ładna?

- Tylko spojrzeć, trup murowany, panie komandorze.

Ericson popatrzył uważnie na Lockharta, który, ku własnemu zdziwieniu, poczuł zakłopotanie.

- Mam nadzieję, że pan nie mięknie, kapitanie?

- Mowy nie ma, panie komandorze. Uważałem, że trzeba zaprosić jak najwięcej osób ze sztabu. Byli dla nas bardzo życzliwi.

- Drugi oficer Hallam także?

- Tak, oczywiście, że tak.

- Dla mnie nie była życzliwa - oznajmił podchorąży scenicznym szeptem.

- Holt! - zmitygował go Lockhart głosem przywykłym do komendy.

- Tak, panie kapitanie?

- Już dosyć tego.

- Przepraszam - rzekł Holt, bynajmniej nie speszony. - Myślałem, że będzie panu przyjemnie dowiedzieć się o tym.

Lockhart otworzył już usta, ale rozsądek przeważył i postanowił dać temu spokój.

Ericson znów na niego popatrzył. „Tak, tak” - pomyślał sobie - „tak sprawy stoją. Bo i czas na to. Mam nadzieję, że to miła dziewczyna”.

Lockhart nie bardzo się spodziewał, by Julie Hallam przyjęła zaproszenie na ich przyjęcie. Teraz, patrząc jak się usadowiła w rogu mesy wypełniającej się gośćmi, nie był pewien, czy to był w ogóle dobry pomysł z tym zaproszeniem, jeśli chodzi o spokój

jego ducha. Była naprawdę niepokojąco powabna. Nie widział jej od dnia pierwszego spotkania, więc wszystko w jej postaci - włosy i owal twarzy, promienna cera i duże, szare oczy - wydało mu się nowe i wszystko to było rozkosznym wstrząsem. Przywitał ją przy trapie i sprowadził do mesy prawie nie mówiąc słowa. Potem musiał ją oddać innym, bo miał jeszcze mnóstwo drobiazgów do dopilnowania i nie chciał przegapić przybycia admirała. Gdy powrócił do mesy, od razu zauważył, że w żaden sposób nie uda mu się do niej zbliżyć, w każdym razie nie tak, jak by sobie życzył.

Przysiadła na poręczy fotela, a wszyscy goście czuli się jak gdyby najlepiej właśnie w tym rogu mesy. Z jednej strony Scott-Brown roztaczał przed nią swe niewątpliwe uroki. Otaczało ją mnóstwo oficerów ze sztabu, mających oczywiste i niezasłużone pierwszeństwo. Ericson, obchodząc wszystkich gości, zatrzymał się przy niej na długo, rozmawiał z nią i żartował wesoło. Holt nie odstępował jej ani na chwilę. Adiutant admirała pochylał się nad nią niby wyniosła skała obwieszona różnymi orderami. Nawet stewardzi, krążący z napojami i tacami zakąsek, zmniejszali szybkość niemal do zera, kiedy wchodzili w jej orbitę. Nie mogę im tego zabronić - myślał Lockhart - przecież jest taka cudna. Ale niech ich licho porwie mimo wszystko! Rojne i gwarne zebranie przypominało mu skromne początki *Compass Rose*, kiedy ledwie dwanaście osób zebrało się w mesie, a Bennett wkroczył z jakąś zakazaną damulą u boku. Ciekaw jestem - pomyślał - gdzie wtedy była Julie Hallam. Przecież to cztery lata minęły już prawie od tego czasu. W ciągu tych czterech lat musiała poznać tak wielu mężczyzn. Jakże ona to robi, żeby być taką śliczną i tak pociągającą, a równocześnie taką niedostępną? Pokręcił głową, odwrócił się w drugą stronę i zabrał się sumiennie do bawienia gości.

Admirał - wesoła i dobroduszna osobistość - prowadził konwersację według klasycznej recepty monarchów. Najpierw kilka umiejętnie dobranych pytań, dwie minuty żarcików i przejście do następnego rozmówcy. Lockhartowi zadał pytanie:

- Czy pierwszy raz jest pan zastępcą dowódcy?

- Nie, panie admirale, byłem już na innym okręcie, także przy komandorze Ericsonie. To była *Compass Rose*.

- Ach, tak. - Admirał miał i pamięć królewską, wobec czego nie podjął tematu, który najoczywistej był w dysharmonii z nastrojem przyjęcia. - Pływa pan od początku po Atlantyku?

- Tak, panie admirale. Już przeszło trzy lata.

- To kawał czasu. Nie ma żadnych trudności z przejmowaniem fregaty?

- Nie, panie admirale.

- Mam nadzieję, że moi ludzie ze sztabu was nie zaniedbują?

- Okazali nam dużo pomocy, panie admirale.

- To dobrze. - Skinął mu głową i przeszedł dalej. Lockhart usłyszał, jak pyta Allinghama:

- Czy pierwszy raz jest pan oficerem artyleryjskim?

Spostrzegłszy Johnsona stojącego samotnie w kącie, Lockhart podszedł do niego.

- Czy dobrze się pan bawi, chief?

Johnson skinął potakująco głową.

- Trochę to dla mnie nowe, panie kapitanie - rzekł z pewnym wahaniem.

Lockhartowi bardzo się to podobało w Johnsonie. Przed kilku tygodniami siedział jeszcze w podoficerskiej mesie na niszczycielu, a teraz z całkowitą szczerością mówi o swym świeżym awansie.

- Jak się już panu znudzi - poradził mu - to może pan spokojnie się ulotnić.

Johnson uśmiechnął się.

- Dobrze, będę pamiętał.

Lockhart odebrał od stewarda niewielką tacę z zakąskami i zaczął obchodzić z nią gości, rozmawiając po drodze. W mesie było już pełno. W kącie Julie Hallam krąg nadskakujących jej mężczyzn skupił się ciasno. Jak sępy - pomyślał. - Nie, raczej jak dworzanie, którzy mają najlepsze w świecie wytłumaczenie dla swej gorliwej służby. Na chwilę błysnęła mu główka w koronie ciemnych włosów, przechylona do przodu, by wysłuchać czegoś, co mówił jej Holt. Potem zasłonili ją znowu, a Lockhart wrócił do swej roboty, żałując po raz pierwszy w ciągu tej wojny, że nie jest siedemnastoletnim, przystojnym podchorążym, bez żadnych obowiązków i kłopotów.

Zabawiał jakąś panią w ogromnym kapeluszu, która mu powiedziała:

- Naprawdę nie rozumiem, w jaki sposób panowie wiecie, dokąd płynąć, kiedy jesteście na samym środku oceanu?

Rozmawiał z jakimś mężczyzną w nieprzemakalnym płaszczu, który oświadczył:

- Dużo pracy włożyliśmy w ten okręt. Chyba będziecie dbać o niego?

Zamienił parę zdań z brzydką wrenką, która stwierdziła zalotnie:

- Widziałam pana kiedyś w restauracji.

Pogadał z kapitanem portu, częstował gości zakąskami i odprowadził admirała. Wyszedł na górny pokład, by dopilnować zaciemnienia, zamienił słówko z podoficerem Barnardem, a potem wrócił i konferował z burmistrzem Glasgow. Czas mijał, a

w mesie nie robiło się luźniej. W jakimś momencie Lockhart znalazł się obok zastępcy dowódcy z innej fregaty.

- Dopiero co przyszedłem - usprawiedliwiał się tamten. - Jeden z naszej załogi wpadł do rzeki, kiedy wracał na okręt z przepustki. Co to za piękność nie z tej ziemi siedzi tam w kącie?

Po raz pierwszy od blisko dwóch godzin wzrok Lockharta powędrował ku Julie Hallam, ona zaś dziwnym przypadkiem równocześnie spojrzała na niego. Mimo iluś tam osób stojących pomiędzy nimi, mimo głów poruszających się w rozmowie i pochylonych pleców otaczających ją mężczyzn - ich oczy spotkały się. Uśmiechnęła się, wyrażnie do niego, a on odpowiedział uśmiechem i zrobił zabawnie rozpaczliwą minę, wskazując gestem na ciasny krąg wielbicieli. Zawahała się, powiedziała coś tym, którzy stali najbliżej, i odeszła w kierunku Lockharta. On ruszył jej naprzeciw. Spotkali się na środku mesy pod lampą, której jaskrawe światło załśniło na ciemnych włosach Julie, ale nie mogło jej odebrać ani atomu piękności. Jej nagła bliskość ugodziła go niby sztyletem w serce, lecz sztylet topniał i przemieniał się w tkliwe, rozkoszne ciepło. Uśmiech błąkał się jeszcze w kącikach jej ust i świecił w oczach, gdy na niego spojrzała.

- Jako moja oficjalna eskorta, zaniedbuje pan trochę swoje obowiązki.

Zaśmiał się, zadowolony z określenia „eskorta”.

- Przy takiej konkurencji...

- A poza tym był pan bardzo zajęty, jak przystało na dobrego zastępcę. - Rzuciła okiem na zegarek. - Obawiam się, że trzeba mi już iść. Musimy być z powrotem na dziesiątą.

- Ale... przecież ja wcale z panią nie rozmawiałem...

Uśmiechnęła się znowu, tym razem bardziej otwarcie patrząc mu w oczy. Po chwili rzekła, troszeczkę zawstydzona swą bezpośredniością:

- Nie uwierzy pan, ile osób usłyszało już dzisiaj, że pan odprowadzi mnie do domu.

Ciemność. Bardzo powolne kroki snują się wzdłuż opustoszałych ulic, tulą się do czarnego chodnika, jakby przez to mogły rozminąć się z czasem.

- Bardzo przyjemny macie zespół officerski na *Saltash* - odezwała się nagle. - Podobał mi się Allingham i doktor także. A podchorąży jest po prostu rozkoszny.

- Czasem czuję się przy nim tak, jakbym miał dziewięć krzyżyków na karku. Ale właściwie dobrze jest mieć kogoś naprawdę młodego i wesołego w pobliżu.

- Tak, bo to jest zaraźliwe... Pan musi bardzo lubić Ericsona.

- Wiem tylko, że chcę z nim przeżyć wojnę do końca, i z nikim innym. Takie to jest mocne.

Jasna plama jej twarzy zwróciła się ku niemu i dojrzał uśmiech.

- On powiedział o panu prawie dokładnie to samo.

- Kastor i Polluks. Czy to nie brzmi zabawnie?

- Zazdroszczę... - Usłyszał jej śmiech. - To nie znaczy, że jestem zazdrosna. Myślę, że kobiety rzadko znajdują taką przyjaźń, a jeśli nawet ją znajdują, to niewiele jest spraw pierwszorzędnego znaczenia, na których mogłyby wypróbować tę przyjaźń. Takich spraw, jak na przykład dowodzenie okrętem albo walka z nieprzyjacielem.

- To jedyny osobisty stosunek dopuszczalny w okresie wojny.

- No i małżeństwo, oczywiście?

Potrząsnął głową.

- Nie. To już sprowadza z kursu i rozprasza. Dziś rozmawiałem z waszą wrenką, nazywa się Joan, ale jak dalej, to nie wiem.

- Joan Warrender. Tak, ona właśnie wychodzi za mąż.

- Za oficera marynarki, ściślej - za dowódcę niszczyciela, jeżeli się nie mylę.

- No więc? - W głosie jej brzmiała nutka zaciekawienia.

- Jak to można pogodzić... ożenek i dowodzenie niszczycielem na wojnie?

Zamilkli i przeszli przez jezdnię na drugą stronę, znów roztopiając się w cieniu padającym od domów.

- Jest pan trochę purytaninem? - zauważyła na pół pytająco.

- Jeśli o te sprawy chodzi, to tak. Wojna wymaga całkowitego oddania. Cokolwiek stoi poza nią, przeszkadza wojnie. Człowiek musi się skupić wyłącznie na jednym, nie może się rozpraszać, musi być silny i nieczuły - a to wszystko nie idzie w parze z małżeństwem. W przeciwnym razie nic z tego nie wyjdzie, wojna odrzuci takiego człowieka jak chwast. Może nawet surowiej postąpić, może odebrać mu życie, jeśli nie zechce jej służyć tak, jak trzeba.

- Jak pan do tego doszedł? - zapytała po chwili. - Nie jest pan przecież zawodowcem, nie musi pan wybierać męczeństwa... Co pan robił przed wojną?

- Dziennikarstwo... Tak to jakoś wyrosło we mnie z czasem. Może to jest prawdziwe wyłącznie dla mnie. Chociaż, wie pani, na moim dawnym okręcie był ktoś, kto zjadał się po prostu przez złe małżeństwo, a mnie się wydaje, że dobre małżeństwo może zupełnie tak samo podkopać siłę mężczyzny. To jest zbyt niebezpieczne, za dużo trzeba dać w zakład. Lepiej żyć w pojedynkę i odpowiadać za siebie. W każdym razie trzeba zdobyć

bezwzględnie poziom zawodowca. Nie da się, zwyczajnie - nie da się przebrnąć przez to wszystko na połowie obrotów.

- Jaki pan szczupły... - rzekła nagle bez żadnego związku z tematem.

- To wina *Compass Rose*. A poza tym kłopoty i od długiego czasu mniej snu niż normalnie. - Nie miał jednak ochoty rozwodzić się nad tym. Wolał pójść dalej za jej myślą. - A pani nie jest szczupła.

Uśmiechnęła się i odpowiedziała po chwili:

- Mógłby pan jakoś to skomentować.

- Chciałem powiedzieć, że nie wygląda pani na zmęczoną ani przepracowaną, mimo tak ciężkiej pracy. A co pani robiła przed wojną?

- Byłam w redakcji „Vogue”²⁹.

- Oo! - Obrzucił wzrokiem jej postać w surowym, niekobiecym mundurze. Zaśmieli się, otuleni wspólnym, przyjaznym płaszczem nocy. - A teraz jest pani drugim oficerem - odezwał się nagle - i wygląda pani tak... no, właśnie tak! Ma pani w sobie wszystkie możliwości.

Nie wiedział, jak przyjmie jego słowa, czy nie będzie speszona lub urażona. Niepotrzebnie się martwił.

- To połączenie nie jest specjalnie szczęśliwe. - Znowu uderzyło go niskie, klarowne brzmienie i piękno jej głosu w otaczającej ciemności. Zwolnili jeszcze kroku, chętnie przystosowując się jedno do drugiego. Lockhart wsłuchiwał się w rytm kroków i w jej słowa.

- Widzi pan - mówiła - mam tę twarz i mam coś niecoś w głowie, i mówić też potrafię, ale broń Boże występować z tym

²⁹ Vogue - wydawnictwo poświęcono modzie kobiecej i cieszące się europejską sławą (przyp. tłum.).

wszystkim naraz. Kobiety boją się takiego połączenia, mężczyźni go nie potrzebują, a nawet nie wiedzą, co z tym począć.

- Oj, chyba wiedzą. Proszę sobie przypomnieć ten rój wielbicieli na dzisiejszym przyjęciu.

- Ale czego chcą ci wszyscy wielbiele? Mnie jako kobiety, i tylko tego. Oni naprawdę nie lubią takiej kombinacji, wolą, jeśli te wszystkie rzeczy nie są skupione w jednej osobie.

- A jednak lubią z panią rozmawiać.

- Tak, a przez cały czas myślą: „Gadaj sobie, gadaj, ślicznotko - czy nie wiesz, że usta są do całowania?” No przecież tak jest, prawda?

Roześmiał się.

- Może i prawda. Ale pani nie chciałaby być inna, niż jest.

Szybko podniosła głowę, rzucając tym ruchem wyzwanie i jemu, i ciemnej nocy.

- Ja nie... I nie będę nawet udawać, że jestem inna. Nie będę udawać brzydkiej dziewczyny z rozumem, żeby dogodzić kobietom, ani ładnego głuptaska, żeby przypodobać się wam, mężczyznom.

- Proszę wyłączyć mnie z tego towarzystwa. Mam słabość do harmonijnej doskonałości.

Zatrzymała się przed wysokim, ponurym domem.

- Tu mieszkam.

Nie wiedział, jak ma się z nią pożegnać. Przyszło mu na myśl jej powiedzenie o „ustach do całowania”, ale ta chwila nie była jeszcze chwilą właściwą. Powiedział więc:

- Spacer wynagrodził przyjęcie. Dziękuję pani.

Przyćmione światło latarni padało na jej twarz, poważną teraz i tak prześliczną równocześnie, że wprost chwytала za serce. Wdzięczny owal tej twarzy trzymał go w zachwyceniu, które rad

był przedłużyć w nieskończoność. Jej bliskość przenikała go na wskroś. Ale trzeba się było pożegnać. Noc, która przedtem obejmowała ich wspólnym uściskiem, musi ich teraz rozdzielić.

- Dobry pomysł, ten spacer - powiedziała. - Ale... to był mój pomysł. Czy pan sam byłby mi zaproponował?

Potrząsnął głową.

- Dlaczego nie? Całkowite oddanie się wojnie?

Znowu potrząsnął głową.

- Myślałem, że pani powie mi: nie.

- Następnym razem... - Urwała w połowie zdania.

Zaległo długie milczenie. Patrzyli sobie w oczy - ona pełna wahania i zmieszania, on jakby błędził myślami daleko. Wreszcie on pierwszy przerwał milczenie:

- Właśnie myślałem, że stracę panią z oczu na jakiś czas. Ale postaram się, żeby następny raz był jak najwcześniej i wtedy na pewno ja coś zaproponuję.

- Będę bardzo rozczerowana, jeśli pan tego nie robi - odparła odzyskując zwykłą powagę i spokój. - Nawet purytanin nie zdobywa doskonałości przez siedem dni w tygodniu.

- Więc dobrze, następnym razem kolej na mnie. Dobranoc pani.

Skinęła głową i szybko wbiegła na schody, znikając za zasłoną u wejścia. Lockhart zapatrzył się w puste miejsce, na którym stała przed chwilą. Potem odwrócił się i powoli wracał tą samą drogą. Samotne kroki stukały o chodnik głuchym, powtarzającym się bez końca dźwiękiem, ale Lockhart-mężczyzna nigdy w swym życiu nie czuł się mniej samotny.

4.

Wiceadmiral sir Vincent Murray-Forbes, K.C.B., D.S.O., zjawiał się na nabrzeżu w Ardnacraish natychmiast po otrzymaniu sygnału, że *Saltash* już przybyła do portu. Odbił na swojej motorówce, zanim fregata zdążyła zacumować do beczki. *Saltash* była pięćset dwudziestym pierwszym okrętem, który miał przejść przez jego ręce, a witał ją tak samo, jak poprzednie pięćset dwadzieścia okrętów. Jeżeli ogrom pracy zawarty w tej liczbie przysięgał swym ciężarem admirałskie barki, to na pewno nie było tego widać ani na jego twarzy, bystrej i uważnej jak zawsze, ani w sposobie wspinania się po trapie, tak samo energicznym jak kiedykolwiek przedtem. Wspaniały w obfitości złotych galonów, odpowiedział salutem na gwizdki i na saluty Ericsona i jego oficerów, ustawionych w pełnym szacunku półkolu na pokładzie rufowym. Potem postąpił dwa kroki w przód, rozejrzał się dokoła i zwracając się znów do Ericsona, oświadczył:

- Jest większa, niż myślałem.

Ericson zorientował się szybko i spytał z zaciekawieniem:

- Nasza fregata przychodzi pierwsza do Ardnacraish, panie admirale?

- Tak, pierwsza. A w trzydziestym dziewiątym pańska korweta też była pierwsza. To dziwne. Kawał czasu upłynął. Proszę przedstawić mi pańskich oficerów.

Admiral szybko obszedł półkole. Do Lockharta powiedział:

- Ostatnim razem witał mnie pan bez czapki.

A do Vincenta:

- Pan był na *Trefoil*.

Każdego z pozostałych obdarzył skinieniem głowy i bystrym spojrzeniem spod nawisłych, krzaczastych brwi. Następnie sprężystym krokiem przeszedł dokoła okrętu, zszedł razem z

Ericsonem do jego kabiny, usiadł i przyjął z rąk komandora szklaneczkę sherry.

- Niezła klasa okrętów te fregaty - podsumował swoje wrażenia.
- Na Atlantyku trzeba nam większych i mocniejszych jednostek, chociaż korwety dobrze się spisały, bardzo dobrze. - Spojrzał na Ericsona: - Stracił pan *Compass Rose*.

- Tak, panie admirale.

- Długo się ciągnie ta wojna - rzekł admirał z takim wyrazem twarzy, jakby był gotów w razie konieczności zacząć to wszystko jeszcze raz od początku. - Diabelnie długo. Ale Niemcy już wiedzą, jako żywo, już wiedzą. Albo zaczną wiać bardzo niedługo. To już początek końca. - Nagle odmienił ton. - Spędzi pan tutaj trzy tygodnie, Ericson. Nie potrzebuję panu mówić ani o kursie, ani o tym, czego od pana oczekuję. Wie pan dobrze, jakiego poziomu wymagam. - Wyrzwał na zewnątrz przez iluminator. - Oczywiście, będzie wam tutaj trochę nudno. Mamy już kino na lądzie i trochę lepszą kantinę, ale na tym chyba koniec.

Ericson zaryzykował z uśmiechem:

- Jeśli dobrze pamiętam, panie admirale, to i tak nie będzie zbyt wiele wolnego czasu.

- Ja także myślę, że nie będzie. Co pan chce, to jest jednak dopiero środek wojny... Jak się sprawuje ten pański zastępca? Lepszy od poprzedniego?

- Jest doskonały, panie admirale. Szmat czasu byliśmy razem.

- Nadzwyczajne, do czego doszły te chłopaki z rezerwy ochotniczej. Z początku byłbym w to nie uwierzył. - Wychylił do dna szklaneczkę, odmówił drugiej i wstał z fotela. - Na mnie już czas. Któregoś wieczoru musi pan do mnie przyjść na kolację. Chcę usłyszeć o tym okręcie podwodnym.

„Jak on to robi?” - dziwił się Ericson wyprowadzając admirała na górny pokład. - „Czy to taka niewiarygodna pamięć, czy po prostu porządna ewidencja?”

Oddział marynarzy z gwizdkami, ustawiony przy trapie pod wodzą bosmana, poderwał się na baczność.

- Was już kiedyś widziałem - rzekł admirał patrząc raczej na jasną bródkę niż na jej właściciela.

- Barnard, panie admirale - wyrecytował bosman z silnym zachodnim akcentem. - Sternik na *Tangerine*, kiedy mój okręt był tutaj.

Admirał kiwnął głową z zadowoleniem.

- Wtedy nie miał tej brody - zwrócił się do Ericsona - ale przed moim okiem broda nie ukryje człowieka. Poznałem go od razu.

Gwizdki zabrzmiały przeraźliwie, admirał zasalutował i jednym zręcznym ruchem przerzucił się przez burtę. Z głową na poziomie relingu, jeszcze przypomniawszy szorstko:

- Początek ćwiczeń na morzu jutro o wpół do szóstej.

Po czym znikł zstępując po trapie, a w chwilę później gładka, błyszcząca motorówka wystrzeliła spod burty fregaty i popędziła w kierunku nabrzeża. W drodze nadała ręczną lampą sygnał do *Saltash*, „Wszystkie działa powinny być na zero”. Lockhart odwrócił się prędko i zobaczył, że lufa działa „X” ma niestety około dziesięciu stopni odchylenia od właściwego kierunku. Ciężkim krokiem powędrował na rufę, wołając po drodze Allinghama.

Trzy tygodnie - zapowiedział admirał. I trwało to trzy tygodnie, a każda godzina się liczyła. Tym razem czas mijał im szybciej. Oprócz jednego Holta wszyscy mniej się uczyli na nowo, a więcej

ćwiczyli i doskonalili swe umiejętności. Odświeżali sobie zarysy znanych obowiązków, lecz zakreślonych teraz na większą i szerszą skalę niż przedtem. *Saltash* szła z większą szybkością i miała więcej dział, wykrywała okręty podwodne z większej odległości i mogła wyrzucać więcej bomb głębinowych. Tak więc stąpali po nowym, nieznanym gruncie tylko gdy chodziło o skalę, nie zaś o samą istotę walki przeciw okrętom podwodnym. Mieli to samo zadanie do spełnienia, co w ciągu trzech lat ostatnich. Rozporządzali lepszą bronią do tego celu, ale sam cel i drogi prowadzące do niego nie uległy zmianie. Musieli się pogodzić z A i mieć się na baczności przed B, lecz A i B to były zawsze te same, stare *dramatis personae* - pogoda i nieprzyjaciel - oczekujący w cieniu kulis na kolejny akt sztuki, najdłuższej w świecie.

Mijały dni. Okręt otrząsnął się i zabrał do roboty. Ludzie nabierali zręczności i ruchu, a czas niezbędny do wykonania tej czy innej czynności - do odpalenia dział, wyrzucenia bomb głębinowych, nadania sygnału, spuszczenia łodzi ratunkowej czy też uruchomienia węża pożarowego - stopniowo malał, odrzucając jedną po drugiej zbędne sekundy. *Saltash* zaczynała się zbliżać do swego wyobrażenia w umyśle admirała, a także Ericsona. Ericson pragnął w niej widzieć większą i lepszą *Compass Rose*. Zapewne, gdyby się głębiej zastanowił i sięgnął do wspomnień, nie mógłby uznać takiego celu dążeń za zbyt fortunny, ale chodziło mu przecież tylko o to, że dostawali do rąk nowy okręt i większą załogę. I on, i Lockhart z jednakowym smutkiem myśleli o przeszłości i tak samo odwrócili się do niej plecami. Ułatwił im to okręt, przychodzący tak w porę, i przyszłość - wymagająca, mozolna - do której musieli się przecież przygotować.

Na tak dużym okręcie obaj oddalili się bardzo od załogi w porównaniu ze stanem na *Compass Ross*. Dzień roboczy nie oznaczał już dla nich bezpośrednich kontaktów z poszczególnymi

ludźmi, lecz polegał po prostu na operowaniu liczbami: dwudziestu marynarzy do takiego to a takiego zadania na dziobie, szesnastu ludzi z maszyny do ćwiczeń w braniu ropy na morzu. Ważne było jedynie to, by w dowolnym momencie móc rozporządzać dostateczną ilością ludzi, dobranych z imienia i z nazwiska przez podoficera, który znał dobrze możliwości każdego z nich. Załoga *Saltash* była niemal dwukrotnie liczniejsza niż na *Compass Rose*, a czasem wydawało się także, że jest dwa razy dalsza i bardziej bezimienna. Nie było tu nikogo takiego jak Gregg, starszy marynarz, co miał niewierną żonę, nie było tu żadnego Wainwrighta, który tak czule chodził koło wyrzutni bomb, nie było nikogo podobnego do Wellsa, starszego sygnalisty, który dbał niby ojciec o swoich podwładnych. A jeśli byli tego rodzaju ludzie na fregacie, to jakoś nie nasuwali się na oczy, ukrywali się stale pod maską nazwisk na rozkładzie wacht albo na liście płacy, nie byli odrębnymi charakterami, których słabostki trzeba zapamiętać. Czy tak było lepiej, czy gorzej? Co dzień przy porannym apelu Lockhart spoglądał na ustawionych w dwuszeregu osiemdziesięciu ludzi, których zaledwie znał z widzenia. Na ładzie na pewno by ich nie poznał. Czasem żałował niepowrotnej przeszłości i tego uczucia, jakie miał zawsze na *Compass Rose*, że apel to nie żadna parada, tylko taki sobie rodzinny obrządek. Możliwe jednak, że ze względu na sprawność okrętu tak właśnie było lepiej. Wiadomo, że sprawność to rzecz trzeźwa i zimnokrwista.

Chcę mieć na wodzie łódź i nic poza tym - przekonywał sam siebie przy jakiejś okazji, kiedy nie mógł nie zauważyć dwóch marynarzy rzygających za burtę po dniu spędzonym na ładzie. - Potrzeba mi do tego dwunastu ludzi. Nie chcę zawracać sobie głowy tym, że któryś z nich ma dzisiaj kaca albo że żona któregoś zamierza jutro родić, albo że ten czy ów siedzi po uszy w długach czy w rozpaczach. Chcę tylko, żeby spuścili łódź na wodę.

Dwunastu ludzi - to jest wszystko, czego mi trzeba. Potrzebuję ich ciał...

Właśnie Lockhart musiał najwięcej operować liczbami zamiast ludźmi, i mocno odczuwał tę zmianę. Doznawał nawet z tego powodu uczucia winy, jak człowiek zmuszony przez okoliczności do zastąpienia dwunastu dobrych robotników dwunastu robotami. Rzecz jasna, że sens tego wszystkiego tkwi w większej ilości pracy, którą mogą wykonać roboty, ale to nie może zagoić rany zadanej ludzkości. Taka jest jednak droga, po której kroczy wojna. Człowiek musi usunąć się w cień albo zanurzyć pod powierzchnię i tylko para nieczułych rąk musi wysunąć się naprzód. Najwyższym celem jest obecnie nieustająca w wysiłku machina wojny. Ludzie to części tej maszyny i muszą nimi pozostać, dopóki nie wypełnią swej funkcji albo nie ulegną zużyciu. Jeśli w procesie pracy maszyny zużyją się rzeczywiście, to tym gorzej dla ludzi, lecz nie dla wojny, bo ona zdążyła z nich wycisnąć wszystko, co mieli do oddania, wszystko do ostatka. Okrutna walka, jeśli miała osiągnąć swój cel, musiała żądać od wielu milionów ludzi, aby ofiarowali się całkowicie, w stu procentach. Śmierć także zawierała się w tym żądaniu, a dalej na tejże liście - przekreślenie wszystkiego, co ludzkie, najistotniejszy składnik okrutnej ceny.

Właśnie siedzieli przy kolacji, gdy nadszedł sygnał o wyjściu na morze, kładąc kres ich szkoleniu. Przedtem dostali kopię raportu admirała - był zadowolony, nie więcej i nie mniej, i zezwalał na wyjście *Saltash*. Sygnał wprowadzał w czyn tę ocenę w sposób zwięzły i zupełnie rzeczowy: „H.M.S. *Saltash* ma wyjść do Greenock dnia 15 kwietnia godzina szósta zero-zero. Wejdzie w skład Sił Eskortowych Clyde”.

- Do diabła! - syknął Vincent odczytując ten sygnał. - A tak chciałem pozostać w Liverpoolu.

- Dla mnie może być Clyde - oświadczył Johnson.

- A mnie jest wszystko jedno - odezwał się Holt. - Aby tylko obejrzeć świat.

- Trzeba przyznać - zauważył Scott-Brown ze zwykłą flegmą - że mogą być jeszcze gorsze miejsca niż Glasgow na wiosnę.

- Nie wiadomo, czy będziemy tak często oglądać Glasgow - rzekł Lockhart tonem zupełnie obojętnym.

Sprytne, domyślne oczy podchorążego wwierały się w niego uparcie, ale unikał ich spojrzenia... „Julie” - myślał radośnie. - „Więc to jednak nie było pożegnanie.” Głośno dokończył: - Ale to miasto może być niezłe jako zaplecze.

Tak więc po raz drugi wyruszali na wojnę.

W tym czasie, w połowie roku 1943, wojna znajdowała się w stadium trudnym, lecz zarazem nabrzmiewającym radosną nadzieją. Na Atlantyku od początku roku konwoje oraz strzegące ich okręty nie wygrywały wprawdzie, lecz już nie przegrywały. Nadeszła chwila równowagi. Eskortowce wyrównywały długi rachunek, zapisany dotychczas na korzyść okrętów podwodnych, osiągając kosztem szalonego wysiłku niemal że takie same liczby zatopień. Było ich wciąż zbyt mało. Czasem siedemset statków handlowych znajdowało się równocześnie na morzu, a tylko sto eskortowców. Nieprzyjacielskie okręty podwodne miały naprawdę w czym wybierać. Mimo iż tak rzadko rozsiane, okręty eskortowe były bronią skuteczną i groźną, a nieprzyjaciel czyhający pod wodą, chociaż robił, co mógł, już nie potrafił uderzyć śmiertelnie, nie potrafił zachować krwawej przewagi, zdobytej w ciągu poprzednich lat.

Rzecz jasna, że eskortowce walczyły rozpaczliwie i próbowały najrozmaitszych sposobów. Napaści wilczego stada stały się bardziej zaciekle niż kiedykolwiek przedtem i od czasu do czasu wróg odnosił niespodziewane zwycięstwo. Taką brutalną niespodzianką było na przykład zatopienie siedmiu spośród dziewięciu zbiornikowców idących w konwoju, w bitwie na południowym Atlantyku, która trwała dwie noce. Nieprzyjaciel mógł stale utrzymywać na morzu więcej niż sto okrętów podwodnych, a poszczególne zespoły, zbiegające się na dowolnym obszarze, liczyły zawsze koło dwudziestu jednostek. W pierwszych miesiącach roku liczby storpedowanych statków alianckich znowu zaczęły rosnać i w marcu nastąpił punkt szczytowy - zatopiono sto osiem statków. Wiele ofiar zapisały na swoim koncie akustyczne torpedy, naprowadzane automatycznie na cel szumem śruby okrętowej. Ale potem groźna, niszcząca fala zaczęła zmieniać kierunek: w marcu alianci zatopili piętnaście okrętów podwodnych, w kwietniu szesnaście, a w maju olbrzymie żniwo - czterdzieści pięć okrętów. Taki stan rzeczy najoczywściej skłonił naczelne dowództwo niemieckie do zastanowienia. Okręty podwodne zaczęły się teraz wycofywać z północnoatlantyckich szlaków konwojowych i rozpraszały się po innych, mniej niebezpiecznych obszarach. Nareszcie, nareszcie słabła siła ataku.

Słabła, bo tempo było zbyt gorące. Eskortowce, podobnie jak okręty podwodne, nieustannie przybywały na pole walki i w końcu w pełni osiągnęły to, czego miały dokonać. Dzięki nowej technice pobierania ropy na morzu, mogły teraz przemierzać cały Atlantyk, od końca do końca. Nie brakowało już statków zaopatrujących dość liczne grupy eskortowe, nie związane z określonym konwojem, lecz spieszące z pomocą najbardziej zagrożonym. A przede wszystkim okręty eskortowe zdobyły umiejętność odnajdywania, ścigania i zabijania wroga z

niezawodnością, która pozostawiała bardzo niewielką szansę niepowodzenia.

Wojna polegała już tylko na umiejętności. Przypadek nie mógł decydować o niczym. Minęły bezpowrotnie czasy prowizorycznej łataniny, gdy nie wyszkolone i nie dozbrojone okręty eskortowe wychodziły na morze z wiązką bomb głębinowych i dwoma działkami Lewisa, ufając, że jakoś to będzie, i pakowały się prosto do szlachtuza. Nauka królowała obecnie na Atlantyku - nauka i sprawni ludzie, którzy umieli z niej korzystać. Radar i asdic osiągnęły niewiarygodną dokładność. System przejmowania sygnałów radiowych, nadawanych przez okręty podwodne, pozwalał uprzedzać konwoje o grożącym ataku zadziwiająco szybko, niemal zanim wróg zdążył ten atak zaplanować. Wielu konwojom towarzyszyły lotniskowce, zapewniając na całej długości szlaku osłonę z powietrza, której brak na środkowym, ponurym obszarze oceanu tak długo czynił go miejscem zagłady.

Przeciwataki na okręty podwodne osiągnęły wysoki stopień sprawności i zgrania. Dzięki szkoleniu w czasie postojów w porcie i ćwiczeniom, w których uczestniczyły wspólnie zespoły marynarzy ze wszystkich okrętów grupy, eskortowiec wiedział w każdym wypadku, co ma robić, a także wiedział dokładnie, co zrobią w tej samej chwili wszystkie pozostałe okręty. Nie było żadnej improwizacji, żadnego „Jakoś to będzie”, które kosztowało poprzednio tyle statków i ludzi. Teraz wszystko szło gładko, jak dobrze wyuczona powtórka dzieła zniszczenia. Okręty wychodzące na morze, by spełnić to dzieło, miały za sobą wsparcie silnych baz marynarki wojennej na lądzie, których świetnej organizacji zawdzięczały swe dobre wyposażenie i wyszkolenie, swoje przygotowanie do każdej próby.

Wyruszały w pełnej zbroi na bój, w którym straty statków handlowych nie były już nieuniknione, a całkowite niepowodzenie ataku lub nawet zatopienie okrętu podwodnego przestało być

czymś niezwykłym. Szala zaczęła się nareszcie przechylać na stronę eskortowców, i trudno było o lepszy moment powrotu na pole walki.

Ericson wyznaczył ostatnią odprawę na *Saltash* o godzinie dziesiątej w dniu wyjścia z portu. Chciał dać siedmiu dowódcom okrętów wchodzących w skład grupy eskortowej ostateczne wskazówki w sprawie rozkazów wyjścia i organizacji eskorty konwoju. Wszystkie okręty grupy - pięć korwet i trzy fregaty - kotwiczyły na redzie Tail-of-the-Bank. Kołysały się na skróconych łańcuchach w rytm rażnej fali przyływu i cieszyły się rześkim, pogodnym rankiem kwietniowym, który niósł im zapowiedź znacznie zwawszego rytmu, niech tylko spróbują się wysunąć poza spokojną Clyde. Trzy fregaty - *Saltash* i jeszcze dwie, które świeżo zeszły z pochylni i później dogoniły ją w Ardnacraish - były zupełnie nowe. Za to wszystkie korwety należały do starej gwardii i podobnie jak większość korwet w tym czasie wyglądały na wysłużonych wiarusów. Była w nich jakaś nie dbająca o pozory rzeczowość i niezawodność pokryta patyną rdzy i soli, której nie można było podrobić. Za piętnaście dziesiąta od wszystkich okrętów po kolei odbiły motorówki, wioząc każda, oprócz sternika i marynarza na dziobie, samotną postać na rufie. Lockhart czekał u trapu, by powitać dowódców przepisowymi gwizdkami, i patrzył, jak motorówki zbiegają się ku *Saltash* niby kury spieszące ze wszystkich stron na widok opiekunki wynoszącej im strawę.

Motorówki musiały lawirować wśród tłoku zakotwiczonych okrętów. Lockhart mógłby naliczyć ponad czterdzieści eskortowców - niszczyciele, kanonierki, fregaty, korwety i trałowce. Pancernik, krążownik oraz dwa małe eskortowce tworzyły pierścień zewnętrzny, dając świadectwo potęgze i bogactwu morskiego oręża. A dalej, w dole rzeki, ogromne

zbiorowisko statków handlowych na miejscu kotwiczenia konwojów dopełniało obrazu skoncentrowanej siły morskiej.

Widok ten mógł napawać otuchą, obiecywał nareszcie już niedalekie zwycięstwo. Lecz równocześnie budził nieodparte wspomnienie minionego ubóstwa.

- Żeby to mieć choć trochę tych okrętów parę lat temu! - westchnął Lockhart wskazując je Raikesowi, który jako oficer służbowy czekał z nim razem na pokładzie. - Można by sobie oszczędzić niejednej ciężkiej nocy.

- Wszystko się wtedy partaczyło. Aby do wiosny! - odparł Raikes z cierpkim cynizmem. - Gdybyśmy nawet mieli te okręty, to na pewno coś by z nimi było nie tak: nie chciałyby na przykład pływać na słonej wodzie albo coś podobnego. Lepiej przeczekać, aż natura sama się na coś zdecyduje.

- Teraz nie partaczymy - rzekł Lockhart chłodno, dając wyraz swym zdecydowanym poglądom. - A wtedy, w gruncie rzeczy, także nie było partactwa. Po prostu brakowało bazy technicznej do szybkiej produkcji eskortowców, i to wszystko.

- Właśnie na tym polegało partactwo - obstawał przy swoim Raikes, choć nie był zupełnie pewien, czy powinien się o to spierać. Wiedział, że Lockhart zajmuje określone stanowisko w tych sprawach, on sam zaś szermował tylko mgliście lekceważącym stosunkiem cywila do sposobu prowadzenia tej wojny, stosunkiem, któremu od czasu do czasu dawał wyraz w następujących słowach: „Gdyby ta cała historia była prowadzona według zasad konkurencji handlowej, to Royal Navy nie przeżyłaby nawet dwóch tygodni”.

- Nie było tych okrętów - brnął dalej - bo Niemcy nas zaskoczyli, kiedy byliśmy, z przeproszeniem, bez portek.

- Musi być pewna różnica - rzekł Lockhart - między tym, kto wojnę uważa za rzecz dobrą, a tym, kto widzi w niej rzecz

okropną. Zwlekaliśmy jak się dało najdłużej z przygotowaniem do wojny, bośmy ją uważali za zło absolutne i sądziliśmy, że w jakiś sposób można jej będzie uniknąć. Dopiero teraz nadrabiamy i doganiamy tamtych.

- Motorówka już podchodzi do burty, panie kapitanie - oznajmił bosman, znudzony przymusowym słuchaniem rozmowy obu oficerów. Przyjął i potwierdził kodowy sygnał nadany przez sternika zbliżającej się motorówki. - Dowódca *Harmer*, panie kapitanie.

- Uwaga na gwizdku! - rozkazał Lockhart.

Harmer była według starszeństwa drugą fregatą po *Saltash*, a jej dowódca znany był jako zwolennik najbardziej wyszukanej etykiety w stosunkach służbowych. Lockhart już dostrzegł, że i teraz spogląda nieznacznie w górę, by się upewnić, czy będzie należycie uhonorowany gwizdkami. Ostatniego dnia wojny może im przyjść ochota wygwizdać go bez gwizdków, lecz za to z towarzyszeniem piosenki: „Będę rad, serdecznie rad, jak się wyniesiesz na tamten świat, ty draniu, ty...” Nagle zdał sobie sprawę, że jego myśli biegną tym samym cynicznym torem co myśli Raikesa, który jest przecież zakamieniałym cywilem.

To spostrzeżenie ubodło go, więc tym ostrzej poderwał się na baczność, salutując dowódcę *Harmer*, który zaczął się wspinać po trapie. Tamten miał oczywiście słabość do różnych ceremonii związanych z dowództwem, słabość zatrącającą nawet o fetyszym, ale pomimo to dobrze dowodził okrętem. W czasie wojny fakt ten rozgrzeszał wszystko - poczynając od przykrego usposobienia, a kończąc na sodomii.

Podobna myśl przyszła Ericsonowi do głowy, kiedy zasiadł w mesie oficerskiej przy stole i przyglądał się zgromadzonym dowódcom. Takich ludzi było mu właśnie trzeba. Wiedział z wszelką pewnością, że dwaj spośród nich pili o wiele za dużo, a

jeden był bardzo twardy dla swoich oficerów. Ale potrafili osiągać dobre rezultaty, pod ich ręką okręty „grały”. Było ich razem siedmiu - od dowódcy fregaty *Harmer*, starego kapitana, któremu bliżej już było do sześciu niż do pięciu krzyżyków, aż do młodego oficera z dwoma paskami i z różową, dziecinną twarzą, który dowodził korwetą *Petal*. Pomimo wielkiej różnorodności wieku, wyglądu, mowy i wychowania wszyscy promieniowali tym samym wyrazem odpowiedzialności i świadomości swych zadań. Twarze ich - przeorane bruzdami, zbyt ostro rzeźbione twarze ludzi, którzy często czuli się wyczerpani w przeszłości i którym przyszłość nie oszczędzi tego uczucia - wszystkie te twarze w mniejszym lub większym stopniu znaczone były twardym piętnem dowództwa w okresie wojny.

„Może i ja tak wyglądam?” - pomyślał Ericson. Istotnie, wystarczyło przypomnieć sobie twarz, którą co rano oglądał w lusterku do golenia, by mieć zupełną pewność, że tak właśnie było. Ostre bruzdy wyżyłobił ciężki wysiłek, wyraz nieustannego i nie zawsze potrzebnego napięcia miał swe usprawiedliwienie. Ericson wraz z tymi ludźmi siedzącymi z nim razem przy stole stanowili garstkę przywódców w ich własnej wojnie, którą każdy z nich, chcąc nie chcąc, poznał w najdrobniejszych szczegółach. Związali się z jednym wojennym szlakiem, tak jak żołnierze ósmej armii, którzy od lat spali pod tymi samymi gwiazdami na pustyni, przywiązywali się do wiernych, zawsze tych samych towarzyszy i po dwa, trzy, a nawet cztery razy walczyli na tym samym kawałku jałowego wybrzeża, wydzieranym sobie nawzajem przez przeciwników. Podobnie jak ci bojownicy pustyni, ludzie na Atlantyku zdobyli niezwykłą znajomość rzeczy i zadziwiającą fachowość. Nie oglądali się na inne teatry wojny, zapatrzeni wyłącznie w swój własny. Nawet Morze Śródziemne, obszar, o który także szła walka, było zadaniem odmiennym od ich zadania. Spełniała je gromada innych marynarzy, którzy byli

im braćmi, ale nie mogli mieć wiele wspólnego z ich gromadą, skupioną wokół innego znaku. Ich znakiem był Atlantyk, a ich zadaniem - żmudne, nieefektywne przeprowadzanie z roku na rok statków handlowych, między Nowym a Starym Światem. Ten szczególny wycinek wojny nie był właściwie wojną, lecz raczej olbrzymią akcją ratowniczą. Ratowali statki handlowe przed atakami wroga, ratowali ludzi tonących w morzu, ratowali armię lądową, która wołała o broń, i lotnictwo, któremu trzeba było benzyny. Ratowali czterdziestomilionową załogę Wielkiej Brytanii, która musiała dostawać żywność i ubranie, aby wytrwać przy życiu twarzą w twarz z niedostępnym od lat, wrogiem wybrzeżem Europy.

Jeśli gazety nazwały szlak atlantycki „liną ratowniczą”, to tym razem gazety miały słuszość. Wśród ludzi, którzy czuwali nad tą liną prawie przez cztery lata, którzy patrzyli, jak nieprzyjaciel grozi jej zerwaniem, i radowali się widząc, że znów sprawnie zaczyna działać, byli, rzecz oczywista, również i ci, zgromadzeni teraz przy stole w mesie oficerskiej na *Saltash*. Ludzie pełni nadziei, a zarazem cyniczni, zmęczeni, ale nie wyczerpani do cna, gotowi na wszelkie niespodzianki i sami chowający niespodziankę w zanadrzu.

Na stole leżały przed każdym z nich narzędzia ich pracy: listy konwoju, rozkazy wyjścia, mapy, kody, listy radiowych sygnałów zawezwawczych, szkice eskorty, schematy poszukiwań, formularze zużycia paliwa. W tym zamkniętym kole fachowców były one równie znajome i powszednie, jak alfabet albo dźwięk dzwonu alarmowego na własnym okręcie. Od miesięcy, od lat były dekoracją wnętrza ich życia, fryzem obiegającym wokół mózgu. Ericson spojrzał na listę okrętów - ich nazwy brzmiały jak łopotanie sztandaru, którego drzewce on sam ścisnął w swych dłoniach: *Saltash*, *Harmer*, *Streamer*, *Vista*, *Rockery*, *Rose Arbour*, *Pergola* i *Petal*.

Czy naprawdę miał drzewce w swoich rękach? Czy mocno, pewnie je trzymał? Odczytując tę listę i zdając sobie sprawę, jaki ładunek pracy i zawodowej sprawności stanowi jej treść istotną, doznawał uczucia własnej niższości, podobnie jak na kursie taktycznym w Liverpoolu. W jego doświadczeniu bojowym była niezaprzeczona wyrwa, której uniknęli inni dowódcy tej grupy. Żaden z nich nie musiał tkwić na łodzi przez cztery miesiące i nie miał okazji zardzewieć, żaden (ale to już cichutko i tylko dla siebie!) nie stracił tak niedawno swojego okrętu i prawie całej załogi. Tego jednak nie wolno okazywać po sobie. Ericson odchrząknął i przystąpił do rzeczy.

- Wszyscy, panowie, macie przed sobą szkic eskorty. Widać, jak mają być rozstawione okręty, przynajmniej w pierwszym rejsie. Dwie fregaty pójną na czele konwoju, to znaczy moja i *Harmer*. Po dwie korwety na skrzydłach - *Vista* i *Pergola* na prawym, a *Rockery* i *Rose Arbour* na lewym. Trzecia fregata - *Streamer*, zajmie pozycję K, a ostatnia korweta - *Petal*, pójdzie na tyle konwoju.

- Taki mój los, zawsze na szarym końcu - odezwał się młody dowódca *Petal*, nie speszony bynajmniej towarzystwem starszych od siebie stopniem i wiekiem oficerów. - Może kiedyś jeszcze się dowiem, jak wygląda statek handlowy od dziobu.

- Zapytaj pan najlepiej *Rockery* - doradził mu dowódca *Harmer*, a wszyscy wybuchnęli śmiechem. Przed kilku tygodniami korweta *Rockery*, usiłując zachęcić do większej ruchliwości duży statek handlowy wlokący się w tyle konwoju, nadziała się tak zgrabnie na jego dziób, że kadłub jej przez kilka godzin sterczał symetrycznie i zawadiacko jak równo rozdzielony wąsik na twarzy mężczyzny. Właśnie wróciła z remontu po tym wypadku.

- To wcale nie była moja wina - obruszył się dowódca *Rockery*. Najwidoczniej od dawna i bardzo często musiał powtarzać to

zдание, lecz prawdopodobnie nie udało mu się nikogo przekonać.

- Tamten wlażł prosto na mnie i nie mogłem się wymknąć.

- Zupełnie jak dziewczynka na Piccadilly - zakpił dowódca *Petal*.

- No i rezultat taki sam - przygadał dowódca fregaty *Streamer*, ten, o którym Ericson wiedział, że jest twardy dla swoich oficerów. - Trzeba się było podleczyć w doku.

Znowu wszyscy się roześmieli, zelżał poważny nastrój, w jakim rozpoczęto odprawę. „Zaraz, zaraz” - powiedział do siebie Ericson. - „Wszystko to bardzo ładnie, ale nie o takie towarzyskie zebranko mi chodzi i wcale nie mam zamiaru na to pozwolić. Dostyc już pogaduszek, trzeba ująć w karby to bractwo.” Mocno zastukał w stół.

- Wystarczy plotek na dziś - rzekł bardzo chłodno. - Chciałbym jak najprędzej wszystko załatwić, bo na pewno macie, panowie, równie dużo roboty, każdy na swoim okręcie, jak ja na moim.

Nie zwracając uwagi na nagłe ochłodzenie się atmosfery i nie patrząc na nikogo z zebranych, ciągnął dalej:

- Tym razem mamy przejść przez cały Atlantyk, aż do Saint John's w Nowej Fundlandii. Będziemy brali ropę na morzu w normalny sposób, to znaczy - co rano będę otrzymywał od panów sygnał o stanie paliwa, a ja wyznaczę terminy pobierania i kolejność podchodzenia do zbiornikowca.

„Troszeczkę przesoliłem” - zreflektował się nagle. - „Ale sami są winni, bo po co gdaczą jak kumoszki na targu.” Uniósł wzrok i spotkał się ze spojrzeniem dowódcy *Harmer*, pełnym ostrej niechęci. Po chwili stary oficer zauważył:

- Dotychczas zawsze sami decydowaliśmy o braniu ropy.

Zaległa cisza. Wszyscy czekali, co powie dowódca grupy. Było zupełnie jasne, że nikomu nie podobała się ta pierwsza próba zaprowadzenia dyscypliny i bezpośredniego kierowania grupą, że

wszyscy byli gotowi, jeśli nie lekceważyć jego autorytet, to w każdym razie krytykować go i podminowywać wszelkimi sposobami. Nie były to z ich strony żadne dąsy ani złośliwość. Po prostu byli zupełnie pewni, że znają się na swej robocie równie dobrze jak Ericson, bo inaczej nie powierzono by im dowództwa. Dlatego nastawiali kolce jak jeź na każdą aluzję podającą w wątpliwość ten stan rzeczy.

„Dobrze” - postanowił Ericson błyskawicznie. - „Jeśli koniecznie chcecie, to będę z wami twardy. Grupą dowodzę ja i ktokolwiek popełni błąd, ja będę odpowiadał.” - Spokojnym, pewnym ruchem dotknął palcami trzech pasków złączających się szeroko na jego rękawie. Widział, że wszystkie spojrzenia biegną za jego gestem, tak przecież jednoznacznym i obraźliwie manifestacyjnym. Popatrzył prosto w oczy dowódcy *Harmer* i rzekł głosem jakby nie swoim, w którym drgała nie znana mu dotychczas nuta wyzwania:

- W takim razie będzie to jedna z rzeczy, które mam zamiar zmienić.

To oświadczenie, przyjęte bez szemrania, nadało ton dalszemu przebiegowi odprawy. Wprawdzie Ericson naprawdę nie zamierzał aż tak bezwzględnie akcentować swej władzy, lecz skoro to się stało, nie usiłował naprawić wrażenia. Zaczął szybko omawiać wszystko to, co było do omówienia: obowiązujące sygnały, sposób postępowania na wypadek ataku i dziesięć innych spraw, które trzeba było ustalić na początku każdego rejsu. Nikt nie miał żadnych uwag, przyjęto tylko do wiadomości jego polecenia. Zdawało się, że postanowili poczekać i powstrzymać się z sądem aż do tej chwili, gdy nowy system bezpośredniego dowództwa okaże, ile jest wart. Lecz jeśli chodzi o nastrój i humor, to nie zmieniły się one ani na jotę. Załatwiwszy sprawy służbowe, Ericson porzucił ton oficjalny i zwrócił się do wszystkich.

- Spotkamy się znów prawdopodobnie w jakimś podłym hotelu w Saint John's.

Nikt się nawet nie uśmiechnął, nikt nie dał do zrozumienia, że usłyszał te słowa. Najwyraźniej myśleli w cichości ducha: Jeśli chcesz postępować po drańsku, proszę bardzo, zobaczmy, co z tego wyjdzie.

Ericson został sam. Rozejrzał się po opustoszałej mesie i nagle zwątpił, czy dobrze przeprowadził odprawę. Zaczął się zastanawiać, dlaczego zachował się w ten sposób. Zmusił się jednak do odsunięcia tych myśli, wstał i zebrał papiery. Jedyne, czego on chce i czego wymaga sytuacja na morzu, to sprawna grupa eskortowa, zwarta i dobrze zorganizowana. A że dążąc do tego celu sam zarobi na niechęć, to nie ma najmniejszego znaczenia.

Wyszli na morze ostatniego dnia kwietnia. Strzępy chmur, rozrzucone po niebie, wkrótce złączyły się i zgęstniały zstępując niskim wałem ku zachodowi. Ten pierwszy rejs - ciężki, powolny i męczący, chociaż nie zakłócony żadnym nieprzyjacielskim atakiem - zapoczątkował jednostajny czteromiesięczny okres pływania wciąż po tym samym szlaku, do Saint John's w Nowej Fundlandii i z powrotem. W przeciwieństwie do większości okrętów swej grupy, Ericson i Lockhart nie znali tego szlaku. O każdej porze roku groziła tu mgła, a czasami - jeśli trasa wiodła daleko na północ - mogli napotkać lody. Hen, na zachodnim krańcu Atlantyku brzeg Nowej Fundlandii srożył się czarnymi, urwistymi skałami, o które waliła nie kończącym się rytmem fala przyboju. Wejście do portu w Saint John's było trudne. Był to otwór wśród skał, ciasne przejście między wyniosłymi wzgórzami, bronione od strony morza silną barierą fali. Trzeba tam było wchodzić ze znaczną szybkością; ale wsunąć się szybko, mając zaledwie po kilka metrów z lewej i z prawej burty - to było już coś więcej niż zwykła sztuka nawigacyjna, to było ryzyko, od

którego włosy stawały na głowie. Ericson nigdy nie słyszał, żeby w tym niebezpiecznym wąwozie rozbił się jakiś statek, chociaż co tydzień dziesiątki ich wchodziły i wychodziły z portu. *Saltash*, rzecz jasna, także nie doświadczyła żadnej złej przygody. Ale ta ciężka próba czekała Ericsona u kresu każdego rejsu na zachód, i potem znów, kiedy wychodził z Saint John's w powrotną drogę. Stale powtarzający się hazard, żądło utajone w ogonie każdej podróży, gotowe za którymś razem ugodzić w cel.

Skoro już raz dostali się do wnętrza osłoniętego portu, było tam nawet przytulnie, chociaż Saint John's niewiele mogło ofiarować w sensie wygody. Była to chyba najdalej wysunięta placówka cywilizacji na dzikim kontynencie. U nabrzeży stały stłoczone, pokryte słonym osadem szkunery rybackie. Strome i wąskie uliczki mimo późnej pory wiosennej ledwie zdążyły uwolnić się od śniegu. Mieszkańcy miasta wciąż człapali w śniegowcach, ubrani w ciepłe kurtki, w czapki futrzane i flanelowe koszule. Niemal każda wystawa sklepowa nęciła ogłoszeniem, że „właśnie wyładowano” towar albo „właśnie rozpakowano”. Te wyrażenia, używane tak często na terenach bliskich granicy, były tu zupełnie na miejscu. Wiele gmachów i budynków mieszkalnych miało wygląd nietrwały, tymczasowy, jakby jeszcze i teraz nie było wiadomo, czy mieszkańcy zdołają się utrzymać w tej małej przystani, którą wydarli przyrodzie. Na tak surowym tle marynarze z angielskich i kanadyjskich okrętów, kręcący się tłumnie po porcie, wyglądali niezwykle strojnie i sztywno, co oczywiście mogło bawić tubylców. Jedyne, co można było robić w Saint John's to odwiedzać inne okręty i czekać na rejs powrotny. Nic poza tym. Była to chwila wytchnienia w prostym i szorstkim otoczeniu przed nową próbą wydobywania się ze skalnego wąwozu, przed przygotowaniem konwoju do podjęcia na nowo wyzwania, jakie mu rzucił szlak rozciągnięty na trzy tysiące mil

morskich. Wzdłuż tego szlaku nieprzyjaciel zastawiał nowe sidła i wilcze doły, warzył nowy trujący jad na zgubę konwoju.

Dla Ericsona trudne i męczące było nie tylko wejście do portu. Dostatecznie trudnym zadaniem był już sam powrót do dawnej dyscypliny, włączenie się na nowo w ciężki, wojenny rytm życia na morzu, po tak długim pobycie na lądzie i z tak świeżym, okrutnym wspomnieniem o *Compass Rose*. Dziesiątki nowych obowiązków i dodatkowych kłopotów związanych z funkcją dowódcy grupy komplikowały sytuację. Musiał kierować grupą okrętów na morzu i troszczyć się o nią w czasie postoju w porcie. Musiał mieć oko na komodora idącego na czele konwoju, na księżyc wędrujący po niebie, na statki wlokące się w tyle lub zmieniające swe miejsca. Uważał na sygnały o okrętach podwodnych, na stan paliwa, na marszrute różnych części składowych konwoju. W porcie także musiał pilnować swoich okrętów, bo dla władz zwierzchnich opróżnienie śmietników na korwecie było tak samo ważne, jak ustawienie fregaty *Streamer* po zagrożonej stronie konwoju w czasie rejsu.

Wszystko to oznaczało, że miał przez cały czas o czym myśleć, że nie mógł ani na chwilę rozluźnić chwytu kierującej dłoni. Strona taktyczna rejsu przesuwiała zagadnienie eskorty na nową i znacznie wyższą płaszczyznę. Własny okręt - duży i nowy, będący ciągle jeszcze eksperymentem - stawiał oczywiście dostatecznie odpowiedzialne zadania. Lecz Ericson miał osiem okrętów i musiał nimi władać jak jednym mieczem i jak jedną tarczą osłaniającą statki powierzone jego opiece. Oznaczało to, że musi zawrzeć w swym mózgu nie tylko plan działania własnego okrętu, lecz także znacznie bardziej rozległy układ - układ ośmioramienny, przedstawiający osiem odmiennych możliwości i osiem zgranych z sobą momentów siły i słabości. Każdy z tych elementów trzeba wziąć pod uwagę i o każdym pamiętać, żadnego nie wolno mu zmarnować ani pominąć.

Każda noc i dzień każdy w każdym kolejnym rejsie mógł stwarzać nowe zagadnienia, a żadnego nie wolno mu było pozostawić bez rozwiązania. Jeśli na przykład uważał za konieczne zbadać podejrzaną echo radaru, mógł zlecić to zadanie fregacie *Streamer*, która zwykle spełniała tego rodzaju polecenia. Ale wysłanie *Streamer* wymagało wstawienia na jej miejsce którejś korwety - najpewniej Pergoli, bo ta była najlepsza. W związku z tym powstawała z kolei luka na lewym skrzydle, a lewe skrzydło nie było oświetlone blaskiem księżyca i wobec tego było zagrożone. Trzeba tę lukę natychmiast zatkać. Korweta *Petal* musi tu przyjść ze swego stanowiska na tyle konwoju. Tak, ale wtedy statek handlowy, który nie mógł nadążyć za konwojem i którym *Petal* się opiekowała, pozostanie bez żadnej osłony. Czy można na to pozwolić, czy też powinien raczej zmniejszyć szybkość konwoju, aby maruder mógł mu dotrzymać kroku? A w razie groźby ataku - czy ma przywołać *Streamer* z powrotem do osłony? Może fregata spełni pożyteczniejsze zadanie, jeśli wytropi inny okręt podwodny, nim tamten zdąży złapać kontakt z konwojem? Przypuśćmy jednak, że echo sprawdzone przez *Streamer* okaże się statkiem handlowym idącym niezależnie, który ma jakieś kłopoty. W tym wypadku fregata może stracić dwa do trzech dni. Czy powinien kazać jej wtedy iść na własną rękę, skoro wie, że może jej zabraknąć paliwa, a ropowiec idzie razem z konwojem? I czy w ogóle konwój może się obyć bez *Streamer*? Czy on sam teraz, właśnie w tej chwili, powinien zejść ze swego stanowiska, by sprawdzić „miękkie” echo asdiku, schwytane nagle od czoła? Jeśli to jest okręt podwodny i jeśli będzie atakował, i jeśli trafi torpedą, będą na pewno rozbitkowie. Czy można przydzielić korwetę do wyciągania ich z wody? A jeśli tak, to które skrzydło konwoju bezpieczniej będzie osłabić? Czy to pocisk oświetlający, tam, nisko na horyzoncie po prawej

burcie? A jeśli tak, czy to *Streamer* go wystrzeliła? A jeśli tak, czy potrzebuje pomocy? A jeśli tak, kto pójdzie jej na pomoc?

Czasem opadały go te pytania jak rój komarów, kłując i żądając z dziesięciu stron naraz. Sam jeden musiał się z nimi uporać - jeden mózg musiał wszystko uzgadniać, choćby trudno mu było udźwignąć ten ciężar, jeden głos musiał tu rozkazywać, choćby mu przyszło mówić szybko i nieustannie przez wiele godzin bez przerwy. Teraz, sięgając myślą wstecz, Ericson wybaczał *Viperous* wszelkie dopytywania się i gderania, wszystkie opryskliwe sygnały i napomnienia, które *Compass Rose* od niego zносиła. Wybaczał i naśladował ten przykład z wdzięcznością. Bo jeśli miał mieć pełnię władzy w swym ręku, to nie mógł jej sprawować inaczej jak za pomocą wszechwidzącego oka i głosu Jowiszowego, za pomocą grzmotu huczącego wśród chmur, na który nikt nie ośmieli się odpowiedzieć. Nie ma tu miejsca na urażone uczucia, a właściwie niewiele jest miejsca na jakiegokolwiek uczucia.

Ericson stosował takie właśnie zasady w postępowaniu ze swą grupą. Bo żadne inne zasady nie mogły być skuteczne, niezależnie od tego, czy to się podobało innym dowódcom, czy też nie. Wiedział, że nie lubili go od pierwszego spotkania, a już w najlepszym razie traktowali go bardzo ostrożnie, jak człowieka, który o niewiadomej porze dnia lub nocy może im niespodzianie wsadzić mysz do garnka. Ale to nie miało znaczenia. Nie była to zbyt wysoka cena w zamian za uzyskaną sprawność i spokój. Jeśli wzajemne stosunki w grupie eskortowej nie wykraczały poza wyłącznie służbowy charakter, to przynajmniej na tej płaszczyźnie działały skutecznie i dawały dobre wyniki.

I to w każdym razie było oczywiste dla wszystkich. *Saltash* stała się jądrem silnego zespołu, ćwiczonego nieubłaganie do granic wytrzymałości i stopniowo stapiającego się w jedno w coraz bardziej zgranej i sprężystej współpracy. Mniej popełniano

błędów, mniej nadawano bezsensownych sygnałów, mniej czasu marnowano. Mogli się także pochwalić namacalnymi sukcesami. W maju fregata *Harmer* zestrzeliła samolot zwiadowczy nad ujściem Clyde. W miesiąc później korwety *Vista* i *Rose Arbour* zaliczyły sobie do spółki jeden okręt podwodny. Sprzątnęły go na środku oceanu tak szybko, że obie strony były tym jednakowo zaskoczone. Przyjemnie było odnotować formalnie tak oczywisty dowód tego, o czym wszyscy wiedzieli - że ich grupa ma wysoką wartość bojową, że wysiłek, cierpliwość i wytrwałość nie poszły na marne.

Inne grupy sprawiały się tak samo dobrze, a niektóre może i lepiej. W połowie tego przełomowego roku taki obrót zaczynały przybierać sprawy na Atlantyku. Nowe okręty wykazywały swą wartość, a nowa broń dobrze świadczyła o tych, którzy ją konstruowali. Nieduże lotniskowce, towarzyszące teraz wielu konwojom, odgrywały poważną rolę w ujawnianiu okrętów podwodnych z tak znacznej odległości, że nie mogły one jeszcze stanowić rzeczywistego zagrożenia. W sierpniu ogłoszono wiadomość, która poruszyła tysiące serc na morzu i na lądzie. W ciągu tego miesiąca sprzymierzeni zniszczyli więcej nieprzyjacielskich okrętów podwodnych, niż stracili własnych statków handlowych. Po raz pierwszy w tej wojnie szale się wyrównały.

Było to niesłychanie krzepiące i wspaniałe, ale - zastanowiwszy się nieco - może należało się tego spodziewać. Gdyby w pewnym momencie to się nie stało, gdyby dwie linie na wykresie wojny nie przecięły się z sobą, dopiero wtedy można by się dziwić. Teraz nauczyli się zabijać na zimno, teraz nic ich nie mogło zadziwić. Zarówno wygraną, jak i przegraną przyjmowali z tym samym spokojem. Dla grupy Ericsona, podobnie jak dla innych grup z Sił Eskortowych bazujących na Clyde i dla tych z Liverpoolu, a nawet dla tych obcych chłopaków, którzy tu przybywali z Rosyth

na wschodnim wybrzeżu, Atlantyk stał się po prostu określonym zawodem. Skoro już Royal Navy grała tu pierwsze skrzypce (a to nie podlegało dyskusji), byłoby rzeczą niezwykle dziwną, gdyby do tego nie doszło.

Gdy *Saltash* odkotwiczyła na nowy rejs i szła w dół rzeki, a za nią reszta okrętów eskortowych ciągnęła jeden za drugim w przepisowych pięciokablowych odstępach, na czołowej fregacie gramofon, połączony z głośnikami na górnym pokładzie, grał zawsze tę samą melodię. Była to żartobliwa piosenka: „Wyruszamy z wizytą do czarodzieja, do czarodzieja, co ma ocean za dom”. Lockhart wpadł na ten pomysł, bo upatrywał w piosence coś między żartem a środkiem krzepiącym. Melodia brzmiała jednak poważnie, a słowa zdawały się prawdziwe. Było istotnie tak, jak gdyby wyruszali na odkrycie jakiegoś nieznanego matecznika na morzu, na nowe starcie z chytrym nieprzyjacielem, który czasem używał czarów. Lecz równocześnie był to ich własny matecznik i własny, dobrze znany czarodziej, już wcale nie tajemniczy ani groźny. Teraz już znali go na wylot, od siwych wąsów i pienistej brody, aż do chłodnego, zielonego błysku w przepastnym oku.

- Ster prawo dziesięć!
- Ster prawo dziesięć, panie kapitanie.
- Kurs jeden-trzy-pięć!
- Kurs jeden-trzy-pięć.

W nocnym mroku *Saltash* obróciła się wolno, szykując się do przejścia w poprzek przed czołem konwoju. Lockhart obserwował różę kompasu przesuwającą się w lewo i próbował wyliczyć średnicę cyrkulacji, lecz po chwili dał spokój obliczeniom. Musi być około tysiąca metrów. O jakąś milę za rufą widział czołowy

statek lewej kolumny, a raczej niewyraźną smugę, ciemniejszą od szarej nocy, i nikły, biały połysk fali dziobowej, muskanej od czasu do czasu blaskiem księżyca. Pośród nich migotliwy ślad, wyłobiony przez *Saltash*, kipiał, rozlewał się szeroko i roztopiał w spokojnej ciemności.

W minutę później zamajaczył za rufą czołowy statek następnej kolumny, a potem jeszcze i jeszcze następnej - rząd cieni wspaniale rozstawionych i wyrównanych. Konwój, idący naprzód kursem na ojczysty horyzont i już piętnastą noc z rzędu wymykający się uwadze nieprzyjaciela, był w doskonałej formie.

- Okręt trochę w prawo od dziobu! - zawołał czujny marynarz na oku, ale zawołał niegłośnie, bo ten okręt to była *Harmer* idąca równolegle zygzakiem, i marynarz wiedział to dobrze, tak samo jak Lockhart.

Sternik zameldował przez rurę:

- Kurs jeden-trzy-pięć, panie kapitanie!

Potem znowu zapadła cisza, tylko fala dziobowa spływała z kruchym szelestem. Widma statków przemykały jedno za drugim po ich zawietrznej i gubiły się w mroku, gdy tak szli w poprzek drogi konwoju, zwróceniem prawą burtą do jego czoła, i zasłaniali go sobą przed niebezpieczeństwem. Spokojnie i wytrwale, jak cienie statków, letnia noc sunęła wraz z konwojem do swego kresu.

W pewnym momencie Lockhart zauważył, że *Ericson* wyszedł na pomost i stoi o kilka kroków za nim, przyzwyczajając wzrok do ciemności. Jak zwykle, przeczekał chwilę, a tymczasem dowódca spojrzał w górę na niebo, pochylił się nad kompasem, popatrzył na najbliższe statki i odszukał lornetką *Harmer*. Wreszcie Lockhart odwrócił się do niego i powiedział:

- Dzień dobry, panie komandorze.

- Dzień dobry, Lockhart.

Szorstki, burkliwy głos i ten zwrot powtarzany tysiące razy należały do wachty Lockharta zupełnie tak samo, jak szelest osuwającej się fali dziobowej tam w dole. Ericson podszedł i oparł się o reling w przedniej części pomostu. Spojrzał w dół, na pokład dziobowy i na siedem cieni zastygłych w bezruchu - byli to marynarze z obsługi dział numer dwa.

- Kakao, panie komandorze. Świeżo ugotowane.

- Dziękuję. - Ericson wziął kubek z rąk marynarza i zaczął pić ostrożnie. - Która godzina?

- Już koło wpół do piątej. Czy pan komandor spał?

- Tak, trochę. Są jakieś nowe sygnały?

- Jeden o zmianie szyfru. Poza tym *Petal* meldowała przez radio, że jeden statek miał światło na rufie.

Ericson odjął kubek od ust. Lockhart wyczuł raczej, niż dojrzał, że dowódca zeszytywniał w czujnym napięciu.

- Kiedy to było? - spytał ostro.

- Zaraz z początku wachty. *Petal* dała mu sygnał i światło znikło.

- Dlaczego nie zameldował pan o tym?

Ten lodowaty ton znali już wszyscy na fregacie.

Pod osłoną ciemności Lockhart nasępił czoło.

- Sprawa była już załatwiona, panie komandorze. Nie chciałem pana budzić bez specjalnej potrzeby.

- Zna pan moje instrukcje, kapitanie.

- Przepraszam, panie komandorze.

Lockhart wiedział, że gdyby na jego miejscu znalazł się teraz kto inny, Ericson już by się wściekał. I tak granica między jego opanowaniem a złością była wąła jak papierek.

- O każdej rzeczy - mówił Ericson z niezwykle naciskiem - o każdej rzeczy, która się zdarzy na morzu - czy to z okrętem eskortowym, czy ze statkiem z konwoju, czy z naszą własną fregatą - trzeba mi natychmiast meldować. Przecież dobrze pan o tym wie.

- Tak jest, panie komandorze - odparł Lockhart służbiście i czekał, co będzie dalej.

Wiedział, że Ericson powie jeszcze dwa albo trzy zdania tym samym tonem ostrej nagany, a potem da temu spokój. Nie była to bynajmniej jakaś nabyta, obraźliwa maniera. Nie, Ericson naprawdę uważał, że oficer wachtowy powinien go powiadamiać o każdym wydarzeniu, choćby najbłahszym. Myśl, że Lockhart chce go odgrodzić od rozmaitych drobiazgów i że ma dosyć okazji, by tego dokonać, dziś tak jak dawniej była dla niego nie do przyjęcia i wzbudzała w nim gniew.

Sztywny cień stojący obok Lockharta znowu przemówił:

- Jeżeli coś się stanie, ja będę odpowiadał, nie pan.

- Tak jest, panie komandorze.

- Poza tym pan, jako zastępca dowódcy, powinien dawać przykład innym oficerom.

- Tak jest, panie komandorze.

„Teraz da spokój” - przewidywał Lockhart - „i trochę zmięknie. A za chwilę pewnie sobie przypomni, jak często okazywał mi niezwykle zaufanie. Wtedy zechce znów naprowadzić wszystko na stare tory i na pewno to zrobi, chociaż może okólną drogą.”

Wiedział, że dowódca nie będzie się usprawiedliwiał, bo nie było do tego powodu. Ericson miał prawo w interesie własnego okrętu lub całej grupy ustalać takie przepisy, jakie uznawał za słuszne. Rozkaz powiadamiania go o każdej smużce dymu, dostrzeżonej z odległości trzydziestu mil, był całkowicie prawomocny. Miał prawo go wydać i pilnować jego spełnienia.

Ale poza tym wszystkim były wszak inne sprawy, snuły się nici innej tkaniny, równie silne jak te - minione lata, niewymierna treść ich przyjaźni, *Compass Rose*, dwie tratwy...

Ericson odstawił kubek, wyprostował się i patrząc daleko przed siebie rzekł:

- Teraz wojna się zmienia, jest już inna, niż była.

Lockhart uśmiechnął się czując, że oto za chwilę wyciągnie się do niego różdżka oliwna, chociaż nie mógł jeszcze odgadnąć z całą dokładnością, w jakiej postaci tym razem się objawi. Powiedział to, co jedynie wypadało powiedzieć w tej sytuacji:

- To znaczy... w jakim sensie jest inna?

Ericson zrobił nieokreślony ruch ręką, jak człowiek, który po omacku szuka niewyraźnego jeszcze kształtu swej myśli.

- Teraz jest o wiele mniej osobista niż na początku - zaczął powoli. - Nie ma już jakby miejsca dla... dla poszczególnych ludzi.

- Tak i mnie się wydaje.

- Z początku miało się czas na różne rzeczy - na pobyty ludziom i na żarty, na traktowanie marynarzy jak czujące ludzkie istoty, na zastanawianie się nad tym, czy im jest dobrze i czy... mnie lubią, czy też nie. - Ericson wciągnął głęboko powietrze, jakby się bał, że jego myśli, otulone płaszczem ciemności, wymkną się razem z oddechem. - A teraz... Teraz w wojnie nie ma już ludzi, tylko broń i bezwzględność. Nie ma nawet kącika dla ludzkich uczuć. Ludzkie uczucia zajmują za dużo miejsca i przeszkadzają poważnym sprawom.

- Tak, panie komandorze.

- Dawniej wszystko to wyglądało jakoś po rodzinnemu. Mówiło się o ludziach po imieniu, były różne przyjęcia i zwolnienia na weekend, jeśli żona mogła przyjechać, ot, tego rodzaju rzeczy.

Ludzie mogli sobie na to pozwolić, żeby być ludźmi, i czuli się obrażeni, jeśli im tego zabraniano. Tak było zwłaszcza na małych okrętach, takich jak *Compass Rose*. Mieliśmy wesoły komplet oficerów, pamięta pan? Czasem brało się rzeczy poważnie, ale najczęściej nie. Ot, po prostu paczka dobrych przyjaciół starała się jak mogła przy robocie, a jeżeli coś wyszło nie tak, to się wzruszało ramionami i wszyscy zbywali to śmiechem. Przyjemne to było, ludzkie - ale teraz już się skończyło. Właściwie skończyło się razem z *Compass Rose*.

- Ster lewo dziesięć! - dał rozkaz Lockhart.

- Ster lewo dziesięć, panie kapitanie.

- Na kurs zero-sześć-pięć!

- Na kurs zero-sześć-pięć.

Ericson milczał. *Saltash* zatoczyła szeroki krąg i ustawiła się na nowym kursie. Wtedy podjął na nowo:

- Nie uważam, żeby *Compass Rose* była złym okrętem albo żeby to był zły sposób prowadzenia wojny w tamtym okresie. Nic podobnego. Uważam tylko, że dziś to się przeżyło. Wojna wycisnęła już i odrzuciła wszystko, prócz rzeczy niezbędnych. Dzisiaj nie można już pobłażać, nie można przebaczyć błędowi. Bo cena za błąd jest zbyt wysoka.

- Tak, panie komandorze.

- Pamięta pan - snuł wspomnienia dowódca - tego młodzika Gregga, starszego marynarza? Żona przyprawiała mu rogi, a on wywiązał z okrętu i pojechał do domu, żeby to wszystko naprawić. To było niecałe dwa lata temu. Jeszcze dwa lata temu mogłem sobie pozwolić na załatwienie tej sprawy kazaniem i ostrzeżeniem na przyszłość. - Potrząsnął głową w ciemności. - Ale dziś byłoby inaczej! Gdyby dziś Gregg stanął przede mną, wcale bym nawet nie słuchał tych bzdurnych historyjek o żonie. Dałbym mu trzy miesiące więzienia za dezercję i dobrze bym pilnował, żeby do

końca wojny został tym starszym marynarzem. Nie możemy sobie pozwolić na żadne żony i domowe kłopoty, na żadne współczucia. Z tymi rzeczami już koniec.

- Tak, panie komandorze.

- Wojna poszła takimi drogami, i to tłumaczy wszystko. Sytuacja jest za poważna, aby móc sobie pozwolić na cokolwiek innego poza stuprocentowym wysiłkiem. - Namyslał się przez chwilę. - I jeszcze stuprocentowa twardość. Pamiętam, jakeśmy wykończyli ten okręt podwodny. Kazałem odprowadzić niemieckiego dowódcę do mojej kabiny. Zachował się wobec mnie arogancko, po chamsku w gruncie rzeczy. Pamiętam, jak wtedy pomyślałem, że gdyby mnie jeszcze trochę więcej rozżłościł, to chyba bym wyciągnął rewolwer i zabił go na miejscu. - Znow odetchnął głęboko. - Gdyby coś podobnego zdarzyło się dzisiaj, już bym nie czekał, nie liczyłbym do dziesięciu i nie zastanawiał się. Wpakowałbym mu kulkę w łeb i kazał wyrzucić za burtę - i jego, i każdego, kto by spróbował choć słówko pisać przeciwko temu.

- Tak, panie komandorze.

- Ja wiem, że nie o takie sprawy i nie po to walczymy. Ale najpierw trzeba zwyciężyć. Potem będziemy przebierać i wybierać moralne ścieżki postępowania. Niech się raz skończy z tą wojną, to będę słodki dla każdego jak miód - dla niemieckiego dowódcy, dla Gregga i... - Lockhart nie widział, ale czuł uśmiech na twarzy dowódcy, który w końcu doszedł okrężną drogą do celu -...i dla pana.

- Będę o tym pamiętał, panie komandorze.

- Pewnie pan myśli, Lockhart, że nie mam racji w tym wszystkim i że pan by się nie dał zdemoralizować przez wojnę.

- Tak, panie komandorze.

- Ale przecież pan sam oddał się całej wojnie, prawda? Przecież pan także wierzy, że w czasie wojny nie ma miejsca na błędy ani na pobłażliwość. A także nie ma miejsca na miłość, na delikatność.

- Tak, myślę, że tak trzeba. Ale to trudne...

Saltash sunęła naprzód, a za nią konwój pełził wytrwale przez ciemny ocean. Przed nimi, hen daleko na wschodzie, zaczynało się już rozwidniać. Byli o jedną noc i o ćwierć dnia bliżej domu. „Dom...” - myślał Lockhart. - „Znow Clyde, postój na zwykłym miejscu, spokój i odpoczynek. I Julie Hallam...”

5.

- Julie Hallam - przemówił Lockhart z rezerwą pełną godności. - Myślałem, że jesteś wielką personą u wrenek i w ogóle najsurowszą wrenką pod słońcem.

- Bo też i jestem. Terroryzuję wszystkich. I co jeszcze?

- W takim razie co mają znaczyć te nogi, te mokre palce? - Pokazał gestem jej stopy. - Nie mogę sobie wyobrazić mniej oficjalnej pozycji, no i mniej przepisowej. Co masz na swoje usprawiedliwienie?

Julie spojrzała na swoje bose stopy, spuszczone za burtę i zanurzone w leniwym nurcie. Wyjęła z wody jedną i podniosła. Błyszczące krople, całe nalane słońcem, spływały jedna za drugą po nodze i spadały do łodzi. Znowu popatrzyła na niego.

- Naprawdę muszę się usprawiedliwiać? - Mówiła wolno i z rozmarzeniem. W chwili szczęśliwej beztroski nie zastanawiała się nad tym, co mówi, i ufała, że Lockhart nie zechce z tego skorzystać. - Przeciw jakim przepisom zgrzeszyłam?

Zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką, wypuszczając na chwilę ster. Żaglówka zaraz skręciła, więc naprowadził ją z powrotem na kurs.

- No, w ogóle przeciw porządkowi i dyscyplinie w marynarce wojennej. Jesteś wrenką, to znaczy, że służysz w marynarce wojennej i podlegasz przepisom regulaminu. A regulamin wyraźnie przewiduje, że nie wolno chlapać nogami w wodzie, kiedy się przebywa na jakimkolwiek okręcie dowodzonym przeze mnie.

Bosa stopa znowu plusnęła za burtę, aż łódź zakołysała się mocno.

- Strasznie przyjemnie, jak pleciesz takie głupstwa. Widzisz, jest zupełnie inaczej. Co najmniej na pięć godzin zawiesiłam wojenny regulamin na kołku. Urządziłam sobie majówkę i macki Royal Navy nie dosięgną mnie tutaj. Mam na sobie stare, obszarpane porcięta, fryzura do niczego, więc chlapanie się w wodzie doskonale do tego pasuje. Sam Nelson by pochwalił.

Przyjrzał się jej uważnie.

- Nelson by nie pochwalił. Ale bardzo ci ładnie z tymi spuszczoneymi włosami.

Naprawdę ślicznie wyglądała półleżąc na środkowej ławeczce. Patrzył i upewniał się coraz bardziej, że nic nie straciła w nowej, pozasłużbowej wersji, Z rozkosznej, leniwej obserwacji nagle wyłonił się wniosek: czar jej urody zakłęty był nieodmiennie w owalu twarzy. Jego subtelna linia wcale się nie gubiła w ciemnych włosach spadających do ramion, podobnie jak wycieczkowe spodnie i żółta koszulka nie ujmowały wdzięku jej postaci. Przeciwnie, raczej go podkreślały. Piękność Julie zdawała się mówić: „Możecie mnie oglądać w stu i jednej odmianach, proszę tylko wybierać”. Była tak samo elegancka bez starannej fryzury i w spłowiałych niebieskich spodniach zamiast dobrze skrojonej

spódniczki. Jej elegancja zmieniła styl, ale była zawsze wytworna. Nie wiedział, czy ta niedbała swoboda jest bliższa prawdziwej Julie, czy też dalsza. Trudno było rozpoznać jej naturalną rolę i może to nie miało znaczenia, skoro we wszystkich rolach była taka urocza. A poza tym fakt, że miał jej towarzystwo wyłącznie dla siebie - wszystko jedno w jakiej płaszczyźnie i w jakich okolicznościach - był tak cudowny i niespodziewany, że wszelkie subtelności takich czy innych upodobań nie dochodziły do głosu.

Urządzili sobie majówkę, tak jak powiedziała przed chwilą, tłumacząc swoją metamorfozę. Przy nabrzeżu Hunter wypożyczyli żaglówkę i z lekkim podmuchem wiatru wypłynęli na Holy Loch. Było pogodne popołudnie na początku września. Czasami zdarzają się takie dni na smutnych północnych wodach. Wrześniowe słońce grzało z wiosennym zapalem, zalewając gorącym blaskiem rozległe ujście Clyde. Mała żaglówka sunęła między brunatnymi i ognistymi wzgórzami, pozostawiając za sobą gwarną, ruchliwą przystań. Płynęli po ciszę i samotność na odległym krańcu jeziora. Ukołysani leniwym spokojem, wymknęli się z rzeczywistego świata, którego wymagania znali aż nazbyt dobrze, do własnego królestwa - mogli to królestwo budować, jak sami chcieli. Był dumny, że ją tam wiezie - dumny, szczęśliwy i jeszcze coś więcej. To coś nawoływało go cichutko, ale nie umiał go nazwać i nawet nie chciał. Rozumiał dobrze, że ta wycieczka zawiera w sobie wszystkie nęcące możliwości: piękna dziewczyna na żaglówce i samotność we dwoje, i jego bardzo rozbudzona wrażliwość na jej urok jako kobiety. Być może jednak - tak jak za pierwszym razem, kiedy nie pocałował jej ust - i teraz nie nadeszła jeszcze właściwa chwila, i nie wiadomo, czy kiedykolwiek nadejdzie. Jej najwyraźniej wystarczało to wszystko, czym się cieszyli wspólnie - żaglówka, drobna fala uciekająca spod dziobu z cichutkim pluskiem, słońce i wzgórze. Więc i jemu musiało wystarczać.

Wtem przerwała poufale milczenie:

- Wiesz, à propos Nelsona...

Uśmiechnął się rozpoznając kapryśne, lecz dociekliwe ścieżki jej myśli. Z rozkoszą będzie rozmawiał na każdy najdziwniejszy temat, byle czuć się związanym z nią jasną struną jej głosu.

- À propos Nelsona...? - powtórzył pytająco.

Oparła się wygodniej na ławce, woda znów kapiała z jej nogi do wnętrza łodzi.

- Wydaje mi się - zaczęła w zamyśleniu - że Nelson nie miałby nic przeciwko moim włosom, niezależnie od wszelkich przepisów. Myślę, że on by niejedno zrobił dla kobiety, prawda? Na przykład lady Hamilton...

Wbrew sobie, wbrew nastrojowi chwili Lockhart zeszywniał.

- Co... lady Hamilton?

Julie spojrzała w górę na żagiel, który musnął cieniem jej twarz, gdy łódź się przechyliła.

- Wydaje mi się, że on gotów był wyrzec się dla niej wszystkiego, a przynajmniej zaniedbać wiele rzeczy, właściwie bez porównania ważniejszych.

- Nelson? - Lockhart odetchnął głęboko. - On by tego nigdy nie zrobił, nigdy w życiu. - W tonie tych słów było coś szczególnego, co kazało jej się odwrócić. Zdziwiła się wyrazem jego twarzy. - Nigdy i dla nikogo - powtórzył Lockhart. - Nelson miał trzy miłości - Królewską Marynarę, Anglię i lady Hamilton. Kochał je wszystkie bardzo, czasami dawał się pochłonać miłości. Ale zawsze kochał je w takim porządku.

- Och... - powiedziała Julie z uśmiechem, nie przestając mu się przyglądać. - Ja przecież tylko pytałam... - Lecz jej ciekawość nie

była zaspokojona. - Nie wiedziałam, że to jest twój ideał. W gruncie rzeczy nie wiedziałam w ogóle, że ty masz ideały.

Rozpogodził się i oddał jej uśmiech.

- Pewnie że mam. A poza tym lubię też psy i mecze piłki nożnej, i piwo, i ubezpieczenia na życie. Co niedziela sadzam dziewczuszkę do przyczepy...

Podniosła rękę dosyć kategoriycznym gestem.

- No, no, lepiej powróćmy do tematu.

- Dobrze, czcigodna pani... Więc rzeczywiście, Nelson jest moim ideałem. Doskonały marynarz, wspaniały wódz, dobry, odważny człowiek i kochanek, którego ukochana była nieskończenie szczęśliwa, że może mu urodzić dziecko - ze ślubem czy bez ślubu.

Teraz on spojrzał w górę na żagiel, jakby szukając tam słów najbardziej odpowiednich.

- Widzisz, był taki czas, że Nelson trzymał w ręku calutką Anglię i całą Europę. Jeden jego błąd pod Trafalgarem, jeden zwrot w lewo zamiast w prawo mógł przynieść klęskę, a nie zwycięstwo, i mógł odmienić mapę świata. On wiedział o tym i dorósł do swej roli. Nie zapomniał o niej ani o swoich zasadach walki. - Zamilkł na chwilę. - Czy będziesz się ze mnie śmiała, jeśli ci powiem słowa jego ostatniej modlitwy?

Potrząsnęła głową przecząco.

- Powiedz.

- „Niech Bóg, którego wielbię, ześle mojemu krajowi i ku zbawieniu Europy wielkie, wspaniałe zwycięstwo. Oby niczyj występki nie splamił jego chwały. Oby cnota ludzkości stała się po zwycięstwie ozdobą Floty Brytyjskiej”.

- Tak, to rzeczywiście wystarcza za wszystko - potwierdziła Julie. - I jakie aktualne. Czy to były ostatnie słowa, jakie napisał?

- Nie. Jeśli dobrze pamiętam, ostatnie słowa pisał do lady Hamilton, kiedy już wiedział, że francuska flota wyszła naprzeciw i że wystąpi do walki. Zaczął pisać ten list i przerwał, i powiedział, że ma nadzieję skończyć go po bitwie.

- O czym jej pisał?

- Pozdrowiał ją czule.

Po chwili Julie zauważyła cicho:

- Ona musiała być piękna.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nawet nie to. Na ogół nie podobała się ludziom na pierwszy rzut oka. Miała też masę wrogów. Trochę to była zazdrość, a trochę wina jej szczerzej, bezpośredniej natury. Poza tym łatwo z niej było drwić. Nawet jej przyjaciele przyznawali, że w tym okresie, kiedy poznała Nelsona, nie wyglądała wcale pociągająco. Dość pospolita, tęga i czerwona na twarzy.

- No więc?

Odpowiedział wzruszeniem ramion.

- Widocznie coś w niej widział. W sensie uczucia była jego drugą połową, była człowiekiem, którego musiał mieć, żeby wyrównać wysiłek i napięcie swego wielkiego dzieła. Bo widzisz, tam gdzie chodzi o miłość, wygląd kobiety nie ma właściwie znaczenia. Mężczyzna albo jej pragnie, albo nie pragnie. Jeśli tak, to uroda i zachowanie nie odgrywają roli, a jeśli nie, to żadne szczebiotanie ani królewskie miny nic nie pomogą.

- Szkoda... - rzekła Julie, jakby zniechęcona.

- Jak to, ty się uskarżasz...?

- Skoro był wyjątkowym człowiekiem, to nie mogę zrozumieć, dlaczego potrzebował kobiety. Tacy ludzie zwykle potrafią żyć samotnie.

- A ja widzę w tym sens - odpowiedział po chwili. - On był pełnym człowiekiem - człowiekiem czynu, człowiekiem wyobraźni, a także człowiekiem zdolnym do miłości. Anglia dawała mu w połowie to, czego potrzebował, aby osiągnąć tę pełnię, a lady Hamilton dawała drugą połowę.

- I nigdy nie przeszkadzały sobie, nie wchodziły sobie nawzajem w drogę?

- Nie, nigdy. To właśnie było wspaniałe. Kochał je obie i dla obu było dosyć miejsca. - Przerwał i zmarszczył czoło. - Zdaje się - podjął znowu - że to wszystko jest w całkowitej sprzeczności z czymś, co ci dawniej mówiłem.

Skinęła leciutko głową i uśmiechnęła się siadając na ławeczce.

- Nie będę ci tego wypominać w taki prześliczny dzień... Daleko jeszcze?

Nie było już daleko. Po chwili łódź zgrzytała o żwir, wśliznęła się jeszcze głębiej na plażę i zatrzymała się łagodnie. Spuścili żagiel i zamocowali go dobrze, a potem zaczęli się rozglądać po obcym, tajemniczym królestwie, do którego nareszcie dopłynęli. Byli na krańcu spokojnego jeziora, o pięć mil od niewidocznego już miejsca, skąd się na nie wydostali. Oni oboje i łódź zdawali się maleńcy wobec wszystkiego, co ich otaczało. Ale była w tym jakby jakaś życzliwość, jak gdyby znaleźli się we dwoje w objęciach szerokich ramion natury, które na pewno nie przycisną zbyt mocno i których czułość nigdy ich nie zawiedzie. Za sobą mieli gładką i pustą toń jeziora, przed sobą wdzięcznie wygiętą plażę, sosnę samotną i pierścień milczących wzgórz. Słońce głaskało im twarze ciepłą pieszczotą, powietrze było rozkoszne i czyste. Kiedy się odzywali, głos padał głęboko w ciszę, rzucając jej wyzwanie, lecz po chwili rozplýwał się w niej na zawsze.

Zsunęli się po burcie i brodząc wychodzili na brzeg. Przyszło mu na myśl, że mógłby ją przenieść na rękach - ale lepiej tego nie

robić. Nigdy nie dotknął jej ciała, zaledwie znał jego zapach, a ta wspólna, niewinna chwila znów nie była chwilą właściwą. Jego tajemna myśl musiała do niej dotrzeć jakimiś nieznanymi drogami, bo kiedy już rozłożyli pledy, wypakowali jedzenie z koszyka i usadowili się jedno obok drugiego, poczuli dziwne skrępowanie. Po raz pierwszy ich samotność we dwoje była tak całkowita i nie strzeżona przez świat. I po raz pierwszy widzieli się nawzajem nie w mundurach. Zwykle, swobodne ubranie stwarzało pobudzającą atmosferę, w której musieli myśleć jedno o drugim jako o mężczyźnie i o kobiecie. Zmysłowe odczuwanie wzajemnej bliskości tało się pod powierzchnią, kojarząc po raz pierwszy, lecz niezwykle głęboko, jej urodę z jego męskością.

Rozmawiali nerwowo i nieskładnie, bez poprzedniej łatwości. Potem leżeli milcząc i cieszyli się słońcem, ale był w nich niepokój. Spoglądali na siebie przelotnie, lecz ich spojrzenia miały skomplikowany wyraz i wcale nie były szczere. W końcu ona usiadła i marszcząc czoło rzuciła niecierpliwie:

- Słuchaj, zrobiło się jakoś inaczej pomiędzy nami. Dlaczego?

Może spodziewał się, że ona postawi tę sprawę do wspólnego zbadania właśnie tak, niecierpliwie i prosto.

- Pewnie dlatego, że dziś jesteśmy sami. Zupełnie oddzieleni od ludzi. Nigdy jeszcze nie byliśmy w takiej sytuacji.

- Ale przecież... - Urwała i znów ściągnęła brwi. - Z jakiej racji ma to nas onieśmielać albo krępować? Przecież nie jesteśmy już dziećmi.

Dziećmi... Dlaczego pomyślał tylko o jednym, kiedy ona wymówiła to słowo: dziećmi? Co to się z nimi dzieje? A może tylko z nim? Zaczął mówić prawie bez zastanowienia:

- Julie, w ciągu tych ośmiu miesięcy spotykaliśmy się pięć czy sześć razy. Za każdym razem poznajemy się trochę lepiej i wydaje mi się, że za każdym razem troszeczkę więcej się tym cieszymy.

Ruchem głowy potwierdziła te słowa.

- To było takie wzajemne odkrywanie się - strasznie przyjemne zresztą. Ale przez cały czas posuwaliśmy się naprzód.

- Tak być powinno. Właśnie to było najlepsze.

Ogarnęło go onieśmienie i lęk, czuł, że mu braknie tchu w piersi. Przecież powinien był już dawno wyrosnąć z tego rodzaju tremy. Chcę ją mieć - myślał w głębokim pomieszaniu, spoglądając na jej ramiona i piersi pod cienką bluzką. - Wiedziałem, że tak będzie, ale to nie jest takie proste pomimo wszystko. Chcę ją mieć na tyle różnych sposobów, pominąwszy jej piersi i usta, które muszą być słodkie. Chcę i muszę ją mieć niezależnie od warunków, jakie mi podyktuje. Ale im mocniej się zwiążemy, tym lepiej. Odetchnął głębiej.

- Ciągłe posuwamy się naprzód - mówił dalej z trudnością. - A teraz doszliśmy do takiego punktu... ty jesteś taka śliczna... ja przecież jestem mężczyzną...

- Oo! - wykrzyknęła cichutko. - Wiem bardzo dobrze, że jesteś mężczyzną.

Zauważył napięcie w jej zachowaniu. Nie patrzyła na niego, może nawet zaczerwieniła się lekko. Wtem zapytała:

- Czy nie można tego odłożyć na później?

- Chyba nie można.

- Tak, może rzeczywiście nie można.

- Wiesz, że cię kocham.

Skinęła głową.

- Teraz już wiem.

- A ty?

- Zaczekaj chwilę.

Wpatrywała się w wodę, wahająca, zmieszana. Nigdy jej takiej nie widział. Ale od tego, co już powiedzieli, powietrze zrobiło się lżejsze, a cudny dzień - jeszcze piękniejszy. Teraz wiedzieli już przynajmniej, gdzie leży kraj ich szczęśliwości.

Długo milczała. Drobnutkie fale lizały plażę u ich stóp, słońce błogosławiło im z nieba. A kiedy przemówiła, głos jej brzmiał już radośniej i bardziej ufnie, jakby i ona się cieszyła, że odtąd będą się dzielili wyraźnymi myślami i słowami. Znów zwróciła się do niego.

- Chciałabym móc ci powiedzieć po prostu: „Tak”. Ale to by nie była właściwa odpowiedź. Mamy bardzo wiele wspólnego, prawda? Tak było od samego początku. Oboje to widzieliśmy, czuliśmy, co się dzieje, i często było nam z tym ogromnie dobrze.

- W jej oczach, poważnych i bardzo czułych, była absolutna uczciwość. - Zaczęło się na tym pierwszym spacerze. Odprowadzałeś mnie do domu po waszym przyjęciu i nareszcie byliśmy razem, bo przedtem przez cały wieczór nie było można. Pewnie już wtedy wiedzieliśmy, co z tego będzie. Powiedziałaś...

- Uśmiechnęła się do żywego jeszcze wspomnienia. - Powiedziałaś: „Spacer wynagrodził przyjęcie”, a potem już tylko: „Dobranoc”.

- Chciałem cię wtedy pocałować, ale myślałem, że lepiej nie.

- To była pierwsza wspólna myśl... A teraz jesteśmy tutaj, w takiej niespodziewanej oazie spokoju pośrodku wojny. Ty mnie kochasz i chcesz, a ja...

Zatrzymała się i podjęła na nowo już twardszym głosem:

- Słuchaj, mężczyźni bezustannie mnie nudzą - albo chcą się ze mną ożenić, albo zwyczajnie przespać. - W jej ustach, wypowiedziane mocnym uczciwym tonem słowa te nie brzmiały ordynarnie ani niesmacznie. - W czasie wojny, przy moim rodzaju pracy, kiedy widuję mnóstwo ludzi, takie rzeczy muszą się

zdarzać i nie ma w tym mojej specjalnej zasługi. Czasami zastanawiam się nawet nad taką propozycją, ale zdarza się jakiś zgrzyt, pan taki czy owaki okazuje się za bardzo pochopny albo robi się nagle straszliwie nudno i mam już tego dość.

Niespodziewanie przechyliła się i dotknęła jego odsłoniętego ramienia. Delikatne muśnięcie jej palców napełniło go ogromną otuchą. Natychmiast stopniały i wywietrzały ponure, przerażające myśli o tych wszystkich mężczyznach, którzy się do niej zalecali, myśli wżerające się w mózg.

- A ty - mówiła dalej - w tobie nie ma żadnej z tych brzydkich rzeczy. Nie było pomiędzy nami żadnych zgrzytów, twój krok odpowiadał mojemu i twoja wola mojej. I ani jeden dzień spędzony z tobą nie był nudny.

Przykrył jej dłoń swoją dłonią i czuł, jak się porusza leciutko. Spojrzał jej w oczy i powiedział:

- Jeśli i tobie, tak jak mnie, drży trochę serce, to chyba nie musimy o tym mówić nikomu.

- O, mnie naprawdę drży serce. Widzisz, jeśli chodzi o ciebie, to jestem na krawędzi miłości, na samiutkiej krawędzi. Są w tobie rzeczy, które lubię, i takie, które szanuję, i takie, które już kocham. A znów inne budzą we mnie zdziwienie. Dziś odkryliśmy coś nowego... prawie że odkryliśmy.

Znowu zamilkła, lecz on podjął jej myśl.

- Coś nowego, ale zgodnego ze wszystkim co nas zbliżyło. To zmysły... Pierwsze drgnienie. Było cudownie.

- Było strasznie... To nie znaczy, żebym się przestraszyła, że mogę cię nagle poczuć na sobie. Po prostu dla mnie to coś zupełnie nowego i jeszcze nigdy nie czułam tego tak mocno.

- No, i mimo wszystko...?

- Mimo wszystko ciągle na krawędzi miłości.

Wstał, przebył jednym zdecydowanym krokiem przestrzeń dzielącą ich na rozłożonych pledach i usiadł tuż obok niej.

- Uważasz, że powiedziałem za wcześnie?

- Nie, to nie to. Trzeba było powiedzieć. - Skłoniła się ku niemu. - Kiedy jesteś koło mnie, wiem, że trzeba było powiedzieć. Ale jeśli chodzi o moją odpowiedź, to może jednak za wcześnie, może o jedno nasze spotkanie za wcześnie.

- Kiedy jesteś koło mnie - rzekł łamiącym się głosem - muszę zapytać: czy mogę cię pocałować?

- A ja... - odpowiedziała natychmiast - ja muszę ci powiedzieć: O, tak! Sytuacja na pewno tego wymaga.

Usta jej były rozkosznie miękkie, włosy i policzki pachnące, jej ciało było mu takie powolne i tak porywające zarazem, jak tego oczekiwał.

- Julie... - wyszeptał między dwoma pocałunkami i poczuł, jak zadrżała jej dolna warga - z lęku czy z namiętności? Kiedy otworzył oczy, zdawało mu się, że niebo kołuje nad nimi. Patrzyła w jego oczy z łagodnym, zachwyconym zdumieniem.

- Masz wszystkie możliwe talenty - stwierdziła cicho.

Z uśmiechem przyjął jej delikatne wezwanie do ochłonięcia.

- Wciąż tylko na krawędzi miłości?

Kiwnęła głową i zaśmiała się razem z nim.

- Ta krawędź jest także bardzo przyjemna.

Przechyliła się, pocałowała go przelotnie, a potem jeszcze raz - już dużo śmielej, i zapytała z niezrównaną godnością:

- Czy prosileś mnie, żebym została twoją żoną?

Popatrzył na nią zdziwiony.

- No, a cóż by innego...

- Bo kiedy cię całuję, to muszę myśleć jeszcze o innych rzeczach.

Zrozumiał, że poczuła się szalenie szczęśliwa i głęboko wzruszona jednocześnie. Zapragnął przeżywać z nią razem ten nastrój.

- I o to także cię prosiłem - rzekł bardzo powoli. - Oczywiście, pragnę cię mieć jakimkolwiek sposobem, nie wyłączając tego, żeby zostać twoim kochankiem jak najprędzej. Ale wydaje mi się, że dla nas małżeństwo jest odpowiednie.

- A wyłączne oddanie się wojnie?

- Maleńka... - To pierwsze słowo pieszczoty, jakim miał prawo ją obdarować, ścisnęło go za gardło dławiącym skurczem. - Sam nie wiem, jak mam ci odpowiedzieć. Wojna wciąż trwa i my oboje musimy w niej brać udział. Kiedyś, już bardzo dawno, myślałem, że nie można tego robić inaczej, że trzeba się skupić na jednym i unikać wszelkiego rozproszenia. Teraz wydaje mi się, że to było naprawdę bardzo, och, bardzo dawno temu.

- Pogadamy jeszcze i o tym... - Zapatrzyła się w niego. - Teraz to już nie ma znaczenia. Krawędź miłości - powtórzyła cichutko. - Czy ty jesteś cierpliwy?

- Jeżeli mam nadzieję, to tak - bardzo cierpliwy.

- Więc nie muszę się spieszyć z odpowiedzią?

- Nie, w żadnym razie.

- Tak, ale powiedziałaś: „Zostać kochankiem jak najprędzej”.

- To dlatego, że cię całowałem przed chwilą. A kiedy cię całuję, to chcę cię mieć zaraz, natychmiast. Były pewne oznaki, że... Nie wiem, czy wyrażę to dosyć subtelnie... No więc, zdawało mi się, że potrafisz we mnie obudzić namiętnego kochanka. Wystarczyły dwa pocałunki i objęcie za szyję.

Uśmiechnęła się bardzo leciutko i znów się zarumieniła.

- Ja także czułam coś podobnego.
- Łatwo ci mówić - rzekł z wyrzutem. - Ale to nigdy nie wiadomo.

Zaśmiała się.

- Słuchaj, znam cię już teraz na wylot. Och, jak to dobrze!

Dotknął palcami jej policzka.

- Jak to dobrze mieć kogoś, kto będzie zawsze rozumiał, o czym mówię... Ale teraz to już naprawdę muszę się czegoś napić.

Przez całą powrotną drogę trzymali się za ręce. Czasem mówił do niej: „Julie...” czasem pochylał się nad nią i całował. Podczas tego niespiesznego powrotu była niezmiernie czuła i taka bliska, jakby już należeli do siebie. U wylotu jeziora skręcili i wzięli kurs na pobliskie nabrzeże Hunter. A tam wsuwał się właśnie, niby przypomnienie o tym, co jeszcze trwało, wąż eskortowców - dwie fregaty i cztery korwety. Ciężły dziobami falę, dążąc niecierpliwie do domu po przekazaniu konwoju. Oboje patrzyli w milczeniu na okręty. Byli zupełnie blisko i fala, którą pozostawiły za sobą eskortowce, rozkołysała ich maleńką żaglówkę. Kiedy oddaliły się od nich, Julie powiedziała:

- Ty pewnie pomyślałeś: to grupa Allendale. Ale ja pomyślałam: to znowu wojna.

- Udało nam się uciec od niej na długo. - Ścisnął jej ramię. - Nie porzucisz mnie nigdy, Julie?

Jakby nie dosłyszała jego słów.

- Wiem, dokąd jutro wyjdziecie... Proszę, uważaj na siebie.

- Coś innego niż zwykle? - zdziwił się bardzo.

Powoli skinęła głową.

- To będzie najzimniejszy ze wszystkich rejsów. - Patrząc mu w oczy powtórzyła raz jeszcze: - Uważaj na siebie.

6.

Północna Rosja. Starszy podoficer Barnard, brodaty sternik na *Saltash*, przyglądając się nabrzeżom Murmańska, doszedł do wniosku, że port ten, podobnie jak większość portów, które poznał w okresie wojny, nie był wart rejsu. Blade słońce spoglądało z martwego nieba rybem, krótkowzrocznym okiem, wydobywając z beznadziejnej szarości linię drewnianego moła i śnieg rozdeptywany nieustannie na brudną maź, i gmatwaninę dachów spiętrzonych na zapleczu portu. Przynajmniej od tej strony Murmańsk nie różnił się od wielu innych portów. Chyba tym tylko, że był trochę gorzej wyposażony, że uzbrojeni strażnicy naprzykrzali się trochę więcej i że było cholernie zimno. Jednak, żeby tu dotrzeć, musieli znosić wszystkie okropności nieprzyjacielskich ataków. Stracili dwanaście statków handlowych, trzy eskortowce i ponad dwadzieścia samolotów z lotniskowców związanych z konwojem. Odbyli bardzo kosztowną, męczącą i niesłychanie urozmaiconą wycieczkę, toteż spodziewali się za to wdzięczności od Rosjan.

Barnard zaciskał gruby, włochaty płaszcz, zabijał dłonie w ciepłych rękawicach i tupał po stalowym pokładzie. W Murmańsku było niewiarygodnie zimno, więc nic dziwnego, że cieszył się swoją brodą jak nigdy przedtem. Pod tym względem cały ten rejs był okropny. Przenikliwe, obezwładniające zimno towarzyszyło im stale i wciskało się wszędzie. Jak zwykle, konwój szedł bezpieczniejszą trasą okrężną, mijał więc zalodzone obszary wokół Wyspy Niedźwiedziej i Nordkapu. Na podbiegunowym pustkowiu nie było nocy, nie było prawdziwej ciemności. Martwe, szarawe światło sączyło się nieustannie z nieba na płaskie morze, tak samo martwe i szare. *Saltash* i eskortowce z grupy, i cały konwój przypominały komplet modeli rozstawionych dla lepszego efektu na sztucznym oceanie ze szkła

i spowitych w biel płatków sztucznego śniegu. Groźny dramat zainscenizował dopiero nieprzyjaciół, uderzając mocno i szybko, nie cofając się przed żadnym podstępem i żadną nikczemnością.

Widać, że muszą posyłać te konwoje do Rosji - rozmyślał Barnard - ale, do diabła! za drogo to kosztuje. Szkopy próbowali wszystkiego w tym rejsie, no i można powiedzieć, że nie na darmo. Nie dość im było okrętów podwodnych - wprowadzili do akcji bombowce torpedujące i nurkujące, z zasadzki fiordu norweskiego wypuścili na konwój niszczyciele, nękali istnym rojem ścigaczy, chociaż to już bezczelność, żeby używać ich w Bitwie o Atlantyk. Zdawało się, że sam *Scharnhorst* wyjdzie lada moment z kryjówki i przyłączy się do tej zabawy. Jasne, że konwój miał kupę eskortowców - trzy grupy połączone, a *Saltash* nad tym wszystkim. Staremu mogła nie na żarty spuchnąć głowa. Prócz tego mieli jeszcze w odwodzie wielkie okręty. Trzy krążowniki i pancernik czaiły się dalej na północ, gotowe w razie czego doskoczyć. Ale tylko pomyśleć - niechby *Scharnhorst* z 355-milimetrowymi działami w czterech wieżach wdarł się między statki handlowe, zanim własny pancernik wszedłby w zasięg działania... Jeśli już mówić o przewadze ognia, to wystarczyły niemieckie niszczyciele.

Kto wie - wspominał Barnard - czy niszczyciele nie były najgorsze. Pędziły od północnego wschodu z okropnym szumem, trzy diabły wielkie jak krążowniki. Walily szykiem torowym, a potem obróciły się burtą do konwoju i jak nie pluną ogniem w najbliższe statki! Jedna korweta od razu zafasowała swoje. Pruła prosto jak strzelił na czołowy okręt nieprzyjacielski. Odważna, mała bestia. Za to zmiotli ją z morza, zanim zdążyła podejść na odległość strzału ze swoich dział. Korwety nic nie mogły poradzić przeciwko niszczycielom, a fregaty, prawdę mówiąc, także niewiele. *Saltash* skoczyła naprzód, żeby się wmieszać do walki.

Po drodze cała załoga robiła w portki ze strachu. Niszczyciele, działa 152-milimetrowe...

Na szczęście stary musiał nadać sygnał od razu, jak tylko się pokazały, bo zanim do czego doszło, dwa nasze krążowniki już wyszły zza horyzontu, a niszczyciele znikły jak kamfora, nie czekały, aż je poproszą. I tak dość szkody narobiły - jedna korweta zatopiona, trzy statki poszły z ogniem. Ale mogło być jeszcze o wiele gorzej. A tymczasem nie wróciły już więcej, ani tego samego dnia, ani później.

Nie wiadomo - zastanawiał się Barnard - czy bombowce torpedujące nie były gorsze od niszczycieli. Dla *Saltash* i dla innych okrętów jedne i drugie były nowym, nie znanym wrogiem, ale bombowce przylatywały co dzień przez jedenaście dni z rzędu i w końcu mieli już dość wszystkiego. Czasem leciały wysoko nad konwojem i nic się właściwie nie działo, dopóki bomby nie zaczynały walić. Wtedy dopiero całe morze wyskakiwało do nieba, a statki stawały w kłębach dymu. Czasem bombowce nurkujące z okropnym wizgiem spadały z góry na konwój i w ostatnim momencie spłaszczają lot. Ale najczęściej atakowały samoloty torpedujące. Najtrudniej było je wytropić. Leciały nisko, nad samą wodą - małe plamki, ledwie widoczne w szarej poświacie. A potem zaczynały tak chytrze kluczyć, że ani rusz nie można ich było utrzymać na celowniku. I nagle - całkiem z bliska, tylko ręką sięgnąć, z tak bliska, że już wcale nie było czasu się wymknąć - wyrzucały torpedy i natychmiast wyrzywały do diabła, a człowiek jeszcze czekał: trafi czy nie trafi. *Saltash* zestrzeliła jednego Niemca z czterdziestkisiódemki, ale cóż znaczy jeden bombowiec! Ataki torpedowe trwały przez jedenaście dni, a co dzień było ich cztery. Ledwie bombowce doleciały z powrotem do Norwegii i nabrały benzyny, już znów nadlatywały mrowiem z każdej strony świata - dwanaście albo dwadzieścia naraz. Wypuszczały te swoje rybki wokół konwoju i oczywiście zawsze

musiały w coś trafić. A jak już który statek dostał taką rybkę z nieba i poszedł na dno, to biedni chłopcy z załogi niewiele się mogli spodziewać przy takim zimnie.

Kto wie - rozważał Barnard - czy ten mróz nie był najgorszy. Gorszy od niszczycieli i od bombowców. Bo mróz był wszędzie - na zewnątrz i w środku okrętu. Człowiek nie mógł się zagrzać, choćby się położył w kuchni na płycie. Tony śniegu odrzucali z górnego pokładu, po dziesięć razy topili węzem parowym lód, który narósł na działach, a mało brakowało, żeby sam wąż nie zamarznął. W pobliżu lodów, gdzieś na wysokości Nordkapu, zerwał się lekki wiatr i wtedy mróz zaczął palić tak, jakby kto tarką skrobał po twarzy obłupionej ze skóry. Jeden z marynarzy zdjął rękawice, żeby otworzyć skrzynkę z amunicją, i oddał z dłoni skórę - przylepiła się do skrzynki jak połówka czerwonej rękawiczki. Marynarz tak jej się przypatrywał, jakby to był jakiś ciekawy eksponat na wystawie sklepowej. Ale im nie było jeszcze najgorzej. W każdym razie nie tak, jak tym biedakom, splukany do morza.

Nie mogli wyżyć dłużej niż parę minut, bo mróz sięgał do serca, jak tylko ciało zetknęło się z wodą. Barnard zapamiętał zwłaszcza jedno zdarzenie. Samolot *seafire* wystartował z ich lotniskowca, by przeciąć drogę lecącym wysoko bombowcom, ale coś mu się stało i pilot musiał wyskoczyć przed czołem konwoju. Spadochron jeszcze wisiał w powietrzu, kiedy od *Saltash* odbiła łódź i szła na wiosłach do miejsca, gdzie miał spaść lotnik - o jakąś milę od fregaty. Mila przy tej pogodzie to bardzo daleko. Pilot usiadł na wodzie i machał do nich ręką, a z łodzi machali do niego. W ciągu niecałych trzech minut podpłynęli, ale przez te trzy minuty zdążył zamarznąć na śmierć i zeszywnieć jak deska. Tak musiałeś, człowieku, umierać w tych zakazanych stronach - w trzy minuty, między machnięciem ręki a ratunkiem, między żywym uśmiechem a trupim wyszczerzeniem zębów.

Zagubiony w niezbyt wesołych myślach, Barnard spostrzegł się nagle, że podszedł do niego porucznik Allingham, oficer artylerii. Byli dobrymi przyjaciółmi, więc uśmiechnęli się do siebie i bez słowa oparli się jeden przy drugim na relingu. Patrzyli w dół, na nabrzeże, gdzie rosyjski wartownik dochodził właśnie do końca swego odcinka. Uzbrojona postać zastygła, nieruchoma jak głaz, na cyplu kontynentu osnutego mgłą baśni. Obaj obserwowali go przez chwilę. Allingham westchnął i rozprostował plecy.

- Przyglądamy się Rosji, bosmanie?

- Tak to mniej więcej jest. A Rosja nam się przygląda, jak to Rosja.

Ruchem głowy wskazał zbrojnego strażnika, który patrzył nieruchomym spojrzeniem spod stalowego hełmu o dziwnym kształcie, jakby mówił oczami: „Spróbujcie tylko zejść! Spróbujcie podejść ze swoim okrętem o cal bliżej do mojej ojczyzny!” Znudzony tym wpatrywaniem się w niego, Barnard zamachał przyjaźnie ręką.

- Jak się masz, towarzyszcz! - zawołał głośno.

Rosjanin szybko obejrzał się w prawo, potem w lewo i znów zeszytniał w pierwotnej postawie.

- Churchill! - odpowiedział konspiracyjnie. Ale na jego twarzy nie pojawił się uśmiech.

- Churchill! - powtórzył Barnard zachęcającym tonem. Ale potem potrząsnął głową. - Dziwacznicy ludzie, panie poruczniku. Wcale się z nimi nie dogadasz. W kantine kilku chłopaków już się zabrało do bicia. Oni jakby nie chcieli wiedzieć, że my...

- Ja też się spodziewałem czegoś innego - rzekł Allingham wymijająco.

- No cóż, nie możemy wymagać, żeby byli tacy sami jak my.

Barnard pokiwał głową:

- Daleko stąd do domu... A pan porucznik ma jeszcze dalej do swojego.

- Pewnie że dalej... Pomyśleć, człowiek pchał się taki szmat świata, a za to zbiera tylko naloty co rano i co wieczór.

- A cośmy przeszli, żeby się tutaj dopchać! - Barnard głęboko zaczerpnął tchu. - Dowódca musi być całkiem wypompowany.

- Ba!... Ja sam mógłbym spać cały tydzień. I żeby nie te cholerne naloty, na pewno bym spał.

- Może nas tu więcej nie wyślą? Uczciwie mówiąc, czy pan porucznik uważa, że to naprawdę konieczne?

- Oczywiście że tak. Widzicie, Rosjanom potrzeba sprzętu, a biją się jak diabły. I do tej pory Rosja to pierwszy kraj, gdzie Niemcy dostają ciężki. - Allingham zatoczył szeroki łuk ręką, obejmując tym ruchem zdeptaną maź na nabrzeżu, dalekie miasto w okowach lodu i czujną postać wartownika, którego stopy uwięzły w śniegu. - Trudno to sobie wyobrazić, kiedy jesteśmy tutaj. Ale tam w głębi - wskazał palcem gdzieś na południe - tam się dzieją wspaniałe rzeczy. A jeżeli Rosjanom uda się zrobić jeszcze jeden Stalingrad albo dwa, jeżeli my potrafimy im pomóc tą drogą, to zbliży się nareszcie koniec tej wojny. Więc chyba warto odrobić parę rejsów takich jak ten.

- Warto, ale czy oni aby rozumieją, co to znaczy dostać się tutaj, co za rejs musieliśmy odwalić, żeby tu przyjść?

Znów ruchem głowy wskazał na wartownika tkwiącego w śniegu.

- Niech pan porucznik spojrzy na tego faceta. Trudno powiedzieć, żeby nas witał serdecznie.

- Może to i dlatego, że oni naprawdę ciężko walczą, a my... Tego, co my zrobiliśmy dotychczas, jakoś nie widać na mapie. Oni chcą tylko wiedzieć, czy ruszyliśmy z drugim frontem, i póki

o tym nie przeczytają w gazecie, póty będą uważać, że zbijamy baki.

- Tak, ale wszystko jedno... - Barnard zmarszczył niechętnie czoło. - To dziwni ludzie. Pamięta pan porucznik, jakeśmy chcieli zamocować tę cumę, zaraz jak tylko weszliśmy do portu? Nie dali zejść naszym chłopakom na nabrzeże, aż dopiero ten ich oficer wszedł na okręt i skontrolował.

Mimo woli Allingham mu przytaknął:

- Taak, dosyć to dziko wygląda. Bo jakby oni zawinęli do Sydney, to może tak od razu nikt by nie leciał ich całować, ale w każdym razie krzyknęłoby się do faceta: „Halo, jak się masz, bracie!” i postawiłoby się jednego.

- A co się pije na przykład w Sydney?

- Piwo, masami piwo.

- Próbował pan porucznik ich wódki?

- Tak, raz próbowałem. Nic dziwnego, że mają potem ponure miny.

Jęk syren alarmowych wdrążył się w ciszę, zwiastując po raz trzeci od rana nieprzyjacielski nalot. W chwilę potem zabrzmiały klaksony alarmowe na *Saltash*. Fregata poderwała się czujnie, popołudniowa drzemka przepadła i dziś, jak tylekroć przedtem.

Wartownik na nabrzeżu cofnął się parę kroków do budki obłożonej workami piasku. W pobliżu odezwały się działa przeciwlotnicze, a niskie, szare niebo rozedrgało się równym warkotem silników. Jak zwykle, trzeba będzie odbębnić nadprogramową rundę z nieprzyjacielem zamiast odpoczywać w spokoju.

- Murmańsk! - Allingham skrzywił się z obrzydzeniem. - Nie dali spać po drodze i teraz też nie dadzą. Im prędzej się wyniesiemy, tym lepiej.

Barnard uśmiechnął się szeroko.

- Przecież nie poradzimy raz za razem, bez odpoczynku w środku.

- Ej, bosmanie - dosolił Allingham żart podoficera - każda dziewczynka tak powiada...

Głosem, w którym drżał jeszcze śmiech, zaczął obrabiać swych artylerzystów, szykując ich do akcji. Wartownik na nabrzeżu patrzył i słuchał marionetek z obcego świata, i czujnie strzegł swojego.

Lockhart niejedną raz miał scysje z rosyjskim tłumaczem. Ten mały, zapalczywy człowieczek uważał najoczywściej każde żądanie w zakresie zaopatrzenia czy usług za jeszcze jeden przykład bezwzględного wyzysku mas pracujących przez kapitalistów w lśniących cylindrach. Ostatniego dnia rano, na godzinę przed wyjściem, wybuchła pomiędzy nimi taka wściekła i taka generalna kłótnia, że zapomnieli zupełnie, od czego się zaczęła - od skargi na jakość świeżego mięsa, dostarczonego dla *Saltash* na rejs powrotny. Zasięg tej burzliwej wymiany zdań był bardzo szeroki - od porównania zaopatrzenia w Rosji i w Wielkiej Brytanii do szczegółowej analizy zasług wojennych jednej i drugiej strony. Obaj wytrząsali sobie nawzajem pięściami przed nosem, bo Lockhart zaraził się tym sposobem akcentowania swych myśli. Na koniec tłumacz z okrutnym trzaskiem opuścił okręt. Stojąc u szczytu trapu, odwrócił się jeszcze z ostatnim pożegnaniem.

[...]

Akt drugi. Burza na morzu. Ukazuje się okręt ciężko walczący z falą... Ale nawet tak prostej wskazówki reżyserskiej nie można by usłuchać, bo okręt nie mógł się zjawić. Żaden okręt nie zdołałby się posunąć ani o cal naprzód na takiej scenie. To sama scena przedstawiająca sztorm musiałaby się przenieść, by spotkać się z okrętem, lecz takie odwrócenie praw rządzących naturą nie było przecież możliwe. Ericson doszedł do tego wniosku, gdy piąty z kolei rano wstał nad okrętem toczącym beznadziejną walkę o drogę na południe, choćby już tylko do Islandii. Zagroziła im drogę najzłośliwsza pogoda w tej wojnie, najgorsza, jaka może się zdarzyć.

To nie był tylko gwałtowny sztorm, to było wielkie, huczące pole bitwy, przez które statki przelatywały jak strzępy poszarpanej gazety. Konwój już przestał być konwojem, a statek zaledwie jeszcze był statkiem - usidlony, zaszczyty wyciem rozkołysanej pustyni. Siła wiatru wiejącego z południa wzrastała z każdym dniem, nabrzmiewała wściekłością, przed którą nie mogło być ucieczki. Zdawało się, że każdy statek to zrozpaczony zbieg, skazany na zlinczowanie przez tłuszcę, której mrukliwa niechęć przeobraziła się w ślepe szaleństwo.

Olbrzymie fale ze spienionymi grzbietami, o milę jeden od drugiego, szły z rykiem na maleńkich pigmejów, którzy mieli stać się ich łupem. Czasem cała powierzchnia morza porywała się z wiatrem, a statek zabłąkany na drodze tego ataku stękał w wiązaniach i zataczał się, gdy masa zielonej wody uderzała wielotonowym ciężarem o górny pokład i pędziła wzdłuż niego rozszalałym potokiem. Roztrzaskiwała łodzie ratunkowe, wgniatała blachy kominów, miażdżyła pomosty i nadbudówki. Ludzie ginęli za burtą bez śladu i bez jednego krzyku, wymyć z życia jak liczby starte z tablicy jednym zdecydowanym ruchem. Jeśli nawet ustawały na chwilę ciosy zielonej fali, to serca truchlały od wycia wichru szarpiącego potężnymi szponami

olinowanie. Bo skoro mógł porywać różne przedmioty z pokładu i brezentowe zasłony, to potrafił zmieścić wściekłym podmuchem i ludzi. Załoga *Saltash* nie myślała już o konwoju ani o innych okrętach swej grupy, tylko o sobie. Wpadli w sidła straszliwych nocy i dni, które mogły ich zmiażdżyć brutalną przemocą. Normalnie *Saltash* dobrze się sprawowała na morzu, przeszła niejeden sztorm i często używała pomocy statkom, które znalazły się w biedzie. Teraz, myśląc tylko o sobie, walczyła ze wszystkich sił, by wytrwać na powierzchni. Rozpaczliwie znużona, godzina za godziną i dzień za dniem szarpała się, wyczyniała cudaczne skoki, nie chciała za nic ulec przemocy, nie chciała się dać przewrócić.

A przez cały ten czas czyjaś złośliwa i monotonna fantazja kazała grać głośnikom okrętowym, połączonym z gramofonem na dole, miłą melodię do słów: „Któż to, ach, kto kołysze marzeń moich łódź”.

Oficerowie radzili sobie jak mogli z kłopotami specjalnego gatunku, poza tymi, które trapiły wszystkich członków załogi - jak jeść, żeby jedzenie nie wyskoczyło z talerza na twarz, jak spać, żeby nie zwalić się z koi na podłogę, jak się osuszyć i zagrzać po czterogodzinnej wachcie? A przede wszystkim - jak się ustrzec przed potłuczeniem i ranami?

Doktor Scott-Brown miał pełne ręce roboty przy różnych ofiarach sztormu. Nie było prawie godziny, żeby nie musiał opatrywać skaleczeń, unieruchamiać złamanych żeber lub pielęgnować chorych na morską chorobę, która mogła odebrać człowiekowi ochotę do życia. Ale najcięższym przypadkiem, który nawet w dobrze wyposażonej sali operacyjnej na lądzie wymagałby całej jego cierpliwej sztuki, był marynarz wyrzucony gwałtownym przechyłem spod jednej ściany pomieszczenia aż pod przeciwną ścianę. Ładując strzaskał sobie kolano w kawałki.

Główny mechanik Johnson musiał borykać się z kłopotliwym zadaniem, które wymagało nieustannej czujności. Fregata w swym pijanym tańcu na fali co drugi takt podrzucała rufą do góry, co groziło wynurzeniem się śrub i połamaniem wału, gdyby zawór dławiący nie został natychmiast zamknięty.

Raikes, jako oficer nawigacyjny, miał naprawdę beznadziejne zadanie. Od kilku dni słońce nie błysnęło ani na chwilę, nie pokazała się gwiazda, nie było żadnej ustalonej szybkości, która by pozwoliła choć w przybliżeniu zliczyć pozycję. Gdzie była *Saltash* po pięciu dniach i nocach walki z chaosem, to można było tylko zgadywać. Równie dobrze jak on, mógł to odgadnąć pierwszy lepszy marynarz z maszyny, byle miał w ręku szpilkę, by ją wetknąć w mapę. Jedyne przybliżenie, do którego mógł dojść, to to, że kołaczą się gdzieś przy kole podbiegunowym, sześćdziesiąt stopni z kawałkiem szerokości północnej i nie wiadomo, ile stopni długości zachodniej. *Saltash* obijała się w tych niewyraźnych granicach, powolutku dryfując wstecz, w ponurym trójkącie między Islandią, wyspą Jan Mayen a Norwegią.

Organizacja pracy na okręcie należała, jak zwykle do obowiązków Lockharta. Ale teraz organizacja pracy zakrawała na przykry kawał. W międzypokładzie panował chaos: mesa oficerska była nie do użytku, pomieszczenia załogi - istna rozpacz. Nie można było nic ugotować ani wysuszyć odzieży, ani znaleźć chwili wytchnienia pod ciosami nieubłaganej pięści sztormu. Najróżniejsze przedmioty urywały się na pokładzie, łódzie wyskakiwały z zamocowań i rozbijały się w drzazgi, tony wody zwały się w różnych punktach na *Saltash*.

Lockhart witał już pełnym ufności spojrzeniem tysiąc świtów wstających nad oceanem, lecz teraz bał się tego, co może ujrzyć przy końcu wachty, gdy światło dnia przebiję się przez niskie, nasępione chmury i odsłoni mu okręt. Górny pokład wymieciony

do czysta, cała trzydziestka wachtowych marynarzy splukana w morze - oto główne zarysy tego koszmaru na jawie, który na jedno skinienie losu mógł się zamienić w nagą prawdę.

Saltash walczyła ciężko, *Saltash* stękała i zataczała się bezsilnie, storturowana *Saltash* stawiała każdego ranka wobec tej samej nieustępliwej grozy. On zaś i wszyscy inni musieli trwać i mogli tylko przeklinać okrutne morze.

Nikt nie przeklinał go z większą słusnością i mniej demonstracyjnie niż Ericson. Uwięziwszy sam siebie w kącie pomostu, raz jeszcze powrócił do tradycyjnej roli tego, który swoją osobą utrzymuje jedność okrętu i załogi. Po pięciu dobach sztormu był tak wyczerpany, że stracił nawet uczucie wyczerpania. Zakotwiczony w pokładzie nogami ciężkimi jak ołów i namokłymi butami, wczepiony w reling rękami zdrętwiałymi od zimna, wrósł jakby w okręt i stał się jego częścią - parą uważnych oczu i czujnym mózgiem wtopionym w organizm *Saltash*. W drodze na północ, do Murmańska, umysł jego musiał wyczyniać akrobatyczne sztuki, by dobrze pokierować dwudziestu okrętami eskorty i odeprzeć trzy czy cztery rozmaite ataki. Z kolei potworna udręka sztormu atakowała jego ciało, podkopywała hart fizyczny, wypracowany w ciągu całego życia, lecz nigdy jeszcze nie wystawiony na równie ciężką próbę.

Ogłuszony hałasem, obity, potłuczony wściekłymi uderzeniami, ciskany i podrzucany bez końca, musiał patrzeć i czuć, jak jego okręt znosi z nim razem tę poniewierkę.

Obraz, na który patrzył z pomostu, był zawsze jednakowo bezmyślny w swym rozpasaniu. W dzień widział milę kwadratową wzburzonej powierzchni morza. Zalewały ją gigantyczne fale, podobne do gór osuwających się na płaskie doliny. Tumany pyłu wodnego i piany przelatywały powietrzem, przed fregatą otwierała się przepaść, jakby cały ocean łakomie

rozwierał paszczę, żeby ją połknąć. Na szarym tle nieba maszt podskakiwał, zapadał się i kołysał zawrotnym łukiem, potrząsał antenami i flaglinkami, jakby chciał nimi smagać złe i niesforne morze. Noc przynosiła z sobą grozę niewiadomego. Noc była czarna jak smoła, nieprzenikniona dla oka, pełna przerażających hałasów i nagłych, zdradliwych niespodzianek. W nocy fala rzucała się na *Saltash* z niewiadomej zasadzki, kłujące bryzgi siekły w oczy i twarz, nim człowiek się uchylił. Każdy cios trafiał w okręt zagubiony w ciemności. *Saltash* wyskakiwała w górę i kładła się na burtę, i walczyła. Wzdrygała się pod uderzeniem i zgrzytała żałośnie. Z śmiertelnym dreszczem pogrążała się w otchłań, brała na siebie srogi ładunek wody spadającej z hukiem walącego się domu, a potem wolno, z rozpaczliwym wysiłkiem podnosiła się, spychała ciężar wody, otrząsała się - już znowu wolna i znów gotowa przyjąć następny cios.

Ericson patrzył i cierpiał z nią razem, i czuł jej ból we własnym ciele. Nade wszystko przeżywał mękę znojnego powstawania pod miazdzącym ciężarem i często ogarniał go lęk, lęk bezgraniczny, że *Saltash* nie potrafi się podnieść. W taką pogodę niejeden statek zatonął bez śladu. Statki poddawały się nieraz i upadały pod karzącym batogiem, tak jak i ludzie.

Tutaj, w odsuniętym na północ kącie świata, gdy oszalały sztorm zerwał się rycząc z łańcucha i zakipiało morze, tutaj mógł nastąpić ich koniec. Tu, gdzie być może do dzisiejszego dnia błakają się na wodzie trupy tych z *Compass Rose*, tutaj i on może się z nimi połączyć i pociągnąć za sobą załogę następnego okrętu.

Nie ruszał się ze swego miejsca na pomoście, czekał, aż to nastąpi albo też nie nastąpi. Był parą oczu zaczerwienionych, obolałych od wiatru i słonej wody. Był mózgiem umęczonym i chwiejnym, ale przez siłę wtłoczonym w koryto czujności. Czasem był głosem wołającym do sternika na dole, aby się przygotował na nowe uderzenie zacieklej pięści. Był kłębkem

strachu i jądrem samoopanowania, wciśniętym w ciało, które z początku przewyciężał i maltretował, a potem musiał po prostu przestać o nim myśleć.

Żaden sztorm o tak straszliwej sile nie może trwać bez końca, bo kula ziemską rozleciałaby się od tego w kawałki. Korzystając niechętnie z prawa łaski, pogoda odmieniła się wreszcie na lepsze. Wprawdzie morze było ciągle wzburzone i niespokojne, ale już zaniechało napaści. Wiatr jeszcze gwizdał przeraźliwie, ale już stracił wilcze kły i pazury. *Saltash* kołysała się jeszcze i zataczała, ale mogła przynajmniej iść ustalonym kursem. Nadszedł nareszcie dzień, gdy górny pokład zaczął powoli wysychać i można się było zabrać do porządków na dole. Można było przyrzadzić i zjeść spokojnie gorącą strawę. Marynarz dostawał się z pomieszczeń na pomost nie przedzierając się przez kipieli zielonej wody, która mogła nim cisnąć o burtę albo... za burtę. Dowódca mógł zejść z pomostu na więcej niż pół wachty i przespać jednym ciągiem przeszło godzinę. Po raz pierwszy od dawna słońce przebiło kożuch chmur i rozelśniło szarą powierzchnię morza. Musnęło ciepłym dotknięciem ramiona ludzi ubranych w grube płaszcze i rozesłało cieniutką mgiełkę pary na obsychających pokładach. Słońce pokazało im trzy - dokładnie trzy - statki w zasięgu widzenia, to znaczy na przestrzeni około stu mil kwadratowych, na której powinni byli naliczyć pięćdziesiąt cztery, ustawione w porządnym szyku konwojowym.

Ale chyba nie należało się tego spodziewać... Zbieranie rozproszonego konwoju zajęło *Saltash* prawie dwie doby. Przeszukiwała morze w dziesięciu różnych kierunkach, idąc stale z przeciętną szybkością dwudziestu węzłów. Nie ułatwiał jej tego zadania fakt, że wszystkie inne okręty robiły jednocześnie to samo, usiłując zebrać w jedną gromadę statki handlowe błakające

się w bezpośrednim sąsiedztwie. W rezultacie sześć maleńkich konwojów, liczących po kilka statków, starało się przywabić nowe owieczki do własnej, jedynie prawdziwej owczarni, a każdy płynął odmiennym kursem. Gdy *Saltash* natknęła się na drugą fregatę - *Streamer*, prowadzącą pięć statków handlowych, nadała do niej sygnał: „Namiar konwoju dwieście, odległość od was czternaście mil”. Lecz *Streamer* odpowiedziała sygnałem: „Konwój jest tutaj”. Zmordowany dowódca grupy, ledwie trzymający na wodzy swe nerwy, miał ogromną ochotę skorzystać z tej chwili brzemiennej w możliwości.

Nie mógł sobie jednak pozwolić na luksus najmniejszej zwłoki. Zwięzłe rozkazy nadane do *Streamer* nie były ani brutalne, ani też ironiczne, były po prostu jednoznaczne i nie dopuszczały dyskusji. Były logicznym uzupełnieniem wszystkich innych stanowczych rozkazów, które wydał w ciągu ostatnich dwóch dni i dzięki którym mógł oto znów panować nad sytuacją. *Saltash* znów stanęła na czele czegoś w rodzaju konwoju - wprowadzie żałośnie pobitego i wlokącego się niezdarnie, lecz będącego zespołem statków, o którym mógł uczciwie zameldować Admiralicji jako o konwoju RC 17. Ericson przesłał meldunek, wydał okrętom eskortowym polecenia w sprawie stanowisk na czas nocy, przekazał *Saltash* Allinghamowi, który był oficerem wachtowym, i nareszcie, z uczuciem oszołomienia i wdzięczności, zmusił swe obolałe ciało do zejścia na dół do cichej przystani kabiny, po wyęskniony sen.

Morze burzyło się jeszcze, lecz skoro konwój był cały i znów w jakim takim porządku, parę następnych godzin zapowiadało się znośnie i kusiło nadzieją - nadzieją zapomnienia.

Wtem, mniej niż o milę za rufą *Saltash*, torpeda trafiła w statek.

Ericson pogrążył się w niewysłowioną słodycz pierwszego snu, gdy zabrzmiały klaksony na alarm. W pierwszej sekundzie nie mógł w to uwierzyć, ale gdy nienawistny dźwięk wwierał się

coraz głębiej w zwoje mózgowe, nagle fala wściekłości i bolesnego zawodu omal nie wylała się łzami pokrzywdzonego dziecka. Za dużo już tego było, za dużo na ludzkie siły. Dźwignął się z koi i pobiegł za innymi znowu na pomost. Czuł tylko bezgraniczne znużenie i odrętwienie mózgu, brutalnie wyszarpiętego ze snu, którego pożałował nade wszystko. W jaki sposób człowiek i okręt mieli temu podołać? Jak można żądać, by walczyli jeszcze przeciwko czemuś, poza morzem i wiatrem?

A jednak zapowiadało się, że będą musieli walczyć. Sztorm jakby tylko po to ustąpił, by nowy nieprzyjaciel, przyczajony za sceną, mógł na nią wypaść z nowym ładunkiem przemocy i zdrady. Widok, jaki powitał Ericsona, był mu znany ze stu poprzednich rejsów.

Statki w normalnym szyku, zmierzch rozsnuwa pomiędzy nimi swą przędzę, rozkołysane morze. I nagle - szpetna luka oznaczająca katastrofę: jeden statek skrzydłowy odpada od kolumny i przechyla się ugodzony śmiertelnie, już skazany na zgubę. Był to nieduży statek.

Przed ostateczną klęską musiał przejść gorsze piekło niż inne statki konwoju, walcząc pięć dni ze sztormem. Ericson spojrział na Allinghama.

- Co to się stało, poruczniku?

- Wiem tylko tyle, że dostał. - Jak zwykle w chwilach podniecenia, australijski akcent brzmiał szczególnie wyraźnie w wymowie Allinghama i dziwnie uspokajał. - Minutę temu wystrzelili rakietę alarmującą. Ale jaką diabelską sztuką tamci mogli trafić przy tej pogodzie?

- Hm... - mruknął Ericson. On sam zadał już sobie to pytanie, ale nie było celu łamać sobie głowy nad tymi rzeczami. Prawdopodobnie chodziło o nową broń. Podobno okręty podwodne mogą wystrzelać torpedy pionowo z dna oceanu i

trafić prosto w brzuch statku. Można by nawet obmyślić jakąś ładną, kwiecistą nazwę dla tej broni. Lecz nie ma sensu dziwić się czemukolwiek w tej krwawej i nieskończenie długiej wojnie. - Jaki okręt jest na tym skrzydle?

- *Pergola*, panie komandorze. Już przeszukuje po prawej.

Ericson znów tylko mruknął. To wszystko, co mogli na razie zrobić. *Pergola* mogła przetrząsnąć podejrzany obszar, eskortowiec idący na tyle mógł wyłowić rozbitków, *Saltash* mogła iść dalej na czele konwoju, on sam zaś mógł o tym myśleć na zimno, z nieubłaganą logiką. Spostrzegł, że Allingham patrzy na niego nie ukrywając współczucia, że widzi zaczerwienione oczy, wpółzagubione we śnie, obrzmiałą twarz i drgający mięsień na policzku - wszystkie oznaki wyczerpania, o których Ericson sam dobrze wiedział, lecz nie potrafił ich ukryć. Uśmiechnął się żałośnie.

- Ledwie trochę zasnąłem.

- To pech, panie komandorze. - Allingham milczał przez chwilę.

- Mam iść na dziób, czy może zostanę na pomoście?

Ericson znów się uśmiechnął odgadując myśl porucznika.

- Niech pan zejdzie na dziób, ja przejmę okręt.

Po zejściu Allinghama cisza zaległa pomost. Ludzie trwali na stanowiskach bojowych. Ericson obserwował konwój, Lockhart - tonący statek, Holt wraz z sygnalistami obserwowali *Pergola*, marynarze na oku pilnowali każdy swego sektora, a goniec wpatrywał się w Ericsona. Był to zamknięty krąg mężczyzn bezczynnych w niebezpieczeństwie, w chwili gdy ruch i działanie byłyby dla nich ulgą. Krąg ludzi na pomoście okrętu, który - być może - postępował wcale nie tak jak trzeba, bo nie miał tropu. Gdy Ericson nagle i głośno powiedział: „Będziemy czekać”, to słowa te miały nie tylko objaśnić otaczających go ludzi, lecz zarazem położyć kres własnej niepewności.

Ale niedługo czekali. Podchorąży nagle krzyknął i zaraz zameldował pośpiesznie:

- *Pergola* podniosła sygnał! - Przez lornetkę wpatrywał się w korwetę. Ryla dziobem ocean na prawo od konwoju, jak terier węszący za śladem: - Duża flaga, panie komandorze.

Starszy sygnalista zawołał:

- *Pergola* złapała kontakt!

„Grosza bym za to nie dał” - pomyślał Ericson, ale zachował to dla siebie. *Pergola* była młoda i skłonna do entuzjazmu, gotowa poczęstować bombami niewinną kępę wodorostów lub ławicę sardynek. Lecz nie zamierzał jej zniechęcać. Wszak bomby głębinowe są tanie, a statki i ludzie nie... Teraz już wszyscy oprócz sumiennych marynarzy na oku, przywiązanych każdy do swojego sektora, patrzyli w stronę Pergoli. W odległości trzech mil od prawego skrzydła konwoju szła łukiem, oddalając się szybko od niego. Skakała i zataczała się na fali, a wielkie bryzgi, wyrzucane zwiększoną szybkością, przelatywały nad pomostem. Gazuje całą naprzód - stwierdził Ericson z uznaniem. - Ma najwyraźniej zamiar wypuścić coś na wszelki wypadek. Ledwie to zdążył pomyśleć i westchnąć, by *Saltash* także mogła mieć taką okazję, gdy znów zatrzepotała flaga na rei Pergoli, a starszy sygnalista zawołał:

- *Pergola* atakuje, panie komandorze!

Patrzyli w pełnym napięcia oczekiwaniu. Czy aby asdic dał dosyć twarde echo? Orientowali się dobrze, jak trudno na korwecie odbezpieczyć i wyrzucić bomby za rufę przy maksymalnej szybkości na tak wzburzonym morzu. *Compass Rose* to samo wyprawiała - wspomniał Lockhart, widząc, jak *Pergola* przechyla się głęboko na burtę i nabiera na rufę solidny ładunek wody. - *Compass Rose* miała niemiły zwyczaj gnać do ataku zamiatając morze uchem i jedną nogą, a biedny Ferraby

tańczył wtedy i skakał koło wyrzutni, szykując bomby do akcji przy pomocy kilku niezdarnych maszynistów, pod ostrzałem zgryźliwych uwag lecących z pomostu. Dobrze było zaawansować z korwety.

Lockhart spoglądał na *Pergola* i wspominał. Holt i sygnaliści wypatrywali wprawnym okiem sygnału. Niżej, pochylony nad stołem do map, oficer nawigacyjny Raikes obserwował ją na ekranie radaru. Ericson śledził ruchy korwety z serdeczną troską gospodarza. Dla niego *Pergola* była przedłużeniem własnego uzbrojonego ramienia, stalowym palcem wysuniętym przez *Saltash*, by odnaleźć i zabić wroga. Storpedowany statek należał do niego i *Pergola* także. Gdyby jej się udało wyrównać tamten rachunek, honor eskorty byłby ocalony, przycichłoby uczucie klęski dręczące omdlały umysł. Wtedy mógłby znów zasnąć.

Pergola parła naprzód niby pociąg pośpieszny pędzący przez zwrotnice. Widzieli, jak wyrzuciła bomby i natychmiast łukiem odeszła w lewo. W parę chwil później strzeliły w niebo słupy szarozielonej wody. Kiedy opadł już tuman wzniecony wybuchem, czekali nie odwracając lornetek od miejsca kaźni, ale powierzchnia morza wyglądała niewinnie: czarny, wyczekiwany kształt nie ukazał się na niej. *Pergola* wracała ze zmniejszoną szybkością, niepewna, podobna do chłopczyka, który narobił za dużo krzyku w salonie u mamusi i chciałby wrócić po cichutku do dziecinnego pokoju. Po chwili trzecia flaga podniosła się nad pomost.

- Od Pergoli, panie komandorze - meldował starszy sygnalista. - „Kontakt zgubiony”.

- Zawezwijcie ich - rzekł Ericson. - Nadajcie sygnał: „Przeszukiwać dalej ten obszar. Określić jakość pierwszego echa”.

Reflektorki zamigotały na obu okrętach.

„Echo twarde. Posuwało się w lewo. Mogło oznaczać tylko okręt podwodny”. - Taka była odpowiedź Pergoli.

„A co teraz o tym myślicie?” - brzmiało następne pytanie Ericsona.

„Teraz też myślę, że to był okręt podwodny” - odpowiedział po męsku dowódca korwety. I dodał, jakby z niewinnym uśmiechem: „Bo tam powinien być okręt podwodny”.

„No tak” - pomyślał Ericson. - „Co do tego ja też się zgadzam.” Atak nastąpił niewątpliwie z tej strony i okręt podwodny powinien był umykać na prawo właśnie tym kursem, po którym szła *Pergola*. Zatem mógł się znajdować mniej więcej tam, gdzie *Pergola* wyrzuciła swe bomby. A skoro tak, to warto pozostawić korwetę na miejscu i kazać jej tropić dalej. Właściwie - ubodła go nagła myśl niby ostroga - warto samemu tam skoczyć i zapolować w dwa okręty. Co prawda ryzykował wyrывая dwa eskortowce z osłony, lecz nie sądził, aby okręt podwodny był w większym towarzystwie. Przy tej pogodzie można było wysledzić konwój tylko przypadkiem i tylko z bliska, lecz w takim razie nie było czasu na przywołanie innych okrętów podwodnych dla podjęcia zbiorowego ataku. A zatem był to samotny wilk. Raz tylko szybko zatopił kły w ofierze i umykał z powrotem do lasu. Takim samotnym wilkom należały się względy i szczególna uwaga. Warto było podjąć ryzyko.

Plan akcji miał już gotowy w głowie. Widocznie, mimo bezmiernego zmęczenia, wystarczyło pociśnąć guzik z napisem: „Przydzielić dwa eskortowce do niezależnych poszukiwań”, aby natychmiast wyskoczyła karta z kompletem wypisanych na niej rozkazów operacyjnych. Dyktował jednym tchem niezbędne polecenia, a trzech sygnaliści nadawali je równocześnie. Sygnały do Admiralicji i do komodora konwoju informowały o tym, co się dzieje. Sygnał do *Harmer* przekazywał jej właśnie dowództwo grupy. *Pergola* dostała rozkaz dalszego tropienia aż do nadejścia

Saltash. Rose Arbour miała zająć stanowisko Pergoli w osłonie konwoju. Fregata *Streamer* miała z rozkazu dowódcy grupy wykończyć ogniem swych dział tonący statek handlowy, a następnie dołączyć do konwoju. Pozostałe okręty dostały polecenie zajęcia miejsc według nowego układu. Następnie Ericson wezwał na pomost Lockharta i głównego mechanika Johnsona, by im wyjaśnić swój plan działania. Potem, pochylony nad stołem do map, przez dłuższą chwilę omawiał z Raikesem zamierzone manewry. Wreszcie obrócił *Saltash* szerokim łukiem na prawo i biorąc kurs na rufę Pergoli, podyktował ostatni długi sygnał, zaczynający się od słów: „Podejmujemy wspólne poszukiwania według dwóch różnych wariantów”.

Lockhart nigdy dotychczas nie podziwiał dowódcy tak bardzo, jak w ciągu następnych dwunastu godzin. Więc ostatecznie - dochodził do wniosku - mimo wszystkich nowych urządzeń i naukowych wymysłów wojna polega na człowieku. Wiedział, że Ericson był rozpaczliwie zmęczony przed tym ostatnim alarmem. Kto by się tego nie domyślił z samego faktu morderczego rejsu na północ do Murmańska i sztormu trwającego pięć dni, musiałyby poznać bezmiar jego zmęczenia po twarzy, szarej i przeoranej bruzdami, i po zgarbionych plecach. Mimo to jednak w jego zachowaniu i teraz, i później, w czasie długotrwałego, upartego tropienia okrętu podwodnego, nie było śladu zmęczenia ani gotowości do ustępstw. Dorósł do takiej chwili, potrafił wytrwać w niezbędnym napięciu czujności, jakby przychodził do tej roboty po sześciotygodniowych wakacjach. W rezultacie, pominąwszy niezwykle wyczyn fizyczny, dokonał arcydzieła taktyki w zakresie tropienia okrętów podwodnych.

Ericson musiał być bardzo pewien - rozważał Lockhart - że nieprzyjaciel rzeczywiście tam jest i że *Pergola* - ta zapędzona *Pergola* - tym razem wpadła na dobry trop, a może nawet uszkodziła okręt podwodny. Przewyciężył znużenie właśnie

dzięki pewności, że zdobycz jest tuż-tuż. Bo przecież nie wystarczy świadomość, że znowu statek poszedł na dno, a z nim i ludzie. To zbyt powszednia sprawa na Atlantyku, a wykarmiona nią mściwa energia szybko wygasa. Tylko poczucie obowiązku mogło być teraz sprężyną długotrwałego wysiłku, tylko niedostępna świadomość, że specjalnym zadaniem dowódców grup eskortowych jest zatapianie okrętów podwodnych i że żaden okręt podwodny nie powinien ujść cało.

Ericson nie rezygnował z łupu lub raczej - z upartej nadziei na łup, bo nie przetrawiłby wstydu, gdyby miał zaprzepaścić szansę zadania śmiertelnego ciosu.

Była już szósta po południu, gdy *Saltash* i *Pergola* rozstały się, rozpoczynając każda na swoją rękę poszukiwania wroga. Aż do północy żadna nie mogła się pochwalić jakimkolwiek wynikiem. Poprzednio, w kabinie nawigacyjnej, Ericson przedyskutował z Raikesem wszystkie realne możliwości, ustalając trzy ostateczne warianty. Po pierwsze, okręt podwodny mógł zostać lekko uszkodzony wskutek ataku Pergoli; w tym wypadku powinien zanurzyć się głębiej, aby przeczekać i zmylić pościg, a także opatrzyć swe rany. Mógł także być ciężko uszkodzony, a wtedy musiałby jak najprędzej próbować się przedostać do swej najbliższej bazy. W końcu, mógł ujść zupełnie bez szkody albo znajdować się w ogóle poza zasięgiem ataku. A w takim razie należało przypuszczać, że po pierwszej napaści pójdzie w ślad za konwojem w pewnej od niego odległości i dopiero wieczorem zgłosi się po następną porcję. Każda z tych możliwości zawierała różne odmiany. Ale w głównych zarysach sytuacja przedstawiała się jasno dla Ericsona, kiedy zabierał się do rozumowanej i wysoce fachowej zgadywanki przy stole nakresowym.

Ostatniej możliwości, a więc tego, że okręt podwodny będzie iść dalej za konwojem, *Saltash* nie mogła brać teraz pod uwagę. Gdyby nieprzyjaciel miał znów próbować ataku, *Harmer* i

pozostałe eskortowce musiały same sobie poradzić. A zatem zostawały już tylko dwie możliwości: albo okręt podwodny przyczał się głęboko, albo natychmiast podążył jak mógł do bazy. Jeżeli się przyczał, to trzeba będzie długo, cierpliwie czekać, nim go w końcu dostaną. Tropiący okręt będzie musiał okrążyć to miejsce powolutku, czujny na każdą próbę ucieczki - może przez dwadzieścia cztery godziny. Lecz jeśli okręt podwodny już ruszył w kierunku bazy, to mógł iść albo na wschód - do Norwegii, albo na południowy wschód - ku niemieckiemu wybrzeżu, lub wreszcie na południe - do któregoś portu w Zatoce Biskajskiej. Oznaczało to w każdym wypadku szybkie rozszerzanie się zasięgu poszukiwań. Z każdą następną godziną musiałyby one upodabniać się coraz bardziej do szukania igły zagubionej w stogu siana.

Z dwóch możliwości Ericson wybrał dla siebie cierpliwe oczekiwanie nad miejscem, w którym powinien się znajdować okręt podwodny. Uważał to za najbardziej prawdopodobne, a doskonały asdic i radar zapewniały zdecydowaną przewagę *Saltash*, gdyby nieprzyjaciół próbował im się wymknąć. Druga możliwość - tropienie w coraz to rozleglejszym sektorze wroga dążącego do bazy - była dość beznadziejnym przedsięwzięciem. Przydzielając Pergoli to zadanie, usiłował nie myśleć o tym, że daje młodszemu okrętowi wątpliwą szansę odznaczenia się czynem. Coś podobnego musiało niewątpliwie zaświtać w głowie zadziornego dowódcy Pergoli, bo już odchodząc nadał sygnał do *Saltash*: „Proszę pamiętać, że ten ptaszek był mój”.

Ericson nie mógł się zdecydować, czy odpowiedzieć: „Podzielimy się orderami po połowie”, czy też „Proszę się ograniczyć do sygnałów w sprawach istotnych”. W końcu nie odpowiedział wcale. Podczas gdy *Pergola* oddalała się i rozpływała w ciemnościach, chciał naprawdę powiedzieć tylko to jedno - że będzie jej towarzyszyć błogosławieństwo dowódcy. Ale

w spisie sygnałów nie przewidziano słów odpowiednich dla wyrażenia tej myśli.

W ciągu sześciu następnych godzin załoga *Saltash* nie przeżyła najmniejszego wzruszenia. Sęczyły się godziny śmiertelnej nudy, niewdzięcznej jednostajności, najcięższej do zniesienia dla ludzi wyczerpanych fizycznie. Gdy *Saltash* krążyła powolutku wokół podejrzanego obszaru, Ericson tkwił cały czas na pomoście, skulony na krześle i czujny. Godzina mijała za godziną, asdic nie łąpał kontaktu, a radar pokazywał tylko zanikającą plamkę świetlną - echo Pergoli oddalającej się coraz bardziej na południowy wschód. Ericson zjadł coś naprędce o ósmej wieczór. Potem co godzina przynoszono mu kakao na pomost. Księżyc pokazał się, a później znikł za chmurami. Wiatr przycichł, morze się wygładziło. Było zimno. Zimno napastowało ciało, obezwładniało myśl. Coraz trudniej było zachować czujność i wierzyć w słuszność tego, co robili.

Niekiedy myśl Ericsona wędrowała daleko, a gdy chciał ją zawrócić, cierpiał katusze, jakby ktoś szarpał napięte ścięgna w jego mózgu. Jestem bardzo zmęczony - tłumaczył się przed sobą. - Bola mnie ze zmęczenia ramiona i nogi, i serce. Znow się zaczyna to trzepotanie w głowie. Możemy czekać długie godziny, możemy czekać bez końca. Prawdopodobnie robimy wcale nie to, co trzeba; od samego początku musiałem źle przewidywać. Pewnie przez cały czas sześć albo osiem okrętów podwodnych czyhało na tym obszarze i teraz szykują wspólną napaść na konwój, a my kręcimy się tutaj jak pies za własnym ogonem, o pięćdziesiąt mil od konwoju. W tak krytycznym momencie osłabiłem eskortę o dwa okręty na osiem, a więc o jedną czwartą. To głupota i pośpiech nie do wybaczenia, powinienem stanąć za to przed sądem wojennym.

Asdic poświstywał cichutko jak uprzykrzony komar, przez rurę głosową dolatywał na pomost monotony odgłos silniczka przy

kursografie, jak tykanie piekielnego zegara, który mu przypominał, że w tym, co robi, nie ma sensu za grosz. Godziny pełzły powoli, a zmiany kursu co piętnaście minut były nic nie znaczącym urozmaicheniem w ogólnym planie, który i tak już stracił wszelkie znaczenie.

Raz po raz zamieniał parę słów z Raikesem, oficerem nawigacyjnym, który miał pierwszą wachtę i stał na przodzie pomostu. Raikes odpowiadał spokojnie, bez pośpiechu, nie odwracając głowy. Lecz Ericson nie wypowiadał tego, co chciał naprawdę powiedzieć, a także nie słyszał tego, co chciałby usłyszeć. Były to spostrzeżenia na temat pogody, pytania co do odbytej drogi lub obojętne uwagi o pierwszej lepszej sprawie, która przyszła im na myśl. Czułby się lepiej i może potrafiliby uciszyć niepokój dręczący jak głód, gdyby miał prawo zapytać: „Jak pan uważa, czy mamy rację, czy po prostu tracimy czas? Czy okręt podwodny jest tutaj rzeczywiście, czy też osłabiając eskortę o jedną czwartą zrobiłem coś, co może się okazać zbrodniczym błędem?” Takich pytań dowódca nie mógł zadawać, więc pozostały nie wypowiedziane, uwięzione w znużonym mózgu. *Saltash* raz na godzinę okrążała ciągle ten sam kawałek oceanu, *Pergola* zanikała stopniowo na ekranie radaru, a czarne, puste morze drwiło z fregaty szyderczym sykiem fali.

Zmiana wacht o północy przyniosła zmianę szczęścia. Zaledwie Allingham i Vincent przejęli służbę od Raikesa, który jeszcze pozostał, by odnotować skąpe uwagi w dzienniku zdarzeń, kobierzec nocy zakwitł w jednym momencie najprzyjemniejszym dla nich deseniem.

To rekorder asdiku, który od sześciu godzin powtarzał wiecznie ten sam przekłęty poświst, rozbrzmiewający na całym pomoście, nagle wydał zadziwiający dźwięk - twarde echo, kontakt ze stałą w głuchym, bezbarwnym oceanie. Ericson i wszyscy, którzy go usłyszeli, skoczyli na równe nogi. Pomost zakipiał życiem, jakby

ciemność, naładowana niespodzianie energią elektryczną, w tej samej chwili przelała ją na ludzi.

- Panie komandorze! - zawołał Allingham.

- Pomost! - wzywał operator asdiku.

- Panie komandorze! - chciał wtrącić swoje starszy sygnalista.

- Dobra, dobra! - rzekł Ericson zsuwając się z krzesła. - Ja też słyszałem. Co za przyjemne echo. Trzymać go teraz. Alarm bojowy. Bosmanie!

- Tak jest, panie komandorze - zgłosił się starszy sygnalista.

- Nadajcie do *Pergoli*: „Wracać do mnie możliwie jak najszybciej”. To tylko przypuszczenie - myślał dyktując sygnał, lecz echo - silne i czyste - utwierdzało go w przekonaniu, że pusty szmat oceanu, który nagle okrył się kwiecistym kobiercem, powinien ściągnąć do siebie jak najwięcej myśliwych. Tego rodzaju echo dawał okręt podwodny, tylko on mógł odebrzmieć pięknym dźwiękiem metalu. Zadał śmiertelny cios i przyczaił się w głębi. Teraz trzeba z nim zrobić koniec. *Pergola* wróci najwcześniej za dwie godziny, nawet idąc możliwie jak najszybciej, co w języku służbowym oznacza nagłący rozkaz. Zasłużyła na udział w tym polowaniu, a poza tym może być bardzo użyteczna, gdyby okręt podwodny próbował się wymykać.

Echo asdiku brzmiało już ostrzej. Lockhart, który siedział przy rekorderze, zawołał:

- Cel przesuwają się powoli w prawo!

Vincent meldował z rufy o gotowości wyrzutni. Rosły obroty maszyny, *Saltash* zaczęła drzeć, zmniejszała się odległość od celu.

Ale łup nie miał być łatwy i kto wie, czy był im sądzony. W ciągu następnej godziny *Saltash* wyrzuciła sześćdziesiąt osiem bomb głębinowych, ale - jak się zdawało - bez najmniejszego efektu. Echo asdiku miało to samo nasilenie, okręt podwodny

wykręcał się, kluczył i zawracał z niezwykłą przebiegłością. Zdawało się, że żaden atak, choćby najlepiej obliczony, nie zdoła przygwoździć do dna chytrego wroga. Rezultat ich długotrwałych wysiłków był taki sam, jak gdyby ciskali w ogień śnieżkami lub, zamiast bomb, rzucali kłębki włóczki na podłogę dzieciennego pokoju. Raz po raz *Saltash* zrywała się do ataku, wyskakiwały bomby głębinowe, a morze tryskało w górę i kipiało za rufą. Lecz kiedy zawracała gwałtownym skrętem, reflektor odsłaniał znów pustą powierzchnię wody, a po chwili pojawiała się echo - wciąż na tym miejscu i wciąż twarde, ale tak samo nieuchwytne i niewrażliwe na wściekłe ciosy. Sześćdziesiąt osiem bomb głębinowych - snuł Ericson znużone, powolne myśli. - Większość musiała paść dosyć blisko. Ci tam na dole przeszli też dobre piekło. Dlaczego nic się nie dzieje, dlaczego wszystko to na nic? Przygotował fregatę do następnego ataku na cel, dający wciąż twarde echo. Wtem podniósł głowę i zaczął węszyć.

- Kapitan Lockhart! - zawołał.

- Tak, panie komandorze.

- Nic pan nie czuje?

Chwila milczenia.

- Tak, zapach ropy...

Ropa. Woń nienawistna, która zawsze kojarzyła się dla nich z tonącym statkiem w konwoju, teraz mogła oznaczać tonący okręt podwodny. Ericson przeszedł na skrzydło pomostu i dalej węszył zawzięcie. Ciężki, gryzący zapach dolatywał wyraźnie. Biorąc sprawy po prostu, zapach ten świadczył o uszkodzeniu, co najmniej o zgnieceniu i przeciekaniu grodzi wewnątrz okrętu podwodnego, a może o całkowitym zniszczeniu. Kazał skierować światło reflektora prosto przed dziób fregaty. Tam gdzie rzucili ostatnią serię, ukazała się lśniąca leniwie plama, w której blask reflektora odbijał się niezwykle pięknie. Ropa rozlewała się coraz

szerszym kręgiem, budząc otuchę w sercu. Jeszcze raz przeszli ze zwiększoną szybkością przez to miejsce i jeszcze raz wyrzucili serię bomb głębinowych. Gdy wracali po dokonanym ataku, znikło echo asdiku, a Lockhart zameldował:

- Straciłem kontakt.

Cisza zaległa na pomoście, cisza satysfakcji i ulgi. Jeden Ericson myślał inaczej. Chciałby móc wierzyć w optymistyczną wymowę tej plamy i zgubionego echa, które inni tłumaczyli zwyczajnie powolnym obsuwaniem się okrętu podwodnego w dół, poza zasięg asdiku. Lecz nagle pojął, że nie może temu uwierzyć. Dla niego ropa nie była wystarczającym dowodem. On musiał widzieć szczątki okrętu, kawałki drewna, chciał słyszeć wybuch podwodny i obserwować strzępy ciał ludzkich wypływające na powierzchnię. Ropa mogła pochodzić z nieznacznego przecieku, a nawet mogła być chytrym wybiegiem. Kto wie, czy okręt podwodny nie upuścił jej trochę z rozmysłem, sam umykając chyłkiem z obszaru zagrożenia. I niechaj słabi na umyśle Anglicy oblewają swoje zwycięstwo słabym angielskim piwem! Olej, tak jak i wino, może zadrwić z człowieka. Znowu schował się głębiej - pomyślał z nagłą, nieuzasadnioną pewnością. - Może ma jakieś uszkodzenie, ale nie jest wykończony na amen. Będzie czekać, a potem wypłynie wyżej. Wobec tego my także poczekamy - postanowił z posępną zaciętością, czując nowy przypływ energii, emanującej gdzieś z rdzenia mózgu. Głośno zawołał do Lockharta:

- Szukać dalej kontaktu! Mam zamiar jeszcze atakować.

Gdy wypowiadał te słowa, jego napięte nerwy zdawały się wyczuwać i słyszeć westchnienie ludzi stojących na pomoście i całego umęczonego okrętu. Nic mnie to nie obchodzi, że macie dość - omal nie krzyknął w gwałtownej złości. - Choćbym miał być ostatnim czuwającym człowiekiem na fregacie, choćbym miał być ostatnim żywym człowiekiem, będę ganiał okręt i was, i

siebie samego tak długo, jak mi się zechce. Nikt jednakże nie westchnął, nikt nie przemówił słowa, prócz Lockharta, który powtórzył rozkaz marynarzowi przy asdiku:

- Szukać od lewo czterdzieści do prawo czterdzieści.

Saltash ze zmniejszoną szybkością krążyła znów w jednostajnym kieracie, jakby tamte godziny wcale się nie liczyły i trzeba było zaczynać znów od początku.

Najgorsze, ale zarazem i śmieszne było to, że nie mieli od czego zaczynać. Bo po raz drugi okręt podwodny zmylił ślad. Miał przeciek, czy też wabił ich tylko plamą ropy rozlanej na powierzchni? Jego załoga ledwie żyła ze strachu, czy też radowała się może udanym podstępem? Nic nie wiedzieli o stopniu uszkodzenia okrętu.

Rozważając na zimno zniknięcie nieprzyjaciela, Ericson nie mógł w nie jakoś uwierzyć. Zastanawiał się dalej, ale chłodna logika zaczynała ustępować ślepej fali wściekłości. Gdy Lockhart zameldował mu o zgubionym kontakcie, przypuszczał, że to wzburzenie wody i że za parę minut znów wyłowią asdikiem echo okrętu nieprzyjacielskiego, jak to nieraz bywało. Lecz minuty mijały - pięć, dziesięć, w końcu dwadzieścia, a echa wciąż nie było. Musiał spojrzeć nareszcie w twarz niemiłej rzeczywistości, uznać, że nieprzyjaciel wymknął się pewnie z ich rąk, mimo siedmiu godzin tropienia i blisko osiemdziesięciu bomb głębinowych, mimo szalonego, nieustępliwego wysiłku, który pochłaniał ostatnie rezerwy wytrzymałości. Stał w kabinie asdiku i patrząc z tyłu na dumne łby dwóch operatorów na służbie, uczuł niepowstrzymaną chęć chwycenia za rewolwer i wpakowania kulki w każdą z tych tępych potylic. Jemu nie mogłoby się zdarzyć nic podobnego. Nieprzyjaciel był tu na pewno, mieli go prawie w garści, a teraz Lockhart i ci dwaj głupcy, jego operatorzy, i ten cholerny asdic pozwolili mu uciec. Lockhart po raz dziesiąty zameldował:

- Nie ma kontaktu! - i dorzucił po chwili: - Czy pan komandor nie myśli, że mógł zatonać?

Ericson, doprowadzony do szewskiej pasji, zadygotał.

- Niech pan pilnuje własnych spraw, do ciężkiej cholery, i robi swoje!

Wyszedł z kabiny, jakby nie mógł już dłużej znieść zatęchłego powietrza.

Ale natychmiast oprzytomniał. Nie powinienem był tego mówić - pomyślał chłodno. Wsparł się o reling na przodzie pomostu. - To dlatego, że jestem bardzo zmęczony i że nam wywiał ten łajdak, kiedy już-już mieliśmy go dostać. Obrócił się w kierunku asdiku.

- Kapitan Lockhart!

Lockhart wyszedł z kabinki i zbliżył się do niego w ciemności.

- Tak, panie komandorze - powiedział bardzo słuźbiście.

- Przepraszam za te słowa - mruknął Ericson. - Niech pan o tym zapomni.

- Nie ma już o czym mówić, panie komandorze. - Lockhart nie potrafił być twardy, kiedy go przepraszano, a tym bardziej gdy przeprosiny następowały tak szybko.

- Nie przypuszczam, żeby zatonał - wyjaśnił Ericson. - Nie ma na to dostatecznych dowodów.

- Tak, panie komandorze. - Lockhart był wprawdzie innego zdania, ale nie uważał tej chwili za odpowiednią do wyrażania swych poglądów.

- Będziemy dalej tropić. Wszyscy pozostają na stanowiskach bojowych.

- Rozkaz, panie komandorze.

Żadne stanowiska bojowe, tylko spać - myślał Lockhart wracając do swego asdiku. - I ja tego chcę, i on, i wszyscy na

okręcie. Ale nikt z nas nie będzie spał, bo ten uparty, stary osioł nie chce słuchać rozumu.

Był mocno przekonany, tak samo zresztą jak starszy marynarz przy asdiku, że zniszczyli okręt podwodny, że go zmiażdżyli albo roznieśli w kawałki wściekłym ładunkiem siedemdziesięciu czy też osiemdziesięciu bomb, które musiały paść blisko celu. Najpewniej utracił panowanie nad swymi ruchami i szedł powoli na dno, wypuszczając posokę ropy, której widok tak bardzo ucieszył Lockharta. Skoro jednak nawet najłżejsza aluzja w tym kierunku mogła rozpętać awanturę, lepiej męczyć się dalej i siedzieć cicho. Zamknął za sobą drzwi w kabinie asdiku i oznajmił spokojnie:

- Podsluch wachtowy. Będziemy znów przeszukiwać dokoła.

Operator powtórzył:

- Podsluch wachtowy.

Ciężki wyrzut, nie ujawniony w słowach, wyraził się przykrym odgłosem ssania zęba.

- Przestańcie cmokać! - warknął na niego Lockhart.

- Mam dziurę w zębie - zaprotestował marynarz.

- Pilnujcie lepiej roboty.

Operator z głośnym sapaniem zaczął regulować odbiornik, robiąc przy tym hałasu co niemiara. Wszyscy są rozdrażnieni - pomyślał Lockhart. - To zaraźliwe i nie można tego uniknąć przy tak potwornym zmęczeniu. Uśmiechnął się patrząc na marynarza, którego lubił więcej niż innych. Mógł zupełnie dokładnie odtworzyć myśli i wrażenia kotłujące się w głowie operatora. („Nic tylko grożą człowiekowi i wyzywają. Stary spuścił mu manto, a teraz on się na mnie rzuca. Oficerowie, psia ich mać! Człowiek się nosem podpiera”). Chcąc przywrócić normalny nastrój bez ustępowania ze swego stanowiska, Lockhart odezwał się przyjaźnie:

- Warto by napić się kakao. To potrwa dosyć długo.

Trwało istotnie bardzo długo. Godzina mijała za godziną bez żadnej zmiany, bez jakiegokolwiek znaku. Zdawało się, że to beznadziejne tropienie może wlec się do końca świata. Chyba że z jakiejś przyczyny, zupełnie niezależnie od ich osobistego wysiłku, wojna wreszcie się skończy, jedna ze stron zostanie ogłoszona zwycięzcą, a *Saltash* dostanie widokówkę z powiadomieniem o wyniku i będzie mogła wziąć kurs z powrotem do domu, by zdążyć się upomnieć o rentę starczą.

Pergola powróciła o trzeciej rano. Szła od południowego wschodu tak szybko, jakby odrzucała ze wzgardą zmarnowane godziny. Jej przybycie pozwoliło Ericsonowi rozszerzyć zasięg poszukiwań - pilnować równocześnie drzwi kuchennych i frontowego wejścia. Ale *Pergola* nie miała więcej szczęścia niż *Saltash* w wietrzeniu zagubionego tropu. O czwartej nastąpiła, jak zwykle, zmiana wacht. Od wschodu niebo zaczynało już jaśnieć i rozświećlać morze - szare i płaskie, bez żadnego wyrazu, jak rozmazana akwarela. Wydobyto także z ciemności dwa okręty, jeden o pięć mil od drugiego, pozornie skoncentrowane w działaniu, lecz dziwnie nieprzekonujące. Właściwie kuśtykały tam i z powrotem jak dwie na pół ośleple staruchy, odwiedzające po kolei śmietniki, które już opróżniono przed kilku godzinami.

Razem ze świtem nowego dnia, z widokiem własnej fregaty i poszarzałych twarzy ludzi stojących na pomoście Ericson uczuł nagle zwątpienie. Z dwóch powodów, narzucających się teraz nieodparcie, mógł nie mieć racji, mógł po prostu marnować czas.

Okręt podwodny albo był już daleko, albo zatonął wskutek pierwszego ataku. O tej bezsilnej godzinie pomiędzy nocą a dniem, gdy *Saltash* miała za sobą jedenaście godzin tropienia, on sam zaś nie zszedł przez cały ten czas z pomostu, opanowało go uczucie bezcelowości, którego nigdy jeszcze nie zaznał z taką siłą. Opanowała go pokusa, żeby skończyć już z tym szukaniem,

wysnuć najprostszy wniosek z ropy rozlanej na morzu i uznać ją za dowód zwycięstwa, którego nikt im na pewno nie zaprzeczy. Pokusa naprzykrzała się jak kot miauczący za drzwiami, za jego drzwiami, które wcześniej czy później będzie musiał otworzyć, bo i miauczenie wtedy ustanie, i sąsiedzi będą zadowoleni. A jemu, jemu da to nadzieję snu.

Wiedział, że ludzie stojący na pomoście od dawna już tak myślą. Że Lockhart jest przekonany o zatopieniu okrętu podwodnego, a zmordowani operatorzy przy asdiku właśnie z tego powodu mają ponure i nadęte miny. Że dowódca Pergoli po przeczytaniu raportu, który mu przesłał dla zapoznania z sytuacją w chwili powrotu, musiał się zdziwić, dlaczego, do stu diabłów, już kilka godzin temu nie spakowali manatków, by wrócić do konwoju, dlaczego nie nadali sygnału do Admiralicji o niewątpliwym zwycięstwie.

Zwątpienie i niepewność pogłębiały w nim jeszcze uczucie wyczerpania. Nic nie przerywało jednostajności krążenia, żaden przeblask nadziei nie trzymał go w napięciu, toteż bał się śmiertelnie, że za chwilę zapadnie w sen, obezwładniony na swoim krześle. Umysł i ciało poddawały się w bezgranicznym znużeniu kołysance odgłosów rozbrzmiewających dokoła - poświstywania asdiku, szelestu fali dziobowej i szorowania pokładu. Nawet powtarzającą się w półgodzinnych odstępach zmianę marynarzy na oku i sternika przy kole wpłatał w łańcuch dźwięków i ruchów kołyszących go do snu. Bronić się przed tym - to męka, lecz gdy chciał ulec, targał nim lęk i niespokojne przeczucie. Jeśli pozostanie przytomny, to zacznie płakać, a jeśli uśnie, zwali się z krzesła na pomost i wszyscy będą myśleli, że się skończył, i będą mieli rację.

Lockhart miał teraz wachtę. Wyszedł z kabiny asdiku i dwudziesty raz z rzędu zameldował:

- Nie ma żadnego echa, panie komandorze.

Ericson czuł, że nerwy znów go ponoszą.

- No więc co z tego? - rzucił zaczepnie.

Lockhart milczał przez chwilę.

- Nic, panie komandorze. Zwykły meldunek. To koniec jeszcze jednego okrążenia.

- Co pan przez to rozumie: jeszcze jednego okrążenia?

Lockhart przełknął odpowiedź, jak tyle razy w ciągu ostatnich dwunastu godzin.

- Zdawało mi się, że pan komandor powiedział...

- Na miłość boską, Lockhart...

Ericson urwał. Serce biło mu jak młot, a w głowie czuł trzepotanie, jakby ptaszek obijał się w klatce. To niemożliwe - pomyślał z przerażeniem. - Naprawdę się załamię i lada moment zastrzelę kogoś na miejscu. Wstał i rozprostował ramiona. Poczuł ostrzejszy ból, a potem jakby ulgę. Kręciło mu się w głowie od tego wysiłku. Wiedział już, co ma zrobić.

Po dwóch minutach siedział w swojej kabinie naprzeciwko Scott-Browna. Doktor, którego wyrwał ze snu przestraszony goniec dowódcy, miał na sobie pidżamę i nadmuchany pas ratunkowy. Mimo to potrafił jakoś zachować w nie naruszonym stanie wyraz absolutnej pewności i powagi, właściwy lekarzom z Harley Street. Spojrzał na Ericsona i rzekł tonem pełnym wyrzutu, którego tamten wcale nie zauważył:

- Czas już odpocząć, panie komandorze.

- Ja wiem, ale nie mogę.

- Jak długo siedzi pan na pomoście?

- Odkąd zatopili ten statek.

- To o wiele za długo.

- Ja wiem - powtórzył Ericson. - Ale muszę tam siedzieć. Czy pan może mnie czymś podtrzymać?

Scott-Brown ściągnął niechętnie brwi.

- Czy to konieczne? Po co to wszystko razem?

Ericson zerwał się z krzesła.

- Do diabła! Teraz pan to samo... - Ale serce znowu zaczęło bić, więc prędko usiadł. - Nieprzyjaciół jest tutaj - rzekł powoli, próbując rozładować wszelki wysiłek, wszelki napór wzruszenia. - Głowę dam za to, że jest, i muszę go dostać. Niech mi pan da, doktorze, coś takiego, żebym nie zasnął.

- A na jak długo?

- Może jeszcze na jedną noc. Ma pan takie lekarstwo?

- Och, oczywiście. To tylko kwestia...

Nerwy znów zaczynały skakać.

- Więc niech pan daje - przerwał Ericson szorstko. - Co to jest? Zastrzyk?

Scott-Brown uśmiechnął się widząc, że nadszedł moment, gdy roztropność lekarza musi ustąpić przed biczem dyscypliny.

- Nie, jedna albo dwie pigułki. To benzedryna. Będzie pan po niej rześki jak młody bóg.

- Na jak długo wystarczy?

- Na razie zacznijmy od jednej doby.

Idąc ku drzwiom doktor znów się uśmiechnął.

- A potem zgaśnie pan niby świeczka i obudzi się z cholernym kacem.

- Tylko tyle?

- Myślę, że tak. Ile pan komandor ma lat?

- Czterdzieści osiem.

Scott-Brown zmarszczył nos z wyrazem dezaprobaty.

- Wie pan, z benzedryną nie ma zabawy.

- Nie zamierzam przyzwyczajać się do niej - odparł Ericson ostro. - To wyjątkowa okazja.

W chwilę później Scott-Brown wrócił z dwiema szarymi pigułkami i szklanką wody. Ericson połknął jedną pigułkę i właśnie kładł drugą na język, gdy zabrzmiał dzwonek zainstalowany przy koi.

Przełykając pigułkę pochylił się do rury głosowej i zawołał:

- Tu dowódca.

- Tu pomost, panie komandorze - dobiegł go głos Lockharta, łamiący się ze wzruszenia. - *Pergola* złapała kontakt!

Ericson miał ochotę powiedzieć: „A przecież ci mówiłem...” Miał ochotę zakrzyknąć:

„Widzicie, dranie jedno!” Natknął się na spojrzenie Scott-Browna, wyczekujące i z lekka ubawione.

- Dziękuję panu, doktorze - rzekł szybko i ruszył ku drzwiom.

Już za jego plecami Scott-Brown zaczął przemowę:

- W zasadzie powinien pan się położyć na dziesięć minut, a potem...

Ericson nie dosłyszał dalszych rozsądnych rad, bo skręcił w korytarz i pędził co sił po trapie wiodącym na pomost.

Nie wiadomo, czy zaczęły działać pigułki, czy to było uczucie ułaskawienia na pięć minut przed wykonaniem wyroku, czy sukces Pergoli albo krzepiący wpływ światła dziennego - dość, że wstąpiwszy na pomost poczuł się rzeczywiście jak młody bóg.

Rozejrzał się dokoła. Teraz wszystko wyglądało inaczej. Pięć mil płaskiego morza dzieliło *Saltash* od Pergoli, która zawracała pełnym obrotem i na pełnej szybkości. Fala pieniała się białym rąbkiem u dziobu korwety, która atakowała idąc skośnie w kierunku *Saltash*. Wciągnęła w górę dwie flagi oznaczające: „Mam kontakt podwodny” i „Atakuje”. Wyglądała w każdym szczególe tak, jak powinna wyglądać korweta o świcie, po długiej, wyczerpującej nocy.

Ericson zawołał do Lockharta, który tkwił w kabinie asdiku:

- Złapał pan co?

Przez chwilę nie było odpowiedzi. Nagle Lockhart zawołał:

- Mam kontakt! Prawo od dziobu, namiar jeden-dziewięć-zero.

Głośnik zaczął dawać wyraźne, śpiewne echo. Namiar wskazywał, że było to echo okrętu podwodnego, który atakowała korweta.

Bomby wyrzucone z Pergoli wybuchły o pół mili przed dziobem fregaty. *Saltash* ruszyła naprzód, prostopadle do kierunku poprzedniego ataku, i wetkała swą nić w śmiertelny całun, rzucając serię bomb w odległości dwudziestu metrów od bezbarwnej, jeszcze spienionej plamy na morzu. Oba okręty zawróciły w tej samej chwili i szły z powrotem na to przekłète miejsce, gotowe zaczynać znów od początku. Ale tym razem już nie potrzebowały powtarzać. W każdym kącie okrętu wyraźnie dał się słyszeć głuchy, podwodny wybuch.

Otworzyło się łono morza, bluzgając w górę wodą zmieszaną z ropą i wypływając najrozmaitsze rzeczy - kawałki drewna, strzepy odzieży i strzepy czegoś, co trzeba będzie dokładnie zbadać później. Ericson dał rozkaz zatrzymania maszyny i *Saltash* stanęła w miejscu, opasana krwawym różańcem szczątków. Załoga zbiegła się do relingów. Opaska z dziwacznych strzepów robiła

się coraz grubsza i szersza, oddział marynarzy na rufie zabrał się do bosaków i wiader. To zwycięstwo wymagało trofeów.

Dwanaście godzin! - myślał Ericson wspierając się o reling na przodzie pomostu. Radość rozpierała mu serce. - Ale go mamy. Siedział tu cały czas, ja miałem rację.

Odwrócił się i spotkał ze wzrokiem Lockharta, który przeprowadził ostatni atak z dokładnością do pięciu metrów. Lockhart uśmiechał się ze skruchą.

- Przepraszam, komandorze... - rzekł obejmując tym słowem długą noc nieufności i błędną ocenę sytuacji, która nie pozwoliła mu ufać. Ale to już nie miało znaczenia. Ericson usiadł na swym krześle i pożałował jednego - tych pigułek, których nie powinien był brać. Powinien był je zachować na jakąś naprawdę ciężką okazję.

Zabrzmiął dzwonek z pokładu rufowego i odezwał się Vincent - głosem człowieka, który o wczesnym ranku spotkał się oko w oko z ohydłą rzeczywistością:

- Wyłowiliśmy dużo potrzaskanego drewna, trochę odzieży i inne rzeczy. Razem dwa pełne wiadra.

- Jakie to inne rzeczy?

Chwila milczenia.

- Doktor powiada, panie komandorze, że to z jego resortu.

Ludzie otaczający zwartym kręgiem dwa obrzydliwe wiadra popijali kakao, przyglądali się i nie mogli się nacieszyć zwycięstwem.

- Po co staremu to ścierwo? Jak się to rozżarł na krew!

- Musi być dowód. Zawieziemy im to do kraju. Inaczej nie uwierzą.

- Taki gatunek szkopowiny nawet przyjemnie wygląda.
 - Trochę podobne do flaków z cebulką.
 - Rany Jula, nie dawajcie tego do kuchni!
 - Będzie tu chyba miesięczny przydział na kartki mięsne.
- Czekajcie, powiem ja mojej żonie.

- Bosmanie - zapytał Ericson tego samego dnia - gdzie wstawiliście te wiadra?

- Do kuchni, panie komandorze.

Ericson przełknął ślinę z wysiłkiem.

- Myślę, że lepiej przenieść do izby chorych na resztę rejsu.

- Panie komandorze - rzekł Lockhart - zdaje się, że to admirał stoi tam na nabrzeżu.

- Och... - Ericson był zajęty podprowadzaniem *Saltash*, którą wiatr odpychał od nabrzeża, a ostra fala przynaglała od rufy. Mruknął więc tylko i rzucił rozkaz:

- Prawa maszyna stop! Lewa wolno wstecz! - A po chwili: - Ciekaw jestem, co go tutaj przyniosło.

- Może to z naszego powodu?

- Lewa maszyna stop! - padła komenda. - Prędszej z tymi cumami, bo znów nas zepchnie na rzekę.

Zwrócił szybko lornetkę w stronę nabrzeża i kiwnął głową.

- Tak, to z naszego powodu. Bardzo to miło z jego strony...Lewa maszyna wolno naprzód!...Mam nadzieję, że nie stukniemy o nabrzeże.

- Cuma rufowa na łądzie... Darowałby nam chyba w takich okolicznościach.

Między nabrzeżem a burtą okrętu woda, wyciskana na zewnątrz, zaczęła kipieć. Wir wodny za śrubami kłębił się i ssał drewniane pale lśniące od ropy. Szachrując z wiatrem i chytrze wykorzystując falę, *Saltash* podsunęła się bliżej. Winda na pokładzie dziobowym zaczęła hałasować, podciągając cumy dziobowe. Admirał rozpoznał Ericsona na przodzie pomostu i wesoło zamachał ręką. Ericson zasalutował.

- Lockhart, ustaw pan lepiej marynarzy z gwizdkami. Jakoś mi to wygląda oficjalnie.

- Pan komandor wyjdzie mu na spotkanie?

- Tak. A nawet zejdę natychmiast, bo przypadkiem może mu przyjść ochota do sportowych wyczynów, zanim opuszczą trap. Pan już za mnie dokończy. - Uśmiechnął się. - Nie robi mi pan wstydu?

Minęło dziesięć minut, zanim *Saltash* ustawiła się bezpiecznie przy moło i Lockhart mógł przez skrzyżowanie rąk dać rozkaz: „Cumy obłożyć!” W końcu kazał odstawić maszyny. Zwlekał z opuszczeniem pomostu, rozkoszując się chwilą powrotu. Patrzył na sygnalistów, którzy zbierali flagi i książki sygnałowe, na marynarzy z pokładu dziobowego, pogadujących z ludźmi stojącymi na brzegu, na falę przemykającą wzdłuż burty, na ujście Clyde, którego nie widzieli przez sześć długich tygodni.

Ładnie ze strony admirała, że przyszedł ich powitać, chociaż po takim rejsie i po okręcie podwodnym na deser może zasługiwali na czułe pogłaskanie. Lockhart widział z pomostu, jak admirał wchodzi na pokład fregaty przy dźwięku gwizdków, jak ściska dłoń Ericsona i mówi coś do niego z uśmiechem, jak wreszcie obaj schodzą na dół po trapie. Za chwilę mogą po niego przysłać, żeby i on dostał należną porcję gratulacji. Ale czy przysłać, czy nie przysłać, mało mu na tym zależy. Mają okręt podwodny, powrócili do domu, *Saltash* stoi spokojnie przy nabrzeżu i wkrótce będzie

przechodzić czyszczenie kotłów. Dał rozkaz bosmanowi siedzącemu w sterówce:

- Zwolnijcie wachtę z lewej burty od siedemnastej do ósmej.

Zebrał swoje rzeczy z pomostu i zaczął schodzić w dół do kabiny. Czuł się straszliwie zmordowany, mięśnie bolały go nieznosnie, był zarośnięty i wyglądał okropnie. Ale gorąca kąpiel i parę szklaneczek dzynu postawią go na nogi, a poza tym jest przed nim noc, błogosławiona noc przeznaczona do spania.

Już w korytarzu zauważył, że jakiś cień porusza się w jego kabinie.

O, Boże, a to znów co? - westchnął z rozpaczą i odsunął zasłonę. Przy biurku, stojąc, czekała na niego Julie Hallam.

Przyglądali się sobie przez długą chwilę, on z uśmiechem, ona poważna i onieśmielona. W końcu ona przerwała milczenie.

- Wasz steward był zgorszony, ale mnie wpuścił.

Wziął jej rękę i uściśnął.

- Pewnie że wpuścił. Ciebie nie dotyczą żadne przepisy... Julie, jak dobrze, że cię widzę, i jakaś ty dobra, że tu jesteś.

- Admirał przyszedł, żeby wam pogratulować, więc pomyślałam, że przyjdę i ja.

- Nie widziałem cię na nabrzeżu.

- Bo się schowałam za dźwigiem. Ja ci inaczej pogratuluję.

Nagle objęła go za szyję - mocno, mocno - i wyszeptała:

- Kochany, tak się cieszę, że już wróciłeś.

Nie pamiętał, żeby kiedyś powiedziała do niego: „Kochany”. Otoczył ją ramionami, drżący ze słodkiego zdumienia i wzruszony. Nie do wiary, że powrócił do tego...

Usprawiedliwił się niezręcznie:

- Jestem trochę kłujący.

Lecz mimo to pocałował, a jej usta miękko i ciepło uległy jego ustom. Łagodnie odsunął ją od siebie, by móc spojrzeć jej w twarz, i zapytał:

- Czy ty jesteś naprawdę Julie?

Zaśmiała się patrząc na niego dziwnym, wiele mówiącym spojrzeniem:

- W każdym razie mundur jest na mnie ten sam.

- Bo wydajesz się inna. Nawet kiedy cię obejmuję, jesteś inna niż przedtem. Co robiłaś przez cały ten czas?

- Czekałam na ciebie, wpatrywałam się w mapę i bałam się, co jeszcze może cię spotkać. O, mój kochany - znów powtórzyła to słowo - jaki okropny rejs! Samoloty przez całą drogę i niszczyciele. Myślałam, że nie dobrniecie. A z powrotem ten straszny sztorm i na koniec okręt podwodny. Po tym wszystkim trzeba ci znaleźć jakąś pracę na lądzie - rzekła z nagłą powagą. - Nie mogę przeżywać tego znowu.

Co to takiego? - zastanawiał się Lockhart, ale naprawdę nie pragnął się dowiedzieć. Ta cudowna przemiana wystarczała mu najzupełniej. Trzymał Julie w ramionach i nie czuł już zmęczenia, a niepozorna kabina ożyła blaskiem i ciepłem. Trzymał w ramionach Julie, która tak chętnie budziła słodką przeszłość, przydając jej tak wiele nowego, i zdawał sobie sprawę, że ta chwila przelewa się nadmiarem szczęścia. Pocałował ją znowu, lecz tym razem nie był to krótki pocałunek. Nagle przegięła się w jego objęciu i zaczęła mu szeptać do ucha:

- Wiesz, nie miałam pojęcia, co to znaczy - kochać. I dopiero niedawno... Nie kojarzyłam takich spraw, jak rozstanie i niebezpieczeństwo, które ci grozi. Wojna to była wojna, a konwój - to ileś tam statków. Ty byłeś ty. Każda rzecz była dla siebie i z każdą mogłam sobie poradzić. Dopiero jak przeczytałam wasz sygnał: „Atakujemy nieprzyjacielskie niszczyciele...” Dopiero

wtedy zaczęłam czuć, co to jest miłość. Ty i ja znaleźliśmy się nagle w samym środku tej wojny, a tobie zagrażało niebezpieczeństwo. Przedtem nigdy tak się nie przejmowałam, a od tej chwili denerwowałam się strasznie. We wszystkim widziałam ciebie - konwój to byłeś ty, i wszędzie ty.

Przytuliła się mocniej, pocierając i wygładzając dłonią szorstką tkaninę jego płaszcza.

- Nagle stałeś się dla mnie drogi - mówiła dalej niskim, łagodnym głosem. - Wiedziałam, że gdyby coś ci się stało, nie zniosłabym tego. A potem czekałam już tylko, aż wrócisz - cztery tygodnie, prawie pięć... - Uśmiechnęła się. - Rozumiesz teraz? Mundur może ten sam, ale w środku... w środku...

- Najmilsza, kocham cię. Co ze sobą zrobimy?

- Co zechcesz, co tylko powiesz.

- Czy ty jesteś naprawdę Julie? - zapytał znowu.

- Nowy model - odpowiedziała. Jej twarzyczka była w tej chwili szczególnie śliczna, a w oczach malowało się czułe oddanie. - Jestem kobietą, to coś zupełnie nowego. Wszystko mi jedno, czy ktoś się o tym dowie i co z tego wyniknie. Powiedz, co chcesz. Co z nami będzie?

- Mam dostać urlop - odparł z wahaniem.

- Od kiedy?

- Jak tylko skończę tutaj ze wszystkim. Chyba za cztery dni.

- Gdzie chcesz pojechać?

- Gdziekolwiek.

- Gdzieś razem ze mną? - podsunęła.

Promień słońca zaglądający przez iluminator wędrował z wolna po podłodze kabiny.

Oni go nie widzieli. Bo zapatrzyli się w siebie, a ich spojrzenia nie były już zmacone i wiele mówiące - wyrażały tylko jedno pragnienie i wielką ulgę.

- Kocham cię, Julie - powiedział.

A ona:

- Teraz to już polega na wzajemności. - I podała mu usta.

7.

Szkolna koleżanka Julie oddała im swój domek, bo sama pracowała w Londynie. Ten domek na wsi miał swoje wady.

Był położony w Szkocji, w dzikiej prowincji Lowlands, na skraju doliny koło jeziora Fyne. Przechodził tu jeden autobus dziennie, a do sklepu było co najmniej pięć mil. Dom był stary, zbudowany z kamienia i okropnie przewiewny. Ogień rozpalony w kominkach więcej dymił, niż płonął, naftowe lampy, nastrojowo przyćmione, nasycaly wszystkie pokoje nieprzyjemnym zapachem. Dach przeciekał nad kuchnią, a sama kuchnia pyszniła się ogromną płytą, na której potrawy spalały się na węgiel albo nie chciały się zagrzać. We wszystkich korytarzach i przejściach niskie, zdradliwe belki czyhały na nieostrożne głowy, a schody zdawały się zapraszać do wykręcenia albo zwichnięcia nogi w kostce. Kanalizacja była prymitywna, a ciepła woda często się buntowała i nie chciała dopływać. Panowała tu wilgoć. Obecność myszy nie budziła najmniejszych wątpliwości. Nie było żywej duszy, która by o nich zadbała.

Było cudownie.

Nie od razu było cudownie, ale po krótkim czasie - jak tylko przekroczyli zdumiewający pas graniczny tego spotkania. Kiedy

wysiedli z autobusu, nie bardzo wiedząc, co zrobić ze swymi walizkami, było dość wczesne popołudnie. Mieli przed sobą półmilową przechadzkę wzdłuż bezludnej doliny. Ta niedługa droga wciągała ich coraz głębiej w nastrój zakłopotania i niepewności. Wszystko będzie znów dobrze, kiedy ją pocałuję - pomyślał Lockhart otwierając furtkę wiodącą do ogrodu. - Wszystko się wtedy naprostuje, Julie znów będzie taka jak tam, w kabinie. Ale dlaczego nie mógł jej teraz pocałować? Obchodzili we dwójkę swoją nową siedzibę prawie nie zamieniając słowa. Potem Julie weszła sama na schody, a Lockhart z dołu wsłuchiwał się w jej kroki. Wiedział, że wchodzi do pokoju, który może będzie ich wspólną sypialnią, i zastanawiał się, czy ich spotkanie da im to, czego się po nim spodziewali.

Wtem usłyszał, że schodzi z powrotem na dół. Stała w drzwiach i patrzyła, jakby badając jego zamiary.

- Co teraz?

Po chwili odpowiedział:

- Czuć tutaj wilgoć. Rozpalę ogień w kominkach.

- No dobrze, rozpal... - Uśmiechnęła się pobłażliwie - myślała o sobie samej i o ich skrępowaniu. Podeszła bliżej i rzekła: - Trudno tak od razu czuć się swobodnie... - A potem już śmielszym głosem: - Możesz być pewien, że ja tu chcę być z tobą. - Po tych słowach przez parę godzin było zupełnie dobrze.

Ale czekał ich jeszcze wieczór, a potem noc.

Ciemność wcześniej zapadła w listopadowy dzień. Gdy zaszło słońce, wąska dolina zasnęła się cieniem, a mały domek roztopiał się powoli w swym otoczeniu. Mroźna noc zstępowała ze wzgórz, a oni skryli się w zagłębieniu jej dłoni. Zjedli coś, rozmawiali i słuchali muzyki przy starym odbiorniku z podłączoną baterią. W domku było już ciepło, przytulnie i bezpiecznie. Ale z zapadnięciem ciemności Lockhart poczuł od razu nawrót

skrępowania, które trapiło go przedtem. Być tylko z nią w tym odciętym od świata zakątku, na którym skupił wszystkie swe tęskne myśli - to nowe i wzruszające uczucie. Wyglądała tak ślicznie z włosami związanymi swobodnie, z ciemnymi, ogromnymi oczami, w żółtawym świetle lampy. Miała na sobie domową suknię o bardzo kobiecym kroju, wdzięcznie akcentującym linie jej ciała. Wydawała się inną osobą. Ale nastrój napięcia nerwowego i rozkoszna, obezwładniająca niepewność zagłuszały zew zmysłów. Może uległa jego nastrojowi, a może odczuwała to samo. Źródłem jego usposobienia była obawa - nawet w tym miejscu i w tym momencie - że jednak mogą nie zostać kochankami. Naturalne spełnienie miłości czekało na nich, ale Lockhart nie mógł się zdecydować, czy już teraz ma po nie sięgnąć. Bał się, że ona tego nie pragnie.

Wyczuwał w jej zachowaniu dalszy proces przemiany, dzięki której znaleźli się tutaj oboje. Nie było to bezwarunkowe poddanie, lecz ochocza gotowość złożenia inicjatywy w jego ręce. Wyczuwał to, widział to często w jej spojrzeniu i słyszał w głosie, ale śmiertelnie się bał nadużyć tej ufności przez nazbyt wczesne lub zbyt brutalne przekroczenie granicy jej woli i powolności. Lęk budził w nim jeszcze gorsze reakcje niż samo onieśmienie. A może tylko wyobrażał sobie to wszystko? Poczul paniczny strach, jak człowiek, któremu grunt usuwa się spod nóg. Może jej się nawet nie śniło zostać jego kochanką, może chciała tylko razem z nim spędzić urlop? Może nie zasługiwał na tak piękną kobietę? Może nie potrafi być dobrym kochankiem?

W końcu ona rozładowała tę chwilę dręczącej niepewności. Rozładowała szybkim, zdecydowanym pociągnięciem, które mu przypomniało na jedno mgnienie dawną Julie - zdolną i energiczną, rządzącą bez wahania losami okrętów i ludzi, zawsze gotową do nowych zadań. Co prawda, to rządzenie odbywało się teraz w nieco innej płaszczyźnie.

Słuchali radia - on oparty o gzyms kominka, ona wtulona wygodnie w róg sofy. Pod wpływem niespodzianego impulsu wstała, przeszła przez pokój i pierwsza go pocałowała.

Stali spleceni uściskiem i słuchali muzyki, lecz teraz nie dziwiło ich wcale, że muzyka cichnie przy coraz głośniejszym biciu ich serc. Jakiś kobiecy głos śpiewał piosenkę z refrenem: „Tulę cię mocno do mej spragnionej piersi”. Uczuł, jak przy tych słowach ciało Julie zadrżało pod cienką sukienką.

Podniosła ku niemu oczy i zapytała cichutko:

- Słyszysz? Czuję zupełnie tak samo...

- Ja także - odparł uśmiechając się do niej miłośnie.

Ona zaś, jakby chcąc mu wyjaśnić ponad wszelką wątpliwość to gorące wołanie, którym promieniowało jej ciało, powiedziała powoli:

- Muszę cię zdobywać...

Po tych słowach znów wszystko ułożyło się dobrze, tym razem już na zawsze.

Chyba najbardziej wzruszające było uczucie kontrastu. Przystań czułości po walce i morderstwie, miękkość przyjmująca radośnie jego twarde, kanciaste ciało. Oboje przeżywali ten kontrast. On przychodził z surowej, nieubłaganej szkoły wojny, ona - od ciężkiej pracy dla tego samego celu. Byli pochłonięci swą służbą i dlatego żyli samotnie. Dogadzało im takie życie aż do chwili, kiedy spotkały się ich ścieżki. A wtedy przestało im dogadzać. Ale rozstanie z wstrzemięźliwą czystością było ogromnym wstrząsem i budziło nieznane uczucie. Zdziwiała słodyczą oddania, pogrążało w szaleństwo zmysłów, rozjaśniało cudownie umysł. Nic w ich poprzednich spotkaniach, nic w

dotychczasowym życiu obojga nie wskazywało na możliwość takiej gwałtownej nawałnicy uczuć i takiej ulgi po spełnieniu.

Tej pierwszej nocy Lockhart zbudził się na długo przed świtem z głębokiego, twardego snu, który spętał ich ciała. Poruszyła się przy nim i powiedziała cicho:

- Śpij jeszcze, miły.

- Spać mogę kiedy indziej.

Potarł zapalną i zapalił świecę przy łóżku, aby znów się upajać i cieszyć jej urodą. To, co teraz w niej odkrył, było tak samo wstrząsające jak noc zupełnego oddania i burzliwej rozkoszy. Jej twarz, otoczona ciemną, kapryśną ramką włosów rozsypanych na białej poduszce, tchnęła czułym spokojem. Duże, łagodne oczy spoglądały na niego jak na najdroższe dziecko, które zrobiło coś szczególnie miłego i zasłużyło na szczególnie nagrodę.

Dawniej te oczy były piękne chłodnym pięknem doskonałości. Teraz, kiedy poznały ogień płonący w jego oczach i odpowiadały płomieniem, gdy złagodniały w spoczynku i we śnie, zostało w nich ciche zaspokojenie. Pieściła jego i przestrzeń pomiędzy nimi spojrzeniem pełnym słodkiej wdzięczności, ciepła i rozkosznego znużenia, którego nie potrzebowała się wstydzić.

Wyciągnęła do niego na przywitanie oba ramiona, ofiarowując mu w tym geście piękno swych obnażonych piersi. Osunął się w jej objęcia i dalej wpatrywali się w siebie. Lecz jej spojrzenie, przeznaczone dla najmilszego dziecka, odmieniło się nagle nie do poznania - wzywało i przyzywało, było pokorne i dochodziło swych praw tym samym wilgotnym błyskiem.

Wziął ją w drżącym, skupionym milczeniu, którego żadne z nich nie pragnęło zakłócić.

Potem już nie usnęli. Zdawało się, jakby druga fala miłości, rozplątując słodką, zdumiewającą zagadkę pierwszej, pozwoliła im wreszcie radować się tym wszystkim, czym mieli się darzyć

nawzajem. Rozmawiali spokojnie aż do rana. Białe światło, wypełniające dolinę, zaczęło się powolutku przesączać do ich pokoju. Spośród tysiąca ranków w ciągu tej wojny - pomyślał Lockhart - to pierwszy ranek cichego ukojenia, pierwszy, który mi niczym nie grozi, pierwszy pod najcudniejszym znakiem Julie.

Rozmawiali o różnych sprawach - o tym, co znaczy kochać i być kochanym, o tym, co pociągało ich wzajemnie ku sobie, o niepokoju, który ich dręczył poprzedniego wieczoru. To stopniowe rozglądanie się i wspólne sadowienie we własnym, osobistym zakątku świata na przemian uciszało ich serca, to znów wprawiało je w drżenie, uzdrowiało z dawnych lęków i wątpliwości. Zdobyłem ją dla siebie - rozmyślał Lockhart, spoglądając poprzez Julie na jasny prostokąt okna, niosący zapowiedź dnia. - I musi ze mną pozostać. To nie tylko jej oczy, nie tylko ciało - chłodne i gorące w tej samej chwili, czyste, a zarazem bezwstydne, jej własne i w następnej sekundzie moje, jak sam zapragnę i jak zapragnie ona. Chodzi mi o nią, o człowieka - ona nadaje sens temu wszystkiemu.

Uniósł się i wsparty na łokciu patrzył na nią z miłością. Ucieszyła się jego spojrzeniem i powiedziała:

- Jesteś błądy... Co będziemy dzisiaj robili?

- Chyba... to - rzekł odrobinę niepewnie.

- Ja także za tym głosuję. - Utkwiła wzrok w suficie z głębokim namysłem. - Ale czy kiedyś już dawno temu, nie było mowy o tym, że jesteś purytaninem?

- Oczywiście, że jestem - odparł bardzo stanowczo. - Jakim prawem w to wątpisz?

- Od pewnego czasu zdarza mi się prawie bez przerwy mnóstwo przyjemnych rzeczy. Powiedz mi, jakiej marki jest ten twój purytanizm i dlaczego opowiadasz mi takie wierutne łgarstwa?

- To nie jest łgarstwo - odpowiedział poważnie. - Ja naprawdę wcale nie jestem zmysłowy. Przy tobie jestem taki, bo ty, to właśnie ty... Od chwili wybuchu wojny nie zaznałem tego. Właściwie - czegoś takiego nie zaznałem nigdy. To zupełna przemiana, całkowite zerwanie.

- Zerwanie z czym?

- Chyba z rzeczywistością.

- Słuchaj - zaprotestowała stanowczo. - Ja wcale nie chcę, żebyś mnie zaliczał do spraw nierzeczywistych.

- Chciałem powiedzieć - brnął przez gęstwinę rodzących się myśli - chciałem powiedzieć, że jest wojna. Ty zjawiałaś się w środku tej wojny jak cudna niespodzianka i dałbym Bóg wie co, żeby twoje zjawienie mogło oznaczać jej koniec. Ale wojna wciąż trwa...

- A ty po prostu wrócisz do niej?

- Wrócę nie taki, jaki byłem, ale muszę powrócić. My oboje musimy wrócić, Julie - rzekł dostrzegając w bladym świetle poranka coś jakby uśmiech na jej twarzy. - Nie potrzebujesz mi robić wyrzutów, ja sam dobrze rozumiem swoją winę.

- Mój ty purytaninie - powiedziała cichutko. - Co mam zrobić, żebyś mnie kochał naprawdę?

- Masz trzy sposoby - rzekł energicznie, odbijając szybkim manewrem od grząskiego tematu. - Musisz wyglądać tak, jak teraz wyglądasz, musisz czuć tak, jak czułaś przed dwiema godzinami, i musisz mówić tak, jak zawsze mówisz. Żadnej z tych rzeczy nie potrafię się oprzeć, a wszystkie razem... - Urwał w pół zdania.

- Czy to było naprawdę przed dwiema godzinami? - zapytała niewinnie.

- Naprawdę.

- No tak, ten purytanizm...

- Na temat tego nie wolno ci robić wyrzutów. - Jakiś nowy, bardzo subtelny dźwięk przykuł jego uwagę. Obrócił się do okna.
- Wiesz, co to jest? - zapytał po chwili. - Śnieg pada.

Uniosła się, aby wyrzeć przez okno. Obnażyła w tym ruchu ramiona i piersi, lśniąco żywą, gorącą bielą na tle prostej pościeli.

- Jak cudnie! - wykrzyknęła. - Teraz nikt się tu nie dostanie.

- Oby na zawsze! - westchnął z całego serca. - Niech sypie dalej. Mamy jajka i konserwy, i taką ogromną szynkę kanadyjską.
- To odcięcie od świata, które poprzedniego wieczoru dręczyło ich uczuciem zakłopotania, teraz wydawało się najśłodszym błogosławieństwem ich życia. - Niech sypie, niech nas zasypie zupełnie. Niech nas wszyscy zostawią w spokoju.

- A twoja wojna?

- Wojna, bez „moja” - poprawił z naciskiem. - Wojna może nigdy nie dotrze nad to jezioro, może już nigdy nie będziemy jej widzieć... Moja maleńka - rzekł opadając znów na poduszki - jest siódma rano i nie widać świata zza śniegu. Pytałaś, co będziemy dzisiaj robili, a ja ci powiedziałem - pamiętasz, com ci powiedział?

Pochyliła się nad nim, znów taka ufna i bliska, zbudzona w jednej sekundzie, rozkwitająca ciepłem, jakby coś w jego głosie potrafiło strunę ukrytą bardzo głęboko w jej ciele. Wymruczała cichutko:

- Zdaje się, że pamiętam. Powiedziałeś mi: „To”.

- Co to jest „to”?

- No, właśnie to.

Rozbudziła w nim zmysły tej pierwszej nocy, a potem ciągle na nowo budziła ich tęsknotę. Czy to uśmiechem, czy spojrzeniem

lub ruchem albo zastygłą w bezruchu ekstazą, albo szczerym akcentem w głosie, jak wtedy, kiedy mu powiedziała pieszcząc dłonią gładką skórę na jego piersi:

- Musisz znowu napalić we wszystkich pokojach, Nie wyobrażasz sobie, jak lekko mam zamiar się ubierać przez dziewięć dni.

Jej zmysły także obudziły się z głęboką, zdumiewającą siłą. Czasem oszałamiała go dzikim wybuchem, zachłannym, prężnym uściskiem. „Moja burza!” - szeptał jej wtedy, a ten szept był tajemnym sygnałem. Bo oto czuł, jak fala jej namiętności załamuje się pod nim i rozwiera przepaść swojego łona, a to z kolei było sygnałem dla niego. Dwie fale zwierały się z sobą i kipiącym przybojem wspinały się na brzeg rozkoszy.

W ciągu tych dni i nocy mgła sennego marzenia, w której oboje się poruszali, otaczała ich coraz gęstszym obłokiem, przenikała na wskroś i pochłaniała. Jej oczy, głos, jej chętne ciało - wszystko było dla niego porywające. Ona zaś kierując i poddając mu się zarazem, umiała uczynić z jego ciała narzędzie własnych najcudowniejszych uniesień.

Często stawali się dla siebie innymi, nowymi ludźmi, których przedtem wcale nie było.

8.

Kiedy wrócili - Julie do surowego biura w sztabie marynarki wojennej, a Lockhart znowu na morze, kiedy trzeba było się rozstać, napisał do niej list na pożegnanie. List pełen oddania i głębokiej wdzięczności, drgający tu i ówdzie czułym wspomnieniem cielesnej spójni. Musiał mieć takie myśli po takim urlopie. List kończył się tymi słowami:

„Myślę, że napisałem ci wszystko, prócz tego, że stałaś mi się teraz wprost bezgranicznie droga i że te sprawy, dla których tak się stało, są dla mnie najbardziej upragnione. Wiedz, że nie skupiają się one wokół tego zakątka Twojego ciała, dla którego w żargonie wrenek musi na pewno istnieć jakaś bardzo soczysta nazwa. Ale nie mam po co ukrywać, że obejmują go one tak słodko i z takim uczuciem szczęścia, jak on mnie obejmował wczorajszej nocy. Uwielbiam Cię, Julie”.

Część VI. 1944: DROGA DO ZWYCIĘSTWA.

1.

Parę pierwszych miesięcy nowego roku, piątego już w twardym pochodzie tych lat wojennych, fregata spędziła na zwykłej służbie. A potem *Saltash* i jej załoga dostały dziwny, niespodziewany urlop. Byli właśnie w Saint John's na Nowej Fundlandii i czekali na konwój, kiedy nadeszła wiadomość. Sygnał powiadamiał ich zwięźle, że fregata ma pójść na remont kapitalny, a ludzie na długi urlop. Nie wracali jednak do kraju w związku z tymi planami, gdyż *Saltash* miała być dokowana z tej strony Atlantyku, w stoczni marynarki wojennej w Brooklynie, w południowej dzielnicy Nowego Jorku. Tam również mieli spędzić dwa miesiące urlopu.

- Co, Nowy Jork? - zdumiał się Lockhart, gdy Ericson pokazał mu sygnał. - A dlaczego nie Clyde?

- Pewnie zakorkowane. Trudno, nie może pan wymagać ciągle takiego szczęścia - dodał z przyjacielskim uśmiechem.

Lockhart odpowiedział żalosnym grymasem, który miał imitować uśmiech, i nie ukrywał swoich egoistycznych myśli.

- Wieki nie będę jej widział! - westchnął posępnie.

- Cholerna wojna! - stwierdził Ericson tonem raczej wesołym. Cieszył się perspektywą kapitalnego remontu, gdziekolwiek miałby się odbyć, a wiadomość, że spędzą ten okres w nowym, niezmiernie interesującym środowisku, wprawiała go już teraz w nastrój zupełnie wakacyjny.

- Ameryka... - mruknął Lockhart, wczytując się po raz drugi w fatalny sygnał i marszcząc czoło. - Nigdy nie słyszałem o takim miejscu. Czy oni mają pojęcie o remontowaniu okrętów?

Ten krytyczny stosunek, przynajmniej jeśli chodzi o stocznie, rozwiął się w cztery dni później, gdy wpłynęli w cieśninę Long Island, minęli Posąg Wolności i mając przed oczyma tylekroć opiewaną, rzuconą na tło nieba, koronkę nowojorskich drapaczy chmur, weszli w ujście East River i dotarli do rojnych basenów stoczni marynarki wojennej w Brooklynie.

Lockhart zareagował na pierwsze zetknięcie z Ameryką tak samo silnie, jak inni ludzie z załogi. Z punktu widzenia Anglika kraj ten leżał, rzecz prosta, bardzo daleko od centrum światowych spraw i interesów, ale sądząc po pierwszym wrażeniu, choćby tylko po gigantycznych wymiarach i hałasie, ludzie musieli tutaj wiedzieć, co robią. Wrażenie sprawnej fachowości umocniło się jeszcze, gdy *Saltash* zacumowała do nabrzeża.

Natychmiast wdarła się na nią horda ruchliwych, milczących osobników, którzy - nie zwracając na nikogo uwagi - zabrali się po prostu do swojej roboty i zaczęli demolować wszystko dokoła.

- Odpocznij pan sobie teraz, kapitanie - rzekł jeden z pracowników stoczniowych, gdy Lockhart zadał mu jakieś pytanie w sprawie świetlnej instalacji brzegowej. - Wyszykujemy wam okręt tip-top. Wiesz pan, co ja bym zrobił na pańskim miejscu? - zapytał nie zmieniając tonu ani na jotę. - Wyniosłbym się do diabła i wróciłbym na okręt mniej więcej za sześć tygodni.

- Trudno się w nich rozeznac - zwierzał się później Lockhart lekarzowi okrętowemu.

- Człowiek nie wie na pewno, czy mu mówią impertynencje, czy też nie.

- Każdy kij ma dwa końce - orzekł z powagą Scott-Brown. - Oni znowu nie wiedzą, że my możemy się czuć urażeni.

Jak tylko weszli do doku, zanim ktokolwiek dostał przepustkę na ląd, Ericson przemówił do załogi zebranej na pokładzie rufowym.

- Przyszliśmy tutaj przede wszystkim dlatego - zaczął od wyjaśnienia - że nasze stocznie mają za dużo roboty i nie mogą nas przyjąć do remontu. To nie znaczy, żebyśmy mieli stracić na tej zamianie. Jestem zupełnie pewien, że w tej stoczni będą dbać o nas tak samo dobrze, jak w Liverpoolu albo nad Clyde, a jeśli któremuś z was inaczej się wydaje, to niech się nie waży gadać. Chcę wam powiedzieć parę rzeczy - ciągnął dalej poważnie - w związku z naszym pobytem w Nowym Jorku. Pierwsza rzecz, to że z chwilą zejścia na ląd będziemy gośćmi tego kraju. Goście muszą specjalnie uważać na swoje zachowanie, muszą się dostosować do zwyczajów panujących w domu ich gospodarza, choćby to wcale nie było łatwe. Kto postępuje inaczej, ten nie ma wychowania, a pamiętajcie, że tutejsi ludzie będą sądzić o Anglii po waszym zachowaniu. Jeśli będziecie hałaśliwi i ordynarni, to Anglia będzie miała taką samą opinię. A druga sprawa - choćby robili tu jakąś rzecz całkiem inaczej niż u nas, nie krytykujcie głośno i przede wszystkim nie wyśmiewajcie, chyba żebyście byli zupełnie pewni, że Amerykanie będą się śmiać razem z wami. Możliwe nawet, że to i owo robi się tutaj lepiej niż u nas. A jeśli to nieprawda, to w każdym razie nikomu nic nie przybędzie z porównywania rozmaitych sposobów i różnych osiągnięć.

Zamilkł na chwilę.

- I jeszcze jedna sprawa, o której chcę wam powiedzieć, to wasze prywatne życie. Przypuszczam, że znajdziecie tu dużo przyjaciół. Ale nie przesadzajcie, szczególnie z kobietami. To, żeście przybyli do obcego kraju, wcale nie musi oznaczać, że każda spotkana kobieta może być prostytutką albo że macie prawo traktować ją w ten sposób. Bądźcie dla kobiet tacy jak w kraju, bo tutejsze kobiety są takie same jak nasze kobiety w Anglii. Są

dobrze i są złe, a złych nie ma tu więcej niż w Glasgow albo w Londynie.

- Dowiedziecie się niedługo - kończył już swoje przemówienie - że piwo mają tu słabe, ale wódkę mocną i taną. Jeśli komu przyjdzie ochota się urządzić, niech to zrobi w czterech zamkniętych ścianach. Niech się nie przewraca na pysk na środku Fifth Avenue, bo taka rzecz dostanie się zaraz do gazet.

Głos jego zabrzmiał surową stanowczością.

- Żaden marynarz w mundurze Royal Navy, a już na pewno żaden z mojego okrętu, nie poważy się dostać do gazet, wszystko jedno z jakiego powodu.

2.

Gmach radia był rozległy, lśniący od szkła i metalu, gwarny i rojny. Studio, w którym Lockhart udzielał czegoś w rodzaju wywiadu, przypominało akwarium. Przez szklane szyby widział zabawne figurki mężczyzn i kobiet, poruszające bezgłośnie ustami jak ryby zatopione w modlitwie.

- Chodzi o króciutką rozmowę - oznajmił organizator audycji, siwy mężczyzna z takim wyrazem twarzy, jakby cierpiał tajemne i nieustające męki. - Oczywiście, musi być akcja i tempo. No, więc spróbujemy... Dużo zatopiliście okrętów podwodnych?

- Tylko dwa - rzekł skromnie Lockhart.

- O rany, to całkiem marnie. Ale coś wymyślimy. Może pracowaliście z naszą marynarką wojenną?

- Spotkaliśmy się kiedyś z waszymi niszczycielami. Ale nie byliśmy w tej samej grupie.

- Będziecie, jeszcze, będziecie - zapewniał siwy redaktor, jakby chcąc pocieszyć Lockharta. - Tylko musicie się najpierw zorganizować. Odkąd pan jesteś w służbie bojowej?

Lockhart zawahał się.

- Właściwie, co pan rozumie przez służbę bojową?

Redaktor przyjrzał mu się uważnie.

- O rany, kapitanie, stracił pan trochę refleks, coś mi się zdaje.

- Tak, zupełnie straciłem refleks.

- A ja muszę mimo wszystko zmontować audycję. To musi chwycić pod solidarność aliancką. Podobno wczoraj miał pan całkiem udaną pogadankę... Zaraz - gdzie to pan mówił?

- W sekcji kobiecej organizacji „Paczki dla Wielkiej Brytanii”.

- Tak, to brzmi trochę jak Święto Matki na ulicy Piekielnej... No, dobrze, spróbujemy coś teraz napisać.

W rogu ogromnej sali, w popularnej restauracji na Times Square doktor Scott-Brown - jak zawsze idealnie poprawny, trochę sztywny i pewien siebie - rozkoszował się smakiem soczystego befsztyka. Tuż obok stała kelnerka - hoża, młoda niewiasta w jakichś seledynowych falbankach - i przyglądała mu się w skupieniu, wsparłszy się ręką o biodro. Za każdym kąskiem, który podnosił do ust, jej zaciekawienie zdawało się wzrastać.

Zauważywszy, że jest przedmiotem tak dociekliwej obserwacji, Scott-Brown obrócił się do kelnerki z uśmiechem. Ona odpowiedziała natychmiast nie tylko uśmiechem, lecz także zachęcającym ruchem ramion i bioder.

- Anglik? - zapytała po chwili.

- Tak - odparł Scott-Brown uprzejmie. - Jestem Anglikiem.

Kiwnęła głową, ogromnie uradowana.

- Poznam faceta z Anglii na miłą, niech tylko się weźmie za mięsne danie. A wiesz pan dlaczego?

- Nie, nie wiem. Po czym nas pani poznaje?

Wskazała palcem na jego lewą rękę, a potem na prawą.

- Nóż i widelec - wyjaśniła. - Jedną ręką zaraz przy drugiej, jak u takiego, co to powozi końmi. Z naszych nikt tak nie będzie jadł. Za każdym razem muszę się dziwić.

Podchorąży Holt wszedł do automatycznej windy za obfita, solidnie wyglądającą damą o niebieskawosiwych włosach. Byli sami w kabinie windy i milczeli, kiedy zaczęła spuszczać się na dół. Dama spoglądała ukradkiem na dystynkcje zdobiące wyłogi munduru podchorążego i w końcu nie wytrzymała.

- Słuchaj pan, chciałam o coś zapytać.

- Służę szanownej pani - rzekł Holt, który właśnie przed chwilą zjadł obiad, dobry i dobrze zakropiony jak na młodzieńca w tym wieku.

- Co to znaczy, te różności na pańskiej marynarce? - zapytała wskazując białe naszywki na kołnierzu munduru.

- Tego nie wolno nikomu mówić.

- E... nie nabierasz pan? Ja wiem, że Anglicy to straszne cwaniaki.

- Ale pani się zwierzę - wyszeptał podchorąży, czule wywracając oczy. - To odznaki tajnego wywiadu - M. I. 5.

- Nie nabierasz pan? - upewniła się jeszcze. Ale już rozpływała się w rozkosznym uśmiechu. - Taki młodziutki.

Ericson stał na pomoście nowego niszczyciela amerykańskiej marynarki wojennej i przyglądał się milcząc, jak to u nich wygląda. Był bardzo rad, że mógł się dostać na okręt i obserwować jako gość ćwiczenia szkoleniowe w krótkim rejsie wzdłuż cieśniny Long Island. Jeden dzień na morzu po tak długim pobycie na lądzie sprawiał mu prawdziwą przyjemność.

Amerykański dowódca pochylił się do rury głosowej.

- Jakim kursem idziecie? - zapytał sternika.

- Dwieście stopni - zabrzmiała z dołu odpowiedź rozlewnym akcentem New Jersey.

Dowódca zwrócił się do Ericsona z uprzejmym, nieokreślonym uśmiechem.

- Piękny dzień mamy. Cieszę się, że pan z nami wypłynął.

Nagle pochylił się znów do rury głosowej.

- Jaki tam macie kurs?

- O Jezu! - zabrzmiał ten sam szeroki akcent. - Toć dopiero mówiłem.

- Całkiem inni ludzie niż my - oświadczył główny mechanik Johnson, spoglądając po twarzach kolegów siedzących przy stole w mesie oficerskiej. W jego głosie czuć było wyraźną przyganę. - Nie mają żadnej dyscypliny.

3.

”Mój ukochany - pisała Julie. - Zanosi się na dziecko, a przynajmniej tak mi się zdaje. Jutro wyrocznia powie - tak albo nie. Nie gniewaj się. Miałam zamiar nic Ci nie mówić, ale potem pomyślałam, że jesteśmy już teraz tak bardzo sobie bliscy... I ostatecznie piszę Ci o tym. W każdym razie nie masz powodu się

martwić. Nie przytrafiło się przedtem, bo przedtem nie należeliśmy do siebie, ale to jeszcze nie koniec świata. Wyskoczę do Londynu, bo tam (sam mi to powiedziałeś któregoś dnia z taką wspaniałą miną) rozumieją się na tych rzeczach. Więc nie potrzebujesz się martwić.

Ale wracaj już prędko. Jest mi pusto i nudno i ciągle boli mnie serce, że Cię tu nie ma. Kobiety w Nowym Jorku mają na pewno wszelkie możliwe zalety (musisz mi kiedyś zrobić szczegółową listę tych zalet), ale żadna z nich nie ma serca, które by biło dla Ciebie tak mocno i tak gorąco. Zobaczysz, co mam na myśli, jak tylko znowu będziemy razem. Proszę postaraj się, żeby to było prędko”.

Lockhart przez długi czas siedział bez ruchu, trzymając w ręku ten list. Zdawało mu się, że trzyma w ręku jej serce. Przez głowę przemykały mu jedna, po drugiej różne sceny z Julie. Zaskoczenie i wzbierająca czułość pogrążyły go w zamęt, z którego wyrastała świadomość winy i głębokiej miłości.

List był taki podobny do niej. Nie było w nim śladu przerażenia, żadnych wymówek ani nagabywań. Przyjęła jako fakt tę sytuację i miała zamiar umiejętnie z nią sobie poradzić.

A może już to zrobiła? W każdym razie zdawała się nie wątpić, że on zgadza się całkowicie z jej zamiarami.

To szybkie pogodzenie się i te rozsądne zamiary poruszyły boleśnie jakieś głęboko w nim utajone uczucie. Godziła się ze swoją sytuacją i uważała za rzecz całkowicie bezsporną następny krok i jego zgodę na to. A to wszystko przez jego głupie manewry, przez to, że ciągle jej mówił lub dawał do zrozumienia, że nie mają co myśleć o małżeństwie przed końcem wojny, że ich miłość i namiętne oddanie jest „zerwaniem z rzeczywistością”.

Wstyd go ogarniał i obrzydzenie, kiedy wywoływał z pamięci te słowa.

Teraz już wiedział, że nie było w nich prawdy. Bo musi mieć dla siebie Julie, i to nie kiedyś w przyszłości, ale teraz. Potrzeba mu jej - aby kochać i być kochanym, aby przetrwać tę straszną wojnę i zachować w całości ciepłą, promienną obietnicę, która łączy ich z sobą, choćby byli od siebie daleko.

Dziecko będzie okazją do małżeństwa, ale nigdy przyczyną. Przyczyna leży głębiej, jest mocniejsza i bardziej wzruszająca. Odkryli ją, kiedy oddali się sobie, a może już trochę wcześniej. Nie wolno im tego stracić, ani przez niego, ani przez nią.

Po prostu Julie stała się częścią jego własnego życia i zawsze będzie musiał ją kochać, a teraz musi sobie zapewnić jej posiadanie. Za tą najsilniejszą potrzebą tlił się jakiś bezmierny żal, majaczyło wyobrażenie ohydnych praktyk dokonywanych na jej ciele.

Zadepeszował: „Nie pozbywaj się”. A potem siadł, żeby napisać jej wszystko, co czuł w swym sercu.

4.

- To, co wam powiem, to prawda i tylko prawda - mówił Scott-Brown, a w jego głosie brzmiało jeszcze zdumienie. - Siedziało ich dwoje zaraz przy sąsiednim stoliku. On, starszy facet z siwymi włosami, z tego gatunku, co to ich fotografują w „Esquire”. A ona młoda, z biustem na dwadzieścia cztery osoby, w odpowiednio wspaniałym futrze z nurków. Rozmawiali o tym i owym, musiałem podsłuchiwać, chociażbym nie chciał. Nagle ten stary gość przechyla się do niej - pamiętajcie, w samo południe, w porze lunchu - i powiada z całym uszanowaniem: „Milutka pani, mam na panią ochotę, chcę panią mieć”.

- A co ona?

- Ona... - Głos spokojnego zwykle doktora wyrażał zdumienie i prawie niedowierzanie. - Ona mówi do niego: „Kochanie, jaka szkoda, właśnie kuruję hormony”.

- To jasne - rzekł mężczyzna przy barze - my, Amerykanie, mamy zupełnie inne podejście do kobiety niż wy tam w Anglii.

- Tak i mnie się wydaje - odparł Raikes, oficer nawigacyjny, który siedział w tym barze dłużej niż większość gości.

- Tak, proszę pana - odezwał się drugi mężczyzna, tkwiący tutaj prawie tak samo długo. - My stawiamy kobietę na piedestale.

- To bardzo mądrze - zgodził się Raikes. - Najlepszy sposób, żeby obejrzeć nóżki.

- A poza tym - ciągnął ten sam mężczyzna nie słuchając uwagi Raikesa - składamy kobietom w darze słodczyce i kwiaty i mamy dla nich szacunek.

- No tak, powinny się na to nabierać.

- Właśnie dlatego - perorował tamten z zapalem - Ameryka jest jedynym krajem na świecie, gdzie kobiety są zawsze w stu procentach bezpieczne. Nasze amerykańskie dziewczęta - zachłystywał się własną wymową i tematem - nasze dziewczęta są czyste i przyzwoite, żadna nieskromna myśl nie postanie im w głowie. A zwłaszcza w stanie Missouri, z którego pochodzę. Dom rodzinny jest święty w Ameryce, nasze amerykańskie matki cieszą się szacunkiem i czcią całego kraju. Wszystkim wiadomo, że nasze amerykańskie kobiety są najskromniejsze na całym świecie.

- Dobra reklama - rzekł Raikes z uznaniem.

- Czy pan coś wspominał o nogach? - zapytał nagle Amerykanin.

- Tak, coś napomknąłem.

- Bo, wie pan, ja się także znam na tym, co dobre.

- Tak się jakoś zdarzyło między dwoma tańcami - opowiadał kolegom Raikes z taką miną, jakby nie potrafił zliczyć do trzech. - Wyszliśmy do ogrodu i ona z punktu powiada: „Proszę bardzo, będzie mi bardzo przyjemnie”. No i było przyjemnie.

- Zauważyłem, że nie zajęło to panu zbyt wiele czasu - rzekł surowo Scott-Brown.

- Bo ona miała coś w rodzaju zamka błyskawicznego w pasie. W ogóle bez kłopotu.

- Dopóki to nie przynosi szkody stosunkom angloamerykańskim.

- Spokojna głowa! - obruszył się Raikes. - To jeszcze nic w porównaniu z tym, co Jankesi wyprawiają z naszymi kobietami.

- Całkiem inni ludzie niż my - stwierdził Johnson posępnie. - Bez żadnej moralności.

5.

Lockhart dostał tydzień urlopu i zamieszkał w jednym z hoteli nowojorskich. Stamtąd napisał list do Julie.

„Prawie całą noc grałem w pokera z jakimiś dziennikarzami. To doskonale kompani, a wszyscy Amerykanie są dla nas po prostu przemili. Po blisko dwóch miesiącach takich rozkoszy tęsknię okropnie, żeby już wrócić do Ciebie. Dziś jest niedziela, bardzo wczesny ranek. Ptaszki odzywają się za oknami, karty już wypadają ze zmęczonych rąk, pokój tonie w obłokach dymu. Kocham Cię i myślę o Tobie nawet w tej chłodnej, przykrej godzinie świtu, na czternastym piętrze nowojorskiego hotelu. Myślę o tym, że już niedługo weźmiemy ślub, myślę o dziecku, które chowasz i strzeżesz dla mnie.

A Ty, czy jesteś przy mnie dzisiaj o świcie? Czy śpisz, a może jesteś niespokojna? Czy także myślisz o mnie i marzysz? Może śni Ci się domek naszej miłości? Czy słyszysz, jak krzyczą mewy? Czy idziemy razem przez mokre wrzosowisko trzymając się za ręce? Czy coś porusza się nagle w Twoim ciele i w moim? Czy nasza miłość żyje, czy rośnie, czy wychodzi naprzeciw naszemu spotkaniu? Jak wyglądają dziś rano Twoje oczy i drżące usta, i Twoje piersi, które dotykały moich tak słodko? Co dobrego rodzi się dla nas w Twoich snach i w Twoich myślach na jawie?

Nie, ta godzina nie jest już dla mnie chłodna ani przykra. Zawsze Cię pragnę i zawsze mi Ciebie brak. Ty jesteś zawsze Julie, siostrzyczka moich zmysłów, moja dziecina i moja najukochańsza. Sięgam teraz po Ciebie. Byliśmy razem o niejednym świcie, o świcie żegnaliśmy się z sobą przed tylu tygodniami. Dziś znów jesteśmy razem, choć tak okrutnie rozdzieleni. Ale świergocą nam ptaki, miasto zaczyna się ruszać, światło sączy się poprzez zasłony, dotykam Cię i proszę: Zbudź się. Zbudź się, Maleńka. To jest mój pocałunek, a teraz dotykam ręką Twego ramienia. Jakaś Ty ciepła. Co Ci się śniło? Czy może... to?

Moja najmilsza, takie są moje świty. Nawet wtedy, kiedy siedzę w męskiej kompanii w pokoju pełnym dymu, zaśmieconym niedopałkami, wśród pobojowiska pustych szklanek i wiader z lodem stopniałym od dawna. Może to źle, że tak do Ciebie piszę, może źle, że wysyłam ten list. Ale to nie jest rozdrapywanie ran. Wszystko to żyje przez cały czas w nas obojgu i czeka na nas. I niedługo, już bardzo niedługo odnajdziemy to razem. A teraz, już późnym rankiem, całuję Cię i mówię:

Do widzenia!”

6.

- Stój! - huknął starszy podoficer Bernard. - Czapkę zdjąć! Sygnalista Blake, panie komandorze.

- Co zmalował, bosmanie?

- Przylepił gumę do żucia na reflektorze sygnałowym.

- Oo... Blake, musicie dbać o czystość swojego sprzętu, wszystko jedno, czy mamy wyjść na morze, czy nie. Inaczej będzie z wami niedobrze. Tym razem daję wam nagane.

- Nagana, panie komandorze. Czapkę włożyć! W tył zwrot! Odmaszerować!

- Guma do żucia, bosmanie? To obrzydliwe!

- Tak, panie komandorze. Za długo tu siedzimy.

- Niech pan nie schodzi na śniadanie - rzekł gospodarz mówiąc Ericsonowi dobranoc.

- W niedzielę nikt z nas nie schodzi do jadalni. Niech pan się dobrze wyśpi, a ja każę zanieść jedzenie na górę.

W pogodny niedzielny ranek Ericson leżał w łóżku, słuchał stłumionych dźwięków radia i jakichś nieokreślonych odgłosów z podwórza farmy i czekał na obiecane śniadanie.

Fizycznie było mu dobrze, lecz myśli przeczyły błogostanowi ciała. Wygodne łóżko, jasny, wesoły pokój i nastrój serdecznej gościnności powinny dać mu zadowolenie, a tymczasem było inaczej. Krył się w tym wszystkim gorzki smak winy, którego nie mógł się pozbyć.

To oczywiście sprawa wojny. Wojny, od której umknęli. Minęły dwa miesiące, odkąd *Saltash* wyszła ze służby, a miną jeszcze dwa albo trzy tygodnie, zanim będzie gotowa do wyjścia na morze. Stocznia marynarki wojennej w Brooklynie pracowała dobrze i chętnie, ale brak części zamiennych do maszyn, których nie można było wytrzasnąć z powietrza, spowodował tę zwłokę.

Normalnie trudno byłoby o przyjemniejszą odmianę niż takie wakacje po ciężkiej służbie. Rzecz w tym, że czasy nie były normalne i nie można było bez wstydu zgodzić się na wakacje. Podczas gdy oni opływali we wszystko jak pączki w maśle, wojna nie ustawała, tylko że inni ją dźwigali. Ludzie, którzy od pięciu lat nie jedli śniadania w łóżku, a w dodatku skazani byli przeważnie na bardzo marne śniadanie. Amerykanie byli w swej gościnności rozczulająco serdeczni - najlepszym tego dowodem niespodziewane zaproszenie przez zupełnie obcego człowieka. Ale Ericson i załoga jego okrętu zbyt długo już doświadczali tej serdeczności. Zżerała ona i wykruszała twardą zaprawę wojenną. Długie oczekiwanie zdemontowało i ludzi, i maszyny. *Saltash* wydawała się teraz bezużytecznym, rozklekotanym wrakiem, który dekuje się przed walką. A załoga, odzwyczajona od morza, odzwyczajała się z czasem od wszystkiego, prócz coraz wymyślniej szych wykroczeń przeciwko dyscyplinie.

Było jasne jak słońce, że siedzieli już tutaj za długo i że nie ma innego lekarstwa, tylko wrócić znowu na morze i zacząć żyć poważnie. Ale to nie zależało od niego.

Ktoś zapukał do drzwi. Weszła ładna dziesięcioletnia dziewczynka w sukieneczce z jasnoczerwonego kretonu, dźwigając tacę naładowaną po brzegi.

- Dzień dobry, panie komandorze - powiedziała z bardzo swobodną uprzejmością. - Czy dobrze się panu spało?

- Bardzo dobrze, dziękuję.

- Chciałam przynieść od razu komiksy - wyjaśniała poważnie - ale w tym domu bardzo trudno je złapać przed południem.

- Ależ to nic pilnego.

- Tatuś kazał powiedzieć, żeby pan zjadł porządnie śniadanie, a potem może pan zagra w golfa?

- Bardzo dawno nie grałem. Ale może przejdę się trochę.

- To świetnie... Tatuś mi kazał - podjęła znowu patrząc na niego badawczo - żebym nic nie mówiła o pana akcencie. Ale mnie się bardzo podoba.

- Dziękuję. Jak masz na imię, dziewczynko?

- Ariana. To po babci. Takie francuskie imię. - Rzuciła okiem na tacę. - Ma pan tutaj śniadanie. Czy będzie dosyć?

Ericson przyjrzał się tacy. Prócz kawy, śniadanie podane było na trzech sporych, owalnych półmiskach. Trudno było od jednego spojrzenia zorientować się w różnorodności przysmaków. Więc przede wszystkim szynka, parówki, dwa jajka na miękko, indyjskie risotto, które tu nazywano kedgeree, kawałek ryby, cztery placuszki owsiane, musztarda, marmolada, pomidor, smażony banan, trzy grzanki i wafel napelnięty obficie syropem klonowym.

- Zupełnie dosyć - odparł Ericson. - Ale zostań tu trochę, porozmawiamy sobie.

- Z przyjemnością. Ale na krótko, bo mam dużo roboty.

Dyskusje i kłótnie, czasem blahe, a czasem zażarte. Różnice zdań co do tego, jak należy tę albo inną sprawę rozwiązać, jak rządzić krajem i wygrać wojnę. Spory z robotnikami na okręcie, z kelnerami na łódzie, z mężczyznami przy jednym głębszym w barze i z kobietami w łóżku. Gderliwe narzekania w pomieszczeniach załogi i krótkie spięcia na towarzyskich zebraniach. Wyniosła uraza albo ponura, zawzięta złość, gdy ten czy ów nie chce zrozumieć, o co chodzi. Marynarze wracają za późno z przepustki, w dodatku pijaniusięcy. Awantura z portowym policjantem, skarga na natarczywość, nie bardzo różniącą się od gwałtu. Wspomnienia, jak to inaczej bywało w

Anglii, niechęć do tego miękkiego życia, gdy wojna toczy się dalej.

Pamięć, a czasem i napomknienie o latach neutralności, kiedy Wielka Brytania wzięła wszystko na swoje barki, kiedy krwawiła i upadała pod zbyt wielkim ciężarem. Utarczki, kłótnie, jałowe porównania, rozgoryczenie i nuda. Tak właśnie musiało być w tym okresie zastoju, beczynnego oczekiwania na ponowne włączenie się w nurt wojny.

- Wam, Anglikom, jakoś to nie smakuje, że nasz Patton wciąż wali naprzód, a wasze wojska jak ugrzęzły, tak nie mogą się ruszyć.

- Nie, to nie to. Po prostu my nie lubimy tego gatunku hura-generalów.

- Najgorsza bieda z tymi Amerykanami - oświadczył Lockhart - to to, że człowiek musi ich lubić, choć wie, że nie powinien. Pamiętacie, jak to było w latach trzydziestych? Rok za rokiem prawili nam kazania - poskromić Mussoliniego, poskromić Franco, w końcu poskromić Hitlera. To bardzo ładna i bezpieczna zabawa - prawie kazania z przeciwnej strony Atlantyku, z odległości trzech tysięcy mil morskich. Kiedy wojna rzeczywiście wybuchła, oni czekali przeszło dwa lata, nim do niej przystąpili. Oni czekali, a my tymczasem przeżywaliśmy Dunkierkę i te piekielne naloty, my straciliśmy około dwóch tysięcy statków i Bóg wie ilu ludzi. My wyzbywaliśmy się w tym czasie wszystkiego, jak bankruci. Oddaliśmy im w zamian za broń cały kapitał zagraniczny Wielkiej Brytanii albo prawie cały. Przepisaliśmy na nich posiadłości brytyjskie - Bermudy i Antigüę, w zamian za pięćdziesiąt ich niszczycieli, które nie wychodzą ze stoczni remontowych. W końcu postanowili przystąpić. Z

impetem, po amerykańsku? Tak, impet był jak cholera... Przystąpili do wojny tylko dlatego, że Japończycy napadli. Żeby nie ten japoński atak, do dziś moglibyśmy na nich czekać, a Hitler także. Jeśli kiedyś zdarzy się jeszcze wojna - rzekł tonem rozmarzonym - to ja sobie poczekam z boku, co najmniej przez dwa i pół roku. I będę przez ten czas rozsyłać mnóstwo instrukcji, jak to trzeba być dzielny i nie dawać się nieprzyjacielowi. Wcale niewykluczone, że założę organizację pod nazwą „Paczki dla obu stron”. To zależy, kto mi okaże więcej uprzejmości. Ale kiedy ta wojna się skończy, tylko Amerykanom będzie się dobrze działo. Oni będą rządili światem, bo my będziemy złamani i wyczerpani. Oni będą wszystkim kierować - czarujące, niedouczone dzieciaki, które nie mają zielonego pojęcia, co się kryje za najbliższym zakrętem historii, latorośle nażartego po dziurki od nosa szowinizmu.

- Wolnego - przerwał mu Allingham. - To bardzo bojowe słowa. Nie rozumiem, co to ma znaczyć?

- Znaczy, że mimo wszystko lubię Jankesów, ale już się stęskniłem za naszą łajbą. No co, jeszcze jeden rum zakrapiany, braciszku?

- Cała bieda z tymi Amerykanami - zauważył Johnson posępnie - to to, że nie mają za grosz rozsądku. Całkiem inni ludzie, niż my.

Czytał jeszcze raz od początku i nie mógł nic zrozumieć z tego strasznego listu.

„Pewnie już wiesz o Julie Hallam - pisał jego kolega. - To strasznie smutne i najfatalniejszy pech, jaki może się zdarzyć. Przecież gdyby nie to, że musiała zastąpić jakąś inną, chorą dziewczynę, wcale by jej nie było na tej motorówce. Zdaje się, że niczyjej winy w tym nie ma. Wracali późno wieczorem aż od nabrzeża Hunter. Zerwał się silny szkwał, o którym nie można było ich ostrzec. Możliwe, że i silnik nawalił. Nie wiedzieliśmy u nas o niczym, aż po paru godzinach ktoś zadzwonił zawiadamiając, że widział, jak znikły światła na motorówce, więc może to coś ważnego. O tej porze, jeśli mogli w ogóle płynąć, to zimno musiało ich wykończyć, zanim dopłynęli do brzegu. W końcu udało się wszystkich wyłowić - aż siedemnaście osób, przeważnie marynarze z przepustki, ale i cztery wrenki. Pomyślałem sobie, że może chciałbyś wiedzieć szczegóły, bo przecież znałeś ją dobrze. Nam tutaj bardzo jej brak. Kiedy wasza fregata znów się wybiera na wojnę?”

Może to lepiej dowiedzieć się w ten sposób - prawie przypadkiem, od człowieka, który myślał, że się już wie, i wobec tego nie potykał się na wstępnych, wprowadzających frazesach. Utonęła... Straszne obrazy zaczęły się szybko przesuwac przed oczami Lockharta, bo znał Julie tak dobrze, bo dobrze wiedział, jak ludzie toną. Widział wianek zmoczonych włosów wokół bezwładnej głowy, widział, jak ciemna rzeka przewraca jej ciało, jak maleńkie dzieciątko stygnie pod martwym sercem. Ofelia... - błysnęła myśl. Niejasne przypomnienie „biednej ofiary”. Nagle na fali mdlącego lęku przypłynęło całe to zdanie: „Nasiąkłe szaty pociągnęły za sobą biedną ofiarę ze sfer melodyjnych w zimny

muł śmierci”³⁰. Muł w oczach i w nosie Julie, muł zatyka zsiniałe gardło. Lodowaty chwyt zimna obezwładnia jej ciało, a potem ssący wir prądu, tam gdzie rzeka spotyka się z morzem.

Znowu jest tak, jak kiedyś już było z *Compass Rose*, tylko że teraz ostrze trafiło w serce. Ale cios go dosięgał z ręki tego samego wroga: niewielka fala okrutnego morza odebrała mu ją na zawsze.

Lepiej tak się dowiedzieć, lepiej dostać sztyletem znienacka, w ciemności. Ale Julie, Julie utonęła...

Błądził sam pośród wysokich gmachów, które zagradzały mu drogę, ale nie chciały zawalić się na niego, nie chciały zmiażdżyć mu mózgu, który ciągle myślał i czuł. Na tej ulicy nikt jeszcze nie płakał - przyszło mu na myśl. - Ósma Aleja to nie miejsce do łez, Ale coś znaczą takie czy inne prawa, jeżeli wszystkie prawa ludzkie i boskie zostały oto złamane jednym brutalnym ciosem. Nie miał już przed oczami martwej Julie, odeszły już od niego te straszne obrazy. Pozostał ból, ucisk osierocenia i szaleńcze wyrzuty, którymi się biczował. Nie powinien był jej opuszczać, trzeba było żenić się zaraz. Może to on ją zabił przez to, że zdradził swoje i jej śluby wojenne? Kiedy wysyłał ten ostatni list, ona już nie żyła. Pisał do widma, do błędzącego ducha, do biednej, bladej Julie. Gdy sięgał po nią gorącymi myślami, mogła już tylko odpowiedzieć mu szeptem i rozwiać się, pozostawić go w chłodzie i w samotności, tak jak teraz. Przeszyty na wskroś bólem, drżący od wewnętrznego dreszczu, błakał się pośród tłumu ludzi, samochodów, pośród wysokich domów, które nie chciały się na niego zawalić.

³⁰ Z dramatu Szekspira *Hamlet*. Przełożył Józef Paszkowski.

Nagle ujrzał ją - szła mu naprzeciw. To Julie! Ciemne włosy upięte wysoko, idzie tym swoim dziwnym, rozważnym krokiem, w którym tai się przecież ekstrakt jej kobiecości. Osłabł pod wpływem wstrząsu i bezmiernej tęsknoty, czekał, aż podejdzie do niego. To ona! Nikt inny nie mógł mieć takich ruchów, tych pięknych włosów, tego owalu twarzy. To ona. List to jakaś pomyłka. Przecież nawet i państwa teraz się pokręciły.

Gdy była zaledwie o parę kroków, wyciągnął niepewnie rękę i nagle prysł obłąkany czar. Mózg przejrzał i skurczył się w męce.

Obcy przechodzień spojrzał na niego uważnie.

To znak z innego świata - myślał mozolnie. Jakaś dusza zza grobu po raz ostatni łączyła się z nim myślami. Julie umarła dla takich myśli, dla takich słów i takiej żaloby. To wszystko było w innym zupełnie świecie, a poza tym moja dziewczyna nie żyje.

Przestało go prześladować potworne wyobrażenie śmierci, nie czuł już nawet bólu ostatecznego rozstania. Teraz pragnął za wszelką cenę wyrwać się z tego miejsca, pracować, zabić czymś czas i wspomnienia.

Na pokładzie dziobowym marynarz układał linę. Szło mu to jakoś niezręcznie.

- Słuchajcie - Lockhart zwrócił się do niego z zamiarem udzielenia nagany i nagle... przypomniał sobie.

Odszedł, bo nie mógł dokończyć zdania. Marynarz popatrzył za nim ze zdziwieniem i ulgą.

Słuchaj... - tak zawsze mówiła Julie, kiedy chciała zwrócić na coś jego uwagę. - Słuchaj - mówiła - ty wcale nie wiesz, co to jest miłość. Albo: Słuchaj, czegokolwiek zapragniesz od kobiety, pamiętaj, że tą kobietą mam być ja. - Potknął się o to zwyczajne słowo: „Słuchaj”, które zadrżało dźwiękiem jej głosu, wspomnieniem jej dotknięcia. I to już wystarczyło, by go wytrącić z równowagi. Rozumiał, że nie odzyska panowania nad sobą, jeśli

jakimś sposobem nie zdoła odpędzić od siebie przeszłości. Bo teraz, obezwładniony nieszczęściem, był bezbronną ofiarą każdego zabłąkanego marzenia, każdej tęsknoty, która niedawno ulatywała ku niej z wdzięcznym przeczuciem zaspokożenia.

Jałowy smutek wysysa krew - pomyślał jasno i ostro. Stojąc w kabinie Ericsona, zawołał niemal z rozpaczą:

- Czy nie możemy się stąd wynieść? Dlaczego nie wychodzimy na morze?

- Już niedługo - odparł Ericson, a z jego oczu wyzierało coś więcej niż współczucie, prawie miłość, - Wyjdziemy jak tylko się da najwcześniej. Pan wie, że będę się o to starał.

8.

Saltash powróciła na morze we wspólnym momencie, w momencie gdy zaczynali zwyciężać. Dobrze było w tym czasie oddać się całkowicie wojnie, smagać okrucieństwem ciało i umysł.

Nie było to jeszcze zwycięstwo. Nieprzyjaciół miał jeszcze ostre zęby i szarpał nimi jak mógł. Ale ostateczna wygrana już majaczyła u wylotu długiego tunelu wojny i już było wiadomo, że *Saltash* powraca na ocean, jako przyszedł zwycięzca. Nie minęło więcej niż dwa i pół miesiąca, odkąd opuścili Atlantyk, ale już to się stało i cudowna odmiana rzucała się w oczy. Odmieniła się barwa oceanu i błękit nieba był żywszy. A ciemny firmament nocy prószył poświatą gwiazd niby balsamem zwycięstwa. Po czterech i pół latach walki na śmierć i życie, w której dwaj przeciwnicy, zwarci w śmiertelnym uścisku, kłasnali się nawzajem z obłąkaną wściekłością, nieprzyjaciół zaczął się załamywać.

Znajdowało to wyraz zarówno w drobnych, jak i poważnych sprawach, na przykład w liczbie zatopionych okrętów podwodnych. W ciągu pierwszych pięciu miesięcy tego roku poszło ich na dno dziewięćdziesiąt. A jedna grupa eskortowa zniszczyła aż sześć w ciągu dwudziestu dni pływania. Znajdowało to wyraz w niezakłóconych transatlantyckich rejsach olbrzymich konwojów, które zwoziły sprzęt potrzebny do ostatniego natarcia. W marcu nieprzyjaciół zatopił tylko jeden statek handlowy spośród ogromnej liczby tych, które przeszły ocean w jedną i drugą stronę. Znajdowało to wyraz w taktyce okrętów podwodnych, która była już tylko bladym odbiciem dawnej taktyki. Działały bardzo ostrożnie i niepewnie, a napotkawszy opór, natychmiast wycofywały się z walki, nie okazując najmniejszej ochoty do podjęcia ataku na nowo.

Znajdowało to wyraz w wypadkach haniebnego kapitulacji na morzu, kiedy niemiecki dowódca pierwszy płynął w kierunku atakującego okrętu. Wreszcie znalazło to wyraz w sygnale, który *Saltash* dostała od korwety *Rose Arbour* w dniu powrotu do grupy i objęcia nad nią dowództwa.

„Cieszymy się, że jesteście z powrotem - brzmiał sygnał na powitanie. - Mieliśmy stracha, że nie zdążycie na finał”.

Wprawdzie maj roku 1944 nie był ostatnim aktem, ale był już dość blisko końca, by taki sygnał mógł zrobić miłe wrażenie. Już potężniały światła do wspianego finału. Niewiele scen pozostało i nie groziło już żadne niespodziewane zakończenie tej sztuki.

Aby jednak mogło nastąpić zakończenie, żołnierze musieli dokonać jeszcze jednego zadania.

9.

W słoneczny, groźny ranek desantu *Saltash* po raz pierwszy od wielu miesięcy znalazła się na nieznajomych wodach. Należała do jednej z grup pomocniczych, które patrolowały w rozległym łuku u wylotu kanału La Manche. Miały wyraźne zadanie - zagrozić drogę okrętom podwodnym, które mogły ulec pokusie wymknięcia się z wątpliwego schronienia, jakie im dawał Atlantyk, i przedostania się do wybrzeży objętych akcją desantu. W gruncie rzeczy pilnowali tylnego wejścia, lecz Ericson czuł się szczęśliwy, że może, choćby pośrednio, wziąć udział w głównym natarciu. W dniu szóstym czerwca 1944 roku jedno było miejsce na lądzie i na morzu godne skupienia wszystkich myśli i uczuć. Każdy żołnierz, marynarz czy lotnik, który nie mógł znaleźć się wtedy na tym obszarze, tracił niepowtarzalny moment dziejowy. Z lewej i z prawej burty, znacznie dalej, niż sięgał wzrok Ericsona, wyciągnęły się długą linią niszczyciele, fregaty i korwety, przeszukując pięćsetmilową granicę wód. Trzeba nie lada cierpliwości, by patrolować bez końca, kiedy co pół godziny napływają przez radio komunikaty, kiedy wiadomo, że tam, o jeden krok za horyzontem, wielka armada wysadziła właśnie na ląd pierwsze oddziały desantowe. Z daleka obserwowali bitwę, wiedzieli, o jaką stawkę idzie ta gra, lecz ich udziałem była tylko nadzieja i błagalne westchnienie. Okręty eskortowe stały na straży z daleka. Gdy *Saltash*, godzina za godziną, krążyła w jednostajnym spokoju, tamci walczyli i umierali, czynem przemieniali ten dzień w najbardziej wstrząsający i ważki moment straszliwej wojny. Każdy, kto stał na zewnątrz, mógł spełniać tylko skromniutką rolę.

- Dobrze w każdym razie, że jesteśmy tak blisko - rzekł Ericson patrząc z pomostu na okręty swej grupy, które właśnie robiły zwrot po dojściu do granicy odcinka. - Nie jest to wprawdzie

specjalnie efektowne, ale przynajmniej należymy do głównej operacji.

- To pech, że nie możemy być razem z nimi w natarciu - zżymał się Lockhart. - A niektórym fregatom się udało. - Spojrzał ku północnemu wschodowi, gdzie w oddali zarysy przylądka Land's End oraz wysp Scilly kładły się purpurowym cieniem na horyzoncie. - Dziwne, że przez tyle lat ani razu nie pływalismy w pobliżu Kanału.

- Dość dobry czas na pierwszą wycieczkę - odezwał się Allingham, który także przyszedł na pomost. Sprowadziło go tutaj wspólne im wszystkim uczucie, że w takim dniu człowiek nie powinien być sam, nie powinien odgradzać się od przyjaciół.

Popatrzył na zegarek.

- Już dwunasta. Żeby choć wiedzieć, jak im tam idzie.

- Musi pójść dobrze! - zawołał Lockhart. - W tym jest przecież cały sens wojny. Pieskie szczęście, żeśmy zostali nie po tej stronie, gdzie trzeba.

Po raz pierwszy poczuli się związani z innym teatrem wojny, poza swym własnym. Ale w tym dniu bezkresny Atlantyk był niczym. Cała wojna na morzu i na lądzie zacieśniła się teraz do kilku mil europejskiego wybrzeża, do kilku metrów przybrzeżnej płyiczny, a wszystko, co było poza tym, nie miało najmniejszego znaczenia.

Saltash pilnowała tylnego wejścia. W kierunku północnym - do Land's End, w kierunku wschodnim - wzdłuż Kanału aż do cieśniny Plymouth, na południe - aż do rejonu Brestu. Granice tego obszaru zmieniały się z dnia na dzień, ale zadania i metody były te same. Patrolowanie okazało się bardzo celowym środkiem ostrożności. Bo okręty podwodne rzeczywiście opuszczały Atlantyk, sądząc, że u wybrzeży Normandii czeka na nie obfita i

łatwa zdobycz. Dziesiątki eskortowców zagradzających im drogę miały poważną szansę zdobycia decydujących punktów. Tylko znikoma liczba okrętów podwodnych przebiła się przez tę barierę, a żadnemu nie udało się dopaść konwoju idącego w poprzek Kanału. Próbowaly, ale - biorąc pod uwagę ich liczbę - poniosły przy tym stosunkowo najcięższe straty w tej wojnie.

Saltash za pomocą fregaty *Streamer* dopisała jeszcze jedną pozycję do rachunku tych strat. Przydybała swoją zwierzynę blisko wybrzeża Devon, na wysokości Start Point, i ku własnemu zdziwieniu prawie bez kłopotu zmusiła nieprzyjaciela do wyjścia na powierzchnię. Dziwne i trochę niepokojące było to polowanie na okręt podwodny, bo równocześnie trzeba było uważać na głębokość wody pod stępką i na skały wyrastające z morza w pewnej odległości od brzegu. Po raz pierwszy dawał im się we znaki brak rozległej przestrzeni morskiej. Czuli się tak, jakby zerwali ze swym właściwym żywiołem i chlapali się oto w małej sadzawce, goniąc za złotymi rybkami jak psotne chłopaki. Tłum ludzi wymachujących przyjaźnie rękami na pobliskim przylądku przeszył ich ostatecznie. Wszystko to razem nie było w niczym podobne do Atlantyku.

Mimo to przyjemnie było dowieść racji swego istnienia właśnie w tym czasie, gdy inni dowodzili jej w krwawym, brutalnym boju. Bo poza tym - rozmyślał Ericson - nie liczymy się prawie w głównej fali przyływu. Zostaliśmy na zewnątrz i tylko zagłębiliśmy przez płot. Nawet John, mój rodzony syn, był z tym mocniej związany. Bo jego statek wziął udział w operacji na czwarty dzień po rozpoczęciu inwazji.

Wkrótce wrócili na stary szlak atlantycki, lecz teraz mieli wrażenie, że patrolują wymarłe miasto, opuszczone przez dawnych mieszkańców, którzy woleli się przenieść w jakieś ciekawsze rejony. Teraz był to naprawdę ocean zwycięstwa. Po okrętach podwodnych ślad prawie zaginął, toteż wielkie konwoje

- jeden z nich, rekordowy, liczył sto sześćdziesiąt siedem statków handlowych - docierały bezpiecznie na miejsce, przywożąc niezbędne materiały i sprzęt dla rozwijającego się frontu we Francji. Niektóre statki w konwojach eskortowanych przez *Saltash* szły prosto do Cherbourga - dziwna odmiana losu w porównaniu z dawnymi czasy, kiedy z największym trudem, stale napastowani z powietrza i z morza, przemykali się chyłkiem do Zatoki Liverpoolskiej. Teraz tak się już ułożyły sprawy i tak się miało dziać do końca roku. Nieprzyjacielskie okręty podwodne, utraciwszy swe bazy w Zatoce Biskajskiej, zostały zepchnięte do Norwegii nawet na Bałtyk, a z Bałtyku trudno już było wywierać nacisk na Obszar Zachodni.

Angielska marynarka wojenna miała co robić, bo nieustanny ruch wahadłowy w poprzek Kanału wymagał poważnych sił eskortowych, a przecież zawsze istniała groźba, że Niemcy zmienią strategię i będą znów próbowali zdusić dostawy przez ocean. Przeważnie jednak służba na Atlantyku była żmudna i monotonna, bez żadnego jaśniejszego momentu, bez groźnych niespodzianek, którym trzeba by stawić czoło. Przypominały się pierwsze miesiące wojny, kiedy Niemcy mieli zbyt mało okrętów podwodnych, żeby móc nimi straszyć, a dla tych, które mieli, nie zdążyli wypracować planu działania.

Teraz, po pięciu latach, działania okrętów podwodnych były już zakończone. Co dały Niemcom? Równie dobrze mogliby sobie zaoszczędzić kłopotu, a jednocześnie pozostawić przy życiu wiele statków i wielu ludzi.

„Może trzeba to było udowodnić” - myślał Ericson podprowadzając *Saltash* po raz dwudziesty do nabrzeża w Saint John's na Nowej Fundlandii. Mieli za sobą czternastodniowy rejs bez żadnych wydarzeń, a fregacie nie brakowało niczego oprócz świeżych zapasów i lekkiego liźnięcia farbą. Może trzeba to było udowodnić, i właśnie tym sposobem. Może tylko okrutny haracz,

pozostawiany na szlaku każdego konwoju, mógł kupić spokojny sen we własnym łóżku.

10.

Boże Narodzenie w ojczystej przystani, święta nad rzeką Clyde.

Wszyscy wiedzieli, że to ostatnie święta wojenne, ale nikt nie wypowiadał tej myśli w obawie przed złośliwą zemstą historii. Oficerowie urządzili przyjęcie, które jednak nie różniło się niczym od innych przyjęć. Pili solidnie. Ericson pił razem z innymi, ale wyniósł się w momencie psychologicznym. Stewardzi byli także pod gazem, a jeden z nich rozlał sos winny na indyka. Lockhart prezydował przy stole i odruchowo zachowywał tradycyjne zwyczaje. Tak samo było w czasie zeszłorocznych świąt i jeszcze o rok wcześniej - wszystko to było częścią wojny, częścią służby, która nie miała końca. W zeszłym roku była Julie, a w tym roku jej nie ma. Smutne, jeśli się o tym myśli, a więc nie trzeba myśleć. Trzeba zwyczajnie jeść i pić, i dokuczać podchorążemu jego dziewczyną...

Po południu gdy wszyscy pospali się na *Saltash*, odwiedził ohydłą wspólną mogiłę, w której spoczywało jej ciało. Ale nawet i tutaj nie doznał szczególnego wzruszenia. Ot, po prostu był zimny dzień, czuł jakiś ucisk koło serca i był sam, zamiast z nią razem. Normalna pustka w głowie, normalna tęsknota i niedola.

- Kapitanie!

- O, przepraszam... - Od razu wrócił do rzeczywistości. - Co pan powiedział, Holt?

- Znalazłem kawalerski guzik w puddingu.

Lockhart odpowiedział jakimś dowcipem à propos.

Po pewnym czasie będzie mu chyba lżej na tym świecie.

Część VII. 1945: NAGRODA.

1.

- I właśnie dlatego - dobiegał Vincent do końca swej pogadanki - było dla nas sprawą niezmiernie ważną najpierw przystąpić do wojny, a następnie - właśnie w obecnej chwili - dobrze dopilnować zwycięstwa.

Z ulgą, choć bez większego przekonania, zamknął swój zeszyt z notatkami i przycisnął go jeszcze broszurką Wojskowego Biura Informacji Bieżącej, z której wziął materiały do pogadanki. Spojrzał na rzędy krzeseł zapełnione marynarzami z *Saltash*, którzy zastygli w cierpliwym zasluchaniu. Szeregi oczu odpowiadały mu nieruchomym spojrzeniem, w którym niełatwo było się doszukać jakiegokolwiek wyrazu. Niektóre oczy były znudzone, niektóre wrogie, lecz większość roztapiała się w ciepłym, przyjemnym odrętwieniu. Oczy ludzi wysłuchujących obowiązkowej pogadanki o celach wojennych Wielkiej Brytanii. Jeszcze raz, jak tylekroć przedtem, upajająca magia broszurek Biura Wojskowego nie podziałała. Mdlilo go od tego wszystkiego. Miał tylko jeden sposób zapchania wyznaczonego czasu. Odchrząknął.

- Czy są jakieś pytania?

Milczenie. Wiele spojrzeń utkwiło w podłódze albo ucieкло w bok, jakby lękając się kontaktu ze spojrzeniem Vincenta w tym krytycznym momencie, kiedy czegoś od nich żądano. Słysząc było wyraźnie szum prądnicy. *Saltash* obróciła się o jeden rumb na kotwicy i promień słońca zaglądający przez iluminator przesunął się po podłódze, prześliznął się po stopach marynarzy siedzących w pierwszym rzędzie.

Ktoś w głębi pomieszczenia odchrząknął i nareszcie przemówił:

- Panie poruczniku...

- O co chcecie zapytać, Woods?

Murowane, że sygnalista Woods odezwie się pierwszy. Woods zawsze pierwszy zadawał pytanie, a czasem... pierwszy i ostatni. Bo Woods bardzo chciał zostać starszym sygnalistą, a tylko Vincent mógł mu wydać opinię niezbędną do awansu.

- Panie poruczniku, jak już zlikwidujemy tych hitlerowców, to kto tam będzie rządził? Znaczy się, niby u Niemców. Jaki tam będzie rząd?

„Powinienem go trochę zachęcić” - pomyślał Vincent. - Powinienem może powiedzieć: „To bardzo interesujące pytanie”. Ale przecież to nie jest interesujące pytanie. Jest idiotyczne, świadczy wyraźnie o tym, że on w ogóle nie słuchał.

- Jak już wspomniałem - rzekł z dostatecznym naciskiem, by podkreślić ten fakt - jesteśmy przekonani, że w Niemczech znajdzie się dosyć niehitlerowców, którzy utworzą przyzwoity rząd. Muszą tylko wystąpić naprzód i... I to właśnie nastąpi - skończył kulawo.

- Dziękuję, panie poruczniku - rzekł Woods uprzejmie, rad, że odrobił już swoje. - Ja tylko chciałem się co do tego upewnić.

I znów milczenie. Dyskusja powinna być spontaniczna i ożywiona - myślał z goryczą Vincent. - Ale jakoś nie chwyta. Powinny padać pytania jedno za drugim, powinni się trochę pokłócić, jakiś bardzo inteligentny marynarz powinien podejść do sprawy z zupełnie nowej strony, powinni filozofować z zapalem na ten najistotniejszy temat. Rozumiał, że to on przede wszystkim winien jest niepowodzeniu. On sam interesował się tym problemem, lecz nie potrafił przelać swego zainteresowania choćby na kilku słuchaczy. Odwalali po prostu jeden z wielu kawałków. Pogadanka miała wypełnić czas pomiędzy odpoczynkiem a gwizdkiem na obiad. Było to przyjemniejsze od

ćwiczeń artyleryjskich czy malowania okrętu, ale na pewno nudniejsze niż gra w loteryjkę albo słodkie lenistwo.

Ktoś jednak zgłosił się jeszcze z pytaniem, dla odmiany któryś z maszynistów.

- Pan porucznik powiedział... - zaczął, potykając się trochę na słowach. - Pan porucznik powiedział, że my niby walczymy o lepszy świat... - (Czy to zdanie brzmiało naprawdę tak okropnie jak teraz, kiedy on sam je wypowiadał?) - Pan porucznik myśli, że Liga Narodów, prawda? Że już nigdy nie ma być wojny?

Lepszy świat... - zastanawiał się Vincent. W jakich słowach miał to wyrazić, żeby mogły coś znaczyć dla zwyczajnego maszynisty, który przed wojną terminował u jakiegoś kotlarza? W jego własnym umyśle treść tego pojęcia układała się jasno: Cztery Wolności i panowanie prawa, koniec tyranii i obalenie zła. Ale wszystkie te rzeczy wymienił w swej pogadance i objął, jak tylko umiał najlepiej, zapuszczając się w szczegóły tam, gdzie to było potrzebne. I oto maszynista, który zadał pytanie, najwidoczniej nic, nic absolutnie nie przyjął do wiadomości, w jego umyśle usłyszane słowa nie zostawiły śladu. Nie mogę powtarzać znów od początku - pomyślał zniechęcony. - Brak na to czasu, a zresztą nie ma sensu, skoro słowa, które dla mnie znaczą tak wiele, dla niego i dla wszystkich tych ludzi nie mają najmniejszego znaczenia.

- Liga Narodów albo coś w tym rodzaju - próbował odpowiedzieć - odegra z wszelką pewnością poważną rolę w powojennym świecie. Walczyliśmy między innymi o to, żeby prawo międzynarodowe odzyskało swą moc. To znaczy, że jeśli jedno państwo zechce rozpętać wojnę, to reszta świata połączy się naprawdę, żeby do tego nie dopuścić. Ale kiedy mówiłem o „lepszym świecie” - tu przełknął ślinę - myślałem o lepszym świecie dla wszystkich - o wolności bez strachu, o tym, żeby nie

było już bezrobocia na większą skalę, o bezpieczeństwie, o sprawiedliwych płacach, o różnych tego rodzaju rzeczach.

Znowu milczenie. Czy te słowa znaczyły dla nich cokolwiek? Czy roznieciły iskrę? Czy w ogóle drzemie w nich iskra?

Jakiś marynarz zapytał z nutą powątpiewania w głosie:

- Więc niby wszystko ma być inaczej?

Cóż mógł mu na to odpowiedzieć? „Mam nadzieję, że tak”.

- Mam nadzieję, że tak - odpowiedział.

Inny marynarz odezwał się z lekceważeniem i pogardą, jakby powtarzając frazes z politycznej broszury, którą nosił stale we własnej głowie:

- Zawsze będą na świecie panowie i właściciele. Spokojna czaszka.

To nie należy do tematu dyskusji - pomyślał Vincent. - Ale czy wolno jakikolwiek temat wykluczać z dyskusji? Jeśli ten człowiek walczył o świat bez panów i właścicieli, to dlaczego nie miałby prawa o tym mówić? Jeśli uważa, że jego osobisty cel wojny nie będzie osiągnięty, dlaczego nie miałby i o tym powiedzieć? Ale walka naprawdę nie toczy się o panów i właścicieli, nie w tym sensie przynajmniej. Poza tym mam wątpliwości, czy on pomyślał choćby przez chwilę o tych sprawach w momencie, gdy się zgłaszał do marynarki czy też gdy go powoływano. Mimo to problem właścicieli i panów będzie istotnie powojennym problemem. Nawet zupełnie możliwe, że wojna - bez świadomości tych celów - toczy się jednak po to, by skończyć z tyranią panów wszelkiego kalibru - wielkich panów, jak Hitler, i małych, jak pierwszy lepszy majster z niewyparzoną językiem. Jeśli tak jest naprawdę, to temat nie jest bezpieczny. W broszurce nie ma mowy o stosunku pomiędzy pracodawcą a robotnikiem, mówi ona wyłącznie o ucisku w skali międzypaństwowej. I właśnie dla tych rzeczy nie potrafił w nich wzbudzić

zaciekawienia - dla tych ogromnych perspektyw, dla moralnych rozwiązań. Te sprawy nie znajdowały żadnego oddźwięku.

Miał zamiar odpowiedzieć wymijająco, gdy nagle Woods wyrwał się po raz drugi i przemówił tonem przesadnie karcącym:

- Tu w ogóle nie chodzi o panów. Po co takie gadanie? Chodzi przecież o cele wojny - co trzeba robić, kiedy wygramy wojnę.

Po tych słowach zapadło ostateczne, głucho milczenie. Krótka chwila bezpośredniej reakcji przepadła na zawsze. W zeszłym tygodniu udało się lepiej - wspominał Vincent. Tak, ale wtedy mówił o wenerycznych chorobach. Łamał sobie głowę, co by tu jeszcze powiedzieć, by pobudzić słuchaczy do dalszych pytań, ale nic nie mógł wymyślić. Oświecił zagadnienie, obdarował ich cennym zaczynem, a rezultat swego wysiłku miał teraz przed oczami - zawsze ten sam, zawsze przygnębiający. Wtem z daleka doleciał odgłos gwizdka. Twarze słuchaczy pojaśniały, stopy zaszurały skwapliwie po podłodze. Gwizdek odezwał się bliżej, a równocześnie rozległ się głos bosmana:

- Wydawanie obiadu!

Tylne rzędy poruszyły się niespokojnie, rozbudzona uwaga zwróciła się ochoczo ku pierwszej tego ranka naprawdę ciekawej sprawie. Vincent zebrał swoje papiery.

- To by było mniej więcej wszystko. Możecie iść.

Gdy wrócił do mesy oficerskiej, Allingham przyjrzał mu się uważnie.

- Co się stało, Vin? Wygwizdali cię może?

- Coś podobnego. - Podeszedł do bufetu i nalał dzynu w szklaneczkę. - Zdaje się, że niewiele pożytku z tych moich pogadanek.

- O czym dzisiaj mówiłeś?

- Cele wojny i perspektywy powojenne. - Odwrócił się od bufetu. - To powinno być interesujące. Dla mnie to jest interesujące. Ale w żadnym z nich te sprawy nie budzą ani krzty zaciekawienia.

- Może jednak niektórzy... - pocieszał go Allingham.

Vincent potrząsnął głową.

- Nie. Trudno jest o tym mówić w sposób przekonujący albo choćby wytłumaczyć to jasno. Ale jeśli podejmiemy od strony moralnej, to naprawdę nie powinno się wymagać od ludzi, żeby walczyli, jeśli nie rozumieją rzeczywistego sensu tej walki albo, rozumiejąc go nawet, nie widzą w nim swego celu. - Spojrzał badawczo na Allinghama. - A ty myślisz, że to jest ważne?

- Co? Żeby tłumaczyć, żeby trochę upiększyć wojnę i zrobić z niej sprawę przekonania?

- Tak, właśnie to.

Allingham ściągnął brwi i zastanawiał się chwilę.

- Dawniej sam to robiłem, w każdym razie w pierwszym okresie wojny. Ale teraz nie jestem już taki pewien. Musimy wygrać, wszystko jedno jakimi ludźmi, wszystko jedno, czy to się komu podoba, czy nie podoba. Bo ostatecznie to nie robi aż takiej różnicy, kiedy już dojdzie do akcji, kiedy walczą i stają wobec niebezpieczeństwa. Starszy marynarz Snooks nie woła przecież: „Za wolność i demokrację!”, kiedy pruje z działka do niemieckiego samolotu. Jeśli trafi, mówi zwyczajnie: „Dostałem tego główniarza”, a jeżeli nie trafi: „Bodajbyś zdechł, skurwysynie!” Nie chce po prostu dać się zabić i do tego nie potrzeba mu specjalnego natchnienia ani otuchy moralnej.

- Ale tobie jednak potrzeba?

- Wiesz, i tego nie jestem pewien. Ja przyjechałem z daleka na tę wojnę i wtedy wydawało mi się, że to jakaś wyprawa krzyżowa. Ale kto wie? Może i bez tego byłbym się zgłosił. - Uśmiechnął

się, wstał i podszedł do bufetu, na którym stała butelka. - Niedobrze jest nie iść razem z innymi, nawet jeżeli się jest Australijczykiem.

- No słuchaj, ale jeśli ta wojna jest taka sama jak inne - nalegał Vincent zniechęcony - to nie warto zwyciężać, i po co ten cały bałagan?

- Jeszcze mniej warto przegrać - rzekł Allingham z przekonaniem. - To jedno jest zupełnie pewne.

Podniósł szklanę, przechylił i wypił do dna, jakby na cześć przyszłego zwycięstwa i ocalenia. Znów się uśmiechnął.

- Uszy do góry, braciszku. W każdym razie teraz jest już za późno martwić się o te rzeczy.

2.

Nastąpił okres ciszy - jak się zdawało, przyjaznej, a nie złowróżbnej. Ta przerwa zapowiadała wakacje, nie była chwilą darowaną na skraju mogiły. Po dawnemu nieustannie przemierzali Atlantyk strzegąc konwojów, ale teraz inaczej wyglądały te rejsy. Przypominały rejsy z samego początku wojny. Statkom i ludziom przytrafiały się od czasu do czasu nieszczęścia, były to jednak zawsze inne statki i inni ludzie - obcy, którzy mieli takiego pecha, albo szczeniaki, które pewnie palnęły jakieś głupstwo. Najczęściej okręty podwodne trzymały się od nich z daleka z różnych powodów, których można się było tylko domyślić. Może się bały, może ich było zbyt mało, a może nieprzyjaciół reorganizował swoje siły lub chciał je zachować na jakąś gigantyczną ostatnią akcję. Jakkolwiek miały się sprawy, wiosna roku czterdziestego piątego przynosiła im w hojnym podarku to, co każda wiosna powinna z sobą przynosić - swobodę, nadzieję i obietnicę.

Ericson potrzebował tej chwili ukojenia - i on, i *Saltash*. Zapewne łatwiej było odczytać dzieje minionych trudów z wyglądu *Saltash* niżli z wyglądu jej dowódcy, ale to nie znaczyło, że Ericson mniej się utrudził. Ludzie na *Saltash* już się przyzwyczaili do jego siwych włosów i szorstkiego usposobienia, do twarzy równie surowej i obojętnej, gdy patrzył na tonący statek czy na martwego człowieka, na marynarza, który coś tam przeskrobał i próbował idiotycznej wymówki, lub na uroczą damę odwiedzającą ich okręt. Pod tą maską ukrywał zmęczenie. *Saltash* nie miała żadnej maski. Pełniła służbę od przeszło dwóch lat, a były to lata ciężkie, w których prawie nie zaznała wytchnienia od złej pogody i od nieprzyjaciela. Była więc skołatana, poznaczona słonymi smugami, tu i tam poszczerbiona - typowy eskortowiec z Obszaru Zachodniego, którego długą historię można było odgadnąć od pierwszego spojrzenia. Ericson, odbijając czasem na motorówce od swojego okrętu, przyglądał mu się i myślał, jak by też teraz wyglądała *Compass Rose*, gdyby żyła i jeszcze pływała. Na pewno nie tak ładnie, jak ją miał w pamięci. Niektóre dawne korwety przetrwały na Atlantyku od roku 1939 - *Trefoil*, *Campanula*, *Petal* z ich własnej grupy. Wyglądały jak krzepkie, lecz przestarzałe i wysłużone dziewczuchy, które zbyt długo włóczyły się po ulicy.

„Niech mnie diabli, jeżeli ja nie wyglądam tak samo!” - rozważał Ericson z gorzkim uśmiechem. Miał pięćdziesiąty rok życia. Nie wyglądał i nie czuł się młodszy nawet o jedną godzinę.

- Mam trzydzieści dwa lata - oświadczył mu kiedyś Lockhart na jego pytanie. - Przepadł najlepszy okres życia.

Lecz Lockhart sam wiedział dobrze, że to nieprawda. Dla niego te lata nie były zmarnowane, mimo całej beznadziejności i marnotrawstwa wojny. Szybko dojrzał w tym czasie i teraz był już innym człowiekiem niż ten dwudziestosiedmioletni, wcale nieświeży dziennikarz, który nie wiedział, dlaczego i po co się

kręci po świecie i który odczuł ulgę, gdy zgłosił się na ochotnika w roku trzydziestym dziewiątym. Wojna dała mu coś, za co na pewno nie zapłacił zbyt wiele. Stracił pięć lat pisania i podróży, poza tym wszystko zyskał - dyscyplinę wewnętrzną, poczucie odpowiedzialności, spokojną pewność siebie i zwycięstwo nad strachem. Powinienem czuć się zupełnie dobrze po wojnie - mówił sobie samemu. Nikt już nie będzie mnie poszturchiwał, a ja sam nie będę się obijał bez celu.

On również, podobnie jak Ericson, cieszył się spokojem tej chwili, tym bardziej że widział w niej potwierdzenie prawidłowego przebiegu wydarzeń. W tym stadium wojny sprawy powinny się rozwijać właśnie w ten sposób, jeśli miały doprowadzić do upragnionego wyniku. Gdybym miał pisać dzieje tej wojny - zastanawiał się kiedyś - na tym skończyłbym książkę, bo doszliśmy do takiego momentu, kiedy nic więcej nie może się zdarzyć. Po prostu wygrywamy, i to wszystko, co można na ten temat powiedzieć. - W gruncie rzeczy pointa tych dziejów kryła się właśnie w tym, że na końcu nic się nie działo, że wojna gasła w ciszy. To wygasanie było ich zwycięstwem.

Chwała Bogu, że wojna tak się właśnie kończyła. Chwała Bogu, że żyje w ten piękny wiosenny ranek, chociaż się tego nie spodziewał, chociaż niejednen z tych, którzy próbowali go zabić w ciągu pięciu minionych lat, sam wyniósł się z tego świata. Rzeczywiście, nic się teraz nie działo, ale od samego początku właśnie to „nic” było celem, do którego dążyli.

Gdyby tylko Julie mogła żyć i przeżywać z nim razem tę chwilę, nasycić ją ciepłem i szczęśliwością, gdyby mogła zakosztować chłodnej satysfakcji zwycięstwa!

3.

Kwiecień 1945 roku... W kwietniu na Atlantyku wojna po raz ostatni pokazała im swoje pazury. W powrotnym rejsie *Saltash* prowadziła konwój do Liverpoolu i wtedy spotkała ją niespodzianka. Równie przykryj nie pamiętali od wielu miesięcy. Po okresie zastoju ostatnie tygodnie były zatrważające i niebezpiecznie ruchliwe. Nieprzyjaciół utrzymywał wciąż jeszcze około siedemdziesięciu okrętów podwodnych na tym obszarze i chociaż musiał zapłacić trzydziestu trzema za krótkotrwałe, gwałtowne wzmożenie swej aktywności, to jednak wiele statków handlowych również znalazło się na dnie. *Saltash* straciła statek z konwoju niemal na progu Anglii - już na Morzu Irlandzkim, skąd widzieli port macierzysty. Statek został trafiony w pobliżu dzioba i tonął bardzo powoli, więc nie było obawy o życie załogi. Lecz mimo to niespodziewana porażka prawie u kresu rejsu i wojny była wstrząsem szczególnie dotkliwym. Widzieli *Streamer* idącą do ataku na przeciwnym skrzydle konwoju, ale trudno im było uwierzyć, że naprawdę coś zaszło. Wojna dobiegała już końca, okręty podwodne zasadniczo zostały pokonane, a w każdym razie nie było ich na wodach ojczystych. Wiedzieli, że kwiecień nie jest dla nich dobrym miesiącem na morzu, i przeczuwali, że nieprzyjaciół ostatnim, bezlitosnym wysiłkiem zapragnie odwrócić klęskę.

Lecz nigdy nie spojrzeli na to z tak bliska, nigdy nie przekonali się o tym w taki brutalny sposób. Zakiełkowała jakaś głucha obawa i niespokojne przeczucie, którego nie umieli się pozbyć, mimo że sytuacja znowu się poprawiła. Bo jeśli teraz mogło się zdarzyć coś podobnego, to nie tylko wracało widmo ponurej przeszłości, ale i obietnica przyszłości była tym zagrożona w zatrważający sposób.

- Ach, wy durne łajdaki! - głośno oburzył się Raikes, gdy już minęło zamieszanie, gdy *Streamer* gracko wykończyła okręt podwodny, a rozbitkowie z zatopionego statku zostali wyłowieni.
- Baranie łby! Przecież mogli nas pozabijać.

Słowa te były echem najszczerzych myśli całej załogi. Echem nadziei, że teraz chyba przeżyją już wojnę, i niecierpliwego pośpiechu, żeby skończyć z tym wszystkim, zanim wpakują się znowu w jakieś niebezpieczeństwo albo staną wobec nowego ryzyka. Do końca wojny nie zostało im więcej niż dwa, może trzy konwoje. Do końca wojny może już tylko jeden eskortowiec zatonie. Żeby tylko nie my! - powtarzali w myśli żarliwie. - Nie teraz, na samym końcu. Nie teraz, kiedy już prawie jesteśmy ocaleni.

Gdy Raikes wypowiadał te słowa na pomoście, mówił za wszystkich. W mesie oficerskiej powrócili do tego tematu ze skwapliwością świadczącą o głębokim wrażeniu, jakie wywarło storpedowanie statku na całej bez wyjątku załodze *Saltash*.

- Jakbym dostał kijem przez łeb! - rzekł Allingham, szybko wychylając jedną szklaneczkę dzynu i zaraz sięgając po drugą. - Okręty podwodne - gdzie, na Morzu Irlandzkim? O tej porze? Chyba te szkopy mają źle w głowie!

- Obojętne czy źle, czy dobrze - odezwał się doktor - ale rzecz się zdarzyła i może znowu się zdarzyć. Zwłaszcza jeśli to ich ostatnia szansa, a przecież oni wiedzą, że ostatnia. Wyroją się wszystkie okręty podwodne co do jednego i nie będą się na nic oglądać, byle tylko zniszczyć jak najwięcej. Dzisiejszy atak był zwykłym samobójstwem, a jednak odważyli się na to. Myślę, że trzeba oczekiwać w przyszłości tego rodzaju niespodzianek, a może nawet gorszych jeszcze.

- Cała nadzieja w tym, że nie nawiniemy się na cel następnemu draniowi - rozważał Raikes. - Nie po to przecież wyżyłem do dziś,

żeby teraz - już prawie w domu, kiedy prawie obeschłem ze słonej wody - żeby teraz zafasować torpedę.

- Tak, to by pokrzyżowało moje zamiary - oświadczył podchorąży stanowczym tonem.

- Ależ to koniec działań wojennych! - zawołał Allingham gwałtownie. - Przeszliśmy Ren, lada dzień połączymy się z Rosjanami, Hitler może już nie żyje w tej chwili. Czego się oni spodziewają po takich wyskokach?

- Może niczego - wtrącił się nagle Vincent, który dotychczas siedział spokojnie przy grzejniku. - Oni walczą po prostu dalej, tak jak przedtem walczyli. My na ich miejscu robilibyśmy to samo, choćby to było beznadziejne, no przecież tak?

Spojrzał po wszystkich, czekając odpowiedzi.

- Co do mnie - zadeklarował się skromnie podchorąży - robiłbym wszystko, co każą, ale nie sądzę, żebym się pchał do jakichś nadzwyczajnych wyczynów.

- Przecież gdyby to było naprawdę beznadziejne... - zaczął Allingham i nie dokończył zdania. Po chwili uśmiechnął się do Vincenta. - Masz rację, bracie. Nie pozostało im nic innego i mam nadzieję, że my robilibyśmy to samo. Cholernie twarde facety z tych szkopów, trzeba im przyznać.

- Niech się tym popisują, jak chcą - mruknął doktor Scott-Brown - byle nie próbowali zatopić *Saltash* na dowód swojej nieugiętości.

Raikes kiwnął głową.

- Właśnie to samo myślałem w czasie ataku. Może to jest egoizm, ale okropnie głupio wykitować w takim momencie.

4.

Maj... Teraz nareszcie nic już nie mogło się zepsuć, nikt nie mógł im ukraść zwycięstwa ani odebrać życia.

Gdy *Saltash*, zostawiwszy swą grupę, wracała samotnie z Islandii, otrzymała niezwykle sygnał: „Zatrzymać się i patrolować w pobliżu Rockall”. Byli więc tutaj i krążyli na przestrzeni pięciu mil kwadratowych wokół samotnej, zagadkowej skały pośrodku oceanu. Był to w istocie wierzchołek góry wyrastającej z głębin Atlantyku, widoczny nad powierzchnią na kilka metrów zaledwie i oddalony o trzysta mil od lądu. Rockall - nie oświetlony, budzący postrach cmentarz niezliczonych statków i okrętów podwodnych.

Ericson zachodził w głowę - dlaczego Rockall? Chyba że Admiralicja chciała w razie potrzeby mieć *Saltash* w pogotowiu. Ale dlaczego „patrolować”? Chyba że mieli tu oczekiwać na coś, co nie wymagało udziału całej grupy okrętów, na coś, z czym jeden okręt mógł się uporać.

- Myślę, że to już koniec - rzekł Ericson nieoficjalnie do Johnsona, z którym właśnie omawiał sprawy paliwa. - Ile mamy jeszcze ropy w zapasie?

- Będzie ze dwieście ton, panie komandorze. To znaczy czternaście dni pływania z normalną szybkością.

- Nie przypuszczam, żebyśmy mieli płynąć z dużą szybkością. Na razie wyczekujemy.

Johnson spojrzał z zaniepokojeniem.

- Jak długo, panie komandorze?

- Sam nie wiem. Aż wybije godzina.

Saltash krążyła powolutku. Żaden statek nie zjawiał się w polu widzenia, żaden konwój nie przemierzał tego obszaru. Nic, tylko szare, płaskie, spokojne morze z mizerną skałą pośrodku i

horyzont dokoła, i blade niebo zawieszone nad nimi. Pusty ekran radaru, asdic sonduje puste, nieskończone morze. Co pół godziny *Saltash* robiła zwrot o dziewięćdziesiąt stopni na lewo i stale szła zygzakiem, na wypadek gdyby jakiś okręt podwodny ją obserwował. Tyle razy to robiliśmy - wspominał Ericson. - Na *Saltash* i przedtem na *Compass Rose*. Raz leżeliśmy w dryfie ze statkiem handlowym, który miał jakąś awarię. Kiedyś znów krążyliśmy szukając rozbitków, a kiedy indziej dlatego, że za wcześnie przyszliśmy na spotkanie. Zawsze była to próba cierpliwości: wyczekiwanie, poszukiwanie bez końca i ciągły ruch dla uniknięcia niespodzianego ataku. Teraz znowu czekali, tak samo jak dawniej, ale tym razem nie wiedzieli, na co czekają i czego mają szukać. Zataczali sakramentalne kręgi najpierw pod szarym niebem, potem w ciemnościach nocy i potem znów pod szarym namiotem chmur. Odrabiali wachtę po wachtce, sunęli z jednostajną szybkością dziesięciu węzłów i dążyli do nikąd. Spełniali po prostu rozkaz i mieli nadzieję, że wyjaśnienie przyjdzie niedługo, zanim zajdzie coś złego, zanim niewinna karuzela zmieni się w sabat czarownic według najlepszych atlantyckich tradycji.

Ericson z nikim nie mówił o sensie tego rozkazu, bo sam go nie znał i wobec tego nie było o czym mówić. Mieli tylko blok sygnałowy, do którego każdy mógł zajrzeć, a w nim te słowa: „Zatrzymać się i patrolować”. W cichości ducha był przekonany, że czekają na koniec wojny, ale to były tylko domysły, którymi nie wolno się dzielić, bo nie mają żadnego pokrycia ze strony władzy. Blok sygnałowy, ostatni wyraźny rozkaz Admiralicji - oto wszystko, na czym się mogą opierać.

Kiedyś Raikes, stojąc na wachtce, powiedział:

- Chyba nie będą próbowali jakichś kawałów? Paskudny czas na umieranie.

Ericson zmarszczył czoło.

- Czas taki sam jak zawsze - rzekł trochę chłodno. - Ale będzie paskudny dla każdego, komu przyjdzie ochota nas zabić.

Oczekiwany sygnał nadszedł o świcie chmurnego, spokojnego poranka. *Saltash* zgodnie z poprzednim rozkazem, ciągle krążyła wokół skały jak koń w kieracie, ciągle kluczyła chytrym, wymykającym się kursem, ludzie wciąż zasiadali trzy razy dziennie do posiłku, wciąż trwali w czujnym oczekiwaniu niebezpieczeństwa - zapewne ostatniego ataku nieprzyjaciela.

„Działania wojenne zakończone - brzmiał sygnał. - Niemieckie Naczelne Dowództwo wydało rozkaz poddania się wszystkim okrętom podwodnym. Sygnałem kapitulacji jest duża czarna flaga. Zachować odpowiednią ostrożność na wypadek akcji indywidualnej. Dwa okręty podwodne, będące prawdopodobnie w waszym najbliższym rejonie, należy odprowadzić do Loch Ewe”.

- W najbliższym rejonie? - obruszył się Ericson. - To już oszczerstwo. Poczekamy, aż się pokażą.

Pokonany wróg wychodził na powierzchnię. Na całym rozległym Atlantyku niemieckie okręty podwodne, gdziekolwiek pełniły służbę lub tylko szukały kryjówki, teraz opuszczały głębiny, uznając koniec wojny. Niektóre powodowane zawziętością albo poczuciem winy, ginęły z ręki własnej załogi lub uciekały szukając schronienia, którego nigdzie nie miały znaleźć. Najczęściej jednak robiły to, co im kazano robić, najczęściej wciągały czarne flagi na znak poddania, podawały swoje pozycje i czekały na dalsze rozkazy.

Mokre, milczące, wyłaniały się z wody na Morzu Irlandzkim i w ujściu Clyde, koło przylądka Lizard i w kanale La Manche, i na krańcu cieśniny Minch, gdzie fale szamocą się we wściekłym

tańcu. Wyłaniały się w pobliżu Islandii, gdzie zatonała *Compass Rose*, i u wybrzeża północno-zachodniej Irlandii, przy Wyspach Owczych i na żłowieszczym szlaku gibraltarskim, gdzie zatopione statki tak gęsto zaścielają dno oceanu, koło Saint John's i Halifaxu, i na największych głębiniach atlantyckich, gdzie pięć tysięcy metrów dzieli dno morza od stępki.

Wynurzały się w miejscach tajemnych, wydając siebie i swoje nieudane zamiary. W bezpiecznej bliskości lądu i daleko na wodnym cmentarzysku, w miejscach usianych na mapie Bitwy o Atlantyk tak wielu i tak gęsto skupionymi krzyżami, oznaczającymi statki zatopione przez wroga, że atrament zlewał się w jedną plamę. Wynurzały się pełne nienawiści lub strachu, świadome, że pod nimi leży ich własne dzieło, dzieło zniszczenia. Czasem warczały z nieposkromionej złości, a czasem przyjmowały z wdzięcznością rozejm, którego same nigdy nie chciały ofiarować innym okrętom i innym marynarzom.

Wynurzały się na powierzchnię i zostawały w tym miejscu na polu bitwy, czekając, aż zwycięzcy ogłoszą swoje zwycięstwo.

Wynurzyły się także w pobliżu *Saltash* i skały Rockall.

Zauważyli je na horyzoncie - dwie ciężkie bryły ponad poziomem morza, jak przysadziste bastiony. Mogły to być jedynie okręty podwodne - do dziś znienawidzony i wytęskniony łup, a teraz bezwartościowe śmiecie z pobojowiska klęski.

- Dwa okręty podwodne w polu widzenia!

Marynarz na oku po prawej burcie podawał z niezmaconym spokojem najniezwykleszy meldunek w ciągu tej wojny. *Saltash* pełną szybkością ruszyła na spotkanie, zarządzając po drodze alarm bojowy.

- Bosmanie, idziemy dalej zygzakiem! - zawołał Ericson do Barnarda siedzącego w sterówce.

Saltash przechyliła się ostro pod nagłym naciskiem steru i zaczęła kreślić na morzu zawiły wzór zygzaku. Ericson zaraz na początku nowego zadania postanowił trwać przy tej ostrożności. Nie miał ochoty stać się celem torpedy, wypuszczonej z rozpaczy w ostatnim momencie. Kiedy podeszli bliżej, zobaczyli oba okręty stojące nieruchomo jeden przy drugim. Z masztów zwisały czarne flagi, a na pokładach tłoczyli się ludzie, tak samo jak na pokładzie *Saltash*. Fregata opłynęła je ciasnym pierścieniem idąc z szybkością dwudziestu dwóch węzłów, mocno przechylona na burtę, z lufami wszystkich dział wymierzonymi na wroga. Silna fala wzbudzona jej śladem rozkołysała mniejsze okręty, ludzie na ich pokładach chwyтали się czego kto mógł, tu i ówdzie wyrażając pięściami.

- Co im powiedzieć? - zapytał Ericson, który najwidoczniej dobrze się bawił tą sytuacją.

- Moje uszanowanie, Herr Doktor - zaproponował Lockhart.

- A może jeden strzał dla ostrzeżenia? - podsunął Allingham tonem pełnym nadziei.

Ericson roześmiał się głośno.

- Rozumiem, poruczniku. Swędzenie w palcach, prawda? Nie zdaje mi się, żeby było o czym ostrzegać. - Zastanowił się chwilę.

- A może bomba głębinowa nie będzie zła - nie za blisko i nie za daleko, w sam raz, żeby ich trochę utrzęsło. Chciałbym, żeby w drodze powrotnej umieli się przyzwoicie zachować. Niech pan uprzedzi Vincenta - jedna jedyna bomba. Może ją rzucić, jak tylko będzie gotów.

Bomba wybuchła w jednakowej mniej więcej odległości od *Saltash* i od okrętów podwodnych. W ten sposób nie było obawy uszkodzenia ich mocnych kadłubów. Lecz ciężki wybuch tuż pod

powierzchnią morza zrobił silne wrażenie na tych, o których chodziło. Góra wody, wystrzelając w powietrze, rzuciła cień na okręty podwodne. Drobnutki pył powoli opadał i przewiewał nad nimi jak wilgotna zasłona. Gdy się rozwiała, znowu ujrzeli ludzi stłoczonych na pokładach. Jak się zdawało, przeszli oni przez prysznic także w sensie psychicznym. Większość miała ręce wzniesione nad głowę, dolatywały niewyraźne krzyki, brzmiące pretensją i wymówką. Ktoś wdrapał się na maszt i rozpostarł szeroko flagę, żeby nie było pomyłki.

- Tak jakby zrozumieli - rzekł Lockhart, obserwując ich przez lornetkę.

- Bardzo się cieszę, że potrafiać zrozumieć delikatną aluzję. - Ericson podniósł do ust mikrofon. - Czy rozumiecie po angielsku?

Z obu okrętów podwodnych potwierdzono machaniem rąk i skwapliwym skinieniem głowy.

- Patrzcie ich, jacy uczeni - zauważył z przekąsem Raikes.

Ericson znów podniósł głośnik.

- To była bomba głębinowa - mówił twardo, bezwzględnie. - Mam jeszcze blisko dziewięćdziesiąt. Uważajcie, żeby nie było z wami kłopotu, bo jak nie... - tu pokazał im nagle ściśniętą pięść - Donner und Blitzen!

- Nie można było lepiej, panie komandorze - rzekł Lockhart zachwycony. - Już się pocą ze strachu.

- Może pan komandor przeliteruje te słowa? - prosił zakłopotany sygnalista, który miał obowiązek zapisywać wszystkie sygnały nadane z pomostu.

- Idziemy teraz do Loch Ewe na szkockim wybrzeżu - mówił Ericson dalej do niemieckich okrętów, a jego słowa brzmiały jak ostateczne przekleństwo srogiego ojca. - Jaką szybkość możecie rozwinąć na powierzchni?

Poprzez wodę doleciało nagle wołanie:

- Dziesięć węzłów.

- Zajmie nam ta zabawa ze dwa dni czasu - zwrócił się Ericson do Lockharta. - Wolę iść równo z nimi i nie mieć tych łajdaków wciąż za plecami, choćby spokornieli.

Znowu przemówił przez głośnik:

- Wszyscy ludzie mają zejść zaraz pod pokład. Ustawić się obok mnie z jednej i z drugiej burty. Kurs jeden-zero-pięć, to znaczy sto pięć. Zrozumiane?

Znów machanie rękami i gwałtowne potakiwanie.

- Zatem ruszamy. W żadnym wypadku nie zmieniać kursu. Nie porozumiewać się z sobą żadnymi sygnałami. W nocy palić światła nawigacyjne. I nie zapominać o bombach!

Nie było sądzone temu dziwnemu konwojowi wrócić spokojnie do domu. Przedwakacyjny nastrój został po raz ostatni zmałowany, a żartobliwa energia Ericsona, która go pchnęła do poczęstowania okrętów podwodnych ryzykowną huśtawką na fali wzbudzonej przez *Saltash* i do napędzenia im strachu wybuchem bomby głębinowej, musiała jeszcze raz objawić się w czynie, ale tym razem wsparta pasją wściekłości.

Zdarzyło się to drugiego dnia po południu, gdy się zbliżali do Butt of Lewis, najbardziej na północ wysuniętego przylądka zewnętrznych Hebrydów, stanowiącego zarazem wlot do cieśniny Minch - tego podjazdu pod bramę macierzystego portu. W ciągu trzydziestu godzin oba okręty podwodne zachowywały się jak najlepiej. Szły prostym kursem jak po sznurku, a w nocy ich światła nawigacyjne mogły służyć za wzór jasności. Na wszelki

wypadek Ericson kazał, aby operatorzy nie odstępowali asdiku, chociaż niewiele było szans, że coś wytropią. Gdy jednak złapali kontakt, i to w dodatku twardy, prosto przed dziobem fregaty, zamieszanie wzbudzone pierwszym dźwiękiem klaksonów alarmowych zniszczyło całkowicie radosny nastrój ostatniego dnia wojny.

Ericson w jednej chwili poderwał załogę na stanowiska bojowe. Cokolwiek oznaczało to echo, nie miał zamiaru ryzykować. Jeśli to był naprawdę okręt podwodny, który nie usłuchał rozkazu i krył się pod powierzchnią, to albo zamierzał dalej walczyć, albo udawał głupiego. Ericson miał szczere postanowienie ukarać go za jedno i drugie. Nadał sygnał do swoich jeńców: „Stań natychmiast i czekać w miejscu”. Usłuchali i odpadli do tyłu, a wtedy *Saltash* pełną parą ruszyła naprzód do ataku.

Lockhart meldował:

- Wygląda całkiem na okręt podwodny. Na tym samym kursie co my.

Ericson odpowiedział:

- Trzeba wyrzucić serię, kapitanie. Może oni o niczym nie wiedzą.

Obsługa bomb głębinowych otrzymała już rozkaz o gotowości, gdy okręt podwodny wynurzył się o sto metrów przed nimi. Wyłaził na powierzchnię powoli i z taką nonszalancją, jakby chciał im powiedzieć: „Wyłażę, bo mi się tak podoba”.

- Obie maszyny stop! - rozkazał Ericson. - Ster lewo dwadzieścia!

Saltash, tracąc stopniowo szybkość, podeszła za rufę okrętu podwodnego. Ericson oglądał przez lornetkę szary, ociekający kadłub.

- Prawdopodobnie - zauważył posepnie - chcą nam w ten sposób okazać, że naprawdę wcale nie są pobici. Właściwie warto by za to...

Nie dopowiedział swej myśli, lecz w głębi serca walczył z gwałtowną pokusą. Pragnął gorąco podjąć na nowo atak. Nie podnieśli czarnej flagi na maszt, a więc miał prawo. Pragnął ich zmiażdżyć, roznieść ogniem swych dział albo wpakować im bombę w sam brzuch. Chciał im pokazać, że to naprawdę koniec wojny i że okręty podwodne poniosły klęskę, że brytyjska fregata może wyekspediować ich na dno, jeśli tylko przyjdzie jej na to chęć. W tej ostatniej minucie chciał dowieść, jak to łatwo powiększyć swoje saldo wojenne z trzech do czterech okrętów podwodnych. Stał jak wrośnięty w pokład pośrodku pomostu i przeżuwał swą dawną złość - tę, która w nim zakipiała, gdy niemiecki dowódca zatopionego okrętu w jego kabinie zaczął sobie pozwalać na arogancję. Cholerne szkopy... Wtem jakiś człowiek w czapce wysoko poddartej z przodu ukazał się na wieżycze bojowej, rozejrzał się dokoła bez najmniejszego pośpiechu, a potem zwrócił szkła swej lornetki na *Saltash*. Drugi wylazł z głębi okrętu i stanął obok niego w pozie swobodnej i obojętnej.

- Ciągłe udają głupich - mruknął Ericson. - Allingham!

- Tak jest, panie komandorze? - Allingham stał przy mikrofonie na stanowisku kierowania działami.

- Strzel pan raz ponad wieżyczką bojową. Może być nisko, jeśli to panu odpowiada.

Allingham dał komendę. Zagrzmiało działo numer dwa. Strzał padł pięćdziesiąt metrów za okrętem podwodnym, wyrzucając w powietrze wielki, brunatny grzyb wzburzonej wody.

- Można powiedzieć, że im przeczesał fryzurę - rzekł Holt z uznaniem.

Możliwe, że był to ostatni strzał w tej długiej wojnie. Dwaj ludzie na wieżyczce bojowej stracili w mgnieniu oka wyraz niedbałej obojętności i energicznie wymachiwali rękami. Inni zaczęli wylazić na wieżyczkę i wysypywać się na przedni pokład. Czarna flaga wyskoczyła na szczyt niskiego masztu, a lampa sygnałowa zamigotała w nerwowym pośpiechu.

- Sygnał, panie komandorze - meldował starszy sygnalista na *Saltash*: „Nie mam zamiaru z wami walczyć”.

- Bardzo proszę, możecie walczyć! - zawołał gromko Ericson trzymając głośnik przy ustach. Czekał, jaka będzie odpowiedź na to wyzwanie, ale odpowiedzi nie było. Z wieżyczki bojowej wciąż wysypywali się ludzie i biegli wzdłuż pokładu z rękami wzniesionymi nad głową.

- No, teraz już trochę lepiej - mruknął Ericson. Rzucił przez głośnik ostry, stanowczy rozkaz: - Iść za mną razem z tamtymi!

5.

Tak się skończyła ich bitwa i tak wygasła Bitwa na całym Atlantyku. Dziwnie łagodny koniec po pięciu i pół latach zażartych zmagających. Na minutę przed końcem nie było żadnej napaści wymierzonej przeciw statkom znajdującym się w morzu, żadnego rozpaczliwego zrywu pod hasłem: Śmierć albo sława! Żadnych prób indywidualnego korsarstwa po dacie kapitulacji. Zła wojna wykańczała się w bulgocie bąbli powietrza z przedmuchiwanych balastów, w posępnej uległości i w krótkim rozkazie: „Iść za mną!” Ale to decrescendo i ten spokojny koniec bynajmniej nie umniejszały triumfu i dumy zwycięstwa, okupionego olbrzymim kosztem trzydziestu tysięcy zabitych

marynarzy i trzech tysięcy statków leżących na dnie jednego oceanu - zwycięstwa wylegitymowanego olbrzymim łupem siedmiuset osiemdziesięciu okrętów podwodnych zatopionych dla wyrównania rachunku.

Bitwa ta będzie żyła w historii dzięki temu, że trwała tak długo i była tak nieubłaganie okrutna. Będzie żyła w pamięci ludzi przez to, co wyrządziła im samym i wielu ich przyjaciółom, i okrętom, które kochali. Lecz przede wszystkim będzie żyła w tradycji marynarki wojennej i zmieni się w legendę ze względu na nieocenioną usługę, jaką oddała wyspie ogarniętej pożogą, ze względu na cenę zapłaconą krwią marynarzy i na nagrodę w postaci zachowanej w całości liny ratowniczej, łączącej Anglię z gotowym do pomocy światem zewnętrznym.

6.

Trzy bystre ścigacze, najeżone łufami, wyskoczyły z jeziora Ewe i pędziły z warkotem silników, robiąc co najmniej czterdzieści węzłów. Zawróciły w kipieli piany i pyłu wodnego, plunęły Bóg wie z jakiego powodu przeciągłą serią z broni maszynowej i w końcu ustawiły się jeden przed, a drugi za niemieckimi jeńcami z wyrazem zadowolenia, jak ludzie, którzy sami dokonali całego dzieła. Nadały tylko ten jeden sygnał: „Mamy ich”. I przejęły okręty podwodne od *Saltash*.

A fregata poczuła się tak, jakby ją nagle wyzwolono. Mogła już iść na miejsce swego postoju.

Wielki okręt płynął poprzez spokojne, osłonięte wody jeziora w kierunku innych okrętów skupionych na przeciwległym krańcu. Słońce już zaszło i zrobiło się zimno. Wracali z morza do domu, ale wciąż byli okutani od zimna, w czapkach i hełmach, i w

grubych płaszczach, wciąż tupali stopami odzianymi w ciężkie morskie buciska i w skarpety z surowej wełny. Dziwny spokój panował na *Saltash*, chociaż pokłady zapchane były ludźmi. Było ich chyba stu pięćdziesięciu na górnym pokładzie. Stali szeregiem wzdłuż relingów albo siedzieli w głębi na skrzynkach z amunicją i na zrębnicach. W milczeniu patrzyli na cichą, spokojną wodę, na wdzięczne wzgórza jarzące się szczytami w ostatnich promieniach słońca, na białe domki przycupnięte na brzegu i na przystań, do której zmierzali. Był to koniec ich dnia i koniec bitwy. Była to dla nich zarazem chwila skupienia. W takiej chwili trudno jest człowiekowi mówić, a najlepiej, jeżeli może stać i patrzeć.

Gdy podeszli już bliżej, zauważyli, że z wyjątkiem jednej korwety, ropowca oraz paru małych jednostek stały tu same okręty podwodne - ni mniej, ni więcej tylko szesnaście - zacumowane w zwartej grupie pod okiem dobrze skołatanego trałowca.

Na ten widok pomruk przebiegł wzdłuż pokładu fregaty, po czym znów zapadło milczenie. Ludzie na *Saltash* przechodzili powoli na lewą burtę i przepływając mimo, patrzyli w dół na pokonanego wroga. Widzieli, że z okrętów podwodnych pozostały już tylko puste, szare skorupy, bo załogi z nich zeszły, a działa spały w pokrowcach. Leżały ciche i na nic już nieprzydatne, ale to był wciąż jeszcze wróg, ten, z którym *Saltash* i inne okręty walczyły i nad którym odniosły zwycięstwo. Wiele w nich było rzeczy godnych widzenia i zapamiętania, ale wszystkie spojrzenia zawisły na jednym tylko szczególe - na wielkim, białym „U” wymalowanym na wieżyczce bojowej każdego okrętu. Ta litera wzięta przez nich w niewolę, odrażający symbol znienawidzonej wojny, teraz wyrażała w ich oczach ponurą treść minionych zapasów. Przez lata całe tropili ślad tego „U”, a teraz było tutaj - unieruchomione na zawsze i bezpieczne pod strażą. U - jak

upadek, U - jak udaremnienie, U - jak wszystko, co oznacza zwycięstwo dla jednej strony, a ostateczną klęskę dla drugiej.

Płynęli mimo nich. Ericson kazał zwolnić do najmniejszej szybkości. Raikes był zajęty braniem namiarów na brzeg. Na pokładzie dziobowym winda szczęknęła i zazgrzytała, gdy wysunęło się pierwsze ogniwo łańcucha. Allingham stał na dziobie, zwrócony twarzą do pomostu, i czekał na sygnał rzucenia kotwicy.

Raikes zawołał:

- Już na pozycji!

- Obie maszyny stop! - dał rozkaz Ericson.

Zanim *Saltash* stanęła, rozejrzała się dokoła. Dobre miejsce na postój, najlepsze, jakiego mógł sobie życzyć. Osłonięte, nie ma płycizn w pobliżu ani innych okrętów napierających z bliska, gdyby *Saltash* zaczęła łukować. No, i widać okręty podwodne...

- Na pozycji! - zawołał Raikes.

- Obie maszyny wolno wstecz!

Gdy *Saltash* już się cofnęła, tyle tylko, by móc ułożyć łańcuch kotwiczny w prostej linii na dnie, Ericson dał znowu rozkaz:

- Obie maszyny stop! Kotwicę rzuć!

Allingham podniósł rękę na znak, że dosłyszał, i powtórzył rozkaz starszemu marynarzowi. Szczęknął zwolniony stoper i kotwica opadła w dół z okropnym łoskotem, od którego zbudziły się echa naokoło jeziora, a mewy odpowiedziały niespokojnym krzykiem.

Kręgi na wodzie rozchodziły się coraz szerzej i zanikały. *Saltash* w końcu stanęła, leciutko napinając łańcuch.

- Kotwica trzyma! - zawołał Allingham ze swego miejsca na dziobie.

Ericson westchnął głęboko i z ulgą rozprostował ramiona. Tak, to by było wszystko...

Rzucił przez ramię ostatnie polecenie:

- Proszę kazać odstawić maszyny.

7.

Chociaż od dawna nie było już nikogo na górnym pokładzie, Lockhart nie zdziwił się znalazłszy dowódcę na pomoście. Nie wystraszył się wysokiej postaci, która nagle zamajaczyła przed nim w mroku. Może domyślał się nawet, gdzie znajdzie Ericsona w godzinie pożegnania. Na odgłos jego kroków Ericson odwrócił się.

- Halo, Lockhart!

On również nie był wcale zdziwiony. Stali tuż obok siebie w chłodnej ciemności i milczeli dość długo. Przeżywali wspólnie tę chwilę odprężenia i oddychali błogim spokojem przystani.

Pora nie była późna, ale zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Księżyc zaplątał się w olinowaniu okrętu, jedno po drugim zapalały się światła na lądzie - gwiazdy pokoju, pierwsze światła od dnia wybuchu wojny. Można było rozróżnić zarys jeziora i mroczne wzgórza otaczające je kręgiem. Za rufą gromada wrażych okrętów leżała cicho i bez ruchu, jak ciężkie, czarne bryły na niespokojnej wodzie. Poza granicą osłoniętej przystani wiatr wył, jakby wciąż ostrząc zęby na *Saltash*, a daleko okrutne morze dobijało się i waliło do bram jeziora.

Lockhart wiedział, dlaczego tu stoją pod chłodnym, pogodnym niebem, wsparci o reling na skrzydle pomostu. Nie był, co prawda, pewien, czy potrafią uczcić tę chwilę tak, jak na to

zasługiwała. Stali tu razem, bo był to ostatni dzień wojny, którą razem przeżyli. Skończyła się Bitwa o Atlantyk, a oni pragnęli z całej duszy przypomnieć jej dzieje, choćby tylko jakąś aluzją, choćby milczącym spojrzeniem w przeszłość. W takim momencie chciało się zebrać w jedno przeróżne wątki tej długiej historii. Czy jednak - zastanawiał się Lockhart - nie było zbyt wiele tych wątków? Może zbyt wiele mieli do powiedzenia, a łatwo się zagubić w pustym bełkocie słów, niegodnym tego momentu. Lecz z drugiej strony ten człowiek, dla którego miał szczere, gorące uczucie, nie będzie przecież gadał o byle czym, nie będzie rozmieniał na drobne prawdy swych przeżyć.

- Pięć lat to trwało - odezwał się Ericson. - Zaczął się szósty rok. Ciekawe, ile też mil przepłynęliśmy.

- Na *Compass Rose* obliczałem - odparł Lockhart, wdzięczny za poddanie tematu. - Razem dziewięćdziesiąt osiem tysięcy mil. Ale na *Saltash* nie próbowałem, żeby jej nie „uroczyć”.

Stłumione odgłosy życia na okręcie dolatywały na pomost. Jak to zwykle w czasie postoju, gdzieś grało radio, drobna fala wspiwała się na burtę i opadała z cichym szelestem, ciężkie stąpanie wachtowego dudniło po pokładzie. Smuga księżycowego blasku wymacała czarne cienie okrętów podwodnych, z których wyciekła już groza. Raczili się ich widokiem.

- Szkoda, że tamci tego nie widzą - rzekł nagle Lockhart. - John Morell, Ferraby...

Ericson skinął głową.

- Tak, zasłużyli.

A Lockhart wywoływał zagubione nazwiska z mroków pamięci i recytował jedno za drugim:

- Tallow. Starszy marynarz Phillips. Wells.

- Kto to był Wells? - zapytał Ericson.

- Starszy sygnalista na *Compass Rose*.
- Ach tak, pamiętam...
- Mówił zawsze do swoich chłopców: „Jak nie będziesz wiedział, co zrobić, to gwizdnij na mnie, zaraz przylecę na górę”.
- W takiej chwili jak dziś braknie ich człowiekowi.
- Uhum... Ale jest ich chyba za dużo, żeby wszystkich dobrze spamiętać. Bo ostatecznie nazwiska to tylko etykiety. Młody Baker, Rose, Tonbridge, Carslake. Wszyscy chłopcy z *Sorrel*. I te wrenki, które się potopiły w rejsie do Gibraltaru.
- I Julie Hallam - wtrącił Ericson niespodzianie, po raz pierwszy dotykając tego tematu.
- Tak, Julie...

Zdumione serce Lockharta odczuło tylko ukłucie i już nic więcej. Może po roku Julie już usnęła naprawdę, a on tak samo. Przecież podobnie było z *Compass Rose*. Widocznie jest jakiś specjalny rodzaj wojennej pamięci, miłosiernej przez swą nietrwałość, tonącej na zawsze w zapomnieniu pod ciężarem żałoby.

- Nie dostał pan żadnych odznaczeń - rzekł Ericson ni stąd, ni zowąd. - Ale ja podawałem w tej sprawie wnioski.

Lockhart uśmiechnął się w ciemności.

- Przeżyję to bez bólu.
- Zasłużyłeś pan przecież.
- Mimo to przeżyję bez bólu. Czy pan pamięta ten nasz obiad w Londynie? Mówiłem, że chcę zostać z panem na *Saltash*.
- Tak. Dla mnie to bardzo dużo znaczyło.
- I dla mnie też.

Więc jednak podchwycili chociaż ten jeden wątek. Jedna ze spraw, o których nie zamierzali mówić, na szczęście została wypowiedziana słowami.

Ericson westchnął.

- Zatopiliśmy tylko trzy okręty podwodne. Trzy przez pięć lat.

- Ale dobrze trzeba było na nie harować.

- Taak...

Ericson pogрузił się w zadumie, wsparty ciężko o reling pomostu, na którym spędził setki, tysiące godzin. Otulony grubą zasłoną mroku, z wolna wymówił słowa, które - mimo sześćdziesięciu ośmiu minionych miesięcy - zdumiewały w jego ustach:

- Muszę powiedzieć, że jestem cholernie zmęczony.

Koniec